

WOJCIECH WÓJCIK



# GARŚC POPIOKU

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

WOJCIECH WÓJCIK

**GARŚĆ  
POPIOŁU**

---

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

---

## Spis treści

Prolog Dzień pierwszy — środa Dzień drugi — czwartek Dzień trzeci  
— piątek Dzień czwarty — sobota Epilog Od autora

*Pięknej Żonie i kochanej Córeczce*

[...] A straszny będzie ten czas kary,  
kiedy kora bez duszy wybuchnie pożarem  
i pozostanie popiół, jeno garść popiołu,  
jako ślad tych, co skradli lok złoty — aniołom.

Krzysztof Kamil Baczyński

*Świat — kryształowa kula*, początek maja 1942 r.

## Prolog

Niebo płakało razem ze mną. Zimne krople deszczu atakowały każdy odsłonięty kawałek skóry, a potem z cichym pluśnięciem rozbryzgiwały się na marmurowych nagrobkach. Woda chlupotała pod nogami, przemaczając buty i skarpetki. Było szaro i wstrętne — właśnie tak zawsze wyobrażałem sobie własny pogrzeb.

Ale to jeszcze nie była pora na mnie. W polakierowanej trumnie, dźwiganej przez sześciu elegancko ubranych mężczyzn z zakładu pogrzebowego, spoczywało ciało kogoś innego. Za każdym razem, gdy zerkalem w tamtą stronę, do oczu napływały mi łzy rozpaczy, schnące błyskawicznie na policzkach w podmuchach chłodnego wiatru.

Drżałem na całym ciele, ale nie z powodu zimna. Wciąż nie mogłem się pogodzić z tym, co zaszło. Śmierć ma w sobie coś nieodwracalnego, ale ja wciąż chciałem wierzyć, że tym razem będzie inaczej. Że nagle obudzę się w swoim łóżku i po chwili zdam sobie sprawę, że to był tylko koszmar sen.

Niestety głos księdza, dobywający się z trzeszczącego, wysłużonego głośnika, brzmiał przerażająco realnie: „Dobry Jezu a nasz Panie, daj jej wieczne spoczywanie”...

Podążający za trumną tłum był tak wielki, że idąc wąskimi alejkami cmentarza w Legionowie, rozciągał się na kilkadziesiąt metrów. Składał się w znacznej części z młodzieży, w tym szczególnym dniu wyjątkowo poważnej i jakby wycofanej. Gdzieś wśród tego tłumy znajdowali się też nauczyciele, ale żaden z nich — z dyrektorką na czele — nie musiał apelować o ciszę. Miejscowa młodzież dobrze pojmowała ogrom tragedii i zachowywała pełne szacunku i współczucia milczenie.

Oprócz uczniów w kondukcje żałobnym było wielu mężczyzn w mundurach. Większość z nich znała zmarłą osobiście. Chociaż z racji wykonywanego zawodu mieli już do czynienia z przedwczesną śmiercią, to ich twarze zastygły w wyrazie szczerego żalu. Widzieli już wiele ludzkich dramatów, więc widok łez w ich niepokornych oczach był tym bardziej przejmujący.

Ale dla nikogo ten dzień nie był tak bolesny, jak dla mnie.

Rozchlapując płynącą alejkami wodę, podążałem za trumną, zadając sobie wciąż te same pytania. Czy dało się zrobić coś więcej? Czy mogłem temu zapobiec? W jakiś sposób oszukać lub przebłagać żądną krwi kostuchę? I chociaż nie umiałem jednoznacznie odpowiedzieć na żadne z tych pytań, to obok ściskającego serce żalu czułem też olbrzymie wyrzuty sumienia. I wiedziałem, że będą mi one towarzyszyć już do końca moich dni.

Gdy dotarliśmy na miejsce, oczy zaszyły mi mgłą. Przymknąłem je, nie chcąc oglądać otwartego grobu, w którym miała spocząć trumna. To było zbyt bolesne. Wiedziałem, że chociaż martwe ciało powędruje zaraz do ziemi, to moja rozpacz nie zostanie pogrzebana razem z nim, tylko podąży wraz ze mną, skryta w moim sercu.

Wygłaszana przez księdza treść ostatniego pożegnania jakoś do mnie nie docierała. Rozpoznawałem jedynie pojedyncze wyrazy, ale nie byłem w stanie połączyć ich w spójną całość. Co prawda nie pozwoliłem nafaszerować się żadnymi pigułkami, ale i bez tego byłem kompletnie oziębiały. Może dlatego wypowiedziane przez kapłana słowa o końcu ziemskich cierpień i obietnicy życia wiecznego nie przyniosły mi ani krzty ukojenia.

W tle wzmocnionego mikrofonem głosu księdza usłyszałem ponure krakanie wron. Te odgłosy o wiele lepiej oddawały stan mojego ducha. To nie był pierwszy nagły zgon w ostatnim czasie i nie pierwszy pogrzeb, w którym uczestniczyłem. Ale ból, który odczuwałem, był nieporównywalny z niczym, czego doświadczyłem wcześniej. Nagła śmierć mojego przyjaciela wydała mi się teraz jedynie niewiele znaczącym epizodem. Ale to właśnie ona zapoczątkowała serię dramatycznych wydarzeń. I pogrzebów, w których uczestniczyłem.

W oczekiwaniu na moment, w którym trumna z tak drogą mi zawartością spocznie na dnie szarego grobu, zacisnąłem dłonie na trzymanym przed sobą wózku inwalidzkim i cofnąłem się myślami do tych czterech szalonych dni.

## Dzień pierwszy — środa

Stałem jak słup soli i walczyłem o każdy oddech, a ściśnięte serce waliło mi tak mocno, że obawiałem się, iż zaraz wyskoczy przez gardło i zniknie za uchylonym oknem dachowym. Oczy o rozszerzonych źrenicach miałem utkwione w makabrycznym obrazku, który nie chciał zniknąć nawet wtedy, gdy bezwiednie uszczypnąłem się w udo. Wciąż widziałem zwisającą pionowo ludzką sylwetkę z odchyloną do tyłu głową i ściągniętymi stopami, zastygłymi w pozycji przywodzącej na myśl figurę z jakiegoś piekielnego baletu.

Wyciągnięta szyja zwisającej postaci opasana była grubym, biegnącym od sufitu sznurem. Przywiązany do metalowego haka sznur drgał w delikatnym podmuchu przeciągu, obracając się powoli wraz z bezwładnym ciałem czterdziestokilkuletniego mężczyzny o alabastrowej twarzy i wytrzeszczonych oczach. Te oczy, które jeszcze wczoraj patrzyły na świat ze względną sympatią i umiarkowaną ciekawością, teraz były nieruchome i zimne jak gład. Wciąż nie mogłem w to uwierzyć.

I chyba nie tylko ja. Nastrój w niewielkim pomieszczeniu na poddaszu, które zanim stało się grobowcem, służyło jako rupieciarnia, oscylował między trwogą a niedowierzaniem. Na kilkunastu metrach kwadratowych, wciśniętych pod skośny dach i oświetlonych nagą żarówką, tłoczyło się wraz ze mną osiem osób, starających się trzymać jak najdalej od wisielca. Pełną napięcia ciszę zakłócał przez chwilę jedynie spazmatyczny oddech wiekowej woźnej, która — bliska omdlenia — oparła się swoim niemal stukilowym ciałem o wątłą postać równie wiekowego matematyka. Mężczyzna, który kilka chwil wcześniej, wykorzystując nie wiadomo kiedy i jak nabyte umiejętności włamywacza, otworzył kawałkiem wygiętego druta prymitywny zamek od rupieciarni, teraz westchnął żałośnie i zachwiał się na nogach.

— Proszę państwa, proszę stąd wyjść — autorytarny, choć lekko zachrypnięty głos należał do wicedyrektorki. Kobieta o indyczej szyi i przypominającej hełm trwałej ondulacji najwyraźniej próbowała zamaskować swą histeryczną reakcję sprzed dosłownie kilkunastu



sekund, kiedy zobaczywszy kołyszącego się w przeciagu trupa, zakwiczała jak zarzynane prosię.

— Panie Leopoldzie, pan zaraz zemdleje. — Pociągnęła za ramię matematyka, który skwapliwie uwolnił się od ciężaru woźnej i pewnym krokiem wyszedł na korytarz, zgarniając przed sobą bladą jak ściana nauczycielkę niemieckiego.

— Niech ktoś pobiegnie po pana Marka — dodała i sama odruchowo zrobiła krok w stronę drzwi, chcąc podświadomie znaleźć się jak najdalej od wiszącego ciała.

Marek Walczewski, wuefista, prowadził kursy pierwszej pomocy. W przeciwieństwie do znacznej części grona pedagogicznego, która postanowiła zabawić się we włamywaczy, przebywał w tej chwili dwa piętra niżej, na szkolnym dziedzińcu, racząc się prawdopodobnie zakazanym papierosem. Najmłodszy z obecnych, Marcin Wysocki, posłusznie popędził schodami w dół — podejrzewałem, że wymoczkowaty nauczyciel angielskiego bardziej niż chęcią niesienia pomocy kierował się palącym pragnieniem znalezienia się jak najdalej od zwisającego denata.

Nie miałem wątpliwości, że mężczyzna nie żyje. Umiejętności medyczne naszego wuefisty nie były mu potrzebne — Marek z równie wiadomym skutkiem mógł podjąć się reanimowania tysiącletniej mumii. Dłoń wisielca, której dotknąłem zaraz po wejściu do pomieszczenia, była zimna jak marmur.

— Trzeba go ratować! Odetnijcie go, zróbcie coś. I zadzwońcie na pogotowie! — Kaśka Sulej, nasza polonistka, nawet w tej dramatycznej chwili irytująco przeciągała głoski. Posłałem jej miażdżące spojrzenie, co przyszło mi o tyle łatwiej, że szczerze jej nie znosiłem, ale chyba nawet tego nie zauważyła. Oczy miała wielkie jak spodki, a włosy wysunęły się jej spod opaski i sterczały na wszystkie strony. Wyglądała jak rażona piorunem. Nabrałem już w płuca powietrza, ale ubiegł mnie Karol.

— Nie dotykajcie niczego — powiedział nieco drewnianym, ale dość wyraźnym głosem, szarpiąc przy tym za ramię stojącą jak posąg Kaśkę. — On nie żyje już od przynajmniej kilku godzin. Trzeba zadzwonić, ale nie na pogotowie, tylko na policję.

Powiedział coś, co dla nas wszystkich powinno być oczywiste, ale nazwanie po imieniu tego, co zaszło, wywołało dość żywiołową reakcję. Na wieść o tym, że nasz kolega nie żyje, kilka osób wydało z siebie coś pomiędzy jękiem a krzykiem, wicedyrektorka chwyciła się za głowę i wybiegła na korytarz, matematyk o mały włos nie wyleciał przez uchylone okno, a jeszcze bledsza niż przed sekundą germanistka majestatycznie osunęła się na ziemię. W ostatniej chwili chwyciłem ją w pól, ratując przed rozbiciem głowy.

Zimną krew zachował jedynie Karol. Uczył informatyki i miał na tyle ścisły umysł, że darował sobie okrzyki, załamywanie rąk i omdlenia, tylko zaczął działać. Po chwili usłyszałem, jak połączył się z policją. Położyłem nieprzytomną pannę Miller na stojącej na korytarzu ławce i upewniwszy się, że w pomieszczeniu gospodarczym nie został nikt z żyjących, przymknąłem drzwi, zostawiając jedynie szparę. Widok zwisającego Mateusza za bardzo podnosił mi ciśnienie.

Jego okulary — w tej chwili częściowo zasłonięte przez chwiejącego się na nogach matematyka — wciąż leżały na kamiennym parapecie jedyne w korytarzyku okna. Kilkanaście minut temu znalazł je tu Marcin, wysłany na poddasze po dwa dodatkowe krzesła. Najmłodszy z nauczycieli nie mógł sforsować otwartych zwykle drzwi do gospodarczej kanciapy i udając się na poszukiwanie woźnej, dostrzegł błyskające w ostatnich promieniach słońca szkła. Natychmiast porzucił myśl o krzesłach, tylko o mało nie połamał nóg na schodach i jak wystrzelony z procy wpadł z powrotem do pokoju nauczycielskiego, potracając przy tym w drzwiach korpulentną szkolną bibliotekarkę i burząc panujący w pomieszczeniu senny nastrój, charakterystyczny dla rozpoczynającej się właśnie rady pedagogicznej.

Jego pośpiech nie był niczym niezwykłym. W końcu tajemnicze zniknięcie Mateusza, który uczył geografii, było przez cały dzień głównym tematem korytarzowych plotek. Nie było w szkole nauczyciela, który nie zastanawiałby się, gdzie do cholery mógł się podziać geograf i zarazem szkolny księgowy. I to w dodatku w dzień rady pedagogicznej! Jego telefon nie odpowiadał, a delegacja, wysłana na dłuższej przerwie do jego mieszkania, na próżno się dobijała do zamkniętych drzwi i wróciła bez żadnej wiadomości.

Myśląc o tym wszystkim, nie zwróciłem uwagi, że u szczytu prowadzących na niższe piętra schodów pojawiła się jeszcze jedna postać.

— Co tu się dzieje? — zapytał dyrektor, wciąż ściskający w rękę łyżeczkę, którą przed minutą mieszał herbatę. Na jego wysokim czole perlił się pot.

— Panie Tomaszu, niech mnie pan przepuści. Nie wierzę...  
— chciał złapać za klamkę, ale go ubiegłem i przytrzymałem drzwi.

— Już za późno, panie dyrektorze — powiedziałem. — Już nikt mu nie pomoże. Zamknąłem, żebyśmy niechcący nie zatarli śladów  
— dodałem, gdy wciąż się przepychał.

Zamrugnął oczami i przez chwilę zastanawiał się, czy mnie zganić, czy też pochwalić. W końcu nie zdecydował się ani na jedno, ani na drugie.

— A więc to prawda — wydyszał i zastygł bez ruchu.

Dyrektor nie należał do wielkoludów, ale odniosłem wrażenie, że gdy zrozumiał, co się stało, jakby jeszcze bardziej zmałał. Spojrzałem mu w oczy, znajdujące się teraz na tym samym poziomie, co moje, bo sam nie grzeszyłem wzrostem. Wręcz przeciwnie. Byłem niższy od znacznej części uczniów.

— Policja jest już w drodze — powiedziałem zdawkowo, bo nie miałem w tym momencie ochoty na pogawędkę. Chciałem się odwrócić, ale chwycił mnie za ramię.

— Panie Tomku, ale dlaczego? — zapytał, wpatrując się we mnie jak w wyrocznie. — Przecież byliście przyjaciółmi... Dlaczego odebrał sobie życie?

Aż zamrugnąłem oczami.

— Jak to „odebrał sobie życie”? — w moim głosie zabrzmiały z pewnością nutki kielkującego oburzenia, ale i tak dominowało w nim zdziwienie. — Mateusz nigdy by tego nie zrobił! — powiedziałem stanowczo, gdyż naprawdę tak czułem, a myśl o jego samobójstwie ani na chwilę nie przemknęła mi przez głowę.

— Przecież wisi — powiedział dyrektor, wskazując palcem na przymknięte drzwi i patrząc na mnie ze zdziwieniem. A potem, korzystając z mojego zaskoczenia, zapuścił żurawia przez szparę.

— Wisi i na pewno nie żyje — dodał, oblizując wargi z emocji. Szok objawił się u niego uczuciem makabrycznej fascynacji. — Głowę ma odchylną pod takim kątem, że na pewno ma złamany kark... — urwał na chwilę. — Pan myśli... Pan myśli, że ktoś mu... pomógł?

— Popatrzył na mnie tak, jakby zobaczył ducha.

— Ja nic nie myślę — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Zaprzagnąłem znaleźć się jak najdalej od wścibskiego i męczącego dyrektora. Na szczęście na schodach zadudniły kroki i po chwili pojawił się na nich wuefista z przewieszoną przez ramię apteczką. Zobaczywszy tłum półprzytomnych z emocji osób, wykrzywił twarz w grymasie gniewu.

— Proszę natychmiast opuścić pomieszczenie! — ryknął i potoczył wokół groźnym spojrzeniem. — Jak mam pomóc, skoro tutaj nie da się oddychać?! Zaraz wszyscy tu pomdlejecie!

Jego bas w połączeniu z atletyczną sylwetką zrobiły swoje. Pracownicy szkoły drżącą falą ruszyli ku schodom i zaczęli spływać na drugie piętro. W awangardzie ruszył dyrektor. Odczekałem, aż oddali się ode mnie na bezpieczną odległość, i ruszyłem w jego ślady, ale zanim dotarłem na półpiętro, na moje ramię opadła ciężka łapa.

— Ty zostań — rozkazał mi wuefista, zatrzymując równocześnie Karola. — Gdzie jest...

— Już za późno, Marek — przerwałem mu, otwierając na oścież drzwi do kanciapy. — Nie jestem lekarzem, ale umiem rozpoznać trupa. Jest zimny i sztywny — dodałem niepotrzebnie, bo wuefista już dotykał lewej dłoni denata w beznadziejnej próbie odszukania pulsu.

Zamilkłem i wpatrywałem się w niego z napięciem, oczekując oczywistego werdyktu. Zanim jednak Marek zdążył się odezwać, powietrzem wstrząsnęły dwa zaskakujące dźwięki: odgłos rozbijanej butelki i stek głośnych przekleństw.

— Przepraszam, panowie — powiedział Karol, gdy już skończył przeklinać. — Skąd tu tyle tego szkła? — Powiódł wzrokiem po podłodze pomieszczenia, a ja poszedłem w jego ślady. Rzeczywiście, na podłodze, w trupim świetle pojedynczej żarówki skrzyło się szkło pochodzące z rozbitej butelki. A raczej z kilku butelek. — Ja kopnąłem tylko tę. — Sprawca zamieszania wskazał na kilka okruchów w rogu

pomieszczenia. — Te były stłuczone już wcześniej.

— Nie dotykajmy niczego. — Marek zdjął swoją dłoń z ręki wisielca i pokręcił ponuro głową, bez słów dając nam znać, że mieliśmy rację co do stanu naszego kolegi. — Teraz niech wykaże się policja. Chyba jadą — stwierdził, a ja pokiwałem głową. Gdzieś w tle zaczęły pobrzmiwać dźwięki policyjnej syreny.

Gdy wychodziliśmy, zwróciłem uwagę na dwie butelki, które nie zostały rozbite. Na obu naklejone były etykiety jakiegoś regionalnego piwa.

Pod szkołę przyjechały dwa radiowozy na sygnale, zatrzymując się z piskiem opon pod samymi wejściowymi drzwiami. Tak brawurowe przybycie stróżów prawa w każdym innym punkcie miasteczka ściągnęłoby z pewnością tłumy gapiów, ale na szczęście nasze liceum położone było nieco na uboczu, wśród parków, nieużytków i z rzadka rozsianej zabudowy jednorodzinnej. W przeciwieństwie do policji karetka pogotowia przyjechała po cichu i przycupnęła nieśmiało przy płocie oddzielającym teren szkoły od ogródków działkowych. Ratownicy medyczni spędzili na poddaszu niecałą minutę, a potem wrócili do karetki i zaczęli bawić się telefonami komórkowymi. Zanosilo się na długie czekanie.

Policjantów było łącznie pięcioro. Jeden z nich został przy radiowozach i przez większość czasu mówił coś przez radio, drugi zagnał wszystkich do pokoju nauczycielskiego i pilnował jak cerber, a pozostała trójka — dwóch wężaczy i jedna dość młoda kobieta — poszła do denata. Na polecenie cerbera po kilkunastu minutach dołączyłem do nich wraz z Karolem.

— Kto go znalazł? — zapytał jeden z wężatych policjantów, ten z większym brzuchem, gdy znaleźliśmy się w pomieszczeniu, w którym wciąż wisiał Mateusz.

— Nie zdejmujecie go? — wzdrygnął się Karol, wskazując na bezwładne ciało pod sufitem.

— Dopiero gdy przybędą technicy — odparł krótko drugi z gliniarzy i wpatrzył się w nas pytającym wzrokiem, czekając na odpowiedź. Zerknąłem na Karola, a on skinął głową.

— Było nas kilkoro — powiedział po chwili, licząc coś na palcach.

— Łącznie siedem... Nie, nie siedem. Osiem osób.

— Nazwiska — warknął policjant z brzuchem. Wyglądał na zmęczonego i chciał zmierzać prosto do celu.

Wspólnie z Karolem wymieniliśmy nazwiska ośmiu osób, które brały udział we włamaniu do kanciapy. Oprócz nas, czyli nauczycieli historii i informatyki, byli jeszcze matematyk, germanistka, polonistka, anglista, woźna i wicedyrektorka. Szczuplejszy policjant nagrał tę wyliczankę na dyktafon i zainteresował się nietypowymi umiejętnościami matematyka.

— Podobno dorastał w wiejskiej dzielnicy — tłumaczył Karol, zaniepokojony kierunkiem, w jakim zmierzała rozmowa. Nie chciał zaszkodzić panu Leopoldowi, z którym łączyły go więzy jeśli nie przyjaźni, to przynajmniej bliskiego koleżeństwa. — Wychowywał się na warszawskiej Pradze, a w latach powojennych pewnie każdy chłopak stamtąd umiał posługiwać się wytrychem.

Policjanci pokiwali sceptycznie głowami i kazali nam wrócić do pokoju nauczycielskiego. Na moje pytanie, ile czasu będziemy musieli tam czekać, tylko wzruszyli ramionami. Marzyłem o tym, by wrócić do domu i odprężyć się pod ciepłym prysznicem, ale zdawałem sobie sprawę, że na razie jest to marzenie ściętej głowy. W ponurym nastroju powlokłem się na swoje miejsce przy oknie, usiadłem na krześle i wpatrzyłem się w politurowany blat stolika. Przez moją głowę galopowały tysiące myśli.

Mateusza poznałem mniej więcej sześć lat temu, gdy ściskając w rękę jeszcze ciepły dyplom magistra historii, przyszedłem do szkoły na pierwszą w życiu rozmowę o pracę. Przepytował mnie na równi z dyrektorem, robiąc przy tym wrażenie złośliwca, ale gdy po ponad godzinie lekko spocony opuściłem gmach liceum, dogonił mnie i miło ze mną pogawędził, w prostych, żołnierskich słowach informując o plusach i minusach pracy w zawodzie nauczyciela.

W opinii naszej sekretarki to dzięki niemu dostałem pracę w szkole. Według tego, co powiedziała mi podczas imprezy z okazji zakończenia ostatniego roku szkolnego, wypiwszy wcześniej blisko pół litra smakowej wódki, dyrektor bezpośrednio po rozmowie kwalifikacyjnej nie był do mnie ponoć do końca przekonany. Miał

wątpić, czy tak młody chłopak, pochodzący w dodatku z niewielkiej miejscowości, zaadaptuje się do życia w warszawskiej aglomeracji i poradzi sobie z wyzwaniem, które niosła ze sobą praca z rozpieszczonymi nastolatkami. Decyzja o moim zatrudnieniu została podjęta dopiero wtedy, gdy Mateusz obiecał, że zostanie moim mentorem. Chociaż zżymałem się w duchu na odsłonięte przez nią kulisy mojego zatrudnienia, musiałem obiektywnie przyznać, że bez niego byłoby mi ciężko.

Pochodziłem z niewielkiej miejscowości na Podlasiu i mój pierwszy kontakt z niektórymi reprezentantami podwarszawskiej młodzieży przyprawił mnie o szok niemal porównywalny z tym, co czułem teraz. Nie chciało pomieścić mi się w głowie, że można być aż tak niegrzecznym i chamskim: w wieku osiemnastu lat pluć na sufit, rzucać w nauczyciela kredą i podczas rozmowy z nim kłąć jak szewc, nie wspominając już o nagminnym stosowaniu wszelkich dostępnych używek. I kto wie, czy gdyby nie Mateusz, to po kilku tygodniach nie rzuciłbym tego wszystkiego w diabły albo — co gorsza — nie wdał się z jakimś bezczelnym nastolatkiem w pojedynek na pięści. I posłał go do szpitala, bo mimo nikczemnego wzrostu jestem silny i wysportowany. Na szczęście we wszystkich tych chwilach, w których trafiał mnie szlag i chciałem zrobić coś głupiego, był zawsze u mojego boku. Zabierał mnie na duże piwo, opowiadał kilkanaście starych dowcipów i — jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki — odnajdywałem w sobie energię, by następnego dnia znów zająć swoje miejsce przy tablicy. Tak było przez przynajmniej pierwsze kilka miesięcy.

Mówią, że człowiek jest w stanie przyzwyczać się do wszystkiego — i chyba rzeczywiście coś w tym jest. Wraz z upływem czasu czułem się w szkole coraz pewniej i nie potrzebowałem już pomocy, ale bliska znajomość z Mateuszem przetrwała. Nigdy mi nie przeszkadzało, że jest ode mnie o dobre dziesięć lat starszy i żyje zupełnie innym życiem, z rodziną, z małymi dziećmi. Chociaż z biegiem lat zacząłem spędzać więcej czasu ze swoimi rówieśnikami, Karolem i Markiem, to z geografem zawsze miałem dość bliski kontakt. Wszystko rozluźniło się dopiero w ostatnich miesiącach...

Z zamyślenia wyrwało mnie delikatne chrząknięcie. Podniosłem

głowę i popatrzyłem na pochylającego się nade mną matematyka. Specjalista od wytrycha minę miał dość niewyraźną, ale wbrew moim przewidywaniom jego kiepski nastrój nie wynikał z zainteresowania policji jego złodziejskimi umiejętnościami.

— Straszna tragedia, panie Tomku — zaczął, siadając obok mnie na wolnym krześle. — Koszmarna. Jeszcze wczoraj z nim rozmawiałem, tak jak teraz z panem. Po prostu nie mogę w to uwierzyć...

Pokiwałem ze smutkiem głową. Też trudno mi było wyjść z szoku, ale nie odczuwałem potrzeby gadania o swoich uczuciach. Najchętniej odwróciłbym się od niego plecami, ale nie wypadało — pan Leopold był naszym szkolnym nestorem i Bogiem a prawdą raczej go lubiłem. Nie miałem jednak ochoty roztrząsać czegoś, co jest oczywiste, przelewać z pustego w próżne. Rzuciłem coś zdawkowo, co zabrzmiało jak chrząknięcie, mając nadzieję, że matematyk znajdzie sobie kogoś, dla kogo wysłuchanie jego przemyśleń będzie mniejszą katorgą niż dla mnie. Z nadzieją rozejrzałem się dookoła, ale w sąsiedztwie mojego stolika przebywała jedynie korpulentna woźna. Staruszek wolał rozmawiać ze mną.

— Uczył w tej szkole od dwudziestu lat — ciągnął, wpatrując się to we mnie, to w swoje drżące, rozpostarte na blacie stolika dłonie.

— A znaliśmy się jeszcze dłużej. Prawdziwy pasjonat. Dziś już nie ma takich nauczycieli. — Zabrzmiało to jak truizm, ale chyba rzeczywiście tak było. Sam także uważałem się za pasjonata, chociaż upływający czas trochę stępił ostrze mego zapалу. — Pamiętam, jak kiedyś...

— rozpoczął długą i zagmatwaną opowieść o jakimś szkoleniu organizowanym w latach dziewięćdziesiątych przez Ministerstwo Edukacji Narodowej. Jej głównym bohaterem był oczywiście Mateusz. Słuchałem jednym uchem, rozglądając się ukradkiem po pokoju nauczycielskim i zastanawiając się, jak możliwie najuprzejmiej spławić natręta.

Większość grona pedagogicznego stłoczyła się wokół policjanta i zasypywała go pytaniami. Moi koledzy i koleżanki wydawali się niezrażeni tym, że odpowiadał im zdawkowo i od czasu do czasu głośno ziewał. Zadziałał typowy schemat psychologii tłumu — przestraszeni i wytrąceni z równowagi nauczyciele usiłowali otrząsnąć się z szoku



poprzez aktywną interakcję z innymi. Kakofonia dźwięków boleśnie raziła uszy — mówili niemal wszyscy, przekrzykując się wzajemnie lekko rozhisteryzowanymi głosami. Atmosfera przywodziła na myśl średniowieczny jarmark.

— ...co pan myśli? — dobiegło mnie wśród wszechobecnego harmidru. Mój rozmówca zamilkł, z czego się domyśliłem, że oczekuje odpowiedzi.

— Tak, tak, panie Leopoldzie — odpowiedziałem machinalnie, przypatrując się dyrektorowi, który usiłował zaprowadzić wśród swoich podwładnych nieco porządku, zupełnie zresztą bezskutecznie.

— Ale dlaczego? — drążył staruszek, a ja popatrzyłem na niego z udawanym skupieniem. Nie miałem pojęcia, czego może ode mnie chcieć. — Dlaczego postanowił odebrać sobie życie? Czy dostrzegął pan, że dzieje się coś złego? A może coś panu mówił? Zwierzał się? Wiem, że byliście ze sobą blisko.

— Jak to „odebrać sobie życie”? — spytałem po raz drugi w przeciągu tej samej godziny. Tym razem nawet się nie zezłościłem. Zacząłem przyzwyczajać się do tego, że wszyscy traktują śmierć Mateusza jako samobójstwo. W zasadzie mojemu przyjacielowi nie powinno to już sprawiać żadnej różnicy.

— No, tak się zastanawiam tylko... — przeciągał litery matematyk i zdałem sobie sprawę, że nasza rozmowa przestała być dla niego zwykłą, kurtuazyjną pogawędką, pozwalającą zabić czas i nieco się rozluźnić. Był teraz w pełni skoncentrowany, a nawet, co dostrzegłem ze zdumieniem, nieco przestraszony. Jego dłonie wciąż drżały i nie było to drżenie charakterystyczne dla starszego wieku. Wyglądał jak matuzalem, ale kiedy grzebał wytrychem w zamku, ręce nie drgnęły mu nawet o milimetr. — Czy coś panu mówił... o zdarzeniach, do których doszło przed laty... na pewnych koloniach? — Jego głos przeszedł w szept.

— Nie, pierwsze słyszę. O jakich zdarzeniach?

Niespodziewanie przyłożył mi rękę do ust.

— Nie tak głośno — wyszeptał spięty. — Jeżeli nie słyszał pan tej historii, to nie ma o czym mówić. Stara sprawa... — Niespodziewanie uśmiechnął się, pokazując wyraźne braki w uzębieniu. A potem wstał, zamierzając najwyraźniej się oddalić.

Nie zdążyłem jednak nawet podziękować losowi za chwilę spokoju, gdy w stronę mojego stolika żwawym krokiem skierowała się nasza wicedyrektorka. Najwyraźniej doszła już do siebie po widoku wiszących pod sufitem zwłok, bo na jej twarz wróciły zwykle, purpurowe rumieńce, a wraz z nimi — niezdrowa ekscytacja. Klaudyna Marciniak była istnym wampirem energetycznym.

— Pan zaczeka, panie Leopoldzie — chwyciła matematyka za łokieć i pociągnęła go ku miejscu, na którym siedziałem. — Panowie — obrzuciła nas nieco jadowitym spojrzeniem i odchrząknęła groźnie — musimy pogadać.

Czasy, w których jej arsenał marsowych min robił na mnie jakiegokolwiek wrażenie, minęły bezpowrotnie. Już kilka lat temu zrozumiałem, że agresją kompensuje brak pewności siebie. Stanowiła modelowy przykład kompleksów dotyczących niezamężne kobiety, które właśnie przekroczyły pięćdziesiątkę. Stary nauczyciel spojrzął na nią wzrokiem, w którym ledwie tłąca się ciekawość mieszała się ze znudzeniem. Po jego chwilowym zdenerwowaniu (a może nawet strachu?) nie pozostało nawet wspomnienie. Miał wyraźną ochotę odejść, ale wciąż trzymała go za łokieć.

— W czym możemy pomóc? — zapytał wreszcie nieco zrezygnowanym tonem.

Wicedyrektorka nie bawiła się w kwieciste wstępy, tylko od razu przeszła do rzeczy.

— Uzgodniliśmy z panem dyrektorem, że dzisiejsze wydarzenia nie mogą się wydostać na zewnątrz — stwierdziła stanowczo.

— Okoliczności śmierci pana Mateusza są... powiedzmy... tajemnicze... i ich upublicznienie nie przyniosłoby szkole nic dobrego. Zresztą zgodzicie się, panowie, że tak naprawdę nie wiemy jeszcze, co tam się stało. Informowanie uczniów o okolicznościach śmierci ich nauczyciela uważamy za przynajmniej przedwczesne. Wyobrażacie sobie, panowie, jaki byłby to wstrząs dla ich delikatnej psychiki?

Pierwszy raz od momentu, w którym ujrzałem ciało Mateusza, zachciało mi się śmiać. Z dużym trudem powstrzymałem rodzący mi się w gardle chichot, który — przyznajmy — byłby w tych okolicznościach zupełnie nie na miejscu. Moje rozbawienie wywołało odwołanie się

wicedyrektorki do delikatności naszych podopiecznych. Owszem, zdarzały się w uczniowskich ławkach wrażliwe jednostki, ale jednak w przeważającej większości osiemnastolatkwie mieli dużo silniejszą psychikę od dorosłych.

— To niemożliwe — odezwał się tymczasem matematyk. — Nie będziemy w stanie tego ukryć przed uczniami. Przecież będzie pogrzeb... Pół miasta będzie mówiło tylko o tym.

— Gazety — dodałem, kręcąc głową. I nie miałem na myśli ogólnopolskich dzienników, których nie zainteresowałaby pewnie tragedia zwykłego nauczyciela geografii. W naszym mieście dobrze rozwinięta była lokalna prasa — o uwagę kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców rywalizowały dwa tytuły. Można było mieć pewność, że zatrudnieni w nich reporterzy na pewno potraktują temat zagadkowej śmierci w szkole jako lokalną sensację godną pierwszej strony.

— Dziennikarze zawsze znajdą sposób, by wszystkiego się dowiedzieć. Jutro nasze liceum będzie na ustach całego Legionowa.

Nasz zgodny dwugłos sprawił, że czoło wicedyrektorki przecięła pojedyncza bruzda.

— Jasiek mówił to samo — westchnęła, a zdrobnienie imienia naszego wspólnego przełożonego świadczyło o tym, że jest poruszona. Zwykle tytułowała go „panem dyrektorem” albo przynajmniej „dyrektorem Hołownią”. Do Jana Hołowni określenie „Jasiek” pasowało jak „misiaczek” do krokodyla.

Trwaliśmy przez chwilę w milczeniu, każde z nas pogrążone w swoich niewesołych myślach. W pewnym momencie drzwi do pokoju nauczycielskiego otworzyły się i do środka weszła policjantka, którą przez moment widziałem na poddaszu. Wcześniej chyba musiała zdjąć czapkę, bo wyglądała teraz zupełnie inaczej. Aż zamrugałem oczami, bo nigdy wcześniej nie widziałem tak intensywnie rudych włosów. „Ale marchewka” — określiłem ją w myślach.

„Marchewka” zamieniła kilka słów ze znudzonym policjantem i odwróciła się twarzą w kierunku nauczycieli. Spodziewałem się miliona piegów, ale dostrzegłem jedynie kilka, ulokowanych w okolicy niewielkiego, lekko zadartego nosa. Już w momencie, gdy pojawiła się w drzwiach, rozmowy przycichły, a teraz, gdy uniosła dłoń, wokół

zaległa cisza, jakiej nasz pokój nauczycielski pewnie jeszcze nie doświadczył.

— Proszę państwa — odezwała się miłym głosem. — Prosimy o jeszcze odrobinę cierpliwości. Ciało zmarłego zostało już zabrane do kostnicy, ale musimy państwa jeszcze trochę potrzymać. Chcemy od razu spisać państwa zeznania — przerwała, by zaczerpnąć tchu.

— Będziemy zapraszać kolejne osoby do sąsiedniej klasy

— kontynuowała. — Po spisaniu protokołu będziecie państwo wolni.

Zgoda? — zapytała retorycznie i skierowała się w stronę naszego

pryncypała. — Panie dyrektorze — usłyszałem. — Proszę przygotować nam listę obecnych w tej chwili pracowników szkoły.

Dyrektor pobiegł do swojego gabinetu i wrócił po chwili z kilkoma egzemplarzami listy zatrudnionych. Pochylił się nad najbliższym stolikiem, a w ręce zmaterializowało mu się eleganckie pióro.

— To wykaz wszystkich pracowników — poinformował policjantkę, nie podnosząc wzroku. — Wykreślę tylko nieobecnych...

— Niech pan ich nie wykreśla, tylko podkreśli — przerwała mu w pół zdania. — Ci, których tu dziś nie ma, też nas interesują — dodała zagadkowo i wyszła, zabierając ze sobą troje pierwszych na liście.

Lista sporządzona była w porządku alfabetycznym, a jako że moje nazwisko zaczyna się na literę „Z”, miałem jeszcze sporo czasu. Rozejrzałem się wokół siebie, zastanawiając się, kto nie pojawił się dzisiaj na radzie. Pobieżna obserwacja członków szacownego grona pedagogicznego, znajdujących się obecnie w różnych stadiach przygnębienia, doprowadziła mnie do konkluzji, że oprócz Mateusza, którego nieobecność była ze wszech miar usprawiedliwiona, w szkole nie pojawiła się jeszcze dwójka nauczycieli: druga z naszych polonistek, Marta Sobierajska, oraz Andrzej Masternak — fizyk, wiecznie zaaferowany mężczyzna w średnim wieku.

Nie znałem powodów ich nieobecności. Przez chwilę zastanawiałem się, czy do nich nie zadzwonić, ale porzuciłem tę myśl, gdy zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie nie mam w komórce ich numerów. Polonistka była co prawda pewnie gdzieś w moim wieku, ale nie zamieniłem z nią dotąd więcej niż kilka kurtuazyjnych zdań.

Z fizykiem też nie utrzymywałem bliższych kontaktów. Nie byłem

zresztą wyjątkiem — zarówno ona, jak i on byli raczej wyobcowani i nie uczestniczyli w towarzyskim życiu szkoły.

Zerknąłem na wiszący nad drzwiami zegar i westchnąłem ponuro. Była już prawie dwudziesta, a na swoją kolej przesłuchania czekało jeszcze kilkanaście osób. Co prawda spisywanie protokołów nie trwało długo, ale oceniałem, że nie uda mi się stąd wydostać przed dwudziestą drugą. Przytłoczony bezczynnością nie mogłem się dłużej powstrzymać. Moje myśli pobiegły w stronę zmarłego Mateusza i po chwili z trudem powstrzymywałem napływające mi do oczu łzy.

Ludzie różnie reagują na śmierć bliskiej osoby. Jedni dostają ataków paniki, inni zamykają się w sobie, a jeszcze inni od razu godzą się z losem, przyjmując spadający cios z fatalistycznym spokojem. Ja nie zaliczałem się do żadnej z tych grup. Śmierć Mateusza wyzwoliła we mnie mnóstwo energii, ale — co istotne — energii, którą byłem w stanie kontrolować i która nie miała nic wspólnego z napadami złości czy hysterii. Chciałem coś zrobić, tylko że sam nie wiedziałem, co...

Z braku innych pomysłów zacząłem się zastanawiać, dlaczego stało się to, co się stało. Wytężyłem umysł i próbowałem sobie przypomnieć swoje ostatnie rozmowy z Mateuszem. Materiału do przemyśleń miałem sporo, bo po pierwsze, rozmawialiśmy często i długo, a po drugie, życie geografa miało w ostatnim czasie kilka ostrych zakrętów. Jednego byłem pewien: to nie mogło być samobójstwo. Mateusz, jakiego znałem, nigdy nie zdecydowałby się na odebranie sobie życia. Ale skoro nie samobójstwo, to co? Przecież ludzie nie wieszają się na zwisającym z sufitu sznurze ot tak, przez przypadek. Skoro nie samobójstwo, to...

W innych okolicznościach doszedłbym do tej przerażającej konkluzji dużo wcześniej, ale wciąż byłem w szoku. To, że Mateusz został zamordowany, dotarło do mnie dopiero teraz. Gdy oswajałem się z tą myślą, po kręgosłupie tańczyły mi zimne ciarki.

W pewnym momencie bezwiednie wstałem i zacząłem krążyć po pokoju. Gdy przechodziłem obok okna, usłyszałem miękki kobiecy głos: — Dobrze się czujesz, Tomku? — spytała mnie Wiesława Matusiak, wiekowa nauczycielka matematyki. — Wyglądasz na bardzo zdenerwowanego.

Nie wiem, jak wyglądałem, ale nie czułem zdenerwowania, chociaż

fakt, że nie mogłem usiedzieć na miejscu, zdawał się na to wskazywać. Fizycznie miałem się świetnie, czego nikt nigdy nie powiedziałby o pani Wiesławie. Według niewybrednego uczniowskiego żartu szkolni matematycy — ona i pan Leopold — mieli razem ponad sto pięćdziesiąt lat. A może to wcale nie był żart? Przygięta sylwetka i wyblakłe oczy kobiety wskazywały, że czas, kiedy powinna przejść na emeryturę, mógł upłynąć jeszcze w Peerelu.

— Wszystko w porządku, pani Wiesławo — odpowiedziałem i posłałem jej usprawiedliwiony okolicznościami, smutny uśmiech. Chciałem ją wyminąć, ale zastąpiła mi drogę. Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć tego fenomenu: starsze panie po prostu mnie uwielbiały. Niestety, nie miało to na ogół przełożenia na uczucia ich córek i wnuczek... — Naprawdę nic mi nie jest. Jakoś sobie radzę — dodałem, ale najwyraźniej nie uwierzyła.

— Taka tragedia — westchnęła i nieco teatralnie otarła oko.  
— A z ciebie taki wrażliwy chłopak. Trudno ci w to wszystko uwierzyć, prawda?

— Tak, trudno — kiwnąłem głową, błędząc myślami daleko stąd.  
— Czterdzieści kilka lat to nie jest przecież wiek na umieranie, prawda?

Pokiwała energicznie głową. Kiedy ona miała czterdzieści kilka lat, ja byłem pewnie dopiero niemowlęciem.

— Pamiętam, jak zaczynał pracę. Podobnie jak ty przyszedł tutaj od razu po studiach. Na początku był kompletnie zagubiony. Wiesz, że przyjaźnił się wtedy z Leopoldem?

— Tak? — udałem zainteresowanie. — Pan Leopold nawet coś wspominał. Coś ich łączyło, jakieś wydarzenie, o którym nie chciałem mówić... — rzuciłem na odczepnego, przypominając sobie słowa matematyka sprzed kilku minut.

Miałem nadzieję, że pani Wiesława nie będzie miała bladego pojęcia, o co chodzi, i w konsekwencji da mi spokój. Ale w oczach starej nauczycielki zamigotał cień jakiegoś wspomnienia.

— To smutna historia — zamyśliła się na moment. — Przez pewien czas jeździli razem jako wychowawcy na kolonie. Podczas jednego z wyjazdów zmarł uczeń. To była wtedy głośna sprawa, a ich kolega trafił nawet na pewien czas do więzienia. Wiem, że Leopold

długo się tym gryzł i od tamtego czasu przestał sobie dorabiać jako wychowawca kolonijny. Zresztą — jej i tak już pomarszczone czoło przecięła głęboka bruzda — Mateusz też już więcej nie wyjeżdżał. Nigdy nie chcieli rozmawiać, co się tam wydarzyło, ale myślę, że o to chodziło Leopoldowi. Ta tragedia w pewien sposób ich połączyła, chociaż paradoksalnie bardzo się wtedy od siebie oddalili. Czy widziałeś, by kiedykolwiek ze sobą rozmawiali? — Jej blade oczy popatrzyły na mnie pytająco.

— Chyba nie — odparłem po dłuższym zastanowieniu. Nie mogłem sobie też przypomnieć, byśmy kiedykolwiek rozmawiali o starym matematyku albo o wypadku na koloniach. A wydawało mi się, że wiedziałem o nim wszystko.

— Ta szkoła jest pełna tajemnic — powiedziała z zagadkowym uśmiechem staruszka, jakby czytając w moich myślach. — Czy wiesz na przykład, że przed Mateuszem geografii uczył tu brat naszego dyrektora?

— Coś słyszałem — przypominałem sobie z trudem.

Wpatrywała się we mnie tak intensywnie, że znów przeszły mnie ciarki. Zawsze kojarzyła mi się ze starą Cyganką, która jest w stanie dostrzec to, co umyka uwadze zwykłych śmiertelników. Gdyby reżyser chciał ją obsadzić w roli czarownicy, jego film musiałby być wyświetlany po dwudziestej trzeciej.

— Kiedy został dyrektorem, zrezygnował z nauczania i zatrudnił na swoje miejsce Mateusza. Ale niedługo później źle skończył. To była smutna historia. Wiesz, gdzie przebywa teraz brat dyrektora? — spytała cichym głosem.

— W więzieniu? — zapytałem z głupia frant.

Pokręciła powoli głową.

— Na cmentarzu — wyszeptała i wywróciła oczami, pokazując na moment przekrwione białka.

Odruchowo cofnąłem się o krok. Zupełnie mnie zaskoczyła.

— Pani Wiesławo — powiedziałem z wyrzutem, gdy moje tętno spadło poniżej stu dwudziestu uderzeń na minutę. — Ja rozumiem, że uwielbia pani horrory, ale żeby tak straszyć naiwnego chłopaka...

— Usiłowałem zażartować, ale w obliczu śmierci Mateusza moje poczucie humoru było ograniczone. Pani Wiesława słynęła

z makabrycznej fantazji, a ja byłem zwykle ulubioną ofiarą jej dowcipów. Podobno łatwo było mnie nastraszyć.

Ale tym razem nie roześmiała się tym swoim żabim rechotem.

— Tomku, ja nie chciałam... — powiedziała powoli i urwała, wpatrując się w punkt położony gdzieś za moimi plecami.

Odwrociłem się na pięcie, ale za mną nie było nic oprócz pomalowanej lamperią ściany. Matematyczka milczała jak zakłeta.

— Pani Wiesławo, czy dobrze się pani czuje?

Staruszka nie odpowiedziała. Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że zbladła jak kreda i lekko się chwiała. Zacząłem szukać wzrokiem wuefisty-ratownika, ale jak na złość nigdzie go nie było. Już chciałem zaalarmować pozostałych nauczycieli, gdy powstrzymała mnie uniesieniem ręki.

— Wszystko w porządku — odezwała się słabym głosem i odetchnęła ciężko niczym miech kowalski. Uchyliłem okno. Przez chwilę zaciągała się niczym nałogowy palacz ciepłym, majowym powietrzem i na jej policzki stopniowo zaczęły wracać naturalne kolory.

— Po prostu za dużo emocji — wydyszała. — Patrz, a ja niepokoiłam się o ciebie. Jednak starość nie radość... — westchnęła, a ja nieco się odprężyłem, gdyż nie zanosilo się już na to, że zaraz padnie bez życia.

— A młodość nie wieczność — uśmiechnąłem się i podsunąłem jej krzesło, sam siadając na sąsiednim.

Siedzieliśmy tak obok siebie aż do momentu, w którym dyrektor wyczytał jej nazwisko. Gdy wolno drobiąc nogami, udała się na przesłuchanie, ja z powrotem oddałem się myślom o Mateuszu. Tym razem jednak nie zastanawiałem się nad przyczynami jego śmierci. Chwilowe osłabnięcie matematyczki sprawiło, że pograżyłem się w głębokiej zadumie nad ulotnością ludzkiego życia. To istny temat rzeka — minuty i kwadransy mijały niepostrzeżenie i nagle się zorientowałem, że pozostałem w pokoju nauczycielskim zupełnie sam.

Lubiłem samotność, ale nie dane mi było cieszyć się nią zbyt długo. Wieczorną ciszę przeciął nagle dzwonek telefonu, a potem głos mojego kolegi Karola.

— Jeszcze cię nie poprosili? — dziwił się informatyk. — Nie przejmuj się, to wszystko nie trwało więcej niż pięć minut. Wzięli ode



mnie dowód, spytali, kiedy ostatnio go widziałem i czy domyślam się, co mogło się stać. A potem kazali pójść do domu. Halo! Jesteś tam?

Nie odpowiedziałem, tylko nacisnąłem czerwoną słuchawkę. Przerwałem połączenie, bo w drzwiach do pokoju nauczycielskiego pojawiła się rudowłosa policjantka.

— Panie Tomku, zapraszam — powiedziała nieco zmęczonym głosem. Podszedłem do niej i stwierdziłem, że z bliska wygląda bardziej na trzydziestolatkę, a nie na dziewczynę świeżo po szkole policyjnej.

— Podkomisarz Kamila Dębska — przedstawiła się, dygając wdzięcznie. Wbrew swojemu ponuremu nastrojowi uśmiechnąłem się nieznacznie, bo nigdy wcześniej nie widziałem dygającej policjantki.

— Dobry wieczór — podałem jej rękę i lekko się skłoniłem. Była naprawdę ładna.

Podążyliśmy ciemnym korytarzem, na którego tle rysował się rozświetlony prostokąt drzwi do jednej z klas. Na ostatnie dwie godziny zmieniła się ona w pokój przesłuchań. To był chyba pierwszy przypadek w historii tej szkoły, że „przesłuchiwanie” byli nie uczniowie, lecz nauczyciele.

Szedłem w milczeniu, usiłując zamaskować coraz silniejsze rozdygotanie. Do rozchwiania emocjonalnego związanego ze śmiercią przyjaciela dołączyło teraz zdenerwowanie — chyba nikt nie lubi kontaktów z policją. Dziewczyna, którą w myślach nazwałem „Marchewką”, chyba wyczuła mój nastrój i próbowała mnie trochę uspokoić.

— Fajnie znowu znaleźć się w szkole — zagadnęła w połowie korytarza. — Szkoda tylko, że w takich okolicznościach.

Byłem nieco zaskoczony.

— Chodziła pani do tego liceum?

— Tak. — Domyśliłem się, że kiwnęła głową.

— Przeprowadziliśmy się tutaj z rodziną, jak miałam trzynaście lat. Mieszkałam dosłownie o dwie ulice stąd. Uwielbiałam ten okres.

— To jak podróż sentymentalna. Wokół pewnie same znajome twarze, prawda?

— Pana tu nie było, ale tak w ogóle to ciągle mam wrażenie, że czas stanął w miejscu. Większość osób, które przesłuchiwałam, kilka lat

temu mnie uczyła. Strasznie głupie uczucie. No i pan Mateusz... Taki fajny facet. — Ze zdumieniem usłyszałem, że mówi przez ściśnięte gardło, jakby powstrzymując płacz. Gdy zbliżyliśmy się do źródła światła, dostrzegłem w jej oczach ślady łez.

— Proszę bardzo — sięgnąłem do kieszeni i podałem jej opakowanie jednorazowych chusteczek. Zdałem sobie sprawę, że już się nie denerwuję.

— Dziękuję — powiedziała i natychmiast je otworzyła. — Niech pan wejdzie do klasy, kolega pana przesłucha. Ja tutaj jeszcze chwilę zostanę.

Próbowała trzymać fason, ale nie bardzo jej to wychodziło. Podobało mi się, że mimo wymagającej pracy nie zamieniła się w zimnego robota.

— Niech się pani nie przejmuj. Też mam ochotę się rozplakać — rzuciłem na pożegnanie i posłałem jej ostatnie, współczujące spojrzenie. A potem wszedłem do klasy, mrużąc oczy w intensywnym świetle i rozglądając się z zaciekawieniem.

Przy czterech ławkach siedzieli policjanci. Każdy z nich miał niewielki przenośny komputer. Oprócz nich w pomieszczeniu nie było nikogo innego — prawdopodobnie niemal jednocześnie skończyli przesłuchiwać poprzednie osoby i teraz zostałem im tylko ja. Nie wiedziałem, do którego z nich podejść, więc stanąłem na środku klasy i dwukrotnie chrząknąłem.

— Tutaj — odezwał się po chwili jeden z policjantów, wskazując gestem pojedyncze krzesło ustawione *vis-à-vis* jego stanowiska.

— Niech pan siada i przygotuje dowód osobisty — dodał i zaczął coś szybko notować. Prawdopodobnie przygotowywał schemat mojego przesłuchania.

Położyłem dokument na ławce, usiadłem i cierpliwie czekałem na pierwsze pytanie. Pozostali policjanci wkrótce opuścili pomieszczenie i zostaliśmy tylko we dwójkę. Kompletną ciszę zakłócały tylko monotonne dźwięki palców uderzających w klawiaturę laptopa i tykanie ściennego zegara.

— Proszę opisać dokładnie okoliczności, w których zobaczył pan zwłoki — poprosił policjant, gdy spisał już z dowodu moje dane

i dowiedział się, że od pięciu lat nauczam w tej szkole historii i wiedzy o społeczeństwie.

Staralem się mówić powoli, ale policjant i tak niczego nie zapisywał. W połowie opowieści zrozumiałem, że kulisy odnalezienia zwłok Mateusza poznał już wcześniej, przesłuchując kilkoro innych nauczycieli, a teraz tylko kontrolował, czy nie dodam czegoś nowego. Najwyraźniej nie byłem bardziej spostrzegawczy od innych. Jego zainteresowanie wzbudził dopiero fragment, w którym wspomniałem o obecności na miejscu zdarzenia szkolnej woźnej, pani Leokadii.

— Cholera, chyba jej nie przesłuchaliśmy — przerwał mi ze złością. — Czy pan wie, gdzie ona mieszka?

Zastanawiałem się przez chwilę.

— Chyba gdzieś niedaleko, na skraju miasta — powiedziałem wreszcie z umiarkowaną pewnością. — Po lekcjach nie idzie w stronę przystanku, tylko wzdłuż ogródków działkowych, o tam — wskazałem palcem przez okno na ciemną przestrzeń, której nie oświetlała ani jedna latarnia. Oprócz ogródków działkowych było tam kilka starych chałup, potem las pełen dzików, a za nim jedna z podmiejskich wiosek.

Policjant popatrzył na mnie ze znużeniem.

— Chodzi nam o dokładny adres. Przecież nie będziemy w nocy chodzić od chałupy do chałupy, bo ludzie zaczną dzwonić ze skargami.

— Niestety nie znam — przyznałem i podjąłem swoją opowieść. Nie zostało dużo do dodania. — Mogę już iść? — spytałem po chwili, gdy dojechałem do kropki.

Policjant podrapał się po głowie.

— Nie tak prędko, panie Tomaszu — powiedział i wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę papierosów. — Nie ma pan nic przeciwko? — zapytał, a gdy pokręciłem przecząco głową, pstryknął zapalniczką i zaciągnął się głęboko. — Pana koledzy zeznali, że był pan najbliższym przyjacielem zmarłego. Czy to prawda?

— Chyba tak — przyznałem. — W każdym razie znaliśmy się dosyć dobrze.

— No właśnie tak mówili — potwierdził machinalnie i położył rękę na klawiaturze. — W takim razie niech mi pan powie, czy w ostatnim czasie zauważył pan coś niepokojącego.

Przez chwilę nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Nie miałem dotąd powodu, żeby jakoś szczególnie analizować zachowanie geografa. Nie przyglądałem mu się uważniej niż zwykle, bo przecież skąd mogłem wiedzieć...

— Tak w pierwszej chwili nie przychodzi mi na myśl nic konkretnego — stwierdziłem w zamyśleniu. — Czy ja wiem?

— Coś w jego zachowaniu, jakieś odstępstwa od normy?  
— podpowiedział policjant.

— Chyba nie, chociaż... — próbowałem wprowadzić swój mózg na zwiększone obroty, ale czy to z powodu późnej pory, czy też z uwagi na stres, który mi towarzyszył podczas przesłuchania, nie byłem w stanie odnaleźć w sobie ani odrobiny kreatywności. — Może ubierał się jakoś inaczej... Chyba trochę bardziej... elegancko — wydukałem wreszcie, ale nawet w momencie, gdy te słowa już padły, nie miałem ostatecznej pewności. — Mateusz zawsze był raczej niechlujny, a ostatnio... Tak! — wykrzyknąłem niespodziewanie, a policjant aż się poderwał. — Przepraszam, ale sobie przypomniałem. Kupił sobie ostatnio dwa garnitury i nosił je na zmianę. Przedtem, przez wszystkie te lata, nigdy nie widziałem go ubranego w coś innego niż dzinsy. Nawet na maturach...

— Czyli... zaczął... inwestować... w... wygląd — wymamrotał pod nosem policjant, zapisując to w laptopie. — Coś jeszcze?

— Perfumy! — znów podniosłem głos, ale tym razem był na to przygotowany i pozostał na miejscu. — Zaczął używać perfum. Pachniało od niego jak z drogerii. A wcześniej... — Zamilkłem nagle, bo nie chciałem, by zapisał w protokole, że Mateusz śmierdział jak mokry pies. Uznałem, że nie powinienem w taki sposób mówić o zmarłym. — A wcześniej różnie z tym bywało — zakończyłem niezręcznie.

— Perfumy — policjant mruczał pod nosem, a jego palce śmigały po klawiaturze. Pisał tak szybko jak doświadczona maszynistka.

— A nie myślał pan, że ten jego zapach... — urwał i popatrzył na mnie ostrożnie. — Że tym zapachem maskował inną woń...

— Jaką woń? — spytałem trochę agresywnie. To, że Mateusz czasem nie zmienił skarpetek, wydawało mi się zupełnie nieistotne.

— Na przykład alkoholu — powiedział lekkim tonem, ale zauważyłem, że ta lekkość była pozorna. W przeciwnym wypadku aż tak nie nadstawiałby uszu.

Granica między używaniem a nadużywaniem alkoholu jest raczej płynna i — przynajmniej w moim środowisku — stanowi temat tabu. Mateusz lubił napić się piwa, ale dałbym sobie rękę uciąć, że nigdy nie przyszedłby do szkoły pod wpływem procentów. Dlatego teoria policjanta wydała mi się całkowicie niewiarygodna.

— Pan nie zna szkolnych realiów — powiedziałem. — Perfumy nic by tutaj nie dały. Nie ma bardziej spostrzegawczej grupy społecznej niż uczniowie. Wciąż nas obserwują. Jeżeli któryś z nauczycieli pojawiłby się w klasie pijany, to po dwóch lekcjach nie byłoby w szkole osoby, która by o tym nie wiedziała. Nawet jakby to był tylko lekki rausz. A zaraz potem dowiedzielibyście się wy. Kojarzę, że do takiej sytuacji doszło niedawno w gimnazjum numer sześć. Zna pan tę historię?

— Nie, to nie mój rewir.

— Jeden z tamtejszych nauczycieli przyszedł do szkoły z dość dużą gorączką i na lekcji nieco bełkotał. Uczniowie żartowali sobie, że na pewno jest „wlany”, i pech chciał, że te żarty — bo nie było to nic innego niż żarty — dotarły do uszu jednego z rodziców. Policja była na miejscu już po pięciu minutach, szybciej niż wy dzisiaj. Nauczyciel musiał dmuchać w alkomat. Oczywiście wydmuchał trzy zera, ale może pan sobie wyobrazić, ile zostało z jego autorytetu... Nie, łączenie pracy w szkole z nadużywaniem alkoholu to „zabawa” na krótką metę.

— A te butelki? — Policjant nie wydawał się przekonany.  
— Przecież w pomieszczeniu, w którym przebywał denat, było rozbitych kilka butelek.

— I dwie całe — przypomniałem sobie. — Nie wiem, skąd tam się wzięły. Ale nie wierzę, by Mateusz zamykał się w kanciapie i samotnie pił piwo aż do utraty przytomności. Ja wiem, że taka teoria byłaby dla was wygodna, ale to jest zupełnie nierealne. To nie było samobójstwo w wyniku pijackiej depresji. Jestem tego pewien!

Ostatnie słowa wypowiedziałem dość głośno, ale śledczemu nawet nie drgnęła powieka.

— Skoro nie samobójstwo, to w takim razie co? Zabójstwo?  
— Zmierzył mnie zimnym spojrzeniem. — Bo chyba wykluczmy nieszczęśliwy wypadek, prawda?

— Chyba tak — odparłem jadownicę, bo policjant zaczął mnie irytować. W jego głosie było tyle powątpiewania, jakby nawet przez moment nie wierzył w inną przyczynę śmierci Mateusza niż samobójstwo.

Przez chwilę trwaliśmy w pełnym napięcia milczeniu.

— No dobrze — przerwał je wreszcie mundurowy, drapiąc się po uchu i posyłając mi nieprzychylne spojrzenie. Chciał, żebym poczuł się tak, jakbym marnował jego cenny czas. — Skoro zabójstwo, to musiał być jakiś motyw. Czy pana kolega miał jakichś wrogów?

— Nie — odparłem bez zastanowienia. — Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo — dodałem po chwili już z mniejszą pewnością, bo przed oczami ujrzałem projekcję gniewnych postaci — uczniów, którzy zostali przez niego zostawieni na drugi rok. Mateusz nie był przesadnie wymagający, ale przez ponad dwadzieścia lat pracy na pewno się komuś naraził. Powiedziałem o tym policjantowi, a on przez chwilę coś notował.

— Nie można tego wykluczyć — przyznał wreszcie, odsuwając od siebie laptopa. — A jakieś problemy z dorosłymi? Z rodzicami uczniów? Z innymi nauczycielami? Problemy finansowe?

Rodzice uczniów to bardzo specyficzne środowisko, ale nie sądziłem, by Mateusz aż tak podpadł jakiemuś nadgorliwemu ojcu, by ten go zabił. Taka reakcja mogłaby nastąpić w przypadku pedofilii, ale bądźmy poważni — we współczesnych czasach, po kilku słusznie nagłośnień w mediach aferach pedofilskich, nauczyciele bardzo uważali, żeby ich zachowanie nie zostało niewłaściwie odczytane. Jakikolwiek, nawet najbardziej niewinny kontakt fizyczny po prostu nie wchodził w grę; skończyły się też jakiegokolwiek próby flirtu czy przekomarzania. My, nauczyciele szkół średnich, musieliśmy uważać szczególnie, gdyż nasze uczennice, chociaż formalnie były jeszcze dziećmi, potrafiły zachowywać się jak osoby zupełnie dorosłe — i to często w tym negatywnym, wulgarnym znaczeniu...

Środowisko nauczycieli też raczej nie wchodziło w grę. Co prawda

Mateusz nie walczył nigdy o tytuł najpopularniejszego kolegi z pracy, ale nie przypuszczałem, by ktoś z naszych kolegów nie lubił go tak bardzo, by pozbawić go życia. Zresztą nie sądziłem, by któryś z nauczycieli naszej szkoły w ogóle był zdolny do morderstwa. Różnie się o nas mówi i przypisuje się nam wiele najdziwniejszych patologii, ale chyba trudno sobie wyobrazić na przykład panią od polskiego mordującą pana od fizyki... Tak jak inne miejsca pracy, szkoła nie była wolna od wewnętrznych konfliktów, ale nie wydawały się one aż tak nabrzmiałe, by do ich rozwiązywania używać... sznura.

Jeżeli chodzi o finanse Mateusza... Cóż, nie znam nauczyciela, który byłby krezusem, ale zawsze odnosiłem wrażenie, że jakoś dawał sobie radę. Jego żona pracowała w sklepie odzieżowym, a starsza córka od dwóch lat żyła na własny rachunek. W każdym razie geograf nigdy nie prosił mnie o pożyczkę.

— Trudno jest mi tak *ad hoc* podać jakiś wiarygodny motyw — podsumowałem nieco bezradnie. — Może jakbym miał trochę więcej czasu...

— A kiedy się ostatnio widzieliście? — przerwał mi śledczy, zerkając na wyświetlacz telefonu. Byłem pewien, że nie sprawdza ewentualnych połączeń, tylko kontroluje czas.

— Jak to kiedy? Wczoraj, tu w szkole, tak jak codziennie — odpowiedziałem, jakby to było oczywiste. Cóż, dla mnie było.

Policjant popatrzył na mnie spod ciężkich powiek.

— O której i gdzie? — burknął.

— Gdzie się widzieliśmy? W pokoju nauczycielskim, podczas przerw. Kończyłem pracę po czwartej lekcji, więc wyszedłem ze szkoły gdzieś koło dwunastej w południe...

— Szczęściarz...

— Słucham? — Udałem, że nie dosłyszałem.

— Nie, nic... Czy pan Mateusz też wyszedł... o dwunastej?

— Nie wiem. — Zastanowiłem się. — Chyba jeszcze został.

Wczoraj były imieniny Joanny, naszej anglistki. Kiedy wychodziłem, siedzieli w pokoju nauczycielskim i jedli wuzetki.

— Kto?

— No Mateusz, Joanna... — zawahałem się. — Być może jeszcze

wuefista Marek Walczewski, polonistka Marta Sobierajska, matematyk, czyli pan Leopold... Możliwe, że było jeszcze kilka osób, ale nie pamiętam. Spieszyłem się i nie zwracałem uwagi, komu mówię „cześć” czy „do widzenia”. Ale to można łatwo ustalić. Zapytajcie Marka, on ma pamięć do twarzy.

— Zapytamy — westchnął policjant. Dopiero teraz dokładnie mu się przyjrzałem i zauważyłem wory pod oczami i z trudem tłumione ziewnięcia. Wyglądał, jakby nie pamiętał, co to sen. — Jestem na nogach od trzydziestu sześciu godzin — poinformował mnie, składając laptopa. — Synek ma zapalenie ucha, w nocy jeździłem z nim na ostry dyżur — urwał na chwilę, tłumiąc ziewnięcie, a potem wstał i klepnął mnie w ramię. — Wiem, że trudno w to panu uwierzyć, ale wszystko wskazuje na to, że pana przyjaciel popełnił samobójstwo. Oczywiście weźmiemy pod uwagę także inne hipotezy, technicy dokładnie zbadają, czy ktoś mu nie pomógł, ale... Wie pan, że samobójstwa są statystycznie o dziesięć razy częstsze niż zabójstwa?

— Być może — kiwnąłem głową, również wstając. Przez chwilę w milczeniu ustawialiśmy ławki, odsunięte wcześniej pod ściany na potrzeby przesłuchania.

— To nie jest tak, jak pan myśli — powiedział wreszcie, gdy upewniwszy się, że wszystko było już na swoim miejscu, wychodziliśmy na korytarz. — Jeżeli to faktycznie było morderstwo, to zrobimy wszystko, żeby znaleźć sprawcę. W takich sprawach nie stosujemy półśrodków i nie boimy się zabrudzić sobie rąk. Ale niech pan zaufa mojemu doświadczeniu. Wszystko wskazuje niestety na samobójstwo.

Podaliśmy mu rękę. Nie przekonał mnie do swoich przypuszczeń, ale nie czułem już irytacji.

— Pracujcie, a jeżeli czegoś się dowiem, to dam wam znać — pożegnałem go i opuściłem cichy i ciemny budynek szkoły.

Przez zgrzytającą furtkę wydostałem się na ulicę i skierowałem się w stronę przystanku autobusowego. Nie zdążyłem zrobić kilkunastu kroków, gdy zza pleców dobiegł mnie kobiecy głos.

— Panie Tomku! Niech pan zaczeka!

W tym głosie pobrzmiwały zarówno determinacja, jak i nuty nieco histeryczne. Zatrzymałem się w pół kroku i odwróciłem się



w kierunku, z którego dochodził.

Biegła do mnie od szkolnej furtki wzdłuż ogrodzenia szkoły, nie zważając na kałuże pozostałe po popołudniowym deszczu. Kiedy wreszcie dopadła do miejsca, w którym stałem, dyszała tak ciężko, że nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Co się stało, pani Kamilo? — wygrzebałem z pamięci imię policjantki. Jej zadyszka wydała mi się podejrzana. W końcu odcinek, który pokonała biegiem, nie był długi.

— Niech mi pan pomoże — wydyszała, łapczywie połykając powietrze. Zrozumiałem, że jej kłopoty z oddychaniem nie wynikały z wysiłku, tylko ze stresu. — Dostałam polecenie, żeby powiadomić o zgonie rodzinę. Nie chcę tam iść sama.

Wyglądała żałośnie. W świetle latarni wydawała się blada i wiotka jak trzcina, a jej duże oczy błyszczały pełne łez. Poszedłbym z nią niemal wszędzie, ale na wizytę u żony Mateusza — czy może raczej wdowy po Mateuszu — wyjątkowo nie miałem ochoty. Tylko jak to powiedzieć, żeby nie wyjść na gburę?

— Dobrze — zgodziłem się po dość długiej chwili milczenia, podczas której na próżno szukałem wykrętów. Byłem bliski zaproponowania, by ze względu na późną porę odłożyć to na rano, ale w porę zdałem sobie sprawę, że zabrzmiałoby to niepoważnie.

— Mateusz mieszka w tych starych blokach, przy Królowej Jadwigi. To na drugim końcu miasta. Ma pani samochód czy jedziemy autobusem?

— Paplaniem pokrywałem irytację, która mnie ogarnęła w związku z jej nietypową prośbą.

Pokonując w policyjnym radiowozie ciemne i wyludnione już uliczki, dziękowałem losowi, że w mieszkaniu Mateusza przebywała aktualnie tylko jego żona. Z tego, co wiedziałem, obie córki były poza domem — starsza większość czasu spędzała u narzeczonego w Poznaniu, a młodsza studiowała w Warszawie i w tygodniu pomieszkiwała u koleżanki. „Marchewka” pogrążona była w myślach i prawie się nie odzywała. Prawdopodobnie układała sobie w głowie to, co ma powiedzieć.

— Zawsze wysyłają z taką misją najmłodszego — przerwała milczenie w momencie, gdy zaparkowaliśmy na miejscu dla śmieciarek,

pod samym blokiem Mateusza. — Takie wizyty to najgorsza strona tej pracy.

Pokiwałem głową z nieudawanym współczuciem. Byłem na nią trochę zły za wkopanie mnie w tę policyjną robotę, ale po części ją rozumiałem. Na jej miejscu też bardzo bym się denerwował i robiłbym wszystko, żeby obarczyć tym przykrym obowiązkiem kogoś innego. Bo nie miałem wątpliwości co do tego, że to ja — jako znajomy — będę musiał wziąć na siebie ciężar rozmowy z żoną Mateusza i finalnie wyjawić wstrząsającą prawdę.

Drzwi do klatki były uchylone, więc nie zapowiadając się domofonem, weszliśmy do środka i niemal truchtem pokonaliśmy cztery piętra.

— Zaczekaj chwilkę, muszę się trochę uspokoić — poprosiła dziewczyna, w stresie przechodząc ze mną na ty.

Chwyciłem ją za ramiona. Była prawie mojego wzrostu, musiała mieć nie więcej niż metr siedemdziesiąt — a mimo to czułem, jakbym patrzył na bezbronne dziecko. Chociaż myślałem, że ze zdenerwowania serce zaraz wyskoczy mi z piersi, nadrabiałem miną.

— Nie musisz nic mówić — powiedziałem, nieco drżącą ręką naciskając guzik dzwonka. Jedyne, czego pragnąłem, to mieć to za sobą. — Ja się wszystkim zajmę, a ty tylko za mną stój — dodałem nieco drewnianym głosem i wsłuchałem się w dobiegający z mieszkania odgłos damskich kroków.

— Tomek? — usłyszałem przez zamknięte drzwi. — Zaczekaj chwilę, muszę się ubrać.

Stałem oparty o ścianę, a moje serce waliło w tempie *prestissimo*. Na karku czułem gorący oddech Kamili. Po chwili zamek szczyknął dwukrotnie i drzwi otworzyły się na oścież.

— Wejdz — usłyszałem, po czym nieśmiało przekroczyłem próg. — Ktoś z tobą jest? Co się stało?! — Zaciekawienie żony Mateusza stopniowo przechodziło w napięcie, gdy rozpoznawała w mojej towarzyszce policjantkę. Cóż, policjanci nie składają zwykle towarzyskich wizyt przed północą. — Mateusz? Znów coś nabroił?

Nie zwróciłem nawet uwagi, że pierwsze skojarzenie Janki na widok policji było dość dziwne — wydawało mi się, że znam jej męża

na wylot, i w życiu nie pomyślałbym, że mógł coś „nabroić”. Byłem jednak w takim stanie, że szczerze mówiąc, nie zauważyłbym nawet, gdyby ogoliła się na łyso. Strzelając wzrokiem gdzieś w bok, usiłowałem ubrać w słowa to, co chciałem (a raczej musiałem) jej przekazać. Kuląca się za mną Kamila opierała się o mnie całym ciężarem i obawiałem się, że jeżeli zaraz nie wyjdziemy, to padnie jak długa. Uznałem, że nie ma co owijać w bawełnę.

— Bardzo mi przykro, Janka — słowa same popłynęły z moich ust. Miałem wrażenie, że opuściłem swoje ciało i stoję gdzieś obok.

— Mateusz nie żyje. W szkole znaleziono dziś jego ciało.

Nim skończyłem mówić, zrobiłem krok naprzód, gotów złapać padającą kobietę. Ale Janka nie zemdląła, tylko zastygła w niedowierzaniu, zupełnie jak ja kilka godzin wcześniej.

— To niemożliwe — westchnęła i sięgnęła do kieszeni kurtki wiszącej w przedpokoju. Wyciągnęła z niej papierosy. — Co się stało? Zawał?

Westchnąłem ciężko. Najtrudniejsze miałem już za sobą, ale to nie oznaczało, że teraz pójdzie jak z płatka. Nieważne, czy było to samobójstwo, czy też morderstwo. Oba sposoby rozstania się ze światem mogły zostawić u bliskich trwałe, niegojące się rany.

— Znaleziono go powieszzonego — zacząłem i jak najdelikatniej opowiedziałem jej o śmierci Mateusza. Gdy mówiłem, łapczywie zaciągała się papierosem i nie spuszczała ze mnie wzroku. Widywaliśmy się rzadko i być może nigdy jej się dokładnie nie przyjrzałem, ale teraz uderzyło mnie to, jak bardzo jest zaniedbana. Wiedziałem, że ma czterdzieści trzy lata, ale wyglądała bardziej na pięćdziesiątkę niż na czterdziestkę.

Gdy skończyłem, przez chwilę paliła w milczeniu. Sprawiała wrażenie, jakby przebywała myślami daleko stąd. W końcu się jednak otrząsnęła i wróciła do rzeczywistości. W jej oczach nie pojawiły się co prawda łzy, ale twarz wykrzywiła się w grymasie smutku.

— Wejdźcie do pokoju. — Gestem dłoni zaprosiła nas w głąb mieszkania, gasząc papierosa w dużej kryształowej popielnicy i wskazując kanapę i dwa skórzane fotele. — Siadajcie. Napijecie się kawy? I tak będę sobie robić — uprzedziła moją odmowę. Kiwnąłem

głową, a policjantka wydała z siebie coś na kształt chrząknięcia. Dostrzegłem, że na policzki wracają jej kolory.

— Może pani pomożę? — zaproponowała, uśmiechając się smutno.

— Siadaj, dziecko. Chcę przez chwilę побыć sama. Ale spokojnie... Nie zamierzam sobie nic zrobić. — Mrugnęła okiem, co samo w sobie było dosyć zaskakujące. Kochająca żona inaczej reaguje na śmierć małżonka, prawda?

Czekaliśmy na nią nie dłużej niż dwie minuty. Mateusz był kawoszem i wiedziałem, że miał w domu ekspres. Ja sam też należałem do amatorów czarnego jak smoła napoju, więc z przyjemnością przyjąłem z rąk Janki parującą filiżankę.

— Nie wiadomo, o czym w takiej chwili rozmawiać — powiedziałem ostrożnie, nie wiedząc, czy gospodyni znajduje się w ogóle w nastroju do wymieniania myśli.

Przez chwilę sączyła kawę, jakby się nad czymś zastanawiając.

— Całe szczęście, że nie ma dziewczynek — powiedziała wreszcie. — Z nimi będzie największy problem. Nie mam pojęcia, jak im to powiem...

— A ty?

— A ja... — Zamyśliła się i odruchowo sięgnęła po kolejnego papierosa. Nie wiem, jak ze sobą wytrzymywali, bo z tego, co wiedziałem, to Mateusz nigdy nie palił i był zaprzysięgłym wrogiem tytoniowego nałogu. — Znaliście się dobrze, prawda?

— Bardzo dobrze — potwierdziłem nieco zaskoczony.

— A mimo to widzę, że nic ci nie powiedział — westchnęła. — Zresztą to do niego podobne, zawsze był skryty. Byliśmy w trakcie rozwodu. W zasadzie nasze małżeństwo było martwe od dwóch czy trzech lat.

Byłem w szoku. Wypiłem pół swojej kawy jednym haustem i oparzyłem się w język.

— Ale dlaczego? — spytałem niedelikatnie, zanim zdążyłem sobie uzmysłwić, że to nie moja sprawa. — To znaczy... — Zakręciłem się do tego stopnia, że nie wiedziałem, co powiedzieć.

Janka uśmiechnęła się melancholijnie i popatrzyła na mnie

z sympatią.

— Niby swoje już przeżyłeś, ale wciąż jeszcze jesteś bardzo młody — powiedziała ciepło i zrobiła ręką taki ruch, jakby chciała zmierzić mi włosy. Powstrzymała się w ostatniej chwili. — Ludzie w tych czasach często się rozstają. U nas to było wypalenie. — Zamyśliła się. — Póki dziewczynki były małe, to jakoś to ciągnęliśmy. Ale jak wkroczyły w dorosłość, to nie było sensu odgrzewać tego, co już dawno wystygło. Rozstaliśmy się w zgodzie, a nawet w przyjaźni...

— Ale... — Wciąż czułem się oszukany. — Przecież Mateusz ciągle tu mieszkał. O, są tu nawet jego rzeczy. — Wstałem, podszedłem do stojącej w rogu pokoju suszarki i zdjąłem wiszącą na niej bluzę z kapturem. — Miał ją na sobie w zeszłym tygodniu, pamiętam, jak się z niego śmialiśmy...

— Mateusz cały czas tu pomieszkiwał, ale wiem, że korzystał też z innego mieszkania. Gdzieś bliżej centrum. — Janka wstała, delikatnie wyjęła mi z dłoni ubranie męża i popatrzyła najpierw na nie, a potem na półki z książkami. — Będę musiała coś z tym zrobić. — Zamyśliła się na chwilę, jakby zastanawiając się, ile dostanie za te kilkadziesiąt książek i stare ubrania. — Nie myślcie o mnie źle — usprawiedliwiła się. — Naprawdę jest mi przykro. Jestem rozbita i zdołowana, ale życie toczy się naprzód, a nas od dawna łączyło tylko to mieszkanie i dziewczynki. Szczerze mówiąc, ostatnio trochę się kłóciliśmy.

— A kiedy ostatni raz widziała pani męża? — wtrąciła się Kamila. Niespodziewanie Janka roześmiała się głośno. Był to dziwny, trochę histeryczny śmiech.

— To, że się kłóciliśmy, nie znaczy, że go zabiłam — odezwała się w końcu między kolejnymi parsknięciami.

Zaalarmowało mnie to, że w jej głosie obok śmiechu wibrowały też nutki urazy. Wiedziałem, że potrafi być wybuchowa, więc przerwałem jej w pół słowa, chcąc odciągnąć jej uwagę.

— Oni — wskazałem na Kamilę — chcą tylko ustalić, kiedy doszło do zabójstwa. Albo samobójstwa. Rozumiem, że Mateusz nie spał w domu ostatniej nocy? — spytałem pojednawczym tonem, a Janka odwróciła niezadowolony wzrok od policjantki i znów wpatrywała się we mnie.

— Mateusz nie nocował w domu od weekendu. Czyli od czasu, kiedy odwiedziła nas młodsza córka. Ale, zaraz... Wydaje mi się, że dzwonił do mnie jakoś ostatnio. Tak z wieczora. Wczoraj albo przedwczoraj.

Była noc ze środy na czwartek, co oznaczało, że Mateusz telefonował w poniedziałek lub we wtorek. Według wstępnych ustaleń do zgonu doszło nocą z wtorku na środę. Nadstawiłem ciekawie uszu, ale na próżno. Janka nie umiała sobie przypomnieć, co dokładnie chciał od niej mąż.

— Byłam akurat w Biedronce — tłumaczyła. — W zasadzie chodzę tam codziennie w drodze z pracy. Nie bardzo mogłam rozmawiać, bo właśnie zbliżałam się do kasy. Rzucił tylko, że ma mi coś ważnego do powiedzenia i że zadzwoni później. Ale już nie zadzwonił.

— Czy był wtedy pod wpływem alkoholu? — zapytała niespodziewanie Kamila. Uznałem, że ma prawdziwy talent do zadawania niewłaściwych pytań w niewłaściwym czasie.

Janka spojrzała na nią niechętnie i tylko pokręciła przecząco głową. Nie mówiłem jej o butelkach po piwie znalezionych w pomieszczeniu, w którym wisiał jej mąż, więc musiała potraktować pytanie policjantki jako zupełnie od czapy. Stwierdziłem, że jak tak dalej pójdzie, to moje wysiłki budowania pozytywnej atmosfery spełzną na niczym i spotkanie skończy się awanturą. Dopilem kawę i teatralnie zerknąłem na zegarek.

— Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić? — zadałem Jance pytanie, które zwykle zadaje się w takich sytuacjach. Gdy mi podziękowała, wstałem i posłałem ponaglące spojrzenie Kamili.

Przy pożegnaniu Janka przytrzymała dłużej moją dłoń.

— Wpadnij do mnie jutro po szkole, tak około szesnastej — poprosiła cichym głosem. Odniosłem wrażenie, że nie chce, by usłyszała ją policjantka. — Powinam być już w domu po tych cyrkach — dodała, odnosząc się do zapowiedzi Kamili, że „jutro ktoś z policji zaprosi ją na formalne przesłuchanie”.

— Dobra, będę — zgodziłem się i spontanicznie przycisnąłem ją do piersi. Z moich oczu popłynęły pierwsze tego dnia łzy. Otarłem je gwałtownie, wyszedłem na klatkę schodową i zbiegłem po schodach,

jakby mnie ktoś gonił.

Kamila dopędziła mnie dopiero na ulicy.

— Zaczekaj, Tomek! — krzyknęła, a gdy nie chciałem się zatrzymać, chwyciła mnie za ramię. — Nigdy ci tego nie zapomnę. Dziękuję! — Złożyła na moim policzku wilgotny pocałunek. Wzięłem się w garść. — Podwieźć cię?

Przez chwilę się wahałem, ale była północ, a do domu miałem kilka kilometrów. Przystałem więc na jej propozycję i usadowiłem się na przednim fotelu opla insigni. Gdy tłumaczyłem jej, gdzie mieszkam, uśmiechnęła się szeroko.

— To na końcu świata — stwierdziła, kręcąc żartobliwie głową. — Nie wiedziałam, że tam są jakieś budynki. — Zeszło z niej całe napięcie i zachowywała się teraz trochę jak studentka. Ruszyła z piskiem opon i zatrzymała się dwie ulice dalej, przy miejskim parku. — Masz ochotę na mały spacer? Chcę ochłonać. No, nie bój się — dodała, widząc moje wahanie. — O tej porze nie ma tam żywego ducha, a zresztą nic ci przy mnie nie grozi. W razie czego mam broń.

W głębi parku panowały istic egipskie ciemności i nic nie zakłócało blasku wielkiego, żółtego jak miód księżycy. W wiosennej trawie baraszkowały świerszcze — ich cykanie zagłuszało odgłos naszych kroków, przez co się zdawało, że płyniemy w powietrzu jak zjawy. Powietrze było aż ciężkie od zapachu wiosny.

— Pewnie się zastanawiasz, co babka tak wrażliwa jak ja robi w mundurze? — zapytała, gdy przechodziliśmy po miniaturowym mostku przedzielającym skryte przed naszymi oczami we mgle oczko wodne. — To śmieszne, że nie boję się uzbrojonych bandytów, a wymiękam przy spotkaniach ze zwykłymi ludźmi, których dotknęła tragedia.

— Chyba nie ma takich twardzieli, którzy lubiliby tego typu spotkania — rzuciłem machinalnie. Byłem pogrążony we własnych ponurych myślach i nie potrafiłem docenić nawet tego, że spaceruję nocą po parku z piękną dziewczyną. Cała moja uwaga skupiona była na Mateuszu i kulisach jego niespodziewanej śmierci.

Łaziliśmy około trzydziestu minut — dziewczyna paplała coś przez cały czas, a ja w milczeniu analizowałem wydarzenia kończącego się

dnia. Wreszcie uznałem, że najwyższy czas trochę się przespać. Ziewnąłem głośno i wziąłem Kamilę pod ramię.

— Już wracamy? — spytała zdziwiona.

— Muszę wstać o świcie — powiedziałem i pociągnąłem ją w kierunku radiowozu.

Było to z mojej strony kłamstwo, gdyż w czwartki zaczynałem zajęcia dopiero o wpół do jedenastej, więc wcale nie musiałem zrywać się o świcie. Czułem jednak, że jeżeli zaraz nie znajdę się w łóżku, to zacznę lunatykować. Byłem raczej typem skowronka i nie lubiłem zarywać nocy. Był też inny powód tego, że chciałem już zakończyć ten wieczór — nie miałem kompletnie nastroju do rozmowy i obawiałem się, że rudowłosa policjantka uzna mnie za nieuprzejmego mruka. Nie chciałem jej do siebie zrazić. Kto wie, może w innych okolicznościach potrafiłbym się nawet w niej zakochać?

Jeżeli była rozczarowana, to udało jej się to ukryć. Jej paplanie — będące zapewne reakcją na przebyty stres — nie ucichło, a wręcz stało się głośniejsze. W pewnym momencie nawet się zawstydziła.

— Nie gadam za dużo? Przepraszam, taka już jestem. Poza tym w ten sposób łatwiej jest mi nie myśleć o śmierci twojego kolegi. Inaczej chyba bym zwariowała, nie umiem dusić w sobie negatywnych emocji.

— Pewnie tak jest łatwiej — zgodziłem się. — Ale ja niestety tak nie potrafię.

Pewnie powiedziałbym jej coś więcej, a być może nawet się przed nią otworzył — w końcu magia majowych nocy wyjątkowo sprzyja zwierzeniom — ale zauważyłem na ścieżce przed sobą jakiś ruch. Instynktownie zamarłem i wsłuchałem się w ciemność, ściskając nieco mocniej ramię dziewczyny. Odniosłem wrażenie, że moich uszu dobiegł odgłos szlochu. Chciałem wysledzić jego źródło i wtedy przyszedł mi z pomocą przejeżdżający obok parku samochód, którego światła wydobyły z mroku znajomą sylwetkę. Tym bardziej chciałem podejść i zaoferować swoją pomoc, ale coś mnie od tego powstrzymało.

Moja zmarła przed kilkunastu laty babcia była szeptuchą, czyli podlaską czarownicą. Ci, którzy o tym wiedzieli, utrzymywali, że odziedziczyłem po niej dar określany mianem szóstego zmysłu. Do tej pory zawsze zżymałem się na takie pomysły, ale chyba tym razem coś



było na rzeczy. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, co zrobiłem?

Zamiast skierować się ku chwiejącej się lekko postaci, pociągnąłem Kamilę w tył i — skulony w pół — wszedłem w gęstą kępę krzaków. Z tej kryjówki miałem niezły widok na najbliższe otoczenie, sam pozostając zupełnie niewidoczny.

— Co robisz? — spytała cicho policjantka, ale gdy przyłożyłem jej palec do ust, posłusznie zamilkła.

— Patrz — szepnąłem i zastygłem w bezruchu, bo obraz przed moimi oczami zdawał się surrealistyczny.

Na ścieżce widziałem teraz wyraźnie dwie postaci. Obie były mi znajome. Wiekowy matematyk, pan Leopold, opierał się sękatymi dłońmi o parkową ławkę i cicho płakał, Jan Hołownia zaś, dyrektor naszego liceum, potrząsał nim jak workiem kartofli, wyrzucając z siebie stek przekleństw zupełnie nielicujących z piastowanym przezeń stanowiskiem.

Przetarłem oczy, ale nic to nie dało. Wciąż ich widziałem.

— Mówię ci, niczego się nie domyślą. — Jeżeli można krzyczeć szeptem, to dyrektor właśnie to robił. — Chyba że sam im wszystko wyśpiewasz, ale pamiętaj, że siedzisz w tym bagnie po uszy. Tak, bez wątplenia mnie załatwisz, ale sam pójdziesz na dno. Naprawdę ci to potrzebne?! — potrząsnął staruszką tak mocno, że ten stracił równowagę i opadł na prawe kolano.

Wyczułem, że Kamila sprężyła się w sobie i położyła dłoń na kaburze, w której spoczywał pistolet. Nie chciałem, żeby interweniowała — nie chciała tego chyba także moja babcia. Spodziewałem się, że zaraz usłyszę coś jeszcze ciekawszego, a moja babcia nie oponowała. Nie mogłem się odezwać, więc ścisnąłem policjantkę za ramię. Bezwiednie zrobiłem to z taką siłą, że aż syknęła, ale chyba zrozumiała mój sygnał, bo obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem i znieruchomiała. Gdyby było nieco jaśniej, z pewnością zobaczyłbym w jej oczach niemy wyrzut.

— Zresztą co to ma być?! — Dyrektor wciąż nie podnosił głosu, ale o sile jego wzburzenia świadczyły uniesione pięści, odcinające się od jaśniejszego o ton nieba. — Minęło już tyle lat. Nie sądzisz chyba...

— Takie rzeczy zostają w człowieku na zawsze. — Gdybym mógł widzieć twarz starego matematyka, z pewnością zobaczyłbym na niej

wyraz bezgranicznego cierpienia. — On na pewno o tym pamięta...

— Nie przerywaj mi, stary głupcze! — Tym razem to, co miało być szeptem, zabrzmiało jak ryk. — Nigdy mi nie przerywaj! Idź się wyspać, a jutro spróbuj tylko pisnąć słówko. Ty wiesz, że dużo mogę, prawda?!

Po tych słowach Hołownia złapał pana Leopolda za guzik od płaszcza i pociągnął go za sobą. Nie minęło dziesięć sekund, gdy mężczyźni zniknęli nam z oczu. Przez kolejne dziesięć sekund trwałem w bezruchu i dochodziłem do siebie. Z letargu wyrwała mnie dopiero Kamila.

— To był dyrektor Hołownia, prawda? A ten drugi to chyba pan Leopold. O co im chodziło?

— Opowiem ci wszystko w radiowozie. — Delikatnie pchnąłem dziewczynę przed sobą i podążyłem za nią, patrząc pod nogi.

Nigdy nie przepadałem za dyrektorem naszego liceum. Od pierwszych dni sprawiał na mnie wrażenie taniego cwaniaczka i osoby, która za gładką fasadą okrągłych zdań była w zasadzie dość prosta, by nie powiedzieć prostacka. Ale nawet w najśmielszych snach nie spodziewałem się po nim takiego zachowania, jakiego byłem świadkiem przed chwilą. Nasz dyrektor wyzywający i szarpiący jednego z nauczycieli? To nie mieściło się w głowie. Ale nie nad tym się zastanawiałem.

Mój umysł niczym stary, szwankujący komputer usiłował przetworzyć te strzępy informacji, które zawarte zostały w kilku podsłuchanych przez nas zdaniach. Zdawałem sobie sprawę, że zdania te wyrwane były z kontekstu, ale nie mogłem się pozbyć wrażenia, że byłem świadkiem fragmentu rozmowy nie pedagogów, lecz jakichś kryminalistów. Stwierdzenie dyrektora, że dużo może, przywodziło na myśl frazę z *Ojca chrzestnego*, a fragment, w którym upewniał matematyka, że nikt na pewno niczego się nie domyśli — o ile tamten nie zacznie śpiewać — zdawał się żywcem wyjęty z rozmowy na więziennym spacerunku. O czym rozmawiali? Nie miałem pojęcia, a mętlik w mojej głowie pogłębiały słowa o jakimś tajemniczym „kimś” z dalekiej przeszłości, o którym wspominał między kolejnymi napadami szłochu matematyk. Głowa, która ćmiła mnie od dobrych kilku godzin,

teraz rozboleła na dobre.

— Co tam się działo? — ponowiła pytanie Kamila, gdy znaleźliśmy się w radiowozie.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie jestem już dziś w stanie logicznie myśleć — powiedziałem i potarłem dłońmi skórę na skroniach, po czym wzdychając ponuro, przedstawiłem jej swoje przemyślenia. Dosyć chaotycznie.

— W każdym razie to wszystko jest bardzo dziwne — skwitowałem i przymknąłem oczy. Czułem, że nie brakuje mi wiele, żeby zasnąć.

— Zastanawiam się, jaki związek ma ta rozmowa z panem Mateuszem. Bo chyba jakiś ma, prawda? — zapytała retorycznie, po czym uruchomiła silnik.

— Pewnie tak — wybełkotałem niewyraźnie i zapadłem w coś na kształt letargu.

Wyrwał mnie z niego pisk hamulców. Półprzytomny stwierdziłem, że musieliśmy przejechać zaledwie kilkaset metrów. Kamila klęła i kręciła szybko kierownicą, usiłując zawrócić w wąskiej uliczce. Jej prawa ręka zniknęła na chwilę pod podłokietnikiem i uruchomiła sygnał dźwiękowy. Odgłos policyjnej syreny popłynął w noc, spędzając jednocześnie z moich powiek resztki snu.

Zawróciliśmy i przejechaliśmy kilkadziesiąt metrów, podczas których policjantka gorączkowo rozglądała się na wszystkie strony. W okolicy parku i na sąsiedniej uliczce nie było żywego ducha, a okna wszystkich mijanych domków jednorodzinnych były ciemne.

— Cholera jasna! Zwiął! — krzyknęła po chwili dziewczyna i ze złością uderzyła pięścią w deskę rozdzielczą.

— Ale kto? — zapytałem nieco roztrzęsionym głosem. Czułem się tak, jakby ktoś wrzucił mnie do basenu z lodowatą wodą.

— Jakiś chłopak. A może mężczyzna. Gdy zauważył radiowóz, zaczął uciekać. Chyba w tamtą stronę — urywanym głosem udzieliła mi informacji, jednocześnie wciskając guzik łączący ją z centralą. — Młody facet w bluzie z kapturem, skrzyżowanie Kilińskiego i Ostrobramskiej. Ja będę od strony Kantego — podała suchy komunikat i nie czekając na odpowiedź, ruszyła przed siebie. — Spróbujemy zacząć się na niego obok kościoła, ale to i tak jak szukanie igły w stogu siana — rzuciła do

mnie i zajęła się rozmową z oficerem dyżurnym, który poinformował ją, że w tej chwili nie ma w okolicy żadnego radiowozu.

Zatrzymaliśmy się w bocznej uliczce i w kompletnej ciszy wypatrywaliśmy jakiegokolwiek ruchu, ale w zasięgu naszego wzroku nie pojawił się ani przechodzień, ani nawet samochód. Nie minął nawet kwadrans, gdy dziewczyna się poddała.

— Może uda się coś ustalić z miejskiego monitoringu — westchnęła bez większej nadziei. — Chociaż dam sobie uciąć palec, że to był po prostu jakiś młodociany, który za dużo wypił i bał się, że zawieziemy go na izbę wytrzeźwień, a jego obecność obok parku była kompletnie przypadkowa.

Pokiwałem głową, ale instynkt mówił mi co innego. Nie odezwałem się jednak. Nie chciałem, by Kamila dołączyła do pokaźnego grona osób nabijających się z moich odziedziczonych po babci paranormalnych zdolności. Zamiast tego wybrałem bezpieczną rozmowę o wadach i zaletach nowoczesnego osiedla Generała Roi, na którym mieszkała.

Miejsce, w którym mieszkałem, bynajmniej go nie przypominało. Było w pewnym sensie wyjątkowe, gdyż z jednej strony przylegało do miejskiego cmentarza, z drugiej zaś do gęstego lasu. Pojedyncza piętrowa chałupka z rozwalającym się dachem i częścią okien zabitych dechami przywodziła na myśl chatkę czarownicy.

— Na pewno chcesz tu wysiąść? — spytała półżartem Kamila, gdy jej oznajmiłem, że tu właśnie mieszkam. — Tu jest jak z horroru.

— Budynek należy do szkoły — odpowiedziałem po prostu, gdyż nie miałem już weny na żadną ciętą ripostę. — Parter jest wyłączony, ale na piętrze znajduje się kilka pokoi. Warunki są kiepskie, ale cóż... Trzeba jakoś żyć.

— Ano trzeba... Słuchaj, tu jest mój numer telefonu. — Wydarła z notesu pojedynczą kartkę i w ulotnym świetle wewnętrznej lampki zapisała kilka cyfr. — Będziemy prowadzić dochodzenie i jeżeli miałbyś jakieś pomysły, to śmiało dzwoń. I wiesz... jakbyś nie miał pomysłów, to też możesz zadzwonić, to jest mój prywatny telefon — dodała cichym głosem.

— Dzięki, na pewno zadzwonię. Fajnie, że się poznaliśmy

— powiedziałem, bo cóż innego miałem powiedzieć. Na pewno nie to, że to był fajny dzień lub że miło spędziłem z nią czas.

Schowałem kartkę z telefonem do kieszeni spodni, trzasnąłem drzwiami i poczekałem kilka sekund, aż światła radiowozu zniknęły za zakrętem. Potem powlokłem się do domu. Stare schody skrzypiały, ale miałem już praktykę w późnych powrotach i myślę, że udało mi się nikogo nie obudzić. Otworzyłem drzwi do swojego pokoju i wsłuchałem się w dwa oddechy. Podeszedłem na palcach do łóżeczka swojego syna i delikatnie musnąłem wargami jego wystający spod kołderki ciepły policzek. A potem — omijając po omacku łóżko pochrapującej cicho kobiety — dotarłem do swojego tapczanu i zwałem się na niego w ubraniu.

„Jutro umyję zęby jeden raz więcej” — usprawiedliwiłem się w myślach i nie minęły dwie minuty, gdy spałem jak kamień.

## Dzień drugi — czwartek

Na ogół lubiłem poranki, lecz tego dnia obudziłem się w paskudnym humorze. Było dobrze po ósmej, ale oczy szczypały mnie z niewyspania i miałem wrażenie, że jest wpół do piątej. Zakląłem w myślach i wspominając czasy wojskowej musztry, ruszyłem do łazienki, którą dzieliłem z panem Wackiem, emerytowanym nauczycielem naszej szkoły.

Goląc się przed obtłuczonym lustrem, przez chwilę — jak niemal codziennie — obiecywałem sobie, że zacznę odkładać na jakąś kawalerkę i w końcu opuszczę tę ruinę. Mieszkałem tu blisko pięć lat i te cztery kąty, które na początku były niczym uśmiech losu, powoli stawały się dla mnie przekleństwem. Tylko jakie miałem wyjście? Musiałem tu mieszkać, bo na nic innego nie było mnie stać. W głębi serca wiedziałem, że wyprowadzę się stąd dopiero w momencie, w którym o istnieniu tego budynku dowie się inspektor nadzoru budowlanego — co będzie równoznaczne z jego rozebraniem.

Poruszałem się na palcach, uważając, by nikogo nie obudzić. W pokoju narzuciłem na siebie koszulę i dżinsy, po czym niemal jednym łykiem opróżniłem filiżankę wstrętnej kawy. Jej smak kojarzył mi się ze smakiem starej ścierki — co prawda nigdy nie próbowałem, jak smakuje taka stara ścierka, ale mam wrażenie, że podobnie. Lodówka jak zwykle była niemal pusta, więc zrezygnowałem ze śniadania i po cichu zamknąłem za sobą drzwi.

Kiedy przed laty się tu wprowadzałem, klatka schodowa wyglądała jak żywcem wyjęta z filmu o starym zamczysku. Idealnie kręciłoby się na niej sceny tortur przeprowadzanych przez szalonego mnicha w zrujnowanym lochu. Od pewnego czasu nie zauważałem jednak jej szpetoty. Tak samo było i dzisiaj — gdy zbiegałem po schodach, lawirując między zaścielającymi stopnie fragmentami gruzu, myślałem, że znajdowałem się kilka kilometrów stąd. A konkretnie na poddaszu naszego liceum. A także na jednej ze ścieżek przystadionowego parku.

Jeszcze raz analizowałem wydarzenia poprzedniego dnia, zatrzymując się na dłużej przy najważniejszych momentach: znalezieniu

zwłok, rozmowie z żoną zmarłego kolegi i tajemniczej rozmowie podsłuchanej przeze mnie w ciemnym parku. Oprócz tego przed oczami przesuwały mi się dziesiątki detali, które nagle zaczynały nabierać znaczenia. Na przykład dlaczego Marcin, nasz młody anglista, poszedł po krzesła na poddasze, a nie do którejkolwiek z sąsiadujących z pokojem nauczycielskim klas? Albo dlaczego drzwi do kanciapy, w której znaleźliśmy powieszzonego Mateusza, były zamknięte na klucz?

Pochłonięty myślami nawet nie zauważyłem, że na dworze leje. Dopiero po kilku krokach zdałem sobie sprawę, że woda płynie mi po twarzy i przemacza ubranie. Obejrzałem się za siebie, ale nie chciało mi się wracać. Popędziłem wzdłuż muru cmentarza, starając się nie trafiać w kałuże.

Do przystanku miałem kilkaset metrów, okazało się jednak, że nie było mi dane tam dotrzeć.

Zanim pokonałem połowę drogi, rozległ się przeraźliwy dźwięk klaksonu, a z mojej lewej strony dodatkowo dobiegł mnie pisk opon po mokrym asfalcie. Odruchowo odsunąłem się od jezdni, wpadając wprost w największą z mijanych przeze mnie dotąd kałuż i obryzgując się solidnym, przycmentarnym błotem. Z moich ust wyrwało się głośne przekleństwo.

Otrząsałem się z brudnej wody i odwróciłem w kierunku jezdni, gotów wyładować całą swoją złość na nieostrożnym kierowcy. Zanim jednak z moich ust popłynęły wyrzuty, zobaczyłem, że kierowcą jest kobieta. Na ogół staram się być dżentelmenem, więc — choć przyszło mi to z największym trudem — powstrzymałem się od wrzasku i poprzestałem na posłaniu w stronę samochodu ponurego spojrzenia.

Kobieta siedząca za kierownicą zaparkowała swojego czerwonego opła corsę przy samym krawężniku kilka metrów przede mną. Moja groźna mina nie zrobiła na niej najwyraźniej żadnego wrażenia, bo jej usta wykrzywiły się w delikatnym półśmiechu. Przechyliła się na siedzeniu i otworzyła drzwi od strony pasażera.

Gdy tylko wydłubałem z lewej brwi grudkę błota, odzyskując zdolność widzenia, dostrzegłem w jej twarzy coś znajomego. Nie potrafiłem jednak sobie przypomnieć, skąd ją znam. Najwyraźniej miała lepszą pamięć ode mnie.

— Tomek?! — krzyknęła tak głośno, że idący kilkanaście metrów przede mną chłopak podskoczył i obejrzał się nerwowo. — No pewnie, że tak. Poznajesz mnie?

Przez chwilę chciałem odpowiedzieć, że niestety nie, ale na szczęście w ostatniej chwili odblokowała się w mojej pamięci jakaś klapka i już wiedziałem, kto mnie ochlapał. Poczułem, że cała złość i zły humor wyparowały ze mnie jak kamfora.

— Cześć, Aśka. — Uśmiechnąłem się, nachylając się nad otwartymi drzwiczkami. — Kopę lat. Nic się nie zmieniłaś.

— To miał być komplement? — dziewczyna zaśmiała się głośno, mierząc mnie roziskrzonym spojrzeniem. — Miałam nadzieję, że trochę wyładniałam — dodała, zupełnie ignorując fakt, że zablokowała połowę dość ruchliwej ulicy.

Kiedyś uważałem, że jest na swój sposób ładna, chociaż tu i ówdzie miała zbyt dużo ciała. Od tego czasu niewiele się zmieniło. Nie udało jej się schudnąć, ale też — przynajmniej z tego, co widziałem — specjalnie nie przytyła. Miała śliczną twarz z wielkimi ciemnymi oczami i trochę zbyt szerokie biodra, ale to nie za wygląd ją polubiłem.

— No pewnie, że jeszcze wyładniałaś — odparłem niezręcznie. Nie czułem się pewnie w takich potyczkach słownych, więc przeszedłem na bezpieczniejszy grunt. — Jak tam studia? Jesteś już panią magister?

— Jeszcze nie. Na razie jestem panią licencjat. — Znów się uśmiechnęła, choć uśmiech ten zbladł na dźwięk klaksonu mijającego ją samochodu. — Idziesz do szkoły? Wsiadaj, podrzucę cię, bo zaraz mnie tu stratują.

Wpakowałem się do środka, starając się nie nanieść zbyt dużo błota. Aśka uruchomiła nadmuch na szybę i po chwili nieco niezdarnie włączyła się do ruchu. Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, które traktowałem jak przyjazne. Zastanawiałem się, kiedy ostatnio ze sobą rozmawialiśmy.

Podczas pierwszego roku mojej pracy była moją ulubioną uczennicą. Narzekałem wówczas na podwarszawską młodzież i pracowało mi się bardzo trudno — Aśka była jedną z nielicznych jej reprezentantek, dzięki którym nie utraciłem wiary w sens swojej pedagogicznej misji. Nie dość, że była grzeczna i zabawna, to jeszcze



— w przeciwieństwie do znacznej części innych, wiecznie zbuntowanych uczennic klasy maturalnej — dało się z nią normalnie porozmawiać. Podczas pierwszego roku pracy w szkole nauczyłem się, że wiele dziewiętnastolatków ma jeszcze w głowie kompletne fiu bździu. Aśka była bardziej dojrzała, a co więcej, uwielbiała historię, czyli nauczany przeze mnie przedmiot, który — co wbrew pozorom wcale nie jest normą — był przy tym moim konikiem. Nasze namiętne dyskusje na tematy związane z przeszłością bardzo często przerywał dopiero dzwonek.

Ale tak naprawdę poznaliśmy się później.

Gdy zacząłem pracę w szkole, Aśka, czyli Joanna Grabowska, była w klasie maturalnej. Po egzaminie dojrzałości dostała się na studia (oczywiście na wymarzoną historię) i zniknęła mi z oczu. Spotkaliśmy się ponownie w salach wystawowych miejskiego domu kultury, gdzie ja znalazłem się jako konsultant cyklicznej wystawy historycznej, a ona odbywała jakąś praktykę. Zupełnie naturalnie zaczęliśmy ze sobą spędzać czas — spotykaliśmy się tak często, że do moich uszu zaczęły dochodzić plotki, jakoby między nami było coś więcej niż przyjaźń. Trwało to przez całe leniwe lato i w naturalny sposób urwało się zaraz po wakacjach. Ja wróciłem do pracy, a ona na uczelnię. Kiedy to było?

— Jakieś trzy lata temu — powiedziałem na głos. — Ostatnio widzieliśmy się przed trzema laty. Szmata czasu.

— Tak. — Dziewczyna niespodziewanie zarumieniła się aż po cebulki włosów. — Tomek, ja cię przepraszam za tego matoła. Wiem, że u ciebie był i próbował cię pobić...

Roześmiałem się ubawiony.

— Zupełnie zapomniałem. On chyba rzeczywiście był od ciebie. Wykrzykiwał coś o zdradzie i honorze... A potem rzeczywiście chciał mnie pobić. To twój chłopak?

— Były — odpowiedziała wciąż zmieszana. — Zdecydowanie były. Byłam wtedy młoda. Młody człowiek ma prawo do błędów, ale i tak mi głupio — westchnęła, a ja z trudem powstrzymałem kolejny wybuch śmiechu. Rzeczywiście, teraz jest staruszką i już nigdy nie popełni błędu...

— Muszę przyznać, że napędził mi trochę strachu — powiedziałem

z udawaną powagą. — Gdyby nie Marek, nasz sportowiec-wuefista...

— Pamiętam — westchnęła ponownie. — Podbił mu oko.

Okładałam je potem cytryną.

— Pewnie wyszło mu to na zdrowie — ciągnąłem z rozbawieniem.  
— Wyleczyło z chorobliwej zazdrości...

— Nie bardzo — przerwała mi. — Ataki zazdrości powracały i w pewnym momencie miałam dość. W ogóle dużo się u mnie zmieniło. Wiesz, nie studiuję już historii. Przeniosłam się na dziennikarstwo. Uwierzyłybyś?

Paplaliśmy sobie beztrosko, tak jakbyśmy ostatni raz widzieli się nie trzy lata, lecz trzy dni temu. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że od chwili, kiedy się spotkaliśmy, ani razu nie pomyślałem o Mateuszu. Poczułem nawet irracjonalne wyrzuty sumienia. Zanim zdążyłem je odegnąć, dziewczyna wypowiedziała imię zmarłego. Było to tak niespodziewane, że aż się wzdrygnąłem.

— ...i widziałam nauczyciela geografii. Pana Mateusza...

— Kownackiego — dokończyłem machinalnie. — Już go nie zobaczysz — dodałem jeszcze, ganiąc się w myślach za podświadome zamiłowanie do dramatycznych efektów.

Patrzyła na mnie swoimi wielkimi oczami, stopniowo przyswajając moje słowa.

— Jak to... już go nie zobaczę? — spytała po chwili z niepewnym półuśmiechem. Jej mina wskazywała, że odebrała moje słowa jako żart, którego nie rozumiała.

— Mateusz nie żyje — powiedziałem sucho, znów ponury jak noc.  
— Wczoraj wieczorem znaleźliśmy go w szkole. Powieszzonego.

Aśka zamilkła i zwolniła, a potem skręciła z drogi na parking przy stacji kolejowej, po czym zatrzymała samochód i wyłączyła silnik.

— Co? — spytała, odwracając ode mnie głowę i wpatrując się w okno.

Próbowałem znaleźć jakieś delikatne słowa, by opisać wydarzenia wczorajszego dnia. Niestety takich słów po prostu nie było. Przedstawiłem jej więc całą brutalną prawdę. Gdy skończyłem, przez jakiś czas milczała.

— Zawsze wydawał się taki spokojny. Taki... — przez chwilę

szukała odpowiedniego słowa — twardo stąpający po ziemi. Nie sądziłam, że tego typu człowiek jest w ogóle zdolny do samobójstwa. On miał jakąś rodzinę, prawda?

— Miał, ale to też nie jest takie proste. — Opowiedziałem jej o wizycie u Janki. — Ja nie wierzę, żeby to było samobójstwo.

— Czyli co? Morderstwo? — skojarzyła od razu Aśka. Przypomniało mi się, jak bystrą była uczennicą. — Ale kto mógł chcieć go zabić?

Uchyliłem nieco okno, bo w samochodzie zaczęły parować szyby. Obok nas wciąż ktoś przechodził, a ja nie miałem ochoty na kolejną falę plotek albo wizytę jakiegoś osiłka, który okazałby się jej nowym chłopakiem. W moim zawodzie takie plotki były nieprzyjemne, a wizyty rozjuszonych młodzieńców groziły poważnymi obrażeniami.

— Też się nad tym zastanawiałem i nie mam pojęcia — odpowiedziałem. — Nie słyszałem, by Mateusz miał jakichś wrogów. Moja pewność wynika z czego innego. Przecież wiesz, że dobrze go znałem. Otóż — wypowiedziałem to na głos po raz pierwszy, ale myślałem o tym od momentu, w którym dowiedziałem się o jego śmierci — Mateusz nigdy nie sprawiał wrażenia bardziej szczęśliwego niż ostatnio. Nie był w tak dobrym nastroju od czasu, kiedy go poznałem. Nie wiem, czy był to jakiś romans, wygrana w lotka, czy jeszcze coś innego, ale wprost promieniował radością. Przecież tacy ludzie nie odbierają sobie życia!

— Może po prostu udawał. Grał tylko zadowolonego — zasugerowała dziewczyna. Jej zmarszczone czoło wskazywało, że intensywnie nad czymś myśli. — Dla nas, czyli uczniów, zawsze był nie do rozgryzienia. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy żartuje, a kiedy mówi serio.

Przez jakiś czas analizowałem jej słowa, gapiąc się na pociąg, który właśnie zatrzymał się na stacji. Z długiego wagonu zwanego przez autochtonów elfikiem wysypało się kilkadziesiąt osób. Większość z nich skierowała się w naszą stronę i przez chwilę miałem wrażenie, że utoniemy w tej nadciągającej fali. Wiedziałem, że znaczna część mieszkańców naszej miejscowości codziennie dojeżdża do pracy w Warszawie, ale nie zdawałem sobie dotąd sprawy, że intensywny ruch

odbywa się też w przeciwną stronę.

— To fakt, Mateusz zawsze trzymał karty przy orderach — zgodziłem się wreszcie. — Byłem jedną z najbliższych mu osób, a mimo to nie powiedział mi o swojej separacji z żoną. Nie miałem też pojęcia, że może mieć kochankę.

— Czyli mógł tylko udawać, że ma dobry nastrój. Czytałam, że ludzie cierpiący na depresję najczęściej ukrywają swoje problemy. Wiem — uniosła rękę, widząc, że chcę jej przerwać — ja też nie znoszę domorosłych psychologów i paranaukowych artykułów z czasopism dla gospodyń domowych. Wiemy tyle co nic...

— To fakt — przyznałem machinalnie, ale nie dała mi rozwinąć tej myśli.

— Może więcej wie policja — ciągnęła, patrząc mi tym razem prosto w oczy. — Jakieś odciski palców, mikroślady, sekcja zwłok...

— Postaram się czegoś dowiedzieć — stwierdziłem i opowiadając jej o zawartej wczoraj znajomości z rudą policjantką, wymacałem w kieszeni kartkę, na której zapisała swój numer telefonu. — Przekręcę do niej po południu — obiecałem i zerknąłem na wyświetlacz telefonu. Zaczynało się robić późno.

— Chcesz czekać do popołudnia? Zadzwoń teraz, proszę — powiedziała, chwytając mnie za ramię.

Jej entuzjazm niezbyt mi się spodobał. Rozumiałem, że w każdym jest coś z detektywa, ale odniosłem wrażenie, że dla niej była to tylko zabawa. A ja nie traktowałem tego w kategoriach rozrywki.

— Nie zadzwonię — stwierdziłem stanowczo. — Ta policjantka miała wczoraj dyżur i na pewno go teraz odsypia. A jeżeli już mówimy o dyżurach — wykrzywiłem twarz w ponurym grymasie — to za dwadzieścia minut zaczynam lekcję. Podrzucisz mnie pod szkołę?

— Jasne — włączyła silnik i ruszyła tak gwałtownie, że żołądek podskoczył mi do gardła. — Przepraszam, prowadzę od niedawna — usprawiedliwiła się, a ja zrobiłem ukradkiem znak krzyża. — A powiedz mi jeszcze, o co cię pytali podczas przesłuchania?

Wysiliłem pamięć i starając się mówić jak najbardziej zdawkowo — żeby jej nie rozpraszać, bo prowadziła koszmarnie — przytoczyłem jej treść swoich wczorajszych zeznań. Była tak dociekliwa, że

w pewnym momencie poczułem się tak, jakby przesłuchiowano mnie po raz drugi. Gdy skończyłem, dostrzegłem w jej oczach coś, co mi się nie spodobało.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz zrobić niczego głupiego — powiedziałem z lekką obawą w głosie. — Pamiętaj, że być może Mateusz został zamordowany. To nie jest zabawa.

— Niczym się nie przejmuj — odpowiedziała pozornie spokojnym tonem, wpatrując się w tylną szybę jadącego przed nami autobusu. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu i wtedy...

Odniosłem wrażenie, że jej twarz przybrała odrobinę ciemniejszą barwę. Przyjrzałem się i pozbyłem się resztek wątpliwości — dziewczyna wyraźnie się zarumieniła. Dodało jej to niezaprzeczalnego uroku, ale zdecydowanie mi się nie spodobało. Była taka młoda i naiwna. Nie chciałem, by coś się jej stało.

— Aśka. — Ton mojego głosu sprawił, że pokrywający jej twarz rumieniec jeszcze się nasilił. — Chciałbym, żebyś mi coś obiecała.

— Co tylko zechcesz. — Uśmiechnęła się figlarnie, ale gdzieś za tą zalotną fasadą wyczułem także inne uczucie. Strach? Zdenerwowanie?

Odczekałem kilkanaście sekund, aż skręciła na parking obok budynku szkoły.

— Chcę, żebyś mi obiecała, że nie będziesz prowadzić żadnych amatorskich śledztw — powiedziałem, świdrując ją wzrokiem. — To jest sprawa policji. I ewentualnie szkoły. Nie chcę, żebyś przez to, co ci nagadałem, zrobiła coś głupiego.

Jej zalotny uśmiech nieco zbladł. W jej oczach było coś dziwnego.

— Nie martw się o mnie — powiedziała powoli. — Jestem już dorosła. I możesz być pewien, nie traktuję tego jak zabawy. Pamiętaj, że Mateusz był moim nauczycielem.

— Wiem, ale chodzi mi o to... — chciałem powiedzieć jej coś pedagogicznego, ale bezceremonialnie mi przerwała. Minęły już czasy, gdy mogłem przy niej pozować na kogoś w rodzaju mentora.

— Zdzwonimy się? — zapytała, znów obdarzając mnie ciepłym uśmiechem.

Poczułem ukłucie niepokoju. Żadne z wypowiedzianych przez nią słów nie niosło ze sobą cienia obietnicy, na którą czekałem. Uznałem

jednak, że nie mam prawa czegoś jej zakazywać. Miała rację, nie była już dzieckiem.

— Zadzwonię — powiedziałem, nachylając się i całując ją w policzek. Spontanicznie mnie objęła, przyciskając mój podbródek do swoich pełnych piersi. Ten przelotny kontakt z jej biustem ostatecznie utwierdził mnie w przekonaniu, że czasy, gdy była dzieckiem, dawno już minęły. — Uważaj na siebie — dodałem jeszcze i wysiadłem z samochodu.

Gdy włączyła się do ruchu, znowu wymuszając pierwszeństwo, odniosłem wrażenie, że jej pożegnalne spojrzenie zawierało w sobie nadmierny ładunek emocjonalny. Zupełnie jakby myślała, że spogląda na mnie ostatni raz. Wrażenie było chwilowe — przegoniłem je niemal natychmiast jako kompletnie absurdalne.

Ruszyłem w kierunku furtki, pogrążony w niewesołych myślach. Wzrok miałem utkwiony w chodnikowych płytach. W połowie drogi wpadłem na dyrektora Hołownię.

— Przepraszam, panie Tomku — odezwał się pryncypał, rozcierając łokieć. — Zamyśliłem się. Wie pan, taka tragedia!

— To ja przepraszam — odezwałem się i odruchowo zrobiłem trzy kroki w tył. Nagłe spotkanie z człowiekiem, którego wczoraj w nocy widziałem w zupełnie innych okolicznościach, kompletnie wytrąciło mnie z równowagi. Chociaż teraz na jego twarzy gościł sympatyczny uśmiech, ja wciąż miałem przed oczami obraz mężczyzny z parku — wrzeszczącego, szarpiącego i grożącego. Wrażenie było tak sugestywne, że aż rozejrzałem się wokoło za sponiewieranym wczorajszej nocy panem Leopoldem.

— Dobrze się pan czuje, panie Tomku? — Troska w głosie dyrektora brzmiała w moich uszach tak surrealistycznie, że miałem ochotę się uszczypnąć. Zmobilizowałem całą swoją silną wolę i z najwyższym trudem przywołałem się do porządku.

— Średnio, panie dyrektorze. Cały czas jeszcze nie mogę się otrząsnąć.

— Ja też. Ja też — westchnął Hołownia. Zacząłem powoli iść w stronę szkolnego budynku, ale zastąpił mi drogę. — Niech pan chwilę zaczeka — poprosił i rozłożył parasolkę. Deszcz, który niemal zupełnie

już ustał, znów rozpadał się na dobre. — Chyba długo pana wczoraj trzymali?

— Gdzieś do dwudziestej drugiej — odpowiedziałem enigmatycznie. Uznałem, że nie ma sensu wspominać o wizycie u żony Mateusza, a tym bardziej o mojej dalszej wieczornej aktywności. Gdybym mógł, to w ogóle nic bym mu nie zdradził.

— I co pan o tym myśli?

— Nie wiem, co o tym myśleć. Najchętniej w ogóle bym nie myślał. Mateusz był moim przyjacielem...

— Moim też — wszedł mi w słowo zboląłym głosem.

Skwitowałem tę bzdurę milczeniem. — Wiem, że wiele osób uważało inaczej, ale naprawdę się lubiliśmy. Znaliśmy się ze dwadzieścia lat. Dziwnie tu będzie bez niego, prawda?

Skinąłem głową, wciąż nie ufając swojemu głosowi na tyle, by się odezwać. Uwaga dyrektora dotycząca ciepłych uczuć, które żywił dla nauczyciela geografii, była do tego stopnia oderwana od rzeczywistości, że zakrawała na makabryczny żart. O ich braku wzajemnej sympatii krążyły legendy. Mateusz co roku obawiał się, że dyrektor znajdzie w końcu pretekst i usunie go ze szkoły. Ponoć było to jego największe marzenie. Nie miałem pojęcia, skąd wzięła się ta obustronna niechęć. Raz jeszcze musiałem przyznać rację Aśce — geograf był człowiekiem więcej niż skrytym.

— Uczniowie już wiedzą? — wykrztusiłem z siebie w końcu, bo milczenie stawało się niezręczne.

— Nie wiedzą — odpowiedział natychmiast. — I chciałbym, żeby to trwało jak najdłużej. Niepotrzebna nam tu zbiorowa histeria. Marzy mi się, by okoliczności tej śmierci nigdy nie ujrzały światła dziennego, ale to chyba niemożliwe. Jak to w ogóle brzmi: samobójstwo nauczyciela... — Mówiąc o samobójstwie, ściszył głos, chociaż dzwonek na przerwę jeszcze nie zadzwonił i w zasięgu naszego wzroku nie było żywego ducha.

Po cichu zgodziłem się z dyrektorem, że wiadomość o samobójstwie członka grona pedagogicznego nie prezentowałaby się zbyt dobrze w folderze zachęcającym do podjęcia nauki w naszym liceum. Nie rozumiałem tylko jednego. Dlaczego dyrektor tak uparcie

nie chciał przyjąć do wiadomości, że śmierć Mateusza nastąpić mogła nie na skutek samobójstwa, lecz morderstwa? W kontekście tego, co podsłuchałem wczorajszej nocy, wydało mi się to podejrzane, chociaż nie mogłem wykluczyć, że chodzi mu jedynie o dobro zarządzanej placówki. Mimo wszystko informacja o samobójstwie nauczyciela nie brzmiała tak źle jak wiadomość, że w naszej szkole grasuje morderca...

— Tego nie da się na długo ukryć przed uczniami — powiedziałem z pewnością w głosie, a on pokiwał ponuro głową. — Pewnie po sekcji zwłok wyznaczony zostanie termin pogrzebu, ale sądzę, że wszystko wyda się o wiele szybciej. Czy wersja z samobójstwem ma być oficjalna?

Hołownia popatrzył na mnie z przyganą i zmarszczył swoje krzaczaste, szpakowate brwi. Zawsze w taki sposób manifestował swoje niezadowolenie.

— Nie będzie żadnej oficjalnej wersji — powiedział stanowczo. — Macie im mówić, że profesor Kownacki zmarł na skutek nieszczęśliwego wypadku. I nic ponadto, jasne?!

Przez moment miałem ochotę mu powiedzieć, że jak dla mnie odgórne polecenie, co mamy mówić uczniom, nosiło jednak pewne znamiona oficjalnej wersji, ale machnąłem ręką. Nie wdąłem się też w dyskusję o tym, czy śmierć nastąpiła w wyniku samobójstwa, czy też doszło do morderstwa. Nie miałem ochoty na jałowe kruszenie kopii, a poza tym nie chciałem go do siebie zrażać. Coś ukrywał i liczyłem, że jeżeli nasze stosunki będą neutralne, to nie będzie miał się na bacności i wcześniej czy później zdradzi się jakimś nieostrożnym słowem. Dlatego natychmiast się z nim zgodziłem, zabarwiając swój głos odpowiednią nutką pokory.

W ramach pochwały otrzymałem serdeczne klepięcie w ramię.

— Cieszę się, że się rozumiemy — powiedział, zacierając ręce. — Mam do pana jeszcze jedną prośbę. Jak pan zapewne wie, Mateusz był w naszej szkole jedynym geografem. Nowego geografa zatrudnimy pewnie dopiero od września, a tymczasem trzeba będzie zorganizować jakiś system zastępstw. Czy będę mógł panu wcisnąć ze cztery dodatkowe godziny? W poniedziałki i we wtorki, dobrze?

Pytanie było naturalnie retoryczne, więc skinąłem tylko głową. Nie



mieliśmy więcej wspólnych tematów, zatem udaliśmy się w kierunku szkoły. Gdy przekraczaliśmy furtkę, w powietrzu rozległ się miarowy terkot dzwonka na przerwę. Po chwili przestrzeń wokół nas zarojła się od uczniów, którzy mimo deszczu wybiegli na dwór. Większość z nich skierowała się od razu w stronę usytuowanego przy ogrodzeniu murowanego śmietnika, aby — kryjąc się w jego wnętrzu — w spokoju wypalić papierosa.

— Ja ci popalę, Wiśniewski, ja ci popalę. — Dyrektor żartobliwie pogroził palcem mijającemu nas dryblasowi, który uśmiechnął się niewyraźnie i uciekł oczami w bok. — Sami sportowcy — westchnął i teatralnie załamał ręce. Zachowywał się zupełnie swobodnie, nie dając po sobie poznać, że stracił jednego z nauczycieli. Zanotowałem w myślach, że okazał się świetnym aktorem. — Ach, panie Tomku — powstrzymał mnie w momencie, gdy korzystając z tłoku, zamierzałem niepostrzeżenie się oddalić. — Widziałem, że nie przyjechał pan dziś do szkoły sam. To chyba była jedna z naszych absolwentek, prawda?

Zakląłem w duchu, gdyż nie znosiłem plotek.

— Tak, kilka lat temu zdawała maturę — powiedziałem najbardziej zdawkowym tonem, na jaki było mnie stać. — To tylko koleżanka, spotkaliśmy się przypadkiem.

— Nie wątpię. — W jego zamierzeniu uśmiech miał być chyba porozumiewawczy, ale mi wydał się oblesny. Miałem już dosyć swojego przełożonego i chciałem jak najszybciej zniknąć. Na szczęście jemu też zaczęło się gdzieś spieszyć. — Mam wrażenie, że widziałem ją gdzieś jeszcze. Nie tylko w szkole — powiedział tylko, po czym skinął mi ręką i zniknął w budynku szkoły.

Odczekałem kilkanaście sekund i poszedłem w jego ślady. Chciałem przemknąć bezpośrednio do klasy, w której miałem prowadzić lekcję, i dopiero równo z dzwonkiem pójść do pokoju nauczycielskiego po pendrive'a, na którym miałem swój elektroniczny dziennik. Niestety mój plan spalił na panewce już na parterze.

— Tomek! No chodź tutaj — zawołał mnie Karol, a jego gorączkowa gestykulacja nie pozostawiła mi wyboru.

Mój przyjaciel był równie chudy jak ja, ale prawie o dwie głowy

wyższy. Gdy podałem mu rękę, niemal siłą wciągnął mnie do swojej klasy, zastawionej kilkunastoma nieco archaicznymi komputerami. Ale w klasie były nie tylko komputery. W jej najdalszym kącie zobaczyłem dwie osoby: wuefistę Marka i anglistkę Joannę Kubiak.

Łamiąc zasady bon tonu, najpierw przywitałem się z Markiem, a dopiero później podszedłem do siedzącej w sąsiedniej ławce kobiety.

— Cześć, Joanna. — Podałem jej rękę, a ona uściśnęła ją po męsku. A raczej zmiażdżyła mi dłoń w niedźwiedzim uścisku.

— Cześć — odparła grubym głosem i wróciła do beznamiętnego obgryzania paznokci.

Joanna wyglądała zupełnie jak facet. I to nie byle jaki facet. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu i ważyła pewnie z dziewięćdziesiąt kilo, ale na jej ciele nie było ani grama tłuszczu. Składała się wyłącznie z mięśni, których pozazdrościłby jej niejeden kulturysta. O tym, że jest kobietą, świadczył jedynie brak zarostu i gruba warstwa makijażu, oblepiająca jej twarz niczym zaprawa murarska. Kiedy się malowała, musiała chyba używać kielni.

Uczyniwszy zadość konwenansom, odwróciłem się w stronę informatyka-dryblasza. Zawsze irytowało mnie to, że kiedy z nim rozmawiałem, musiałem zadzierać głowę.

— O co chodzi? Zaraz mam lekcję. — Byłem dość obcesowy, ale z Karolem nie można się było obchodzić jak z jajkiem. W przeciwnym wypadku potrafiłby zamęczyć na śmierć. Co prawda wczoraj, w obliczu tragedii, zachowywał się w sposób rozsądny i wyważony, ale na co dzień był przede wszystkim strasznym gadułą. Albo — aby użyć bardziej plastycznego określenia — takim rzepem przyczepiającym się do psiego ogona.

Chociaż spytałem, o co chodzi, to byłem niemal pewien, że Karol chce się wymienić informacjami dotyczącymi śmierci Mateusza. I rzeczywiście, nie zdążyłem jeszcze zamknąć ust, gdy zasypał mnie mieszaniną pytań i przypuszczeń. Był przy tym tak podniecony, że ani przez moment nie trwał w jednej pozycji. Cały czas to chodził, to siadał, to skubał wargę, to grzebał w kieszeniach... Typowy neurotyk.

Z jego wynurzeń zrozumiałem tylko tyle, że od świtu całe grono pedagogiczne żyje wyłącznie jednym tematem, wszyscy są zdołowani,

przestraszeni, wybici z rytmu, pełni najróżniejszych pomysłów i teorii. I generalnie nikt nic nie wie.

— Od rana jest tu istny dom wariatów — mówił rozgorączkowanym głosem. Wystarczyło na niego spojrzeć, by stwierdzić, że sam poddał się zbiorowemu szaleństwu: jedną ręką wkładał sobie do nosa spinacz, a drugą drapał się za uchem.

— Naprawdę nie rozumiem, jak można nas trzymać po tym wszystkim w pracy. Uczniowie zaczynają czuć, że coś jest nie tak i cała szkoła przypomina tykającą bombę.

Szczerze mówiąc, niczego innego się nie spodziewałem. W końcu Mateusz był jednym z nas i jego nagła śmierć musiała wstrząsnąć całym naszym szkolnym organizmem. Z pewnością pracowało się po tym wszystkim fatalnie. Byłem pewien, że w najbliższych dniach czekają nas omdlenia, spiskowe teorie i ogólna niemoc. Może rzeczywiście najlepszym wyjściem byłoby czasowe zamknięcie szkoły?

Przyjrzałem się swoim współpracownikom i stwierdziłem, że prezentują się jak niedobitki oddziału dopiero co wycofanego z serca jakiejś krwawej, przegranej bitwy. Marek — na co dzień nasz naczelny wesolek, typowa dusza towarzystwa — siedział z nosem zwieszonym na kwintę, zupełnie wyczerpany z typowej dla siebie energii. Gapił się smętnie w szary pejzaż za oknem, a minę miał jak bezdomny pies. Joanna też wyglądała kiepsko. W workach pod jej oczami można by śmiało schować piłeczki golfowe. Z kolei neurotyczne odruchy Karola z pewnością zaciekałyby każdego psychiatrę.

— Szok, prawda? — rzuciłem w przestrzeń i nagle poczułem gwałtowną potrzebę wyrzucenia na zewnątrz buzujących we mnie uczuć. Być może wynikała ona z tego, że jak nikt inny rozumieli, co czuję. Byli równie zagubieni jak ja. — Przecież on się nie mógł zabić! Nigdy w to nie uwierzę! — Przemawiałem w tym stylu jakieś dwie minuty.

— I jeszcze te wszystkie butelki wokoło, jak u jakiegoś alkoholika... Przecież Mateusz nigdy nie pił w tygodniu. Nie, to nie trzyma się kupy — spuentowałem swój monolog i wbiłem wzrok w szybę, po której spływały pojedyncze kropki deszczu.

Wcale nie poczułem się lepiej. Wręcz przeciwnie — ubranie w słowa tego, co kotłowało się w mojej głowie, sprawiło, że łyzy

napłynęły mi do oczu. Zacząłem się obawiać, że nie zdołam poprowadzić lekcji. Cisza, która zapadła po moich słowach, wcale mi nie pomagała.

— Powiedzcie coś! — rzuciłem niemal ze złością. — No czemu nic nie mówicie?! — Odwróciłem się gwałtownie i wytrzeszczyłem oczy.

Na ich twarzach malowało się jedno zgodne uczucie. I wcale nie był to smutek, bezsilność czy złość. To było coś, czego kompletnie się nie spodziewałem.

Z ich oczu wyzierało zakłopotanie.

— Co jest grane? — spytałem po chwili. W mojej głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Oprócz nich ciszę mącił jedynie tykający zegar, którego wskazówki niepokojąco szybko zbliżały się do godziny rozpoczęcia następnej lekcji. — Słuchajcie, mam cztery minuty. Niech ktoś mnie wreszcie oświeci, co jest grane!

Jeszcze przez jakiś czas spoglądali na siebie bezradnie. Pierwszy ciszę przerwał Marek, ale tylko po to, by wywołać do tablicy Joannę.

— Mów ty — powiedział, zachęcając ją gestem. A potem powrócił do kontemplowania bardziej dziś jesiennego niż wiosennego krajobrazu za oknem.

— No dobrze. — Joanna podniosła się z krzesła i przez chwilę stała, wyłamując palce. Potem zaczęła krążyć po pokoju. — Chcemy, żebyś coś wiedział. Mówiliśmy to dotąd tylko policji. To znaczy tylko ja i Marek, Karola już o to nie pytali. To było tak — zawiesiła głos, jakby szukając słów.

— Mam jeszcze tylko trzy minuty, więc postaraj się trochę streszczać — poprosiłem niepewnie. Ta niepewność wynikała z faktu, że nigdy nie spodziewałem się oglądać jej w takim stanie. Zawsze robiła na mnie wrażenie herod-baby, a teraz kluczyła i krygowała się niczym zagubiona mała dziewczynka.

Głęboko odetchnęła, zacisnęła pięści — których nie powstydzilby się sam Mike Tyson — i postanowiła wziąć się w garść. Każde kolejne słowo zdawało się wypływać z jej ust szybciej od poprzedniego.

— Przedwczoraj były moje imieniny — mówiła, a ja zamieniłem się w słuch. — Ty nie mogłeś zostać, ale siedzieliśmy sobie w kilka osób

w pokoju nauczycielskim. Był Marek, Karol i jeszcze kilka osób. Pojawił się też Mateusz. Było bardzo sympatycznie. Siedzieliśmy nad ciastem i w pewnym momencie pojawiła się też butelka. Kiedy się skończyła, postanowiliśmy przenieść się dalej.

— Poszliśmy we czwórkę, czyli nasza trójka plus Mateusz — wtrącił się Karol. — Zaprosiłem ich do siebie. Wiesz, nie wypadało nam kręcić się w tygodniu po mieście. Byliśmy już trochę trafieni, a u mnie...

— Karol wyciągnął następną butelkę i zrobiło się wesoło — wszedł mu w słowo Marek. — To była jakaś mocna nalewka i strasznie uderzyła nam do głowy...

— Nikt wam nie kazał jej pić szklankami — przerwał z oburzeniem Karol. Wydawało mi się, że zaczną się kłócić jak przekupki, ale Joanna zgromiła ich wzrokiem i posłusznie zamilkli.

— Około osiemnastej Mateusz odebrał telefon — podjęła opowieść. — Zwróciłam na to uwagę, bo to była dziwna rozmowa. A w zasadzie nawet nie rozmowa, tylko najwyraźniej coś w rodzaju monologu. Mateusz zapytał najpierw, o co chodzi, a potem już w ogóle się nie odezwał, tylko kiwał głową. Gdy tylko skończył, od razu wstał od stołu i powiedział, że musi już iść i że... Co on właściwie dokładnie powiedział?

— Jakoś tak dziwnie powiedział — Karol w zamyśleniu potarł podbródek. — Że odebrał pocztówkę z przeszłości, czy coś takiego. I że musi natychmiast coś załatwić. W każdym razie zbladł jak prześcieradło i wyglądał, jakby przybyło mu co najmniej z dziesięć lat. Pożegnał się i tyleśmy go widzieli.

— Pocztówkę z przeszłości? Co to mogło znaczyć? — zapytałem i niemal w tym samym momencie zabrzmiał dzwonek kończący przerwę.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział mi Marek. — Ale nie to było najdziwniejsze. Wiesz, naprawdę wtedy popiliśmy. Nie jestem z tego dumny. Ale najbardziej wzięło Mateusza. Do momentu odebrania telefonu bełkotał tak, że trudno go było zrozumieć. A potem jak ręką odjął. Gdy się rozłączył, odniosłem wrażenie, że jest trzeźwy jak sędzia.

— Nie mogę sobie darować, że go wtedy wypuściliśmy bez słowa wyjaśnienia — westchnęła anglistka. — Wyglądał tak dziwnie. Ale

wiesz, wszyscy byliśmy pijani. Żadne z nas nie pomyślało nawet o tym, by do niego później zadzwonić.

— I nie spytaliśmy go o nic, ani o ten telefon, ani nawet gdzie idzie. Po prostu jakieś zbiorowe zaćmienie. Gdybyśmy mogli tylko przewidzieć, co się stanie, to... — Karol urwał, szukając właściwych słów, a nie znalazłszy ich, tylko machnął ręką.

Zrozumiałem, że oprócz dostrzeżonego przeze mnie zakłopotania ta sytuacja wywoływała w nich wszystkich poczucie winy. Wcale się im nie dziwiłem. W końcu być może byli ostatnimi osobami, które widziały go żywego. Oczywiście oprócz mordercy.

— Wiesz, o czym teraz marzymy? — Karol zeskoczył z parapetu, na którym wcześniej przycupnął. — Marzymy o tym — powiedział cichym głosem, idąc w moim kierunku — by się okazało, że to nie było samobójstwo. Żadne z nas do końca życia nie darowałoby sobie tego, że nic nie zauważyliśmy i Mateusz powiesił się zaraz po naszym spotkaniu. To byłoby straszne. Jesteś w stanie w ogóle to pojąć? Od rana siedzimy tu na każdej przerwie i dosłownie się o to modlimy!

— Cholera — kiwnąłem głową, po czym zadumałem się na moment. Wewnętrzny głos przypominał mi, że już zaczęła się lekcja, ale chciałem wyciągnąć z nich jak najwięcej. — Czyli wyglądał na przestraszonego?

— Chyba raczej na bardzo zaskoczonego — powiedziała w zamyśleniu Joanna. — Nie drżał mu głos, nic z tych rzeczy. Wyglądał tak, jakby...

— Jakby zobaczył ducha — wtrącił się Marek, a ja poczułem aż nazbyt dobrze mi znane uczucie przebiegających wzdłuż kręgosłupa ciarek. Wzdrygnąłem się i raz jeszcze zadałem sobie w myślach te same pytania.

Usłyszał kilka słów i od razu wytrzeźwiał? Jakże to musiały być słowa?

Stałbym tak jeszcze długo, ale Karol klepnął mnie w ramię.

— My mamy okienko, ale wydaje mi się, że ty masz teraz zajęcia z drugą klasą. Leć do nich, bo ci się zaraz rozejdą i dyrektor znów będzie się ciskał.

— Dobrze, pogadamy na następnej przerwie — rzuciłem i żwawo,

co nie licowało z powagą mojego zawodu, pomknąłem najpierw do pokoju nauczycielskiego, a potem na pierwsze piętro do pracowni historycznej.

Dotarłem na miejsce dosłownie w ostatniej chwili. Część uczniów zgromadziła się już na korytarzu i z niepokojem filowała, czy nie nadchodzę, zerkając przy tym ustawicznie na zegarki. W głębi serca doskonale rozumiałem ten wyraz rozczarowania, który pojawił się na większości młodych obliczy w momencie, gdy pokonałem schody i gestem dłoni nakazałem powrót do klasy. Na miejscu uczniów też wolałbym teraz — zamiast spędzać następne czterdzieści minut w niewygodnej ławce — porobić coś przyjemniejszego: porzucać do kosza, posnuć się po okolicy lub zwyczajnie pogadać z dziewczynami. Ale cóż poradzić — tryby edukacyjnej maszyny nie mogły przestać się kręcić nawet w taki dzień jak dziś.

Podszedłem do tablicy przy akompaniamencie smutnych westchnień i stłumionych jęków. Sam miałem ochotę jęknąć albo westchnąć.

— Nieładnie tak się spóźniać — rzucił teatralnym szeptem jeden z klasowych wesołków, wywołując swoją uwagą nieśmiały śmiech kilku najbliższej stojących osób.

— Panie Marcinkowski, nauczyciel też musi kiedyś zjeść drugie śniadanie — odpowiedziałem pozornie wesołym głosem. Tym razem zaśmiali się niemal wszyscy, z wesołkiem na czele. Popatrzyłem na niego przelotnie, usiłując dobrze zapamiętać ten incydent. Chłopak zarobił u mnie minusa, gdyż nie lubiłem uczniów, którzy za bardzo się popisywali. Chociaż niczego nie dałem po sobie poznać, uznałem jego uwagę za zbyt bezczelną.

Zawód nauczyciela jest jedyne w swoim rodzaju. Wymaga nie tylko znajomości nauczanego przedmiotu i odznaczenia się jakąś formą zdolności przywódczych, ale także — a może przede wszystkim — olbrzymich pokładów cierpliwości. Panuje powszechna opinia, że najważniejsze są w tym zawodzie pasja i miłość do młodzieży, ale to jest akurat kompletna bzdura. Liczy się głównie cierpliwość.

Już w pierwszych dniach swojej pedagogicznej kariery zdałem sobie sprawę, że nie znoszę większości uczniów. Nienawidziłem

zwłaszcza chamstwa i wulgarności — wiele osób kładzie te cechy na karb niepełnej dojrzałości, traktując je jako uboczny efekt dorastania, ale ja nie byłem tak tolerancyjny. Uznawałem, że wybaczyć można niemal wszystko, ale chamstwo było w moim mniemaniu niewybaczalne i tępiłem je z całą surowością.

Innych, mniej rzucających się w oczy uczniowskich przymiotów na ogół nie zwalczałem, co jednak nie znaczy, że mnie nie irytowały. Irytowała mnie skłonność do popisywania się, złościła umysłowa tępota i lenistwo, drażnił pretensjonalny sposób wyrażania i posługiwanie się gwarą uczniowską. Zresztą lista tego, co we współczesnej młodzieży działało mi na nerwy, była zdecydowanie dłuższa.

Pochodziłem z niewielkiej miejscowości, z regionu dotkniętego strukturalnym bezrobociem. W domu nigdy się nie przelewało, a jedynym artykułem pierwszej potrzeby była dla moich współdomowników tak zwana księżycówka, nosząca także bardziej popularną nazwę bimbru. Tam, skąd pochodziłem, pili wszyscy — mężczyźni, kobiety, staruszkowie i dzieci. Jedyna droga ucieczki od tej beznadziejnej egzystencji prowadziła przez szkołę. Szkoła była dla mnie wówczas oknem na świat i miejscem, do którego chodziło się nie za karę, ale w nagrodę. W tamtych czasach problemy dorastania kojarzyły mi się z głodem i brakiem podręczników. A ci tutaj...

Ci mieli wszystko, a mimo to wielu z nich sprawiało wrażenie wiecznie niezadowolonych i nieszczęśliwych. Może trochę to trywializowałem, ale często odnosiłem wrażenie, że problemy naszej szkolnej młodzieży dotyczyły głównie pryszczy, ubioru czy posiadanych modeli smartfonów. Całe to rozpieszczone towarzystwo było oczywiście zbuntowane i żyło w przeświadczeniu o własnej wyjątkowości. Wszystkich dorosłych uważali w większości za bandę idiotów, rzucającą im pod nogi coraz to nowe kłody. W swoim mniemaniu byli ofiarami podłości tego świata. To właśnie ta podłość kazała im odrabiać lekcje i ustępować miejsca starszym, zabraniała zakładać prześwitujące bluzeczki, przekłuwać pępek i łuki brwiowe czy też palić marihuanę... Pochodziłem z innego świata, moja młodość nie była usłana różami. Pewnie dlatego nie byłem w stanie ich zrozumieć, a tym bardziej polubić...



Wraz z upływem lat i szeregiem rozczarowań wygasła też gdzieś moja pasja. Po zderzeniu z murem ignorancji, lenistwa i tępoty pozostały z niej jedynie strzępy. Niestety coraz rzadziej trafiały się w szkolnych ławach osoby takie jak Aśka. Uczniowie, którzy połknęli bakcyła historii, stawali się stopniowo gatunkiem wymarłym, tak jak tygrysy szablozębne... Także w tej klasie próżno byłoby szukać czcicieli muzy Klio.

— Pani Karolino, jakie imię nosiła w mitologii greckiej muza historii? — spytałem na próbę, ale dziewczyna w wielkich przeciwsłonecznych okularach, założonych na przekór temu, że od rana nie było nawet krztyny słońca, popatrzyła na mnie bez cienia zrozumienia.

— Jakiej mitologii? — zapytała obojętnie, wydmuchując balona z gumy do żucia. — Przecież ostatnio przerabialiśmy powstanie styczniowe.

„Przynajmniej kojarzy, o czym była ostatnia lekcja”  
— pomyślałem ucieszony. Otworzyłem laptopa i przystąpiłem do sprawdzania umieszczonej w szkolnym intranecie listy obecności. Gdy doszedłem do litery „I”, narastający w klasie szum przekroczył granicę, którą uznawałem za nieprzekraczalną.

— Ignaczak... — przeczytałem i podniosłem się zza biurka. Miałem dość. — Co jest grane? Dlaczego cały czas gadacie? Wiecie przecież, że na to nie pozwalam.

Nie miałem na ogół problemów z zachowaniem dyscypliny na swoich lekcjach. Uczniowie wiedzieli, że się ich nie boję, dzięki czemu mogłem ich trzymać w ryzach. Wystarczyło, że spojrzałem, i natychmiast robiło się cicho jak w kościele. Ale teraz mój beznamiętny wzrok nie wystarczył. Odniosłem wrażenie, że coś wisi w powietrzu.

Szmer rozmów zelżał, ale nie ucichł zupełnie. W moją stronę odwracało się coraz więcej par oczu. Ze zdumieniem stwierdziłem, że nie były one zamglone lub nieobecne, tylko świdrowały mnie na wylot. Taka intensywność spojrzeń była podczas zwykłej lekcji czymś niespotykanym.

I wtedy to poczułem. Powietrze trzeszczało od tłumionego napięcia.

— O co chodzi? — spytałem po raz kolejny, pełen jak najgorszych przeczuć. Nie byłem jeszcze gotowy na rozmowę o śmierci Mateusza, a obawiałem się, że uczniowie w jakiś sposób wszystkiego się dowiedzieli.

Na szczęście moje obawy były przedwczesne.

— To my byśmy chcieli wiedzieć, o co chodzi, panie profesorze — odezwał się dryblas zajmujący ostatnią ławkę. — Od rana wszyscy nauczyciele są jacyś dziwni.

— Nauczyciele na ogół są dziwni — odpowiedziałem pogodnie, czując wewnętrzną ulgę. — A najdziwniejsze w nich jest to, że mają ochotę użerać się z takimi nicponiami jak ty, Marczak — zażartowałem, ale tym razem śmiech klasy zabrzmiał jak nieco wymuszony i urwał się już po kilku sekundach.

— Ale coś się dzieje, panie profesorze — cichy głos należał do sympatycznej okularnicy, siedzącej w drugim rzędzie przy oknie. — Panna Miller podczas lekcji nagle zaczęła płakać, a pani Sobierajskiej w ogóle nie było na lekcji, chociaż jej samochód stoi na parkingu. No i pan Marek od wufu... On zawsze jest taki miły, a dzisiaj jak zobaczył nas w szatni, to minął nas bez słowa, chociaż go zaczepiałyśmy. A minę miał taką... — zabrakło jej słowa, ale wiedziałem, o czym mówi. Widziałem Marka przed kilkoma minutami, jak ponuro wpatrywał się w okno.

Histeria panny Miller też mnie nie zaskoczyła — nauczycielka niemieckiego na widok wiszącego Mateusza straciła przytomność i nie spodziewałem się, by następnego dnia była w pełni formy psychicznej. Z kolei Sobierajskiej wczoraj nie było i pewnie dowiedziała się o wszystkim dzisiaj rano. Ja na jej miejscu też nie nadawałbym się do prowadzenia zajęć...

Tylko jak miałem to wszystko powiedzieć podenerwowanym uczniom? Dyrektor wyraźnie zabronił przekazywania im informacji o tragedii. Musiałem więc improwizować.

— Słuchajcie, nauczyciele to tacy sami ludzie jak wy — zacząłem, starając się zabarwić swój głos pewnością siebie i przemycić w nim kilka uspokajających nut. — Wy też przecież nie codziennie macie dobre humory. Każdy ma czasem prawo wstać lewą nogą. A co do panny

Miller i jej płaczu — tu się zatrzymałem, gdyż nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. W końcu wybrałem uderzenie w moralizujące tony.

— Ludzie mają swoje prywatne sprawy i chciałbym, żebyśmy nauczyli się szanować cudzą prywatność. Nic mnie tak nie irytuje, jak plotki.

— Panie profesorze, ja przecież nie plotkuję — zaoponowała okularnica, potrząsając wojowniczo grzywką. — Po prostu widzę, że coś jest nie tak. Czy chodzi o coś, co wydarzyło się wczoraj na radzie?

Trafiła w punkt. Przez chwilę nie mogłem złapać oddechu. Zacząłem podejrzewać, że uczniowie wszystko już wiedzą i teraz bawią się ze mną w kotka i myszkę. Tylko czy osiemnastolatki potrafią być aż tak przewrotni?

— Co masz na myśli? — wykrztusiłem wreszcie, mając nadzieję, że udało mi się chociaż częściowo ukryć konsternację.

Popatrzyła na mnie nieco zdetonowana.

— No nie wiem... To pan tam był, a nie my.

— Jakieś cięcia etatów. Albo problemy wychowawcze — wtrącił z głupia frant przyszczaty chłopak siedzący po drugiej stronie sali.

Moim zdaniem w tej jego wypowiedzi nie było nic zabawnego, ale cała klasa ryknęła śmiechem. Poczułem, jak spływa ze mnie napięcie. Nie wyobrażałem sobie, by mogli tak reagować, wiedząc o tragedii, do której doszło. Wiele można powiedzieć o tutejszej młodzieży, ale nie to, że była aż tak wyprana z uczuć.

— Ty uważaj, Frankowski, żebym ja ciebie nie ściał — zażartowałem i odniosłem wrażenie, że atmosfera się oczyściła. Przynajmniej na pewien czas. — Dobra, skoro nie ma już więcej pytań, to przejdźmy do dzisiejszego tematu lekcji. Pogadamy o pewnej wojnie, która trwała siedem lat i w związku z tym bywa zwyczajowo nazywana...

Pamiętam, że w pierwszych dwóch, może trzech latach swojej pracy musiałem podierać się notatkami. Teraz były mi zupełnie niepotrzebne. Leciałem z pamięci i czasami łapałem się na tym, że prowadząc wykład, odpływałem myślami w zupełnie inną stronę. Zamieniałem się w wielofunkcyjnego robota, który mechanicznie recytował wykutą niemal na blachę lekcję i jednocześnie oddawał się rozmyślanom o niepopłaconych rachunkach czy ubrankach, które muszę

kupić dla mojego syna. Z każdym rokiem coraz bardziej wpadałem w rutynę i czasem mnie to przerażało.

Dzisiaj już po kilku zdaniach przeniosłem się myślami do pomieszczenia, w którym został znaleziony Mateusz. Przez chwilę usiłowałem przywołać z pamięci jak najwięcej szczegółów makabrycznego odkrycia: ułożenie ciała, wygląd pomieszczenia, reakcje nauczycieli. Przymknąłem oczy i wtedy wpadła mi do głowy pewna myśl.

Policjanci dokładnie przeszukali każdy cal tego pomieszczenia. Zakładałem, że z podobną dokładnością obejrzane zostało ciało Mateusza. Zastanawiałem się, czy podczas tych czynności w ręce policji wpadł klucz do kanciapy.

Ponad wszelką wątpliwość kanciapa była zamknięta. Stwierdziłem to osobiście — zanim pojawił się pan Leopold, sam kilkakrotnie szarpnąłem za drzwi. Skoro zaś była zamknięta, to były tylko dwie możliwości: zamknięto ją od środka lub od zewnątrz. Jeżeli od środka, to bardziej prawdopodobne było samobójstwo — chyba że morderca był akrobatą i zdołał wyjść przez okno, a potem po gzymsie dostać się do innego okna lub podciągnąć się na dach. Jeżeli zaś od zewnątrz, to samobójstwo wydawało się wykluczone, chyba że... Zawsze istniała możliwość, że ktoś zamknął te drzwi później, ale taki pomysł wydał mi się naciągany. W każdym razie kwestia kluczy była bez wątpienia istotna i postanowiłem, że w wolnej chwili zapytam o nią „Marchewkę”.

Lekcja miała się już ku końcowi, kiedy z rzędu pod oknem dobiegł mnie szmer. Zawsze wychodziłem z założenia, że jeżeli ktoś potrafi komunikować się bezgłośnie szepcąc, to niech tam sobie szepcze. Ale tym razem musiałem zareagować, gdyż szepcący był słyszalny i rozpraszał uwagę innych uczniów. Wyłowiłem wzrokiem sprawców zamieszania — dwóch w gruncie rzeczy dobrych chłopaczków, choć średnio uzdolnionych historycznie. Posłałem im ciężkie spojrzenie, a gdy tego nie dostrzegli, ruszyłem ku nim szybkim krokiem.

— Panowie mają coś do powiedzenia w kwestii najazdu szwedzkich wojsk na Inflanty? — spytałem jadowicie. Umilkli spłoszeni i usiłowali wtopić się w otoczenie. Nakryty uczeń często stara się przypominać kameleona. — Panowie w ogóle wiedzą, gdzie leżą

Inflanty?

Obaj niemal identycznie spiekli raka. Zrobiło mi się ich szkoda i postanowiłem ich więcej nie męczyć. Pogroziłem im palcem i odwróciłem się plecami. Wolnym krokiem podążyłem z powrotem w stronę tablicy.

Po moich słowach zapadła przejmująca cisza i tylko dlatego zwróciłem na to uwagę. Odgłos delikatnego siąkania był ledwie słyszalny. Odwróciłem głowę, odruchowo starając się go zlokalizować. Dobiegał z ostatnich ławek.

Pociąganie nosem nie jest zakazane, więc nie przerwałem zajęć, ale od tego momentu odliczałem minuty do końca lekcji. Siąkała Marzena, i to wcale nie dlatego, że miała katar. Dziewczyna z trudem powstrzymywała płacz.

Wspomniałem, że moje uczucia do większości uczniowskiej braci nie były — łagodnie rzecz ujmując — zbyt ciepłe. Niemal każdy nastolatek lub nastolatka mieli w sobie coś, co sprawiało, że rokrocznie po zakończeniu wiosennego semestru rozważałem zmianę zawodu. To, że wytrwałem na swoim nauczycielskim stanowisku, zawdzięczałem jednostkom. Jedną z takich jednostek była Aśka. Drugą — pochlipująca w kącie Marzena.

Marzena miała w sobie to wszystko, co lubiłem. Była skromna, dobrze wychowana i inteligentna. Miała przy tym w sobie mnóstwo wrażliwości i empatii. I wreszcie była ładna — nie urodą seksbomby, ale młodej, zdrowej dziewczyny. Ładna, mądra i lubiąca historię... Stanowiła idealny z mojej perspektywy model ucznia.

Wyróżniała się także wzrostem. Miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i w zeszłym sezonie zadebiutowała w barwach miejscowego klubu w siatkarskiej ekstraklasie. Od czasu do czasu załatwiała mi bilety na mecze, robiąc to z takim wdziękiem, że nie czułem się przy tym korumpowany. Na co dzień tryskała energią i entuzjazmem. Nigdy dotąd nie widziałem jej w takim stanie.

Zwykle gdy dostrzegłem, że uczeń ma jakiś problem, nie podejmowałem próby rozmowy, tylko z miejsca zawiadamiałem o tym szkolnego psychologa. Działalem zresztą zgodnie z zaleceniami kuratorium. Po części wynikało to z mojego lenistwa, a po części z faktu,

że nie uważałem się za pedagoga, który miałby jakiś wybitny kontakt z młodzieżą. Niektórzy mają w sobie tę zdolność międzypokoleniowego dialogu. Ja nie miałem. Ale w tym wypadku sytuacja była inna. Wszak osobą z problemem była „moja” Marzena.

Gdy zabrzmiał dzwonek, postanowiłem zatrzymać ją w klasie. Na szczęście mi to ułatwiła, wyjątkowo długo zbierając się z miejsca. Gdy wreszcie spakowała książki do plecaka i ruszyła do wyjścia, zastąpiłem jej drogę. Spojrzała na mnie bez słowa, pochylając głowę. Miała minę jak zbity psiak.

— Co się dzieje? — zapytałem, gdy zostaliśmy sami. — Przecież widzę, że coś jest nie tak.

O ile przed chwilą jeszcze się łudziłem, że dziewczyna po prostu ma jakąś alergię, to jej reakcja nie pozostawiła żadnych wątpliwości. Z jej oczu niczym z hydrantu popłynęły łzy. Nie poganiałem jej. Na studiach miałem zajęcia z psychologii i zapamiętałem, że w takich sytuacjach nie można się spieszyć. Ze współczującą miną podsunąłem jej krzesło i czekałem, czy będzie się chciała odezwać.

Na szczęście nie musiałem czekać długo, bo przerwa między trzecią a czwartą lekcją liczyła tylko pięć minut.

— Wiem o tym, co się stało — wychlipała, ocierając chusteczką nos.

Tknięty złymi przeczuciami zabębniłem palcami po blacie biurka.

— A co się stało? — spytałem z ciężkim sercem, bo już wiedziałem, co usłyszę.

— Pan od geografii — wydusiła z siebie i ukryła twarz w dłoniach. — Wiem, że nie żyje, chociaż wszyscy to ukrywają.

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć. W końcu zdecydowałem, że skoro i tak wie, to najlepsza będzie prawda.

— Masz rację — powiedziałem z największym spokojem, na jaki było mnie stać. — Mateusz został zamordowany, a wczoraj podczas rady odnaleźliśmy jego ciało — dziewczyna zaszlochała, ale nie mogłem dopuścić, by znów zamknęła się w sobie. — Posłuchaj mnie uważnie — starałem się mówić powoli. — To straszna tragedia, ale musisz zrozumieć. Nie chcemy, by w szkole wybuchła panika. Czy oprócz ciebie ktoś jeszcze o tym wie? To znaczy z uczniów?

Pokręciła głową. Na policzkach wykwitły jej czerwone rumieńce.

— Nikomu nie mówiłam.

— A skąd o tym wiesz?

Pytanie wynikało z troski, ale oprócz troski powodowała mną ciekawość.

— Byłam wczoraj w klubie. Po treningu spotkałam panią woźną...

— Dziewczyna nie dokończyła, tylko zalała się łzami.

Nie musiała zresztą kończyć. Dodałem dwa do dwóch i skojarzyłem, że nasza woźna, czyli pani Leokadia, wieczorami dorabia do skromnej pensji sprzątaniem obiektów siatkarskich. To fakt, dyrektor prosił o dyskrecję, ale prośba ta skierowana została do nauczycieli. Sympatyczna pani Lodzia nauczycielem nie była, więc nie można było mieć pretensji, że nie trzymała języka za zębami.

Miałem ochotę ją przytulić. To znaczy oczywiście nie wiekową panią Lodzię, tylko Marzenę. Wiedziałem jednak, że chociaż moje intencje były krystalicznie czyste, mogłoby to zostać odebrane niewłaściwie. Zamiast więc przytulać, poklepałem ją po plecach.

— Wiem, to bardzo trudne — powiedziałem współczującym tonem. — Sam od wczoraj chodzę jak pijany. Ale wiesz, co mi pomaga? Myśl, że policja na pewno złapie drania, który to zrobił, i wsadzi go na wiele lat do więzienia. A jeżeli policja nie da rady, to ja to zrobię — dodałem z przekonaniem, którego nie czułem.

Okazało się, że nie mam talentu psychoterapeutycznego. Chciałem ją jakoś pocieszyć i uspokoić, ale moje słowa odniosły zgoła odwrotny skutek. Dziewczyna rozplakała się na dobre. Wielkie jak ziarnka grochu łzy spływały jej po twarzy, kapiąc to na jej bluzkę, to na podłogę. Chlipała jeszcze, gdy zabrzmiał dzwonek na lekcję. Rozejrzałem się bezradnie.

— Marzena, lepiej idź do domu — zaproponowałem. Była w takim stanie, że jej uczestnictwo w zajęciach mijało się z celem. — Dasz radę dojść o własnych siłach czy zamówić ci taksówkę?

Pokręciła przecząco głową i wstała, wstrząsana kolejnymi napadami szloch.

— Pójdę pieszo — wyjąkała przez ściśnięte gardło. Znow miałem ochotę ją objąć.

— Postaraj się jakoś trzymać. Niczym się nie przejmuj, zwolnię cię u wychowawczyni — obiecałem, a ona ze spuszczoną głową i potarganymi włosami zniknęła na korytarzu.

Westchnąłem ciężko i też skierowałem się do drzwi. Miałem teraz okienko i nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić. Jeszcze w czasie lekcji sprawdziłem, że zarówno Karol, jak i Marek mają tę godzinę zajęta. Program komputerowy poinformował, że Karol ma planowe zajęcia z klasą Ic, a Marek zastępuje nieobecną — czy raczej, jak wiedziałem, niedysponowaną — Martę Sobierajską. Na myśl o tym, że nasz „magister od fikołków” prowadzi lekcję polskiego, lekko się uśmiechnąłem. Marek recytujący tren Kochanowskiego — to przekraczało granice mojej wyobraźni.

Nie miałem na siebie żadnego pomysłu, więc powlokłem się do pokoju nauczycielskiego. Marzyłem o kawie, ale nie było mi dane się napić. W drzwiach zderzyłem się właśnie z niedysponowaną polonistką.

— Cześć. — Skłoniłem się, próbując jednocześnie niezdarnie ją przepuścić. Znacie pewnie to uczucie: przesuwasz się w lewo, potem w prawo, potem znowu w lewo... I to samo robi osoba znajdująca się na twojej drodze. Tu jednak sytuacja okazała się nieco inna. Ja przesunąłem się w prawo, a kobieta rzuciła mi się na szyję.

Jej uścisk był tak silny, że poczułem się jak w objęciach anakondy. Ale nie zrobiłem niczego, żeby się uwolnić. Byłem tak zaskoczony, że wmurowało mi nogi w ziemię.

Prawie się nie znaliśmy. Marta Sobierajska zawsze sprawiała na mnie wrażenie osoby bujającej w obłokach. Mnie życie nauczyło twardo stąpać po ziemi, ale to jeszcze nie było powodem, byśmy nie mieli się kolegować.

Nie kolegowaliśmy się dlatego, że Marta była chyba najbardziej małomówną osobą, jaką znałem. Nie wiedziałem, czy wynikało to z nieśmiałości, czy też z innych względów, ale w naszym nauczycielskim towarzystwie wypowiadała średnio nie więcej niż jedno zdanie na godzinę. Jej złośliwe koleżanki donosiły, że tak naprawdę potrafi rozmawiać tylko o literaturze. Książki ponoć wręcz pochłaniała i poza światem papierowych fabuł nie czuła się zbyt pewnie. Podobno co sprytniejsi uczniowie szybko się połapali w jej jedynej namiętności



i w sytuacjach zagrożenia zawsze rzucali kilka zdań o przeczytanej powieści. Podczas dyskusji o książce Marta potrafiła ponoć tak odpłynąć, że nie wiadomo kiedy rozbrzmiewał dzwonek na przerwę i klasie upiekło się dyktando czy odpytywanie na ocenę.

Nie wiedziałem, czy była to prawda. Nigdy mnie to nie interesowało. Z polonistką wymieniałem do tej pory jedynie kurtuazyjne słowa na przywitanie i pożegnanie. Tym razem postanowiła przywitać mnie niewerbalnie, uwiesiwszy się na mojej szyi.

Przez moment pomyślałem, że nadmiar książek rozstroił jej umysł. Zacisnąłem usta w przekonaniu, że będzie chciała się całować, ale jej twarz spoczęła na moim ramieniu i nie zanosilo się na to, by chciała ją podnieść. Co prawda nie była piórką, ale z nie takimi ciężarami musiałem już dawać sobie radę. Stałem tak więc jak wrośnięty w podłogę i dziękowałem opatrzości, że nikt nas nie widzi.

Oprzytomniałem dopiero wtedy, gdy kołnierz mojej koszuli przesiąknął jej łzami.

— No już! — warknąłem odrobinę ostrzej, niż zamierzałem. Zirytowała mnie. Rozumiałem, że wszystkich nas rozkleiła śmierć Mateusza, ale przecież ja ani jej brat, ani swat. — Kobieto, puść mnie, do cholery! Czego ty ode mnie chcesz?!

W odpowiedzi na moją reakcję — obliczoną na jak najszybsze przerwanie tej sceny — tylko wzmocniła swój uścisk.

— Urwiesz mi łeb! — syknąłem, ale wcale jej to nie obeszło. — Puszczaj, bo założę ci dźwignię — zagroziłem, ale nigdy nie użyłbym przemocy wobec kobiety. — Przestań. — Klepnąłem ją w tyłek i chyba to wreszcie nieco ją otrzeźwiło.

Zwolniła na moment uścisk i oderwała głowę od mojego ramienia. Korzystając z okazji, szybko się odsunąłem.

— Zwariowałaś? — spytałem wkurzony, rozcierając jednocześnie obolałą krtań. — Co cię opętało? Jakby to ktoś zobaczył, to oboje mielibyśmy kłopoty! Nie...

— Przejdźmy się — przerwała mi w pół słowa ani odrobinę niezmiészana. — Muszę z tobą porozmawiać, bo inaczej zwariuję.

— Ale dlaczego ze mną? — próbowałem protestować, lecz w ogóle mnie nie słuchała. Chwyliła mnie za rękę jak przedszkolaka

i wyciągnęła ze szkoły wprost w objęcia wstrętnej mżawki, która bardziej niż z majem kojarzyła się z listopadem.

Resztkę cierpliwości straciłem, gdy dotarliśmy do skraju pustego szkolnego boiska.

— Słuchaj, Marta, ja nie wiem, co ci jest, ale jeżeli zaraz mi nie powiesz, o co chodzi, to wykręcę ci rękę i zaprowadzę do ośrodka zdrowia — powiedziałem, zatrzymując się w miejscu i pochylając w jej kierunku. Naprawdę byłem gotów stawiać opór. Zagroziłbym jej szpitalem, ale najbliższy szpital z oddziałem psychiatrycznym znajdował się ponad dwadzieścia kilometrów stąd.

Przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy, a potem znów zalała się łzami. O ile jednak płacz Marzeny wzbudzał we mnie ciepłe uczucia, o tyle u Marty jedynie irytował. Dorośli ludzie muszą umieć panować nad swoimi emocjami. Zwłaszcza że Mateusz był tylko jej kolegą z pracy i podejrzewałem, iż jej łzy, choć nie były krokodyle, to na pewno przesadzone.

Odwróciłem się i ruszyłem powoli w kierunku szkoły. Dopędziła mnie po kilku krokach.

— Jesteś bez serca — wydyszała. — A mówił mi, że jesteś jego jedynym przyjacielem.

— Kto ci mówił? Mateusz? — zareagowałem wbrew sobie. Przed momentem obiecałem sobie, że będę ją ignorował. — Byliśmy przyjaciółmi, i co z tego? On pierwszy by na ciebie huknął. Jesteś nauczycielem, a nie jakąś aktoreczką z brazylijskiej telenoweli. Musisz być twarda!

— Ale nie jestem w stanie... — Przestała płakać, lecz ból na jej twarzy był tak widoczny, że stanąłem w pół kroku i przyjrzałem się jej dokładniej.

Wyglądała fatalnie. Miała rozbiegane spojrzenie, pod oczami ciemne podkówki, włosy w kompletnym nieładzie i nieregularną tłustą plamę na pogniecionej bluzce. Ten obraz nędzy i rozpacz sprawił, że spojrzałem na nią łagodniej. Głowę miałem nabitą zupełnie czymś innym, ale coś zaczęło mi świtać. Zanim jednak zdążyłem się odezwać, olśnienia doznała ona.

— Ty o niczym nie wiesz... — ni to spytała, ni stwierdziła, a krew

odpłynęła jej z twarzy.

Spojrzałem na nią kompletnie zaskoczony.

— To ty? — Nie chciałem w to uwierzyć nawet wtedy, gdy kiwnęła głową. Przez chwilę poczułem się jak kompletny głupek.

— Od pięciu miesięcy byliśmy parą — potwierdziła słabym głosem.

Po tym wyznaniu uszło z niej całe powietrze. Przez chwilę chwiała się na nogach, a potem zaczęła się osuwać. Złapałem ją dosłownie w ostatniej chwili. Podtrzymywana przeze mnie dotarła w końcu do ławki rezerwowych. Usiedliśmy na plastikowych krzeselkach, skryci przed mżawką pod przezroczystym daszkiem z pleksi.

Rzeczywiście była nieśmiała i rzeczywiście kochała książki. Pod koniec zeszłego roku spotkali się przypadkowo w publicznej bibliotece. Sypał śnieg, więc rycerski jak zawsze Mateusz zaproponował, że odwiezie ją do domu. Na osiedlu Piaski, nieopodal Centrum Szkolenia Policji, utknęli w zaspie i musieli poczekać na pomoc drogową.

— Wyobraź sobie — opowiadała urywanym głosem Marta.  
— Noc, śnieżycy, nawet radio wysiadło, a my w małym wnętrzu samochodu. Przez chwilę trwaliśmy w takim niezręcznym milczeniu, a potem zaczęliśmy gadać. Nigdy przed nikim się tak nie otworzyłam. Zналиśmy się tak słabo, a ja po kilku minutach opowiadałam mu o sobie, jakby był moim najstarszym przyjacielem. A on mnie słuchał, naprawdę mnie słuchał. To wcale nie takie częste w tych czasach. Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia.

Mateusz opowiedział jej o sobie. Początkowo unikał tematu małżeństwa, ale w pewnym momencie, gdy mu się wydawało, że pomoc drogową nie przyjedzie i będą musieli spędzić noc w samochodzie, wyznał jej to, czego nie wiedzieli nawet najbliżsi jego znajomi. Stwierdził, że od lat nie kocha już swojej Janki i w zasadzie pogodził się z myślą, że porywy uczuć to domena jedynie wczesnej młodości. Opowiadał, że jedynym uczuciem, które mu jeszcze zostało, była miłość do córek. W pewnym momencie zupełnie się rozkleił i — trochę z zimna, a trochę z potrzeby bliskości — ujął szczupłą dłoń Marty i przycisnął ją do ust. W intymnym wnętrzu zaszypanego śniegiem samochodu coś między nimi zaiskrzyło.

— Na początku nie widywaliśmy się często — ciągnęła polonistka. — Nie chodziło mu o Jankę, ale nie chciał ranić dziewczynek. Na szczęście obie jego córki były już dorosłe i rzadko bywały w domu. Kiedy tylko ich nie było, Mateusz każdą wolną chwilę starał się spędzać ze mną. W pewnym momencie częściowo się do mnie wprowadził. Miał w mojej kawalerce szczoteczkę do zębów i pędzel do golenia. Obiecywał, że za pół roku, a najpóźniej za rok ujawnimy się i zamieszka u mnie oficjalnie.

W miejscu pracy nie chcieli robić zamieszania. Uzgodnili, że o ich romansie — bo tak chyba trzeba określić to, co ich łączyło — nie powinien wiedzieć nikt ze szkoły. Ani nauczyciel, ani tym bardziej uczeń. Nawet jak jechali do liceum z jej mieszkania na tę samą godzinę, wychodzili oddzielnie i starali się na siebie nie wpadać. Tak samo w szkole. Gdy spotykali się na korytarzach i w pokoju nauczycielskim, udawali, że prawie się nie znają.

— To było na swój sposób podniecające. Traktowaliśmy się jak obcy ludzie i tylko nasze spojrzenia czasem się stykały. Czułam się panią świata i ta świadomość, że wiemy o tym tylko on i ja... — Znow się rozpląkała, a ja w głębi serca płakałem razem z nią, choć moje oczy pozostały suche. — Momentami odnosiłam wrażenie, że to się musi wydać i lada chwila wszyscy się o nas dowiedzą. Zresztą nie dbałam o to. Pewnie trudno w to uwierzyć, bo mam już trzydzieści dwa lata, ale Mateusz był moim pierwszym mężczyzną, pierwszą spełnioną miłością. Wcześniej kochałam się tylko w Byronie i Borowskim, dopiero on pokazał mi, na czym polega prawdziwa miłość. — Jej opowieść była w tym miejscu przetykana długimi chwilami milczenia i bezgłośniego szlochu.

To Mateusz naciskał, by ich uczucie pozostało w ukryciu. Pewnie obawiał się nie tylko reakcji swoich córek. Te przecież były już dorosłe. Bał się przede wszystkim reakcji środowiska. Miał już ponad czterdzieści pięć lat i — chociaż Marta nie wyglądała na nastolatkę — nie chciał stać się przedmiotem drwin i docinek. Uważał, że nauczyciel nie może sobie na to pozwolić. Wspominał przy tym niejaką pannę Zuzię, nauczycielkę z naszej szkoły jeszcze z lat dziewięćdziesiątych. Historia ta znana była również mnie.

Panna Zuzia miała trzydzieści kilka lat. Nie była zbyt urodziwa, ale lubili ją i uczniowie, i koledzy z pracy. Braki urody rekompensowała zaletami charakteru. Trudno byłoby wskazać kogoś bardziej sympatycznego od niej. Pewnego razu pojechała wraz ze swoją klasą na wycieczkę do Trójmiasta. Drugiego dnia, wieczorem, podczas samotnego spaceru po mieście wstąpiła na chwilę do przyportowego pubu. Tak zaczęła się jej osobista tragedia.

W pubie poznała marynarza. Nigdy nie kręcili się przy niej mężczyźni, toteż nie miała kiedy wyszlifować kobiecego instynktu, który broniłby jej przed tanimi podrywaczami. Pech chciał, że marynarz był z tych, co to nie zadowolają się spędzeniem z kobietą jednej nocy, ale pragną ją przy tym oczarować. Panna Zuzia wpadła jak tłusta mucha w pajęczą sieć — rano była na śmierć zakochana i zapomniała o bożym świecie. I podczas gdy oddawała się zakazanym rozkoszom w tanim hotelowym pokoju, nikt z jej podopiecznych nie miał pojęcia, gdzie zniknęła.

Stan ten trwał kilka następnych dni, podczas których jej uczniowie zdążyli zawiadomić policję i wrócić samodzielnie z wycieczki. Panna Zuzia wróciła dwa dni po nich. Wróciła — jak się można było tego spodziewać — ze złamanym sercem. Wszyscy ją lubili, a poza tym to były zupełnie inne czasy, więc dostała tylko burę i pozwolono jej dalej pracować. Niestety przez kolejne cztery lata (bo właśnie tyle wytrzymała w zawodzie) na każdym kroku towarzyszyły jej docinki, śmiechy i niewybredne żarty. Zmiana szkoły nic nie dała — ta historia przykleiła się do niej na dobre, a uczniowie nie umieli o niej zapomnieć. W końcu biedna kobieta wylądowała na zwolnieniu i od tego czasu słuch o niej zaginął. Krążyły plotki, że zmieniła nazwisko i przeniosła się gdzieś na drugi koniec kraju.

— Mateusz kochał swoją pracę i nie chciał, by uczniowie zaczęli mu dokuczać. Był wrażliwym człowiekiem i podejrzewam, że nie byłby w stanie tego znieść. Żyliśmy więc w ukryciu, czekając na moment, w którym nasz romans miał zamienić się małżeństwo. Bo Mateusz chciał się rozwieść i zaraz potem ożenić się ze mną. Dał mi nawet wisiołek zaręczynowy. Śmiał się, że pierścionka i tak nie mogłabym nosić, a ukrytego znaczenia wisiora nie domyślą się nawet najbardziej

wścibskie koleżanki. Czekaliśmy więc na ślub i byliśmy bardzo szczęśliwi.

Zadumałem się na chwilę. Teraz, gdy już o wszystkim wiedziałem, pewne znaki stały się dla mnie bardziej czytelne. Rzeczywiście zauważyłem, że Mateusz jakby odmłodził. Już policji mówiłem, że zaczął się inaczej ubierać i bardziej o siebie dbać. Poza tym wyglądał na szczęśliwego i zdecydowanie rzadziej chodził ze mną na piwo, nieodmiennie tłumacząc się brakiem czasu. Teraz wreszcie wiedziałem, co się kryło za tym wykrętem.

— Mówiłaś o tym wszystkim policji? — spytałem, gdyż miało to kolosalne znaczenie dla sprawy.

— Jeszcze nie — przyznała zachrypniętym od niedawnego płaczu głosem. Chociaż na jej policzkach wciąż widniały ślady łez, to chwilowo nie płakała. Być może po swojej „spowiedzi” poczuła jakąś namiastkę ulgi. — Dzwoniłam do nich i powiedziałam, kim byłam dla Mateusza. Mam się zgłosić na komisariat o czternastej.

Byłem pewien, że jej zeznanie zmieni wszystko. Nikt już nie będzie rozpatrywał śmierci Mateusza w kontekście samobójstwa.

— Bo przecież szczęśliwi i zakochani ludzie nie odbierają sobie życia, prawda?

Popatrzyła na mnie z lekkim wahaniem. Spodziewałem się ujrzeć w jej oczach więcej pewności.

— Chyba nie — powiedziała powoli. — Chociaż literatura zna wiele przypadków...

— To nie książka — przerwałem jej bezceremonialnie. — To jest życie. Tu samobójstwa popełniają osoby chore psychicznie i samotne.

— Pewnie masz rację. Od tego czytania za bardzo rozwinęła mi się wyobraźnia.

Swoją drogą nie stanowili zbyt dobranej pary. Marta nawet w tak smutnej dla niej chwili non stop nawiązywała do książek, natomiast Mateusz... Z tego, co kojarzyłem, mój kolega na ogół gardził literaturą piękną. Byłem pewien, że kiedy spotkali się w bibliotece, wypożyczał akurat jakiś atlas geograficzny. Albo coś z literatury typowo branżowej. A tak w ogóle...

— Słuchaj, mówiłaś, że Mateusz każdą wolną chwilę spędzał

z tobą. Kiedy widzieliście się po raz ostatni?

— Tak prywatnie? — spytała, a ja kiwnąłem głową.

— W poniedziałek zjedliśmy razem obiad, ale potem musiał wrócić do córek. Następnego dnia widzieliśmy się tylko w szkole.

Byłem rozczarowany i nawet nie starałem się tego ukryć. Zwłoki Mateusza zostały znalezione w środę po południu, więc jego śmierć nastąpiła najprawdopodobniej w nocy z wtorku na środę, kiedy w szkolnym budynku nie było żywego ducha. Gdyby Marta widziała się z nim we wtorek wieczorem, mogłaby rzucić na sprawę nieco więcej światła. Opowiedziałaby o jego nastroju, ilości wypitego alkoholu, planach na dalszą część wieczoru... Tymczasem okazało się, że tego dnia w ogóle go nie widziała. Dokładniejszymi informacjami o kulisach wtorkowego wieczoru dysponowali Karol, Marek i solenizantka Joanna. Tylko że i oni wiedzieli tyle, co nic.

— Zaraz, zaraz. — Tryby w mojej głowie obracały się coraz szybciej. — Kiedy się z nim widziałaś w poniedziałek, to powiedział ci, że musi wracać do córek, tak? — zapytałem, a gdy potwierdziła, ledwie zdążyłem się ugryźć w język. — I wtedy poszedł do domu — dokończyłem dość niezręcznie, unikając jej wzroku.

Tak naprawdę niepotrzebnie ją oszczędzałem. Nie była w całym tym układzie niewinnym dziewczęciem. Faktem było, że rozbijała małżeństwo o ponad dwudziestoletnim stażu, ale brałem pod uwagę przede wszystkim to, że znajdowała się na krawędzi załamania i nie chciałem dodatkowo jej dołować. Pamiętałem jednak doskonale to, co powiedziała mi Janka. Mateusz ostatni raz nocował w domu w weekend. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, tylko to, że nocy z poniedziałku na wtorek nie spędził ani z żoną, ani z kochanką, obie zresztą świadomie okłamując. Gdzie był? Nie miałem pojęcia, ale instynktownie czułem, że to ważne.

— Co chciałeś powiedzieć? Coś o Mateuszu? — Mimo trawiącego ją smutku nie zatraciła kobiecego instynktu i błyskawicznie wyczuła, że coś przed nią ukrywam.

Postanowiłem uraczyć ją półprawdą.

— Zastanawiam się, dlaczego Mateusz tak intensywnie świętował imieniny Joanny. — Opowiedziałem jej to, czego dowiedziałem się

w klasie Karola, pomijając jedynie wątek tajemniczego telefonu. — Ze mną od miesiący nie chciał wypić nawet szybkiego piwa. Taka metamorfoza jest dość zaskakująca, prawda? Zwłaszcza że doszło do niej prawdopodobnie na kilka godzin przed jego śmiercią.

Przez chwilę z zainteresowaniem obserwowała dżdżownicę, pełzającą po kępie trawy tuż przy naszych stopach.

— Pokłóciliśmy się — powiedziała wreszcie cichym głosem. — W zasadzie to jeszcze w zeszłym tygodniu. W poniedziałek zjedliśmy obiad, ale wciąż byliśmy na siebie źli. Tomek, ja się nawet boję tak myśleć, ale... — załkała. — Czy to mogło być jednak samobójstwo?

W przeciwieństwie do niej nawet przez sekundę się nie przejąłem. Według tego, co mówili Karol, Joanna i Marek, mój przyjaciel był we wtorek w doskonałym humorze. Zresztą nie miał dziewiętnastu lat, by po pierwszej lepszej kłótni aż tak się załamywać. Był człowiekiem trzeźwo myślącym, czego z pewnością nie dało się powiedzieć o jego wybrance. Po raz kolejny zadumałem się nad tym, co chemia potrafi zrobić z ludzkim rozsądkiem. Przecież ta dwójka kompletnie do siebie nie pasowała.

Jeżeli miałbym posądzać kogoś o nadmiar romantycznych uniesień i uczuciową sinusoidę, to na pewno nie byłby to Mateusz. Do takiego obrazka sto razy bardziej pasowałaby mi Marta.

— O co wam poszło? — spytałem odruchowo, bo chyba tego ode mnie oczekiwała.

Spojrzała na mnie swoim wzrokiem krótkowidza. Zauważyłem, że nosi szkła kontaktowe, które — być może pod wpływem nadmiaru łez — podrażniły jej spojówki.

— O małżeństwo. On twierdził, że za bardzo naciskam. Chciał to przeprowadzić stopniowo, ale ja nie umiałam tak spokojnie na to czekać.

Poklepałem ją po plecach i zapewniłem, że ich sprzeczka na pewno nie była powodem jego samobójstwa. Musiałem przy tym zagryzać wargi, bo mimo całej tej smutnej otoczki bardzo chciało mi się śmiać. W pewnej chwili nie mogłem już wytrzymać — zdążyłem tylko wstać i odwrócić głowę. Miałem nadzieję, że nie dostrzegła tego niedelikatnego napadu wesołości. Mogłem uwierzyć niemal we wszystko, ale na samą myśl, że dojrzały facet wpada w depresję



z powodu fochów oderwanej od rzeczywistości romantyczki, trzęsła mi się broda.

Aby zwalczyć ogarniającą mnie wesołość, postanowiłem zmienić trochę temat.

— Czy Mateusz miał w ostatnich tygodniach jakieś powody do zdenerwowania? — zapytałem, a gdy spojrzała na mnie bez cienia zrozumienia, uściśliłem: — Czy coś go niepokoiło albo denerwowało?

— Mateusz zawsze był przy mnie spokojny — odpowiedziała po zastanowieniu. — Martwił się o córki i o naszą reputację, ale tak poza tym to nie. Niczego takiego nie zauważyłam.

To zawsze była jakaś wiedza. Z tego, co mówiła, wynikało, że jeżeli w życiu geografa pojawił się jakiś wróg, to stało się to stosunkowo niedawno. Oczywiście do jej słów należało podchodzić ze sporą dozą ostrożności. Nie sprawiała wrażenia specjalnie spostrzegawczej, a na swojego wybranka patrzyła tak bezkrytycznie, jakby miała czternaście lat i przeżywała swą pierwszą kolonijną miłość.

Z jednej strony jej współczułem, z drugiej zaś miałem ochotę chwycić ją za ramiona i mocno potrząsnąć. Nie mogłem uwierzyć, że tacy ludzie zostają nauczycielami. Uznałem, że najwyższy czas na ewakuację. Z pomocą przyszedł mi szkolny dzwonek.

— Przerwa — stwierdziłem i na nowo podniosłem się z siedziska. — Idę do środka, bo muszę się przygotować do następnej lekcji. To klasa Ib, same ananasy — skłamałem bez zmrużenia powieką, bo Ib była jedną z przyjemniejszych klas, ale podejrzewałem, że dla polonistki każda, nawet najspokojniejsza klasa była wyzwaniem.

— Zaczekaj jeszcze momencik — poprosiła.

— Naprawdę nie mogę. Słuchaj, może idź do domu i napij się kawy. Do przesłuchania masz jeszcze ponad dwie godziny.

— Pójdę, ale mam do ciebie jedną prośbę.

— Zamieniam się w słuch — odpowiedziałem, z trudem ukrywając zniecierpliwienie.

Nabrała w płuca dużo powietrza, wypinając w moją stronę obfitą pierś.

— Ja wiem, że będziesz szukał mordercy — wypaliła na wdechu — i chciałabym ci pomagać.

— Mordercy będzie szukać policja — odparłem najłagodniej, jak umiałem. — Możesz im pomóc swoimi zeznaniami. Spróbuj przypomnieć sobie jak najwięcej. A ja... Ja przecież nie jestem detektywem.

— Jesteś kimś więcej niż detektywem — stwierdziła, a ja potem jeszcze długo zachodziłem w głowę, co też ten Mateusz jej o mnie nagadał. — Proszę, nie odrzucaj tego. To dla mnie bardzo ważne. Zrobię wszystko, co mi każesz, tylko pozwól sobie pomóc.

Machnąłem ręką i obróciłem się na pięcie. Jej proszący ton brzęczał mi w uszach niczym jakaś uparta mucha. Jednego byłem pewien. Jeżeli miałbym skorzystać z jej pomocy, to tylko w ostateczności.

Gdy wpadłem do pokoju nauczycielskiego, okazało się, że już na mnie czekali. Na czele komitetu powitalnego stała pani wicedyrektor, a za jej plecami chowało się kilka innych kobiet, wśród których największą uwagę zwracała górująca nad resztą towarzystwa Joanna.

— Panie Tomku. — Gdyby entuzjazm w głosie mojej przełożonej przekładał się na brzęczącą walutę, byłbym bogatym człowiekiem. — Z nieba nam pan spada!

To mogło oznaczać tylko jedno. Odruchowo rozejrzałem się po pomieszczeniu, ale nie zauważyłem żadnych rzucających się w oczy awarii czy szkód.

— Co się stało? — spytałem. W szkolnych kręgach słynałem jako złota rączka. Czasami miałem wrażenie, że jestem im bardziej potrzebny jako pracownik gospodarczy niż historyk. Niestety, płacili mi tylko za ten drugi etat.

Dyrektorka roześmiała się nerwowo, racząc mnie widokiem krzywych zębów. Zawtórowało jej kilka głosów, ale bez większego przekonania.

— Chodzi o zastępstwo — powiedziała, wciąż szczerząc zęby. — Pan Leopold miał mieć teraz lekcję, ale jeszcze nie przyszedł. Naprawdę nie mam kogo dać...

— Ale ja przecież mam teraz lekcję — zaproponowałem, ale nie dała się zbyć.

— To nic nie szkodzi. Dam panu klucze do auli. Połączy pan te

klasy. Chodzi tylko o to, by ich przypilnować, nic ponadto.

W auli śmiało można było zmieścić nie tylko dwie, ale nawet trzy klasy. Zresztą z dwojga złego wolałem połączyć dwie klasy i poprowadzić lekcję historii niż w ramach zastępstwa męczyć się z matematyką, która na poziomie licealnym była dla mnie czarną magią i której od zawsze zwyczajnie nie cierpiałem.

— Cóż, zamiast matematyki będą mieli historię. A która to klasa? — spytałem, odbierając od niej klucze.

— Klasa Id — odpowiedziała, robiąc przy tym smutną minę.

— Ich wychowawcą był Mateusz — dodała niepotrzebnie, gdyż dobrze o tym wiedziałem.

Zagnałem stadko rozbrykanej młodzieży do auli i kazałem im zająć miejsca blisko pulpitu. Oczywiście nie wszyscy posłuchali — część chłopaków z klasy Mateusza ulokowała się na samym końcu i w najlepsze zajęła się zabawą swoimi gadżetami. Na szczęście zamiast rozmawiać woleli stukać w klawisze smartfonów. Nie byli mi do niczego potrzebni, więc machnąłem ręką, chwyciłem za mikrofon i zacząłem omawiać przyczyny pierwszego kryzysu monarchii piastowskiej. Mój wzmocniony elektronicznie głos odbijał się od ścian i wracał zwielokrotnionym echem.

Temat był dla mnie tak pasjonujący, jak chyba żaden inny. Skakałem między Mieszkiem II a Bezprymem i wyjątkowo nie odpływałem myślami. Myślę, że w pewnym momencie trochę mnie poniosło i przestałem zwracać uwagę na otoczenie. Straciłem pedagogiczną czujność.

Do rzeczywistości przywołał mnie dopiero narastający szum. Sprzed moich oczu wyparowały obrazy czeskich wojsk wywożących relikwie świętego Wojciecha, a pojawił się obraz auli. Wyglądała zupełnie inaczej niż jeszcze kilkanaście minut temu. Różnica nie tkwiła jednak w układzie ławek, tylko w zachowaniu uczniów.

Odniosłem wrażenie, że fala wzburzenia, która przetaczała się przez aulę, miała swoje źródło w tylnych ławkach. Zajmujący je uczniowie, jeszcze przed chwilą bawiący się telefonami, wyglądali na najbardziej wstrząśniętych. Szepty były coraz intensywniejsze i docierały coraz bliżej tablicy. Wreszcie i ja się zorientowałem, o co

chodzi. Kilkakrotnie zakląłem w myślach, a potem zacząłem się gorączkowo zastanawiać, jak z tego wybrnąć.

Było dla mnie jasne, że uczniowie w jakiś sposób dowiedzieli się o śmierci Mateusza.

Kiedy szum osiągnął takie natężenie, że w oknach zaczęły dzwonić szyby, a w poszczególnych częściach klasy szept przeradzał się już w normalną, głośną rozmowę, ująłem mikrofon w obie dłonie i zbliżyłem go do ust.

— Cisza! — wrzasnąłem tak głośno, że aż zaboląły mnie uszy.

Mój okrzyk przyniósł spodziewany efekt. Rozmowy ucichły w pół słowa, a wszystkie bez wyjątku oczy odwróciły się w moją stronę. Upewniłem się szeptem, że rzeczywiście chodziło o to, co podejrzewałem, po czym stanąłem w takim miejscu, z którego miałem najlepszy widok na wszystkich uczniów.

Nie byłem złotoustym mówcą, ale pięć lat pracy w charakterze nauczyciela zrobiło swoje. Nie miałem problemów z doбором słów.

— To prawda, profesor Kownacki nie żyje — zagrzmiałem, a wszyscy zastygli bez ruchu. — Wiele wskazuje na to, że został zamordowany. Szkoła nie udzielała dotąd żadnych informacji, bo nie chciała wywoływać u was paniki. Niestety, mleko się rozlało i teraz już wiecie.

Cisza, która zapadła po moich słowach, aż kłuła w uszy. Dzieciaki trwały w kompletnym szoku, ale uznałem, że skoro już i tak wiedzą, to zaprzeczanie nie ma sensu. Moje trzewia trawił ogień wściekłości. Zastanawiałem się, kto może być źródłem przecieku.

— Może nam pan powiedzieć, co się dokładnie wydarzyło?

Pytanie zadane przez jedną z dziewczyn zabrzmiało w kompletnej cichy niczym wystrzał z korkowca. Przez chwilę walczyłem z myślami, ale ostatecznie zdecydowałem, że jeżeli nie przedstawię im zarysu wydarzeń, mogą się domyślać Bóg wie czego. Najpierw jednak chciałem wiedzieć, skąd trafiła do nich informacja o tragedii.

— To jest artykuł z lokalnej gazety. — Siedzący w ostatniej ławce chłopak poderwał się, przebiegł przez środek auli i podał mi swój telefon. — Elektroniczne wydanie — dodał zniecierpliwionym tonem, gdy popatrzyłem na niego zaskoczony.

Wziąłem do ręki telefon i kciukiem przewinałem krótki tekst, opatrzony chwytliwym tytułem *Morderstwo w szkole*. Tytuł ten zakończony był oczywiście obowiązkowym znakiem zapytania. Artykuł zawierał dość szczegółowe informacje. Dziennikarze dotarli do tego, że Mateusz został znaleziony na poddaszu i że przyczyną śmierci było najprawdopodobniej uduszenie „zadzierzgniętą pętlą sznura, który zwisał spod sufitu”. Gazeta wiedziała też, że policja przesłuchała nauczycieli oraz że w tej sprawie trwało intensywne śledztwo. W końcowych zdaniach spekulowano, że nauczyciel mógł zostać zamordowany, chociaż nie wykluczano także samobójstwa. Nie doczytałem ich do końca. Zirytowany wszechwiedzą mediów przedstawiłem uczniom garść podstawowych faktów.

Nie wspominałem oczywiście o wszystkich swoich podejrzaniach dotyczących zgonu Mateusza. Nie chciałem opowiadać się zdecydowanie za wersją zabójstwa. Oszczędziłem też uczniom makabrycznych szczegółów, poprzestając na stwierdzeniu, że nie żył już, gdy go znaleźliśmy. Policyjne przesłuchania opisałem za to w miarę dokładnie, wyrażając przy tym nadzieję, że prawda wkrótce wyjdzie na jaw. Zakończyłem na tym, że wszelkie informacje dotyczące pogrzebu Mateusza zostaną im podane wkrótce po tym, jak znana będzie jego data.

— Ale... Dlaczego? — Nie unikałem oczywiście takiego pytania i mogłem tylko bezradnie rozłożyć ręce.

Obserwując reakcje uczniów, uznałem, że na przerwie powinienem pójść do dyrektora i zaproponować mu, by zakończył tę farsę i pozwolił wszystkim pójść do domu. Przecież żaden dzieciak po takich nowinach nie był w nastroju do przyswajania wiedzy. Większość uczniów rozglądała się wokół bezradnie, bardziej przypominając przedszkolaków niż licealistów.

Było jednak kilku, którzy umieli zamaskować swoje uczucia. Patrzyłem na nich z pobłażaniem. Niektórzy nastolatkiwie przyjmują sobie za punkt honoru, by stale wyglądać na zblazowanych i lekko śniętych. Nigdy nie rozumiałem tej mody, ale też jej nie zwalczałem. Przecież nikomu nie przeszkadzała.

O dalszym prowadzeniu lekcji nie mogło być mowy, więc poprosiłem, by do dzwonka posiedzieli we względnym spokoju, i przez

chwilę się im przyglądałem. Niemal wszyscy siedzieli jak trusie, zadając kłam twierdzeniom, jakoby dzisiejsza młodzież — wychowana na internecie, brutalnych filmach i ociekających krwią grach komputerowych — była kompletnie znieczulona na zjawisko przemocy. Naliczyłem dosłownie trzech czy czterech uczniów na tyle głupich i niewrażliwych, by w takiej chwili bimbać sobie na wszystko i rozmawiać ze sobą z przyklejonymi do twarzy lekkimi półuśmiechami. Ale nawet oni pod wpływem mojego ciężkiego wzroku natychmiast spowaźniali i porzucili rozmowę.

W takiej atmosferze głośny rechot zabrzmiał tak nierealnie, iż przez chwilę miałem wrażenie, że się przesłyszałem. Ale halucynacja musiałaby być zbiorowa, bo kilka osób razem ze mną odwróciło głowy, aby zlokalizować źródło niestosownych odgłosów. Dochodziły z ostatniej ławki, wydawane przez blondwłosego osiłka w obszernej bluzie z kapturem.

— Co ci tak wesoło? — zapytałem nieco zaczepnym tonem, spodziewając się usłyszeć burkliwe „przepraszam”. Ale reakcja chłopaka była tak zaskakująca, że aż podniosłem się z miejsca.

— A dlaczego ma mi być smutno? — Ton chłopaka był daleko bardziej zaczepny od mojego. — Przecież nic się nie stało. Jednego frajera mniej, i tyle — rzucił i czknął donośnie, uznając rozmowę za zakończoną.

Uczucie było wręcz namacalne. Poczułem, jak włosy z wściekłości stają mi na głowie. W mgnieniu oka skojarzyłem, że słyszałem już o tym blondynku. Według szkolnego psychologa cierpiał na jakąś formę depresji buntowniczej, ale dla mnie był zwyczajnym chamskim debilem, którego nikt jak dotąd nie nauczył rozumu.

Chciałem przemówić mu do rozsądku, ale nie zdążyłem. W mgnieniu oka pojawił się przy nim jeden z uczniów i otwartą dłonią trzepnął go w policzek. Blondyn zerwał się i rzucił na napastnika, który był o niego o głowę niższy. Nie mogłem dopuścić do bójki podczas lekcji. W dwie sekundy znalazłem się obok nich.

Mało brakowało, a bym nie zdążył i cała sytuacja skończyłaby się przelewem krwi. Upokorzony blondyn już brał zamach, by zaatakować charakternego mikrusa. W ostatniej chwili złapałem go za rękę

i przytrzymałem ją w stalowym uścisku.

— Spokój — powiedziałem, zastanawiając się, co zrobić. Serce podpowiadało mi, by dać małemu medal, ale przecież nie mogłem pokazać, że pochwalam stosowanie przemocy. Nawet w takich sytuacjach, jak ta. — Spokój! — powtórzyłem głośniej, bo blondynek wciąż się szarpał i w pewnym momencie...

Nie wierzyłem własnym oczom. Rzucił się z pięściami na mnie, swojego nauczyciela!

Odskoczyłem w bok, ledwie unikając mknącej w moim kierunku dłoni. Przez moment chciałem odpowiedzieć ciosem, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. W tym samym czasie do blondynka dopadło dwóch innych uczniów i unieruchomiło mu ręce. Jeszcze się krótko rzucał, a potem znieruchomiał, łypiąc na mnie spode łba.

— Chłopie, ty się kwalifikujesz do leczenia — powiedziałem lekko zdyszonym głosem. — Jeżeli się dowiem, że próbowałeś się na nim mścić — przerwałem i wskazałem na odważnego mikrusa — gwarantuję ci, że wylecisz ze szkoły.

Po czym odwróciłem się plecami i w tym momencie zadzwonił dzwonek na przerwę.

Byłem leniwy i przez chwilę miałem ochotę to zostawić, ale stosowanie przemocy wobec nauczyciela było tak poważnym przewinieniem, że gdybym go nie zgłosił, miałbym kłopoty. I to od razu po tym, jak informacja o wydarzeniach sprzed paru minut dotarłaby do dyrektora. Dlatego, chociaż czułem się trochę jak tchórz, poszedłem prosto do gabinetu swojego przełożonego.

— Dzień dobry — powiedziałem, wchodząc do sekretariatu i zamykając za sobą drzwi.

Mój głos wciąż wibrował od tłumionej złości, ale się okazało, że mówiłem do pustego krzesła. Szkolna sekretarka widocznie też miała dzisiaj wolne. Zapukałem do kolejnych drzwi i słysząc gromkie „proszę”, wparowałem do środka.

— Panie dyrektorze — zacząłem od progu, ale wrogie spojrzenie mojego pryncypała nie pozostawiało wątpliwości. Zamilkłem, zastanawiając się, co też nabroilem.

Nie kazał mi długo czekać. Prawie nie zmieniając swej pozycji za

biurkiem, wyjął z kosza zmiętą kartkę formatu A4, po czym bez słowa poturlał ją w moją stronę po błyszczącym blacie. Złapałem ją w ostatniej chwili i rozprostowałem. Zrozumiałem, że mam w rękach wydruk artykułu z lokalnej gazety. Tego artykułu.

Przebiegłem go wzrokiem, ale nie wyczytałem z niego więcej niż w klasie.

— Skąd oni to wszystko wiedzą? — spytałem retorycznie, ponuro kręcąc głową.

— Zaraz panu wytłumaczę, ale najpierw chcę zapytać, jak przyjęli to uczniowie.

— Kiepsko. Większość wyglądała tak, jakby byli w stanie kompletnego szoku.

— To i tak nieźle. W kilku innych klasach wybuchła panika. Ci główniarze dotarli do artykułu wcześniej niż my i nie było kiedy zareagować. Przed chwilą zdecydowałem się puścić wszystkich do domu.

— I słusznie — pochwaliłem, chociaż uważałem, że ta decyzja podjęta została o kilka godzin za późno. Ale nie chciałem uchodzić za mądrego po szkodzie, więc tego nie zwerbalizowałem.

— Natomiast do pana mam ogromne pretensje, panie Tomku. Ja wiem, że nie miał pan na pewno złych intencji, ale narobił pan mnóstwo szkód. Po kim jak po kim, ale po panu się tego nie spodziewałem.

Miałem wrażenie, że mówi do mnie w jakimś obcym języku. Niczego nie rozumiałem.

— Ale o co chodzi? — zapytałem, lecz on nakręcił się na dobre.

— Gdyby nie obecna, trudna sytuacja — perorował — to zawiesiłbym pana w obowiązkach. I miałbym powody. To było jaskrawe złamanie polecenia bezpośredniego przełożonego. Mojego polecenia! I naprawdę nie interesuje mnie, czy zrobił to pan z głupoty, czy...

Poczułem jak oczy zasnuwa mi czerwona mgła. Tego wszystkiego było już za dużo. Śmierć przyjaciela, niewyspanie, te wszystkie płacze w moje ramię, konfrontacja z narwanym uczniem i wreszcie stek oskarżeń, z których niczego nie rozumiałem. W moim spojrzeniu musiała pojawić się żądza mordu, bo Hołownia nagle urwał, zbladł i odruchowo odjechał krzesłem jak najdalej ode mnie.



— Co... jest... grane? — wycedziłem, usiłując nie stracić nad sobą panowania.

Dyrektor był przestraszony, ale nie tak, by się wycofać.

— Nabroił pan, panie Tomku — powiedział nieco drżącym głosem, a potem, przynaglony moim obsydianowym spojrzeniem, podjechał na krzesło do biurka i wskazał palcem na podpis pod artykułem.

Nie zwróciłem nawet uwagi, że palec dyrektora drżał jeszcze bardziej niż głos. Moje wszystkie negatywne uczucia związane z jego osobą wyparowały jak kamfora, wyparte przez złość na samego siebie. Już znałem nazwisko kretyna, który był autorem przecieku. Tym kretynem byłem ja.

Pod artykułem widniał podpis autora. Tych kilkanaście liter układało się w znajome imię i nazwisko: Joanna Grabowska.

Milczałem dobrą minutę, usiłując otrząsnąć się z szoku. Potem podniosłem wzrok na dyrektora, który — w kontraście do uprzedniego wzburzenia — obserwował mnie teraz ze stoickim spokojem.

— Skąd miałem wiedzieć, że ona jest już dziennikarką? Myślałem, że tylko studiuje. Nic mi nie powiedziała... — zacząłem, ale nagle wszystkie tłumaczenia wydały mi się dziecinne i głupie. — Zdaję sobie sprawę z tego, że naraziłem dobre imię szkoły. Przepraszam — wychrypiałem, skręcając się z upokorzenia.

Dyrektor nie przeciągał milczenia, a nawet lekko się uśmiechnął.

— Mówiłem panu, że już gdzieś ją widziałem — powiedział.

— Kilka miesięcy temu zaczęła mnie na ulicy. Przeprowadzała jakąś sondę czy coś w tym stylu. Ma pan szczęście, że tak pana lubię — dodał. Był niezłym aktorem, bo nie wyczułem w jego głosie ani jednej nutki fałszu, a wiedziałem, że raczej za mną nie przepada. — Tak to jest z tymi babami, sprzedadzą człowieka za pięć złotych. — Zarechotał, a ja mu zawtórowałem, bo tak wypadało.

— Już ja sobie z nią pogadam — wymruczałem pod nosem, kierując to zdanie bardziej do siebie niż do niego. — To hiena...

— Z drugiej strony nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — ciągnął Hołownia. — Kiedyś i tak musielibyśmy to ogłosić, a tak mamy to za sobą. Uczniowie pójdą do domu i dopiero jutro czeka nas

najazd zaniepokojonych rodziców. Część z nich przez noc nieco ochłonie i może to wszystko będzie trochę łatwiejsze.

— Czyli jutro lekcje...

— Odbędą się normalnie — dokończył za mnie. — Nie możemy z takich powodów zamykać szkoły. A przed lekcjami, za kwadrans ósma, chcę zrobić coś w rodzaju odprawy dla rodziców. I tutaj mam do pana prośbę.

Posłałem mu beznamienne spojrzenie. Wiedziałem, o co chce mnie poprosić, i — co najgorsze — po tym wszystkim nie mogłem mu odmówić.

— Ja powiem parę słów wstępu, a potem pan naświetli rodzicom sytuację. Tak w kilku zdaniach, oczywiście bez spekulacji i wgłębiania się w szczegóły. Na tę okoliczność mianuję pana — zawiesił głos, szukając jakiegoś pomysłu — przewodniczącym komisji nadzwyczajnej. Naprawdę powołamy taką komisję, każę sekretarce przygotować papiery. Może być? — Entuzjazm w jego głosie dorównywał tylko mojej niechęci.

Cóż miałem zrobić? Ponuro pokiwałem głową, posyłając w myślach zdradzieckiej Aśce kilka plugawych przekleństw. A potem podniosłem się i skierowałem do wyjścia.

Szkoła wyludniła się błyskawicznie. Chociaż od chwili, gdy ogłoszono skrócenie lekcji, nie minęło więcej niż dziesięć minut, na korytarzach nie było już ani jednego ucznia, podobnie jak nauczyciela. Przez pewien czas chodziłem od drzwi do drzwi, bezskutecznie szukając Karola i Marka. A kiedy wreszcie się domyśliłem, gdzie zniknęli, było już za późno. W rogu korytarza osaczyła mnie Aldona.

Była obciętą na pazia brunetką o smukłej sylwetce i sympatycznym uśmiechu. Przyszliśmy tu do pracy w tym samym roku i przez te pięć lat poznaliśmy się naprawdę dobrze. Bardzo długo byliśmy nawet kimś na kształt przyjaciół, ale nasze drogi rozeszły się przed kilkunastoma miesiącami, podczas szkolnej wycieczki do Szklarskiej Poręby. Od tego czasu starałem się jej unikać. Niestety bez wzajemności.

— Cześć, Tomku — przywitała mnie ciepło, zastępując jednocześnie drogę. — Zostajesz?

— Nie, właśnie miałem iść — odparłem, nie zawierając w tonie

swojego głosu ani grama zachęty do kontynuowania rozmowy. Ale jej to nie zraziło.

— Myślałam, że szukasz śladów morderstwa — powiedziała po prostu. Dla niej zawsze wszystko było proste.

— Wszystkie ślady zabezpieczyła wczoraj policja — poinformowałem tonem typowym dla przewodnika oprowadzającego wycieczkę po Starym Mieście. — Błagam, Aldona. Mam ciężki dzień. Jeżeli jeszcze ty zaproponujesz mi pomoc w czymś, czego wcale nie robię, to chyba kompletnie się załamie.

Obdarzyła mnie tym swoim irytującym spojrzeniem, które wyrażało mieszaninę zachwyty i urazy. Dziwna mieszanka, prawda?

— Chciałam ci tylko pomóc. Czy już nigdy mi nie wybaczysz? — zadała to pytanie mniej więcej trzydziesty raz, a ja po raz trzydziesty odpowiedziałem to samo.

— Nie gniewam się na ciebie. I nie wracajmy do tego, dobrze?

Pojechaliśmy wtedy do Szklarskiej Poręby jako opiekunowie klasy, w której miałem wychowawstwo. To był pierwszy raz, gdy udało nam się wyjechać razem na wycieczkę, i bardzo się z tego cieszyłem, bo znaleźmy się jak łyse konie i nadawaliśmy na tych samych falach. A przynajmniej tak mi się wydawało. Wycieczka udała się super i przez trzy dni funkcjonowaliśmy w pełnej harmonii. Ale nic nie trwa wiecznie. Wszystko zepsuło się ostatniego wieczoru, gdy — zmordowani po całym dniu użerania się z nastolatkami — postanowiliśmy wybrać się razem do sauny. Teraz widzę, że to był głupi pomysł, ale wtedy jakoś o tym nie pomyślałem. Okręciłem się ręcznikiem, położyłem na rozgrzanych deskach i zatopiłem się w panującym półmroku, popadając w przyjemne odrętwienie.

W pewnym momencie poczułem na udzie nieśmiały dotyk. Nie zdążyłem zareagować, gdy wgramoliła się na mnie, przyciskając swoim nagim, szczupłym ciałem. O tym, że nie zostałem jej kochankiem, zadecydowały dosłownie milimetry i ułamki sekund. Zrzuciłem ją z siebie w ostatniej chwili, połykając przy tym łzy. Było to dla mnie najtrudniejsze doznanie fizyczne w całym moim życiu.

Nie potrafiła zrozumieć, że nie chciałem iść z nią do łóżka. Obraziła się na mnie śmiertelnie i przez kilka tygodni nie odezwała się

do mnie ani słowem. Bardzo mi ten układ pasował. Ja też nie chciałem z nią mieć nic wspólnego, bo zawiodła moje zaufanie.

W przeciwieństwie do większości moich znajomych wiedziała o mnie niemal wszystko i w związku z tym nie potrafiłem zrozumieć, jak mogła w ogóle próbować.

Podejrzywałem, że odrzucona miłość wywołała u niej jakąś łagodną formę obsesji. Kiedy dotarło do niej, że nie zamierzam się za nią uganiać i błagać o wybaczenie, jej stosunek do mnie znów się zmienił. Bywały okresy, że stawała się niemal moim cieniem. Natykałem się na nią wtedy niemal codziennie — w sklepie, na bieżni, na spacerze. Byłem zawsze uprzejmy, ale chłodny. Zazwyczaj odchodziła zraniona, ale rany szybko się goiły i po kilku tygodniach znów gdzieś mnie osaczała. Szczerze jej współczułem i marzyłem, by znalazła sobie fajnego chłopaka i wreszcie się ze mnie wyleczyła.

Gdyby nie ta obsesja, która wykluczała rzecz jasna nasze normalne kontakty, Aldona byłaby naprawdę fajną dziewczyną. Wiedziałem, że jest inteligentna, zabawna i w gruncie rzeczy porządna, a o jej popularności wśród uczniów ktoś taki jak ja mógł tylko pomarzyć. Tylko ten niewielki w gruncie rzeczy defekt... Nie wiem, z czego to wynikało, ale miałem rzadki talent przyciągania do siebie osób nie do końca zdrowych na umyśle.

Odsunąłem ją delikatnie i zamierzałem przejść, ale nie poddawała się tak łatwo.

— Odebrałam dziś w pokoju nauczycielskim bardzo dziwny telefon — powiedziała tajemniczym, nieco eterycznym głosem, mającym w założeniu mnie zaciekawić. — Nie jesteś ciekawy, kto w dwudziestym pierwszym wieku dzwoni na telefony stacjonarne?

— Zegarynka? — spytałem kpiąco, ale udało jej się. Byłem zaintrygowany, bo dotąd sądziłem, że wiszący na ścianie jaskrawozielony aparat telefoniczny jest elementem *art déco*.

Przez chwilę sądziłem, że będzie chciała się ze mną droczyć, ale się myliłem. Nagle zrobiła się śmiertelnie poważna.

— Dzwoniła pani Genowefa. Żona pana Leopolda — wyjaśniła, gdyż to imię nic mi nie mówiło. — Była bardzo roztrzęsiona. Twierdziła, że jej mężowi stało się coś złego.

— Nie dotarł dzisiaj do szkoły — powiedziałem w zamyśleniu. Nietrudno zgadnąć, że odtwarzałem w głowie wczorajszą rozmowę starego matematyka z dyrektorem Hołownią. Tę, którą podsłuchałem w wyludnionym parku. W nawale dzisiejszych zajęć zupełnie wyleciała mi z głowy. — Co dokładnie mówiła ta... pani Genowefa?

— Była całkiem roztrzęsiona. Niewiele mogłam zrozumieć. Ona jest chora i wymaga opieki.

— Ale co powiedziała? — powtórzyłem niecierpliwie. — Udało ci się coś zrozumieć?

— Mówiła, że mąż wrócił dopiero nad ranem i nawet się nie położył. A rano spakował torbę podróżną i tyle go widziała.

— I to wszystko? — spytałem, gdy zamilkła.

— Wszystko, co zdołałam zrozumieć — przyznała, splatając dłonie na piersiach.

— Tak po prostu wstał i wyjechał? — Brzmiało to niewiarygodnie, ale tylko z pozoru. W połączeniu z wieczorną rozmową z dyrektorem układanka zaczynała mieć sens. Na jego miejscu sam wolałbym znaleźć się gdzieś daleko.

Myśli Aldony pomknęły w zupełnie innym kierunku.

— Czy nie widzisz tu analogii? — zapytała, patrząc na mnie z naciskiem. — Pan Leopold zniknął zupełnie tak samo, jak dwa dni temu Mateusz. Jak myślisz, gdzie go znajdziemy?

Odruchowo zerknąłem w kierunku schodów prowadzących na szkolne poddasze i aż się wzdrygnąłem. Jej wizja była makabryczna.

— Czy myślisz, że mamy tu w szkole jakiegoś seryjnego mordercę, który po kolei będzie wykańczał nauczycieli? — spytałem w przekąsem.

— Ja tylko staram się wyciągać wnioski. I jak dodaję dwa do dwóch, to wychodzi mi cztery.

— Co ty gadasz? — Próbowałem zabarwić swój głos powątpiewaniem, ale nie do końca mi się to udało. Tego, co mówiła, nie dało się do końca wykluczyć. Na myśl o tym, że w szkole grasuje seryjny kiler, przeszły mi po plecach ciarki. Odruchowo rozejrzałem się wokoło i stłumiłem przekleństwo.

„Chyba zaraziła mnie tą swoją manią prześladowczą”  
— pomyślałem ze złością.

Pograżony w niewesołych myślach ruszyłem w stronę schodów, wyciągając z kieszeni telefon i kartkę z numerem do policjantki Kamili. Aldona dopędziła mnie po kilku krokach.

— Zaczekaj — wyszeptała gorączkowo. — Co chcesz zrobić?

— Dam znać policji — powiedziałem zgodnie z prawdą. Nie spuszczała ze mnie wzroku.

— Nie zbędziesz mnie tak łatwo — powiedziała wreszcie.

— Wiem, kim dla ciebie był Mateusz, i wiem, że nie będziesz siedział beczynnie. Tylko pamiętaj, że możesz na mnie liczyć — złożyła mi taką samą propozycję, jak dwie godziny wcześniej Marta, i zniknęła w damskiej toalecie.

Nie zwlekając, opuściłem budynek szkoły. Dwie propozycje pomocy od dwóch kompletnych wariatek — to naprawdę było zdecydowanie za dużo jak na jeden dzień. Przez chwilę stałem na deszczu, usiłując ochłonać, a potem skryłem się pod wysuniętym dachem i wystukałem numer do „Marchewki”.

Odebrała po czwartym sygnale.

— Halo — odezwała się nieco zaspanym głosem.

Doszedłem do wniosku, że musiałem wyrwać ją ze snu.

Oprzytomniała jednak już po kilku sekundach.

— Dobrze, wszystko zapisałam — poinformowała mnie, gdy skończyłem składać jej relację. — Zaraz zadzwonię na komisariat i poproszę, żeby pchnęli jakiś radiowóz do tej pani Genowefy. I ten numer, z którego ktoś zadzwonił do Mateusza w dzień jego śmierci. Postaram się go ustalić. Dzięki, budzisz lepiej niż najlepsza kawa — stwierdziła i zakończyła połączenie. Nie wyczułem, czy powiedziała to z przekąsem, czy też chciała być miła. Prawda była taka, że kompletnie o to nie dbałem.

Byli tam, gdzie się ich spodziewałem. W budynku szatni, po drugiej stronie boiska. Powitali mnie niczym syna marnotrawnego. W zasadzie powitał mnie tak Karol, bo Marek tylko wpatrywał się w okno. Zupełnie jak kilka godzin temu.

— Gdzie ty się podziewałeś? — Informatyk klepnął mnie w plecy tak mocno, że miałem ochotę mu oddać. — Brakowało mi ciebie, bo z nim to rozmowa jak ze ścianą — wskazał na wuefistę, który

rzeczywiście wyglądał na zamkniętego w sobie. Zupełnie jakby był chory albo męczył go nie ziemski kac.

Opowiedziałem o artykule prasowym i rozmowie z Aldoną. Gdy doszedłem do jej karkołomnej teorii o seryjnym mordercy, spod okna dobiegł mnie chrapliwy śmiech.

— Seryjny morderca i co jeszcze? — Marek odchrząknął, otworzył okno i splunął. Był trochę nieokrzesany. — Ta też naczytała się książek — dodał, nawiązując do Marty, o której też im opowiedziałem. — Nie wiem, jak można być takim idiotą. Przecież to, co się stało, jest jasne jak słońce. — Urwał nagle, jakby przestraszony, że powiedział zbyt dużo. Po chwili znów wpatrywał się w deszcz.

— Co on chce przez to powiedzieć? — zapytałem Karola, a ten tylko uniósł oczy do góry.

— Ma jakąś obsesję. Twierdzi, że to był wyrok jakiejś grupy przestępczej. Mateusz miałby zostać odstrzelony za długi. Wyobrażasz to sobie? Jest chyba takie przysłowie czy coś w tym stylu. Nie mierz innych swoją miarą, czy jakoś tak...

Zaśmiał się, ale ja mu nie zawtórowałem. Podszedłem do Marka i bezceremonialnie potrząsałem go za umięśnione ramię. Spojrzał na mnie nieco udręczonym wzrokiem i zrozumiał mnie bez słów.

— Spłacam, spłacam — prychnął i stracił moją rękę. — Lepiej martwcie się o siebie — odwrócił się do nas plecami, jakbyśmy to my byli winni temu, że swojego czasu popadł w długi.

Machnąłem ręką i wyszedłem z Karolem przed budynek szatni. Ukryci przed deszczem pod gałęziami rozłożystego jawora wypaliliśmy papierosa. Tak gwoli prawdy to palił tylko Karol, a ja stałem z nim dla towarzystwa. Zerwałem z tym nałogiem już wiele lat temu. Nie było to łatwe, bo paliłem od trzynastego roku życia.

— Dziwnie się słucha tych wszystkich rzeczy już po jego śmierci — stwierdził w pewnym momencie informatyk, wydmuchując w powietrze chmurę dymu. — Mateusz i Marta... Mógłbym żyć obok nich dwieście lat, a i tak bym się niczego nie domyślił. Kompletnie nie wyglądał na Casanovę.

— Pozory myślą — zgodziłem się, przestępując z nogi na nogę. W takich chwilach jak ta wciąż chciało mi się palić. — Ciekaw jestem,

ile z tego wiedziała Janka.

— No właśnie. — Karol się zadumał. — Ciekaw jestem, jak ona do tego wszystkiego podchodzi. Tak naprawdę to kto wie... Może to jest dla niej najlepsze wyjście. Pewnie by ją bolało, gdyby odszedł z inną.

— Sugerujesz coś konkretnego? — spytałem, gdyż nie byłem pewien, czy dobrze go rozumiałem.

— Jak to? — Przez chwilę patrzył na mnie baranim wzrokiem, a potem pacnął się ręką w czoło. — Nie no, coś ty. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że za jego śmiercią mogła stać Janka.

Szczerze mówiąc, ja też ani przez moment tak nie uważałem. Znałem statystyki i wiedziałem, że za większością morderstw stoją członkowie najbliższej rodziny, ale po pierwsze, Janka nie wydawała mi się zdolna do przemocy, po drugie, kochała swe córki i na pewno nie chciała odbierać im tatusia, a po trzecie, nie miała tyle siły fizycznej, by udusić dużego, ciężkiego chłopca. Ta teoria kompletnie nie trzymała się kupy.

Weszliśmy do środka i uwaliliśmy się na leżących na podłodze materacach. Szatnia, a w zasadzie jej fragment, czyli kilkanaście metrów kwadratowych przeznaczonych wyłącznie dla nauczycieli, była w deszczowe dni naszym ulubionym miejscem spotkań podczas okienek. Gdy świeciło słońce, spotykaliśmy się na niewielkiej górcie, na skraju szkolnych terenów.

— Patrz, jaki się z tego Mateusza zrobił światowiec — mówił leniwym głosem Karol. Zwracał się tylko do mnie, bo Marek zamknął oczy i udawał, że śpi. — Tu wspólne kawki z prezydentem miasta, tu romans z atrakcyjną trzydziestką, tu perspektywy, tu widoki... Naprawdę był szczęśliwy. Patrz, jakie to wszystko jest ulotne. — Obaj na chwilę pogrążyliśmy się w zadumie.

— Wiedziałeś, o co chodzi z tymi kawkami w magistracie? — spytałem po chwili milczenia. Ja wiedziałem, więc powodowała mną wyłącznie ciekawość.

— Domyślałem się — powiedział, podnosząc się na łokciu. — Chodziło o stanowisko dyrektora albo zastępcy, prawda?

— Tak jest, tylko nie było wiadomo, czy tu, czy może u konkurencji, w Konopnickiej — potwierdziłem. — Tego nie chciał



powiedzieć. Ale to miało się stać w najbliższych miesiącach. Wyobrażam sobie, co musiał czuć Hołownia. Był tu dyrektorem chyba od zawsze, nie?

— Czy teraz to ty coś sugerujesz?

Udałem, że go nie słyszę. Chciałbym z czystym sumieniem zaprzeczyć, ale nie mogłem. Wciąż miałem w uszach jego wczorajszą rozmowę z matematykiem.

— Opowiedz mi wszystko, co wiesz o panu Leopoldzie  
— poprosiłem i ułożyłem się wygodnie na sprężystym materacu.

Karol uczył w naszym liceum tylko dwa lata dłużej ode mnie, ale uchodził w moich oczach za skarbnicę wiedzy o wszystkich naszych kolegach i koleżankach. Wynikało to z tego, że miał bardzo analityczny umysł i wchłaniał wszystkie mniej lub bardziej istotne informacje niczym gąbka. Nowych materiałów nigdy mu nie brakowało. Był osobą towarzyską i chętnie wdawał się w rozmowy, a jego okrągła szczerą twarz zwieńczona okazałą łysiną wzbudzała zaufanie. Miał przy tym rzadką umiejętność syntetycznego przekazywania informacji. Wystarczyło tylko, by otworzył w swoim umyśle właściwą szufladkę.

Tym razem potrzebował na to zaledwie kilku sekund, ale już na samym wstępie nieco mnie rozczarował.

— Niewiele o nim wiem — zaczął, a gdy uniosłem brwi, pospieszył z wyjaśnieniem. — Tak w zasadzie to nikt go dobrze nie zna. Jest jak kot, chadza własnymi ścieżkami. Nawet ci, którzy poznali go w dawnych latach, niewiele mogą o nim powiedzieć. Z ostatnich plotek wynika, że strasznie sypie mu się wzrok. Zresztą widziałeś, jak się męczył z tym wytrychem. Ale w jego wieku to chyba normalne. A tak poza tym...

— Mam propozycję. Może zacząłbyś od początku, co? O tym, że niewiele widzi, wiem lepiej niż ty. Pomagałem mu kiedyś w wypełnianiu jakichś formularzy dla kuratorium.

— Proszę bardzo. Otóż pan Leopold pracuje u nas od lat osiemdziesiątych. Ma najdłuższy staż ze wszystkich nauczycieli, ale to nie może dziwić. Następny w kolejce, dyrektor Hołownia, zatrudnił się kilka lat po nim. Pan Leopold ma sześćdziesiąt sześć lat...

— Myślałem, że ze sto — przerwałem, ale nie zwrócił uwagi na

mój głupkowaty żart.

— ...i w przyszłym roku przechodzi na emeryturę. Kiedyś był grubą rybą w partii. To znaczy w PZPR. Był nawet przez pewien czas zastępcą dyrektora, ale po osiemdziesiątym dziewiątym roku jego kariera nieco wyhamowała. Nigdy nie miał problemów z młodzieżą, ale nie był też szczególnie lubiany. Uczniowie traktowali go zawsze trochę jak nieszkodliwego dziwaka. Prywatnie ma schorowaną żonę i działkę nad Narwią. I chyba ta działka to jego jedyne hobby, spędza na niej całe wakacje i każdy weekend od marca do listopada. Żona choruje na jakąś rzadką chorobę i jest częściowo unieruchomiona. O dzieciach nic nie słyszałem. Jeżeli są, to nie utrzymuje z nimi kontaktów.

— A czy dobrze znał Mateusza? — zapytałem. — Z tego, co mówiła mi wczoraj pani Wiesława, to łączyła ich jakaś tragiczna historia ze wspólnych kolonii.

Karol przez chwilę przeszukiwał swój mózg, ale nie wypluł żadnego interesującego rekordu.

— To ciekawe — stwierdził tylko. — Nie pamiętam, by kiedykolwiek dorabiał sobie w wakacje jako wychowawca. Przynajmniej od czasu, jak ja tu pracuję. Mówiłem ci o tej działce. Podobno nie może bez niej żyć.

— A utrzymywał w ogóle jakieś stosunki z Mateuszem?

— Chyba takie jak z każdym z nas. Czyli żadne. Niczego szczególnego nie zauważyłem.

Wciąż miałem przed oczami wczorajszą szarpaninę matematyka z dyrektorem. Jednostronną, bo szarpany był tylko ten pierwszy.

— A czy wiadomo ci coś o jakichś szczególnych stosunkach pana Leopolda z Hołownią? — zapytałem, ale się okazało, że Karol nic o tym nie wiedział.

— Kiedy tak o tym myślę, to dochodzę do wniosku, że mimo tych wszystkich lat wspólnej pracy jest dla mnie zupełnie obcym człowiekiem — stwierdził, drapiąc się po łysej głowie. — Ale jakoś tak intuicyjnie zawsze go lubiłem.

— Ja też — przytaknąłem odruchowo. Z całego serca nie chciałem, by sprawdziły się katastroficzne wizje Aldony.

Zerknąłem na wyświetlacz telefonu. Było kilka minut przed drugą,

więc do spotkania z Janką miałem jeszcze ponad dwie godziny. Postanowiłem, że ten czas poświęcę na poszukiwania pana Leopolda. I tak nie miałem nic lepszego do roboty.

— Karol, czy wiesz może, gdzie dokładnie jest ta jego działka? — zapytałem, wyrywając swojego kolegę z chwilowego odrętwienia.

— Mniej więcej — potwierdził i zaczął się podnosić. — Gdzieś w Popowie. Wicedyrektorka pokazywała mi ją kiedyś na Google Earth. Jedziemy?

Dwie minuty później siedzieliśmy w jego antycznym citroenie i — nie zważając na dziwne odgłosy dobywające się spod jego maski — sunęliśmy w kierunku Zalewu Zegrzyńskiego. W dziedzinie motoryzacji Karol był zdeklarowanym hipsterem. Być może pośrednio wynikało to z faktu, że nie stać go było na lepszy samochód. Nauczyciele nie zarabiają już tak mało, jak kilka lat temu, ale nasze pensje wciąż nie są zbyt wysokie. Mój kolega i tak był w lepszej sytuacji ode mnie — ja byłem zatrudniony na umowę-zlecenie i moje dochody ze szkoły nie wystarczyłyby pewnie nawet na takiego starego citroena, zwłaszcza że egzemplarz Karola wymagał coraz bardziej kosztownych napraw.

— Niepokoję się o Marka — zagadnąłem, gdy minęliśmy ostatnie z serii skrzyżowań z sygnalizacją świetlną i wyjechaliśmy z miasta. — Chyba przyjął śmierć Mateusza najgorzej z nas. Niby taki twardziel, a kompletnie się rozkleił.

Karol zabębnił palcami w kierownicę, a potem — ku mojemu przerażeniu — wziął się za wyprzedzanie jadącej niewiele wolniej od nas ciężarówki z przyczepą. Ryzykowny manewr zakończył już na wysepce.

— Masz rację. — Podczas gdy ja ocierałem pot z czoła, on był zupełnie spokojny. W przeciwieństwie do mnie lubił takie idiotyczne igraszki z losem. — Wiesz, oni ostatnio byli jakoś bliżej. Aż się dziwiłem, bo przecież wcześniej chyba nie utrzymywali ze sobą zbyt częstych kontaktów.

— Co ty mówisz? Marek z Mateuszem? — upewniłem się, czy dobrze zrozumiałem. Byłem zdziwiony, bo zawsze odnosiłem wrażenie, że wręcz za sobą nie przepadają. A przynajmniej że Mateusz nie

przepada za wuefistą. Czyżby związek z Martą aż tak go zmienił?

— W ogóle z Markiem od pewnego czasu dzieje się coś niedobrego — stwierdził Karol, ścinając zakręt z taką prędkością, że żołądek podszedł mi do gardła. Po chwili dojechaliśmy do ronda w Zegrzu Południowym. — Wydaje się podenerwowany. Zauważyłeś?

— Przynajmniej nie łązi już z podbitym okiem — odparłem, poprawiając się w fotelu. — Jak określił go wtedy wizytator? Żywa antyreklama pedagoga, tak? — Uśmiechnąłem się do tego wspomnienia i zapatrzyłem w modre wody Zalewu Zegrzyńskiego.

Wspomnienie było zabawne, ale cała sytuacja już zdecydowanie mniej. Marek miał kiedyś problem z hazardem i na pamiątkę tych czasów zostały mu całkiem spore długi. Starał się je regularnie spłacać, ale były momenty, że wykańczały go odsetki. Zapożyczał się wtedy u znajomych i zwykle jakoś się wyrabiał, ale pewnego razu się nie udało. Spóźnił się z kolejną ratą i miał zatarg z tak zwanymi ludźmi z miasta, którym wisiał szmal. Potraktowali go ponoć dość łagodnie, ale nie wywinął się bez szwanku. Przez dwa tygodnie chodził z podbitym okiem i wyciągał kasę niemal od wszystkich — próbował pożyczać nawet ode mnie, chociaż wiedział, że mam zagospodarowany każdy grosz. Jakoś mu się udało. Podobno spłacił najgroźniejszych wierzycieli i na pamiątkę została mu tylko wątpliwa ozdoba pod okiem, która zresztą wkrótce zbladła i zniknęła.

Ale od tego czasu nie był sobą, a jego wycofanie pogłębiło się jeszcze po śmierci Mateusza. Gdy zaproponowaliśmy mu, by pojechał razem z nami, tylko pokręcił głową i mruknął, że musi się przespać. Nie kojarzyłem, by kiedykolwiek przedtem ucinał sobie drzemkę w szatni.

— W zasadzie to nie piłem z nim od miesiąca. No, może poza tymi feralnymi imieninami Joanny. — Na wspomnienie alkoholowego wieczoru, podczas którego ostatni raz widzieli Mateusza, Karol zaklął pod nosem. — Ale nawet wtedy nie był sobą. Liczył każdy kieliszek, wyobrażasz to sobie? Przynajmniej do pewnego momentu. Popłynął na dobre dopiero później, na długo po wyjściu Mateusza.

Pokręciłem ze zdziwieniem głową. Marek usiłujący grać abstynenta? Nie sądziłem, że tego dożyję. Kiedy mówiłem policji, że nauczyciele nie nadużywają alkoholu, nie miałem bynajmniej na myśli

naszego wuefisty. Marek nigdy nie wylewał za kołnierz. Miał jednak silny organizm i następnego dnia jedynymi śladami po nocnych ekscesach były na ogół przekrwione oczy i skrzywiona mina. Kiedyś jego słabość do kieliszka niepokoiła i mnie, i Karola. Kilkakrotnie próbowaliśmy przeprowadzić z nim rozmowy wychowawcze, ale po pewnym czasie odpuściliśmy. Uznaliśmy, że nie ma co się szarpać z dorosłym chłopem o alkohol. W końcu każdy jest kowalem swego losu.

W Serocku przekroczyliśmy Narew i pojechaliśmy jeszcze ze dwa kilometry, po czym skręciliśmy w prawo. Droga powiodła nas ku gigantycznemu osiedlu działek rekreacyjnych, położonych w otoczeniu sosnowego lasu. Na niektórych działkach stały prawdziwe pałace. Chmury częściowo ustąpiły i momentami spomiędzy nich przeświecało słońce, odbijając się w tysiącach kropelek deszczowej rosy.

— Ładnie tutaj — stwierdziłem. Odkręciłem szybę i zaciągnąłem się głęboko wilgotnym, leśnym powietrzem.

Zawieszenie citroena grzechotało na wybojach. Sunęliśmy z prędkością nieprzekraczającą pięciu kilometrów na godzinę wąskimi uliczkami, szukając działki pana Leopolda.

— To chyba tutaj — stwierdził wreszcie Karol, zatrzymując się przy niewielkim spłachetku gruntu zabudowanym małym drewnianym budyneczkiem przypominającym ul. — Tak, na pewno — potwierdził, wpatrując się w ekran samochodowego GPS-a.

Wysiedliśmy z citroena i zbliżyliśmy się do pomalowanego na niebiesko płotu. Nad sztachetami przebiegały trzy pasma drutu kolczastego.

— Dba o swoją prywatność — stwierdziłem.

— Raczej nie stać go na wynajęcie ochrony — zaproponował Karol, wskazując na umieszczoną na sąsiednim ogrodzeniu tabliczkę z nazwą firmy ochroniarskiej. Rzeczywiście, na posesji pana Leopolda takiej nie było.

Na pierwszy rzut oka za płotem nie było żywego ducha. Działka miała pewnie nie więcej niż czterysta metrów kwadratowych i raczej nie roilo się na niej od kryjówek.

— Panie Leopoldzie! — zawołałem, ale odpowiedziało mi

milczenie. — Hop, hop! — dodałem nie wiadomo w jakim celu.

— Nikogo tu nie ma — stwierdził Karol, wyciągając papierosa.  
— O, jakie już truskawki...

Oparłem ręce o szczyt płotu i delikatnie się podciągnąłem, a potem zadarłem nogę i zgrabnie przeskoczyłem nad drutem kolczastym na drugą stronę.

— Co się tak patrzysz? — spytałem, bo Karol urwał w pół zdania i gapił się na mnie z otwartymi ustami. Nie sądziłem, że ten mały pokaz zwinności zrobi na nim aż takie wrażenie.

Z wyraźnym trudem doszedł do siebie.

— Wskoczyłeś tam na te truskawki? — zapytał z głupią miną.

Zostawiłem to idiotyczne pytanie bez komentarza i podszedłem do zamkniętych okiennic. Przyłożyłem oko do jednej ze szpar, ale nic nie zobaczyłem. Okrążyłem domek, uważnie nasłuchując, ale moich uszu nie dobiegł najmniejszy nawet szmer. W swoich poszukiwaniach nie pominąłem też niewielkiej szopki na narzędzia oraz sławojki. Dopiero teraz mogłem z czystym sumieniem stwierdzić, że Karol miał rację.

— Zbieramy się — oznajmiłem gromko, podążając ku niemu po sprężystej trawie pokrywającej niewielki wzgórek. W pewnym momencie pochyliłem się i podniosłem fragment rozbitych okularów. Przyjrzałem się mu uważnie, ale nie potrafiłem skojarzyć, czy należały do pana Leopolda. Owinąłem znalezisko w chusteczkę higieniczną i schowałem do kieszeni.

— Będiesz skakał? — zapytał z nadzieją w głosie Karol, ale ja pokręciłem głową i podszedłem do furtki. Nie była zamknięta na klucz.

— Raz chyba wystarczy — zażartowałem, dołączając do niego po właściwej stronie płotu. — Ile można się popisywać?

Gdy dokończył drugiego papierosa, wsiedliśmy do samochodu. Pięć minut później dotarliśmy do asfaltu i ruszyliśmy z kopyta z powrotem do Legionowa.

Pod szkołą byliśmy kilka minut przed piętnastą. Wycieczka nad Bug — bo to bliżej tej rzeki, a nie Narwi położona była działka pana Leopolda — nie zajęła nam nawet godziny.

W drodze powrotnej w mojej głowie narodził się kolejny pomysł. Miałem nadzieję, że zdążę go zrealizować przed szesnastą.

— Czy w naszej szkole jest jakieś archiwum? — zapytałem, gdy mknęliśmy obwodnicą Serocka.

Karol parsknął śmiechem.

— To chyba ty jesteś historykiem. Archiwa to bardziej twoja niż moja domena.

— Nie wygłupiaj się. Chodzi mi o zdobycie informacji o tych koloniach, podczas których miało zdarzyć się coś tragicznego. Może to jest klucz do całej tej sprawy?

— Może i tak — rzekł z powątpiewaniem. — W każdym razie masz szczęście. Dwa lata temu cała stara dokumentacja miała trafić do miejskiego archiwum, ale akurat się przeprowadzali, więc została. I to w miarę uporządkowana. A wiesz, kto ją porządkował? Ten pan! — mówiąc to, puścił kierownicę i wskazał na siebie oboma kciukami. Samochodem lekko zarzuciło.

Na moment zaniemówiłem.

— Co ja bym bez ciebie zrobił? — spytałem pół żartem, pół serio, gdy odzyskałem oddech. — Stary, mam u ciebie wielki dług wdzięczności.

Uśmiechnął się skromnie.

— Daj spokój. Nauczysz mnie tak skakać i jesteśmy kwita — powiedział i wcisnął pedał gazu, aby zdążyć przejechać na żółtym świetle.

Szkolne archiwum mieściło się w pomieszczeniu przylegającym do biblioteki. W zasadzie określenie „archiwum” było zastosowane nieco na wyrost. Był to jeden regał zawalony po brzegi starymi dziennikami lekcyjnymi, protokołami z obrad rad pedagogicznych i wynikami matur. Dzięki Karolowi dokumenty poukładane były chronologicznie i zorientowanie się w nich nie nastęrczało większych problemów.

— Hołownia chciał na początku, żebym je wszystkie zeskanował, ale gdy mu powiedziałem, że przy naszym starym skanerze zajmie mi to dwa miesiące, machnął ręką — powiedział informatyk, podając mi szary segregator z czarnym napisem: „kolonie letnie, Augustów”. — Tu są jakieś papiery dotyczące wyjazdów do ośrodka w Augustowie. Mieliliśmy z nim jakąś umowę czy coś. Nie wiem, jak to wtedy działało.

W segregatorze było mnóstwo dokumentów finansowych, które

niewiele mi mówiły. Dopiero pod sam koniec znalazłem kilka luźnych kartek, które mnie zainteresowały. Kartki zawierały spisy uczniów na kolejnych turnusach w latach 1994–1997. Nad listami nazwisk dzieciaków dopisano długopisem nazwiska opiekunów. Na kilku z nich znalazłem nazwisko matematyka. Niestety nigdzie nie było najmniejszej wzmianki o Mateuszu.

— Masz ten — Karol wcisnął mi w rękę kolejny segregator. Wyglądał na starszy, ale starsze były tylko okładki. Zawierał wykazy uczestników kolonii za lata 2000–2002. Na żadnej z list nie figurował ani matematyk, ani geograf.

— Potrzebuję tego pomiędzy — stwierdziłem nie do końca zrozumiale, ale Karol w lot pojął, o co mi chodzi. Niestety jego poszukiwania nie przyniosły efektu.

— Nie wiem, gdzie się podział — przyznał w końcu i potężnie kichnął. Podczas poszukiwań musiał przebić się przez całe pokłady kurzu.

Zawtórowałem mu tak głośno, że aż zadrżały ściany, a w pomieszczeniu rozeszło się echo. Karol przez moment masował ucho.

— Ale masz kichnięcie — powiedział z podziwem i już szykował się do dalszych kpiarskich komplementów, kiedy z hukiem otworzyły się drzwi.

— O Boże, ale się przestraszyłam — doleciało nas westchnienie pani Leokadii. Stojąca w drzwiach woźna masowała się po sercu.

Karol wybuchnął głośnym śmiechem, zagłuszając moje przeprosiny.

— Dał czadu, nie? — odezwał się po chwili, ocierając z oczu łzy. — Ja też myślałem, że umrę z przerażenia. To przez ten kurz. Czy ktoś tu w ogóle sprząta? — rzucił, nie biorąc pod uwagę konsekwencji.

A konsekwencje te dopadły go niemal natychmiast.

— Co pan myśli, że ja nie sprzątam? — naskoczyła na niego kobieta, wymachując trzymaną w ręku miotłą. — Całymi dniami sprzątam, ale jak te diabły naniosą mi błota, to nie ma czasu, żeby odkurzyć jeszcze i tu! A panowie wytarli buty?! — spytała napastliwie, po czym wpatrzyła się w nasze nogi niczym zbrojne ramię świętej



inkwizycji.

Karol stał stropiony i przyjmował burę z miną winowajcy. Wyglądał z boku zupełnie jak duży, bezradny dzieciak. Ale ja byłem trochę z innej gliny. Rozumiałem jej zacietrzewienie, ale w końcu pytanie o to, czy ktoś tu sprząta, zadał odruchowo, bez złych intencji. Jej zachowanie było niewspółmierne do sytuacji.

— Zostawmy buty, pani Leokadio — powiedziałem spokojnie, skupiając na sobie jej uwagę. — Niech pani mnie posłucha, bo to bardzo ważne. Czy...

— Nie było mnie wtedy w szkole. Sprzątałam w klubie — powiedziała defensywnym tonem.

— Nie o to chciałem spytać — przerwałem jej, choć fakt, że niepytana od razu przedstawia alibi, nieco mnie zaintrygował. Ale teraz nie koncentrowałem się na jej słowach. Całym sobą słuchałem swojej babci szeptuchy, która zdawała się szeptać mi do ucha. — Czy kiedy robiła tu pani porządki — powtarzając za babcią, popatrzyłem pani Leokadii prosto w oczy — to czy nie zabierała pani stąd jakichś dokumentów?

— Boże broń — stwierdziła z oburzeniem rozłożysta woźna. — Gdzieżbym coś takiego...

— Nie mówię, że je pani wyniosła albo zniszczyła. Chodzi mi o to, czy nie były pani do czegoś potrzebne. Choćby po to, by je podłożyć pod kulawe krzesło. Rozumie pani?

— A co mam nie rozumieć? Nie podkładałam ich pod żadne krzesła. W ogóle nie brałam ich do ręki. Tylko w pokoju nauczycielskim... — stropiła się i nagle umilkła.

— Co w pokoju nauczycielskim? — zapytaliśmy jednocześnie z Karolem.

— No tam jest ten regał... Ten z pucharami — kluczyła. — I ten regał ma taki jeden feler. Tam podłożyłam trochę tej makulatury — gestem dłoni wskazała na archiwum i posłała mi spojrzenie, które wyrażało coś zbliżonego do szacunku. — Nie umiem tego wytłumaczyć. Panowie pójdą za mną, to pokażę — odwróciła się na pięcie i pożegłowała w stronę schodów prowadzących na pierwsze piętro.

Dotarliśmy na miejsce po kilkunastu sekundach. W pokoju nie było

żywego ducha. Przez parę chwil wpatrywaliśmy się tępo w stary regał, który stał od zawsze przy jednej ze ścian. Pani Leokadia stała razem z nami i uspokajała oddech po szybkim marszu po schodach. Gdy nieco ochłonęła, zaparła się jedną ręką o ścianę i przesunęła mebel o kilka centymetrów.

Tyle wystarczyło. Między ścianą a tylną ścianką regału piętrzyły się segregatory.

— Proszę — powiedziała z dumą, szczerząc się w bezzębny uśmiech.

Wspólnymi siłami odsunęliśmy regał od ściany. Pozbawiony papierowego oparcia zaczął się niebezpiecznie kolebać na boki. Podczas gdy Karol asekurował niesforny mebel, ja rzuciłem się na odsłonięty „skarb”.

— To nie. To nie. I to też nie — mruczałem pod nosem, coraz bardziej zniecierpliwiony.

Odrzucałem kolejne tomy, ledwie je kartkując. Nie chciałem w to uwierzyć, ale do podtrzymania regału woźna zużyła dwanaście tomów! Zbliżałem się już do końca, a moją szczęśliwą liczbą okazała się jedenastka. To właśnie segregator numer jedenaście zawierał dokumentację wyjazdów kolonijnych za lata 1998–1999, której szukałem. Ze zwycięskim okrzykiem chwyciłem go i popędziłem do najbliższego stolika. Pani Leokadia patrzyła na mnie jak na wariata. Szacunek, którego do mnie nabrała, gdy wykazałem się umiejętnością dedukcji, stopił się z szybkością sopła lodu wrzuconego do rozgrzanego piekarnika.

Karol rzucił się w moją stronę, zapominając o regale. Mebel przechylił się majestatycznie i zanim do niego dopadliśmy, na podłogę poleciało kilka pucharów. Sapiąc i dysząc z wysiłku, oparliśmy go o ścianę, nie zapominając o uprzednim wzmocnieniu konstrukcji pozostałymi jedenastoma segregatorami. Uznaliśmy, że tutaj przydają się dużo bardziej niż w zakurzonym archiwum. Gdy regał stanął na swoim miejscu, pani Leokadia posłała nam ostatnie krytyczne spojrzenie i z dumnie uniesioną głową opuściła pokój nauczycielski. Zostaliśmy sami.

— Zrób kawy — poprosiłem i zacząłem niecierpliwie przerzucać

kartki.

To, czego szukałem, znajdowało się na samym końcu. Na kartce opatrzonej nagłówkiem „spis uczestników kolonii letnich Augustów 1999, turnus III, 1–14 sierpnia”, obok nazwisk trzydziestu dwóch uczniów figurowały trzy nazwiska opiekunów. Samych mężczyzn. Obok niejakiego Szymona Pełki turnusem opiekowali się pan Leopold i Mateusz. I był to jedyny turnus, na którym występowali wspólnie.

Przeleciałem szybko pozostałe dokumenty, ale nie znalazłem wśród nich niczego ciekawego. Tymczasem dołączył do mnie Karol, ściskający w ręku dwie pełne filiżanki. Postawił je na stole i spojrzał pożądliwie na segregator.

— Pokaż — poprosił, wyciągając drapieżnie ręce.

Kiedy ja raczyłem się kawą, on dokładnie obejrzał interesującą nas kartkę. Był chyba bardziej spostrzegawczy ode mnie, bo zauważył coś, co pomiąłem.

— Patrz — klepnął mnie w ramię i podsunął mi ją pod nos. Przez chwilę błądziłem po niej wzrokiem, aż wreszcie zrozumiałem, o co mu chodzi. Wyteżyłem wzrok, bo to, co zobaczyłem, było nie większe niż połowa znaczka pocztowego.

Do listy załączone były kiedyś jakieś inne dokumenty. Pozostała po nich jedynie zardzewiała zszywka i kilka strzępów papieru. Wyglądało na to, że lista była elementem większej całości i ktoś bezceremonialnie oderwał ją od pozostałych dokumentów, nie zwracając sobie głowy rozszywaniem lub przynajmniej usunięciem zszywki. Raz jeszcze przejrzałem chudawy segregator, ale po oderwanych dokumentach nie było w nim śladu.

— Masz może lupę? — zapytał Karol, pochylając się nad strzępami, które pozostały przy liście.

— Pokaż — przegoniłem go, ale nawet ja nie byłem w stanie stwierdzić, czy odkrycie miało dla nas jakąkolwiek wartość.

— Pracownia biologiczna — rzuciłem. — Skoro są tam mikroskopy, to na pewno jest też lupa.

Wzięliśmy z szafki klucze i pognaliśmy na złamanie karku do sali, w której nauczano biologii. Oczywiście nie znaleźliśmy tam lupy, ale Karol wpadł na pomysł, że taki gadżet powinien znajdować się w klasie

fizyki. Ostatecznie musieliśmy się zadowolić zoomem optycznym jego aparatu.

— Połóż tutaj. Rozprostuj. O tak! — pouczaliśmy się rozgorączkowanymi głosami, wciskając jednocześnie głowy przed malutki ekranik w tylnej części aparatu. — No, nie pchaj się tak! — warknąłem i udało mi się na chwilę go odgonić. — Co my tu mamy... Niewiele — dodałem po chwili rozczarowanym tonem.

Od listy oderwane zostały dwie lub trzy kartki. Jedyne, co można było stwierdzić, to to, że jedna z kartek pochodziła z gazety. Wskazywała na to faktura papieru. Na oderwanym fragmencie zachowało się kilka mikroskopijnych liter.

— ...er Ex... — wydukałem mozolnie i westchnąłem ponuro. Napis skojarzył mi się ze środkiem na wywołanie erekcji. Na szczęście Karol dysponował bardziej analitycznym umysłem.

— Sup... er Ex... press — powiedział powoli, a ja zgodziłem się z nim w mgnieniu oka. Łamigłówka wydała mi się po fakcie dziecinnie prosta.

— Czyli trzeba będzie dotrzeć do numerów tej gazety z sierpnia 1999 roku — podsumowałem, dopijając kawę. Przed chwilą zerknąłem na zegar w korytarzu i nagle zaczęło mi się bardzo spieszyć. W zasadzie to już byłem spóźniony, a czekała mnie droga przez niemal całe miasto. — Możesz w wolnej chwili sprawdzić, czy mają to online?

Karol był pochłonięty szukaniem czegoś w telefonie.

— Właśnie sprawdziłem — powiedział po chwili. — Niestety takie stare numery są tylko w ich archiwum. Wersja papierowa. Nie mam pojęcia, czy można się tam dostać ot tak, z ulicy.

Schowałem kartkę z listą do kieszeni, a segregator — wraz z pozostałą zawartością — wetknąłem do swojej służbowej szafki. Potem namówiłem Karola, aby podrzucił mnie w okolice mieszkania Janki. O tej porze miasto było jak zwykle nieprzyzwoicie zatłoczone, ale udało nam się dotrzeć pod Błękitne Centrum we w miarę rozsądnym czasie.

— Wysadź mnie — poprosiłem, bo przed nami nieco się zakorkowało. Kilku kierowców wykonywało dziwne manewry, usiłując znaleźć miejsce do parkowania. — Za pięć minut będę tam na piechotę.

Pożegnałem się z Karolem i szybkim krokiem przemknąłem między blokami. Jakies dwieście metrów od celu wypatrzyłem wolną ławkę. Usiadłem wygodnie i wyjąłem telefon. Byłem spóźniony już od dwudziestu minut i uznałem, że dodatkowe pięć nie powinno zrobić większej różnicy. Dojrzałem do tego, by rozmówić się z wiarołomną Aśką.

Nie dzwoniłem do niej wcześniej, bo byłem na nią tak wkurzony, że pewnie bym ją tylko zwymyślał i przerwał połączenie. Mimo jej postępu, który traktowałem w kategoriach zdrady, nie chciałem wyjść na buraka. Chciałem zakończyć tę znajomość z klasą, sprawić, by poczuła się źle. Pewnie byłem już nieco skażony pięcioma latami nauczania, bo pragnąłem udzielić jej lekcji. Sprawić, żeby się czegoś nauczyła i w przyszłości wyznaczała sobie bardziej surowe ramy etyki zawodowej.

Jednak nie udało mi się zrealizować swojego planu. Najpierw nie odebrała, a po kilkunastu sekundach — gdy oddzwoniła — miała tak skruszony głos, że machnąłem ręką i darowałem sobie tanią dydaktykę.

— Wiem, że wyszło paskudnie — trajkotała, wciskając niemal po każdym zdaniu słowo „przepraszam”. — Od rana polowałam na ciebie, żeby się czegoś dowiedzieć. Czuję się teraz jak jakaś hiena.

— I słusznie — powiedziałem spokojnie. Usiłowałem odtworzyć w sobie chociaż cień tej wściekłości, którą czułem wcześniej, ale nie byłem w stanie. Przynajmniej nie ściemniała.

— Nie chciałam tego puszczać w takim kształcie, w jakim to od ciebie usłyszałam. Naprawdę. Ostatnią rzeczą, której chciałam, było to, żebyś się dowiedział, jak cię wykorzystałam. Ale naczelny się uparł — ciągnęła coraz bardziej przybitym tonem. — Staralam się napisać to w taki sposób, żeby nie urazić bliskich Mateusza ani nie uwłaczać jego pamięci. Artykuł został zaakceptowany prawie bez skreśleń, ale nie umiałam się z tego cieszyć. Od momentu, kiedy pojawił się w internecie, myślę tylko o tobie. Zrobię wszystko, żebyś mi wybaczył. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę!

Ta ostatnia kwestia zabrzmiała nieco dwuznacznie, ale nie należałem do mężczyzn, których można ułagodzić ciepłym słówkiem. Jeżeli miałem jej kiedyś wybaczyć, potrzebowałem prawdziwego

dowodu jej skruchy. Tylko jaki to mógł być dowód, czego mogłem od niej chcieć? Przez chwilę nic nie przychodziło mi do głowy, aż nagle...

— Czy znasz kogoś w „Super Expressie”? — zapytałem, przerywając jej samobiczowanie.

Przez chwilę milczała zaskoczona.

— Tak, znam — odpowiedziała wreszcie. — Znam nawet kilka osób. Oni chętnie przyjmują na praktyki. Gdyby ich redakcja była trochę bliżej, to sama chciałabym odbyć tam staż.

— Super — ucieszyłem się, po czym spytałem, czy mogłaby mnie wprowadzić do ich archiwum.

— No pewnie, żaden problem — w jej głosie pojawiła się ulga.  
— A kiedy byś chciał?

Nie byłem przygotowany na takie pytanie.

— Nie wiem — odpowiedziałem z wahaniem. — Jak najszybciej... — urwałem, bo przestałem słyszeć samego siebie. Nieopodal przejechał samochód z opuszczonymi szybami i włączonym na cały regulator radiem. Spiker energicznym tonem informował, że minęło już wpół do piątej, co oznaczało, że miałem równe trzydzieści minut spóźnienia. Uznałem, że to najwyższy czas, by pojawić się u Janki. — Słuchaj, muszę już kończyć. Zdzwonimy się później, dobrze?  
— Nacisnąłem czerwoną słuchawkę, schowałem telefon do kieszeni i ostatnie dwieście metrów pokonałem biegiem.

Otworzyła drzwi tak szybko, że nie zdążyłem zdjąć ręki z dzwonka. Domyśliłem się, że musiała czekać na mnie w przedpokoju. Wyglądała na zniecierpliwioną i rozbitą. Nie miała na twarzy ani grama makijażu i wyglądała tak, jakby postarzała się o dziesięć lat. Wyciągnęła w moim kierunku drżącą dłoń.

— Cześć, Janka — podałem jej rękę, przestępując próg.  
— Przepraszam za spóźnienie, coś zatrzymało mnie w szkole  
— zacząłem się usprawiedliwiać, ale machnęła ręką.

— Gdybyś był punktualnie, tobyś mnie nie zastał — powiedziała, prowadząc mnie do pokoju, który po wyprowadzce starszej córki służył Mateuszowi jako połączenie gabinetu i sypialni. — Przez cztery godziny byłem na komisariacie. Puścili mnie dopiero, jak zagroziłam, że zaraz zemdleję. Wróciłam do domu jakieś dziesięć minut temu.

Zaprosiła mnie gestem, żebym usiadł. Klapnąłem na tapczanie, a ona podeszła do niewielkiego biurka i uruchomiła komputer.

— Co chcieli wiedzieć? — spytałem, patrząc na nią z zaciekawieniem.

Znowu machnęła ręką. Zacząłem odnosić wrażenie, że zaraz wejdzie jej to w nawyk.

— Daj spokój — westchnęła. — Nawet mnie nie wkurzaj.

— Co się stało? — nie ustępowałem.

Na jej twarzy pojawił się wyraz rezygnacji.

— Od lat nie kochałam Mateusza, ale nie mogę się pogodzić, że tak to traktują. Odniosłam wrażenie, że ktoś od nich napisał już scenariusz, według którego mój mąż sam odebrał sobie życie, a teraz starają się tak prowadzić śledztwo, by to potwierdzić. Mówiłam im, że nie wierzę w jego samobójstwo, ale byli tą wersją kompletnie niezainteresowani. Nie wiem, o co tu chodzi. Mają jakieś naciski czy co? — urwała i patrzyła na mnie tak długo, aż zdałem sobie sprawę, że oczekuje odpowiedzi.

— Naciski w sprawie potencjalnego morderstwa? Nie sądzę — stwierdziłem dość pewnym głosem. — Z tego, co wiem, to takie sprawy mają absolutny priorytet i zwierzchność raczej się nie wtrąca. Co innego tak zwane sprawy polityczne, ale to przecież nie jest taka sprawa. Sądzę, że chodzi tu o coś innego. Po prostu samobójstwo byłoby dla nich wygodniejsze. Można by wtedy zamknąć sprawę, zamiast prowadzić żmudne śledztwo i ryzykować ewentualną porażkę. Ale nie przejmuj się. Nie damy im tego zamieść pod dywan! — zadeklarowałem, a Janka twardo skinęła głową.

— Co za kraj — westchnęła ponuro i sięgnęła po laptopa. Położyła go na kolanach. — Na początku się ucieszyłam, bo przesłuchania nie prowadziła ta ruda gówniara, tylko poważny, doświadczony funkcjonariusz. Chciałam mu wszystko pokazać, ale powiedział, że teraz nie chce niczego oglądać i że ewentualnie się odezwie. A potem przez cztery godziny wałkował w tę i w tę stan psychiczny Mateusza i jego skłonności do popadania w depresję. Myślałam, że dosłownie wyjdę z siebie.

— A co chciałaś im pokazać? — spytałem zaintrygowany, bo

miała tajemniczą minę. — Doszłaś do czegoś, o czym nie wiem?

— Nie musiałam do niczego dochodzić. A jak myślisz, dlaczego wczoraj poprosiłam, żebyś wpadł? Przecież nie po to, byś mnie trzymał za rękę — zakpiła i kliknęła w jedną z ikonek, a potem wpisała kilka słów w wyszukiwarce. — Chciałam ci pokazać rachunek bankowy Mateusza. Może chociaż ty się tym zainteresujesz — dodała i przepisała z kartki ciąg cyfr stanowiący hasło.

Przez chwilę miałem mieszane uczucia. Temat pieniędzy traktowałem zawsze jako tabu i nie miałem ochoty grzebać w czyichś rachunkach bankowych. Ale przemogłem swoją niechęć i nie odwróciłem głowy. W końcu Mateusz nie potrzebował już żadnych pieniędzy.

Mateusz miał konto w innym banku niż ja, więc zorientowanie się w layoucie wyświetlonej na ekranie witryny zajęło mi dobre kilkanaście sekund.

— Wyczyszczone — powiedziałem wreszcie ze zdziwieniem, gdyż przy informacji o wysokości zgromadzonych środków widniało okrągłe zero.

— No właśnie — potwierdziła Janka. — Musisz uwierzyć mi na słowo, że to jego jedyny rachunek bankowy. Popatrz — kliknęła w jeden z linków i przed naszymi oczami wyświetliła się historia transakcji.

Na moment poczułem się nieco zagubiony w gąszczu cyfr, ale po paru sekundach wszystko stało się dla mnie czytelne. Pod datą dwudziesty drugi maja figurował przelew zewnętrzny na kwotę pięćdziesięciu tysięcy złotych. Może nie była to kwota, która rzucała na kolana, ale przy nauczycielskich poborach jej zgromadzenie musiało zająć kilka lat, i to pod warunkiem, że nie miało się kredytu hipotecznego. Była to niemal cała zawartość konta. Po tym przelewie zostało na nim nieco ponad trzysta czterdzieści złotych. Kolejny wers wskazywał, że wszystkie te pieniądze zostały podjęte w gotówce.

Przy przelewie nie było nazwiska, adresu i żadnych innych danych. Jedynie numer rachunku bankowego. Pierwsza myśl, która narodziła się w mojej głowie, była z gatunku tych oczywistych.

— Może przelał tę kasę swojej... — chciałem powiedzieć „kochance”, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język. Nie



wiedziałem, jak zakończyć to niefortunne zdanie, więc trwałem przez chwilę z półotwartymi ustami i z lękiem czekałem na pytania Janki. Na szczęście okazało się, że nie zdradziłem niczego, o czym by nie wiedziała.

— Masz na myśli Martę? — spytała niewinnym tonem. — Tak, wiem o Marcie. Tak jak wcześniej wiedziałam o innych. Naprawdę myślałeś, że ta polonistka była jego pierwszą przygodą? To, że traktował ją poważniej niż te wcześniejsze, wynikało tylko z faktu, że nasze córki weszły w taki wiek, w którym informacja o rozwodzie rodziców nie wyrządziłaby trwałych szkód. Wiem, że chciał się z nią związać na stałe. Nie dziw się tak. Byliśmy dorośli, rozmawialiśmy ze sobą o takich sprawach.

— Czyli co? Marta? — Chwyciłem za telefon, gotów od razu spytać kochankę Mateusza o tajemniczy przelew.

Janka powstrzymała mnie ruchem ręki.

— To nie jest jej konto — stwierdziła autorytarnie i przewinęła historię transakcji o jakieś dwa miesiące wstecz. — Tutaj musieli się pokłócić, bo zwróciła mu kasę za prezent, który jej dał. Widzisz tytuł przelewu? — Uśmiechnęła się perfidnie.

— Za biżuterię — przeczytałem i też się uśmiechnąłem. W tym trójkącie, w którym pozostały teraz dwie kobiety, zdecydowanie trzymałem stronę Janki. — Tak, tu nie ma wątpliwości. Jest jej nazwisko. A numer konta... — przewinałem historię do góry — jest inny.

Wziąłem od niej laptopa i zacząłem szukać innych przelewów na tajemniczy rachunek, ale przynajmniej przez sześć ostatnich miesięcy — bo tyle obejmowała historia transakcji — niczego takiego nie znalazłem. Moją uwagę zwróciły natomiast dwie cyklicznie dokonywane wpłaty. Poprosiłem Jankę o kartkę z długopisem i pod ciągiem cyfr składających się na tajemniczy rachunek wynotowałem imiona i nazwiska adresatów tych wpłat. Jakaś Marcelina Michalik otrzymywała od Mateusza pięćset złotych miesięcznie, a równie anonimowy Waldemar Niciński trzysta złotych miesięcznie.

Janka zajrzała mi przez ramię.

— Tego wykreśl — wskazała na Nicińskiego. — To znajomy

moich rodziców. Pożyczyliśmy od niego na nową kuchnię trzy tysiące i spłacamy mu to w dziesięciu ratach. Spłacaliśmy — dodała posmutniałym głosem, przypominając sobie, że Mateusz nie ma już żadnych długów.

Posłusznie postawiłem poziomą kreskę.

— A ta? — zapytałem, wskazując na Marcelinę Michalik.

Pobrużdżone czoło Janki przecięła jeszcze jedna, głębsza od innych zmarszczka.

— Od wczorajszego wieczora się nad tym zastanawiam. Kiedy wyszłście, otworzyłam kopertę... Mieliśmy z Mateuszem takie koperty, na wypadek gdyby stało się coś złego... I pierwszy raz w życiu weszłam na jego konto. Najpierw oczywiście zwróciłam uwagę na ten ogromny przelew. Nie wiedziałam, że miał aż tyle pieniędzy. A potem dotarłam do tej nieszczęsnej Marceliny. Z danych przelewu wynika tylko tyle, że mieszka w Mielniku. To taka niewielka miejscowość nad Bugiem, przy granicy z Białorusią. Na początku myślałam, że to jakaś inna kochanka, ale doszłam do wniosku, że chyba nie... Mateusz był zbyt leniwy, by mieć jednocześnie dwie kochanki i żonę. Nie wiem, co o tym myśleć.

— Pięćset złotych miesięcznie. — Zamyśliłem się. — To spory wydatek. I policja naprawdę nie była tym zainteresowana?

— Mówiłam ci. Uparli się na to samobójstwo.

— Trzeba by ustalić, kim jest ta Marcelina. Może w weekend się do niej przejadę — myślałem głośno, usiłując zignorować ostrzegawcze dzwonki, które w pewnym momencie rozdzwoniły mi się w głowie i od tego czasu dzwoniły coraz głośniejsze. — Jest tu jej adres?

— Tutaj. — Janka kliknęła na niewielką ikonkę, wyświetlając bardziej szczegółowy opis przelewu. W rubryce „dane adresata” znalazłem dokładny adres. Zapisałem go bezpośrednio pod jej nazwiskiem.

Ostrzegawcze dzwonki dzwoniły już tak głośno, że nie byłem w stanie myśleć.

— Słuchaj, coś tu nie gra — powiedziałem niepewnie i nagle spłynęło na mnie olśnienie. Aż podniosłem się z tapczanu i cały sprężyłem się w sobie.

— Co się stało? — zapytała żona mojego przyjaciela ze śladem

lęku w głosie.

— To ja mógłbym ci zadać to pytanie. Co się stało, że postanowiłaś mnie okłamać? — wycedziłem w stanie najwyższego wzburzenia. Kłamstwo nad otwartą trumną męża wydało mi się czymś odrażającym.

Niespodziewanie opadło z niej całe napięcie. Aż się uśmiechnęła.

— Teraz widzę, że Mateusz cię nie przeceniał — powiedziała pogodnie. — Opowiadał o tobie takie rzeczy, że czasem posądzałam go o zbyt wybujałą fantazję. Rzeczywiście szybko kojarzysz fakty.

— I co z tego? Nie rozmawiamy teraz o mnie. W co ty grasz? — podniosłem głos, po czym zasypałem ją lawiną mniej lub bardziej sensownych pytań. — Jak wytłumaczysz to, że zaprosiłaś mnie na dzisiaj, by pogadać o finansach Mateusza? Skąd podczas naszej wczorajszej rozmowy wiedziałaś o tych przelewach, skoro dopiero po moim wyjściu weszłaś na jego konto bankowe? Przecież według tego, co mi przed chwilą mówiłaś, nie miałaś prawa znać jego historii transakcji. Chyba że wiedziałaś, co? I kłamałaś teraz?

— Nie kłamałam i nie wiedziałam — przyznała Janka. Jej spokój wytrącał mnie z równowagi. Nie tak zachowywał się ktoś przyłapany na kłamstwie.

— To dlaczego mnie zaprosiłaś? Bo przecież nie po to, bym trzymał cię za rękę — zakpiłem, nawiązując do jej własnych słów sprzed kilkunastu minut.

Popatrzyła na mnie przeciągle. W jej oczach dostrzegłem coś na kształt urazy.

— Wyluzuj — powiedziała po prostu. — Myślałam, że sobie ufamy.

Zamrugalem oczami. To nie był najlepszy moment, by wyjeżdżać z drętwą gadką o zaufaniu. Chciałem usłyszeć od niej coś, co by mnie uspokoiło. W przeciwnym razie byłem gotów zadzwonić na policję.

— W tej chwili nie ufam już nikomu — powiedziałem i spojrzałem na nią wyczekująco.

— Może to i lepiej — stwierdziła sucho. — Zaprosiłam cię do siebie nie z powodu tych przelewów. Kilka dni temu znalazłam coś dużo poważniejszego.

— Co może być poważniejsze niż pozbycie się pięćdziesięciu tysięcy? — zapytałem zdumiony.

— Pozbycie się osiemdziesięciu tysięcy. I to nie z własnego rachunku. Osiemdziesięciu tysięcy, które są własnością szkoły. A raczej były, bo zostały ukradzione.

Na moment zapomniałem języka w gębie. Miałem wrażenie, że się przesłyszałem.

— Ukradzione? Przez Mateusza? — Kiwnęła głową, ale wprost nie mogłem w to uwierzyć.

— W niedzielę wzięłam się za długo odkładane porządki — powiedziała pozornie bez związku. — Wiem, że to nie po chrześcijańsku, ale tak jakoś wyszło. Kiedy segregowałam śmieci, z kosza na papier wyleciał druk potwierdzenia wypłaty. Podniosłam go i chciałam zniszczyć, bo gdzieś czytałam, że takich rzeczy nie wyrzuca się do kosza. Ale babska ciekawość sprawiła, że najpierw zerknęłam na kwotę. To było właśnie te osiemdziesiąt tysięcy. Mateusz wypłacił je z konta waszej szkoły.

— Jak to wypłacił?

— Normalnie. Był księgowym i miał wszystkie pełnomocnictwa. I nie wiedzieć czemu ten wątek też został zlekceważony przez policję. Pewnie nie bardzo pasował im do koncepcji samobójstwa.

Nasza szkoła nie zatrudniała etatowego księgowego. Za rachunkowość odpowiadał właśnie Mateusz, który kilka lat temu zrobił kurs i odtąd łączył obowiązki nauczycielskie z księgowością. Radził sobie zresztą bez zarzutu. Doskonale wiedziałem o tym jego dodatkowym zajęciu i to nie dlatego pokręciłem głową.

— Niemożliwe — stwierdziłem. Powodem mojego zdziwienia była beczynność mundurowych. Zanotowałem sobie w pamięci, że muszę o tym porozmawiać z Kamilą. — Pokaż ten druk.

Wygrzebała go z torebki i rozprostowała. Zapisana na nim kwota była porażająca. Po co komuś w dzisiejszych czasach aż tyle gotówki? Nigdy nie widziałem takich pieniędzy.

— Ile miejsca zajmuje osiemdziesiąt tysięcy złotych? Zmieszczą się w jednej walizce?

Janka popatrzyła na mnie z pobłażaniem. Wiedziałem, że kiedyś

pracowała jako księgowa, więc duże kwoty nie paraliżowały jej tak jak mnie.

— Zmieszczą się w głębokiej kieszeni płaszcza. A jeżeli nawet nie w jednej, to na pewno w dwóch — stwierdziła autorytatywnie. Postanowiłem jej uwierzyć na słowo.

Sprawdziłem adres banku, w którym dokonano wypłaty. Okazało się, że Mateusz wypłacił tę potężną sumę w oddziale przy Rynku. Nie wiedziałem, czy ta wiedza będzie mi do czegokolwiek przydatna, ale poczyniłem stosowną adnotację na kartce, na której wcześniej zapisałem numery kont bankowych, daty i kwoty przelewów oraz adres kobiety z Mielnika.

Janka zostawiła mnie w pokoju pod pozorem wizyty w toalecie, ale podejrzewałem, że była wyczerpana naszą rozmową i chciała przez chwilę pobyć sama. Ja też miałem tego dosyć. Mniejsza o przelewy dokonane z własnego rachunku — to był wolny kraj i każdy miał prawo dysponować swoimi pieniędzmi w taki sposób, jaki uważał za słuszny. Ale wypłacanie pieniędzy ze szkolnego konta? To już było złodziejstwo, i to niezależnie od intencji. Nic z tego nie rozumiałem. Wiedziałem tylko jedno: Mateusz, którego znałem, z całą pewnością nigdy nie był złodziejem.

Ale czy na pewno? Przekorny głos w mojej głowie podpowiadał mi, że Mateusz, którego znałem, był szczęśliwym ojcem dwóch dorastających córek i nie w głowie mu były skoki w bok, szkolne romanse i kochanice pod białoruską granicą. Z każdym dniem... ba, z każdą godziną dowiadywałem się o nim nowych szczegółów i coraz dobitniej zdawałem sobie sprawę, że tak naprawdę wcale go nie znałem. Nie było mi z tym dobrze.

Wróciła po kilku minutach, przynosząc ze sobą porcelanowy czajniczek.

— Kawy? — zapytała, a ja nie potrafiłem odmówić. Ten zapach działał na mnie jak narkotyk. Po chwili trzymałem w dłoni parującą filiżankę i porządkowałem swoje papiery, czyli kartkę z notatkami i drugą, zawierającą listę uczestników pewnych dawno już zapomnianych kolonii. W pewnym momencie doszedłem do tego, co od początku powinno być dla mnie oczywiste. Palnąłem się w czoło.

— Po co ja tak kombinuję? — rzuciłem samokrytycznie ni to do siebie, ni do Janki.

Uniosła głowę i spojrzała na mnie pytająco, a ja w tym czasie przeklinałem swoją głupotę. Głupotę, która kazała mi prowadzić poszukiwania w szkolnym archiwum, a także myśleć o kontynuowaniu tych poszukiwań w redakcji „Super Expressu”.

— Słuchaj, przecież ty na pewno znasz tę historię z kolonii pod Augustowem. Co tam się wtedy wydarzyło? — spytałem, ciągle na siebie zły.

W oczach Janki natychmiast pojawiło się zrozumienie. Nie musiała nawet odgrzebywać tej historii w pamięci.

— Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, tak? — upewniła się. — Mateusz był tam wychowawcą. Potem już nigdy nie wyjechał jako opiekun. Podejrzewam, że się obwiniął, chociaż to kto inny wylądował w więzieniu.

— Ale co tam się stało? — powtórzyłem, płonąc z ciekawości. Miałem wrażenie, jakby klucz do wyjaśnienia śmierci Mateusza leżał w zasięgu mojej ręki. Dzięki, babciu...

Janka popatrzyła na mnie zaskoczona.

— To nie wiesz? — spytała, ale po chwili na jej twarzy zagościł wyraz zrozumienia. — No tak, ty jesteś za młody. Nie było cię tu wtedy, prawda? To była głośna i dość bulwersująca historia. Podczas tego turnusu jedna z uczennic popełniła samobójstwo. Miała szesnaście lat i chyba ktoś złamał jej serce. Odpowiedzialnością obarczono oczywiście wychowawców. Nie wiem, czy słusznie, ale takie jest prawo. Na szczęście tej nocy dyżur pełnił inny nauczyciel i to on trafił za kraty. Ale Mateusz przez kilka miesięcy łaził jak struty. Myślę, że się obwiniął o to, że niczego nie zauważył. To była uczennica z jego klasy.

— Jak się nazywała? — spytałem, okazując jej listę uczniów, ale pokręciła głową.

— Nie pamiętam — powiedziała od razu. — Byłam na pogrzebie. Nigdy nie widziałam tak zrozpaczonej matki. — Zamilkła na chwilę, jakby to wspomnienie po tylu latach wciąż ją rozstrajało.

— Wiem, że nie tylko Mateusz tak to przeżywał. Kiepsko zniósł to wszystko także matematyk, pan Leopold.

Nic nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na mnie nieco nieprzytomnym wzrokiem. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

— Przepraszam — odezwała się dziwnym tonem. Brzmiała tak, jakby była... wzruszona? — To było tak dawno temu, byliśmy wtedy tacy młodzi... Pana Leopolda pamiętam słabo. Na pogrzebie go nie było, przebywał w tym czasie w szpitalu. Słyszałam, że bardzo się przejął śmiercią tej dziewczynki. Nie jestem pewna, ale chyba ponad rok leczył się w różnych sanatoriach. I tak jak Mateusz już nigdy nie zdecydował się na kolonijne wychowawstwo.

— A dlaczego ta dziewczynka się zabiła? O co chodziło z tym złamanym sercem? — Czulem, że to ważne, ale Janka tylko rozłożyła ręce.

— To nie był temat, na który Mateusz chciałby rozmawiać. Tak długo był przybity, że wolałam go nie dręczyć wspomnieniami. Zresztą nie byłam specjalnie ciekawa szczegółów. Co może być interesującego w samobójstwie młodej dziewczyny? To straszna tragedia, nawet teraz trudno mi o tym rozmawiać.

— A potrafiłabyś wskazać mi jej grób?

— Tak — powiedziała, kiwając głową, i spojrzała na mnie ze zdziwieniem. — Po co ci to? Chodzi o jej nazwisko? Czy uważasz, że ta śmierć sprzed lat ma coś wspólnego ze śmiercią Mateusza? — W miarę jak wypowiadała kolejne wyrazy, jej spojrzenie stopniowo twardniało.

Zaprzeczyłem. Nie chciałem jej opowiadać o swojej babci szeptusze i odziedziczonych po niej paranormalnych zdolnościach. Na pewno by nie uwierzyła i nie mógłbym mieć do niej pretensji — sam przecież też nie wierzyłem w gusła. Ale gdy myślałem o tamtych koloniach sprzed lat, czulem się dziwnie i nie umialem tego wytłumaczyć. Czulem się tak, jakbym chwycił nitkę, która miała mnie doprowadzić do jakiegoś mrocznego kłębka.

Choć trudno w to uwierzyć, siedzialem u niej dopiero od czterdziestu minut. Były to jednak niezwykle wyczerpujące minuty. Kiedy się podnosiłem i dziękowałem za przekazane informacje, usłyszałem energiczne pukanie do drzwi. Janka popędziła do przedpokoju i zerknęła przez wizjer. A potem odwróciła się do mnie, lekko zbita z tropu.

— Przygotuj się na niespodziankę — powiedziała bezosobowym tonem i otworzyła drzwi.

Jej ton był tak bezosobowy, że nie byłem w stanie odgadnąć, czy niespodzianka ma być miła, czy wręcz przeciwnie. Okazało się, że była neutralna.

— Tomku, poznaj Adama Holca. Adam to mój... przyjaciel — zaprezentowała gościa. Pauza przed ostatnim słowem nie pozostawiała wątpliwości. Mateusz nie był jedynym romansującym członkiem małżeńskiego stadła.

Adam, czy raczej pan Adam, był eleganckim, na oko sześćdziesięcioletnim mężczyzną ze starannie przystrzyżoną bródką i bujnymi szpakowatymi włosami z przedziałką pośrodku.

— Holc, do usług — skłonił się, podając mi rękę. Oddałem mu uścisk i skłoniłem się jeszcze niżej. A potem ucałowałem Jankę w policzek.

— Już wychodzisz? — zdziwiła się, ale nie próbowała mnie zatrzymać. — Bądźmy w kontakcie, dobrze? — poprosiła, a ja z entuzjazmem pokiwałem głową. Zamierzałem w wolnej chwili naciągnąć ją na krótki spacer po cmentarzu. Chciałem poznać nazwisko zmarłej przed laty dziewczyny.

Byłem już za progiem, kiedy pan Adam postanowił zaskoczyć nas oboje.

— Janeczko, pozwól, że pana odprowadzę — powiedział i nie słuchając jej protestów, też znalazł się na klatce. — Nie ma pan nic przeciwko? — zapytał i zrobił taki gest, jakby chciał wziąć mnie pod rękę. Stwierdziłem, że będzie mi bardzo miło, ale na wszelki wypadek nieco się odsunąłem. Nie miałem pojęcia, czego może ode mnie chcieć.

Odezwał się dopiero wtedy, gdy wyszliśmy z klatki na świeże powietrze. Po przedpołudniowym deszczu nie było już śladu. Na niebie świeciło jasne, majowe słońce. Odetchnąłem pełną piersią.

— Pewnie zastanawia się pan, dlaczego chciałem z nim porozmawiać na osobności? — zagaił, a ja w ostatnim momencie powstrzymałem się przed pytaniem „z kim?”. Zamiast się zbłąźnić, twierdząco pokiwałem głową. — Otóż wiem, że był pan najbliższym przyjacielem zmarłego męża Janeczki. Zastanawiam się przy tym, czy



zdawał pan sobie sprawę, jakiego rodzaju człowiekiem był pan Mateusz.

— Do czego pan zmierza, łaskawy panie? — spytałem, automatycznie przejmując jego archaiczny styl komunikacji.

Przez chwilę patrzył na mnie podejrzliwie. Pewnie myślał, że go przedrzeźniam, ale chyba postanowił wziąć mój barokowy styl za dobrą monetę.

— Ja wiem, że o zmarłych mówi się albo dobrze, albo wcale, ale tym razem jestem zmuszony od tej zasady odstąpić. Poznawszy Janeczkę przed dwoma laty, zdążyłem się zorientować, że pan Mateusz nie był, łagodnie rzecz ujmując, wzorem cnót. Jego śmierć jest oczywiście tragicznym wydarzeniem, ale muszę zaznaczyć, że jestem przeciwny wciąganiu pani mojego serca w całe to zamieszanie.

Kompletnie nie wiedziałem, o co mu chodzi.

— Jakiemu wciąganiu? — zapytałem bardziej zdziwiony niż zezłoszczony. — Przecież to był jej mąż. Nie można wymagać od policji, by przez delikatność oszczędziła jej zainteresowania. Czy to się panu podoba, czy nie, Janka jest i będzie... indagowana — z dumą znalazłem właściwe, wystarczająco wyszukane słowo.

— Ale pan to nie policja — uśmiechnął się z przymusem, błyskając złotym zębem.

Gdyby miał jeszcze monokl, mógłby uchodzić za modelowy przykład podstarzałego lowelasa z *belle époque*. Chociaż mi kojarzył się w pierwszej kolejności z *monsieur* Alfonsem z serialu *Allo, allo*. Tylko dlatego na niego nie huknąłem, by się ode mnie odczepił.

— To prawda, nie jestem funkcjonariuszem — zgodziłem się z udawaną uprzejmością. — Ale jak był pan łaskaw zauważyć, zaliczałem się do grona przyjaciół pana Mateusza, więc nie ma chyba nic dziwnego w tym, że interesują mnie okoliczności jego śmierci. Zresztą Janka sama chciała się ze mną spotkać. Jeżeli pan mi nie wierzy, to proszę ją spytać.

— Pan mi nie będzie narzucał, o czym mam rozmawiać z moją przyjaciółką! Powtórzę jeszcze raz: nie życzę sobie, by pan tu więcej przychodził!

Czar prysł. Wbrew pozorom starszy mężczyzna wcale nie był dżentelmenem w starym stylu. Za fasadą wyszukanych manier

i zabawnych gestów krył się zwyczajny, agresywny pieniacz. Postanowiłem nie tracić na niego czasu.

— Przyjąłem do wiadomości. Żegnam pana. — Ironicznie zasalutowałem do odkrytej głowy i obróciłem się na pięcie.

Nie zdążyłem zrobić kilku kroków, gdy poczułem szarpnięcie.

— Ja jeszcze nie skończyłem! — pieklił się Holc. — Widzę, że pana nie nauczono szacunku do starszych. Zresztą czego innego można się było spodziewać po przyjacielu tego... skoczybruzdy.

Moja cierpliwość skończyła się wraz z ostatnim wypowiedzianym przez niego zdaniem. Nie wiem dlaczego, ale najbardziej wkurzył mnie ten „skoczybruzda”. Było to pogardliwe określenie odnoszące się raczej do geodetów niż geografów. W jego ustach zabrzmiało tak wulgarnie, jak najgorsze przekleństwo. Czuję, jak wściekłość spływa na mnie gorącymi falami, odbierając mi całą wrodzoną łagodność.

Moja prawa ręka nie była tak sprawna jak kiedyś, ale w tym przypadku nie potrzebowałem stuprocentowej sprawności. Chwyciłem go za mały palec i lekko nacisnąłem na jeden ze stawów. Pan Adam pisnął jak zdeptana mysz i w mgnieniu oka opadł na kolana. Jego twarz, jeszcze przed chwilą zacięta i nieustępliwa, teraz wyrażała tylko ból i strach.

— Nigdy nie waż się mówić o nim w ten sposób — wycedziłem, pochylając się. Zbliżyłem swoją twarz do jego ucha. — A przynajmniej w mojej obecności. Nie obchodzi mnie to, co łączy was z Janką, ale nie wolno ci obrażać jej byłego męża. Czy to jasne?

Mężczyzna pokiwał skwapliwie głową, zbyt przerażony, żeby się odezwać. Zniknęła gdzieś cała jego wytworność. Pieczołowicie ułożone włosy rozsypały się na boki, starannie odprasowane spodnie od garnituru uwalane były trawą, w której klęczał. To był obraz nędzy i rozpacz. Gdy puściłem jego dłoń, przycisnął ją do piersi niczym zranione zwierzę. Odszedłem bez słowa, czując coś na kształt wstydu.

Na co dzień brzydziłem się przemocą i takie chwile szaleństwa zdarzały mi się niezwykle rzadko. A po fakcie zawsze towarzyszyło mi uczucie niesmaku. Teraz było ono wyjątkowo silne, bo moim rywalem był mężczyzna dwa razy starszy ode mnie. Idąc ulicą, zgrzytałem zębami, czując złość zarówno na niego, jak i na siebie. Na niego, bo był

pretensjonalnym kretynem, który nie miał prawa wygadywać takich rzeczy. A na siebie, bo powinienem lepiej panować nad emocjami.

Moja złość nasiliła się w momencie, gdy zwróciłem uwagę na jeszcze jeden negatywny aspekt mojego starcia z absztyfikantem Janki. Dotarło do mnie, że po tym wszystkim raczej niezręcznie byłoby mi się z nią spotykać. Perspektywa wspólnej wizyty na cmentarzu zdecydowanie się oddaliła. Przez swój wybujały temperament straciłem szansę na poznanie nazwiska zmarłej przed laty dziewczyny.

Wszystkie te ponure myśli wyparowały, gdy tylko natknąłem się na sklep spożywczy. Wszedłem do klimatyzowanego wnętrza i kupiłem pęto kiełbasy myśliwskiej. Ten dzień płynął tak szybko, że do tej chwili nawet nie pomyślałem o jedzeniu. Stwierdziłem, że za atak agresji sprzed chwili odpowiadało częściowo uczucie głodu. Usiadłem na obłuczonym murku i błyskawicznie pochłonałem kiełbasę, popijając ją kilkoma łykami soku z kartonika. Niemal natychmiast poczułem przypływ pozytywnej energii.

Zerknąłem na telefon i zobaczyłem, że mam dwa nieodebrane połączenia. Oba były od Aśki.

— Dzwoniłaś? — spytałem, przyciskając słuchawkę do ucha odrobinę mocniej niż zwykle. Wciąż byłem na nią trochę zły.

— Załatwiłam ci wstęp do redakcji „Super Expressu”  
— powiedziała bez żadnych wstępów. — Dziś wieczorem mój kolega ma dyżur i może nas wprowadzić.

Nie spodziewałem się, że pójdzie jej tak szybko.

— Dziś wieczorem? — powtórzyłem, gorączkowo się zastanawiając. Niby nie miałem na resztę dnia żadnych konkretnych planów, ale nie bardzo chciało mi się jechać do Warszawy. — No dobrze — przemogłem się po krótkiej wewnętrznej walce. — Wieczorem to znaczy o której?

Chyba wszystko już zaplanowała, bo odpowiedziała natychmiast, a w jej głosie nie było najmniejszych śladów wahania.

— Podjechałabym po ciebie o osiemnastej trzydzieści. Czyli za jakieś pół godziny. Pasuje ci?

— Bądź za godzinkę, dobrze? — poprosiłem. — Jeszcze nie zdążyłem wrócić do domu.

Niemal biegiem dotarłem na przystanek. Autobus jak na złość przyjechał spóźniony, więc w domu pojawiłem się dopiero na kilka minut przed umówioną godziną.

— Jedliście coś? — zapytałem swoich domowników, a uzyskawszy potwierdzenie, pomknąłem do łazienki. Wierny swojej wczorajszej obietnicy wyszorowałem dokładnie zęby. Potem wyściskałem swojego synka i ani się obejrzałem, jak wybiła dziewiętnasta.

— Tatusiu, kiedy się ze mną pobawisz? — usłyszałem i z miłości ścisnęło mi się serce. Antoś był dla mnie wszystkim.

— Jutro pójdziemy pokopać — obiecałem.

— Po przedszkolu? — zapytał, patrząc na mnie z uwielbieniem i obdarzając uśmiechem pełnym uczucia. Ja też byłem dla niego całym światem.

— Tak, kochany. — Ucałowałem go w delikatne czoło i podniosłem oczy ku niebu. Moja wdzięczność, że mam tak fajnego, zdrowego i mądrego syna, nie miała granic.

Z ciężkim sercem wyszedłem z mieszkania i stanąłem przy ulicy, czekając na Aśkę. Sto razy wolałbym zostać w domu i pobawić się z Antosiem, ale klamka zapadła — umówiłem się i nie wypadało mi już tego odwoływać. Gdy przyjechała, musiała wyczytać malującą się na mojej twarzy niechęć do wyjazdu, ale odebrała ją opacznie. Gdy wsiaadałem do samochodu, w jej oczach zaszklily się łzy. Mylnie założyła, że ta niechęć skierowana była przeciwko niej.

— Cześć — powiedziała cicho, wpatrując się gdzieś w bok. — Zanim ruszymy, muszę ci coś powiedzieć. Czuję się jak ostatnia ścierka. Do końca życia sobie nie wybaczę, że tak wyszło.

— Daj spokój — stwierdziłem, zapinając pas. — Przecież nic mi nie byłaś winna. Nie przejmuj się, czasem tak już w życiu bywa. Gdyby nie to, że widział nas razem dyrektor, to nawet nie przysłoby mi do głowy, by się na ciebie złościć.

— Kiedy myślę o tym, jak cię wykorzystałam, to... — urwała i skryła twarz w dłoniach. Przestraszyłem się, że zacznie płakać, a miałem już dziś zdecydowanie dosyć widoku płaczących kobiet.

— Aśka, daj spokój. — Położyłem jej rękę na ramieniu. — Jeżeli

nawet czujesz się w jakiś sposób winna, choć w moim mniemaniu nie powinnaś, to mam dla ciebie dobrą wiadomość — powiedziałem śmiertelnie poważnym głosem. Podniosła na mnie swoje wilgotne czarne oczy. — Chcę ci powiedzieć — w tym miejscu zrobiłem dramatyczną pauzę — że masz przed sobą całe życie, by to odpokutować.

Spojrzała na mnie jak na wariata, a potem wybuchła śmiechem. Zawtórowałem jej i przez chwilę chichraliśmy się jak szaleńcy.

— Naprawdę już się na mnie nie gniewasz? — spytała wreszcie, ocierając pojedynczą łzę.

Pokręciłem głową. Zdecydowanie wolałem płacz wywołany śmiechem.

— Nie gniewam, ale umówmy się, że nie będziesz niczego ze mnie wyciągać. Jesteś już po pracy, dobrze?

— Dobrze — zgodziła się z entuzjazmem. — To dziennikarstwo to jednak paskudny zawód. Od kilku godzin zastanawiam się, czy to jest akurat to, co chciałabym robić. I mam coraz większe wątpliwości.

Zazdrościłem jej tego podejścia. Gdy ja byłem w jej wieku, nie mogłem sobie pozwolić na sztukę wyboru. Chwytałem, co było, i nie oglądałem się za siebie.

Na Modlińskiej nie było korka, ale co chwila zatrzymywaliśmy się na czerwonych światłach. Gadaliśmy jak za swoich najlepszych czasów. Opowiadała mi o pracy w charakterze dziennikarki.

— Jesteś tak dobry, jak twój ostatni artykuł. Ta praca potrafi być czasem ciekawa, ale nie daje żadnej stabilizacji. Ciągła dynamika. Popatrz, jak to się zmieniło przez kilka ostatnich lat. Teraz nie ma już w zasadzie pojęcia dziennikarskiej rzetelności. W tych czasach liczy się tylko pogoń za sensacją, kreowanie różnych wojenek i afer.

„Super Express” miał siedzibę w niewysokim biurowcu przy ulicy Jubilerskiej. Nie wiedziałem, co to za dzielnica, podejrzewałem, że jakiś daleki Grochów albo Gocław. Tabliczka nad przystankiem tramwajowym przy Grochowskiej informowała, że jest to Gocławek. Nigdy przedtem nie słyszałem o takim tworze.

Aśka wykonała krótki telefon, a później niczym stały bywalec poprowadziła mnie jak po sznurku do windy i nacisnęła guzik oznaczony cyferką 3. Wjechaliśmy na trzecie piętro i zatrzymaliśmy się przed

szklanymi drzwiami. Za nimi czekał na nas rachityczny dryblas z imponującą kozią bródką.

— Wchodźcie, wchodźcie — powiedział urywanym z emocji głosem, przytykając do czytnika kartę magnetyczną.

Poszliśmy za nim do oszklonego pomieszczenia o wymiarach sześć na cztery metry. Było zastawione wygodnymi fotelami.

— Salka konferencyjna? — spytała Aśka, a właściciel koziej bródki kiwnął głową.

— Paweł — przedstawił się, wyciągając do mnie rękę. W jego głosie nie było śladu po wcześniejszym napięciu. — Przy wejściu jest kamera — wyjaśnił. — Jakby chłopak z ochrony wpatrywał się akurat w monitor, to od razu miałbym telefon z pretensjami. Ale na szczęście nie patrzył. Między nami mówiąc, rzadko patrzy.

Przez chwilę rozmawiał z Aśką o wspólnych znajomych. Studiowali na jednym roku, ale tematy skończyły się im dosyć szybko. Być może mimo późnej pory miał jeszcze dużo pracy. A może to Aśka domyśliła się, że zależy mi na czasie.

— Chcemy przejrzeć wasze archiwum — wypaliła prosto z mostu, a on nie był tym zaskoczony. Podejrzewałem, że wszystkie uzgodnienia zostały poczynione już wcześniej. — Konkretnie interesują nas numery tego waszego szmatławca za okres... — Spojrzała na mnie pytająco.

— Od sierpnia do października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku — powiedziałem, a Paweł zapisał te daty w notatniku.

— Dobra — skwitował, podnosząc się z miejsca. — To wezmę klucze i zaraz po was przyjdę.

Zniknął za drzwiami, zostawiając nas samych. Z ciekawością wyjrzałem przez oszklenia i potoczyłem wzrokiem po olbrzymim pomieszczeniu typu *open space*. Było wyludnione. O tym, że w ciągu dnia roi się tu od ludzi, świadczyło tylko mnóstwo biurek poustawianych w tak zwane wyspy.

— Dziennikarze dzienników pracują na ogół gdzieś do dziewiętnastej — wyjaśniła mi Aśka. — Mniej więcej o tej porze zamykane są wydania krajowe. Potem w redakcji zostają tylko dyżurni, którzy aktualizują wydania regionalne. Paweł pracuje w dziale

sportowym i akurat dziś wypadł jego dyżur. Ma dużo roboty, bo dzisiaj są, zdaje się, jakieś ważne mecze czy coś takiego. Musi zrobić z nich notki do paska, tak na trzysta znaków...

Puściłem ten fachowy komentarz mimo uszu. Nie znałem dziennikarskiej gwary.

— Ważne mecze w czwartek? I to pod koniec maja? — zdziwiłem się tylko, ale nie zdążyłem rozwinąć myśli, bo w drzwiach znowu pojawił się Paweł.

Poszliśmy za nim na koniec korytarza. Wpuścił nas do pomieszczenia, które tym tylko różniło się od zwyczajnego pokoju, że jego ściany zasłonięte były regałami. Te zaś od podłogi po sufit wypełniały pozszywane gazety.

— Wszystko jest ułożone chronologicznie — objaśniał Paweł, wskazując palcem poszczególne miejsca na półkach. — Tam leżą numery naszego poprzednika, czyli „Expressu Wieczornego”, tam są lata dziewięćdziesiąte, tu numery od początku dwudziestego pierwszego wieku, tu od roku dwa tysiące dziesiątego, a tu ostatnie lata i bieżąca. Macie mnóstwo czasu, bo nie wybieram się do domu przed północą. Poradzicie sobie, prawda?

— Poradzimy, poradzimy — Aśka prawie wypchnęła go za drzwi. Odniosłem wrażenie, że w momencie, w którym zobaczyła półki, obudził się w niej instynkt poszukiwacza skarbów. Nie mogła się doczekać momentu, w którym zanurkuje w szpargałach.

— To zadzwonie do mnie, jak skończycie — poprosił Paweł. Wyglądał na odrobinę przestraszonego jej entuzjazmem. — I nie hałasujcie za bardzo. Za ścianą pracują panie od korekty, a one bardzo nie lubią, jak ktoś im przeszkadza.

— Będziemy cicho jak myszki — obiecała moja współpracowniczka, zamykając za nim drzwi. A potem dzikim wzrokiem omiotła zawalone papierem wnętrze. — Od czego zaczynamy? — zapytała z entuzjazmem, który i mi się udzielił.

Nasz entuzjazm nie trwał jednak długo.

Archiwalne numery gazet wcale nie były ułożone tak idealnie, jak wynikałoby to ze słów Pawła. Przez kilkanaście minut usiłowaliśmy się choć trochę zorientować w sposobie ich ułożenia, a potem się

poddaliśmy i zaczęliśmy wyciągać je na chybił trafił. Po kolejnych kilkunastu minutach brodziliśmy w makulaturze jak marabuty.

— Tu jest — ucieszyła się Aśka, wyciągając tom opisany jako „lipiec 1999” i sięgając po kolejny wolumin. Podniosłem się z kolan, ale zamiast triumfalnego okrzyku usłyszałem brzydkie przekleństwo.

— Przepraszam — zreflektowała się. — Po prostu logika wskazywała, że po lipcu będzie sierpień. A jest wrzesień, i to dwa tysiące pierwszego roku.

— World Trade Center — stwierdziłem i chciałem wyciągnąć omszały plik papierów z rąk dziewczyny, ale zanim zdążyłem to zrobić, rzuciła go w kąt.

— Nie zapominaj, że nie jesteśmy tu dla przyjemności — ofuknęła mnie jak zawracającego jej głowę natręta. — O World Trade Center możesz sobie poczytać później w internecie.

Praca w archiwum wymaga nie tylko systematyczności. Tego wieczoru przekonałem się, że równie ważna jest siła fizyczna. Po godzinie przerzucania papierów bolały mnie wszystkie mięśnie, nawet te, o których istnieniu nie miałem dotąd pojęcia. Dyszałem ciężko, a przed oczami krążyły mi ciemne plamy.

— Może chwila przerwy? — poprosiła Aśka zbolalym głosem. Po jej początkowym entuzjazmie nie został już najmniejszy ślad.

— Z ust mi to wyjęłaś — zgodziłem się skwapliwie i rozcierając obolały bark, rozciągnąłem się jak długi na papierach.

Dziewczyna osunęła się powoli po ścianie i opadła na stos gazet, który pod jej ciężarem zachwiał się i majestatycznie rozsypał po podłodze. Pozbawiona oparcia wylądowała na papierowym posłaniu, uderzając w nie pośladkami.

— Cholera — jęknęła i przeturlawszy się na bok, masowała urażoną kość ogonową.

Byliśmy załamani, bo mimo wszystkich podjętych wysiłków wciąż nie udało nam się znaleźć numerów z sierpnia. Mieliśmy już wrzesień i październik, ale tego cholernego sierpnia nigdzie nie było. A numery z września i października mogły nam się przydać co najwyżej jako rozpałka do kominka. Przekartkowałem je dwa razy, trawiąc na to ze dwadzieścia minut, ale nie znalazłem w nich ani śladu po interesującej



mnie historii. W każdym numerze były za to gołe baby, najczęściej wtłoczone między horoskop a prognozę pogody. Być może przemawiało przeze mnie rozdrażnienie, ale w pewnym momencie stwierdziłem, że były najciekawszym elementem tego dziennika.

— Ta jest nawet dosyć podobna do ciebie — zażartowałem, podając Aśce jeden z numerów. — Niezła sztuka. Taka Matka Polka — dodałem, nawiązując do jej kształtów.

— Zabieraj tę pornografię — cisnęła gazetę w kąt z udawanym oburzeniem. Kątem oka dostrzegłem, że nieco się zarumieniła.

Pech chciał, że akurat w tym momencie postanowił zajrzeć do nas Paweł. Gazeta rzucona przez Aśkę trafiła go precyzyjnie w wypielegnowaną bródkę.

— Co wy tu robicie? — zapytał podejrzliwie, a potem zrobił wielkie oczy i przez chwilę rozglądał się po pobojuwisku. Stan, w którym zastał pomieszczenie, odebrał mu mowę. Cała podłoga zasłana była ściągniętymi z półek tomami.

Aśka, która była obdarzona bardziej południowym temperamentem niż ja, na widok stojącego jak sierota kolegi dosłownie eksplodowała.

— Czy w tym cholernym szmatławcu ktoś w ogóle dba o jakiś porządek?! — warknęła, a potem rozpoczęła długą tyradę, w której co chwilę przewijały się takie słowa jak „skandal”, „poziom niższy od dna” i „wyjątkowy burdel”.

Kiedy wyrzaskiwała swe zastrzeżenia, obaj z Pawłem patrzeliśmy na siebie w osłupieniu, bo jej uwagi dotyczące braku porządku brzmiały dość dziwnie na tle tego, jak wyglądało archiwum po naszych poszukiwaniach. Pierwsze określenie, które przychodziło na myśl, miało proveniencję biblijną: Sodoma i Gomora.

— Ale czego nie ma? — zapytał wreszcie Paweł. Brzmienie jego głosu wskazywało, że wciąż jest w szoku.

Korzystając z okazji, że Aśka zamilkła dla nabrania oddechu, powiedziałem mu o feralnym, sierpniowym numerze. Przez chwilę wodził wzrokiem po półkach, a potem pochylił się nad jednym ze stosów ułożonych przy środkowej części regału.

— Sierpień... Tak, sierpień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć — mrucał, grzebiąc w kolejnych woluminach. — Jest

— powiedział wreszcie. Poszukiwania zajęły mu najwyżej minutę.

— Jak to: jest? — Aśka natychmiast znalazła się przy nim i usiłowała mu zerknąć przez ramię, ale schował trzymany w ręku plik gazet za plecami. Najwyraźniej odzyskiwał rezon.

— Nie tak szybko, moja panno — powiedział tonem, w którym obok żartobliwych nut zadźwięczały także stalowe. — Nie dostaniesz tego do ręki, dopóki nie posprzątasz tego bałaganu. Przecież jakby się ktoś dowiedział, to... Nie chcę nawet o tym myśleć. Posprzątaj to — rzucił i zerknął na mnie, jakby zastanawiając się, czy wypada mnie potraktować równie ostro, i najwyraźniej stwierdził, że jestem na to trochę za stary — a my z panem Tomkiem napijemy się kawy.

Zwykle nie odmawiam, gdy ktoś częstuje mnie moim ulubionym napojem, ale tym razem zmuszony byłem tak postąpić. Uznałem, że nie byłoby z mojej strony miłe, jakbym potraktował Aśkę jak najemnego robotnika.

— Pomogę jej — powiedziałem, na co Paweł westchnął i wręczył mi sierpniowe numery.

— Tylko błagam, nie zostawiajcie tego w takim stanie — wskazał na zarzuconą gazetami podłogę, ponuro kręcąc głową.

Poganiając się wzajemnie, wrzuciliśmy na półki kotłującą się pod nogami zawartość. Nie zwracaliśmy uwagi na chronologię i inne tego typu bzdury. Odkładaliśmy woluminy na chybił trafił, czując przy tym coś na kształt mściwej satysfakcji. O ile przed naszym przyjściem archiwalne numery gazet były nieco pomieszane, o tyle teraz zostawialiśmy po sobie kompletny misz-masz.

— Zemsta doskonała — żartowała Aśka, przetykając gazety z przełomu wieków gazetami zupełnie współczesnymi. — Będą mieli nauczkę. Mam nadzieję, że kiedyś ktoś ważny będzie chciał tu coś szybko znaleźć i dobiegnie do tyłka tutejszemu archiwistce.

Zaprowadzenie porządku nie zajęło nam nawet jednej piątej tego czasu, co zrobienie bałaganu. Stwierdziłem filozoficznie, że w zwykłych życiowych sprawach proporcje te kształtowały się zazwyczaj odwrotnie.

Gdy papierzyska spoczęły z powrotem na półkach, usiedliśmy obok siebie na podłodze i opierając się o ścianę, kartkowaliśmy kolejne numery. Do dwunastego sierpnia nie natknęliśmy się na żadną wzmiankę

o tragedii. Niemal w każdym numerze był natomiast tekst z gatunku tych wyssanych z palca. Sezon ogórkowy w pełni. Przebiegałem właśnie oczami po artykule pod tytułem *Rekin w Odrze?* i zastanawiałem się, kto w ogóle wierzy w takie teksty, gdy poczułem trącenie łokciem.

— Tu jest coś o jakichś koloniach — powiedziała podniecona, podając mi numer z trzynastego sierpnia.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, był dzień tygodnia. Piątek. Nie byłem przesądny i wiedziałem, że mit „piątku trzynastego” nie miał nic wspólnego z czarną magią, lecz powstał na skutek pewnego wydarzenia sprzed siedmiuset lat, ale i tak moje przedramiona pokryły się gęsią skórą. Przerzuciłem kilka stron, aż dotarłem do artykułu, który wskazała mi Aśka. Zajmował jedną czwartą strony i ozdobiony był dwiema fotografiami.

— Czytałaś? — zapytałem, ale dziewczyna pokręciła przecząco głową.

— Obiecałam ci, że nie będę już węszyć — powiedziała na pozór obojętnym tonem, ale widziałem, że wewnątrz aż skręca się z ciekawości.

— Daj spokój. Tylko nie leć z tym od razu do naczelnego — poprosiłem, ale wciąż nie była przekonana.

— A jak ktoś inny dotrze do tego artykułu i o nim napisze? Nie chcę, żebyś mnie podejrzewał.

— Nie będę — powiedziałem, bo rzeczywiście nie wierzyłem, by znowu tak cynicznie mnie wykorzystała. A potem, tłumiąc jej protesty, zacząłem czytać na głos.

## **Śmierć na koloniach rozpusty**

*Gdy matka żegnała ją na Dworcu Centralnym, nie mogła przewidzieć, że żegna ją na zawsze. Śmierć Agaty Opioty (16 l.) była wynikiem skandalicznych zaniedbań opiekunów, którzy zamiast pilnować powierzonych im opiece dzieci, przez całą noc mieli się raczyć alkoholem.*

*Boczna uliczka w podwarszawskiej miejscowości. Do drzwi puka listonosz. — Od razu wiedziałam, że coś się stało. Telegram to zawsze*

zwiastun tragicznych wieści — mówi nam zapłakana matka dziewczyny. — To takie dobre dziecko. Nie wiem, jak mogła to sobie zrobić — dodaje i prosi, by uszanować jej żalobę.

Kilka dni temu Agata wyjechała na kolonie do Augustowa. — Nie mogła się doczekać tego wyjazdu. Razem z moją córką przez ostatni miesiąc nie mówiły o niczym innym — stwierdza pani Agnieszka Burzyńska, matka jej najlepszej przyjaciółki. I prosi, by dokładnie przyjrzeć się okolicznościom całego zdarzenia. — Zamiast ich pilnować, z pewnością pili alkohol. Przecież ktoś powinien ich tam pilnować. To jeszcze dzieci — kończy z oburzeniem.

Kolonia organizowana była przez liceum, do którego chodziła Agata. W budynku jest tylko jedna osoba. Dyrektor Maciej Hołownia (47 l.), który wygląda na załamanego nie mniej niż najbliższa rodzina. — Spóźniłem się dosłownie o kilka chwil. Było kilka minut po dziesiątej wieczorem. Przyjechałem na wizytację i zdziwiłem się, że w budynku noclegowym nie było żadnego nauczyciela. Zaraz potem usłyszałem dziecięcy pisk i od razu wiedziałem, że stało się coś strasznego. Wpadłem do pokoju i zobaczyłem, że wisi na kablu przywiązanym do żyrandola. Odciąłem ją i zacząłem reanimować, ale była zimna jak kamień — opowiada dyrektor, z trudem tłumiąc łzy.

Dzieci, które znalazły powieszoną Agatkę, były dla nas niedostępne. — Wciąż dochodzą do siebie i nie ma im co przeszkadzać — stwierdza stanowczo dyrektor, który odmawia komentarza w sprawie spożywanego przez wychowawców alkoholu. Inni nauczyciele też nie są rozmowni. Udaje nam się przez chwilę porozmawiać z jednym z nich, matematykiem Leopoldem Pietrzakiem. — Nie miałem z tym nic wspólnego! — stwierdza i informuje, że dyżur tej nocy miał jego kolega, Szymon Pełka.

Pełką interesuje się już policja, która wszczęła w tej sprawie dochodzenie. — Potwierdzam, że jeden z wychowawców został zatrzymany do dyspozycji prokuratora — poinformował rzecznik podlaskiej policji, nadkom. Marek Bajger, odmawiając dalszych komentarzy ze względu na dobro śledztwa.

Nasze źródła donoszą, że w ośrodku kolonijnym co noc odbywały się głośne balangi. — Pili, tłukli butelki, śpiewali i zachowywali się

*skandalicznie. I pomyśleć, że to nauczyciele — mówi nasz informator, który pragnie zachować anonimowość. Czy rozpusta wychowawców przyczyniła się do przedwczesnej śmierci młodej dziewczyny? Na to pytanie z pewnością odpowie śledztwo...*

Niżej było jeszcze kilka zdań, ale nie wnosiły do sprawy niczego nowego. Były typowo tabloidowe. Przeczytaliśmy je w milczeniu, stykając się ramionami. A potem dokładnie przyjrzeliliśmy się zdjęciom.

Do artykułu dołączone były dwie fotografie. Pierwsza z nich — czarno-biała — przedstawiała ładną nastolatkę o długich włosach i roześmianych oczach. Aż trudno było uwierzyć, że ta tryskająca energią dziewczyna postanowiła odebrać sobie życie. Kiedy uświadomiłem sobie, że była bardzo podobna do Marzeny, aż się wzdrygnąłem. Moja ulubiona siatkarka też się tak uśmiechała i też wyglądała jak wycięta z reklamy. Dziś pierwszy raz widziałem, jak płacze. Dziewczyny w tym wieku są takie wrażliwe. A co, jeżeli...

Siłą woli odegnałem od siebie katastroficzne wizje i spojrzałem kilka centymetrów w prawo. Drugie zdjęcie było kolorowe, choć nieco wyblakłe i jak gdyby prześwietlone. Skupiłem wzrok i niedorzeczne myśli o stanie psychicznym Marzeny natychmiast wyleciały mi z głowy. Skądś znałem tego człowieka, ale nie bardzo wiedziałem skąd.

Podpis poniżej rozwiął moje wątpliwości. Fotografia przedstawiała ówczesnego dyrektora naszego liceum, Macieja Hołownię. Jego podobieństwo do brata było uderzające. Obaj lekko łysieli i mieli podobnie ostre rysy twarzy. Różnili się jedynie zarostem — obecny dyrektor był gładko wygolony, a jego brat nosił wąsy i niemodne dziś pekaesy.

— Kojarzysz matematyczkę Wiesławę Matusiak? — zapytałem Aśkę, wciąż wpatrzoną w zdjęcie nieżyjącej od lat dziewczynki. — Taka grubawa staruszka z trwałą ondulacją...

— I sztuczną szczęką, którą bez przerwy porusza? — weszła mi w słowo, uśmiechając się do swoich wspomnień. — Nie miałam z nią nigdy zajęć, ale oczywiście ją pamiętam. Wyglądała na jeszcze starszą od pana Leopolda. Moi koledzy trochę się z niej nabijali, ale mi wydawała się bardzo sympatyczna.

— Bo jest sympatyczna. I rzeczywiście rusza tą swoją szczęką, ale ma jeszcze jeden znak rozpoznawczy. Możesz mi nie uwierzyć, ale lubi... straszyć. Podobno wynika to z jej zamiłowania do horrorów i różnych paranormalnych historii. Wiesz, co opowiedziała mi wczoraj, gdy czekaliśmy na swoją kolejkę do przesłuchania?

Wzruszyła ramionami. Na jej twarzy pojawiło się zaciekawienie, które jednak szybko i zaskakująco wyparte zostało przez rozczarowanie.

— Cholera, to zaczyna się robić pasjonujące — powiedziała wyjaśniającym tonem. — Szlag mnie trafia, że nie będę mogła nic o tym napisać.

Machnąłem ręką.

— Napiszesz sobie, co zechcesz, tylko później, jak już dojdziemy do prawdy. Albo dojdzie do niej policja. Napiszesz wtedy reportaż i może wydrukują ci go w czymś poważniejszym od tej twojej lokalnej gazetki.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Mimo dwudziestu kilku lat wciąż jeszcze była dzieckiem.

— To by było coś — przyznała. — To co ci powiedziała ta pani Wiesława?

Skupiłem się i przywołałem z pamięci wczorajszą rozmowę ze starszą matematyczką.

— Powiedziała, że Maciej Hołownia umarł. A dokładnie, że przebywa teraz na cmentarzu — poprawiłem się, odruchowo ścisząc głos i zabarwiając go charakterystyczną dla pani Wiesławy dawką makabryczności.

— Powiedziała, że umarł? Tak z powodów naturalnych?

Przymknąłem oczy, ale nie byłem w stanie sobie przypomnieć, co dokładnie powiedziała. Jednocześnie pierwszy raz w życiu doceniłem, że dziennikarze tabloidów mieli dziwny zwyczaj podawania wieku opisywanych postaci. Zwykle się z tego śmiałem, bo co to kogo interesowało, że jakaś nowa celebrytka ma dwadzieścia dwa lata, a nie na przykład dwadzieścia cztery. Ale w tym przypadku wiek był istotny.

— W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku Maciej Hołownia miał czterdzieści siedem lat — powiedziałem powoli. — To zdecydowanie nie jest wiek na umieranie z przyczyn naturalnych.

Jeżeli brat dyrektora nie był przewlekłe chory na serce lub nowotwór, to przyczyn jego śmierci należy upatrywać raczej w jakimś wypadku. Gdzie to możemy znaleźć?

— Dostęp do takich danych na pewno ma policja, ale oni niezbyt chętnie dzielą się swoimi ustaleniami — stwierdziła Aśka, błędząc oczami po suficie.

— Może uda mi się coś od nich wydobyć — zaproponowałem, myśląc o poznanej wczoraj Kamili.

— Nie sądzę — skwitowała i nagle w jej oczach dostrzegłem cień pomysłu. — Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że jedna z moich koleżanek z klasy pracuje w ratuszu, w Urzędzie Stanu Cywilnego. Pamiętasz może Izę Nazaruk?

— Taka filigranowa dziewczyna z warkoczem? — zapytałem niepewnie. W przeciwieństwie do niektórych moich kolegów po fachu nie miałem wrodzonej pamięci do twarzy. Podziwiałem nauczycieli, którzy byli w stanie po latach rozpoznać każdego swojego ucznia.

— Nie taka filigranowa — roześmiała się dziennikarka. — I zawsze miała krótkie włosy. Taka puszysta blondynka, która uwielbiała chodzić w białych swetrach.

Pamięć do ubrań miałem na jeszcze niższym poziomie niż pamięć do twarzy. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, co miała na sobie kilka godzin temu Janka, a co dopiero kilka lat temu kompletnie zapomniana przeze mnie dziewczyna. Ale nie chciałem się przyznawać do swojej niewiedzy.

— Coś tam pamiętam — powiedziałem niezobowiązująco. — Myślisz, że będzie chciała nam pomóc?

— Nam to pewnie nie, bo akurat za mną to specjalnie nie przepadała. Ale tobie na pewno. Byłeś jej ulubionym nauczycielem. Podejrzewam nawet, że skrycie się w tobie kochała.

Nieco się stropiłem. Taki afekt ze strony uczennic zawsze mnie peszył. Chociaż zdawałem sobie sprawę, że nie było w tym mojej winy, w takich sytuacjach zawsze czułem się niczym przyłapany na gorącym uczynku złodziej. A w tym przypadku było mi tym bardziej głupio, bo nawet nie pamiętałem, jak wyglądała. Pewnie w szkole w ogóle nie zwróciłem na nią uwagi, nigdy się do niej nie odezwałem. „A może to

i lepiej” — pomyślałem. Przecież i tak bym jej nie pomógł. Poczułem, jak wraca mi humor. Wyrzuty sumienia zniknęły tak szybko, jakby się w ogóle nie pojawiły.

— Jeżeli tak, to pewnie nie będzie miała nic przeciwko, jeżeli zadam jej kilka innych pytań — powiedziałem tonem tak figlarnym, że Aśka posłała mi potępiające spojrzenie. — Jak myślisz, o kogo jeszcze ją spytamy?

— Pewnie fajnie byłoby porozmawiać z tym nauczycielem, który ich pilnował. Jak on się nazywał? — ponownie przebiegła oczami treść artykułu. — Szymon Pełka — przeczytała.

— Z tego, co mówiła pani Wiesława, wynika, że wylądował w więzieniu — kiwnąłem głową. — Ale minęło już tyle lat, że o ile nie siedział za zabójstwo, to już od dawna powinien być na wolności. Na pewno ma jakiś adres zameldowania.

— Chyba że jest bezdomnym — westchnęła. — Co tak mi się przyglądasz? Mam coś na twarzy? — Przejechała ręką po policzku, zostawiając na nim smugę. Jej ręce, podobnie jak moje, pokryte były grubą warstwą brudu ze starych gazet.

Stłumiłem uśmiech i wyciągnąłem coś z kieszeni. Nie była to chusteczka higieniczna, gdyż te nosiłem ze sobą tylko wtedy, gdy miałem katar. Była to kartka z listą uczestników kolonii.

— Jest jeszcze ktoś, z kim bym pogadał. Nie domyślasz się?

Aśka tym razem nawet nie popatrzyła na stronę z artykułem. Pewnie znała już na pamięć każde słowo.

— Z tą dziewczynką, której matka zarzucała nauczycielom alkoholizm? — odezwała się od razu, patrząc mi w oczy. — Tylko weź pod uwagę, że to wcale nie musiała być jej najlepsza koleżanka. Mogli tak napisać tylko dlatego, że udało im się naciągnąć na wypowiedź jej matkę. Wiesz, po takich tragediach dziennikarzom trudno znaleźć kogoś, kto chciałby powiedzieć kilka słów.

— Może i tak, ale sprawdzić nie zawadzi — stwierdziłem, wyszukując na liście nazwisko „Burzyńska”. Było, jak można było przypuszczać, na samym początku. — Katarzyna. Kaśka Burzyńska. O nią też zapytamy moją wielbicielek z Urzędu Stanu Cywilnego — urwałem, gdyż moja partnerka w poszukiwaniach obrzuciła mnie



dziwnym spojrzeniem.

— O nią wcale nie będziesz musiał pytać — stwierdziła autorytarnie, po czym zaczęła rachować coś na palcach. — Tak, zgadza się — mruknęła do siebie, po czym pod wpływem mojego poganiającego spojrzenia nieco podniosła głos. — Katarzyna Burzyńska jest obecnie współwłaścicielką tej japońskiej restauracji naprzeciwko Rossmanna. Nie pamiętam w tej chwili, co to za ulica.

— Tej od sushi? — spytałem, bo chociaż nie przepadałem za surową rybą, to kilka razy usiłowałem się przełamać.

— Tak, Sherlocku, tej od sushi — zażartowała. — Parę razy rezerwowaliśmy tam stół i jakoś zapadł mi w pamięć ten zestaw: Kaśka Burzyńska. Zawsze w ten sposób odbierała telefon i jak to wypowiedziałeś na głos, to skojarzyłam.

— Gdzieś tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty rok produkcji? — zapytałem.

— Może być. Co prawda tak na oko dałabym jej ze dwa lata więcej, ale mogła być rówieśniczką tej zmarłej dziewczynki.

— To urocze, że ktoś liczy jeszcze na palcach — tym razem to ja zażartowałem, posyłając jej słodko-gorzkie spojrzenie. Byłem w wyśmienitym humorze, chociaż rysowała się przede mną perspektywa kolejnego w moim życiu rendez-vous z sushi.

Odpowiedziała mi lekkim, przyjaznym kuksańcem.

— Bardzo urocze — rzuciła z nutką sarkazmu, ale już dalsza część jej wypowiedzi zabrzmiała zupełnie inaczej. — Dasz się zaprosić na kolację? Bardzo bym chciała wynagrodzić ci te wszystkie nieprzyjemności, które miałeś przez mój artykuł.

W jej głosie było tyle ciepła, że zgodziłem się od razu. Nieco dłużej trwało wybieranie odpowiedniego lokalu, bo odrzuciła moją propozycję, by zjeść u nas, w Legionowie. W szczególności nie chciała nawet słyszeć o sushi. Na próżno przekonywałem, że można by przy tej okazji połączyć przyjemne z pożytecznym.

— Wiesz, że nie znoszę sushi, a poza tym mam dosyć tych naszych zapyziałych knajpek. W tym miasteczku o tej porze wszystko i tak jest pozamykane — perorowała, wystukując jednocześnie numer do Pawła. — Możemy skoczyć na Plac na Rozdrożu, tam przy Agrykoli jest jedna

fajna knajpka. Byłam tam kiedyś z ludźmi z roku. A potem możemy się przejść Traktem Królewskim. Czy wiesz, że tamten odcinek Alei Ujazdowskich jest częścią Traktu...

— Jestem nauczycielem historii — przerwałem jej z pobłażaniem.  
— Opowiedziałbym ci o Trakcie Królewskim takie historie...

— To będziesz miał okazję — zaśmiała się, a potem rzuciła kilka słów do słuchawki. — Zbieramy się, co?

Paweł zaprowadził nas do kserokopiarki, na której odbiłem interesujący mnie artykuł. Potem krytycznym okiem zlustrował pomieszczenie archiwum.

— Myślałem, że będzie gorzej — przyznał i poprowadził nas korytarzem do drzwi. Spieszył się i był nieco rozkojarzony, ale kolejnej uwagi Aśki o szmatławcu nie puścił już mimo uszu. — Szmatławcem to jest „Fakt”. My jesteśmy co najwyżej brukowcem — stwierdził poważnym tonem. — Mówię serio — dodał, gdy dziewczyna spojrzała na niego z powątpiewaniem. — Część czytelników przejęliśmy jeszcze po „Expressie Wieczornym” i aby ich utrzymać, musimy być gazetą nieco poważniejszą od konkurencji.

Wyglądał na nieco urażonego, bo Aśka nie wzięła jego słów na poważnie. Parsknęła śmiechem i powiedziała coś złośliwego. Zrobiło mi się go żal, tym bardziej że bardzo nam pomógł, ryzykując przy tym poważne kłopoty w pracy. Żegnając go, przytrzymałem jego dłoń trochę dłużej.

— Nie czytuję pańskiej gazety, ale to nie znaczy, że nie doceniam waszej pracy — powiedziałem z namaszczeniem, uważając przy tym, by to „namaszczenie” w moim głosie nie było przesadne. — Znajomy dziennikarz mówił mi kiedyś, że praca w tabloidzie jest zdecydowanie trudniejsza od pracy w standardowym dzienniku. Mówił, że wasi koledzy po piórze trochę wam współczują.

Uśmiechnął się i wyprostował dumnie.

— To prawda — stwierdził, kierując swoje słowa bardziej do Aśki niż do mnie. — Zdjęcia zajmują tyle miejsca, że zostaje niewiele przestrzeni na tekst. W jednym zdaniu musimy zawrzeć tyle treści, co inni dziennikarze w trzech.

Na dworze nie było jeszcze zupełnie ciemno. Umiejscowiona przy

wyjsciu z budynku elektroniczna tablica wyświetlała naprzemiennie godzinę i temperaturę powietrza. Było pięć po dwudziestej drugiej i jak na tę porę całkiem ciepło — siedemnaście stopni. Znaleźliśmy na parkingu nasz środek lokomocji i po kilku minutach mknęliśmy wyludnioną o tej porze Ostrobramską.

Most Łazienkowski był wyłączony z ruchu, więc przebiliśmy się na drugą stronę Wisły mostem Poniatowskiego i po piętnastu minutach zaparkowaliśmy przy Bagateli. Mieliśmy stamtąd kilkaset metrów spaceru wzdłuż ogrodzenia parku Łazienkowskiego. Po lewej stronie minęliśmy jasno oświetlone budynki Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

— Lubię Warszawę — odezwała się w pewnym momencie Aśka, przerywając sympatyczne milczenie. — Czuję, że mogłabym tu zamieszkać.

— Tam, skąd pochodzę, za Warszawą się raczej nie przepada — stwierdziłem. — Warszawa kojarzy się jednoznacznie z tymi panami — wskazałem kciukiem na wyjeżdżającą z budynku KPRM czarną limuzynę z przyciemnianymi szybami. — A tych panów zdecydowanie się nie lubi — parsknąłem śmiechem.

— Ty też nie lubisz Warszawy? — spytała, patrząc na mnie z ukosa.

— Niczego takiego nie powiedziałem — stwierdziłem stanowczym tonem, gdyż bardzo lubiłem to miasto. — Spędziłem tutaj trochę czasu jeszcze przed podjęciem studiów.

— Program „Pierwsza praca”, tak? — zażartowała, a ja zawtórowałem jej śmiechem. — Czym się zajmowałeś? Ulotki? Rozwożenie pizzy? A może byłeś kelnerem?

— Powiedzmy w ten sposób: robiłem w usługach — stwierdziłem enigmatycznie. Nie lubiłem wracać do swoich zawodowych początków. — Zresztą później tu studiowałem. Zaocznie, bo zaocznie, ale parę fajnych imprez za liczyłem.

Imprezy imprezami, ale zakochałem się w Warszawie w momencie, w którym poznałem jej historię. Dla mnie było to prawdziwe „Miasto Nieujarzmione” i do tej pory, gdy oglądałem w telewizji programy publicystyczne o Powstaniu, coś ścisnęło mnie

w gardle i czułem dziwne uniesienie. Ale to nie był temat, który chciałem poruszać w tej chwili. Nie chciałem wyjść na sztywniaka.

Tak więc przy kolacji gadałem z Aśką o głupotach i jednocześnie błądziłem myślami wokół morderstwa Mateusza. Na stoliku płonęły świece, a w tle pobrzmiwała jakaś melancholijna melodia. Wnętrze było przytulne, stylizowane na zamkową komnatę. Obrazu doskonałości dopełniał fakt, że już po piętnastu minutach przyniesiono nam zamówione danie — zrazy, które pachniały korzennymi przyprawami i dosłownie rozpływały się w ustach.

Byłem głodny jak wilk, więc początkowo interesowała mnie tylko zawartość talerza. Jednakże w miarę jak zaspokajałem apetyt, coraz większą uwagę zwracałem na otoczenie, a przede wszystkim na siedzącą *vis-à-vis* dziewczynę. Jej ciemne włosy połyskiwały w blasku świec, a równie ciemne oczy rzucały tajemnicze błyski. Przez moment wyobraziłem sobie, że jesteśmy tu na randce. Myśl ta była tak nierzeczywista, że aż zaśmiałem się w duchu.

— Z czego się śmiejesz? — zapytała, patrząc mi w oczy i pochylając się do przodu. Jej dekolt nieco się rozchylił, racząc mnie kuszącym widokiem górnej części idealnie gładkich piersi.

— Z siebie — powiedziałem tajemniczo i też popatrzyłem jej w oczy. Stwierdziłem, że od czasu do czasu należała mi się odrobina niewinnego flirtu. — Zaprosiłaś mnie na pierwszą kolację, a ja już jestem tobą totalnie oczarowany. Szkoda, że odwrotnie tak to nie działa. Żeby poderwać dziewczynę, zawsze musiałem jej postawić przynajmniej ze trzy kolacje.

— To i tak szybko — powiedziała z udawaną surowością, której przeczyły widoczne w jej oczach iskierki humoru. — To taki był z ciebie podrywacz?

— Co chcesz przez to powiedzieć? Że już nie jestem? Aż tak się nie zestarzałem.

Śmialiśmy się długo i głośno. A potem patrzyliśmy sobie w oczy. Było miło. Tak miło, że gdy muzyka stała się nieco głośniejsza, wstałem i poprosiłem ją do tańca.

Tancerzem byłem marnym, ale na szczęście muzyka była z tych wolniejszych i jakoś dawałem sobie radę. Aśka przytuliła się do mnie tak

mocno, że chwilami zapierało mi dech. Czułem przez ubranie dotyk jej ciepłego ciała. Każdego innego dnia z pewnością bym się usztywnił, ale teraz postanowiłem odkładać ten moment tak długo, jak mogłem. Zamiast więc uciec z parkietu, zanurzyłem dłoń w jej długich włosach i musnąłem nosem jej policzek.

Zapewne wiedziała, że między nami i tak nic nie będzie, ale postanowiła chyba potraktować ten taniec jako trening uwodzenia. Rozchyliła nieco usta, jakby zapraszając mnie do pocałunku, a jej dłonie zmysłowo błędziły po moich plecach, prześlizgując się po splotach mięśni. Przymknęła oczy i tylko od czasu do czasu rzucała tajemnicze, wiele obiecujące spojrzenia. Każde z tych spojrzeń zawierało w sobie taki ładunek emocjonalny, że chociaż byłem świadom jej gry, miękkły mi kolana. Między nasze splecione w tańcu ciała nie zmieściłaby się gazeta, a od zapachu jej perfum kręciło mi się w głowie. Mimo tego z twarzą przyklejoną do jej szyi wciągałem ten zapach jak narkotyk.

Jedną z nielicznych zalet mojego nikczemnego wzrostu było to, że w tańcu nie musiałem zginać pleców w znak zapytania. Mogłem stać wyprostowany i moje oczy rzadko znajdowały się dużo wyżej niż oczy mojej partnerki. Co prawda Aśka była nieco niższa od Kamili — czyli też nieco niższa ode mnie — ale nie musiałem przyjmować żadnych nienaturalnych pozycji. Także wtedy, gdy moja wolna dłoń (bo druga wciąż pozostawała w jej włosach) zsunęła się w dół i oparła na jej pasku od spodni, a potem przesunęła się jeszcze niżej, na pulchne pośladki.

— Idziemy na całość? — zapytałem, nadając swojemu głosowi ton ochrypłego szeptu. Jej oczy wciąż były zamglone, ale po chwili dotarło do niej to, co powiedziałem. Przez moment miałem wrażenie, że odpowie „tak”, ale chyba w końcu się zawstydzila, bo wybuchła śmiechem, kończąc nasze parkietowe przedstawienie.

— Wygrałeś — zaśmiewała się jeszcze, gdy wróciliśmy do stolika. W tańcu nabrała kolorów, a bliskość fizyczna napełniła ją wewnętrznym blaskiem. Doszedłem do wniosku, że jest prześliczna, i przez sekundę poczułem coś w rodzaju ukłucia żalu, że to wszystko, co zdarzyło się na parkiecie, było na niby. Zresztą czuła chyba to samo, bo posłała mi dziwne spojrzenie, pełne uczuć, których nie umiałem rozszyfrować.

Przez jakiś czas trwaliśmy w milczeniu. Odezwaliliśmy się

równocześnie, stwierdzając — każde z osobna — że mamy ochotę na wizytę w łazience. Jednoczesny sygnał z pęcherza sprawił, że zapomnieliśmy o dylematach z parkietu. Pośmialiśmy się przez chwilę, a potem ruszyliśmy na poszukiwanie toalety.

Okazało się, że trafienie do łazienki wcale nie było takie proste. Jak wytłumaczył nam kelner, trzeba było najpierw wyjść na zewnątrz, a potem zlokalizować skrzętnie ukryte przed wzrokiem przechodniów schodki w dół. Na ich końcu znajdowały się upragnione ubikacje. Nie mogłem zrozumieć przyczyn takiego rozwiązania, które musiało być szczególnie dokuczliwe przy gorszej aurze, a zwłaszcza zimą. Wyjaśnienie kelnera, że zimą knajpa była nieczynna, nie było dla mnie do końca przekonujące.

Przez niecałą godzinę, którą spędziliśmy we wnętrzu lokalu, z nieba zniknęły ostatnie pozostałości po minionym dniu. Nie było jednak ciemno. Przeciwnie, było jasno jak w dzień, ponad wejściem świecił potężny, halogenowy reflektor. Lekko oślepiony puściłem dłoń Aśki, po czym sięgnąłem rękami do oczu, by je osłonić. Jednocześnie poczułem, że spomiędzy palców wysunął mi się mosiężny kluczyk, który miał służyć do otwarcia zakamuflowanego ustępu. Tłumiąc przekleństwo, schyliłem się szybko i niemal jednocześnie usłyszałem trzy następujące po sobie dźwięki: świst, głucho uderzenie i stłumiony okrzyk. Wszystkie włosy stanęły mi dęba, bo okrzyk, w którym zabrzmiały zaskoczenie i ból, wydobył się z ust idącej obok mnie kobiety.

Nie wyprostowałem się odruchowo, tylko opadłem jeszcze niżej, otwierając szeroko oczy i wypatrując sygnałów zaskoczenia. Trochę raził mnie reflektor, ale wyraźnie widziałem chwiejącą się postać Aśki i jeszcze jedną sylwetkę, balansującą na krawędzi równowagi. Sylwetka należała do mężczyzny, który dzierżył w ręku podłużny przedmiot. Rozpoznałem gazurkę i stwierdziłem z przerażeniem, że mężczyzna nas zaatakował. Świst i uderzenie, które usłyszałem, były odgłosami towarzyszącymi uderzeniu gazurką w głowę mojej przyjaciółki.

Byłem pewien, że mężczyzna zaatakuje teraz mnie, tym bardziej że to pewnie ja byłem jego pierwotnym celem, a dziewczyna oberwała tylko dlatego, że niespodziewanie się schyliłem. Podejrzewałem, że

może chodzić o zwykły rabunek i dziwiłem się, dlaczego najpierw nie zażądał pieniędzy. Pewnie nie było wielu ludzi, którzy na widok oprycha z gazrurką nie wyciągnęliby portfela. Sam oddałbym swój bez zbędnej zwłoki, zwłaszcza że jego zawartość nie stanowiła fortuny. Ale z jego ust nie padło ani jedno słowo. W ułamku sekundy stwierdziłem, że nie zamierza się odzywać, i przygotowałem się na atak. Kątem oka zlustrowałem najbliższe otoczenie, ale nie zdołałem namierzyć jego ewentualnych współników. Nie założyłem jednak z góry, że działa sam. Starłem się być gotowy na wszystko i część uwagi poświęciłem lustracji terenu. Pozostałą jej część skierowałem na przeciwnika, który kojarzył mi się z czarnym cieniem.

Czarny cień jednak nie zdecydował się na kolejne uderzenie. Być może wynikało to z faktu, że byliśmy jednak w dość ruchliwym miejscu i w każdej chwili obok nas mógł pojawić się ktoś postronny. Gdy jego ręka opadła po uderzeniu, nawet nie próbował jej podnosić do kolejnego ciosu. Odwrócił się w miejscu i zaczął biec z taką prędkością, jakby go goniła zgraja wilków. Ja również sprężyłem się do biegu, ale odgłos jego kroków został zagłuszony przez inne odgłosy: cichy jęk i łoskot padającego ciała.

W mgnieniu oka zapomniałem o pogoni i z przerażeniem pochyliłem się nad dziewczyną, która osunęła się na ziemię i gdybym jej w ostatniej chwili nie podtrzymał, uderzyłaby się w głowę. W świetle reflektora jej twarz wyglądała na alabastrowo białą, a biel tę zakłócała tylko ciemna strużka krwi spływająca z jej rozciętej skroni. Wiedziałem, że najgroźniejsza jest dla niej w tym momencie utrata przytomności. Rozprostowałem zaciśniętą dotąd w pięść dłoń i uniosłem, chcąc wymierzyć Aśce trzeźwiący policzek, ale w ostatniej chwili zauważyłem, że jej oczy patrzą na mnie przytomnie.

— Co to było? — przytomny był też jej głos. — Boli — poskarżyła się, dotykając skroni. A potem spojrzała na swoją rękę. — Krew — szepnęła, znajdując się na granicy hysterii.

W tym momencie miałem już niemal pewność, że nic poważnego jej się nie stało. Cios faktycznie przeznaczony był dla mnie, a ona została jedynie zadrapana. Co prawda wszelkie urazy głowy wymagały kilkudniowej obserwacji, ale skoro nie straciła nawet na moment

przytomności, to rokowania były pomyślne. Teraz groziła jej tylko histeria i ból — z doświadczenia wiedziałem, że takie zadrapanie potrafi boleć bardziej niż głęboka rana. Wyjąłem telefon, chcąc zadzwonić po policję i pogotowie, ale w tej chwili drzwi od knajpy otworzyły się i stanął w nich znajomy kelner, który najwyraźniej postanowił urwać się na chwilę na papierosa.

W innych okolicznościach na pewno bym jej nie zostawił. Trwałbym u jej boku aż do przyjazdu karetki, głaskał po włosach i powtarzał, że wszystko będzie dobrze. Ale od wczoraj nie byłem do końca sobą. Od wczoraj byłem podenerwowany i żyłem w ciągłym napięciu. Nagła śmierć przyjaciela odcisnęła na mnie swoje piętno. Nie bez znaczenia były też ciepłe uczucia, którymi darzyłem Aśkę. Kombinacja tych czynników sprawiła, że poczułem w sobie taki gniew, jakiego nie doświadczyłem już od wielu lat.

Gniew, który eksplodował we mnie niczym pocisk zapalający, rozpalając mnie do białości i zamieniając moją krew w pociąg TGV.

— Zadzwoń na sto dwanaście i zaczekaj tu z nią! Napadł nas jakiś oprych! — krzyknąłem do zaskoczonego kelnera i gdy tylko w jego oczach pojawił się ślad zrozumienia, rzuciłem się w pogoń za napastnikiem, który zdążył się ode mnie oddalić o jakieś dwieście metrów.

Byłem niewysoki, ale to nie oznaczało, że nie potrafiłem szybko biegać. Przeciwnie, zawsze byłem cholernie szybki. Teraz dodatkowo napędzała mnie adrenalina, więc nawet mimo niewygodnych butów biegłem zdecydowanie szybciej od uciekającego mężczyzny. Ale dwieście metrów to dość duży dystans i nadrobić go nie jest łatwo. To dystans, na którego przebycie najlepsi sprinterzy świata potrzebują całych dwudziestu sekund. Gdybyśmy biegli po idealnie równej tafli wyschniętego słonego jeziora, prędzej czy później bez wątpienia bym go dorwał. Ale znajdowaliśmy się w pełnym zakamarków parkowym zagłębieniu Warszawy, a na domiar złego była noc.

Mimo wszystko chciałem spróbować, a fakt, że napastnik nie spodziewał się pogoni, przez moment działał na moją korzyść. Biegł w dół Agrykołą, widoczny jak na dłoni w błękitnym świetle latarni. Podejrzywałem, że porusza się najszybciej, jak potrafi, ale ja zamieniłem



się w prawdziwego demona prędkości. Niemal nie dotykałem asfaltu i szybko zmniejszałem dzielący nas dystans.

Nie robiłem przesadnego hałasu, ale w końcu obrócił się na moment i zdołał mnie dostrzec. Mnie też oświeślały błękitne latarnie. Zachwiał się z zaskoczenia i przez chwilę miałem nadzieję, że potknie się i upadnie, ale niestety odzyskał równowagę i puścił się sprintem. Chciałem sprowokować go do bójki i w tym celu wykrzyczałem kilka obelg, ale nawet nie wiem, czy z takiej odległości cokolwiek usłyszał. Miałem też nadzieję, że przypomni sobie mój niegroźny wygląd i będzie się chciał ze mną rozprawić, ale niestety nie przyszło mu to do głowy. Biegł, nie oglądając się za siebie.

Drugi raz obejrzał się w połowie Agrykoli, kiedy odległość między nami spadła do mniej więcej stu metrów. Gdyby było jaśniej, z pewnością dostrzegłbym w jego oczach zaskoczenie, że napadnięty przez niego kurdupel tak szybko go dogania. Domyślałem się, że pod kopułą jego czaszki przebiega intensywny proces myślowy. Co dalej? O ile to było możliwe, spróbowałem jeszcze przyspieszyć, by nie zostawić mu więcej czasu na zastanowienie.

Miał do wyboru kilka możliwości, lecz niestety wybrał najgorzej dla mnie. Zamiast dalej biec w dół Agrykolą albo zatrzymać się i stawić mi czoła, mężczyzna skręcił w prawo i przez jakąś dziurę w parkanie przedostał się na ciemny teren Łazienek Królewskich. Zakląłem w duchu, oszczędzając siły. W kilkanaście sekund dotarłem do miejsca, w którym zniknął i — nie zawracając sobie głowy poszukiwaniem dziury — wspiąłem się błyskawicznie na jedno z drzew i przesadziłem parkan.

Podczas jednych ze studenckich wakacji dorabiałem sobie oprowadzaniem po Warszawie wycieczek. Co prawda nigdy nie działałem na terenie Łazienek, ale musiałem zdać egzamin z topografii całej Warszawy, więc pamiętałem, że park ten ma niemal osiemdziesiąt hektarów powierzchni i prawie w całości pokryty jest drzewami i krzewami. Szukanie tu kogoś w nocy było niczym poszukiwanie igły w stogu siana. Ale postanowiłem się nie poddawać i tym razem z pomocą przyszedł mi przypadek.

Temu przypadkowi na imię było parkowy strażnik. Jego tubalny

głos rozległ się gdzieś po mojej lewej stronie.

— Stój! — usłyszałem i domyśliłem się, że słowa te skierowane musiały być do mężczyzny, którego ścigałem.

Nie zwracając uwagi na spowodowane przeze mnie hałasy, przedarłem się przez gęste krzewy i wypadłem na parkową alejkę, niemal w objęcia strażnika, którego przed chwilą słyszałem.

— Gdzie pobiegł? — wrzasnąłem, a w moim głosie musiał być zawarty taki ładunek determinacji, że natychmiast wskazał kierunek i dodał tonem przywodzącym na myśl wojskową musztrę:

— Zniknął gdzieś tam, obok stawu.

Rzuciłem się biegiem we wskazanym kierunku i po chwili dotarłem do Pałacu Łazienkowskiego. Minałem klasycystyczny gmach i znalazłem się nad wodą, budząc przy tym kilka śpiących nad brzegiem kaczek. Rozejrzałem się wokoło i ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że... widzę. Okolice oświetlona była kilkunastoma silnymi reflektorami, których blask docierał aż do mostku na przeciwległym brzegu.

Teren w zasięgu mojego wzroku był ogromny i fakt, że udało mi się niemal od razu wypatrzyć czarny cień uciekającego mężczyzny, świadczył o tym, iż miałem naprawdę mnóstwo szczęścia. Dostrzegłem go zupełnie przypadkiem, jak przecinał kawałek wolnej przestrzeni, by z powrotem skryć się przed światłem reflektorów w cieniu nadbrzeżnych zarośli. Popędziłem w tamtą stronę jak na skrzydłach wiatru. Adrenalina wciąż buzowała w moich żyłach niczym szampan i mimo długiego sprintu nie czułem ani grama zmęczenia.

Nadbrzeżne zarośla przypominały amazońską dżunglę. Unosiła się w nich ciepła wilgoć, atakując nozdrza wonią zbutwiałych konarów i zgnilizny. Powietrze wibrowało dźwiękiem bzyczenia — znak, że z zimowego snu obudziły się już krwiożercze komary. Do pełnego obrazu dzikiej Amazonii brakowało tylko lian. Zagłębiłem się w tę dzicz biegiem, ale uderzenia gałęzi niemal od razu wyhamowały mnie do wolnego truchtu.

Było ciemno jak w grobie, więc kierowałem się jedynie słuchem. Miałem wrażenie, że gdzieś z przodu dobiegają mnie odgłosy tratowanych krzaków, i starałem się podążać mniej więcej w tamtym kierunku. Raz i drugi na mojej drodze wyrosło drzewo. W takich

przypadkach rozcierałem coraz bardziej poobijane czoło i tłumiąc przekleństwa, brnąłem dalej.

Po pewnym czasie odgłosy wydawane przez uciekającego stały się jakby głośniejsze i lepiej słyszalne. Dotarło do mnie, że to ja lepiej radziłem sobie z przedzieraniem się przez chaszczę i najwyraźniej depczę mu po piętach. Czując woń ściganej zwierzyny, jeszcze przyspieszyłem. Wyobrażałem już sobie, co mu zrobię, zanim zjawi się policja, a moją inwencję podsycił przywoływany ze świeżej pamięci obraz zakrwawionej Aśki. Słyszając paniczne odgłosy ucieczki, byłem pewien, że dorwę uciekającego drania w przeciągu kilkunastu sekund. I właśnie ta nadmierna pewność siebie okazała się dla mnie zgubna.

Nie wziąłem pod uwagę, że ścigana zwierzyna nie była bezbronna. Całą swoją uwagę poświęciłem na wychwytywanie odgłosów ucieczki, tak więc kiedy bandyta stanął przede mną uzbrojony w znajomą gazurkę, byłem kompletnie zaskoczony.

Mimo zaskoczenia nie przestałem jednak myśleć. Osoba, która wyciąga przed siebie niebezpieczne narzędzie — zwykle jest to nóż, ale tyczy się to też wszelkiego rodzaju pałek — liczy na wywołanie u przeciwnika obawy czy wręcz przestachu. A ja nie chciałem zachować się tak, jak spodziewał się tego bandzior. Dlatego zignorowałem uniesioną do ciosu gazurkę i zamiast się zatrzymać, popędziłem prosto na niego.

Po raz drugi w przeciągu kilku minut usłyszałem przeraźliwy świst, ale i tym razem wymierzony w moją głowę cios nie doszedł do celu. Gazurka przemknęła kilka cali obok mojej głowy, a ja — niczym wystrzelony z karabinu pocisk — z całym impetem wpadłem na ciemną postać, błyskawicznie zwalając ją z nóg. Usłyszałem pojedyncze przekleństwo, które przeszło w przeciągły jęk. A potem przetoczyłem się po obalonym wrogu i... nagle straciłem oparcie. Oniemiały z zaskoczenia, bezwładnie poleciałem w dół.

Od tego czasu każdy spacer po Łazienkach Królewskich rozpocząłem od odwiedzenia właśnie tego miejsca. Miejsca, które było świadkiem mojego spektakularnego upadku. Podcięta skarpa, na szczycie której zupełnie przypadkowo zatrzymał się goniony przeze mnie mężczyzna, położona była tuż nad brzegiem stawu. Wystarczyło

zrobić jeden niewłaściwy krok, by poślizgnąć się na pokrywającym jej krawędź błocie i zjechać wprost w objęcia brudnej wody. Niestety tamtego wieczoru jeszcze tego nie wiedziałem, więc wpadłem w nieświadomie zastawioną pułapkę. Coś, co miało być aktem desperacji, okazało się mistrzowskim posunięciem.

Nie wpadłem bezpośrednio do wody. Po upadku z wysokości trzech metrów odbiłem się od betonowej podmurówki i dopiero wtedy uderzyłem w lustro wody. Pod jej cuchnącą powierzchnią wylądowała tylko moja noga — reszta poobijanego ciała zatrzymała się na wilgotnej podmurówce. Przez chwilę leżałem nieruchomo, a do życia przywrócił mnie dopiero stłumiony głos.

— Masz za swoje, głupi belfrze! — okrzyk bandziora, w którym strach mieszał się z buzującą w nim nienawiścią, zlał się w jedno z odgłosami jego ucieczki.

Byłem przekonany, że w wyniku upadku złamałem sobie kilka kości. Poruszyłem ostrożnie najpierw rękami, a potem nogami, ale nie poczułem bólu. Okazało się, że nieprzyjemne wrażenie wywołane było jedynie niegroźnym urazem splotu słonecznego. Uderzenie w wybetonowany brzeg zbiornika wodnego wypchnęło mi z płuc całe powietrze i przez dłuższy czas nie mogłem złapać oddechu. Siłą woli zwalczyłem jednak słabość i po kilku sekundach byłem z powrotem na nogach — lekko kontuzjowany, ale za to jeszcze bardziej zdeterminowany, by dopaść uciekającego wroga. Zacząłem biec, a moje ciało z każdym krokiem odzyskiwało sprawność. W tamtym momencie nie liczyło się dla mnie, że napastnik musiał mnie znać — na co wskazywało nazwanie mnie belfrem. Gdybym go dopadł, to niezależnie kim by się okazał, zostałaby z niego jedynie mokra plama.

Moje szanse wzrosły niepomiaralnie w momencie, gdy bandzior opuścił bezpieczną kryjówkę zarośli i zaczął uciekać po otwartym terenie. Reflektory demaskowały każdy jego krok, oświetlając go tak dokładnie, że widziałem nie tylko zgiętą w biegu sylwetkę, ale też rzucany przez nią cień. Gdyby tylko trzymał się ocienionej części parku i gdzieś przycupnął, prawdopodobnie nie dałbym rady go odszukać. Ale popełnił błąd i chociaż zdał sobie z niego sprawę niemal natychmiast, to było już za późno. Pozostał mu bieg oświetloną alejką w kierunku

mostku oraz nadzieja, że upadek nadwyrężył moje siły. I to w takim stopniu, że nie zdołałem go dopędzić.

Nadzieja ta była płonna, o czym przekonałem się już po kilku sekundach. Sadziłem wielkimi susami, błyskawicznie zmniejszając dzielącą nas odległość. Nie biegł nawet w połowie tak szybko, jak przedtem. Odniosłem wrażenie, że opuściły go zarówno siły, jak i wola walki. Z jego sylwetki wprost biła rezygnacja, czułem też w powietrzu zapach jego strachu. Jednocześnie nauczony przykrym doświadczeniem sprzed chwili, ani na moment nie traciłem koncentracji, usiłując przygotować się na każdą, nawet najbardziej niespodziewaną ewentualność. Wszystko wskazywało na to, że za kilka sekund powalę go na ziemię.

Byłem tuż za nim, gdy w te wyścigi jeszcze raz wmieszało się przeznaczenie.

Stało się to na mostku, tym samym, który w słoneczne czerwcowe popołudnia gromadzi pary w ślubnych strojach, przybyłe do Łazienek na sesję zdjęciową. Gdy sprężyłem się do skoku, który miał ostatecznie zakończyć wyczerpującą pogoń, zauważyłem zbliżającą się gdzieś z boku smugę cienia. Poruszała się z olbrzymią prędkością. Nie zdążyłem nawet westchnąć — coś nagle podcięło mi nogi i wylądowałem na asfalcie, boleśnie ścierając sobie skórę z kolan. Przywykłem już do kolejnych razów i pewnie natychmiast bym się poderwał, ale... nie mogłem. Do ziemi przygniotła mnie kudłata bestia z ogromnymi zębiskami, które kłapały gdzieś obok mojego gardła.

To nie był zwykły pies. To była wyszkolona maszyna do obezwładniania ludzi. Umiałem radzić sobie z takimi stworami, ale nawet nie próbowałem stosować swoich sztuczek. Wiedziałem, że tak wytrenowane zwierzę musiało być własnością policji, a nie chciałem podpadać stróżom porządku. Zamiast więc wyprowadzić cios, pogłaskałem psa po karku. Warknął i zjeżył sierść.

— Stój! Nie ruszaj się! — usłyszałem po chwili męski głos, który musiał należeć do policjanta. Polecenie nie było zbyt błyskotliwe. Człowiek przygnieciony trzydziestokilogramową mieszaliną zębów, pazurów i stalowych mięśni mógł co prawda trwać nieruchomo, ale z pewnością nie mógł stać.

— Łapcie go! Nie mógł uciec daleko. Pobiegł tam — wskazałem palcem kierunek, w którym ostatni raz widziałem bandziora.

Pies zareagował błyskawicznie. Na mojej dłoni poczułem ślady zębów. Wkurzyło mnie to, bo przecież nie robiłem nic złego. Przywołałem ostatnie rezerwy cierpliwości.

— Proszę, zabierzcie już to bydlę! — powiedziałem proszącym tonem, ale moje słowa pozostały bez echa. Funkcjonariusz zamiast popatrzeć we wskazanym przeze mnie kierunku, wpatrywał się we mnie. — Złapaliście niewłaściwego człowieka. To ja byłem z tą pobitą kobietą i to jak kazałem was wezwać.

— Wzywać to sobie możesz obsługę pokoju. W hotelu — warknął policjant, spluwając pod nogi.

Ani myślał odwołać psa. W zasadzie to mu się nie dziwiłem, w końcu nie znał mnie i nie wiedział, czy mi ufać. Byłem mu gotów przebaczyć nawet arogancję. Zakładałem, że na co dzień stykał się z bandytami i różnej maści szumowinami, a w takim środowisku znajomość zasad *savoir-vivre* 'u była mu kompletnie niepotrzebna. Naprawdę nie chciałem tracić czasu na głupie przekomarzanie, ale pies — chyba podjudzony aroganckim zachowaniem swojego pana — zaciskał zęby coraz mocniej. Miałem wrażenie, że zaraz przegryzie się przez ubranie i mnie pokaleczy.

— Zabierz go, bo zrobię mu krzywdę — powiedziałem możliwie uprzejmym tonem, ale jedyną reakcją na moje słowa był śmiech, po którym zwierzę jeszcze wzmocniło nacisk szczęk na moje wyciągnięte ramię. Poczułem ukłucie prawdziwego bólu, który mógł być jedynie preludium tego, co mnie czekało. Zrozumiałem, że aby uniknąć serii zastrzyków przeciw wścieklicznie, muszę wreszcie zacząć działać.

Sięgnąłem wolną ręką do gardła zwierzęcia i wymacałem palcami malutką narośl tuż poniżej linii szczęki. Była wielkości ziarnka grochu. Napiąłem mięśnie i nacisnąłem ją raptownie kciukiem. Reakcja była natychmiastowa. Pies pisnął głośno i straciwszy zupełnie zainteresowanie w gryzaniem się w moje ramię, zaczął się tarzać z bólu. Strąciłem go z siebie i błyskawicznie poderwałem się na nogi. A potem podszedłem do oniemiałego policjanta.

— Nic mu nie będzie — warknąłem, wskazując na piszczącego

owczarka. — Nacisnąłem tylko na jeden z nerwów, zaraz dojdzie do siebie. Skontaktuj się ze swoimi i powiedz, że podejrzany znajduje się teraz w południowej części parku, blisko terenów Biura Ochrony Rządu. Jasne? — podniosłem głos, chcąc przywołać go do rzeczywistości.

Kiwnął głową i machinalnie wypełnił moje polecenie. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

— Jak pan to zrobił? — zapytał, pochylając się nad psem.

— Rzeczywiście, nic mu nie jest — dodał po chwili, przyjrzawszy się zwierzęciu.

Zostawiłem jego pytanie bez komentarza, zajęty wyciskaniem lewej skarpetki, którą zmoczyłem upadając na wybetonowany brzeg. Po chwili wokół nas zaroilo się od ludzi.

— Pan Tomasz? — zapytał mnie wysoki policjant o ascetycznej twarzy, który dowodził całą akcją. — Otrzymaliśmy zgłoszenie o napaści...

— Co z dziewczyną? — przerwałem mu w pół słowa.

— Przyjechała po nią karetka, ale to wygląda na niewielkie skaleczenie. Mają ją zabrać do szpitala na prześwietlenie, a potem będzie mogła pójść do domu. Za pamięci — urwał i wyciągnął w moją stronę rękę z kluczykami do samochodu — prosiła, by to panu dać i przekazać, żeby po wszystkim podjechał pan po nią na Litewską. A teraz niech pan powie, co tu się stało.

Usiadłem na ławce i szczegółowo opisałem mu przebieg całego zdarzenia. W połowie opowieści uświadomiłem sobie, że mam problemy ze złapaniem oddechu. Znałem ten stan, dopadający człowieka jakiś czas po okresie zwiększonej aktywności psychofizycznej. Po prostu wychodziło ze mnie zmęczenie i adrenalina.

— Chce pan na chwilę przerwać? — spytał z troską policjant, ale pokręciłem przecząco głową i wydyszałem resztę opowieści.

Jej zakończenie idealnie zbiegło się w czasie z przekazaniem przez radio meldunkiem, że poszukiwania w południowej części parku zakończyły się zupełną kląpą. Jeden z radiowozów pomylił drogę i w efekcie Łazienki od strony Alei Ujazdowskich pozostawały przez kilka minut zupełnie nieobstawione. Ścigany prawdopodobnie wykorzystał błąd policji i wymknął się tamtędy, rozplywając się

w miejskiej dżungli. Wysoki policjant przez moment trwał w niemej furii, a potem wykrztusił z siebie pojedyncze przekleństwo.

— Czy podejrzewa pan jakieś inne motywy niż zwykły rabunek?  
— spytał, gdy już odzyskał nad sobą panowanie.

Pytanie zostało zadane w sposób zupełnie automatyczny, tak więc informacja, że napastnik znał mój zawód, początkowo przeszła bez echa. Dopiero kiedy ją powtórzyłem, na jego obliczu pojawił się wyraz delikatnego jeszcze zainteresowania.

— Czy ma pan jakichś wrogów? Nie? To może w pana życiu wydarzyło się ostatnio coś niecodziennego?

Moje życie pełne było niecodziennych wydarzeń, ale w ostatnim czasie na plan pierwszy wysunęło się morderstwo mojego najlepszego przyjaciela. Policjant początkowo nie chciał wierzyć, że doszło do niego zaledwie wczoraj.

— Naprawdę! — zaklinałem się, uderzając pięścią w pierś. Przez moment czułem się tak, jakbym był w konfesjonale. — Niech pan zadzwoni na nasz komisariat. Cała legionowska policja nie robi od wczoraj nic innego!

Dopiero ta ostatnia uwaga zdała się do niego trafić. Wyglądał jednak bardziej na zdziwionego niż przekonanego. Wstał i zaczął się przechadzać wzdłuż ławki, na której siedziałem. Trzech innych policjantów, w tym właściciel psa, wpatrywało się w niego z namaszczeniem.

— Rzeczywiście, coś o tym słyszałem — bąknął wreszcie, a potem na jego ustach rozlał się niespodziewanie uśmiech pełen zadowolenia. — W takim razie to nie jest nasza sprawa. Nic nam do tego... — urwał i popatrzył na swoich podwładnych. — Nie możemy wkraczać w kompetencje innej jednostki — poprawił się, tym razem urzędowym tonem, po czym zwrócił się do jednego z podkomendnych: — Marczak, zawiadomcie policję z Legionowa. Natychmiast przekazujemy tę sprawę. Przygotujcie kwity. No już! — podniósł głos i pozostali policjanci zniknęli niczym zdmuchnięte świece.

Podszedł do mnie i poczęstował mnie papierosem. Grzecznie odmówiłem.

— Panie nadkomisarzu, czy mógłbym pojechać do szpitala po



koleżankę? — spytałem, a on zmarszczył czoło i strzepnął popiół z mostku w czarną toń stawu.

— Dobrze, tylko wezmę do pana telefon i spiszę pana z dowodu — zdecydował po chwili wahania. — Niech pan jedzie, ale proszę nie wyłączać komórki. Skontaktujemy się z panem, jak tylko ktoś od nich przyjedzie.

Podziękowałem i ruszyłem w kierunku wyjścia z parku. Przechodząc obok pałacu, minąłem znajomego parkowego strażnika, ale ten udał, że mnie nie widzi. Po dziesięciu minutach byłem na Bagateli, a po dwóch kolejnych parkowałem przed szpitalem na Litewskiej. Dziewczyna czekała na mnie w przestronnym hallu.

Chciałem zapytać, jak się czuje, ale zanim zdążyłem się odezwać, wpadła mi w ramiona. Tym razem nie było jednak w jej uścisku ani śladu po niedawnym erotyzmie. Wyglądała jak mała skrzywdzona dziewczynka. Jej czoło przepasane było grubym białym bandażem.

— Już po wszystkim? — spytałem, gdy zwolniła swój uścisk.

— Nie, muszą zatrzymać mnie tu na noc — poinformowała zgnębionym głosem. — Czuję, że nic mi nie jest, ale straszą, że czasem urazy głowy nie dają w pierwszej chwili żadnych objawów, a potem robi się groźnie. Nie spodziewałam się, że nasza randka skończy się tak dramatycznie — uśmiechnęła się delikatnie, jakby chcąc uśmierzyć moje obawy związane ze słowem „randka”.

— Ja też się nie spodziewałem — stwierdziłem zgodnie z prawdą. — Miałem nadzieję, że uda mi się go dopaść, ale...

— No właśnie, co w ciebie wstąpiło? Czy ty wiesz, jak się o ciebie bałam? Jesteś nauczycielem, a nie policjantem czy innym bokserem... Po co za nim biegłeś?

Uśmiechnąłem się w duchu. To, że się o mnie bała, mile polechtało moją próżność.

— Tak jakoś odruchowo — stwierdziłem bez wdawania się w szczegóły.

Uśmiechnęła się do mnie nieco szerzej i wówczas zrozumiałem, że wcale nie potępiała mojej pogoni za bandziorem. W głębi serca oczekiwała takiej męskiej reakcji. Po raz enty w życiu dostrzegłem, że między tym, co kobieta mówi, a tym, co naprawdę myśli, jest pewna

różnica. Wypowiedziałem to na głos, ale żartobliwie wyzwała mnie od szowinistów.

Pogawędziliśmy jeszcze trochę, ale rozmowę przerwało wibrowanie mojej komórki. Ścigany potężnym spojrzeniem szpitalnej recepcjonistki wyszedłem przed gmach i nacisnąłem zieloną słuchawkę. Usłyszałem znajomy głos.

— Gdzie jesteś? — zapytała Kamila, a po odgłosie policyjnej syreny odgadłem, że dzwoni z pędzącego na sygnale radiowozu. — To będziemy tam za pięć minut — skwitowała moją odpowiedź i natychmiast się rozłączyła.

Zjawiła się w towarzystwie dwóch kolegów. W jednym z nich rozpoznałem policjanta, który przesłuchiwał mnie wczoraj, drugi był mi zupełnie obcy. Przywitali się z nami i zasypali gradem pytań. Popatrzyłem na zmęczoną Aśkę i podniosłem rękę.

— Może najpierw pogadacie z nią — zaproponowałem. — Zaraz ją zabiorą na dalsze badania, a poza tym to ona oberwała.

Dziennikarka posłała mi spojrzenie pełne wdzięczności, a policjanci popatrzyli obojętnie.

— Może być — zgodził się ten, którego nie znałem. Wyglądało na to, że był tu najważniejszy.

Zadali jej kilka pytań, ale była zbyt wyczerpana, by sensownie odpowiadać. Po piętnastu minutach, równo z wybiciem północy, w poczekalni pojawił się starszy lekarz, który bezceremonialnie przerwał „przesłuchanie”, każąc Aśce udać się ze sobą. Posłałem jej całusa, a ona pomachała mi na pożegnanie. Najważniejszy z policjantów w ostatniej chwili spróbował jeszcze podsumowań:

— Czyli nie rozpoznała pani napastnika, nie pamięta narzędzia, którym panią uderzył, i nie zauważyła nic nietypowego... — zaczął ale zaraz umilkł, wystraszony nieprzyjaznym wyrazem twarzy lekarza.

— Ona jest już zmęczona. Do widzenia panom — powiedział stanowczo doktor i poprowadził swoją pacjentkę korytarzem w głąb budynku. Po chwili zniknęli nam z oczu.

— To co, teraz moja kolej? — spytałem i raz jeszcze przedstawiłem ze szczegółami wydarzenia ostatnich godzin. Trwało to dosyć długo, bo moja „spowiedź” była na bieżąco rejestrowana.

— Czyli napastnik mógł pana znać? — spytał policjant prowadzący przesłuchanie. W myślach niemal od samego początku nazywałem go „John Lennon”, bo miał na nosie okulary charakterystyczne dla brytyjskiego artysty.

— Na pewno mnie znał — stwierdziłem. — Aśka oberwała przypadkowo. Tak naprawdę chciał dorwać mnie. Tylko nie mam pojęcia, dlaczego.

Zastanawiałem się nad tym od dłuższego czasu. Jeżeli miałem jakichś wrogów, to nic o tym nie wiedziałem. Od kilku lat wiodłem spokojne życie nauczyciela w równie spokojnej miejscowości. Na próżno szukałem w pamięci sytuacji, w których mogłem się komuś aż tak narazić. Nie sądziłem, by za atak odpowiadał jakiś obłany przeze mnie uczeń, gdyż było ich tylko kilku i żaden nie był aż tak wysoki. I nie miał głosu podobnego do tego, którym posługiwał się bandyta. Na pewno nie chodziło też o rabunek. Można było o mnie powiedzieć wszystko, ale na pewno nie to, że nosiłem przy sobie duże sumy pieniędzy... Byłem biedny jak mysz kościelna.

Przesłuchujący policjant usiłował powiązać atak na mnie ze śmiercią Mateusza, ale szło mu to wyjątkowo opornie. Sam nie wiedziałem, jak mu pomóc, gdyż łączenie tych dwóch zdarzeń było dla mnie absurdalne. Nie łączyły nas z Mateuszem żadne ciemne sprawy, podczas których mogliśmy narobić sobie wspólnych wrogów. Ręce i nogi zdawała się mieć pozornie teoria o zemście jakiegoś szalonego ucznia, któremu jednocześnie postawiliśmy jedynkę. Jednak dla mnie myśl o nastolatku w roli demona zemsty była nieco zbyt naciągana — nastolatkowie w naszych czasach są na ogół zbyt leniwi, by chciało im się na kimkolwiek mścić. Z podobnego założenia wychodziła też legionowska policja. Przesłuchujący nie zadał mi ani jednego pytania dotyczącego uczniów, koncentrując się na czymś zupełnie innym. Pytał mnie głównie o innych nauczycieli.

Pytania dotyczyły przede wszystkim wzajemnych relacji. Zachęcony przez Kamilę przedstawiłem policjantom tak skomplikowany wykres wzajemnych sympatii i antypatii, że po kilku minutach zupełnie się w tym pogubili.

— Ale o co... Jak wy możecie w takiej atmosferze...

— przesłuchujący usiłował coś powiedzieć, lecz najwyraźniej zabrakło mu słów. — To ja myślałem, że to u nas na komisariacie panują dziwne stosunki. Ale to jest... To jest...

— To jest szkoła — przerwałem jego męki, po czym pospieszyłem z wyjaśnieniem. — Kiepska atmosfera w szkołach wynika z ciągłej rywalizacji między nauczycielami. Rywalizujemy o respekt lub sympatię uczniów, o jak najwyższe średnie ocen, o dodatki, o lepsze rozkłady zajęć. A poza tym... Nie wiem, czy zauważyliście, ale w naszym zawodzie wykształca się coś w rodzaju belferskiego charakteru. Jednym zdaniem można określić to w ten sposób: nauczyciele zawsze mają rację. Cecha ta wykształca się w kontakcie z uczniami, ale potem jest przenoszona do normalnego życia i staje się bardzo uciążliwa dla otoczenia. No i wyobraźcie sobie, jaka atmosfera panuje w grupie, której każdy członek uważa, że zawsze ma rację. Aż kipi od intryg i wzajemnej nienawiści.

— Ale ty... przepraszam, pan... wydaje się nie być skażony tą nienawiścią — wtrąciła się Kamila.

— Ja pracuję w tym zawodzie dopiero pięć lat — wyjaśniłem. — A poza tym nie jestem nauczycielem z wyboru i traktuję swoją przygodę z nauczaniem nieco z przymrużeniem oka. Pewnie lepiej bym się czuł jako wykładowca akademicki, chociaż słyszałem, że i tam środowisko nie jest zbyt zgodne... Tam największym problemem jest rywalizacja, jeszcze gorsza niż w szkołach średnich...

Rozpędziłem się i mógłbym w ten sposób mówić jeszcze długo, ale „John Lennon” chrząknął i spojrzał na zegarek.

— Może wróćmy do sprawy — zaproponował tonem nieznoszącym sprzeciwu, w związku z czym skłoniłem głowę i zamilkłem.

Policjanci wypuścili mnie teraz na dyrektora. Wiedziałem, że Jan Hołownia utrzymuje doskonałe stosunki zarówno z prezydentem miasta, jak też z komendantem miejscowej policji i komendantem CSP, więc wolałem nie przesadzać w krytyce.

— Dyrektor jaki jest, taki jest — spuentowałem niezbyt odkrywczco — ale nie posądzałbym go o rozwiązywanie problemów za pomocą gazrurki. Zresztą mężczyzna w parku był młody i sprawny.

— Ale wasz dyrektor przejawia skłonności do przemocy, czyż nie?  
Odpowiadając na to pytanie, wskazałem na Kamilę. Dziewczyna lekko się uśmiechnęła.

— Owszem, byliśmy z panią świadkami zdarzenia, podczas którego Hołownia poturbował naszego matematyka, ale nie było tam ani gazurki, ani prawdziwej przemocy. Wyglądało to tak, jak trochę zbyt ekspresyjna kłótnia dwóch dobrych znajomych.

Kamila chciała coś powiedzieć, ale jej przełożony pokręcił głową. Kolejne pytania nie dotyczyły już Hołowni, tylko Klaudyny Marciniak, wicedyrektorki. Po odpowiedzi na kilka z nich z moich ust wydobyło się ziewnięcie.

— Tam w parku to z całą pewnością nie była pani Klaudyna — stwierdziłem żartobliwie, wywołując nieoczekiwany wybuch wesołości całej trójki.

— Dobra, wystarczy — stwierdził „John Lennon”, przecierając okulary. — Dziękujemy, że był pan taki cierpliwy. Ma pan jak dotrzeć do Legionowa?

Pokazałem mu kluczyki, które zostawiła mi Aśka.

— Dowód rejestracyjny jest w skrytce — powiedziałem.  
— Umówiłem się z koleżanką, że odprowadzę jej samochód do Legionowa. Tu jest strefa płatnego parkowania i jutro dostałaby mandat. Przyjadę po nią wtedy, gdy już zrobią jej te wszystkie badania i będzie mogła wrócić do domu — dodałem tonem wyjaśnienia, gdyż było już późno i nikt nie miał ochoty na rozwiązywanie szarad.

— To świetnie — powiedział właściciel lennonek i na pożegnanie uścisnął mi rękę. — Chłopaki z Warszawy mówili mi, że świetnie się pan spisał — dodał cichym tonem. — Szkoda, że nie dorwał pan tego skurczybyka.

— Ja też żałuję — skinąłem mu głową i przepuściłem w drzwiach. Rozstaliśmy się na parkingu przed szpitalem.

Nie zdążyłem dojść do opla Aśki, gdy usłyszałem stukot damskich obcasów po trotuarze. Po wydarzeniach z Łazienek Królewskich byłem trochę przewrażliwiony, więc obróciłem się w miejscu niczym kot, gotowy do odparcia ataku.

— Spokojnie, swoja — usłyszałem kobiecy głos, a światło latarni

wydobyło z mroku burzę rudych włosów. — Już myślałam, że cię nie dopędzę.

— Co się stało? Jeszcze jakieś pytania? — westchnąłem z udawaną rezygnacją.

— Nie, wariacie — roześmiała się perliście. Jej śmiech był tak zaraźliwy, że jej zawtórowałem. — Chciałam się z tobą zabrać. Jedziesz do Legionowa?

Jeszcze przez chwilę uśmiechałem się kretyńsko. Byłem z natury człowiekiem skorym do śmiechu i najwyraźniej odzyskiwałem wrodzoną pogodę ducha. Zdawałem sobie sprawę, że dopiero co utraciłem jednego z najbliższych przyjaciół, ale nie ganiłem się za ten nadmiar wesołości. Miałem wrażenie, iż Mateusz pierwszy powiedziałby mi, że życie toczy się dalej i nie ma co wylewać na pokaz krokodylich łez.

— Proszę bardzo — otworzyłem przed Kamilą drzwi i bawiąc się w dżentelmena, zaprosiłem ją do wnętrza samochodu... Aśki. — Zapnij pasy, bo przez kilka lat nie dotykałem kierownicy — poprosiłem, na co lekko się usztywniła.

— Może chcesz, żebym to ja poprowadziła?

— Nie, nie ma takiej potrzeby. Mam nadzieję, że jeszcze wszystkiego nie zapomniałem.

Ruszyliśmy i po kilku minutach po jej usztywnieniu nie było już śladu.

— Świetnie prowadzisz. Nie chce mi się wierzyć, że miałeś taką przerwę.

— A jednak — stwierdziłem zgodnie z prawdą. — Kiedyś mówili, że mam do tego dryg. Może mieli rację.

Ziewnęła przeciągle.

— To moja druga noc z rzędu na służbie. Już ledwo żyję. Ściemniłam chłopakom, że chcę cię trochę podejść operacyjnie, i pozwolili mi pojechać z tobą. Nie miałam już siły, żeby z nimi wracać na komisariat i wypełniać te wszystkie kwity.

— Jasne — kiwnąłem głową, ale w ciemności i tak tego nie zauważyła. — Ja też mam już na dzisiaj dosyć. Jak chcesz, to się zdrzemnij. Mieszkasz na osiedlu Generała Roi, tak?

— Tak — potwierdziła i oparła głowę o szybę, ale nie zamknęła

oczu. — Nie będę spała. Ani teraz, ani jak wrócę do domu. Ta sprawa nie daje mi spokoju.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywałem się w puściutką Wisłostradę. Wjeżdżaliśmy właśnie do tunelu.

— Odstąpiliście już od teorii o samobójstwie? — spytałem, nie wiedząc, czy nie zakaże mi wtykania nosa w nie swoje sprawy.

Zastanawiała się krótko nad moim pytaniem.

— Moim zdaniem kręcimy się w kółko — stwierdziła wreszcie. — Mój meldunek o wczorajszym zachowaniu dyrektora i matematyka dał nam nieco do myślenia, a dzisiejszy atak na ciebie jeszcze bardziej zagmatwał całą sprawę. Mamy pewne podejrzenia, ale tak naprawdę nie możemy *a priori* wykluczyć samobójstwa. Nie mamy bezpośredniego dowodu, że doszło do morderstwa.

— A co ze śladami na miejscu zdarzenia? — zaryzykowałem pytanie, ale zbyła mnie śmiechem.

— Policja nie może udzielać takich informacji — powiedziała po chwili i chociaż w jej głosie zabrzmiały nutki żalu, była w nim też stanowczość.

— Ależ ta policja jest zasadnicza — westchnąłem z udawaną dezaprobatą.

Wymierzyła mi żartobliwego kuksańca.

— Nie przejmuj się. I tak wiemy tyle, co nic.

— To może połączymy to wasze „nic” z tym, czego dziś dowiedziałem się ja, dobrze? — zaproponowałem niewinnym głosem.

Pamiętałem, że Kamila jest nie tylko policjantką, lecz przede wszystkim dziewczyną. Liczyłem na to, że ciekawość wygra u niej z chęcią zachowania dyskrecji.

— A czego się dzisiaj dowiedziałeś? — spytała od razu, lecz ja zrobiłem minę sfinksa. — No weź... — wdzięczyła się, lecz pozostawałem nieugięty.

— Moja wiedza za twoją wiedzę — powtarzałem i w końcu się poddała. Zawartą umowę przypieczętowaliśmy mocnym uściskiem ręki.

Opowiedziałem jej o wszystkim, czego się dzisiaj dowiedziałem. Zacząłem od poszukiwań w szkolnym archiwum, potem przeszedłem do zniknięcia matematyka, rozmowy z Janką i jej podstarzałym

kochankiem, a zakończyłem na wizycie w redakcji „Super Expressu”. Po drodze zatrzymałem się przy McDonalddie na Modlińskiej i kupiłem nam po kawie i cheeseburgerze.

— Czyli jest coś, co ich wszystkich łączy. Coś, czego szukaliśmy cały dzień. Mateusz, pan Leopold, Jan Hołownia... — Kamila była tak podekscytowana, że aż wysiadła z samochodu i zrobiła kilka piruetów na przylegającym do fastfoodu parkingu. Wciąż miała na sobie mundur, ale na szczęście nie było tu o tej porze żywego ducha. — I ten jego brat, Maciej. Wiesz coś o nim?

Było to jedno z wielu zadanych przez nią pytań i odniosłem wrażenie, że sformułowała je odruchowo, nie przykładając większej wagi do mojej odpowiedzi. Gdy powiedziałem jej, że od wielu lat nie żyje, straciła nim zainteresowanie. Poczułem, że to błąd. Duch mojej babci szeptuchy podpowiadał mi, że zmarły brat dyrektora mógł być jednym z najważniejszych elementów tej układanki.

Ale nie powiedziałem tego na głos. Zamiast koncentrować się na Macieju Hołowni, jeszcze raz wróciłem do aspektu finansowego. Dziewczyna nie mogła zrozumieć powodów, dla których policja zupełnie zlekceważyła popołudniowe zeznania Janki. Chcąc naprawić błąd swoich kolegów, z zainteresowaniem przepisała zanotowane przeze mnie uprzednio daty i kwoty przelewów z rachunku Mateusza oraz numery kont, na które wpływały środki. Wiadomość o wypłacie osiemdziesięciu tysięcy złotych ze szkolnego konta powitała z wręcz z entuzjazmem.

— Nie gniewaj się — powiedziała, niespodziewanie gładząc mnie ręką po policzku. — To wszystko wcale nie musi uderzać w Mateusza. Może natomiast świadczyć o tym, że miał jakichś wrogów i był szantażowany.

Historię o romansie geografa skwitowała natomiast lekceważącym uśmiechem.

— Była dziś u nas ta jego pozał się Boże kochanica — westchnęła z niesmakiem. — Kompletna wariatka. Tyle gadała o wzniosłych uczuciach i wielkiej miłości, że wszystkim na komisariacie zrobiło się niedobrze. Ona ma ze sobą problem, ale dla śledztwa to zupełnie nieistotne.



— Nie jest zupełnie normalna, to fakt — potwierdziłem i gładko przeskoczyłem do tajemniczego zniknięcia pana Leopolda. Opowiedziałem o wycieczce do Popowa i wyciągnąłem z kieszeni znaleziony przeze mnie fragment okularów.

— To leżało na jego działce — poinformowałem, wręczając jej znalezisko.

— Okulary — stwierdziła w zamyśleniu.

— Tylko nie pytaj mnie, czy należały do pana Leopolda. Nie jestem zbyt spostrzegawczy. Wiem tylko, że nosił jakieś okulary, ale w jego wieku trudno byłoby się spodziewać czegoś innego.

Mówiłem jeszcze przez kilka minut, upewniając się, że niczego nie pominąłem.

— Dzięki! — powiedziała „Marchewka”, gdy wreszcie skończyłem. Przez chwilę patrzyliśmy sobie głęboko w oczy.

— Nie ma za co — stwierdziłem wielkodusznie, siorbiąc resztki kawy. — Ale skoro już wyciągnęłaś ze mnie wszystko, co wiem, to chyba jesteś mi coś w zamian winna, nie?

— A czego byś chciał? — zapytała kokieteryjnie, niby przypadkowo gładząc się po ramieniu.

Nie ze mną te numery.

— Tego samego, co ty. Informacji — powiedziałem po prostu i zacząłem strzelać pytaniami.

Z zapisu monitoringu w Biedronce wynikało, że Janka odebrała telefon od Mateusza kilka minut przed dziewiętnastą. Stało się jasne, że dzwoniąc do żony, mój przyjaciel był już wówczas po tajemniczej rozmowie, odbytej o osiemnastej w mieszkaniu Karola. Policja jeszcze nie analizowała numerów, z którymi się kontaktował w dniu swojej śmierci Mateusz, ale właściwe dane były już w drodze i jutro rano miały dotrzeć na komisariat. Wymogłem na „Marchewce”, że jeżeli analiza połączeń wniesie do sprawy coś nowego, to natychmiast zostanę o wszystkim powiadomiony.

Wykonana po południu w Zakładzie Medycyny Sądowej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego sekcja zwłok wykazała, że śmierć mojego przyjaciela nastąpiła na skutek uduszenia. Według lekarzy Mateusz zmarł w nocy z wtorku na środę, gdzieś między

dwudziestą a dwudziestą czwartą. Na jego twarzy znajdował się powstały przed śmiercią pojedynczy ślad po uderzeniu, zlokalizowany nieopodal oka. Poza nim Mateusz nie miał innych obrażeń zewnętrznych. Również wszystkie jego organy — serce, wątroba, trzustka i nerki — znajdowały się w doskonałym zdrowiu. Gdyby nie zaciśnięta na szyi pętla, geograf miał szanse dożyć setki.

W jego krwi odkryto śladową zawartość alkoholu. Za ledwie pół promila. W kontekście opowieści Karola i Joanny o hucznie świętowanych imieninach tej ostatniej była to ilość zaskakująco niewielka. Mateusz umierając, nie znajdował się w stanie wskazującym na spożycie, a butelki w miejscu jego śmierci nie zostały opróżnione przez niego. Co ciekawe, na żadnej nie znajdował się nawet pojedynczy odcisk palca. Zdaniem techników butelki te zostały dokładnie wyczyszczone. Tylko dlaczego ktoś zadawał sobie taki trud, zamiast po prostu je wynieść?

— To jest w tym wszystkim najbardziej tajemnicze i stanowi główny argument przeciwko samobójstwu — Kamila mówiła poważnym głosem, a po jej senności sprzed pół godziny nie został nawet najmniejszy ślad. — Przecież gdyby chciał się powiesić, to nie przecierałby przedtem tych flaszek.

— A czym były wycierane? Te flaszki?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

— To nie FBI. Nie jesteśmy w stanie na tym etapie zlecić tak szczegółowych badań. A zresztą po co? Co to za różnica, czego użyto do usunięcia odcisków?

Wzruszyłem ramionami. Nie chciałem jej przerywać. Z zainteresowaniem słuchałem dalszej części jej relacji z prowadzonego śledztwa.

Policja rzecz jasna zainteresowała się partnerem Janki. W końcu motywem znacznej części morderstw jest zazdrość, a zabójcami często okazują się najbliżsi. Wizerunek pana Adama Holca wcale nie był tak kryształowy, jak sugerowałyby to jego powierzchowność. Ten elegancki mężczyzna dał się poznać legionowskiej policji jako rodzinny tyran, który wielokrotnie naruszał nietykalność cielesną byłej żony, aż w końcu został przez nią wyrzucony z mieszkania. Co prawda doniesienia te

datowane były jeszcze na lata dziewięćdziesiąte, ale nie wierzyłem w to, że takie kreatury kiedykolwiek się zmieniają. Dziwiłem się Jance, że ona w to wierzyła. Aż żałowałem, że kilka godzin temu nie byłem wobec wymuskanego „pana Adama” jeszcze bardziej nieprzyjemny.

— Tfu, damski bokser — mruknąłem z pogardą.

Dosyć intensywnie obrabiany był przez policję także wątek, na który dotąd nie natrafiłem. Opowiadając o nim, policjantka odruchowo ściszyła głos.

— Te informacje pochodzą od kontaktu operacyjnego ulokowanego w urzędzie miasta — wyszeptała i zawiesiła na chwilę głos, tocząc wewnętrzną walkę. — Tylko pamiętaj, że to wszystko jest tajemnicą śledztwa. Nie wiem, dlaczego ci to mówię, ale jeżeli mnie wsypiesz, to... — Umilkła na moment. — To będziesz miał mnie na utrzymaniu, bo wylecę z pracy — dokończyła zgrabnie. Chciałem jakoś dowcipnie to skomentować, ale uniosła rękę. — Nie przerywaj mi teraz — poprosiła i nabrała w płuca powietrza, jak przed skokiem na głęboką wodę. — W dużym skrócie wygląda to tak: Mateusz był ostatnio w doskonałej komitywie z naszym prezydentem...

— Prezydentem Polski? — zapytałem zdumiony. Nie sądziłem, że coś jeszcze jest w stanie mnie aż tak zdziwić.

— No coś ty, wariacie — uśmiechnęła się, ale wciąż była spięta. To, co mówiła, musiało być ważne i... delikatne. — Z prezydentem Legionowa. Podobno prezydent namawiał go do objęcia funkcji dyrektora szkoły. A to miało się nie podobać wielu wpływowym osobom...

— Przede wszystkim obecnemu dyrektorowi — wtrąciłem. — Ale nie sądzę, by Mateusz kiedykolwiek miał takie ambicje.

— Tu nie chodzi o jego ambicje — upierała się „Marchewka”, potrząsając wojowniczo rudymi włosami. — Tu chodzi o to, czego chciał prezydent. Według tego, co mówi się w magistracie, ewentualna nominacja Mateusza miała wielu przeciwników. Sam Hołownia pewnie by nawet nie robił ceregieli, ale jego „możni protektorzy”... teraz cytuję ci treść meldunku operacyjnego... jego „możni protektorzy” byli gotowi na wszystko, byle nie zmieniać układu sił. Nie pytaj mnie dlaczego. Nie mam pojęcia, jakie profity można czerpać z posiadania na dyrektorskim

stołku „swojego człowieka”.

— Jakies tam można — powiedziałem ostrożnie, gdyż nie chciałem formułować oskarżeń bez pokrycia. — Mniejsza o to. Czyli sugerujesz, że za śmiercią Mateusza mogła stać jakaś grupa interesu, zjednoczona pod batutą dyrektora Hołowni?

— Jak mówisz to w ten sposób, to rzeczywiście brzmi to głupio, ale weź pod uwagę możliwość, że jest to tylko element większej gry. Może Hołownia osłaniał czyjeś brudne interesy, które pod rządami pana Mateusza od razu wyszłyby na jaw? Nie można zlekceważyć tej hipotezy. Wręcz nie wolno. Sprawa może być polityczna, a w takich sytuacjach musimy być szczególnie skrupulatni. Żeby nam potem nie zarzucili. Kumasz?

— Kumam, kumam — rzuciłem niecierpliwie. — Czyli prześwietlicie tych... jak ich nazywacie?

— Możnych protektorów — odpowiedziała. — Jest taki jeden biznesmen, który podobno najbardziej się ciskał. Nie znam jego nazwiska. Naprawdę nie znam. Ten wątek ma klauzulę „ściśle tajne” i jest prowadzony pod bezpośrednim nadzorem naszego komendanta.

— Dobrze, dobrze — powiedziałem uspokajającym tonem, bo w jej głosie zabrzmiały defensywne nuty. — Przecież ci wierzę. Ale jak dla mnie ten wątek wydaje się zbyt naciągany.

Polemizowaliśmy jeszcze przez chwilę i w końcu stwierdziła, że mnie nie przekona.

— Zobaczymy — podsumowała, a potem przeciągnęła się i wsiadła do samochodu. — Tomeczku, jedźmy już. Czuję, że jednak uda mi się dzisiaj zasnąć. I to zaraz — ziewnęła szeroko i przetarła nieco już mętne oczy.

Zostawiłem ją przed bramą strzeżonego osiedla. Gdy się żegnaliśmy, przytrzymała dłużej moją dłoń.

— Pamiętaj, że ci zaufałam. Nie wykorzystaj tego przeciwko mnie — poprosiła sennym głosem.

— Nie wykorzystam — obiecałem i patrzyłem jak odchodzi, lekko chwiejąc się na nogach.

Kiedy zniknęła mi z oczu, nie zwlekając wsiadłem do samochodu i po kilku minutach zatrzymałem się pod swoim na wpół zrujnowanym

bloczkiem. Na palcach wszedłem po schodach i bezszelestnie wślizgnąłem się do mieszkania. Na chwilę zatrzymałem się przy łóżeczku Antosia i odgarnąłem mu z czoła kosmyk włosów. Z czułością nasłuchiwałem, jak posapuje przez sen. Potem pochyliłem się i złożyłem mu na policzku delikatny pocałunek. Odetchnął głośniejsze i przekręcił się na drugi bok.

Miał już sześć lat i teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem potrzebował regularnych kontaktów z ojcem. Obiecałem sobie, że będę spędzał z nim więcej czasu niż ostatnio, i odchodząc od łóżeczka, poprawiłem mu kołdrę. A potem przeszedłem po omacku do swojego legowiska i ignorując dobiegające mnie zza przepierzenia odgłosy chrapania, w okamgnieniu pogrążyłem się w sennej otchłani.

## Dzień trzeci — piątek

Budzik w moim telefonie zapiszczał już po niecałych czterech godzinach. Wyłączyłem go odruchowo i przez moment zastanawiałem się, dlaczego zadzwonił tak rano. A potem przypomniałem sobie wczorajszą rozmowę z dyrektorem Hołownią i dotarło do mnie, że jeszcze przed lekcjami ma się odbyć szybkie zebranie z rodzicami uczniów, a ja — zgodnie z poleceniem przełożonego — miałem odegrać w tym wydarzeniu jedną z głównych ról. Tłumiąc przekleństwo, wypęzłem spod koca i trąc podpuchnięte oczy, powlokłem się pod prysznic. Puściłem sobie na plecy chłodną wodę i dopiero w ten drastyczny sposób udało mi się chociaż częściowo przepędzić ogarniającą mnie senność. Potem szybko się ubrałem i wepchnąłem sobie do ust połówkę suchej bułki, popijając ją letnią wodą z emaliowanego czajnika. Kiedy wychodziłem z mieszkania, moi domownicy jeszcze spali. Było kilka minut przed siódmą rano, a na dworze świeciło piękne słońce.

Aśka pozwoliła mi korzystać z samochodu, ale pewnie wybrałbym autobus, gdybym nie przypomniał sobie, że w każdej chwili może do mnie zadzwonić i poprosić, bym po nią pojechał. Wskoczyłem więc za kółko, w rekordowym tempie dotarłem do swojego miejsca pracy i zaparkowałem na niemal pustym parkingu.

— Kupiłeś sobie auto? — przywitał mnie Karol pomiędzy dwoma imponującymi ziewnięciami. Przyjechał kilkanaście sekund po mnie i zatrzymał swojego grata przy „mojej” corsie.

— Nie, to samochód mojej koleżanki — wyjaśniłem, na co zrobił wielkie oczy i zapomniał o dręczącej go senności.

— Jakiej koleżanki? — spytał odruchowo, po czym złapał się za usta. — Przepraszam — bąknął. Znał mnie wystarczająco długo, by wiedzieć, że bardzo ceniłem swoją prywatność.

— Spoko — klepnąłem go w ramię i przepuściłem przed sobą w drzwiach.

Poszliśmy do wyludnionego o tej porze pokoju nauczycielskiego. Co prawda Karol o siódmej piętnaście zaczynał zajęcia, ale stwierdził, że

zdąży jeszcze wypić ze mną szybką kawę. Usiedliśmy wygodnie w nadgryzionych przez mole fotelach, ściskając w dłoniach filiżanki z parującym napojem.

— Jak tam spotkanie z Janką? — zapytał mnie informatyk, ale nie dał mi dojść do głosu, kompletnie niezainteresowany odpowiedzią.

Tak to już z nim było. Karol zdecydowanie wolał mówić niż słuchać. Był strasznym gadułą, a już w porannych godzinach przechodził samego siebie. Nie wiedziałem, z czego wynika ta jego wczesna aktywność, i nigdy w to nie wnikałem. Jak niemal co rano siorbałem kawę, jednym uchem słuchając jego kwiecistych monologów, a drugim je wypuszczając. W pewnym momencie zdołał jednak przyciągnąć moją uwagę. Aż wyprostowałem się w fotelu. To było do tego stopnia niewiarygodne, że nie wierzyłem własnym uszom.

— Co mówiłeś? — spytałem, z zaskoczenia połykając co drugą głoskę.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Zwykle nie zakłócałem jego porannych wywodów.

— Kiedy?

— Przed momentem. O Marku. — Byłem tak zniecierpliwiony, że zakrztusiłem się kawą.

— A, o Marku. — Był czasem tak ślamazarny, że niejednokrotnie miałem ochotę złapać go za marynarkę i mocno nim potrząsnąć. Także i teraz. — Przyszedł do mnie wczoraj późnym wieczorem. Wyglądał dziwnie, tak jakby dopiero co wrócił z jakiegoś obozu survivalowego. Wiesz, wzrok dziki, suknia plugawa...

Nie wytrzymałem.

— Ty mi tu nie wyjeżdżaj z Mickiewiczem, tylko mów, co jest grane!

Spojrzał na mnie z urazą i przepłukał usta kawą.

— No przecież mówię — stwierdził flegmatycznie. — Wyglądał okropnie, cały spocony i uwalany błotem. I blady jak ściana. Wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Na zamek, wyobrażasz to sobie? Jak jakieś zaszczute zwierzę.

— I co, wytłumaczył się jakoś? — nie wytrzymałem i znów wszedłem mu w słowo.

— A gdzie tam! — Karol machnął ręką. — Przyszedł bez zapowiedzi, władował się do środka i prosto z mostu zapytał, czy może u mnie spać. Cały on, prawda? Chociaż nawet jak na niego to był gruby numer, nie?

Informatyk mówił to wszystko z rzadko spotykaną mieszaniną wesołości i oburzenia. Pokręciłem głową, gdyż nie uważałem tego za „gruby numer”. Zachowanie wuefisty wydało mi się skrajnie niepoważne. W końcu nie miał osiemnastu lat — w zeszłym roku stuknęła mu trzydziestka, a zachowywał się czasem mniej odpowiedzialnie od swoich uczniów. Stawianie kolegów w takiej sytuacji wydało mi się nie w porządku, chyba że... O tym nawet nie chciałem myśleć.

— Słuchaj, jak on stoi z finansami? — spytałem, pełen najgorszych przeczuc. — Czy znowu czegoś nie nabroił?

Problemy wuefisty z hazardem były w naszym środowisku tajemnicą poliszynela. Marek kiedyś łatwo ulegał zgubnemu urokowi ruletki i w pewnym momencie znalazł się na poważnym życiowym zakręcie. Czy z uzależnienia od hazardu tak naprawdę można się wyleczyć?

— Wydaje mi się, że nie gra — stwierdził Karol, obgryzając paznokcie. — W Legionowie nie ma kasyna, a do Warszawy nie urwał się na noc przynajmniej od kilku miesięcy. Wiedziałbym, jeżeli byłoby inaczej. Obaj byśmy o tym wiedzieli.

Miał rację. Marek po nocy spędzonej w kasynie wyglądał jak wrak człowieka. Przez ostatnie lata nauczyliśmy się w nim czytać jak w otwartej księdze. Z moich obserwacji wynikało, że od początku roku szkolnego był czysty jak łąza. Przynajmniej jeżeli chodzi o kasyna.

— A hazard w internecie? — spytałem tknięty nagłym przeczuciem. — Przecież tego świństwa jest tam na pęczki.

Karol uśmiechnął się zwycięsko.

— Nie zapominaj, z kim rozmawiasz. Jestem informatykiem — mówiąc to, klepnął się pięścią w klatkę piersiową niczym pierwszy lepszy goryl. — Pozakładałem mu na komputer i telefon takie filtry, że nie ma szans na połączenie z jakąkolwiek witryną zawierającą treści hazardowe. Internetowe kasyna, salony gier, ten cały syf... Nie ma szans



— powtórzył.

— A w szkole? — spytałem, bo wyobraźnia podsunęła mi obraz Marka przepuszczającego pieniądze na dużej przerwie w pracowni informatycznej.

Tym razem w oczach Karola zamigotało coś na kształt urazy.

— Za kogo mnie masz? — zapytał z wyrzutem. — Żaden ze szkolnych komputerów nie ma prawa połączyć się z jakąkolwiek szkodliwą witryną. Hazard, przemoc, treści pornograficzne, strony umożliwiające ściąganie filmów... To wszystko jest poblokowane. Szkolne filtry są dużo bardziej restrykcyjne niż te, które założyłem Markowi. On jest dorosły i jeżeli ma ochotę obejrzeć pornosy...

— Wierzę ci — przerwałem mu. — Poproszę bez szczegółów.

— ...to może, ale nie ma szans, by się zalogował do wirtualnego kasyna — ciągnął, wciąż lekko dotknięty. — Ani z domu, ani ze szkoły.

— I co? Rzeczywiście u ciebie spał? — wróciłem do głównego wątku rozmowy.

— Spał, ale nie zgadniesz, do której — z głosu mojego rozmówcy zniknęła uraza, wyparta przez coś na kształt rozbawienia. — Do czwartej nad ranem! Obudził mnie i powiedział, że musi już iść. Nie miałem nawet siły spytać, gdzie się wybiera o tak nieludzkiej porze. Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Dasz wiarę? A wiesz, co jest najśmieszniejsze?

Pokręciłem przecząco głową.

— Strzelaj — powiedziałem zaintrygowany.

— Ani wieczorem, ani rano nie wyczułem od niego ani kropli alkoholu. Zachowywał się, jakby wypił pół litra, a był trzeźwy jak niemowlak.

— To rzeczywiście dziwne — stwierdziłem w zamyśleniu. Do tej chwili podejrzewałem, że zachowanie Marka chociaż częściowo można było wytłumaczyć alkoholowym upojeniem.

— Prawda? — Pokiwał głową tak intensywnie, że miałem wrażenie, iż zaraz odpadnie mu od szyi i potoczy się gdzieś w kąt pokoju. Wrażenie to było tak sugestywne, że aż zamrugałem powiekami. — A kiedy go zapytałem...

Nakręcił się i mówiłby tak bez końca, ale przypomniałem mu, która jest godzina. Cicho zaklął i popędził na prowadzone przez siebie

zajęcia dodatkowe z programowania. Był spóźniony o dobre dziesięć minut, ale podejrzewałem, że dla czekających na niego uczniów nie było to nic nowego. Dokończyłem drugą kawę i stwierdziłem, że to najwyższa pora, by także porzucić swoje wygodne siedzisko. Spotkanie z rodzicami zbliżało się nieubłaganie i tylko jedno było zastanawiające. Nie miałem pojęcia, gdzie do cholery podziewał się dyrektor Hołownia. Jego stolik był pusty, a żółty kubek z napisem „dyrektor” — prezent od kogoś z podlizujących się pedagogów — stał na suszarce i od wczoraj pokrywał się kurzem. Wyrząłem przez okno, ale na parkingu nie zauważyłem nawet śladu po jego srebrnej skodzie. Znalazłem wśród kontaktów w telefonie jego numer, ale odpowiedziała mi automatyczna sekretarka. Nie wiem dlaczego, ale na dźwięk jej metalicznego głosu skoczyło mi ciśnienie.

Nie miałem pojęcia, co robić. Wyobrażałem sobie rosnący i coraz bardziej zniecierpliwiony tłumek rodziców w naszej sali gimnastycznej i zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Nie chciałem zaczynać bez niego. To on w końcu był dyrektorem i to z nim przyszli się spotkać rodzice. Gdzie on się podziewał? Zaspał? Taka niesolidność był do niego niepodobna.

W pokoju nauczycielskim było tylko kilka osób. W piątki mało kto miał pierwszą lekcję, więc większość kadry meldowała się na obowiązkowej kawie dopiero około ósmej trzydzieści. W tej chwili oprócz mnie w pomieszczeniu przebywali tylko chemiczka Aldona i młody anglista Marcin, ten, który znalazł na ostatnim piętrze szkoły okulary Mateusza, co w konsekwencji doprowadziło do odkrycia przez nas jego ciała. Całą trójką solidarnie trwaliśmy w milczeniu, wymieniając jedynie słowa powitania. Po wczorajszej rozmowie Aldona wyglądała na obrażoną. Obrzuciła mnie jednym gniewnym spojrzeniem i postanowiła ignorować, rozpamiętując pewnie ten feralny wyjazd do Szklarskiej Poręby. Nie miałem nic przeciwko jej milczeniu — wręcz przeciwnie, czułem wdzięczność, że nie męczyła mnie dzisiaj swoimi zmiennymi nastrojami. Z kolei z młodym anglistą nigdy jakoś nie złapałem wspólnego języka i we wzajemnych relacjach wystarczało nam zazwyczaj krótkie „cześć”.

Z zachowania moich milczących towarzyszy nie wynikało, by

szykowali się na jakiegokolwiek spotkanie z rodzicami. Z irytacją skonstatowałem, że prawdopodobnie nie mieli o nim bladego pojęcia. Zrozumiałem, że mój aktywny udział w wylewaniu chłodnej wody na rozpalone głowy rodziców miał być pokutą nałożoną przez dyrektora za wczorajszy przeciek do prasy. W tym kontekście jego dzisiejsza nieobecność była tym bardziej zastanawiająca.

Kiedy wahałem się, co zrobić, drzwi do pokoju nauczycielskiego otworzyły się raptownie i stanął w nich wuefista. Podszedłem do niego natychmiast, ale zanim zdążyłem go o cokolwiek zapytać, pociągnął mnie w kąt pokoju.

— Co się tam dzieje? — zapytał szeptem, osłaniając usta dłonią.

Sprawił wrażenie trochę zdenerwowanego, ale na próżno szukałem na jego twarzy śladów po nocnych przeżyciach. Wyglądał zupełnie normalnie. Tak normalnie, jak wyglądałbym ja po nocy spędzonej na sofie w mieszkaniu Karola.

— Nie bój się, na pewno nie potrafią czytać z ruchu warg — powiedziałem, nawiązując do jego uniesionej do ust dłoni.

Posłał mi ciężkie spojrzenie.

— Ty sobie głupio nie żartuj, tylko gadaj, co kilkadziesiąt dorosłych osób robi na mojej sali gimnastycznej — wyszeptał gorączkowo, a jego oczy wyrażały skrajne zaniepokojenie. — Stało się coś?

— Jeszcze nie, ale zaraz się stanie — stwierdziłem, po czym opowiedziałem mu o pomysle dyrektora, nie pomijając tego, że jak dotąd nie pojawił się w szkole. — Chodź — podjąłem w końcu jedyną możliwą decyzję. — Jak ktoś do nich zaraz nie wyjdzie, to wybuchną zamieszki.

Nie bez oporów, ale udało mi się go przekonać do wspólnego wystąpienia. Ścigani zaintrygowanym spojrzeniem młodego anglisty wyszliśmy z pokoju i szybkim krokiem podążyliśmy na parter. Kilka kroków przed wewnętrznym wejściem na salę — bo można się było na nią dostać także bezpośrednio z dworu i tak zrobiła z pewnością większość rodziców — zatrzymał nas w miejscu nieco histeryczny głos.

— Panie Tomaszu, panie Marku! Zaczekajcie!

Głos należał do naszej wicedyrektorki, więc nie mogliśmy go

zignorować. Niechętnie stanęliśmy w miejscu i odwróciliśmy się w jej stronę. Szła w naszym kierunku tak szybko, że wydawało się, iż biegnie.

— Dzień dobry, pani dyrektor — wypaliliśmy jak na komendę, ale nawet nie odpowiedziała.

— Jak to dobrze, że panowie tam idziecie — wysapała, zatrzymując się kilka kroków od nas i łapiąc się za serce. — Poradzicie sobie sami? Ja naprawdę nie mam zdrowia to takich rzeczy.

Nie wiedziałem, co rozumiała pod pojęciem „zdrowie”, ale wyglądała rzeczywiście kiepsko. Z jej głosu, sposobu mówienia i rozszerzonych źrenic wprost biło zdenerwowanie. Indycza szyja pulsowała rytmicznie i miałem wrażenie, że jak tak dalej pójdzie, to zabierze ją stąd pogotowie. Przechodząca obok dwójka uczniów obejrzała się na nią z wyraźną obawą w oczach i natychmiast przyspieszyła kroku.

— Spokojnie, poradzimy sobie — powiedział łagodnym głosem Marek. Uwielbiał uchodzić za twardziela i miał właśnie swoją chwilę chwały. — Niech pani idzie sobie do pokoju nauczycielskiego i niczym się nie martwi. Już my sobie z nimi porozmawiamy.

Odniosłem wrażenie, że mój kolega nie wiedział, iż spotkanie zorganizowane zostało wyłącznie w celach informacyjnych. Z doboru słów oraz tonu jego głosu wynikało, że chciał urządzić rodzicom połajankę. Dyrektorka, chociaż niemiłosiernie zdenerwowana, również to dostrzegła. Spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem.

— Panie Tomeczku, pan wie, co powiedzieć, prawda? Dyrektor Hołownia mówił mi... — urwała i znów złapała się za serce.

— Tak, rozmawialiśmy o tym wczoraj — przyznałem i przywołałem gestem Karola, który wyłonił się właśnie z jednej z klas. — Proszę się już nie denerwować. Kolega odprowadzi panią do pokoju nauczycielskiego. Wygląda pani naprawdę kiepsko.

Karol ujął ją pod ramię, krzywiąc się za jej plecami i posyłając mi nieprzychylnie spojrzenie. Wcale mu nie współczułem. Sto razy wołałbym niańczyć wicedyrektorę, niż stawiać czoła rozemocjonowanym rodzicom. Ale klamka już zapadła. Żegnany wypowiedzanymi słabym głosem radami pani Klaudyny („tylko jak najmniej szczegółów! suche fakty!”), wkroczyłem do sali gimnastycznej

i wspiąłem się na podest. Obok mnie stanął Marek. Kątem oka dostrzegłem, że jak zawsze przy takich okazjach przyjął swoją minę gladiatora.

Nie lubiłem rozmów z rodzicami uczniów. W pierwszym roku swojej pracy prawie każdą wywiadówkę przypłacałem bólem żołądka i bezsennością. Od tego czasu trochę się uodporniłem, ale przed tak licznym audytorium jeszcze nie występowałem.

Oczywiście nie chodziło tu o niechęć do publicznych wystąpień. Występowałem przecież codziennie przed dziesiątkami wpatrujących się we mnie dzieciaków, więc wygłoszenie kilkunastu zdań przed dowolnej wielkości tłumem było dla mnie bułką z masłem. Chodziło o nastawienie rodziców do reprezentantów mojej profesji. Zawód nauczyciela cieszył się szacunkiem u niemal wszystkich — z wyjątkiem tych, którzy akurat posyłali do szkoły swoje dzieci.

Nie wiedziałem, z czego to wynikało. Być może o niechęci do naszej grupy zawodowej decydowało w niektórych przypadkach nadmiernie rozrośnięte ego, które kazało rodzicom wierzyć, że wszystko wiedzą lepiej od innych. W części przypadków przyczyną braku sympatii do nauczycieli były na pewno własne negatywne doświadczenia z przeszłości, a czasami o braku pomostu pomiędzy pedagogami a rodzicami decydowała źle pojęta miłość tych drugich do swoich pociech, przejawiająca się w bezkrytycznej akceptacji wszystkich ich zachowań — nawet tych niepożądanych. Rodzice na ogół woleli wierzyć swoim dzieciom niż nauczycielom i chętnie kreowali różnej maści teorie spiskowe, według których szkolnictwo było zacofane, a nauczyciele przypominali skostniałe dinozaury, zbyt mało wrażliwe, by poznać się na ich słodkim szesnastoletnim maleństwie, które „jest trochę niesforne, ale ma przecież dobre serduszko”.

Nie lubiłem rozmów z rodzicami, bo drażniła mnie ludzka głupota, która w takich rozmowach gościła częściej, niż mogłoby się wydawać. Nie zrozumcie mnie źle, na wywiadówkach poznałem całą masę wspaniałych ludzi o szerokich horyzontach i obiektywnej ocenie sytuacji. Niestety ci ludzie, choć było ich dużo, znajdowali się w zdecydowanej mniejszości. Typowy rodzic, wraz ze swoją roszczeniową postawą, poczuciem wyższości i przeświadczeniem, że

szkoła ma obowiązek naprawić jego błędy wychowawcze, wywoływał u mnie obrzydzenie i sprawiał, że zgrzytałem zębami.

Nie znosiłem takich spotkań, ale cóż mogłem poradzić. Stałem przed rozgadany tłumem i podniosłem rękę, prosząc o uwagę. Wśród zgromadzonych obok tłumy lekko zniecierpliwionych rodziców dostrzegłem mnóstwo znajomych twarzy uczniów, a także kilkoro nauczycieli. Uśmiechnąłem się do germanistki Ali Miller i — w związku z tym, że nie miałem mikrofonu — poprosiłem o absolutną ciszę.

— Nazywam się... — wymieniałem swoje nazwisko i powiedziałem, że od blisko pięciu lat jestem tu nauczycielem historii. — Reprezentuję w tym miejscu dyrektora naszego liceum, pana Jana Hołownię, który nie mógł się dziś pojawić, gdyż zatrzymały go ważne obowiązki związane z wydarzeniami, o których chciałbym państwu opowiedzieć — ciągnąłem, improwizując. — Dwa dni temu, podczas rady pedagogicznej, wraz z kilkoma kolegami znalazłem w jednym z pomieszczeń ciało nauczyciela naszej szkoły, pana Mateusza Kownackiego. Śledztwo w sprawie tej śmierci prowadzone jest przez policję, w związku z czym to, co powiem, należy traktować tylko w kategoriach naszych przypuszczeń. Otóż naszym zdaniem pan Kownacki został zamordowany i według naszej wiedzy nastąpiło to w nocy z wtorku na środę.

W sali gimnastycznej było cicho jak makiem zasiał. Spodziewałem się bardziej żywiołowej reakcji, ale rodzice milczeli jak zakłęci, przetrawiając zaserwowane przeze mnie informacje. Oczywiście to, co mówiłem, nie było dla nich żadną nowością. Wszyscy z pewnością czytali tekst autorstwa Aśki i całą masę innych tekstów napisanych nieco później. Ale co innego o czymś czytać, a co innego słuchać o tym z ust niemal naocznego świadka. Zdając sobie sprawę z wagi mojego wystąpienia, chciałem ograniczyć je do kilku zdań. Byłem mniej więcej w połowie.

— W szkole doszło do strasznej tragedii. Zarówno państwa dzieci, jak też my, nauczyciele, jesteśmy wstrząśnięci i ciężko nam się po tym wszystkim pozbierać. Niezależnie od tego, co napiszą w najbliższych dniach żadne taniej sensacji media, mogę państwa zapewnić, że Mateusz był wspaniałym człowiekiem. Uczciwym, pogodnym, kochającym swoją

pracę i nauczany przedmiot, czyli geografię. Choć nigdy już nie poprowadzi żadnej lekcji, to pamięć o nim pozostanie w naszych sercach na zawsze. Ale nie zapraszaliśmy tu państwa po to, by mówić o rzeczach oczywistych.

Zrobiłem pauzę, aby jeszcze bardziej przykuć ich uwagę, choć chyba nie było to potrzebne. Chłonęli każde moje słowo z otwartymi ustami. Zastanawiałem się przez moment, czy w kilkudziesięcioletniej historii szkoły słuchano kogoś z taką uwagą, jak w tej chwili mnie.

— Zaprosiliśmy tu państwa — podjąłem — w tylko jednym celu. Chciałbym w imieniu wszystkich nauczycieli zapewnić państwa, że mimo tej tragedii w pełni panujemy nad sytuacją i państwa dzieciom nie grozi w szkole żadne niebezpieczeństwo. Wierzymy, że zabójstwo Mateusza było jednorazowym nieszczęściem, i liczymy, że policja szybko ujmie sprawcę. A do tego czasu — uniosłem rękę w geście przysięgi — chciałbym państwu obiecać, że razem z kolegami i koleżankami będziemy mieli oczy i uszy szeroko otwarte i przy najmniejszych oznakach zagrożenia zareagujemy w taki sposób, by zapewnić wszystkim dzieciom maksymalne bezpieczeństwo.

Zamilkłem, czując zadowolenie, że wszystko odbyło się spokojnie i bezproblemowo. Jeszcze przez chwilę stałem i wpatrywałem się w tłum, ale wszyscy wciąż trwali w milczeniu. Skłoniłem głowę i chciałem zeskoczyć z podestu, ale się okazało, że to wcale nie koniec. Z sali dobiegło mych uszu pierwsze, nieśmiałe pytanie.

— Czy szkoła nie zostanie na pewien czas zamknięta? — zapytał jakiś siwiuteńki mężczyzna w okularach, który bardziej niż na ojca wyglądał na dziadka.

— Na tę chwilę uważamy, że nie ma takiej potrzeby — odpowiedziałem pewnym głosem.

Moja pewność była udawana. Nie otrzymałem żadnych instrukcji, tak więc mówiłem to, co uznawałem za słuszne. Nawet jeżeli chlapnąłbym coś głupiego, to nikt nie powinien mieć do mnie pretensji. A już na pewno nie Hołownia. Skonstatowałem, że dyrektor mógł mieć pretensje co najwyżej do samego siebie. Nikt mu nie kazał zostawiać mnie z tym pasztetem zupełnie samego.

Drugie pytanie zadała otyła kobieta z tlenionymi włosami. Znałem

ją z wywiadówek. Na co dzień nie miała awanturniczego zacięcia, ale widocznie tak podziałało na nią większe niż zwykle audytorium.

— A ja chciałabym się dowiedzieć — zaczęła ze swadą, nadymając się jak wypełniony wiatrem żagiel — dlaczego o śmierci tego nauczyciela my, rodzice, dowiedzieliśmy się dopiero z gazety? I jakim prawem szkoła schowała w tej sytuacji głowę w piasek?! — Nakręcała się z każdym słowem, tak że ostatnie wyrazy zostały przez nią niemal wykrzyczane.

Marek poruszył się niespokojnie. Widziałem, że ma ochotę dosadnie jej odpowiedzieć, i lekko się zaniepokoiłem. Instykt podpowiadał mi, że — jak mawiał klasyk — tylko spokój może nas uratować. Spojrzałem mu w oczy i pokręciłem przecząco głową. Miałem nadzieję, że zdołał mnie zrozumieć i będzie trzymać swój wybujały temperament na wodzy.

— Proszę pani, a jak to sobie pani wyobraża? Mieliśmy zwołać konferencję prasową czy co? — Zawiesiłem na chwilę głos, obserwując, jak z kobiety schodzi powietrze. — Nie było fizycznej możliwości, by zawiadomić państwa od razu. Uznaliśmy, że poinformujemy państwa o śmierci pana Kownackiego dzisiejszego poranka. Niestety plany pokrzyżowały nam media, natomiast uważam, że wczorajsza decyzja o braku przekazywania tej informacji uczniom była słuszna. Chcieliśmy najpierw zawiadomić państwa, a że wyszło jak wyszło... Cóż, to już nie jest wina szkoły.

„Tylko co najwyżej moja...” — dokończyłem w myślach, bardzo rad, że nikt z rodziców nie wie, iż to ja byłem źródłem przecieku.

Miałem nadzieję, że udało mi się stłumić w zarodku wszelkie dyskusje, ale okazało się, że pytanie otyłej blondynki było kamyczkiem, który wywołał lawinę. Nabożna cisza odeszła do przeszłości, wyparta przez narastający szum. Z tego szumu co i raz podnosiły się pojedyncze, napastliwe głosy, wykrzykujące coraz bardziej absurdalne pytania.

— Dlaczego w szkole po tym wszystkim nie ma patroli policji? — darł się otyły mężczyzna, którego głowę zdobił pretensjonalny kaszkiet.

Popatrzyłem na niego ze znużeniem, w ostatniej chwili zwalczając w sobie chęć posłania go do diabła.



— To pytanie nie do nas, tylko do policji — odpowiedziałem możliwie spokojnym głosem, ale już w połowie zdania uświadomiłem sobie, że nikt mnie nie słuchał. Znaczna część rodziców spokojnie skierowała się do wyjścia, ale kilkanaście osób udało się w przeciwnym kierunku i otoczyło podest, na którym stałem. — Proszę państwa, stanowczo apeluję o zachowanie spokoju. Porozmawiajmy jak dojrzały ludzie — nawoływałem, ale bezskutecznie. Zupełnie jakbym rzucał grochem o ścianę.

W moją stronę posypały się okrzyki wyrażające niechęć do systemu szkolnictwa i poszczególnych pedagogów, brak zaufania do policji oraz lęk o bezpieczeństwo uczniów — lub wszystkie te emocje razem. Rodzice, którzy zgromadzili się pod podestem, reprezentowali dwojaki typ osobowości. Część z nich była histerykami, tracącymi wszelkie hamulce w każdej stresującej sytuacji. Druga zaś część — nieco większa od pierwszej — skupiała typowych piniaczy, szczęśliwych tylko wtedy, gdy komuś coś zarzucali. Przez chwilę nie mogłem się zdecydować, która z tych grup bardziej działa mi na nerwy. Najchętniej zamknąłbym je obie w psychiatryku.

— Dlaczego nie ogłosiliście tego od razu?! — krzyczał mężczyzna w kraciastej koszuli. Z jego oczu wyzierało szaleństwo, a na usta wystąpiła mu piana. — Płacimy na was podatki, więc chyba mamy prawo oczekiwać choćby minimum lojalności...

— Nie ogłosiliśmy niczego od razu, bo tak naprawdę nic jeszcze nie wiedzieliśmy. A poza tym nie życzyła sobie tego policja. Czy mógłby pan się trochę cofnąć? Narusza pan moją prywatną przestrzeń...

— To pan narusza moją przestrzeń! — wrzasnął inny mężczyzna, stojący kilka metrów dalej. Zarzut był tak absurdalny, że tylko z najwyższym trudem powstrzymałem się od śmiechu.

— Jeżeli nie mają państwo więcej pytań... — zacząłem, ale w słowo weszła mi zapłakana kobieta.

— Czy naprawdę gwarantuje pan, że mojemu Kubusiowi nic nie grozi? Może lepiej, by przez parę dni został w domu? — załkała w chusteczkę, a potem wydmuchała w nią nabrzmiały nos.

— Mogę pani obiecać, że pani syn będzie bardziej bezpieczny w szkole niż gdyby został w domu — stwierdziłem, walcząc

z rozbawieniem. Jej „Kubuś”, osiemnastoletni dryblas o zaroście mocniejszym od mojego, stał kilkanaście metrów z tyłu i z zakłopotaniem patrzył pod nogi. Jego trzech kolegów pokładało się ze śmiechu. — Uważam, że jeżeli w mieście grasuje morderca, to szkoła jest dla uczniów najbezpieczniejszym miejscem. Jest tu nas dużo i każdy ma szeroko otwarte oczy... — mówiłem w ten sposób przez chwilę i udało mi się przekonać wszystkich histeryków i znaczną część peniaczy.

Przy podeście pozostało zaledwie kilka osób. Sala stopniowo pustoszała — rozchodzić zaczęli się nie tylko pozostali rodzice, ale także uczniowie. Ci ostatni byli wyraźnie rozczarowani. Spodziewali się smakowitej awantury, a byli świadkami co najwyżej niezbyt błyskotliwej pyskówki. Ostatnią próbę zaognienia sytuacji podjął ogolony na łyso mężczyzna w poplamionym dresie, który nie bawiąc się w subtelności, rzucił w moją stronę kilka ordynarnych przekleństw.

— Chcesz w ryj? — spytał go grobowym tonem Marek, ale zanim zdążyłem podjąć się mediacji, agresywny dresiarz zapadł się pod ziemię.

— Dzięki za pomoc — klepnąłem wuefistę w ramię i zeskoczyłem z podestu.

Skierowałem się wprost do drzwi, ale drogę zastąpił mi mężczyzna w eleganckim garniturze. Zdobiały jego szyję złoty łańcuch pasował do tego garnituru jak kwiatek do kożucha.

— Chciałbym zająć panu chwilę — powiedział tonem, który wskazywał, że przywykł do wydawania poleceń. — Przejdziemy się?

— Ale tylko parę kroków. Zaraz zaczynam lekcję.

Zrobił gest, jakby chciał ująć mnie pod ramię, ale natychmiast się odsunąłem. Nie lubiłem protekcyjnego traktowania. Wyciągnięta w moją stronę ręka opadła, a w oczach mężczyzny zamigotało coś dziwnego. Byłem przekonany, że chce porozmawiać o zabójstwie Mateusza, dlatego jego słowa na początku bardzo mnie zdziwiły.

— Miał pan wczoraj przykrą sytuację z moim synem — powiedział mężczyzna, wpatrując się we mnie intensywnie. — Na pewno pan pamięta.

Pod wpływem jego wzroku poczułem się niezręcznie. Coś było z nim nie tak. Z pozoru wyglądał na zupełnie spokojnego, ale przy

blizszej obserwacji wrażenie to pryskało niczym bańka mydlana. Pod gładko ogolonymi policzkami cały czas ruszały się żuchwy, a usta miał zaciśnięte tak mocno, że przypominały bezkrwistą kreskę.

Założył, że powinienem o czymś pamiętać, ale ja miałem pustkę w głowie.

— Bardzo mi przykro... — zacząłem, ale nie dał mi skończyć.

— Nie pamięta pan? — spytał tonem, który mi się nie spodobał.

— Naprawdę pan nie pamięta spięcia z moim synem? To ja panu przypomnę — uśmiechnął się, ale jakoś tak paskudnie. Czułem, jak w mojej głowie rozdzwoniły się alarmowe dzwoneczki.

Mężczyzna skojarzył mi się z napiętym do granic wytrzymałości łukiem. Obawiałem się, że jeżeli powiem coś niewłaściwego, to skończy się to pęknięciem cięciwy. Nie wiedziałem tylko, co będzie dalej. Czy mężczyzna się rozplacze? Albo się na mnie rzuci? Oba scenariusze nie były zachęcające. Na sali wciąż znajdowali się uczniowie. Nie chciałem, by byli świadkami kolejnego cyrku.

Dlatego starałem się mówić jak najbardziej ugodowym tonem.

— Chyba wiem, do czego pan nawiązuje — stwierdziłem, gdyż nagle doznałem olśnienia i w rysach twarzy nieznajomego odnalazłem o dwadzieścia lat starsze odbicie blondyna, który nazwał wczoraj Mateusza frajerem i został spoliczkowany przez niższego o dwie głowy kolegę. — Pana syn rzeczywiście zachował się niestosownie. Liczę, że pan z nim porozmawia.

Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się we mnie w milczeniu. Zastanawiałem się, o co mu chodzi. Chciał przeprosić? Tylko dlaczego tak długo szukał odpowiednich słów?

Zagadka wyjaśniła się po kilku sekundach. Tu nie chodziło o przeprosiny.

— Mój syn zachował się niestosownie?! — podniósł głos ojciec blondyna, ściągając na nas zaciekawione spojrzenia uczniów. — A jak zachował się pan?! Jak pan mógł w ogóle dopuścić do bójki w czasie lekcji?! Kto w ogóle zrobił takie zero nauczycielem? Takiego kurdupła...

Nieco się zirytowałem. Nie miałem problemów ze swoimi stu siedemdziesięcioma trzema centymetrami, ale nie mogłem dopuścić, by

obrażał mnie przy uczniach. To podrywało autorytet.

— Skończył pan? — przerwałem mu w połowie zdania. — To proszę natychmiast opuścić szkołę.

Nie spodziewałem się, że mój apel odniesie jakiś skutek, i niestety miałem rację. Zmniejszył dystans i oparł palec o moją klatkę piersiową.

— Nie będziesz mi mówił, co mam robić — płynnie przeszedł ze mną na ty. — Ja cię nauczę...

— To ja tu uczę — wtrąciłem się w jego dopiero co rozpoczętą tyradę. Chociaż wiedziałem, że mój komentarz zaogni już i tak napiętą sytuację, to nie mogłem go sobie darować. — Proszę, niech się pan uspokoi — dodałem pojednawczo, ale mój głos był głosem wołającego na puszczy.

Mężczyzna zupełnie stracił nad sobą panowanie. Chwycił mnie obiema rękami za koszulę i szarpnął tak mocno, że omal nie straciłem równowagi.

— Nie pyskuj, baranie! — wrzasnął, opryskując mnie śliną.

Zależało mi, by znaleźć się poza zasięgiem wzroku uczniów. Usiłowałem się wyrwać, ale trzymał mnie tak mocno, że groziło to rozerwaniem koszuli.

— Przejdźmy do jednej z klas i spokojnie pogadajmy — zaproponowałem, ale pokręcił głową i wbił we mnie groźne spojrzenie.

— Nie będę z tobą gadał — wycedził, zaciskając łapska na mojej koszuli. — Masz przeprosić mojego syna! Zaraz. I to przy świadkach!

Szarpnąłem się dwukrotnie, ale od dalszych wysiłków powstrzymał mnie odgłos prutego materiału. Naprawdę lubiłem tę koszulę.

— To niestety nie będzie możliwe — powiedziałem spokojnie.

Wokół nas zebrał się tłumek uczniów, ale żaden nie zareagował. Przysłuchiwali się naszej wymianie zdań, łakomie oblizując wargi. Przypominali hieny czekające na rozlew krwi. To także ze względu na nich przestałem się szarpać i postawiłem na spokój. Na mojego oponenta podziałało to niczym oliwa dolana do ognia.

— Taki jesteś cwaniaczek? Tak samo jak ten twój Mateusz... I gdzie on teraz jest, co? Fikał, fikał i się w końcu dofikał — zarechotał prowokacyjnie i tylko jego oczy pozostały zimne.

Na moment się zagotowałem, ale nie chciałem się z nim bić. Przymknąłem na chwilę oczy i zdołałem powściągnąć rodzące się we mnie instynkty. Machnąłem ręką na koszulę i zgrabnym balansem ciała uwolniłem się z uchwytu, zostawiając w jego dłoniach swój kołnierzyk.

— Nie chce mi się z tobą gadać, degeneracie — powiedziałem z obrzydzeniem i odwróciłem się na pięcie.

Przez jakiś czas stał bez ruchu, zaskoczony łatwością, z jaką mu się wywinąłem. A potem doskoczył do mnie i próbował złapać za gardło. Wywinąłem mu się bez trudu i w sekundę znalazłem się za jego plecami.

— Słyszałeś, co powiedziałem? — szepnąłem mu do ucha, wykręcając jego lewą rękę. Zrobiłem to tak dyskretnie, że nikt niczego nie zauważył. — Wynoś się stąd — dodałem, a on syknął z bólu i spuścił wzrok.

Puściłem go, ale nie zdążyłem zrobić dwóch kroków, gdy znów mnie zaatakował.

Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się z jego strony dalszej agresji. Pokazałem mu, że nie ma ze mną żartów, i udało mi się go przy tej okazji nie upokorzyć. Sądziłem, że odejdzie bez słowa, ale nie doceniłem stopnia jego upośledzenia. Jego pięść pomknęła z olbrzymią prędkością ku mojej głowie, a ja zorientowałem się w sytuacji dopiero wtedy, gdy znajdowała się kilka centymetrów od celu.

Ostrzegło mnie zbiorowe westchnienie, które wydobyło się z piersi kilku wciąż obserwujących nas uczniów. Atak nadchodził od strony moich pleców, więc musiałem działać po omacku. Przeniosłem cały ciężar ciała na lewą nogę i błyskawicznie ją ugiąłem. Pięść, która miała ugodzić mnie w tył głowy, musnęła jedynie moje ucho. W kontrolowany sposób upadłem i przetoczyłem się po parkiecie, a potem szybko się uniosłem. Z boku musiało wyglądać to tak, jakbym został znokautowany. Powietrzem wstrząsnął pojedynczy kobiecy pisk, do którego niemal od razu przyłączyło się kilka innych głosów. Wszystkie zgodnym chórem wzywały pomocy.

Odnalazłem wzrokiem nadpobudliwego rodzica. Stał kilka metrów ode mnie i ze zdziwieniem wpatrywał się w swoją wciąż zaciśniętą pięść. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób nie zdołał mnie trafić. Wyglądał komicznie, ale był niebezpieczny. Zastanawiałem się, w jaki

sposób go obezwładnić, aby nie wzbudzać niepotrzebnej sensacji.

W tym momencie na scenę wydarzeń wkroczył Marek. Przebywał w innej części sali i jego uwagę przykuł dopiero dziewczęcy pisk. Wyglądał jak gladiator. Jego szeroka klatka piersiowa unosiła się niczym kowalski miech, a oczy rzucały wokół groźne błyski.

— Co tu się dzieje? — zapytał, patrząc na zgromadzony tłumek, który zaczął zdradzać pierwsze objawy hysterii.

— On uderzył pana od historii — roztrzęsiona dziewczyna z Ic wskazała drżącym palcem na wciąż zaskoczonego rodzica. — I przedtem mówił brzydkie rzeczy o profesorze Kownackim — dodała i zniknęła w tłumie, nie chcąc dalej wcielać się w rolę skarżypyty.

Marek potoczył wokół ponurym wzrokiem. Jego oczy zatrzymały się na mnie.

— Nic ci nie jest? — zapytał, a gdy pokręciłem przecząco głową, odwrócił się do rodzica. — Wychodzimy! — rozkazał i chciał złapać go za ramię.

Spóźnił się o ułamek sekundy. Mężczyzna wyglądał tak, jakby wstąpił w niego diabeł. Błyskawicznie odskoczył od Marka i nie zważając na coraz liczniejsze audytorium, ruszył w moją stronę.

— Ja cię nauczę! — warknął i rzucił się na mnie z pięściami.

Nie zdążyłem nawet zareagować. Marek dopadł do niego niczym tygrys i wyprowadził modelowy prawy prosty, który z głośnym plaśnięciem wylądował na szczęce napastnika. Mężczyzna usiadł ciężko i przez chwilę wyglądał na kompletnie zamroczonego. W sali rozległy się kolejne okrzyki, które zlały się w jeden przeciągły wrzask. Atmosfera osiągnęła temperaturę wrzenia.

Ale najbardziej rozemocjonowanym człowiekiem w zasięgu wzroku był Marek. Wyglądał tak, jakby miał zaraz zionąć ogniem.

— Ty...! — pochylił się nad agresywnym rodzicem i zakwestionował jego heteroseksualizm. — Z pięściami na kalekę?! Ja ci dam...

— Wychodzimy — zareagowałem natychmiast, uprzedzając kolejne ciosy Marka.

Chwyciłem mężczyznę za ramię i pociągnąłem go w kierunku drzwi prowadzących na dwór. Wuefista poniechał myśli o przerobieniu

napastnika na siekany kotlet i złapał go z drugiej strony. Po kilku sekundach opuściliśmy salę gimnastyczną i znaleźliśmy się na powietrzu. Krótkim poleceniem powstrzymałem podążający za nami tłum, zamknąłem drzwi i przekręciłem tkwiący w zamku klucz. Młodzież natychmiast zajęła miejsca przy oknach, nie chcąc stracić ani sekundy widowiska. Ale przynajmniej nie mogli nas usłyszeć.

Mężczyzna, pod którego okiem widać było zaczerwienienie, wkrótce mające przejść w piękny, fioletowy siniak, obrzucił nas stekiem grózb i wyzwisk.

— To skandal! Zaraz zadzwonię na policję! — awanturował się, zapominając, że to on zaczął tę całą jatkę.

— Niech dzwoni — powiedział do mnie Marek. — Cała sala objęta jest systemem monitoringu. Sam go rano uruchamiałem, wszystko się nagrało. I to w jakości HD.

Te słowa nieco ostudziły entuzjazm mężczyzny. Przestał wspominać o policji.

— Już ja sobie porozmawiam z waszym dyrektorem o porządkach, które panują w tej szkole — zagroził. — Już on wam się dobierze do tyłków...

W tym momencie zabrzmiał dzwonek. Przypomniałem sobie, że mam lekcję z IIB, i szybko się oddaliłem. Gdy znikalem we wnętrzu budynku, moich uszu dobiegło pojedyncze przekleństwo, które w założeniu miało być chyba pożegnaniem. Agresywny rodzic szybkim krokiem udał się na parking, a rozbawiony Marek dogonił mnie na szkolnym korytarzu.

— Dzięki — powiedziałem, a on tylko uśmiechnął się skromnie. Zobaczyłem, że jego ubranie wygląda jak wyciągnięte psu z gardła, i to przypomniało mi o opowieści Karola. — Ty, dlaczego nie spałeś dziś w domu?

Zmarkotniał i zaczął coś kręcić.

— Pogadamy później — powiedział wreszcie i zniknął w toalecie.

Przyspieszyłem kroku i dotarłem do swojej klasy dwie minuty po dzwonku. Uczniowie byli już w środku — i to nie sami. Przy tablicy stała wciąż zestresowana wicedyrektorka oraz Kaśka Sulej, polonistka o pretensjonalnym głosie.

— To co, poradzisz sobie, Kasiu? — Słowa te były skierowane do polonistki. Odniosłem wrażenie, że zostały wypowiedziane przez wicedyrektorkę na mój widok. I nie myliłem się. — Panie Tomku, a pana zapraszam ze sobą — oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu i nie oglądając się za siebie, opuściła pracownię historyczną.

Rad nierad poszedłem za nią. O dziwo, nie skierowała się ani do pokoju nauczycielskiego, ani do swojego gabinetu, tylko zaprosiła mnie do pustej klasy na końcu korytarza.

Gdy weszliśmy do środka, zamknęła drzwi na zamek i wybuchła płaczem. Nie wiedziałem, jak się zachować.

— Spokojnie, przecież w sali gimnastycznej wszystko skończyło się dobrze — powiedziałem, ale okazało się, że miała zupełnie inne powody, by płakać.

— Dzwonili z policji — wychlipała. — Nasz dyrektor został nad ranem zatrzymany pod zarzutem morderstwa.

Byłbym równie wstrząśnięty, jak ona. Pewnie też nie wyglądałbym lepiej. Ale przecież kiedy w nocy wymieniałem się informacjami z Kamilą, mówiła mi o podejzeniach dotyczących osoby dyrektora. Wtedy ją wyśmiałem, a teraz... Teraz przede wszystkim nie mogłem dać po sobie poznać, że wiadomość o zatrzymaniu pryncypała wcale nie była dla mnie gromem z jasnego nieba. Wszak obiecałem policjantce dyskrecję.

— Słucham? — spytałem może zbyt głośno, ale chyba byłem wiarygodny, bo... przytuliła mnie do piersi. Wyglądała na kompletnie załamana. — Nasz dyrektor... Dlaczego? — byłem marnym aktorem, ale znajdowała się w takim stanie, że ukrycie przed nią prawdziwych emocji nie stanowiło dla mnie większego problemu.

Przez chwilę zastanawiała się, czy może mi zaufać. Najwyraźniej zdecydowała w końcu, że jednak tak. Jej znajomość natury ludzkiej była zaskakująco wąta.

— Podobno wiedział już wcześniej, gdzie ukryte było ciało, i specjalnie posłał tam po krzesła tego chłopaka od angielskiego — powiedziała, ocierając łzę. — Według policji jego motywem miała być rywalizacja o stanowisko. Wyobraża pan sobie? Mateusz i stołek dyrektora... Absurd.



Używała tego samego argumentu, którego użyłem wczoraj w rozmowie z Kamilą. Chyba nie wiedziała nic o „możnych protektorach” z meldunku operacyjnego. Ale nie to mnie teraz zastanawiało. Myślałem o tym, dlaczego Marcin Wysocki — czyli w nomenklaturze wicedyrektorki „ten chłopak od angielskiego” — poszedł po krzesła akurat do kanciapy, skoro w klasach sąsiadujących z pokojem nauczycielskim miał do dyspozycji setki innych krzeseł. I to nie myślałem o tym pierwszy raz. Coś tu rzeczywiście śmierdziało.

Pani Klaudyna wyglądała jak strzęp człowieka, ale postanowiłem jej nie oszczędzać i wyłożyłem jej swoje wątpliwości. Bogiem a prawdą nigdy za nią nie przepadałem.

— No właśnie. — Otarła oczy chusteczką, rozmazując sobie makijaż. — Najgorsze w tym wszystkim jest to, że się przyznał...

— Do morderstwa? — nie dowierzałem własnym uszom. Okazało się, że słusznie.

— Czy pan upadł na głowę? Do jakiego morderstwa?

— wytrzeszczyła na mnie oczy, a potem dodała już nieco spokojniejszym tonem: — Do tego, że wiedział, gdzie jest ciało.

Zamyśliłem się, ale rozpraszało mnie jej zachowanie. Dosłownie co kilka sekund podnosiła do oczu chusteczkę, a z jej ust wydobywały się odgłosy szlochu. W pewnym momencie moje uszy wyodrębniły w tym szlochu kilka fałszywych nut. Przyjrzałem się jej uważnie i dostrzegłem, że miała suche policzki. Ze zdziwieniem skonstatowałem, że jej płacz był wyłącznie na pokaz. Nakazałem sobie większą czujność.

— Czegoś tu nie rozumiem, pani dyrektor — stwierdziłem po minucie. — Wyciągnęła mnie pani z lekcji i zadała sobie trud, by zorganizować zastępstwo... Dlaczego chciała pani rozmawiać właśnie ze mną? Przecież nie jestem we władzach szkoły. Zatrzymanie dyrektora dotyczy mnie w takim samym stopniu, jak wszystkich innych nauczycieli. A może z nimi już pani rozmawiała? — stropiłem się, gdyż nie wziąłem tego pod uwagę.

Pokręciła głową.

— Zamierzam ogłosić tę informację na następnej przerwie w pokoju nauczycielskim. A z panem chciałam porozmawiać wcześniej, bo... był pan przyjacielem Mateusza i... — zaczęła coś kręcić, ale nie

dałem się zbyć.

— O co chodzi? — spytałem, patrząc na nią zaintrygowany.

Przez chwilę wyglądała tak, jakby szukała odpowiednich słów. W końcu zamiast mówić wyciągnęła z torebki zadrukowaną kartkę.

— Wybrał pana jeszcze dyrektor — powiedziała, podsuwając mi dokument. — Pan rozumie, że muszę być lojalna. Tak na wypadek, gdyby... — ugryzła się w język, ale doskonale wiedziałem, co chciała powiedzieć.

Musi być lojalna na wypadek, gdyby się okazało, że jest niewinny. I gdyby miał objąć ponownie swoje stanowisko. Na to konto wylewane były też te wszystkie krokodyle łzy.

Przebiegłem oczami po dokumencie i przypomniałem sobie wczorajszą rozmowę z Hołownią. Obiecał, że powoła jakąś fikcyjną komisję, która miała mi dać mandat do występu przed rodzicami. Poradziłem sobie bez mandatu, ale w sekretariacie pozostała wydrukowana zapewne jeszcze wczoraj decyzja o powołaniu komisji nadzwyczajnej, a raczej — jak głosił nagłówek — „jednoosobowego stanowiska do spraw reagowania kryzysowego”. Na tej decyzji moje nazwisko wypisane było czerwonym tuszem. A wiadomo, co w szkole znaczy czerwony kolor długopisu...

— Pani dyrektor — pospieszyłem z wyjaśnieniami. — To miała być fikcja. Dyrektor mówił tylko... — przytoczyłem jej słowa Hołowni, ale nawet mnie nie słuchała.

— Nie wykręcisz się od tego. Przykro mi — stwierdziła suchym tonem. A potem przypomniała sobie o konieczności zachowania pozorów i przesunęła po oczach zmiętą chusteczką. — Pozostaje tylko ustalić, czym będzie się pan zajmował. Jakież propozycje?

Wzruszyłem ramionami, gdyż domyślałem się, co chodzi jej po głowie. Okazało się, że jak zwykle miałem rację. W kilku zdaniach przedstawiła mi swój autorski pomysł. Stłumiłem przekleństwo, gdyż nie uśmiechała mi się rola śledczego.

— Czyli mam po prostu szukać dowodów na niewinność dyrektora? — upewniłem się, ale ona pokręciła przecząco głową.

— Masz odbyć z nauczycielami serię rozmów poświęconych tematowi śmierci Mateusza i uporządkować uzyskaną od nich wiedzę.

A jeżeli przy okazji uda ci się znaleźć coś, co świadczyłoby o niewinności Janka... to znaczy pana Hołowni... to uratujemy niewinnego człowieka przed całą masą problemów.

— Czyli zamiast lekcji mam dziś przeprowadzić takie wewnętrzne śledztwo, tak?

— Niech pan nie będzie taki niezadowolony. Wielu pana kolegów marzyłoby o tym, by być na pana miejscu. Zorganizuje się panu zastępstwa, a nauczycieli poinformuję osobiście. Wydam im polecenie, by byli do pana dyspozycji. Dostanie pan jedną z klas. Może być ta, nauczycielka biologii i tak jest na zwolnieniu...

Wicedyrektorka gadała dalej, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona. Zerknąłem na stojący w gablocie ludzki szkielet i zrobiło mi się niedobrze. Rola żandarma niezbyt mi odpowiadała, a mojej niechęci nie łagodziło nawet to, że nikt nie oczekiwał ode mnie jakichkolwiek efektów. Wicedyrektorze zależało jedynie na wykreowaniu łzawej historii, którą mogłaby wygłosić po ewentualnym wypuszczeniu dyrektora z aresztu. Coś o tym, że robiła wszystko, by uwolnić go od absurdalnych podejrzeń. Nie ryzykowała niczego, a mogła dużo zyskać — trzeba jej oddać, że potrafiła się ustawić.

Westchnąłem ponuro i pokwitowałem odbiór decyzji powołującej mnie na stanowisko, którego skomplikowana nazwa od razu wyleciała mi z pamięci. Cóż miałem zrobić? Powlokłem się za wicedyrektorką do pokoju nauczycielskiego, zająłem miejsce przy swoim stoliku i siedząc jak na szpilkach, czekałem na przerwę, czując się jak baran prowadzony na rzeź.

Dzwonek zabrzmiał tak nieoczekiwanie, że o mało nie oblałem się kawą. Pusty pokój szybko wypełnił się nauczycielami, ale nie czuło się zwykłej, piątkowej atmosfery. Zamiast śmiechów, żartów i paplaniny słychać było jedynie odgłosy kroków i cicho wymieniane pozdrowienia. W tej niemal klasztornej ciszy głos Karola zabrzmiał niczym armatni wystrzał.

— Cześć pracy! — wrzasnął informatyk, klepiąc mnie w plecy i siadając z rozmachem przy sąsiednim stoliku. — Słyszałem, że rano dużo się działo.

— To prawda — stwierdziłem pustym głosem. Po rozmowie

z wicedyrektorką wydarzenia z sali gimnastycznej zdawały się tylko wyblakłym wspomnieniem.

Karol od razu zauważył mój kiepski nastrój. Byłem łatwy do odczytania, gdyż na ogół tryskałem humorem i żywotnością, a teraz siedziałem niczym przekłuty balon.

— Co jest? — spytał, a gdy powiedziałem mu o aresztowaniu dyrektora i powołaniu mnie na szkolnego żandarma, też posmutniał. — Cholera, to wygląda tak, jakby ktoś się na nas wziął. To znaczy nie na nas dwóch — poprawił się natychmiast. — Na całą szkołę.

Trudno było się z nim nie zgodzić. Od środy ubyła trójka pracowników szkoły. Oprócz Mateusza i Jana Hołowni od wczoraj nikt nie widział też matematyka.

— Jego żona jest załamana — poinformował mnie mój przyjaciel. — Twierdzi, że coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Dziś rano mieli od niej przyjąć zgłoszenie na policji. Podobno od zaginięcia musi minąć doba.

— Próbowaliście do niego dzwonić? — spytałem.

Popatrzył na mnie kpiąco.

— I tu jest pies pogrzebany — stwierdził tajemniczo, ale zaraz pospieszył z wyjaśnieniami. — Pan Leopold nie ma komórki. I nigdy nie miał. Wiesz, to reprezentant starej szkoły. W kieszeni zamiast smartfona nosi otwieracz do konserw.

Uśmiechnąłem się blado i pomyślałem o fragmencie znalezionych przeze mnie okularów. Miałem nadzieję, że nie należały do pana Leopolda. Albo że nosił je kilka lat temu. Nie znałem go zbyt dobrze, ale życzyłem mu jak najlepiej. Za te kilkadziesiąt lat zmagają z młodym pokoleniem zdecydowanie należały mu się sympatia i szacunek.

Rozmowę przerwał nam jedyny w swoim rodzaju odgłos, jaki wydaje z siebie pusta szklanka, w którą ktoś uderza metalową łyżeczką. Odwróciłem się w kierunku, z którego dochodziły dźwięki, i dostrzegłem panią Klaudynę, która w tradycyjny dla siebie sposób prosiła wszystkich zebranych o uwagę. Pojedyncze głosy nauczycieli stopniowo milkły i w pewnym momencie cisza stała się jeszcze tak intensywna, że aż zadzwoniło mi w uszach. Na ten moment czekała wicedyrektorka.

— Kochani, mamy niewiele czasu — zaczęła — więc przejdę od razu do rzeczy. Niestety nie udało się nam odzyskać wpłaconej kwoty, w związku z czym nie możemy odwołać dzisiejszego spotkania w restauracji Rycerskiej. Oczywiście z wiadomych względów nie będzie żadnych tańców i skocznej muzyki, ale uważam, że miło będzie się spotkać we wspólnym gronie i wesprzeć się wzajemnie w tych trudnych chwilach. Tym bardziej że... — zawiesiła głos, bo po jej słowach rozległ się szum.

Wiedziałem, że jej następne słowa miały dotyczyć aresztowania Jana Hołowni, ale sam ledwo się powstrzymałem od krytycznego komentarza. Na śmierć zapomniałem, że na dzisiejszy wieczór planowana była potańcówka w pobliskiej restauracji. Nauczyciele to grupa dosyć rozrywkowa i tego typu imprezy — współfinansowane przez szkołę — nie należały do rzadkości, ale uważałem, że w obliczu śmierci jednego z nas wspólne wyjście nie ma najmniejszej racji bytu. Widocznie ktoś uznał inaczej. Westchnąłem, gdyż obecność na tego typu jublach była skrupulatnie sprawdzana i miała — choć nie powinna — wpływ na wysokość premii świątecznych i innych tego typu dodatków do pensji.

Puk, puk, puk. Wicedyrektorka nie mogąc się doczekać ciszy, znów uderzyła łyżeczką w swoją szklankę. Podejrzywałem, że nie może krzyknąć. Statystycznie co drugi nauczyciel uskarżał się na kłopoty z gardłem, a pani Klaudyna miała za sobą dwadzieścia kilka lat pracy na pierwszej linii ognia.

— Proszę państwa, apeluję o ciszę — odezwała się zachrypniętym głosem, potwierdzając moją diagnozę. — Proszę państwa... — Jej głos utonął we wszechobecnym szumie. Gdyby na jej miejscu stał dyrektor Hołownia, byłoby to nie do pomyślenia, ale pani Klaudyna nie cieszyła się nawet jedną trzecią tego respektu, co on.

Jednak mimo wyglądu typowej kury domowej miała w sobie dość inwencji, by wyjść z tej sytuacji obronną ręką. Widząc, że nie jest w stanie odzyskać uwagi rozgadanego audytorium, wzięła do ręki niebieski mazak, zrobiła dwa kroki w kierunku białej tablicy i przez chwilę coś na niej pisała, zasłaniając tekst swoim ciałem. A potem raptownie się odsunęła. Drukowane litery układały się w krótką

wiadomość: „DYREKTOR HOŁOWNIA ZOSTAŁ DZIŚ RANO ZATRZYMANY PRZEZ POLICJĘ”.

Wrażenie było takie, jakby ktoś nacisnął na pilocie klawisz z przekreślonym głośnikiem. Szum ucichł jak ucięty nożem i zapadła taka cisza, że słychać był pojedynczą, krążącą na tle sufitu muchę. Twarze nauczycieli poblady i zauważyłem, że przynajmniej kilka osób zdjęło i przetało okulary, tak jakby nie dowierzali temu, co widzą. Wicedyrektorka stała jak posąg i mógłbym przysiąc, że na jej indyczej twarzy na moment pojawiło się coś w rodzaju mściwej satysfakcji. Uwaga ponad dwudziestu osób była skupiona w całości na jej ustach.

Przez chwilę jeszcze trwała w milczeniu, ale w końcu uznała, że nie ma już co przeciągać struny.

— To niestety nie jest głupi żart — powiedziała, przyoblekając twarz w wyraz głębokiego smutku i niedowierzania. — Nasz dyrektor przebywa w areszcie, a jego zatrzymanie jest związane ze śmiercią Mateusza. Pragnę podkreślić, że pan Hołownia nie jest oskarżony o morderstwo. Jestem pewna, że okaże się niewinny, ale przez pewien czas, oby jak najkrótszy, będziemy sobie musieli radzić bez niego. Informacja ta jest informacją poufną — to mówiąc, dokładnie ścierała tablicę — toteż na polecenie policji zdecydowanie zabraniam państwu informowania o tym przykrym fakcie ucznióm, ich rodziców lub osób postronnych. Powtórzę raz jeszcze: żadnych przecieków na zewnątrz, dobrze?

Odpowiedział jej zgodny pomruk.

— To nie jest czas na zadawanie pytań — dodała, uprzedzając kilka osób, które szykowały się do zabrania głosu. — Mam jeszcze jeden komunikat. Za wiedzą i zgodą policji utworzone zostało w naszym liceum samodzielne stanowisko do spraw reagowania kryzysowego. Wyznaczony przez dyrekcję szkoły nauczyciel będzie się do państwa zwracał z pytaniami dotyczącymi ostatnich wydarzeń. Macie państwo obowiązek z nim współpracować, a w przypadku jakichkolwiek wątpliwości natychmiast zgłaszać się osobiście do mnie. Panie Tomku — skinęła na mnie ręką. — Zapraszam tutaj.

Podszedłem powoli do wicedyrektorki, ścigany zaciekawionymi spojrzeniami. Czułem się jak lokalny celebryta i nie było mi z tym

dobrze. Pani Klaudyna posłała mi fałszywy uśmiech i przedstawiła mnie jak gwiazdę uniwersyteckiej drużyny koszykówki.

— Zadaniem pana Tomka będzie zebranie państwa podejrzeń, przypuszczeń i obserwacji — powiedziała następnie, klepiąc mnie po ramieniu. Słuchałem jej z takim samym zaciekawieniem, jak inni nauczyciele, bo dotychczas nie sprecyzowała, jak wyobraża sobie moją pracę. — W tym celu będzie się on umawiał z państwem na indywidualne rozmowy, oczywiście w miarę państwa wolnego czasu. Macie być państwo do dyspozycji pana Tomka do... — zerknęła na zegarek. — No powiedzmy do czternastej. Tak? — Przerwała na chwilę, bo podszedł do niej nauczyciel fizyki.

— Pani dyrektor. — Mężczyzna wyszeptał coś, czego nie zrozumiałem, i natychmiast odskoczył, bo pani Klaudyna spojrzała na niego z dziką furją.

— Nie ma mowy, panie Andrzeju! Nie ma żadnego wcześniejszego wychodzenia! — oznajmiła, niemal zagłuszając dźwięk dzwonka na lekcję. — Osoby, które nie prowadzą zajęć, mają przebywać w pokoju nauczycielskim. Żeby nie musiała nikogo szukać! — Pogroziła palcem i otworzyła drzwi, dając znać, że zebranie jest skończone.

Popatrzyłem na nią z nowym szacunkiem. Przez te kilka minut w jej zachowaniu nie było ani śladu zagubienia i targających nią wcześniej emocji. Przed podwładnymi umiała zachować kamienną twarz, prezentując się jako osoba o nerwach ze stali. Był to bez wątpienia element gry. Zrobiła już wiele na wypadek, gdyby aresztowanie dyrektora miało być jedynie epizodem, ale przygotowała się też na drugą ewentualność. Doświadczenie życiowe podpowiadało jej, że jeżeli Hołownia miał utracić swoje stanowisko, to jego następcy nie będzie się szukać wśród mazgai. Nowym dyrektorem po takim skandalu mógł zostać jedynie ktoś silny, kto sprawdził się w trudnych czasach...

Przy mnie jednak wciąż wołała grać wstrząśniętą i załamana. Przychodziło jej to nieco trudniej niż z samego rana, ale wciąż dawała radę.

— Panie Tomku, ja pójdę do swojego gabinetu — powiedziała do mnie po cichu. — Strasznie rozbolała mnie głowa. Gdyby czegokolwiek

pan potrzebował, to będę u siebie.

Gdy zniknęła, rozejrzałem się dookoła i napotkałem kilka skierowanych na mnie spojrzeń. Wyrażały różne emocje — od ciekawości, przez niepewność i bojaźń, aż do zawiści. Zastanawiałem się, kogo wziąć na pierwszy ogień, gdy nagle zza szerokich pleców Joanny wyłonił się Karol. Aż westchnąłem z radości.

— Masz teraz okienko? — upewniłem się, a gdy skinął głową, podszedłem do niego szybkim krokiem. — Będiesz moim pierwszym świadkiem — oznajmiłem tak głośno, by pozostali się odprężyli, i zaprosiłem go gestem na korytarz.

— Dokąd idziemy? — zapytał mnie niepewnie, gdy sprowadziłem go na parter. — Do mnie? — wydusił zaskoczony, gdy zaprosiłem go gestem dłoni do jego własnej klasy.

Zdecydowałem się zacząć tę zabawę od Karola nie tylko dlatego, że go znałem i czułem się przy nim swobodnie. Do tego wyboru zainspirowały mnie słowa Marka, wypowiedziane w momencie, gdy agresywny mężczyzna z sali gimnastycznej zagroził, że naśle na nas policję.

— Słuchaj, jak to jest z tym szkolnym monitoringiem?  
— zapytałem. Karol był informatykiem i wiedziałem, że wśród jego obowiązków była też teleinformatyczna ochrona obiektu.

— Mamy kilka kamer monitoringu — wyjaśnił. — W hallu głównym, w sali gimnastycznej, na pierwszym piętrze przy toaletach...

— Znam miejsca, w których są kamery — przerwałem. — Chodzi mi o to, co się dzieje z tymi wszystkimi nagraniami.

— Fachowo nazywa się to zapisem monitoringu. Przechowujemy to na płytach. Ja to przechowuję — uściślił i podszedł do jednej z szafek. — Chcesz obejrzeć? Najstarsze mam sprzed dwóch lat, a najnowsze z zeszłego miesiąca.

— A współczesne? Na przykład z przedwczoraj?

— Tych jeszcze nie zgrałem, wciąż są w komputerze. Można je odtworzyć w każdej chwili, ale jeżeli myślimy o tym samym, to niestety muszę cię rozczarować.

— Nie ma żadnych nagrań z nocy, w której zabito Mateusza?

Pokręcił głową.



— Policja zadała mi to samo pytanie — powiedział ze wzrokiem wbitym w ziemię. — Niestety mniej więcej rok temu zdecydowałem, że praca kamer w nocy nie ma sensu. Wyłączały się automatycznie o osiemnastej, a rano uruchamiali je poszczególni nauczyciele. Wuefiści na sali gimnastycznej, ja na parterze i pierwszym piętrze, Joanna u siebie w drugim skrzydle, a psycholog przy gabinecie. Zresztą na trzecim poziomie i tak nie ma kamery. I nigdy nie było.

Mówił to wszystko nieco zawstydzonym głosem, ale nie uważałem, by rzeczywiście miał powody czuć się winnym. Przecież nie mógł przewidzieć tego, co się stało. Powiedziałem mu to i nieco poweselał.

— Czyli jeżeli kamery wyłączyły się o osiemnastej — dodałem po chwili — to nie ma na nich niczego ciekawego, prawda? O tej porze byliście jeszcze u siebie w mieszkaniu, a Mateusz właśnie odbierał ten tajemniczy telefon...

— Policja i tak zażyczyła sobie tych nagrań. Przejrzałem ich treść w czwartek rano, kiedy je dla nich kopiowałem. Nic na nich nie ma. Między szesnastą, kiedy skończyło się kółko fizyczne, a osiemnastą, kiedy wyłączyły się kamery, w szkole nie było żywego ducha. Ostatnią osobą, która nagrała się na taśmach, była pani Leokadia. O szesnastej piętnaście kierowała się korytarzem do wyjścia.

Przez chwilę tarłem w zamyśleniu skronie.

— Pokaż to nagranie — powiedziałem wreszcie, bo do końca lekcji było pół godziny. Nie chciałem jeszcze zapraszać na rozmowę kolejnej osoby, a nie miałem nic lepszego do roboty.

Karol zabębnił palcami w klawiaturę swojego komputera i po chwili ekran podzielił się na pięć małych ekraników, z których każdy był wypełniony czarno-białym obrazem kamery przemysłowej. Rozpoznałem salę gimnastyczną, korytarze i okolice toalet, przy których mieścił się gabinet szkolnego psychologa. Obraz przyspieszył i zatrzymał się na sekwencjach opisanych w rogu kilkoma cyframi, które układały się w godzinę — była szesnasta zero dwie.

— Tu wychodzą słuchacze kółka fizycznego — tłumaczył Karol, dotykając palcami kolejnych ekranów. — A tu idzie sam Masternak — wskazał nauczyciela od fizyki. — Razem z nim siedem osób.

Prawdziwi hardkorowcy... Zbliżają się do wyjścia... i wychodzą teraz — obraz jednej z kamer skierowany był na główne drzwi do szkoły, które najpierw się otworzyły, a potem zamknęły. — I jeszcze można — przewinął obraz do szesnastej czternaście. — Idzie tu... i wychodzi. — Kamera ukazała korpulentną panią Leokadię mocującą się z pękiem kluczy. — Mogłaby zrzucić parę kilo, nie? — dodał niedelikatnie i puścił obraz w ultraszybkim tempie.

Wpatrywałem się intensywnie i po kilku minutach przyznałem mu rację. Między wyjściem pani Leokadii a wyłączeniem się kamer po korytarzach nie kręciła się ani jedna osoba. Można było założyć, że w budynku nie było wówczas nikogo.

— Chyba że ktoś skrył się w jednej z klas — powiedział Karol, a ja z przykrością stwierdziłem, że ma rację. — Niestety, to chyba ślepy trop.

Zgodziłem się z nim i przez chwilę wpatrywałem się w okno. Na boisku do siatkówki ćwiczyły dziewczyny z klasy Marzeny. Nie dostrzegłem jednak mojej ulubionej uczennicy. Stwierdziłem, że pewnie wciąż była podłamana i zdecydowała się zostać w domu.

— Gadałeś dziś z Markiem? — spytałem, dostrzegając między dziewczynami rosłą sylwetkę wuefisty. — Pytałem go, dlaczego nie spał w domu, ale od razu mnie zbył.

— Nie gadałem — odpowiedział machinalnie, myśląc o czymś innym. — Słuchaj, chodź ze mną na chwilę na dwór, co? Taka ładna dziś pogoda...

— Palić się chce, tak? — zaśmiałem się z wyższością, ale nie oponowałem. Uznałem, że czas do następnej przerwy przyjemniej będzie spędzić w plenerze niż w zakurzonej klasie.

Było dopiero wpół do dziesiątej, ale z błękitnego nieba, na którym nie dostrzegłem ani jednej chmurki, lał się typowo wakacyjny żar. Bujna, strzelająca ze wszystkich stron majowa zieleń sprawiła, że poczułem się jak w rajskim ogrodzie. Karol pociągnął mnie przez trawnik ku dwóm strzelistym topolom. Stanęliśmy kilkanaście metrów od budynku szkoły i przez jakiś czas beztrósko pławiliśmy się w słońcu. Karol z wyraźną przyjemnością zaciągnął się papierosem.

— Kota nie ma, a myszy harcuja — zaśmiałem się, bo gdyby w szkole przebywał dyrektor Hołownia, mój przyjaciel nigdy nie

odważyłby się palić w tym miejscu. Na terenie całego obiektu obowiązywał zakaz palenia, więc nałogowcy zwykle kryli się na parkingu, kucając między samochodami.

— No właśnie, nie ma tego złego... — Nie skończył, tylko mrugnął do mnie okiem. Wiedziałem, o co mu chodzi. Też nie przepadałem za dyrektorem i nie miałbym nic przeciwko temu, żeby dzisiejsze aresztowanie zakończyło jego karierę na zajmowanym stanowisku. — Patrz, jak pięknie — zamrugnął oczami, oślepiony przez promienie słońca. — Gdyby nie wesele koleżanki z dzieciństwa, to w weekend wyjechałoby się na jakieś rybki.

Odetchnąłem pełną piersią, oparłem się plecami o metalową latarnię i sam zacząłem się zastanawiać nad tym, jak spędzę weekend. Pogoda była tak zachęcająca, że zacząłem rozważać wycieczkę rowerową. Pomysł był o tyle ciekawy, że Antoś niedawno nauczył się jeździć na dwóch kółkach i bardzo to polubił. Błądząc spojrzeniem po niebie, układałem właśnie trasę wycieczki, gdy nagle dała o sobie znać moja babcia.

Tym razem dreszcze i ciarki były o wiele bardziej intensywne niż zazwyczaj. Obraz brykającego synka ustąpił sprzed moich oczu tak szybko, jakby nigdy go tam nie było. Zamiast jego uśmiechniętej twarzy dostrzegłem niewielkie czarne pudełko przymocowane do latarni, o którą się opierałem.

Przez chwilę wpatrywałem się w nie bezmyślnie, ale w pewnym momencie w moim mózgu otworzyła się zamknięta dotąd kłapa i spłynęło na mnie olśnienie. Muszę przyznać, że na pewno bym na to nie wpadł, gdybym kilka minut temu nie wypełnił swej wyobraźni obrazami kamer i monitoringu.

Czarne pudełko na latarni było niczym innym, tylko kamerą przemysłową.

— Co to jest? — spytałem napiętym głosem, wrywając Karola z nikotynowego letargu. — To czarne, nad nami.

Informatyk zadarł głowę i przez chwilę osłaniał oczy przed słońcem. Gdy opuścił wzrok, na jego twarzy gościł wyraz zaskoczenia.

— Kamera jak byk — wymruczał nieprzytomnie i przez chwilę drapał się po łysawej głowie z miną wyrwanego z drzemki goryla. Nagle

plasnął się w czoło. — No jasne! — krzyknął i klepnął mnie w ramię. — Jesteś genialny! A ja jestem debilem, że o tym nie pomyślałem. Chodź ze mną!

Pociągnął mnie za sobą przez kwietne rabatki, aż do furtki prowadzącej na ulicę. Myślałem, że prowadzi mnie gdzieś dalej, ale zatrzymał się zaraz za furtką i wyjął z kieszeni telefon. A potem pokazał mi wyblakłą od słońca i deszczu laminowaną kartkę przymocowaną do ogrodzenia. — Masz lepszy wzrok. Dyktuj! — polecił i zastygł z ręką uniesioną nad telefonem.

Przedyktowałem mu ciąg cyfr układających się w numer telefonu. Numer ten należał do agencji ochrony sprawującej pieczę nad naszą szkołą. Podczas gdy Karol odszedł na bok i pograżył się w rozmowie, ja starałem się odgadnąć, o co mu chodzi.

Nie musiałem długo czekać. Podeszedł do mnie po niecałej minucie, uśmiechnięty od ucha do ucha. W jego ręce wciąż tkwił wypalony już niemal do filtra papieros.

— Szkoła jest objęta monitoringiem lokalnej agencji ochrony. Ta kamera należy właśnie do nich. Kompletnie o niej zapomniałem. Dowiedziałem się, że jest włączona dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Problem może być z jakością, ale...

— Mają jakieś inne kamery?

— Na terenie szkoły? Nie, ta jest jedyna. Facet tłumaczył mi, że to jakiś stary model i jakość filmu może być bardzo słaba, ale mają nagraną każdą minutę nocy z wtorku na środę. A wiesz, co jest najlepsze? Do tej pory nikt się o to nagranie nie zwrócił. Policja kompletnie przegapiła ten trop. Jesteśmy pierwsi, chłopie! — sprzedał mi żartobliwego kuksańca.

Nie podzielałem jego entuzjazmu.

— Trzeba będzie ich o tym natychmiast zawiadomić — stwierdziłem, ale zamiast wyjąć telefon, pociągnąłem Karola z powrotem pod latarnię z kamerą. — Ciekawe, jaki jest jej zasięg widzenia? — zastanawiałem się, mobilizując wyobraźnię przestrzenną.

Po krótkiej dyskusji ustaliliśmy, że na nagraniach widoczny jest spory fragment budynku i droga od furtki do głównego wejścia. Niestety okna pomieszczenia, w którym znaleźliśmy Mateusza, wychodziły na boisko — czyli w przeciwnym kierunku — ale przecież nie można mieć

wszystkiego. I tak byliśmy bardzo zadowoleni.

— To co, zadzwonisz do swoich znajomków z policji?

— spytałem, a w odpowiedzi mój przyjaciel uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Powiem im, że przegapili coś oczywistego, i każę im zgadywać — uśmiechnął się perfidnie, wyraźnie z siebie zadowolony.

Popatrzyłem na niego pobłaźliwie.

— A czy dałbyś radę załatwić, by przekazali taśmę także nam?

— spytałem bez większej wiary, ale okazało się, że go nie doceniałem.

— Załatwiłem to już z agencją ochrony. Taśmy powinny tu być...

— zerknął na zegarek, ale wyszło na to, że niepotrzebnie.

— Już tu są — stwierdziłem z zaskoczeniem w głosie, bo przy furtce zatrzymał się wóz patrolowy, z którego wysiadł ochroniarz w paramilitarnym mundurze, ściskający w dłoni coś, co wyglądało na płytę CD. — Karol, nie przejrzałbyś tego w wolnym czasie?

— Właśnie chciałem cię o to prosić — powiedział, machając ręką ochroniarzowi. — Przejrzę je na następnej lekcji. Każę gówniarzom w spokoju zająć się sobą, a sam dokładnie się z nią zapoznam — obiecał i podszedł do ochroniarza, a po chwili trzymał już w ręku cenną płytkę.

Do dzwonka pozostało kilka minut, a ja wciąż nie wiedziałem, z którym nauczycielem mam teraz porozmawiać. Zostawiłem Karola, który wybierał właśnie numer do „swojego” policjanta od analizy monitoringu, i wróciłem do budynku. Ale nie chciałem się jeszcze pojawiać w pokoju nauczycielskim, gdyż spodziewałem się, że nie będę miał tam ani chwili wytchnienia. Potrzebowałem spokojnie pomyśleć i uznałem, że do tego celu najlepiej nadawała się... toaleta.

Nie była to zwyczajna toaleta. Pomieszczenie, w którym się zamknąłem, bardziej przypominało komnatę. Miało ze trzydzieści metrów kwadratowych, a oprócz muszli klozetowej znajdowały się tu dwa natryski, szafa pełna jakichś starych szmat, gigantyczne lustro w ozdobnej ramie, stół, kilka krzeseł i gipsowe popiersie Napoleona. Często się zastanawiałem, czy w tak dostojnym towarzystwie wypada się załatwiać. Ale tym razem nie myślałem o przyziemnych sprawach. Głowę miałem nabitą prowadzonym śledztwem. Zwróciłem uwagę jedynie na swoje odbicie w potężnym lustrze. Tego nigdy nie umiałem

sobie odmówić. Westchnąłem smutno nad swoim zwisającym w strzępach kołnierzykiem, usiadłem przy stoliku i wyciągnąłem z kieszeni czerwony flamaster.

Za kartkę posłużył mi kartonowy wierzch starego opakowania po butach. Przez chwilę zbierałem myśli, a potem sporządziłem listę wątków, opatrując ją fantazyjnymi nazwami, skrótowymi komentarzami i nasuwającymi mi się w tej chwili pytaniami. Sporządziłem ją drobnym maczkiem, a i tak zajęła niemal trzy czwarte powierzchni kartonu.

*Wątek finansowy — cykliczne przelewy w wysokości pięciuset złotych miesięcznie z konta osobistego na rachunek niejkiej Marceliny Michalik z Mielnika na Podlasiu, w niedzielę wypłata pięćdziesięciu tysięcy z rachunku własnego, w zeszłym tygodniu wypłata osiemdziesięciu tysięcy z rachunku szkoły z oddziału przy Rynku.*

*Pytania:*

*Czy Mateusz miał problemy finansowe?*

*Czy Mateusz był szantażowany?*

*Kim do cholery była Marcelina Michalik?*

*Wątek romantyczny — romans Mateusza z Martą Sobierajską oraz równoległy romans Janki z damskim bokserem Adamem Holcem, brak kontaktu Mateusza z kochanką w dniach poprzedzających jego śmierć.*

*Pytania:*

*Jaki był stosunek Adama Holca do Mateusza?*

*Czy Janka akceptowała związek Mateusza z młodszą kobietą?*

*Czy Marta Sobierajska wiedziała, że wcale nie była pierwszą kochanką Mateusza, i czy była w stanie to zaakceptować?*

*Co ukrywał przed nią Mateusz?*

*Wątek tajemniczych wydarzeń z kolonii — samobójcza śmierć uczennicy Agaty Opióły podczas kolonii prowadzonych przez Mateusza, udział w wydarzeniach z przeszłości matematyka, Jana Hołowni oraz jego brata, który wkrótce potem zmarł, kara więzienia dla jednego*

*z nauczycieli, Szymona Pełki.*

*Pytania:*

*Co tam się dokładnie wydarzyło?*

*Jakie (poza śmiercią dziewczyny) były tego konsekwencje?*

*Czy Szymon Pełka wciąż siedzi w więzieniu?*

*Kiedy i w jakich okolicznościach zmarł Maciej Hołownia?*

*Wątek pana Leopolda — awantura z dyrektorem Hołownią i jego późniejsze zniknięcie, jego udział w wydarzeniach z przeszłości (poczucie winy).*

*Pytania:*

*Gdzie jest matematyk?*

*Jaka była jego rola w wydarzeniach z przeszłości?*

*Dlaczego klócił się z dyrektorem Hołownią?*

*Wątek magistracki — zatrzymanie dyrektora Hołowni, domniemana rywalizacja pomiędzy nim a Mateuszem o dyrektorski stołek, grupy interesów (lobbystów) będące w opozycji do Mateusza, konflikt w magistracie.*

*Pytania:*

*Czy Mateusz miał wrogów w środowiskach biznesowych, względnie mafijno-biznesowych?*

*Czy dyrektor Hołownia miał powiązania z takimi środowiskami?*

*Czyich interesów pilnował w szkole dyrektor Hołownia?*

*Wątek uczniowsko-rodzicielski — negatywne komentarze części uczniów i rodziców (poranna bójka).*

*Pytania:*

*Czy wśród uczniów lub ich rodziców znajdował się ktoś wystarczająco szalony, by zabić?*

Nie byłem zadowolony ze swojej listy wątków. Przebiegłem ją szybko wzrokiem i moje niezadowolenie jeszcze się pogłębiło. Zdawałem sobie sprawę, że była zbyt chaotyczna i wyglądała tak, jakby została sporządzona na kolanie. Nie miałem jednak czasu na dokonanie jakichkolwiek korekt. Piętnaście minut musiało w zupełności mi wystarczyć — przerwa dobiegała już końca i lada chwila powinienem wrócić do pokoju nauczycielskiego, aby wyselekcjonować ofiarę do przesłuchania.

Miałem na uwadze trzy kandydatury. Informacji o zaginionym matematyku i nieżyjącym bracie dyrektora mogła mi udzielić Władysława Matusiak. Stara matematyczka nie pracowała w naszej szkole od zawsze, ale i tak była tu wystarczająco długo, by zgromadzić w swym ścisłym, analitycznym umyśle całe mnóstwo interesujących mnie informacji. Była przy tym w miarę sympatyczna i zawsze chętnie ze mną rozmawiała, czego nie dało się powiedzieć o nauczycielu fizyki, Andrzeju Masternaku. Ten był postacią z zupełnie innej bajki, ale musiałem z nim porozmawiać, gdyż był drugim spośród szkolnych księgowych i powinien coś wiedzieć o środkach, które wyparowały ze szkolnego konta. Przeczuwałem, że w tym przypadku rozmowa przebiegać będzie opornie nie tylko dlatego, że dotąd raczej ze sobą nie gadaliśmy. Fizyk był z natury małomówny, a przy tym często wyglądał na wółprzymiotnego. Nie wiedziałem wiele o jego życiu prywatnym, ale fakt, że był starym kawalerem, szczególnie mnie nie dziwił. Nie zdziwiłoby mnie też, gdyby w wolnych chwilach mordował świnki morskie albo oddawał się z lubością zażywaniu heroiny.

Trzecią kandydaturą była rzecz jasna Marta Sobierajska, ale do rozmowy z nią z oczywistych względów paliłem się najmniej. Ale nie mogłem sobie jej odpuścić. W ostatnich miesiącach spędzała z Mateuszem najwięcej czasu, a to, co przed nią ukrywał, stanowiło według mnie klucz do całej zagadki.

W dalszej kolejności rozważałem rozmowy ze szkolnym psychologiem oraz wicedyrektorką. Od pierwszego chciałem się dowiedzieć, czy na jego oko do naszego liceum uczęszczają nieźrównoważeni uczniowie, a z drugą zamierzałem pogadać o magistracie i zakusach Mateusza na posadę dyrektora. Kto jak kto, ale



pani Klaudyna na pewno się doskonale orientowała we wszystkich rozgrywkach personalnych, które mogły — chociażby potencjalnie — zagrozić jej pozycji. Na końcu mojej listy znajdował się Marcin Wysocki, czyli młody anglista wysłany przez dyrektora po krzesła. Chciałem mu zadać tylko jedno pytanie: dlaczego do cholery nie poszedł po te krzesła gdzieś bliżej?!

Pozostali nauczyciele na tę chwilę wydawali się nie dysponować żadną przydatną dla mnie wiedzą. Przebiegłem ponownie ich stworzoną naprędce w głowie listę i stwierdziłem, że chciałbym porozmawiać jeszcze z Markiem, ale ta rozmowa nie miała dotyczyć śmierci Mateusza. Z godziny na godzinę coraz bardziej ciekawiły mnie przyczyny, dla których spędził dziś noc w mieszkaniu Karola. Obiecałem sobie, że przy najbliższej okazji przycisnę go do muru, i z tą myślą udałem się do pokoju nauczycielskiego.

Niestety Marka tam nie było, więc musiało to ulec odroczeniu. Z przyjemnością stwierdziłem za to, że podczas następnej lekcji okienko mają zarówno pani Wiesława, jak i Marta Sobierajska. Fizyk był co prawda zajęty, ale według harmonogramu miała to być jego ostatnia dzisiaj lekcja. Czując coś na kształt raczkującego zadowolenia, zbliżyłem się do wiekowej matematyczki.

— Pani Wiesławo, można panią prosić? — Ukłoniłem się grzecznie i cierpliwie czekałem, aż dźwignie swoje potężne ciało z rozchybotanego siedziska.

— Z panem zawsze chętnie zatańczę — zażartowała, a mnie oblały zimne poty. Taniec z pogodną matematyczką był ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłem.

Dostosowując swój krok do jej niedołącznych kroczków, poprowadziłem ją do przeznaczonej dla potrzeb mojego śledztwa klasy. W jednej, sprawniejszej dłoni dzierżyłem dwie filiżanki i dwie łyżeczki, a w drugiej czajniczek wypełniony kawą. Gdy dotarliśmy na miejsce, zaprosiłem ją, żeby usiadła, i napełniłem jej filiżankę po brzegi gorącym napojem. Z kieszeni wydobyłem jednorazową saszetkę z cukrem. Dopełniając uprzejmości, stanąłem za nią, i gdy siadała, podsunąłem jej krzesło.

— Panie Tomku, jestem zaniepokojona — powiedziała poważnym

głosem, ale znałem ją zbyt dobrze, by się na to nabrać. Żartowała niemal cały czas. — W swoim życiu byłam przesłuchiwana już czterokrotnie... nie licząc oczywiście tego kilkuminutowego cyrku z przedwczoraj... i za każdym razem, kiedy zaczynało się tak miło, kończyło się na zrywaniu paznokci. Mam nadzieję, że pan nie będzie aż tak mnie męczył. Stare paznokcie nie odrastają tak szybko, jak młode.

Uśmiechnąłem się, pokazując, że wychwyciłem żart, ale uznałem, że wystarczy uśmiech. Śmiech mógłby być bowiem nie na miejscu. Wiedziałem, że pani Wiesława działała podczas stanu wojennego w opozycji antykomunistycznej i — chociaż to nie były lata czterdzieste lub pięćdziesiąte — nie mogłem mieć pewności, czy rzeczywiście jej nie torturowano. Śmiech w takiej sytuacji nie świadczyłby o mnie zbyt dobrze, prawda?

— Proszę się nie niepokoić, żadne tortury pani nie grożą — przyjąłem jej konwencję. — Przynajmniej nie fizyczne. Najwyżej trochę panią ponudzę pytaniami, ale jako nauczyciel jest pani na pewno przyzwyczajona do głupich pytań, czyż nie tak?

— Jestem — zaśmiała się w kułak, po czym podniosła na mnie wzrok. Tym razem nieco poważniejszy. — W czym mogę panu pomóc, panie Tomeczku? — spytała, splatając ręce nad wydatnym biustem i rozsiadając się wygodnie.

Również usiadłem i przez chwilę sącyłem kawę, wpatrując się w stworzoną w ubikacji listę wątków i pytań. Nie bardzo wiedziałem, od czego zacząć. W końcu zdecydowałem, że najlepiej będzie zacząć od początku, czyli w tym przypadku od jej wspomnień związanych z feralnymi koloniami.

— Czy pracowała pani w naszej szkole w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym?

Na jej twarzy odmalowało się zdziwienie.

— Daleko się pan cofa — skomentowała. — Nie, wtedy pracowałam w liceum Konopnickiej. Przeniosłam się tutaj kilka lat później. Jeżeli chce pan dokładnie, to mogę sprawdzić — zaczęła grzebać w torebce, którą trzymała na kolanach, ale powstrzymałem ją gestem dłoni.

— Mniejsza o to, pani Wiesławo — stwierdziłem. — Chciałbym

się od pani dowiedzieć wszystkiego o śmierci tej dziewczynki na koloniach w Augustowie. Pamięta pani? Wspominała mi pani o tym zaraz po znalezieniu ciała Mateusza.

— Pamiętam. To znaczy pamiętam, że panu mówiłam, ale pamiętam też samo zdarzenie. To była wtedy głośna sprawa, całe Legionowo aż huczało od plotek. Ta dziewczynka... na imię miała chyba Agatka, ale nie jestem pewna...

— Tak, dobrze pani pamięta. Agata Opiola.

— O właśnie — ucieszyła się na moment, ale zaraz spoważniała.  
— To nie była żadna, jak to mówią, dziewczyna z problemami. Normalne dziecko z dość biednej rodziny. Wie pan, że dzieci z biednych rodzin znacznie rzadziej mają problemy psychiczne? Wynika to z tego, że są mniej rozpieszczone i potrafią się cieszyć nawet z małych rzeczy. I ta Agatka podobno właśnie taka była. Radosna, wesoła, bezproblemowa. Jej samobójstwo było wielkim szokiem i być może także dlatego odbiło się tak szerokim echem. Pisali o nim nawet w prasie ogólnopolskiej.

— Tak, wiem — pokiwałem głową. — Dotarłem do tego artykułu.

— To takie ważne? — zapytała, ale zaraz się zreflektowała.

— Przepraszam za dociekliwość, to jest jak choroba zawodowa. Zwłaszcza u matematyków.

— Nie szkodzi. Niech mi pani powie, co dokładnie się wtedy zdarzyło.

— To było samobójstwo. Ze względu na opinię dziewczynki policja wyjątkowo skrupulatnie zbadała inne możliwości, ale śledztwo wykazało, że z całą pewnością nikt nie maczał w tym palców. Nie było osób trzecich, dziewczynka zabiła się sama. Wiem o tym, bo wśród nauczycieli przez cały wrzesień nie mówiło się o niczym innym. Tą sprawą żyło wtedy całe środowisko. Wychowawcy kolonijni byli przez pewien czas traktowani jak trędowaci. Każdy nauczyciel, nawet żółtodziób z pięcioletnim stażem pracy... bez urazy, panie Tomku... twierdził, że gdyby był na miejscu, to na pewno by do tego nie dopuścił. A jak byłoby naprawdę? Tego już się nie dowiemy, ale teraz po latach uważam, że ostracyzm środowiska był niezasłużony. Mówiłam to nawet Mateuszowi, ale on nie lubił wracać do tych wydarzeń.

— Coś o tym wiem — potwierdziłem, bo przez te wszystkie lata znajomości ani razu o tym nie wspomniał.

— Mateusz miał wtedy dwadzieścia kilka lat — westchnęła matematyczka. — Dopiero zaczynał pracę i strasznie to przeżywał. Zresztą wszyscy byli wtedy załamani. Pamiętam, jak kilka lat później próbowałam pogadać o tym z Leopoldem. Byliśmy już wtedy zakolegowani, ale naskoczył na mnie, jakbym podeptała wszystkie jego świętości. Zwyczywał mnie wtedy od wścibskich bab...

— Pan Leopold? — Nie chciałem w to uwierzyć. Matematyk był dla mnie zawsze chodzącą łagodnością.

— To był jedyny raz, kiedy widziałam go w takim stanie — potwierdziła wiekowa nauczycielka. — Po tej sytuacji już nigdy nie wspomniałam o tamtych czasach nawet słowem. Oni wszyscy zapłacili za tę nagłą śmierć ogromną cenę. Już nigdy nie byli tacy, jak wcześniej. A kiedy opadł kurz, wystrzegali się... — urwała na chwilę, szukając właściwego słowa.

— Nie chcieli o tym rozmawiać? — zaproponowałem, a ona skinęła głową.

— No właśnie. Ale Leopolda i Mateusza tak naprawdę nie spotkało nic złego. Gorzej miał ten trzeci. Pewnie czytał pan o tym, że trafił do więzienia?

— Szymon Pełka. Tak, czytałem.

— No właśnie, Szymon Pełka. Pamiętam go jeszcze, to był chłopak w wieku Mateusza. Grzeczny i ułożony, trochę podobny do pana. I też uczył historii. Pech chciał, że tego wieczora to on pełnił dyżur. To znaczy jego pech, a szczęście Mateusza. Badanie krwi wykazało, że spożywał wcześniej alkohol. Pewnie wszyscy spożywali, ale tylko on został poddany badaniu. Nie było tego dużo, poniżej pół promila, ale niestety to wystarczyło, by oskarżyć go o niecelowe spowodowanie śmierci. Nie pamiętam, na ile go skazali, ale wydaje mi się, że już nie wrócił ani do zawodu, ani do Legionowa.

— Nie wrócił?

— W każdym razie ja nic takiego nie kojarzę. Zresztą trudno mu się dziwić. Ciągnęłaby się za nim czarna legenda. Alkoholik, morderca, a do tego były więzienia. Nie byłoby mu tutaj łatwo.

— To fakt — westchnąłem, gdyż poczułem ukłucie żalu. Żal mi było tego chłopaka, który przez zwykły przypadek kompletnie zwichnął sobie życie. Kto jest niewinny, niech pierwszy rzuci kamień. Mnie też podczas wycieczek zdarzało się wieczorem wypić piwo czy dwa.

— Na szczęście policja odstąpiła od oskarżeń pod adresem pozostałych opiekunów, chociaż wtedy nie wydawało się to aż tak oczywiste. Pamiętam, że w obronę nauczycieli bardzo zaangażował się ówczesny dyrektor Maciej Hołownia. Brat obecnego dyrektora, który zresztą też bardzo bronił Mateusza i Leopolda. Nie wszystkim się to wtedy podobało, ale na szczęście obyło się bez marszów protestacyjnych. Chłopakom dano tylko po naganie, a starszy Hołownia jakoś utrzymał się na stanowisku, chociaż za to zaangażowanie w obronę nauczycieli wielu chciało go ukamienować.

W moich sporządzonych na kawałku tektury notatkach nazwisko Macieja Hołowni było trzykrotnie podkreślone i wzięte w kółko. Pani Wiesława, która mimo swojego wieku miała zaskakująco sprawny wzrok, dojrzała je i popatrzyła na mnie pytająco.

— Interesuje pana poprzedni dyrektor?

— Tak — przyznałem z entuzjazmem, gdyż właśnie miałem o niego zapytać. — Czy pani go znała? Co to był za człowiek?

Nauczycielka zamyśliła się na moment.

— Oczywiście, że go znałam — stwierdziła po chwili tonem, w którym wyczułem skrywane nutki entuzjazmu. — Wszyscy go wtedy znali. Różnie o nim mówili, ale wszyscy byli zgodni co do jednego: jak na warunki legionowskie, był to człowiek wielki. Kontrowersyjny, to fakt. Ale przy tym wielki.

Jako historyk nie lubiłem szafowania słowem „wielki”. Jakże często mianem tym określano tych, którzy w niedługim czasie lądowali na śmietniku historii.

— W czym przejawiała się ta jego wielkość? — zapytałem z powątpiewaniem w głosie, na co uśmiechnęła się przepraszająco.

— Może ta opinia wynika z niskich uczuć. Fakty były takie, że na czele mojej ówczesnej szkoły, liceum imienia Marii Konopnickiej, stali w tamtych latach sami nieudacznicy, a Maciej Hołownia wyglądał na ich tle jak jakiś heros. Był w stanie przeprowadzić remont szkoły, zbudował

salę gimnastyczną, pościągał do siebie najlepszych nauczycieli i w przeciągu czterech lat podwoił liczbę uczniów. W tamtych czasach Konopnicka utraciła swoją markę najlepszego legionowskiego liceum. Tutejsza szkoła rozwijała się dynamicznie, a moje ówczesne liceum pikowało w dół. A wszystko przez niego. Albo dzięki niemu, zależy od punktu widzenia. Pamiętam, żeśmy go jednocześnie i nienawidzili, i podziwiali. Był genialnym organizatorem.

— A dlaczego pani mówi, że był też... kontrowersyjny?

— spytałem z zaciekawieniem.

Upiła łyk stygnącej kawy.

— Nie chcę go oczerniać... o zmarłych należy mówić albo dobrze, albo wcale... ale w tamtych czasach pojawiały się plotki, że na swoim stanowisku nie był zupełnie bezinteresowny.

— Łapówki? — zapytałem zniesmaczony, gdyż brzydziłem się wszelkimi przejawami korupcji. Twierdziłem wręcz, że jest jak rak i trzeba ją zwalczać wszystkimi dostępnymi sposobami.

Pani Wiesława popatrzyła na mnie z sympatią.

— Ile pan ma lat, panie Tomku?

— Trzydzieści dwa... prawie trzydzieści trzy — odpowiedziałem zdziwiony, nie wiedząc, dokąd zmierza.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

— Jest pan jeszcze taki młody. Nie pamięta pan tych czasów, bo i nie może ich pan pamiętać. Wtedy korupcja uważana była za coś normalnego. Nie było tej kampanii informacyjnej, która jest teraz, nie było Centralnego Biura Antykorupcyjnego... Korupcja była niechcianym spadkiem po czterdziestu pięciu latach komuny, kiedy łapówki były nie tylko społecznie tolerowane, ale wręcz uważane za coś zupełnie normalnego, naturalnego. Nie wiem tego na pewno, ale starszy Hołownia wychował się w Polsce Ludowej i nie wykluczam, że rzeczywiście brał coś pod stołem. Ale nikt go nigdy za rękę nie złapał.

Zamilkła, patrząc na mnie wyczekująco. Zmarszczyłem czoło, usiłując sobie przypomnieć naszą rozmowę z przedwczoraj.

— Mówiła pani, że młodo umarł — odezwałem się po krótkiej ciszy. — Tak przynajmniej zrozumiałem. Co się stało?

Obdarzyła mnie tym swoim demonicznym spojrzeniem. Przez

chwilę nie byłem pewny, czy na pewno chcę poznać odpowiedź na swoje pytanie. Okazało się jednak, że to, co powiedziała, wcale nie zmroziło mi w żyłach krwi. Raczej mnie rozczarowało.

— Nie znam przyczyn jego śmierci — stwierdziła nieco zakłopotanym tonem. — Wiem tylko, że zmarł niecałe pół roku po wydarzeniach z Augustowa.

Spodziewałem się jakiejś krwawej historii, ale najwyraźniej nie miała mi nic więcej do powiedzenia.

— Czyli zmarł z przyczyn naturalnych? Jakaś nagła choroba, tak? — spytałem z nutką zawodu, gdyż wołałbym usłyszeć, że były dyrektor zginął w jakichś tajemniczych okolicznościach.

— Nie słyszałam, by miało być inaczej — odparła. — W lokalnej prasie pojawiła się tylko lakoniczna notka. Środowisko nauczycieli przez dwa tygodnie prześcigało się w domysłach, ale nie wiedzieliśmy nic konkretnego. Ktoś mówił coś o raku, ktoś inny o wypadku samochodowym... Po tych dwóch tygodniach był pogrzeb, a po nim cały szum stopniowo przycichł. Aż się dziwię, że tak szybko o nim zapomniano. Podejrzewam, że musiał mieć wokół wielu wrogów, którzy dopilnowali, by jego legenda szybko zgasła. Nie nazwali jego imieniem żadnej ulicy czy placu. Ba, w naszej szkole nie ma nawet skromnej tablicy pamiątkowej.

— To fakt — przyznałem.

Było to dziwne, zwłaszcza że obecnie dyrektorem naszej szkoły był jego brat. Chciałem zapytać o stosunki, które łączyły Macieja i Jana Hołowniów, ale przerwała mi już po pierwszym słowie. Jej zakłopotanie jeszcze się pogłębiło.

— Musi pan wybaczyć starej kobiecie — zaczęła, mówiąc niepewnym tonem — ale moja pamięć nie funkcjonuje już tak jak dawniej. Wydaje mi się jednak, że ze śmiercią Macieja Hołowni wiązał się jeszcze jeden szczegół. Nie mam pewności, ale... dyrektor nie umarł chyba w Legionowie. Coś mi się kojarzy, że jego ciało przywieziono z daleka.

— Nie pamięta pani, skąd? — zapytałem, ale pokręciła głową.

— Nie mam pojęcia. Trzeba by zapytać obecnego dyrektora. Jan Hołownia bardzo przeżył śmierć brata, więc na pewno wszystko świetnie

pamięta. Zaraz po pogrzebie wystąpił z wnioskiem o urlop zdrowotny i wyjechał z Legionowa. Mówią, że przez parę miesięcy leczył się po różnych sanatoriach.

— Musieli być ze sobą bardzo blisko, prawda?

Przejechała starczą ręką po siwych kosmykach włosów, po czym wzruszyła ramionami.

— Pewnie tak — stwierdziła, poprawiając się na krześle. — Był podobno taki nieobecny i wylękniony. Musieli się pewnie bardzo kochać. Ale co ja mogę o tym wiedzieć? Przecież ich wtedy nie znałam.

— No tak — kiwnąłem głową i przez moment wślępiałem się w swoje notatki. Od kilku chwil miałem uczucie, jakbym pominął coś ważnego. Znałem jednak siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nadmierne zastanawianie się nad tym, co mi umknęło, nie doprowadzi mnie do żadnych odkryć. Lepiej było o tym nie myśleć i czekać, aż utracona myśl sama wypłynie na powierzchnię. — A tak zupełnie z innej beczki: jak pani sądzi, gdzie może być teraz pan Leopold? — spytałem, błędząc wzrokiem po jej pomarszczonej twarzy.

Na moment jej zmarszczki jeszcze się pogłębiły. Wyglądała tak, jakby przydusił ją do ziemi jakiś niespodziewany ciężar.

— Nie mam pojęcia — powiedziała cichym głosem. — Mam nadzieję, że nic mu się nie stało — dodała, a choć jej ton miał chyba w założeniu być optymistyczny, blade oczy wypełniły się łzami. — To, że zostawił swoją żonę samą na tak długo, nie mieści mi się w głowie. A poza tym — po jej upstrzonym brązowymi plamkami policzku spłynęła pojedyncza kropla — przez wszystkie te lata, kiedy pracujemy razem, bez usprawiedliwienia nigdy nie opuścił choćby jednej lekcji. A nie ma go już dwa dni...

— Miał jakieś kłopoty ze zdrowiem? — spytałem delikatnie, nie chcąc jeszcze bardziej jej przygnębiać.

— Nagły zawał serca, tak? — Domyślnie pokiwała głową. — Z tego, co wiem, to wykluczone. Mimo swojego wieku był zdrów jak ryba. Zahartował się chyba dzięki tej swojej cotygodniowej harówce na działce. Miał działkę rekreacyjną, gdzieś koło Serocka...

— Wiem — przerwałem jej, myśląc o zgruchotanym kawałku znalezionych przeze mnie okularów. A potem wstałem i grzecznie się



skłoniłem. — Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Dziękuję, pani Wiesławo.

Przez chwilę nawet nie drgnęła, przypatrując mi się ze zdziwieniem.

— To wszystko? — spytała wreszcie, a gdy potwierdziłem, niespodziewanie złapała mnie za rękę. — Panie Tomeczku, ja nie lubię plotek, ale muszę panu powiedzieć coś jeszcze. Coś o panu Mateuszu. Pewnie będzie to dla pana jak grom z jasnego nieba, ale muszę panu wyznać, że widziałam... — urwała na chwilę i zawstydzona spuściła wzrok. — Mateusz nie był wiernym mężem, a na przestrzeni ostatnich miesięcy bardzo się to nasiliło. Spotykał się z jedną z nauczycielek, tą nieśmiałą polonistką.

— Martą Sobierajską, wiem — oznajmiłem, a ona pokiwała głową.

— Czyli jednak nie grom z jasnego nieba. — Lekko się uśmiechnęła. — Myślałam, że pana zaskoczę. Cóż... Pan wie, że jestem miłośniczką literatury, a zwłaszcza pewnego jej gatunku? — spytała niespodziewanie. — Przeczytałam w swoim życiu tysiące lepszych i gorszych kryminałów, a dodatkowo od kilku lat faszeruję się serialami kryminalnymi: *CSI*, *Ojciec Mateusz*, *Detektyw Monk*... Po prostu od Sasa do Lasa. I wie pan co? W większości przypadków zbrodnie wynikają z zawiedzionej lub źle pojętej miłości. Jeżeli Mateusz nie postanowił skończyć ze sobą sam, to przyczyn jego śmierci szukałabym właśnie tam.

— Tam, to znaczy gdzie? — W pierwszej chwili nie zrozumiałem. — Po stronie Marty? Chyba pani żartuje, przecież ona nie zdołałaby zabić tak wielkiego faceta. Nie miałyby siły go unieść o kilka centymetrów, a co dopiero powiesić pod sufitem...

Byłem kompletnie nieprzekonany, ale w jej wzroku było coś takiego, że zamilkłem.

— Ja nie mówię, żeby podejrzewać panią Martę. To absurd. Ale czy brał pan pod uwagę, że Marta może mieć na przykład zazdrosnego byłego partnera? Albo mocno ześwirowanego ojca, który nie mógł wytrzymać, że jego mała córeczka sypia z jakimś starym dziadem, który na dodatek jest żonaty? Myślał pan w ogóle o takiej ewentualności?

Musiałem przyznać jej rację. Nawet przez sekundę nie

dopuszczałem do siebie myśli o tym, że za śmierć Mateusza mógł odpowiadać ktoś z otoczenia jego kochanki. Już bardziej o coś złego gotów byłem podejrzewać Adama Holca, niezrównoważonego partnera jego małżonki. Nie zdążyłem jednak nic powiedzieć, bo w powietrzu rozbrzmiał dzwonek na przerwę. Od razu przypomniałem sobie o Karolu, który miał przejrzeć nagrania z monitoringu.

— Muszę już lecieć — stwierdziłem i pospieszyłem do drzwi.  
— Ach, pani Wiesłavo — zatrzymałem się, bo coś mi się przypomniało.  
— Może mi pani powiedzieć, w której części cmentarza jest grób Macieja Hołowni? Mieszkam zaraz obok i w wolnej chwili chciałbym się tam przejść.

Tak długo sporządzała mi miniaturową mapkę nekropolii, że opuściłem klasę dopiero po dobrych trzech minutach. Zbiegłem po schodach jak wariat, ale pracownia informatyczna była zamknięta. Wypadłem na dwór, spodziewając się zastać Karola na papierosie, ale oczywiście go tam nie było. Trafił mnie szlag, ale jednocześnie przekonałem się o prawdziwości powiedzenia, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Mieszanina złości i świeżego powietrza podziałała na mnie jak eliksir odświeżający pamięć i pozwoliła wydobyć z pamięci coś, co podświadomie od kilkunastu minut nie dawało mi spokoju. Przypomniałem sobie, co pani Wiesława mówiła o śmierci Macieja Hołowni.

— Ile czasu upływa średnio od czyjejś śmierci do pogrzebu?  
— zapytałem grupkę młodzieży, która wyszła z budynku szkolnego kilka sekund po mnie.

Niemal wszyscy popatrzyli na mnie jak na wariata, bo w wieku szesnastu lat takie tematy wydają się kompletnie abstrakcyjne. Wyłamała się jedna dziewczyna.

— Wydaje mi się, że jakieś trzy lub cztery dni, panie profesorze — powiedziała, dygając wdzięcznie. — Maksymalnie do tygodnia.

Posłałem jej spojrzenie pełne wdzięczności, starając się ją zapamiętać i zrewanżować się kiedyś dobrą oceną. Prawdopodobnie była dopiero gimnazjalistką, bo nie znałem jej nawet z widzenia. Przez chwilę się zastanawiałem, co tutaj robi, ale zaraz sobie przypomniałem, że dziś

miało być jakieś spotkanie informacyjne dla kandydatów do naszego liceum. Biorąc pod uwagę, że w szkole dopiero co doszło do morderstwa, a jej dyrektor właśnie został aresztowany, nie spodziewałem się na nim tłumów. Okazało się jednak, że byłem w błędzie, bo ze szkoły wysypało się kolejne stadko dzieciaków w wieku gimnazjalnym.

Przepuszczając podniecony tłumek młodzieży, zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem. Dziewczyna mówiła o maksymalnie tygodniu, a pani Wiesława wspomniała, że pogrzeb Macieja Hołowni odbył się po dwóch tygodniach od śmierci. Co mogło być tego przyczyną? Może byłem nieco zafiksowany ostatnimi wydarzeniami, ale od razu pomyślałem o sekcji zwłok. A jeżeli sekcja, to...

Poniechałem na pewien czas poszukiwań Karola. Odszedłem od wejściowych drzwi i wyciągnąłem telefon. Tym razem Kamila odebrała niemal od razu.

— Cześć, nie śpię już — powiedziała jednym tchem, zanim zdążyłem się odezwać.

Powołałem się na naszą wczorajszą umowę i wytłumaczyłem jej, o co chodzi.

— I chciałbym mieć to na już — zakończyłem, ale usłyszałem ciche westchnienie i wyobraziłem sobie, jak kręci swoją rudą głową.

— Muszę chociaż w przybliżeniu znać miejsce zgonu — powiedziała. — Przecież nie wyślę do wszystkich komend w kraju telefonogramu z pytaniem: „czy w dziewięćdziesiątym dziewiątym albo dwutysięcznym roku nie zginął na waszym terenie niejaki Maciej Hołownia?”. To by było raczej głupie, prawda?

Przyznałem jej rację.

— O której zaczynasz służbę? — spytałem, żeby nie wyjść na gbura, który chce załatwić sprawę, a gdy mu się nie udaje, natychmiast się rozłącza.

— Dziś i jutro mam wolne. Coś mi się chyba należy za te dwie ostatnie noce, nie? — zapytała nieco figlarnym tonem.

Umówiliśmy się na później i zakończyłem połączenie, bo w zasięgu mojego wzroku pojawił się Karol.

— Przepraszam, że musiałeś czekać — klepnął mnie w ramię, wyjmując papierosy. — Jeden z gówniarzy dostał krwotoku z nosa

i musiałem z nim pójść do pielęgniarki. Ale mniejsza o to. — Aż podskakiwał z podniecenia. — Zanim to się stało, zdążyłem przewinąć cały film. Bite sześć godzin, od osiemnastej do dwudziestej czwartej. I wiesz co? Mamy go! Mamy mordercę! Nagrał się dwa razy!

Przypalił papierosa, ale od razu wyjąłem mu go z ust.

— Potem sobie popalisz — zdecydowałem, ciągnąc go w kierunku wejścia do szkoły. — Nie mamy czasu!

Jakość nagrania nie była może najlepsza, ale nie ulegało wątpliwości, że czarno-biały obraz obejmował w poziomie odcinek od szkolnej furtki aż po drzwi wejściowe, sięgając w pionie do wysokości pierwszego piętra. Oprócz chodnika i sporej połaci bujnej trawy widać było kawałek śmietnika, fragment ogrodzenia i dużą część budynku liceum. Policzyłem pośpiesznie, że kamera pokazywała kilkanaście szkolnych okien. Film rozpoczynał się od godziny osiemnastej, o czym informował ciąg białych cyfr w górnej części ekranu.

— Czekaj, przewinę — powiedział Karol, pochylając się nad swoim komputerem. — Musisz mi uwierzyć na słowo, że do dwudziestej drugiej trzydzieści kamera nie zarejestrowała żywego ducha, a wszystkie okna w jej zasięgu pozostawały ciemne.

Obraz na chwilę zniknął, a gdy pojawił się ponownie, był jeszcze mniej wyraźny. Z najwyższym trudem rozpoznałem budynek szkoły.

— O osiemnastej świeciło jeszcze słońce — wyjaśnił informatyk, klepiąc jednocześnie w klawiaturę. — Słońce zaszło po dwudziestej pierwszej, a o dwudziestej drugiej trzydzieści było już kompletnie ciemno — zmienił coś w ustawieniach, ale wciąż jakość obrazu była fatalna. — Przez dłuższą chwilę myślałem, że przeglądanie tego materiału to kompletna strata czasu, ale...

— Ale co? — spytałem rozczarowany, bo na ekranie widziałem jedynie smugi i cienie. — Przecież tu mogłaby teraz przechodzić drużyna koszykarzy, a i tak nie byłoby ich widać!

— Spokojnie — uśmiechnął się z wyższością. — Przecież ci mówiłem, że widziałem mordercę — przyspieszył na moment obraz i zatrzymał go o dwudziestej drugiej czterdzieści jeden. — Zanim tu dojechałem, też chciałem się poddać. Patrz teraz! — podniósł głos, a ja wytrzeszczyłem wzrok, bo na ekranie coś rzeczywiście zaczęło się dziać.

Przez chwilę miałem wrażenie, że Karol pokręcił nieco nasycenie barw, bo obraz pojaśniał. Dopiero po kilku sekundach zdałem sobie sprawę, że źródło jasności ma charakter zewnętrzny. Plasnąłem się w czoło.

— Światło na fotokomórkę — stwierdziłem, przypominając sobie, że nad wejściem do szkoły zainstalowano niedawno lampę reagującą na ruch. Była bardzo silna.

Jeszcze przez jakiś czas nic się nie działo, a potem na prowadzącym ku drzwiom chodniku pojawiła się sylwetka mężczyzny w marynarce. Było w niej coś znajomego. Wyteżyłem wzrok i poczułem się tak, jakbym zobaczył ducha. Do szkoły pewnym krokiem zbliżał się...

— Mateusz — wyszeptałem, patrząc na człowieka, który już wkrótce miał zawisnąć na sznurze pod sufitem.

Geograf nie wyglądał ani na pijanego, ani na wytrąconego z równowagi. Szedł w taki sposób, jakby odwiedzanie miejsca pracy kilka minut przed dwudziestą trzecią było czymś najnormalniejszym pod słońcem. W dłoni trzymał parasolkę, a na ramieniu dyndała mu niewielka torba turystyczna.

— Co to jest? — spytałem, wskazując na nią palcem.

Karol zrozumiał mnie od razu.

— Nie było jej ani w kanciapie, ani w żadnym innym miejscu — stwierdził, zatrzymując obraz. — Nawet w jego szafce. Policja otwierała ją przy mnie i widziałem, że w środku nie było nic, co by przypominało taką torbę. Tylko kilka papierów, jabłko, służbowy laptop i jakiś stary, wystrzępiony koc.

— To ciekawe — mruknąłem i popatrzyłem na Karola. To, co właśnie przyszło mi do głowy, było tak prawdopodobne, że aż westchnąłem. — To bardzo ciekawe — powtórzyłem. — Może w tej torbie było coś...

— Co sprowadziło na niego nieszczęście — dokończył Karol, a ja tylko z głupią miną pokiwałem głową.

Miałem swoje podejrzenia co do zawartości tej torby. Byłem niemal pewny, że kryła w swoim wnętrzu osiemdziesiąt tysięcy złotych, wypłacone przez Mateusza ze szkolnego konta. Nie chciałem jednak

dzielić się tymi przepiszczeniami z Karolem. Nie wiedział nic o postępku geografa, a ja wciąż się łudziłem, że może to jakaś pomyłka. Ale osiemdziesiąt tysięcy... To mógłby być naprawdę doskonały motyw zabójstwa.

— Jedźmy dalej — poprosiłem, ale w tym samym momencie rozległ się dzwonek na piątą lekcję. Zakląłem pod nosem.

— Spokojnie, wpuszczę tylko tych gówniarzy i oglądamy dalej — uspokoił mnie Karol i po chwili zapowiedział rozbawionemu towarzystwu, że jeżeli usłyszy choćby szmer, zrobi sprawdzian z programowania.

Cisza, która zapadła po tych słowach, mogła wskazywać, że uczniowie trochę się go bali, ale byłem raczej skłonny podejrzewać, że młode pokolenie po prostu bardziej niż rozmowy spragnione było internetu. Kiedy dzieciaki oddały się rozkoszom Facebooka, my wróciliśmy do analizy nagrania z monitoringu. Obraz na ekranie komputera kompletnie nas pochłoniął, bo chociaż Mateusz zniknął we wnętrzu szkoły, to kamera rejestrowała coraz ciekawsze rzeczy.

Zacząło się od świateł zapalanych w poszczególnych pomieszczeniach. Najpierw na chwilę rozświetliło się okno na pierwszym piętrze, a potem na parterze. Później przez kilkadziesiąt sekund panowała ciemność, po której zapłonęło niewielkie okno w suterenie.

— Czekaj — poprosiłem i sporządziłem roboczy schemat okien pozostających w oku kamery, zaznaczając te, które się świeciły. — Mam wrażenie, że to może być ważne.

Gdy Karol zatrzymał nagranie, porzuciłem pulpit i pomknąłem przed budynek. Informatyk po krótkim wahaniu podążył za mną.

— Chyba się nie pozabijają — stwierdził, usprawiedliwiając się przed samym sobą. — Poza tym w przerwie nie dałeś mi zapalić.

Podczas gdy oddawał się zakazanemu nałogowi, ja przechadzałem się przed budynkiem, porównując rozkład okien z naszkicowanym schematem. Bez trudu rozpoznałem, że okno na pierwszym piętrze należało do pokoju nauczycielskiego, a okno na parterze do pracowni geograficznej. Nieco kłopotu miałem z suteroną.

— To chyba okno pomieszczenia z damskimi prysznicami

— stwierdziłem wreszcie, wpatrując się w zasłonkę, zza której dobiegały mnie rozbawione kobiece głosy. Przechodząca akurat woźna, pani Leokadia, posłała mi potępiające spojrzenie, ale nawet tego nie odnotowałem. — Co Mateusz mógł robić nocą pod damskim prysznicem? — zapytałem Karola, który zaciągał się z lubością i wydmuchiwał dym fantazyjnymi kólkami.

Karol nie zastanawiał się długo.

— Pewnie brał prysznic — stwierdził enigmatycznie i wrócił do swojego papierosa.

— Ale dlaczego nie w męskim?

Moje pytanie było retoryczne, ale Karol wziął je do siebie.

— To akurat bardzo proste — stwierdził i pstryknął niedopałkiem w stronę śmietnika. — W męskiej szatni z natryskami jest zwykle straszny syf. Zresztą podobnie jest też w tym nauczycielskim kiblu-komnacie, co świadczy o tym, że faceci zostawiają po sobie chlew niezależnie od wieku. Pod damskimi natryskami musi być po prostu czysiej. Niestety nigdy tam nie byłem — zażartował — ale przynajmniej tak to sobie wyobrażam. I jeżeli chciałbym wziąć prysznic w środku nocy, to też pewnie skorzystałbym z damskiej łazienki.

Pokiwałem głową, gdyż jego tłumaczenie do mnie trafiło.

— Tylko po co brać w szkole prysznic? I to o takiej porze? — zastanawiałem się głośno, ale tym razem Karol tylko wzruszył ramionami.

— Wracamy? — spytał i po chwili znów siedzieliśmy w jego klasie przed monitorem, oglądając kolejne sekwencje filmu z kamery przemysłowej.

Po kilku minutach — czyli czasie idealnym na szybki prysznic — światło w damskiej toalecie zgasło i budynek szkoły pograżył się w ciemnościach. Przez kilka minut nie działo się nic, a potem znów rozblysło światło. Była dwudziesta trzecia dwanaście. Karol nacisnął jakiś przycisk i film, który dotychczas leciał w przyspieszeniu, zwolnił i zaczął się odtwarzać w czasie rzeczywistym.

Po chwili na tle ściany budynku pojawiła się zakapturzona postać. Aż uniosłem się na krześle, bo postać tę widziałem już wcześniej, i to nie dalej, jak wczoraj. Ten kaptur i gibkie ruchy charakterystyczne dla

młodego człowieka od razu przywiodły mi na myśl dramatyczne wydarzenia wczorajszego wieczoru. Ten sam człowiek, który uderzył wczoraj Aśkę i chciał zrobić krzywdę także mi, dwa dni wcześniej, w noc śmierci Mateusza, zakradł się do szkoły i... Odetchnąłem tak ciężko, że kilku najbliższej siedzących uczniów podniosło głowy i wyjrzało zza monitorów.

— Cholera — szepnąłem, gdy ich zainteresowanie osłabło.  
— Spróbuj powiększyć jego twarz.

Karol westchnął i przesunął po ekranie kursorem myszy. Za moment cały monitor wypełniły piksele układające się w zespół ciemniejszych i jaśniejszych plam.

— Niestety rozdzielczość jest do kitu — powiedział ściszym głosem, przykładając rękę do ust. — Myślisz, że nie próbowałem? Chciałem przybiec do ciebie z konkretnym nazwiskiem, ale jak widzisz, nic z tego.

— To w ogóle nie przypomina ludzkiej twarzy — westchnąłem i poprosiłem, by z powrotem zmniejszył obraz.

Znów wpatrywaliśmy się w zbliżającą się do drzwi postać. Założyłem, że był to mężczyzna, gdyż rzadko spotykało się kobiety o wzroście przekraczającym sto osiemdziesiąt pięć centymetrów. Mężczyzna czy chłopak? Nie byłem pewny, ale jego chuda sylwetka i rozchwiany krok kojarzyły mi się bardziej z nastolatkiem niż dojrzałym facetem.

— Skrada się — Karol inaczej zinterpretował kocie ruchy sfilmowanej postaci. — Idzie ostrożnie, jakby nie chciał być zauważony.

Przez chwilę zastanawiałem się nad jego słowami.

— Ale dlaczego tak się buja? — spytałem, bo te jego kocie ruchy były zbyt... kocie.

Przez moment wpatrywałem się w ekran i nagle spłynęło na mnie olśnienie.

— Cofnij jakieś dwadzieścia... nie, trzydzieści sekund — rozkazałem.

Karol posłusznie cofnął film, a potem — na moją prośbę — puszczał go klatka po klatce. Nagle popatrzył na mnie ze zdziwieniem, bo mimo powagi sytuacji nie mogłem powstrzymać



złośliwego uśmiechu.

— Skrada się, tak? — spytałem kpiącym tonem, po czym dotknąłem palcem ekranu.

Karol zmarszczył groźnie brwi, ale nie skomentował mojego świętokradztwa.

— Co to...? — wyszeptał i umilkł, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami.

— Jest pijany jak bela — stwierdziłem i w zwolnionym tempie obserwowałem, jak zbliżając się do szkoły, otwiera butelkę o butelkę. — Patrz, tu podnosi ją do ust. A tu chowa z powrotem do kieszeni bojówek. — Znów dotknąłem palcem do ekranu, ale tym razem odciągnąłem moją rękę i przez chwilę polerowałem to miejsce śnieżnobiałą chusteczką. — On się nie skrada, on się po prostu zatacza.

— I to wyjaśnia obecność butelek w kanciapie — powiedział Karol, ale pokręciłem sceptycznie głową.

— Tam było więcej butelek, niż mógł zmieścić przy sobie. A poza tym, jeżeli był taki pijany, to jakim cudem pamiętał, by je wymyć? Prędzej zabrałby je ze sobą. Nie, coś tu nie gra...

— Może przychodził do szkoły już wcześniej i część butelek w kanciapie była stara — przekonywał mnie, bębniąc palcami po klawiaturze. — Popatrz, co tu robi — zatrzymał obraz w momencie, gdy pijany mężczyzna dotarł do drzwi, i puścił go klatka po klatce.

— No co? Otwiera drzwi. — Zmrużyłem oczy i przysunąłem twarz do ekranu. A potem popatrzyłem na niego zdziwiony. — Otwiera drzwi kluczem.

— No właśnie — triumfował. — Skoro miał klucze, to nie trafił tu przypadkowo. Musiał tu bywać już wcześniej, mówię ci.

— No dobrze, ale to nie rozwiązuje zagadki wyczyszczenia butelek z odcisków palców — powiedziałem w zamyśleniu. — Nie pytaj, skąd o tym wiem — poprosiłem, bo już otwierał usta. — A poza tym, czy wydaje ci się, że taki pijany wyrostek byłby w stanie załatwić Mateusza? — spytałem pełen wątpliwości. — I to w tak wyszukany sposób?

Entuzjazm w oczach Karola nieco przygasł. Wszak Mateusz nie był ułomkiem. Uduszenie go sznurem wymagało z pewnością wyjątkowej sprawności fizycznej i siły.

— Też nie był zupełnie trzeźwy — zaczął, ale w jego głosie nie było tej pewności, którą emanował jeszcze przed chwilą.

— Obserwowaliśmy go, jak pokonywał ten sam odcinek drogi. Nie zataczał się w tak widoczny sposób, nieprawdaż? Nie wyobrażam sobie, by dał się tak po prostu udusić jakiemuś pijanemu chłystkowi. Puszczaj dalej, może coś jeszcze zobaczymy...

Kolejne pół godziny filmu nie dostarczyło jakichkolwiek informacji. Bryła budynku była ciemna jak jakieś średniowieczne zamczysko. Zastanawiałem się, co dzieje się wewnątrz, a wyobrażenia podsuwała mi coraz makabryczniejsze obrazy. Wreszcie za kwadrans dwunasta światło nad drzwiami znów się zapaliło i oświetliło wychodzącą ze szkoły postać w kapturze.

— Wytrzeźwia! — spytałem zaintrygowany.

Wydawało mi się, że z brutalnym zabójstwem musiał być związany zarówno duży wysiłek fizyczny, jak i olbrzymie obciążenie psychiki. Podejrzywałem, że nawet najbardziej pijany człowiek po czymś takim zupełnie by wytrzeźwia! Ale mężczyzna (lub chłopak) w kapturze musiał być ulepiony z innej gliny, bo wciąż chwia! się na nogach. I to chyba jeszcze bardziej niż przed półgodziną.

— Może to taka reakcja organizmu? Szok? — zastanawia! się Karol, ale ja pokręci!em głową.

— Patrz, co on robi — powstrzyma!em się od dotknięcia ekranu, bo było to niepotrzebne. Obraz zakapturzonej postaci oddaj!cej mocz na ścianę budynku był aż nadto wyraźny. — Mamy teraz pewność, że to facet — doda!em pół żartem, pół serio.

Przez chwilę w milczeniu obserwowaliśmy, jak potencjalny morderca, wciąż się zataczaj!ąc, kierowa! się w stronę furtki. W końcu znikna! nam z oczu, a ekran wype!ni!y ciemności. Tknięty nagłym impulsem opowiedzia!em Karolowi o przeżyciach minionej nocy. S!ucha! wstrząśnięty.

— Myśla!em, że to ja miałem noc pełną wrażeń — powiedzia!ł, gdy skończy!em. — No wiesz, z tą niespodziewaną wizytą Marka. Naprawdę nie ba!eś się tak za nim polecieć? Przecież to jest jakiś świr.

Machna!em ręką.

— To jest w tej chwili najmniej istotne — stwierdzi!em, gdyż nie

chciałem wnikać w szczegóły wczorajszych wydarzeń. — Odpowiedz mi lepiej na proste pytanie: kto mógł chcieć jednocześnie śmierci Mateusza i mojej?

Przez chwilę błądził wzrokiem po suficie.

— Najprędzej jakiś szalony uczeń — stwierdził wreszcie. — Ale nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne. Uczymy w liceum i chociaż może nie jest to najbardziej elitarna placówka w województwie, to raczej nie ma tu patologii. Nie, nie sądzę, by chodziło o jednego z tych dzieciaków — to mówiąc, wskazał ręką na siedzących przed komputerami uczniów.

— To o co? — spytałem.

Nie spodziewałem się usłyszeć odpowiedzi, ale Karol jak zwykle mnie zaskoczył.

— Myślę, że ktoś, kto z jakiegoś chorego powodu zabił Mateusza, zainteresował się tobą dopiero w momencie, gdy zacząłeś za bardzo węszyć. Kto wie, może nieświadomie zbliżyłeś się do rozwiązania i ktoś poczuł się zagrożony? A może zasugerowałeś komuś, że jesteś na tropie? Przypomnij sobie, z kim w ostatnich dniach rozmawiałeś o śmierci Mateusza.

Uśmiechnąłem się, chociaż wcale nie było mi do śmiechu.

— Z połową Legionowa — stwierdziłem i nie było w tym wiele przesady.

Była już połowa piątej lekcji, co oznaczało, że do godziny wyznaczonej przez wicedyrektorkę pozostało naprawdę niewiele czasu. Na rozmowę z fizykiem i kochanką Mateusza miałem około dziewięćdziesięciu minut. Skinąłem więc głową Karolowi i pomknąłem do pokoju nauczycielskiego. Pękał w szwach.

W piątki lekcje nie trwały zazwyczaj zbyt długo. Jedną z zalet zawodu nauczyciela było to, że weekend zaczynał się na ogół już około piątkowego południa. Tym razem decyzją wicedyrektorki został on odroczony o dwie godziny i nie wszystkim było to w smak.

— Tomek, daruj mi dzisiaj te cyrki — napadła na mnie Joanna, mając na twarzy mieszaninę pokory i determinacji. — Rozumiem, że cię w to wrobili, ale ja mam dzisiaj tyle spraw... Proszę, pozwolisz mi już iść?

Skinąłem głową, gdyż potężna anglistka nie była w tym momencie na mojej liście. Usłyszałem już od niej to, co chciałem o przebiegu jej imienin i nie zamierzałem jej męczyć. Inaczej rzecz się miała z Andrzejem Masternakiem. Neurotyczny fizyk doskoczył do mnie z drugiego końca pokoju jak konik szachowy i stanął zaraz obok Joanny.

— No właśnie, kochany panie Tomku — zwrócił się do mnie, owiewając mnie zapachem... przepełnionego zsypu. — Ja też okropnie się dzisiaj spieszę. Wspominałem o tym pani dyrektor, ale nie była łaskawa mnie wysłuchać. A to naprawdę bardzo poważna sprawa!

— Co się dzieje? — spytałem zaintrygowany, gdyż ostatnie słowa wypowiedział z naprawdę wielkim naciskiem. Zupełnie jakby od jego wcześniejszego wyjścia miały zależeć losy świata. Byłem nawet gotów pójść mu na rękę, ale szybko zmieniłem zdanie. Jego słowa kompletnie mnie rozbroiły.

— Muszę jechać na zakupy — oznajmił. — Zawsze jeżdżę na zakupy w piątki o trzynastej, bo wtedy są najkrótsze kolejki.

— To tym razem pojedzie pan pół godziny później — powiedziałem niezbyt uprzejmym tonem. — Chyba nic się nie stanie, prawda? — dodałem pojednawczo, gdy zrobił obrażoną minę. Byłem człowiekiem z natury tolerancyjnym, ale nie mogłem pozwolić, by starokawalerskie nawyki nauczyciela fizyki decydowały o kierunku, w którym starałem się prowadzić zlecone przez wicedyrektorę śledztwo.

Wzruszył ramionami, przewrócił oczami i burknął coś pod nosem. Wyglądał przy tym groteskowo — pięćdziesięciolatek udający rozkapryszone dziecko. Przez moment miałem ochotę zafundować mu lekcję pokory i najpierw porozmawiać z Martą Sobierajską, ale po pierwsze, polonistki nie było w zasięgu wzroku, a po drugie... miałem miękkie serce. Dlatego ignorując jego naburmuszoną minę, poprosiłem go grzecznie, by poszedł za mną.

Uczył w naszym liceum od trzech lat, ale nigdy nie zamieniłem z nim więcej niż kilku słów. Wyglądał na dziwaka, ale nie to sprawiało, że starałem się go unikać. Na ogół bowiem lubiłem wszelkiej maści dziwaków. Wychodziłem z założenia, że żaden człowiek nie jest do końca normalny, a nieznaczne odchyły od normy potrafiły być dla mnie

urocze. Dlatego nie przeszkadzały mi chorobliwe gadulstwo Karola czy hazardowe przygody Marka, a także niechlujny i chaotyczny styl życia Mateusza. Zresztą zdawałem sobie sprawę, że ja sam nie jestem wolny od dziwactw, a moje życie — poczynając od dzieciństwa w popegeerowskiej wiosce — pełne było zakrętów, które te dziwactwa tylko nasiliły. Ale Masternak był inny. Nie przypominał żadnego z moich znajomych. Jego dziwactwo miało w sobie coś odpychającego. Od kiedy przed trzema laty spotkałem go po raz pierwszy, instynktownie go unikałem. Starłem się nie zbliżać do niego na mniej niż trzy metry.

Z wyglądu przypominał nieco Einsteina, z tym że jego zmierzwione włosy nie były śnieżnobiałe, lecz szpakowate. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, wymieniając z nim trzy lata temu powitalny uścisk dłoni, była jednak nie charakterystyczna fryzura, lecz ślady ptasich odchodów na marynarce. Stugębna plotka głosiła, że uwielbiał papugi, ale sympatia do tych skądinąd uroczych ptaków nie wymagała przecież tarzania się w ich odchodach. Zresztą jego dłoń była miękka jak ślimak i dziwnie lepka. Już w tamtej ulotnej chwili mój instynkt podszeptał mi, by trzymać się od niego z daleka.

Trafił do naszego liceum po blisko dwuletnim rozbracie z zawodem nauczyciela, spowodowanym załamaniem psychicznym po śmierci matki, z którą mieszkał. Klasyczna historia — wychowany przez despotyczną i zaborczą matkę trzymał się jej spódnicy tak długo, aż umarła. A wtedy było już za późno na normalne życie. Słyszałem wiele opowieści o przypadkach, w których mężczyźni tacy jak on odbierali sobie życie. Byli też tacy, którzy nie przyjmowali do wiadomości odejścia jedynej bliskiej osoby, pogrążając się w otchłani szaleństwa. Fizyk zdołał uniknąć tragicznego losu, ale śmierć matki odcisnęła na nim niezatarte piętno. Czasem w jego ciemnych, jakby rozmarzonych oczach pojawiały się takie uczucia, że bałbym się z nim zostać w jednym pokoju. Mojego nastawienia nie zmieniał nawet jego stosunek do szkolnych kotów, które dokarmiał przynoszonymi z domu frykasami. W jego oczach była wówczas dziwna czułość, która nie pojawiała się tam w innych sytuacjach, na przykład gdy spoglądał na ludzi.

Wraz z Mateuszem zajmował się szkolnymi finansami. Chciałem z nim porozmawiać o zaginionych osiemdziesięciu tysiącach, ale gdy

zajęliśmy miejsca w moim „pokoju przesłuchań”, zacząłem od czegoś innego.

— Był pan ostatnim nauczycielem, który przebywał we wtorek w naszej szkole, prawda? — zapytałem, mając przed oczami nagranie z wewnątrzszkolnego monitoringu, na którym opuszczał budynek kilka minut po szesnastej. — Oczywiście nie licząc Mateusza — dodałem niepotrzebnie.

— Tak — odpowiedział po prostu, sięgając do skózanego neseseru i wyciągając gruby notatnik. Gdy go wertował, jego ręka trochę drżała. — Miałem zajęcia dodatkowe. Od czternastej trzydzieści do szesnastej.

Dostrzegłem, że siedział jak na szpilkach. W związku z tym, że go nie znałem, nie mogłem stwierdzić, czy zawsze był tak zdenerwowany, czy też o drżenie rąk i głosu przyprawiała go świadomość wydłużających się z każdą minutą kolejek w Kauflandzie. A może jego podenerwowanie wynikało jeszcze z czegoś innego? Nie chciałem kierować się antypatią, ale wbrew sobie zacząłem go podejrzewać. I to mimo tego, że jak na razie mówił prawdę.

— Czy wychodząc ze szkoły, nie zauważył pan czegoś podejrzanego? Albo kogoś? — zapytałem, nie spodziewając się żadnych rewelacji.

Przez chwilę myślał intensywnie, wyłamując palce.

— Wszystko było tak, jak zwykle — powiedział wreszcie. — Zostawiłem klucze w pokoju nauczycielskim i zszedłem na dół. Na parterze była oczywiście pani Leokadia. Powiedziałem jej „do widzenia” i wróciłem do domu.

— I nie widział pan nikogo innego? W szkole albo w jej sąsiedztwie?

— Na boisku chłopcy grali w futbol — przypomniał sobie, po czym dodał ostrzejszym, nieco histerycznym tonem: — Czy naprawdę musimy kontynuować tę rozmowę o niczym? Ja przecież się spieszę, a pan doskonale o tym wie!

— Musimy, panie Andrzeju — powiedziałem stanowczym głosem. — To był tylko wstęp. Chcę z panem porozmawiać o budżecie szkoły. A konkretnie o środkach, które zniknęły ze szkolnego konta.

O ile przedtem można go było określić jako lekko zdenerwowanego, to po moim pytaniu jakby okrzepł. Nie spodziewałem się tego. Sądziłem, że moje słowa o wyczyszczeniu licealnego rachunku bankowego jeszcze bardziej go zdenerwują. A on tylko rozsiadł się wygodniej i obdarzył mnie zaciekawionym spojrzeniem.

— Jakich środków? — zapytał spokojnym tonem, w którym nie odnalazłem ani śladu po niedawnym drzeniu.

— Zaraz do tego dojdziemy — powiedziałem, obserwując go kątem oka, zaskoczony tą jego metamorfozą — ale ustalmy najpierw jedną rzecz. Razem z Mateuszem odpowiadał pan za realizację szkolnego budżetu, tak?

Przez chwilę szukał odpowiednich słów.

— Można tak powiedzieć... — stwierdził ostrożnie. — To znaczy budżet takiej placówki jak nasza opracowuje organ prowadzący szkołę, czyli w tym przypadku urząd miasta. Pan Mateusz i ja realizowaliśmy tylko wytyczne magistratu.

— Czyli konkretnie czym się zajmowaliście?

— Można powiedzieć, że wszystkim, co nie wymagało udziału organu prowadzącego. W praktyce wyglądało to w taki sposób...

— Wstał i jak przystało na nauczyciela, skierował się do tablicy i zaczął mazać po niej kredą. Ani na chwilę nie przestawał przy tym mówić.

Wpatrywałem się w niego, rozumiejąc co drugie słowo. Kompletnie nie znałem się na finansach. Za to Masternak czuł się w tej tematyce jak ryba w wodzie. Mówił z taką swadą jak prymus recytujący wyuczoną lekcję. Zupełnie przestało mu się spieszyć, ale ja przecież nie miałem całego dnia.

— A pan skąd się zna na finansach? — przerwałem mu w pewnej chwili.

— Kiedyś skończyłem studia podyplomowe z finansów w oświacie — wyjaśnił, teraz już zupełnie rozluźniony. — Przed dwoma laty dyrektor Hołownia poprosił mnie, żebym pomógł trochę panu Mateuszowi... chociaż nie mogę powiedzieć, pan Mateusz doskonale sobie radził... i tak już zostało. Między nami mówiąc, panie Tomku, to wcale nie jest takie trudne. W razie czego zawsze możemy liczyć na pomoc księgowych z magistratu. Nasza podległość pionowa wygląda

w ten sposób. — Zatańczył przy tablicy, ale nie miałem ochoty na dalsze bezrozumne wpatrywanie się w kolejne rysowane przez niego schematy.

— Niech pan nie marnuje kredy — poprosiłem.

Obrócił się w moją stronę niczym baletmistrz na scenie i wpatrywał się we mnie bez słowa. Przydługie włosy częściowo zakryły mu twarz i przez chwilę miałem wrażenie, że zmienił się w kobietę. Wzdrygnąłem się, bo jego spojrzenie miało w sobie coś demonicznego.

— A jak wyglądało to w praktyce? — zapytałem szybko, bo pełna dziwnego napięcia cisza zaczęła mi działać na nerwy. — Proszę mi na przykład powiedzieć, czy Mateusz miał uprawnienia do samodzielnego pobierania pieniędzy ze szkolnego konta?

Odpowiedział niemal natychmiast.

— Tak, naturalnie. Był kimś w rodzaju szkolnego księgowego. To on odpowiadał za rozliczenia ze skarbowką, ZUS-em, firmą wywożącą śmieci, firmami remontowymi... Najczęściej płatności dokonywane były przelewem, ale niektórzy wykonawcy woleli gotówkę. Zwłaszcza ci mniejsi, na przykład hydraulicy, szklarz...

Wyliczał wykonawców na palcach, powoli się do mnie zbliżając. Dostrzegłem, że ma bardzo zapuszczone paznokcie. W tej chwili nie przypominał już pierdołowatego starego kawalera, tylko jakiegoś szalonego dzinna z dziecięcych koszmarów. Gdy stanął tuż przy mnie, odruchowo napiąłem mięśnie nóg i z najwyższym trudem powstrzymałem się od zaciśnięcia nosa.

— Ale chyba żadna z tych napraw nie kosztowała kilkudziesięciu tysięcy? — spytałem, zwalczając chęć wstania i odskoczenia od niego na bezpieczną odległość.

— Kilkudziesięciu tysięcy? — powtórzył. — Na pewno nie. Mówimy o pracach za kilkaset złotych. Maksymalnie kilka tysięcy. Skąd wzięła się panu taka duża kwota? Chyba nie chce pan powiedzieć, że... że pan Mateusz podjął tyle pieniędzy?

Spodziewałem się okrzyków zgrozy, ale w jego głosie zabrzmiało tylko niedowierzanie. Zacząłem mieć nadzieję, że może to wszystko było jakąś wielką pomyłką, a Mateusz wcale nie wypłacił tych osiemdziesięciu tysięcy.

— Ma pan dostęp online do szkolnego konta? — zapytałem



gorączkowo. — Ile tam było w sumie pieniędzy?

Wahał się tylko przez chwilę.

— Niech pan poczeka — przysiadł na jednej z ławek, wyciągnął z kieszeni nowoczesny telefon i korzystając ze szkolnego Wi-Fi, połączył się z internetem. — Na początku miesiąca mieliśmy niecałe sto tysięcy — z zaskakującą biegłością stukał długimi paznokciami w dotykowy ekran, logując się na szkolny rachunek bankowy. — Proszę bardzo — wręczył mi telefon. — Na rachunku jest mniej więcej ta sama kwota, co na początku miesiąca. Tutaj — wskazał palcem.

— Dziewięćdziesiąt siedem tysięcy złotych. Tylko, panie Tomku — popatrzył mi w oczy tym swoim odległym spojrzeniem — muszę prosić pana o dyskrecję. Zawartość tego konta to spawa poufna.

Popatrzyłem w telefon, niczego nie rozumiejąc.

— Czyli w ostatnich dniach ani Mateusz, ani nikt inny nie wypłacił z tego konta dużej sumy pieniędzy? — spytałem, bezskutecznie poszukując linku do historii operacji.

— Jak pan widzi — fizyk delikatnie wyjął mi z dłoni telefon, dotykając przy okazji mojego nadgarstka.

Jego skóra była zimna jak u gada. W normalnych okolicznościach wzdrygnąłbym się z obrzydzenia, ale teraz nawet nie zwróciłem na to uwagi. Odszukałem w kieszeni wydruk polecenia wypłaty i przyjrzałem mu się jeszcze raz. Obok nazwy banku, daty, numeru konta oraz nazwy naszego liceum wyraźnie widniała tam kwota osiemdziesięciu tysięcy, opisana jako „wypłacona”. Zamrugałem oczami, ale obraz nie chciał zniknąć. Fizyk próbował zerknąć mi przez ramię.

— Co pan tam ma? — zapytał, ale schowałem wydruk, zanim zdążył go obejrzeć.

— Czy mogło zdarzyć się tak, że Mateusz wypłacił jakieś środki bez pana wiedzy?

Przez chwilę patrzył na mnie rozbawiony.

— No jasne, że by mógł, miał wszelkie pełnomocnictwa. Ale gwarantuję panu, że z konta nie zniknęła ani złotówka. Saldo na pewno zgadza się co do grosza. Zresztą większe wypłaty realizowaliśmy zazwyczaj wspólnie, korzystając ze wsparcia agencji ochrony. Jestem pewien, że jeżeli z rachunku szkoły wyparowałoby osiemdziesiąt

tysięcy, to coś bym o tym wiedział.

— A czy tak duże sumy w ogóle były kiedyś podejmowane?  
— spytałem szybko, żeby ukryć wrażenie, jakie wywarły na mnie jego słowa.

Przez chwilę błędził gdzieś myślami.

— Za mojej kadencji chyba nie — stwierdził wreszcie. — Szkole nie były potrzebne aż takie pieniądze. Osiemdziesiąt tysięcy... Za taką kwotę można by wyremontować dach, ale zaraz potem moglibyśmy ogłosić bankructwo. Nie starczyłoby na bieżące wydatki. A o nagrodach na koniec semestru to w ogóle moglibyśmy zapomnieć. Zostalibyśmy z gołymi pensjami. — Mrugnął okiem.

To mrugnięcie kompletnie wytrąciło mnie z równowagi. Na początku tej rozmowy był kłębkim nerwów, a teraz wyglądał na kompletnie wyluzowanego. Przez chwilę się zastanawiałem, kiedy dokonała się w nim ta przemiana, i po raz kolejny musiałem przyznać, że uspokoił się w momencie, gdy zaczęliśmy rozmawiać o finansach. Musiała być to działka, w której czuł się nadzwyczaj pewnie. Albo... istniała też możliwość, której nie chciałem teraz rozważać — że spodziewał się takich pytań i był do tej wymiany zdań doskonale przygotowany.

Gadaliśmy jeszcze przez chwilę, koncentrując się na kwestiach związanych z wydatkami szkoły. Ku swojemu zdumieniu odkryłem, że potrafił być bardziej zajmującym rozmówcą, niż mi się wydawało. Pożegnałem go miłym ukłonem i odprowadziłem do drzwi. Gdy wyszedł, wyjrzałem przez okno i niewidzącym wzrokiem wpatrywałem się w dal, odliczając w myślach sekundy.

Odczekałem okrągłą minutę, a potem ile sił w nogach pomknąłem do sekretariatu.

— Cześć, Baśka — powitałem szkolną sekretarkę, trzydziestoparoletnią kobietę o kręconych włosach, skrywającą za dużymi okularami mokre w tej chwili oczy. — Nie martw się, wypuszczą go. Złego diabli nie wezmą.

Żachnęła się. Z tego, co wiedziałem, podobnie jak niemal wszyscy pracownicy szkoły nie przepadała za dyrektorem Hołownią, ale jego zatrzymanie kompletnie ją rozchwiało. Była w takim stanie, że nie

musiałem jej długo namawiać do nagięcia szkolnych przepisów. Po chwili poszukiwań podała mi teczkę kadrową Andrzeja Masternaka, z której przepisałem jego domowy adres. Podziękowałem, po czym skierowałem się na szkolne błonia, powiesiłem marynarkę na ogrodzeniu i sprintem przebiegłem jedno okrążenie boiska. Musiałem nieco ochłoniąć i uspokoić burzącą się w moich żyłach krew.

Nauczyciel fizyki łgał w żywe oczy. Nie wiedziałem tylko, w jakim celu.

Kiedy z nim rozmawiałem, z rozmysłem unikałem podania kwoty, która została wypłacona przez Mateusza. Byłem nieprecyzyjny i wspomniałem o kilkudziesięciu tysiącach. Dokładna kwota — osiemdziesiąt tysięcy złotych — padła nie z moich ust, lecz z jego. A przecież według tego, co mówił, nie miał pojęcia o jakiegokolwiek wypłacie.

Po prostu uraczył mnie spreparowaną bajeczką. Pozostawała wobec tego jeszcze jedna tajemnica: czego tak się bał, zanim sprowadziłem rozmowę na tory finansów? Jakiego pytania mu nie zadałem? Myśląc o tym wszystkim, przebiegłem jeszcze jedno kółko, a potem postanowiłem podzielić się problemem z Kamilą.

— Lada chwila powinniśmy mieć nagranie monitoringu z banku, w którym Mateusz dokonał wypłaty. Może po jego analizie będziemy trochę mądrzejsi — powiedziała mi i przerwała połączenie.

Nie pozostało mi nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość. Rozpocząła się ostatnia dzisiejsza lekcja, co oznaczało, że mam jeszcze czterdzieści pięć minut. Ruszyłem na poszukiwania Marty Sobierajskiej.

Siedziała skulona w najciemniejszym kącie najmniejszej szkolnej klasy. Znalazłem ją dopiero przy pomocy kilku innych nauczycieli, którzy razem ze mną przeszukali całe pierwsze piętro. Kiedy się zbliżyłem, usłyszałem cichy szloch. Zamierzałem po cichu odejść, ale pech chciał, że potrąciłem krzesło. Odwróciła się i otarła oczy. A potem wstała i — podobnie jak wczoraj — oplotła mnie ramionami.

— Chyba sobie z tym nie poradzę — szepnęła mi na ucho, gdy udało się jej powstrzymać płacz. — Mam ochotę stąd wyjść i już nigdy nie wrócić.

Zanotowałem sobie w głowie, by po zakończeniu rozmowy przekazać ją w ręce kogoś, kto da jej coś na uspokojenie i dopilnuje, by nie zrobiła sobie nic złego. Ale najpierw musiałem jej zadać kilka krótkich pytań, z których przynajmniej jedno nie było zbyt delikatne.

— Czy wiedziałaś, że Mateusz miał przed tobą kilka innych pozamałżeńskich przygód? — zacząłem z grubej rury, chcąc to już mieć za sobą.

Bąłem się, że mnie uderzy, ale zdołała się opanować. Z przyjemnością dostrzegłem, że z jej oczu przestały płynąć łzy. Zamiast nich pojawiła się w nich wściekłość.

— Jak możesz?! — wydyszała przez zaciśnięte zęby. — Jak możesz poruszać ten temat w takiej chwili?! Czy ty wiesz, co czuje kobieta, która dopiero co straciła całe swojej oparcie? Swoją całą sens życia?!

Nie miałem wyrzutów sumienia. To nie ja zaangażowałem się w romans z żonatym mężczyzną. Przypomniałem jej o tym i z jej oczu zniknęły groźne błyski. Pozostała jedynie rezygnacja.

— Tak, podobno miał wcześniej jakieś epizody z innymi kobietami. Ale nigdy żadnej z nich nie pokochał.

Powiedziała to wypranym z emocji głosem, usiłując zachować resztki godności. Z trudem powstrzymałem się od parsknięcia śmiechem. Była tak naiwna, że aż trąciło to głupotą.

— Czy poznałaś kiedyś któryś z tych jego „epizodów”? — zapytałem, z trudem tłumiąc rozbawienie.

Popatrzyła na mnie z zagniewaną wyższością.

— Nigdy — potrząsnęła głową. — To były nic nieznaczące przygody, a Mateusz był bardzo dyskretnym mężczyzną.

W jej głosie wyczułem subtelne nutki żalu. Chyba nie traktowała dyskrecji swojego kochanka jako cechy szczególnie pożądanej. Pewnie w jej mniemaniu Mateusz powinien się z nią dzielić każdą swoją myślą i każdym oddechem. O święta naiwności!

— Słuchaj, Marta, ja wszystko rozumiem — straciłem cierpliwość. — Rozumiem wielką miłość, porywy uczuć, motyle w brzuchu i te wszystkie pozostałe bzdury. Ale chcę, byś i ty coś zrozumiała. Mateusz prawdopodobnie został zamordowany, a jednym z najlepszych motywów

zawsze jest zazdrość. Dlatego skup się i powiedz, czy Mateusz mógł twoim zdaniem paść ofiarą jakiejś zazdrosnej byłej kochanki? Albo jej męża, ojca czy kogo tam jeszcze?

Wstała i skierowała się w stronę drzwi. Przez chwilę miałem wrażenie, że się na mnie obraziła i postanowiła wyjść. Już miałem machnąć na nią ręką, ale okazało się, że wcale nie zamierzała mnie opuszczać. Przekręciła pokrętło zamka i wróciła na swoje miejsce, w zamyśleniu analizując moje słowa.

— Nie pomyślałam o tym w ten sposób — stwierdziła po dobrej minucie. — Niewiele wiem o jego przeszłości, ale kilka razy, gdy spał, włamywałam mu się na skrzynkę mailową. Wiem, co sobie o mnie pomyślisz, ale... — urwała zażenowana, pogłębiając moją niecierpliwość.

— Nic sobie nie pomyślę — warknąłem. — Ale tylko pod warunkiem, że przestaniesz się wreszcie krygować i po prostu powiesz mi, jak było.

Miałem ochotę mocno nią potrząsnąć, ale na szczęście nie musiałem łamać swoich zasad. Pod wpływem mojego twardego tonu nieco się ośmieliła. Już nie uciekała spojrzeniem na boki.

— Mateusz utrzymywał kontakt z jedną kobietą — stwierdziła. — Z treści listów wynikało, że była rozwódką. Flirtowali ze sobą, ale wyczułam, że nie było to nic zobowiązującego. Przynajmniej z jej strony — dodała urażonym tonem — gdyż odniosłam wrażenie, że Mateusz trochę się zaangażował. Poza nią od pewnego czasu w jego życiu nie było innych kobiet. Mówił mi, że już się wyszumiał i teraz szukał prawdziwego uczucia. Czegoś na stałe.

Zamilkła, gdyż chyba zaczynało do niej dochodzić, że Mateusz mógł mówić takie rzeczy także innym kobietom. Ale było jeszcze za wcześnie, by dopuściła tę myśl do siebie. Potrząsnęła głową, a ja zadumałem się przez chwilę nad ciemną stroną mojego zmarłego przyjaciela. Nie chciałem go osądzać, ale jego postępowanie niezbyt mi się podobało.

— A jacyś zazdrośni mężowie, bracia, narzeczeni? — spytałem wreszcie, podświadomie kręcąc z niesmakiem głową.

— Nie słyszałam, żeby ktoś mu groził czy na niego polował —

odpowiedziała. — Mówiłam ci już, że słyłał z dyskrecji. Nie sądzę, by zostawiał za sobą ślady. Zresztą zwierzył mi się kiedyś, że zameżne kobiety nigdy go nie kręciły. Twierdził, że nie potrafiłby się dzielić kobiecym ciałem z innym mężczyzną.

Pokiwałem głową, gdyż miało to sens. Sam nie wyobrażałem sobie romansu z mężatką. Już miałem wykreślić zazdrość z listy ewentualnych motywów zabójstwa, gdy nagle moje spojrzenie, które od pewnego czasu błądziło po suficie, zatrzymało się na Marcie.

— Słuchaj, nie chcę za bardzo wchodzić w twoją prywatność — zacząłem niezręcznie — ale musisz wiedzieć, że wszystko, co robię, ma służyć schwytaniu mordercy Mateusza. Dlatego z góry cię przepraszam, ale muszę spytać o coś intymnego.

— Pytaj — powiedziała po prostu, pokrywając się szkarłatnym rumieńcem.

Zabarwienie jej policzków wskazywało na to, że spodziewa się pytania z gatunku tych najbardziej wstydlivych. Nie wnikałem, co też się wyklulo w jej nabitej bzdurami głowie. Gdy usłyszała, że nie chodzi mi bynajmniej o poznanie szczegółów jej inicjacji seksualnej, zrobiła zdziwioną minę.

— Czy mam kogoś, kto mógłby być o mnie zazdrosny?  
— powtórzyła za mną w taki sposób, jakby nie rozumiała, o co mi chodzi.

— Albo zazdrosny, albo zły o to, że spotykałaś się ze starszym, żonatym mężczyzną — wytłumaczyłem jej cierpliwie i nagle poczułem ukłucie żalu, bo najwyraźniej dziewczyna nie miała nikogo takiego.

— Mój tata od dwudziestu lat jeździ na wózku inwalidzkim — powiedziała cichym głosem. — Nigdy nie zwierzałam mu się ze swoich uczuć do Mateusza. Prawdę mówiąc, troszkę się wstydziałam. Tak bardzo nie chciałam go zawieść. A inni mężczyźni mojego życia?  
— westchnęła smutno, a ja jej zawtórowałem. — Spałam wcześniej z dwoma. Pierwszy z nich, mój kolega z liceum, spędził ze mną noc pod wpływem alkoholu i po tej nocy już nigdy nie odezwał się do mnie choć jednym słowem. Miałam wtedy osiemnaście lat i na jakiś czas wyleczyło mnie to z miłości. Drugie podejście zaliczyłam jedenaście lat później. To była randka internetowa, która zakończyła się tym, że facet zerwał ze

mnie ubranie i zwyczajnie mnie zgwałcił. Jestem pewna, że żaden z nich nie miał nic przeciwko temu, iż spotykałam się z Mateuszem.

Pokiwałam głową, skrętnie kryjąc przed nią niechęć, która zalała mnie niczym spieniona fala. Niechęć ta ukierunkowana była na osobę jej byłego kochanka. W głowie nie chciało mi się pomieścić, jak Mateusz mógł tak wykorzystać tę młodą, skopaną przez los dziewczynę. Stwierdziłem, że kryzys wieku średniego to naprawdę ciężka choroba!

Siłą woli odegnałem myśli o mym przyjacielu w roli starego lubieżnika. Postanowiłem jak najszybciej zmienić temat, aby oszczędzić jej dalszych upokorzeń.

— A poznałaś może niejakiego Adama Holca? — zadałem pierwsze pytanie, które przyszło mi do głowy.

Niespodziewanie się uśmiechnęła.

— Facet, który spotykał się z żoną Mateusza? Widziałem go raz, może dwa razy w życiu. Prowadzi antykwariat przy Jagiellońskiej. Dziwna postać, taka trochę niezyciowa. Ale w gruncie rzeczy dość sympatyczna.

Przypomniałem sobie nasze spięcie. W żadnym wypadku nie użyłbym w stosunku do Adama Holca określenia „sympatyczny”, a moją niechęć pogłębiała jeszcze jego przeszłość damskiego boksera.

— Ale za Mateuszem to raczej nie przepadał, prawda?

— Nie bardzo — stwierdziła. — Gdyby mógł, to chyba wyzwałby go na pojedynek.

— Dziwię się, że nie wyzwał — mruknąłem, wspominając pokłady drzemiącej w nim agresji.

Pokręciła głową.

— Nie mógł go wyzwać. Od kilku lat ma poważne problemy z kręgosłupem. Ostatnio nawet trafił z tego powodu do szpitala. Nie mógł wykonywać żadnych gwałtowniejszych ruchów, nie mówiąc już o pojedynkowaniu.

Powiedziała to lekkim tonem, ale mi wcale nie zrobiło się lekko. Wręcz przeciwnie. Na wspomnienie swojej niedawnej szarpaniny z Holcem, który — według słów dziewczyny — okazał się kaleką, poczułem się niczym bezduszny potwór. Gdzieś na marginesie gigantycznych wyrzutów sumienia zdałem sobie sprawę, że człowiek tak

schorowany nie dałby fizycznie rady zamordować Mateusza. Ale wyeliminowanie jednego z podejrzanych ani trochę nie poprawiło mi humoru. Przed oczami wciąż miałem te jego bezradne spojrzenie, gdy wykręcałem mu palec i powalałem go na ziemię. Gdybym tylko wiedział. Albo gdybym mógł cofnąć czas...

Przygnieciony brzemieniem winy nie zwróciłem uwagi na jej następne słowa. Ich sens dotarł do mnie dopiero wtedy, gdy je powtórzyła.

— Janka nie miała nic przeciwko tobie? — spytałem zdziwiony. Byłem przekonany, że źle ją zrozumiałem, ale okazało się, że wszystko zrozumiałem dobrze. — Nie ujął bym tego w taki sposób — stwierdziłem. — Wydawało mi się, że wcześniej wcale o tobie nie wiedziała.

— Nie wiem, czy znała mnie z imienia i nazwiska, ale na pewno wiedziała, że Mateusz spotyka się z koleżanką ze szkoły. Ich małżeństwo już nie istniało. Mateusz opowiadał, że rozmawiał o mnie z żoną i byli na wstępnym etapie przeprowadzania rozwodu. Pani Janka chciała sobie ułożyć życie z Adamem Holcem, a Mateusz pragnął tylko mnie.

Znałem nieco inną wersję, ale nie chciałem się z nią spierać. Jeżeli pragnęła stworzyć w swoim sercu wyidealizowany obraz Mateusza-rycerza, to nie miałem prawa jej w tym przeszkadzać. Zamiast więc ciągnąć dalej ten niewygodny wątek, zapytałem na koniec o coś, co nie dawało mi spokoju od ponad dwóch godzin, czyli od momentu, w którym zapoznałem się z nagraniem z umieszczonej przed szkołą kamery.

— Dlaczego Mateusz nie chciał u ciebie brać prysznicza?

O dziwo, nie spytała, o co mi chodzi. Jej odpowiedź zbiła mnie z pantałyku.

— Mateusz od kilku dni nie spędzał u mnie nocy — wyznała, a w jej suchych od kilku minut oczach znów zaszklily się łzy. — Wiesz, z czym mam teraz największy problem? — Jej pytanie było pozornie bez związku, ale nie odważyłem się jej przerwać. — Nie mogę pogodzić się z tym, że się z nim pokłóciłam i już nigdy nie będę miała okazji go przeprosić. — Po jej policzkach pociekły łzy wielkie jak ziarenka grochu.



Nie bardzo rozumiałem, o co jej chodzi, ale musiałem uzbroić się w cierpliwość, gdyż szlochała tak intensywnie, że nie była w stanie wykrztusić choćby słowa. Uspokoila się dopiero po kilku minutach.

— Mateusz przez te kilka dni mieszkał w naszej szkole — wydusiła przez zaciśnięte gardło. — Po prostu kładł się na materacu gimnastycznym i przykrywał kocem. Był rannym ptaszkiem, więc kiedy w budynku pojawiały się pierwsze osoby, już dawno był na nogach. Miałam go poprosić, by wrócił. Dzwoniłam do niego przez cały następny dzień, a potem Aldona powiedziała mi o jego śmierci...

Znów się rozplakała i tym razem nawet nie próbowałem jej pocieszać. Poklepałem ją lekko po plecach i wyszedłem na korytarz. Stanąłem za filarem i przez dłuższą chwilę próbowałem coś z tego zrozumieć.

Jej słowa sprawiły, że część elementów układanki zaczęła do siebie pasować. Już wiedziałem, czemu Mateusz przyszedł tamtego wieczora do szkoły i po co zapalał światło pod żeńskimi natryskami. Rozwiązała się też zagadka koca, który policja wydobyła z jego szafki. Ale wraz z odpowiedziami na część pytań pojawiały się kolejne pytania. Na przykład skąd zabójca wiedział, że Mateusz nocuje w szkole?

Pytanie było o tyle zasadne, że nie wiedziałem o tym ani ja, ani żadna z osób, z którymi dotąd rozmawiałem. Oczywiście z wyjątkiem Marty, ale jej nie podejrzewałem o długi język. Przynajmniej nie w tej sprawie. Tak, za morderstwo odpowiedzialny był ktoś, kto wiedział o przejściowych problemach lokalowych geografa. Chciałem pójść tym tropem, ale okazało się, że mam za mało danych.

Przez moment myślałem o fizyku, który bez wątpienia miał coś na sumieniu. Tak naprawdę nie wiedziałem, czy łączyło go z Mateuszem coś więcej niż zwykle, niezobowiązujące koleżeństwo. Jednak nawet gdyby się okazało, że znał przejściowe kłopoty mieszkaniowe geografa, to na pewno nie on był mordercą. Przy najlepszych chęciach nie byłem w stanie utożsamić go z chłopakiem, który we wtorek zakradł się do szkoły, a w czwartek znokautował Aşkę. Różniło ich co najmniej piętnaście centymetrów wzrostu i piętnaście lat wieku, a także barwa głosu — głos fizyka był miękki i wysoki, natomiast głos parkowego napastnika, który wykrzyczał do mnie kilka zdań, niski i chropowaty.

Pochłonięty myślami nie zauważyłem zbliżającego się do mnie Marcina Wysockiego. Dojrzałem go dopiero wówczas, gdy dwukrotnie chrząknął. Był jedną z ostatnich osób, które chciałem spotkać.

— Tak? — spytałem, zerkając znacząco na zegarek.

Było kilka minut przed drugą, a ja nie miałem ochoty na kontynuowanie przesłuchań. Marzyłem o tym, by pójść na obiad, a potem spotkać się z Kamilą i powymieniać się informacjami. Ale w twarzy wymoczkowatego anglisty było tyle determinacji, że nie zdecydowałem się go spławić. A przynajmniej nie od razu.

— Tomek, możemy chwilę pogadać? — zapytał, a ja z ciężkim westchnieniem zaprosiłem go do pracowni biologicznej, którą zamieniłem w pokój przesłuchań.

Już wcześniej miałem w planach zadanie mu pytania o to, dlaczego zamiast wziąć krzesła z pierwszej z brzegu klasy, poszedł po nie aż na poddasze. Nie było to nic pilnego, ale skoro już go spotkałem... Nie zdążyłem jednak otworzyć ust. Gdy znaleźliśmy się w klasie, niespodziewanie chwycił mnie za ramiona. Zgubił przy tym charakterystyczny dla siebie wyraz zblazowania. Jego twarz aż kipiała od emocji.

— Co wy wyprawiacie?! — zapytał ostrym tonem, lekko mną potrząsając. — Czy wy macie po szesnaście lat?

Nie miałem bladego pojęcia, o co może mu chodzić. Do pewnego momentu przyglądałem mu się z zainteresowaniem, bo po raz pierwszy zrzucił przy mnie swoją maskę luzaka. Zirytował mnie dopiero wtedy, gdy zaczął szarpać moją i tak już sfatygowaną koszulę. Chwyciłem go za chude nadgarstki i unieruchomiłem mu ręce w stalowym uścisku.

— Czy ja jestem jakimś workiem treningowym, żeby każdy mógł wyładowywać na mnie swoje frustracje? — zapytałem jadowitym tonem i odepchnąłem go tak mocno, że zatrzymał się dopiero na ścianie.

Przez chwilę patrzył na mnie z zaskoczeniem. Chyba nie spodziewał się po mnie takiej siły.

— Mów, o co ci chodzi, człowieku, albo się stąd zbieraj. Nie mam czasu na przydługie pauzy i urażone milczenie — wypaliłem, a gdy nie odezwał się od razu, skierowałem się do drzwi.

Dogonił mnie dopiero na korytarzu.

— Zaczekaj — powiedział tak napiętym tonem, że wbrew sobie cofnąłem się do klasy. — Właśnie o tym mówiłem. Nie umiesz nad sobą panować. Nie wiedziałem tylko, że okazujesz to w taki sposób.

Spojrzałem na niego jak na idiotę.

— W jaki sposób?

— Na pewno w bolesny — odparł z przekąsem, rozmasowując sobie nadgarstek. — Mam nadzieję, że rano byłeś choć trochę delikatniejszy.

— Rano? — spytałem zdziwiony i nagle wszystko stało się jasne. — Mówisz o tym pożał się Boże rodzicu, który wywołał awanturę na sali gimnastycznej? To on rzucił się na mnie z pięściami. Gdyby nie Marek, to pewnie leżałbym teraz na ostrym dyżurze...

— Wątpię — stwierdził ponuro, wpatrując się w czerwone ślady na ręce. Były pamiątką po moim uścisku i miały się wkrótce przeobrazić w imponujące, czarne siniaki. — A dla twojej wiadomości: to nie był zwykły pożał się Boże rodzic. To był Antoni Winnicki. Mówi ci coś to nazwisko?

— Lepiej znam Jana — odparłem i uśmiechnąłem się, nawiązując do postaci komunistycznego dygnitarza z serialu *Alternatywy 4*.

Marcin nie odpowiedział mi uśmiechem.

— Nie żartuj głupio. Wiesz, kim jest Antoni Winnicki? Na pewno wiesz, w całym Legionowie nie ma osoby, która by go nie znała.

Miał rację. Winnicki był obrzydliwie bogatym biznesmenem, właścicielem największego w okolicy zakładu przemysłowego — fabryki celulozy. Zatrudniał u siebie kilkadziesiąt osób.

— To jeszcze jeden dowód na to, że pieniądze i kultura osobista nie zawsze idą w parze.

Moje stwierdzenie wcale go nie rozbawiło. Wręcz przeciwnie, wyglądał na coraz bardziej podminowanego. Gdyby nie bolesne wspomnienie sprzed chwili, pewnie znów chętnie by mną potrząsnął.

— Nie rozumiem, jak możesz to mówić takim lekko — powiedział tonem pełnym potępienia. — Czy ty zdajesz sobie sprawę, że to jeden z najważniejszych ludzi w mieście? Liczyć się z nim musi nawet prezydent, tym bardziej że w przyszłym roku będą wybory. A jeżeli ma taki wpływ na prezydenta... Czy muszę ci to wszystko dokładnie

rozrysować? Chyba wiesz, co mam na myśli?

Nie miałem pojęcia. Dla mnie były to zwykłe brednie, ale wygłaszał je z takim przekonaniem, jakby przedstawiał mi prawdę objawioną.

— Rozrysuj. W przeciwieństwie do ciebie nie jestem politykiem — rzuciłem kpiąco, splatając ręce na piersiach.

— Każdy jest na swój sposób politykiem — stwierdził filozoficznie. — Tylko jedni są lepsi, a drudzy gorsi. Ale nawet najgorszy polityk zdaje sobie sprawę, że nie robi się wrogów z przełożonych. Albo z ich przyjaciół. — Wbił we mnie spojrzenie błękitnych oczu i pogroził mi palcem. — A ty sobie zrobiłeś.

— No i co z tego? — spytałem zbity z tropu. — Jeżeli ktoś zachowuje się jak kanalia...

— Ta, jak mówisz, kanalia — wszedł mi w słowo anglista — zaraz po tym żalonym incydencie skierowała się do urzędu miasta i zażądała waszych głów. Dosłownie. Prezydent nie chciał się w to mieszać i próbował skontaktować się z Hołownią. Kiedy dowiedział się o jego zatrzymaniu, wezwał do siebie mnie. Był wściekły. Nie sądziłem, że kiedykolwiek zobaczę go w takim stanie. Muszę przyznać, że wściekał się przede wszystkim na Hołownię, ale oberwało się także i wam.

— No i co dalej? — spytałem, tym razem lekko wystraszony.

Nie chciałem stracić tej roboty. Z tego, co wiedziałem, prezydent Legionowa był uczciwym człowiekiem, ale zdawałem sobie sprawę, że jak każdy polityk, musiał się liczyć ze swoim zapleczem. Na szczęście jakiegokolwiek wyroki w mojej sprawie były jeszcze odległą melodią przyszłości.

— W związku z ostatnimi wydarzeniami prezydent nie chce teraz wokół szkoły żadnego dalszego szumu — stwierdził Marcin. — Od pewnego czasu poważnie rozważana jest zmiana dyrektora, a po tym wszystkim pozycja Hołowni z pewnością ulegnie dalszemu zachwianiu. Prezydent chciał ze mną omówić potencjalnych kandydatów na to stanowisko. Oczywiście w obliczu porannych wydarzeń szanse twoje i Marka wyglądają raczej na znikome. — Na twarz wypełził mu szatański uśmiech.

Był typowym karierowiczem, od dzieciństwa zaangażowanym

w działalność politycznych młodzieżówek. Byłem przekonany, że sam po cichu marzy o dyrektorskim stołku, ale szczerze mówiąc, nie dawałem mu większych szans powodzenia. Jego młody wiek nie był tu przeszkodą, ale liczyłem na rozsądek prezydenta. Na pewno nie chciał mieć na tym stanowisku politycznej marionetki.

— No to prezydent będzie miał twardy orzech do rozgryzienia — rzuciłem chytrze. — Idealnym kandydatem mógł być Mateusz, ale w takiej sytuacji pewnie będzie musiał pozostać przy Hołowni. No bo kto inny by się nadawał?

Nie dał się podpuścić. Przynajmniej nie do końca. Nie zwierzył mi się ze swoich ambicji, ale potwierdził to, co słyszałem o kandydaturze Mateusza.

— Tylko że Mateusz wcale nie był tym stanowiskiem zainteresowany. To prawda, prezydent bardzo go cenił, ale wobec oporu niektórych środowisk... a także braku entuzjazmu u zainteresowanego, musiał z tego pomysłu zrezygnować. Nie, kandydatura Mateusza nie była aktualna — zamilkł, pogrążając się w marzeniach.

Jego tryskająca samozadowoleniem gęba wyprowadziła mnie z równowagi.

— Czyli jednak Hołownia? — spytałem, chcąc wbić mu szpilę. Niespodziewanie bluznął stekiem przekleństw. Kiedy mu się to opłacało, podlizywał się Hołowni na całego, ale jego prawdziwe uczucia do dyrektora oscyływały gdzieś między niechęcią a nienawiścią.

— Ten stary dureń już się z tego nie wykręci — stwierdził wreszcie, gdy wyczerpał już swój arsenał przekleństw. — Wiesz, że to on wysłał mnie tam po krzesła. Powiedział, żebym poszedł na górę i sprawdził w kanciapie. Musiał wiedzieć, co tam znajdziemy. Od razu powiedziałem to policji.

Był z siebie tak zadowolony, że miałem ochotę dać mu w pysk. Prawdopodobnie uważał się za genialnego stratega, który usunął właśnie z drogi kolejną przeszkodę do kariery. A prawda była taka, że był zwykłym nauczycielem w prowincjonalnej szkole, bez jakichkolwiek szans na awans czy rozwój. Świadomość, że za trzydzieści lat będzie pewnie w tym samym miejscu, co teraz, bardzo poprawiła mi humor. Bez słowa pożegnania opuściłem klasę i po kilkunastu minutach

siedziałem już w barze mlecznym i konsumowałem pomidorówkę, usiłując nie zwariować od nadmiaru informacji.

W wywodach Marcina odkryłem pewną sprzeczność. Skoro Mateusz miał już nie być brany pod uwagę jako następca dyrektora, to karkołomna hipoteza o jego definitywnym usunięciu przez popleczników Jana Hołowni do reszty traciła swój i tak już wątpliwy sens. Byłem także niemal pewien, że zabójca nie chciałby być kojarzony ze znalezieniem ciała. Dlatego nie przemawiały do mnie te argumenty, według których Hołownię obciążało wysłanie młodego anglisty na miejsce zbrodni. Zgoda, Hołownia mógł przedtem odkryć ciało i z niewiadomych względów to przemilczeć. Nie wierzyłem jednak, by to on ponosił odpowiedzialność za śmierć mojego przyjaciela.

Do spotkania z Kamilą miałem jeszcze trochę czasu. Zastanawiałem się, jak go spożytkować, aż w pewnym momencie przypomniałem sobie o dziewczynie pracującej w USC. Wydawało mi się, że w piątki magistrat jest czynny do piętnastej, więc zostało mi zaledwie kilkanaście minut. Nie pamiętałem niestety nawet jej nazwiska, ale w telefonie miałem zapisany numer do Aśki. Ruszyłem w kierunku urzędu miasta, jednocześnie wybierając numer.

— Cześć! Jak się masz? — powitałem swoją przyjaciółkę głosem pełnym entuzjazmu.

Entuzjazm ten nie był udawany, gdyż po wczorajszym, pełnym wrażeń dniu lubiłem ją jeszcze bardziej niż wcześniej. Ale w przeciwieństwie do mnie nie była usposobiona zbyt towarzysko.

— Gorzej — odpowiedziała krótko. Jej minorowy głos nieco mnie zaniepokoił.

— Co ci jest? — spytałem, zatrzymując się gwałtownie. — Zrobili ci już wszystkie badania?

— Zrobili — warknęła. — Wyszło na nich, że nic mi nie jest, ale mimo to zdecydowali, że przez następną dobę potrzymają mnie na obserwacji. A ja zaraz zwariuję tu z nudów. Cholera jasna — zakląła, lecz po chwili się zmięgowała. — Przepraszam, po prostu jestem świeżo po rozmowie z jednym z tych konowałów i wciąż trzęsę się ze złości.

Poczułem ogromną ulgę. Przez moment obawiałem się już, że przyplącała wczorajszą napaść jakimiś obrażeniami. Rzecz jasna jej

współczułem, bo przymusowy pobyt w szpitalu na pewno nie był zbyt przyjemny, ale umówmy się — z samych nudów jeszcze nikt nie umarł.

— Może wpadnę i cię odwiedzę? — spytałem, chcąc ją jakoś rozruszać.

— A chce ci się? — Z tonu jej głosu wyczułem, że chyba ma na to ochotę.

— No pewnie — skłamałem, a ona wzięła moje słowa za dobrą monetę. — Spróbuję do ciebie wpaść, ale na razie potrzebuję przysługi. Chciałbym porozmawiać z tą dziewczyną z USC. Jak ona się nazywała?

Aśka przekazała mi wszystkie informacje, o które prosiłem, a na koniec ubłagałem ją, by zadzwoniła i uprzedziła swoją koleżankę o mojej wizycie. Gdy oddzwoniła po trzech minutach, byłem już *vis-à-vis* budynku magistratu. W jej głosie pobrzmiwała taka niechęć, że w okamgnieniu utraciłem całą nadzieję.

— Co, nie zgodziła się ze mną spotkać? — spytałem rozczarowany.

— Wręcz przeciwnie — odpowiedziała z przekąsem. — Spotka się z tobą bardzo chętnie, mimo że jest już po godzinach. Najwyraźniej stara miłość nie rdzewieje.

Zaskoczenie na moment odebrało mi mowę.

— To dlaczego mówisz mi to takim tonem, jakby ktoś umarł? Przecież o to chodziło, nie?

— Może tobie — stwierdziła zjadliwie. — Zresztą nieważne. Czeka na ciebie w pokoju numer sto siedemnaście. Cała w skowronkach.

Roześmiałem się głośno. Byłem przekonany, że żartuje, ale chyba wrócił jej zły humor, bo niespodziewanie odłożyła słuchawkę, pozostawiając mnie sam na sam z odgłosem przerwane połączenia. Nie zmartwiło mnie to ani odrobinę — nie chciało mi się jechać do Warszawy, a jej zachowanie dało mi doskonały pretekst do odroczenia szpitalnych odwiedzin. Przez chwilę roztrząsałem przyczyny jej mało uprzejmego zachowania. Doszedłem do wniosku, że główną przyczyną był jej zły humor wywołany pobytem w szpitalu. Chwilowe podejrzenie, iż była zazdrosna o to, że spotkam się z jej koleżanką, odrzuciłem jako absurdalne. Aśka знаła mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie jestem dla niej materiałem ani na męża, ani na kochanka.

Zignorowałem komentarz ochroniarza, że dzisiaj już i tak niczego nie zdążę załatwić, i wszedłem do budynku magistratu. Idąc za wskazówkami umieszczonymi na białej tablicy przy wejściu, wspiałem się po schodach na pierwsze piętro i po krótkiej chwili odszukałem właściwy pokój. Zapukałem pospiesznie i delikatnie pchnąłem drzwi. Wewnątrz siedziała pulchna dziewczyna w grubych okularach i bladozielonym swetrze. Zgadłem, że była to właśnie moja była uczennica.

— Cześć, Iza — zaryzykowałem i posłałem jej firmowy uśmiech.

— To naprawdę pan — odpowiedziała nieco rozdygotanym głosem. — A myślałam, że Aśka znowu sobie ze mnie żartuje. — Podniosła się z krzesła i niezgrabnym ruchem podała mi rękę.

Przypominała średnio dojrzałego hipopotama, ale jej zmieszanie wydało mi się urocze. Odniosłem wrażenie, że jej afekt do mojej osoby był wciąż aktualny, i zrobiło mi się przykro, bo kompletnie jej nie pamiętałem. Nazwisko Nazaruk kojarzyło mi się jedynie z odległymi czasami, w których interesowałem się krajowymi rozgrywkami piłki nożnej.

— Naprawdę miło cię znów widzieć po tylu latach — zełgałem i patrzyłem, jak jej skóra zmienia kolor z lekko zaróżowionego na buraczany. I nagle sam poczułem coś na kształt zmieszania. Nigdy nie zaliczałem się do amantów i nie byłem przyzwyczajony do tak spontanicznych reakcji ze strony reprezentantek płci przeciwnej.

Zapadła cisza, która po kilku sekundach zaczęła się robić niezręczna.

— Napije się pan kawy? — zaproponowała wreszcie na wdechu moja wielbicielka.

— Z przyjemnością — odparłem. — I daj spokój z tym panem. Nie jesteśmy już w szkole. Mam na imię...

— Tomek, wiem! — niespodziewanie krzyknęła, a potem chwyciła się za usta i spiekła raka. — Panie Tomku... to znaczy Tomku... Będę za dwie minuty. — Chwyciła za kubek i zniknęła za drzwiami, pozostawiając mnie w stanie będącym mieszaniną rozbawienia i zażenowania.

Nie było jej nieco dłużej, ale przygotowana przez nią kawa była



wyborna. Dostrzegłem, że zdążyła też poprawić fryzurę i podkreślić makijaż. Poczułem, że coraz bardziej ją lubię. Rozbroiła mnie swoją bezpretensjonalnością i nagle zdałem sobie sprawę, że wyciąganie z niej informacji byłoby równoznaczne z wykorzystaniem jej naiwności. Nie umiałem być aż takim cynikiem. Dlatego zamiast uraczyć ją jakąś naprędce wymyśloną bajeczką, zdecydowałem się postawić na szczerość i przedstawiłem jej w zarysie swoje podejrzenia dotyczące zabójstwa Mateusza. Słuchała z otwartymi ustami.

— Jak ci mogę pomóc? — spytała w sekundę po tym, jak skończyłem.

Patrzyła na mnie jak wierny pies na swojego właściciela. Poczułem wyrzuty sumienia.

— Chciałem cię prosić o kilka danych osobowych, ale... nie chcę, żebyś miała kłopoty. To nie jest aż tak ważne, żeby cię namawiać do zrobienia czegoś... co może być... nielegalne — jąkałem się, patrząc na jej okrągłą twarz.

Byłem gotów odpuścić przy pierwszych oznakach zawahania, ale ona tylko się uśmiechnęła.

— Bez przesady — stwierdziła, pozbywszy się wreszcie nerwowości. — Przecież to nie są nie wiadomo jakie tajemnice. Owszem, obowiązuje mnie pewna poufność, ale wszystkie dane, które tutaj mamy, mógłbyś bez problemu uzyskać w inny sposób. Choćby kontaktując się z pierwszym lepszym prywatnym detektywem. Mamy tutaj naprawdę niewiele informacji. Narodziny, śluby, zgony. Jak chcesz, to mogę też uzyskać aktualne adresy zameldowania, imiona rodziców, dzieci... I to wszystko. Nie ma historii kredytowych ani informacji o przebytych chorobach — uśmiechnęła się zachęcająco. — Pytaj, o co chcesz, to dla mnie naprawdę żaden problem.

— Na pewno? — spytałem, chcąc uspokoić swoje niezbyt czyste sumienie.

— No jasne — odpowiedziała z uśmiechem, a ja jej uwierzyłem. Pewnie dlatego, że bardzo chciałem uwierzyć.

Podyktowałem jej dwa nazwiska, a ona uruchomiła stojący na biurku komputer. Byłem zaskoczony, gdyż spodziewałem się żmudnych poszukiwań w zakurzonym archiwum.

— Mamy dwudziesty pierwszy wiek — rzuciła w odpowiedzi na moją uwagę, a potem wprowadziła ciąg znaków, który musiał być hasłem do systemu. — Maciej Hołownia — wyrecytowała i znów nacisnęła kilka klawiszy, a potem utkwiała wzrok w ekranie.

Zauważyłem, że bardzo mruży oczy.

— W lewym oku mam minus cztery dioptrie, a w drugim minus pięć — rzuciła w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie, a potem znów skoncentrowała się na obrazie. — Jest! — powiedziała po chwili podnieconym tonem. — Zgon w styczniu dwutysięcznego roku, czterdzieści osiem lat. I miałeś rację. Rzeczywiście nie umarł w Legionowie. Akt zgonu został wystawiony przez Urząd Stanu Cywilnego w jakimś Sompolnie.

— Gdzie? — spytałem, bo nie znałem tej miejscowości.

— W Sompolnie — odpowiedziała i wklepała tę nazwę w wyszukiwarce. — To w okolicach Konina, blisko autostrady A2 — wyjaśniła. — Jeżeli przyczyną śmierci był wypadek, to jakimiś informacjami powinna dysponować miejscowa komenda policji. Niestety w naszych bazach są tylko suche dane z aktu zgonu.

— Jasne, rozumiem — uśmiechnąłem się z wdzięcznością. — Naprawdę bardzo mi pomogłaś...

Chciałem powiedzieć coś więcej, ale nie dała mi skończyć.

— Czekaj, jeszcze ten drugi — przerwała, wklepując w komputer nazwisko Szymona Pełki, czyli nauczyciela, który po śmierci Agaty Opióły wylądował w więzieniu. — Czekaj, coś pomyliłam — odezwała się po chwili i ponowiła swoją czynność. — Ale numer — stwierdziła wreszcie takim tonem, że natychmiast podniosłem się z krzesła i dosłownie wsadziłem głowę w monitor.

W centralnej części ekranu wyświetlona była niewielka tabelka. Po chwili zorientowałem się, że zawiera podstawowe dane o urodzeniu i zameldowaniu. Ale nie zgadzała się osoba.

— To ma być Szymon Pełka — powtórzyłem interesujące mnie nazwisko, ale dłonie Izy nie przebiegły ponownie po klawiaturze.

Dziewczyna oderwała wzrok od monitora i popatrzyła na mnie tajemniczo.

— To jest Szymon Pełka — stwierdziła marszcząc czoło.

Przez moment patrzyłem na nią baranym wzrokiem, a potem — tknięty nagłym przecuciem — przeniosłem wzrok z powrotem na ekran. Wyświetlone na nim dane należały do niejakiego Mariusza Wojciechowskiego. Miał on czterdzieści kilka lat i był zameldowany nieopodal Legionowa, w miejscowości Łajski. Moją uwagę przykuł jednak nie jego adres, lecz umieszczony nieco wyżej niepozorny podtytuł.

— Poprzednie nazwiska — przeczytałem i cicho gwizdnąłem.

Szymon Pełka stał się Mariuszem Wojciechowskim prawie dziesięć lat temu. Domyśliłem się, że zmienił nazwisko wkrótce po opuszczeniu więzienia. Pewnie myślał, że zmiana tożsamości zapewni mu nowy start, ale było to myślenie raczej naiwne. Co z tego, że inaczej się teraz przedstawiał, skoro twarz, głos czy sylwetka pozostały takie same? Legionowo, chociaż stopniowo nabierało coraz bardziej wielkomiejskiego charakteru, wciąż nie było jednak na tyle duże, by nauczyciel skazany za śmierć dziewczynki mógł w jego obrębie pozostać osobą chociaż w pewnym stopniu anonimową. Nawet jeżeli nie wrócił do zawodu, to nadal ciągnął się za nim smród tamtych wydarzeń, i to niezależnie od tego, czy znajomi wołali na niego Szymon, czy Mariusz.

Wzruszyłem ramionami i po zanotowaniu jego aktualnego adresu straciłem zainteresowanie zawartością ekranu. Ale Iza wciąż wpatrywała się w niego ze zdziwieniem.

— O co chodzi? — spytałem w końcu, lekko zaciekawiony.

— Imiona — szepnęła pod nosem, coraz bardziej mnie intrygując.

— Imiona? — powtórzyłem po chwili, gdyż nie raczyła wyjaśnić, o co jej chodzi.

— Przepraszam — zreflektowała się. — Po prostu zmiany imienia zdarzają się bardzo rzadko. Ludzie dość często decydują się na zmianę nazwiska, szczególnie w przypadkach, gdy ich nazwiska głupio brzmią. Wiesz, o co mi chodzi: Ruchała, Fiut i tym podobne... — Zarumieniała się aż po cebulki włosów. — Ale co innego imię. Imię jest wizytówką człowieka, ciężko jest nauczyć innych, by zwracali się do ciebie inaczej niż dotychczas. Jeszcze rozumiem, gdy ktoś ma jakieś głupie skojarzenia. Teofil-pedofil czy coś w tym stylu. Ale co złego jest w Szymonie?

Pokręciła głową, a ja jej zawtórowałem. Rzeczywiście zmiana imienia wydała mi się, delikatnie mówiąc, dość ekstrawagancka. Uznałem jednak, że nie ma co się nad tym zastanawiać. Postanowiłem, że złożę mu wizytę i po prostu się go o to zapytam. Nie powinien poszczuć mnie psami. W końcu jakaś solidarność zawodowa chyba obowiązywała.

— Możesz sprawdzić, kto jeszcze jest zameldowany razem z nim?

Kiwnęła głową i wprowadziła do komputera kilka komend. Oczekiwanie trwało tym razem trochę dłużej, ale dziewczyna i tak była zadowolona.

— W godzinach pracy sieć jest przeciążona i dokonywanie takich sprawdzeń idzie znacznie wolniej — wyjaśniła, po czym najechała myszką na ikonkę odświeżania strony.

Nie musiała jej jednak naciskać, bo na ekranie pojawiły się dwa nowe nazwiska.

— Dominik Pełka. I Maria Pełka — odczytałem. — Kto to jest? Jego dzieci?

— Na pewno nie — pokręciła gwałtownie głową. — Oboje są od niego starsi prawie o trzydzieści lat. Sądząc po wieku, to raczej rodzice.

Ponadczterdziestoletni kawaler mieszkający pod jednym dachem z rodzicami? „Musi być większym dziwakiem niż nasz nauczyciel fizyki” — pomyślałem w pierwszej chwili. Potem jednak przypomniałem sobie Masternaka i pokręciłem głową. Nikt nie mógł być większym dziwakiem od niego.

Z zamyślenia wyrwało mnie niespodziewane pytanie Izy.

— Co jeszcze chciałbyś sprawdzić?

Zdałem sobie sprawę, że dziewczyna bardzo się zaangażowała w poszukiwania i świetnie się przy tym bawi. Chyba pierwszy raz ktoś ze znajomych aż tak zainteresował się jej dość monotonną z pozoru pracą i najwyraźniej sprawiało jej to niekłamaną przyjemność. Ale nie miałem dla niej dobrych wiadomości. Dowiedziałem się już wszystkiego, czego chciałem. Musiałem się zbierać, bo za kilkanaście minut byłem umówiony z Kamilą.

— Zaczekaj jeszcze — poprosiła i zaczęła znów uderzać w klawiaturę. Po chwili dobiegł mnie jej śmiech. W założeniu miał być

chyba zalotny, ale mi — pomimo najlepszych chęci — skojarzył się natychmiast z rechotem ropuchy.

— Masz dopiero trzydzieści trzy lata — powiedziała, posyłając mi roześmiane spojrzenie. — Chłopak z Podlasia... No, no, no...

Nagle z jej oczu zniknęła jakakolwiek radość. Niespodziewanie wypełniły się łzami. Domyśliłem się, że tym razem wyświetliła tabelkę, w której były moje dane. Zaciekawiony chciałem jej zerknąć przez ramię, ale odwróciła się do mnie z grymasem niechęci i wyłączyła monitor. A potem wstała i spojrzała na mnie ponuro.

— Lepiej niech pan już pójdzie — powiedziała oficjalnie jak do natrętnego petenta.

Po jej zalotności nie został najmniejszy ślad. W jej oczach dostrzegłem jedynie rozczarowanie i zapalające się stopniowo iskierki złości. Najwyraźniej nie spodobały jej się moje dane.

Była z pewnością ode mnie cięższa, więc nie chciałem ryzykować, że się na mnie rzuci. Szurnąłem nogami jak sztubak i już byłem na parterze.

— A mówiłem, że nic pan nie załatwi, panie profesorze — rzucił na mój widok ochroniarz, w którym rozpoznałem ojca jednej z moich uczennic.

— Nie było tak źle — stwierdziłem. — Coś tam się udało.

Podąłem mu na pożegnanie rękę i wyszedłem z klimatyzowanego wnętrza w pałac promienie popołudniowego słońca. Byłem tak zadowolony, że miałem ochotę podskakiwać, ale spotkanie z ochroniarzem uświadomiło mi, że nie byłby to najlepszy pomysł. Uczyłem w Legionowie od niemal pięciu lat i po raz kolejny odniosłem wrażenie, że przez ten czas zdążył mnie poznać przynajmniej co drugi mieszkaniec miasta. Ci, którzy twierdzili, że nauczyciele są w pewnym sensie osobami publicznymi, mieli sporo racji. Takie są już blaski i cienie tego zawodu...

Umówiłem się z nią pod Empikiem. Przybiegła punktualnie i na przywitanie cmoknęła mnie w policzek. Bez munduru wyglądała na kilka lat młodszą. Chciałem zaprosić ją na kawę, ale miała inne plany.

— Knajpa odpada, wokół jest zbyt wiele ciekawskich uszu. Pojedziemy gdzieś, gdzie będziemy mogli swobodnie porozmawiać

— zdecydowała, wskazując na zaparkowanego przy krawężniku volkswagena golfa. Samochód miał swoje lata, ale był zadbany i lśnił czystością. — To druga generacja — stwierdziła ze słabo udawaną dumą. — Kilka lat temu jeździł takim co drugi dresiarz, ale teraz to samochód wyłącznie dla koneserów.

— Albo dla ludzi utrzymujących się z policyjnej pensji — powiedziałem z uśmiechem, ale udała, że mnie nie do słyszała.

W pierwszej chwili miałem wrażenie, że jedziemy do mnie. Już miałem zaprotestować, gdy skręciła i zatrzymała się na leśnym parkingu przy murze cmentarza. Zrozumiałem, że, gdy mówiła o spokojnym miejscu, chodziło jej o cmentarz, i w myślach uchyliłem przed nią kapelusza. Trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce do dyskretnej rozmowy — ci, którzy mogli nas tam podsłuchać, nie wypowiedzą już nigdy ani jednego słowa.

Byłem w swoim życiu na wielu cmentarzach. Oprócz tych polskich i europejskich miałem okazję zwiedzić też nekropolie na trzech innych kontynentach. Widziałem cmentarze w Paryżu i Nowym Jorku, w Babilonii i górach Hindukuszu — ale żaden z nich pod żadnym względem nie dorównywał temu w Legionowie.

Było tu zacisznie i zaskakująco malowniczo. Najstarsze zachowane nagrobki pochodziły z lat trzydziestych dwudziestego wieku, więc cmentarz nie należał do szczególnie starych. Olbrzymim atutem było natomiast jego usytuowanie. Położony był na urozmaiconym, pagórkowatym terenie przypominającym park. Pokrywały go najróżniejsze gatunki drzew — od pękatych iglaków po strzeliste topole. Najpiękniejszy był jesienią, kiedy alejki i nagrobki tonęły pod grubą warstwą różnokolorowych liści. Ale teraz też robił wrażenie, porażając oczy intensywną zielenią. Jeżeli miałbym w tym momencie wybierać miejsce swojego wiecznego spoczynku, to nie wahałbym się ani chwili.

— Nie mów nawet takich rzeczy — wzdrygnęła się Kamila, gdy jej o tym powiedziałem. — Lepiej poszukajmy jakiejś ławeczki, bo trochę się dzisiaj nachodziłam.

— Myślałem, że dopiero wstałaś — rzuciłem, prowadząc ją w kierunku swojej ulubionej części cmentarza, czyli wydzielonego terenu z grobami z okresu drugiej wojny światowej.

— Tędy nie przejdziemy — stwierdziła, ale okazało się, że nie ma racji. — Widzę, że znasz tutaj każdy kąt. No jasne, przecież zaraz obok mieszkasz — przypomniała sobie po chwili, a potem zaczęła opowiadać o przebiegu swojego dnia.

Zgubiłem się już po kilku zdaniach.

— Rozumiem, że wpadłaś na komendę. Ale po co byłaś na Piaskach i dlaczego włóczyłaś się po błoniach w Wieliszewie? — spytałem, bo nic z tego nie rozumiałem.

— Odwiedzałam kolegów, którzy prowadzą te śledztwo. Każdy jest odpowiedzialny za inny wątek, a ja chciałam mieć jak najpełniejszy obraz. Na przykład ten z Piasków bada ewentualny związek śmierci Mateusza z zaginięciem pana Leopolda. Dałam mu ten fragment okularów, który znalazłeś w Popowie, a on w zamian uraczył mnie taką historią, że aż usiadłam z wrażenia. Ty też usiądziesz, ale najpierw to ja chciałabym... usiąść. Tak fizycznie — dodała, gdy dotarło do niej, że trochę bredzi.

Odszukałem swoją ulubioną ławeczkę, ukrytą w kępie wyrosniętych cisów. Znajdowała się między bezimiennymi nagrobkami i wyglądała na kompletnie zapomnianą.

— Nie znajdziesz bardziej ukrytego miejsca — powiedziałem, ściągając marynarkę i kładąc ją wewnętrzną stroną na poczeriałych ze starości deskach. — Tą alejką nie przechodzi więcej niż pięć osób dziennie. Siadaj — uczyniłem zapraszający gest i usiadłem zaraz obok niej.

— Na pewno wiesz, że Mateusz miał samochód, prawda? — zaczęła od niespodziewanego pytania, na które odpowiedziałem twierdząco. — Policja zlokalizowała go dopiero dzisiaj rano. Stał zaparkowany na parkingu przy Królowej Jadwigi, koło gimnazjum. Wiesz, kto mieszka tuż obok?

Pomyślałem, że chodzi jej o mieszkanie Janki i Mateusza, ale ich blok znajdował się przecież dobre pół kilometra drogi od gimnazjum i nigdy nie brakowało pod nim miejsca do zaparkowania. Przez chwilę przeszukiwałem swoją pamięć i nagle zrozumiałem, dlaczego patrzyła na mnie z tak poważną miną.

— Pan Leopold? — zapytałem, niemal bojąc się twierdzącej

odpowiedzi. Gdy nastąpiła, poczułem dreszcze.

— Gdybyśmy tylko mogli ustalić, od kiedy tam parkował — westchnąłem i popatrzyłem na nią ze zdziwieniem, bo na jej twarzy pojawił się uśmiech. — Możemy?!

— Oczywiście — odpowiedziała. — To nie jest co prawda Warszawa, ale na kilku skrzyżowaniach są zainstalowane kamery. Chłopaki sprawdzili to od razu i wyszło im, że Mateusz zostawił tam swój samochód kilka minut po dziesiątej wieczorem.

— Kilka minut po dziesiątej? To by się zgadzało — powiedziałem powoli. Chciałem jej opowiedzieć o swoich ustaleniach, ale nie dała mi dojść do słowa.

— Zaraz potem Mateusz poszedł do szkoły, żeby tam przenocować, tak jak to robił już od kilku dni — mówiła, a ja co jakiś czas kiwałem głową. — Wiesz to z analizy nagrania, które otrzymałeś od agencji ochrony. Czy ty wiesz, co ci kretyni zrobili? Dali wam jedyną płytę! Kiedy się do nich zwróciliśmy, tylko rozłożyli ręce. Na szczęście wasz informatyk nie robił problemów i udostępnił nam oryginał nagrania. Tu dochodzimy do pijanego mężczyzny w kapturze, ale chciałabym się jeszcze cofnąć. Jak myślisz, dlaczego samochód Mateusza stał zaparkowany właśnie tam?

Nie zdążyłem się nad tym jeszcze zastanowić.

— Może wpadł na chwilę do matematyka około dziesiątej? Nie mam pojęcia po co, ale wygląda na to, że się wtedy spotkali.

— To miałyby ręce i nogi, ale dlaczego nie pojechał potem samochodem pod szkołę?

Rozłożyłem ręce.

— Nie mam bladego pojęcia — przyznałem, ale w tym momencie zaczęło mi coś świtać. — Nie pojechał, bo... nie mógł — myślałem głośno, zagryzając wargi. — A dlaczego nie mógł? Samochód był przecież sprawny... Nie mógł, bo... Bo przecież pił wcześniej alkohol! — dokończyłem zaskoczony własną przenikliwością.

Entuzjazm w moim głosie spłoszył małego wróbelka, który podskakiwał dotąd nieopodal naszych stóp. Kamila była pod wrażeniem.

— Brawo — powiedziała. — Nam to zajęło znacznie więcej czasu. Mateusz w ogóle nie mógł tego dnia prowadzić. Jeżeli więc miejski



monitoring zarejestrował przejazd jego samochodu, to znaczy, że prowadził go kto inny. Tylko kto?

Odpowiedź była oczywista.

— Pan Leopold, prawda? Jechali skądś razem i on po prostu odwiózł się pod dom. Czy nie tak?

Kiwnęła głową.

— Powiększyliśmy zdjęcie z monitoringu i okazało się, że rzeczywiście jechali gdzieś we dwóch, z panem Leopoldem za kierownicą. Zastanawiałam się tylko, dlaczego matematyk nie odwiózł najpierw Mateusza, ale doszłam do wniosku, że Mateusz nie chciał się mu przyznawać do tego, że śpi w szkole. Mogło być tak, że Leopold wysadził go pod jego blokiem... to znaczy blokiem, w którym mieszkała Janka, a Mateusz dopiero stamtąd pojechał pod szkołę.

To miało sens, ale było w całej sprawie najmniej ważne. Istotne było coś innego.

— A czy wiecie, skąd przyjechali? — spytałem, ale tym razem nie miała dobrych wiadomości.

— Próbuje coś ustalić, ale to może niestety potrwać. Podobnie jak analiza mikrośladów i inne badania. Technicy zebrali na przykład z samochodu odciski palców, a także zajęli się fragmentem okularów. Wszystko to trafiło do laboratoriów i pewnie jak zwykle tam utknie. A my możemy tylko spekulować. Wiesz, jakie mam przeczucie?

Wzruszyłem ramionami.

— A czy wyglądam na jasnowidza? — spytałem, mając nadzieję, że nie obudzę mojej babci szeptuchy.

— Według mnie mogli wracać z działki pana Leopolda. Nie wiem, z kim się tam spotkali, ale mogło tam dojść do jakiejś bójki. Pamiętasz, że Mateuszowi ktoś przed śmiercią podbił oko? A może ten sam „ktoś” uderzył też matematyka, rozbijając mu okulary?

— A może to matematyk zamordował Mateusza i potem zniknął? Albo ich obu zabił dyrektor Hołownia? — powiedziałem z przekąsem, bo nie lubiłem fantazjować. Byłem historykiem i chciałem opierać się wyłącznie na faktach.

— Jeżeli mordercą Mateusza był facet w kapturze, to na pewno nie był to ani pan Leopold, ani dyrektor Hołownia — powiedziała

stanowczo, udając, że nie zauważyła w moim głosie ani śladu ironii.

— A to z kolei sprowadza nas do ciebie. Bo przecież „kapturzasty” chciał wykończyć również ciebie, nieprawdaż?

Nie byłem do końca przekonany. Miałem wrażenie, że morderstwo Mateusza było dopracowane w najdrobniejszych szczegółach, podczas gdy akcja w parku Łazienkowskim potoczyła się w sposób kompletnie chaotyczny. Tak, jakby profesjonalista w przeciągu jednej doby zamienił się w kompletnego amatora. Wyraziłem swoje wątpliwości, ale miała na ten temat swoje zdanie.

— To był amator — stwierdziła stanowczo. — I działał spontanicznie. W przeciwnym wypadku nie sikałby na mur po to, byśmy mogli pobrać jego materiał genetyczny. Ba, w ogóle nie zabierałby się do rzeczy po pijaku!

Wyglądała na przekonaną, ale postanowiłem nieco skruszyć ten jej mur pewności.

— Skoro jest takim kompletnym amatorem, to dlaczego jeszcze go nie złapaliśmy? Od śmierci Mateusza minęło już grubo ponad sześćdziesiąt godzin, a my wciąż nie mamy pojęcia, kto był mordercą.

Przez chwilę patrzyła na mnie w zamyśleniu. Chociaż głowę miałem nabitą stoma teoriami dotyczącymi zabójstwa, to nie mogłem zignorować faktu, że jej pełne usta znajdowały się zaledwie o kilka centymetrów od moich. Złapałem się na tym, że wyobrażam sobie ich smak. Szybko odsunąłem głowę i wpatrzyłem się w omszały nagrobek.

Na szczęście była nieświadoma tego, co działo się w mojej głowie. Jej myśli wciąż krążyły wokół sprawy.

— Dużo sobie obiecywałam po analizie billingów telefonicznych — wyznała — ale niestety nasi analitycy nie znaleźli nic ciekawego. W dniu swojej śmierci Mateusz wykonał tylko dwa połączenia. Najpierw, kilka minut po osiemnastej, zadzwonił do matematyka i gadał z nim przez prawie dwie minuty. Potem, jak wiemy, na chwilę skontaktował się z żoną. Niestety nie udało się ustalić, kto dzwonił do niego o osiemnastej. Mówię „niestety”, bo ten telefon jest moim zdaniem kluczowy, od niego wszystko się zaczęło. Wiemy tylko tyle, że dzwono z aparatu na kartę.

— To rzeczywiście niewiele — mruknąłem półprzytomnie.

Prawdę mówiąc, nie słuchałem jej zbyt dokładnie, zajęty myślą, która zaległa się właśnie w mojej głowie. Skoro Mateusz zaraz po odebraniu tajemniczego telefonu skontaktował się z panem Leopoldem, to rozmowa musiała dotyczyć czegoś, co ich łączyło. Jak bumerang wracała sprawa ich wspólnych kolonii. Niestety Kamila od wczorajszego wieczoru nie zdobyła w tej sprawie żadnych nowych informacji.

— Musimy pójść na sushi — stwierdziła tylko, a ja pomyślałem, że to nie jest taki zły pomysł.

— Albo zobaczyć się z Pełką vel Wojciechowskim — dodałem i znów nieostrożnie spojrzałem jej w oczy.

Były intensywnie zielone i odniosłem wrażenie, że lśniły jakimś dziwnym blaskiem. Niewiele brakowało, abym w nich utonął. Z najwyższym trudem przeniósłem wzrok na marmurową płytę nagrobka i przez chwilę nie pamiętałem, o czym rozmawialiśmy.

— A co ze sprawą zniknięcia pieniędzy ze szkolnego konta? — spytałem, gdy odzyskałem oddech. Odniosłem wrażenie, że też się na chwilę wyłączyła, dlatego pospieszyłem z wyjaśnieniem. — Gadałem z nauczycielem, który twierdził, że to jakieś nieporozumienie i że nie zniknęła nawet złotówka. Oczywiście kłamał, bo...

— Czekaj — przerwała mi w pół zdania, znów skoncentrowana. — Mówisz o tej wypłacie z banku przy Rynku? Mam w telefonie nagranie z monitoringu, a moi koledzy rozpytali nawet na tę okoliczność pracowników banku. Ten twój nauczyciel nie kłamał. Rzeczywiście z konta nic nie ubyło. To znaczy ubyło, ale następnego dnia zostało zwrócone.

— Mateusz wpłacił z powrotem całą kwotę? — zapytałem zdziwiony.

— Mateusz nie miał z tymi transakcjami nic wspólnego. Na nagraniu jest ktoś inny. Gdy przycisnęliśmy kierownika placówki, powiedział nam coś ciekawego. Podobno facet, który wypłacił pieniądze, wrócił następnego dnia i oświadczył, że się pomylił. Miał wypłacić osiem, a wypłacił osiemdziesiąt tysięcy. Był przerażony i kiedy zgodzili się przyjąć tę całą sumę z powrotem, rozplakał się jak dziecko. Nie wiem, czego się bał. Że bank odmówi zaksięgowania wpłaty czy co? Przecież każdy wie, że banki tak nie działają.

Tknięty dziwnym przecuciem wziąłem od niej telefon i odtworzyłem nagranie. Było dużo lepszej jakości od tego, które zarejestrowała kamera umieszczona pod naszą szkołą. Wyraźnie dostrzegłem wewnątrz banku, a potem w kadr weszła właśnie ta postać, której się tam spodziewałem.

— To kanalia — mruknąłem i wpatrzyłem się w potargane włosy fizyka.

Oba nagrania — jedno przedstawiające wypłatę, a drugie wpłatę — następowały bezpośrednio po sobie. Na pierwszym Masternak wyglądał na skrajnie zdenerwowanego, na drugim zaś jego zdenerwowanie stopniowo przechodziło w ulgę. Przypominałem sobie bajeczkę, którą uraczył mnie przed kilkoma godzinami, i miałem ochotę wbrew sobie nagrodzić jego występ oklaskami. Był świetnym aktorem i gdyby nie dał się złapać na znajomości kwoty, z pewnością niczego bym nie podejrzewał. Ale teraz było jasne, że od początku do końca beczelnie łągał. Obiecałem sobie, że odtąd nie uwierzę w żadne jego słowo.

— Po co mu były te pieniądze? — zastanawiała się Kamila. — I to na jeden dzień... Może to hazardzista? Słyszałam o takich, co brali służbową kasę, szli do kasyna i całą kwotę kładli na przykład na czerwone. Mieli blisko pięćdziesiąt procent szans na sukces. Albo podwajali tę kwotę, albo się jej pozbywali. Może on akurat wygrał?

Machnąłem ręką.

— Nie sądzę — stwierdziłem. — Może rzeczywiście się pomylił? Kto go tam wie? W każdym razie przy najbliższej sposobności go o to zapytam. Zobaczysz, że wszystko mi wyśpiewa.

— To na pewno nie była pomyłka — zawyrokowała dziewczyna. — W przeciwnym razie by się przyznał. Podejrzewam, że mógł to robić na czyjeś polecenie i zobowiązał się do dyskrecji. Ale w takim razie skąd kwit wypłaty wziął się u Mateusza? Co za cholerna sprawa. Od tego wszystkiego rozboleła mnie głowa...

Mnie też od kilku minut coś zaczęło łupać w skroni. Nie potrafiłem powiedzieć nic mądrego. Znów wkraczaliśmy na grunt spekulacji. Jeżeli to jakimś cudem była pomyłka, to może Mateusz był tym, który ją zauważył. A jeżeli to było zorganizowane działanie? To mogło oznaczać, że Mateusz mógł komuś bardzo podpaść.

— Czy to dlatego musiał zginąć? — spytałem, ale Kamila tylko pokręciła głową.

— Nie mam pojęcia. Ale nie możemy tego zignorować. Cholera! — zaklęła, dając upust nadmiarowi emocji. — Czy wiesz, gdzie mieszka ten nauczyciel fizyki? Trzeba będzie złożyć mu wizytę, tylko nie wiem, czy nie wezwać posiłków. Facet wygląda na kompletnego świra.

— Jest świrem, ale raczej niegroźnym — stwierdziłem, podając jej kartkę z jego adresem. — Nie wierzę, żeby miał coś wspólnego ze śmiercią Mateusza. Bardziej jestem skłonny uwierzyć w to, że ktoś się nim wyręczył. Może dyrektor Hołownia albo ten porąbany biznesmen.

— Antoni Winnicki? — spytała, a gdy zrobiłem zdziwioną minę, postanowiła mnie oświecić. — Słyszałam, słyszałam. Do nas też przyszedł ze skargą na ciebie. Na szczęście nie było komendanta i chłopaki jakoś go spławili. Ale kiedy wróci komendant... Nie chciałabym być w twojej skórze.

— A co? Tak są zaprzyjaźnieni?

— Tak. To jest co prawda tylko przyjaźń taktyczna, ale wiesz, jak jest... Przyjaźń taktyczna bywa silniejsza od tej zwykłej, nie?

— Mogą mi naskoczyć — powiedziałem naburmuszonym głosem. Miałem już swoje lata i naprawdę wiele w życiu widziałem, ale wciąż lubiłem wierzyć, że żyję w państwie prawa. Wszystkie przejawy tego, że nie mam racji, nieodmiennie wyprowadzały mnie z równowagi.

— No nie denerwuj się — mrugnęła do mnie swoim zielonym okiem i lekko trąciła mnie łokciem. Była blisko, o wiele za blisko.

— Wszyscy z komendantem na czele wiemy, że gość jest trochę niezrównoważony i zamieszany w jakieś ciemne sprawy. Bierzemy pod uwagę niemal wszystko, ale trudno nam uwierzyć, że załatwił Mateusza z powodu osiemdziesięciu tysięcy złotych. To dla niego naprawdę śmieszna kwota, tyle to on potrafi wydać przez weekend. Zastanawialiśmy się nad czymś innym. Widzisz, on jest totalnie walnięty na punkcie swojego synalka.

— Coś o tym wiem — wtrąciłem. — A ten synalek to też lepsze ziółko.

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni — przyznała ze śmiechem, ale zaraz spoważniała. — Zastanawialiśmy się, czy Mateusz nie został

zabity z powodu jakiegoś konfliktu z Winnickim juniorem. Wiem, że to naciągane, ale gdy się temu bliżej przyjrzeć, to nie aż tak bardzo. Stary Winnicki jest wariatem, a przy tym ma naprawdę dużo forsy. To niebezpieczna mieszanka. Oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie go podejrzewał o wślizgnięcie się do szkoły i zabicie Mateusza własnymi rękami, ale...

— ...mógł komuś to zabójstwo zlecić — wszedłem jej w słowo, lekko zszokowany.

— Bingo! — powiedziała z chytrym uśmiechem. — Też tak myślałam, ale to raczej mało prawdopodobne. I to z dwóch powodów. Domyślasz się z jakich?

Podrapałem się po głowie. Musiałem mieć głupią minę, bo wybuchła śmiechem.

— Nie zlecałby zabójstwa jakiemuś pijaczkowi — powiedziałem z urażoną godnością.

— Właśnie — natychmiast pokiwała głową. — Skoro ma kontakty w przestępczym półświatku, to wynajęłby do tej roboty kogoś innego. Kogoś, kto nie inscenizowałby dramatycznego samobójstwa, tylko raczej upozorował jakiś wypadek. To pierwsza poszlaka świadcząca o jego niewinności. A druga? Gdyby Winnicki był w jakiś sposób zamieszany w śmierć Mateusza, to na pewno starałby się nie zwracać na siebie uwagi. Nie przyszedłby do szkoły i nie wywołał awantury, nie łąziłby po całym mieście, opowiadając, jaki to z ciebie bandyta, a o zmarłym wypowiadałby się z najwyższym szacunkiem. Nie, tak nie działa psychika zabójcy. Winnicki nie miał z tym nic wspólnego.

— Być może. — Nie byłem do końca przekonany, ale nie chciałem taplać się w domysłach. — Ale na takiej samej zasadzie można by wykluczyć z grona podejrzanych również Hołownię. Dyrektor szkoły zabijający swojego rywala do stołka. Przecież to nie brzmi poważnie, prawda?

Rozejrzała się dookoła, a potem niespodziewanie objęła mnie i przysunęła wargi do mojego ucha. Zanim zdążyłem w jakikolwiek sposób zareagować, usłyszałem jej szept.

— Pamiętasz, co ci wczoraj mówiłam o grupie interesu, która zwalczała kandydaturę Mateusza na dyrektora?

— Nazwałaś ich „możnymi protektorami” — przypominałem sobie, ale zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej, położyła mi palec na ustach.

— To nie ja, to nasz kontakt operacyjny... czyli człowiek, który z nami współpracuje. Otóż ten kontakt jest ulokowany wysoko w magistracie i świetnie zna wszystkich tych, którzy się liczą. Po morderstwie Mateusza dostał zadanie, żeby trochę powęszyć...

— Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wczoraj? — przerwałem jej ze śladem urazy w głosie. — Myślałem, że sobie ufamy — dodałem, ale nie potrafiłem się na nią zezłościć. Pachniała jakimiś kwiatowymi perfumami. Upajałem się tym zapachem jak narkotykiem.

— Pozwól mi skończyć — odparła spokojnym tonem, a potem znów zaczęła szeptać. — To wszystko jest ściśle tajne i dotarło do mnie dopiero dzisiaj. Żeby poznać szczegóły, musiałam przez dobrą godzinę włóczyć się po polach w Wieliszewie. Mieszkający tam kolega, który pracuje z osobowymi źródłami informacji, ma do mnie słabość... Zresztą to jest nieważne — zarumieniła się. — Dowiedziałam się od niego, że wczorajsza hipoteza policji nie była warta funta kłaków. Nikt spośród „możnych protektorów” Hołowni nie był zainteresowany śmiercią Mateusza. Wręcz przeciwnie, ta śmierć była im bardzo nie na rękę. Obawiają się teraz, że to zabójstwo ściągnie na szkołę uwagę i pozwoli zdemaskować jakieś ich podejrzane machinacje przy niedawnym remoncie.

Urwała, ale jeszcze przez chwilę dotykaliśmy się policzkami. Aby się od niej oderwać, zużyłem wszystkie swoje rezerwy silnej woli.

— To brzmi nawet logicznie, ale w takim razie... — urwałem, by nie chlapać jakiejś głupoty. — W takim razie zatrzymanie Hołowni jest rzeczywiście kompletnie bez sensu.

Ścisnęła mnie za ramię.

— Mów ciszej — poprosiła. — Oczywiście, że jest bez sensu, ale jak wytłumaczysz to, że od rana nie powiedział na swoją obronę ani jednego słowa. Nie chce powiedzieć, dlaczego wysłał po krzesła tego wuefistę...

— Anglistę — poprawiłem ją.

— No tak, anglistę. Nie chce powiedzieć, co robił w nocy z wtorku

na środe. W ogóle odmawia składania jakichkolwiek wyjaśnień. Gdybym nie wiedziała, że to absurdalne, to mogłabym przysiąc, że on chce przebywać w areszcie i marzy o tym, by zostać tam jak najdłużej...

— A ustaliliście, co robił w czasie, kiedy zginął Mateusz?

Jej zielone oczy nerwowo strzelały na boki.

— I to jest właśnie najdziwniejsze — przyznała niepewnym tonem. — Hołownia ma na ten wieczór murowane alibi. Tego wieczoru w salach Muzeum Historycznego odbywał się wernisaż. Przyjęcie zaczęło się o dziesiątej wieczorem, a skończyło grubo po północy. Widziało go tam ponad trzydzieści osób i wszystkie zgodnie twierdzą, że uczestniczył w nim od początku do końca. Powiedz, dlaczego nawet o tym nie wspomniał? Dlaczego decyduje się na takie poniżenie?

Jej pytania były z gatunku retorycznych, więc nawet nie próbowałem na nie odpowiadać. Oparłem się o nią ramieniem, oddając się rozmyślaniom. Siedzieliśmy przez chwilę niczym dobrana para na romantycznej randce, ale ten miły nastrój nie trwał długo, zburzony przez rytmiczny odgłos kroków.

Do naszej ławeczki zbliżała się jakaś postać. Chociaż jej nie widziałem, gdyż pozostawała ukryta za gęstą ścianą krzewów, to po wybijanym przez podeszwy butów takcie poznałem, że jej krok przechodził niemal w bieg. Natychmiast spiąłem się w sobie. W końcu bieganie po cmentarzu jest zjawiskiem dosyć niecodziennym.

Byłem przygotowany prawie na wszystko, ale nie na to, co ujrzałem. Zza krzewów wyłoniła się nagle wysoka dziewczyna w podartej, zakrwawionej bluzce. Gnała tak szybko, że zauważyła nas dopiero wtedy, gdy znalazła się na wysokości ławeczki. Wydała z siebie okrzyk zaskoczenia i usiłowała zawrócić, ale potknęła się o pordzewiały łańcuch i padła jak długa na marmurowy pomnik. Jej upadkowi towarzyszyło głośnie plaśnięcie i niemal równoczesny jęk.

Siedziałem jak wryty, ale odgłos upadku pobudził mnie do działania. Zerwałem się z ławki i jednym susem doskoczyłem do plątaniny dolnych i górnych kończyn składających się na jęczącą cicho postać. Dziewczyna zwijała się z bólu, ale wyglądało na to, że nie połamała sobie żadnych kości. Obtarcia z pewnością bolały ją jak diabli, ale przynajmniej była przytomna.



Jej pojękiwanie i nieskoordynowane ruchy urwały się jak ucięte nożem w momencie, gdy skupiła na mnie wzrok. Odniosłem wrażenie, że widoczny na jej twarzy strach jakby lekko przybladł. Cichy odgłos, jaki wydobył się z jej ust, brzmiał jak westchnienie ulgi. Pochyliłem się i delikatnie złapałem ją za rękę.

— Już dobrze, moje dziecko — powiedziałem najłagodniejszym głosem, na jaki było mnie stać. — Jesteś już bezpieczna.

Ścisnęła moją dłoń tak gwałtownie, jakby chciała ją zmiażdżyć. Przestraszyłem się, że coś ją nagle zabolalo, gdyż wykrzywiający paroksyzm bólu przywodził mi na myśl twarz Agnieszki w momencie, gdy na świat przychodził nasz syn. Okazało się jednak, że powodem uścisku był nie ból, lecz strach.

— On zaraz tu będzie — wydyszała, po czym próbowała w panice poderwać się na nogi.

— Kto? — spytałem, pomagając jej przyjąć pozycję siedzącą.

Usiłowała wstać, ale złapała się za brzuch i z powrotem położyła się na płycie nagrobka.

— Nie mam już siły — stwierdziła, kuląc się w pozycji embrionalnej. — Gonił mnie... Powinien zaraz tu być. — Nie miała dość energii by zaszlochać, ale z jej oczu wypłynęły pojedyncze łzy.

— Nie bój się, jesteś przy nas bezpieczna — powtórzyłem i obejrzałem się na rozglądającą się na boki Kamilę. — Moja znajoma jest policjantką i w razie czego nas obroni — uśmiechnąłem się krzepiąco i to chyba trochę ją uspokoiło.

Dyszała przez chwilę, a potem usiadła już o własnych siłach.

— Mój chłopak — odpowiedziała na moje wcześniejsze pytanie.

— Mój były chłopak. On mnie uderzył — w jej głosie złość mieszała się z osłupieniem.

Nie znosiłem damskich bokserów, więc rozejrzałem się z nadzieją po okolicy, ale niestety nie było po nim ani śladu. Kamila pochyliła się nad dziewczyną i usiłowała chusteczką higieniczną zatamować krwawienie z nosa. Dostrzegłem, że dziewczyna ma podbite oko i rozkwaszoną wargę. Znaczną część jej twarzy przykrywały posklejane od potu i zaschniętej krwi włosy. Była przy tym uwalana ziemią, ale w miarę jak Kamila doprowadzała ją do porządku, miałem coraz

silniejsze wrażenie, że skądś ją znam.

— Nie poznaje mnie pan, panie profesorze? — zapytała mnie w pewnym momencie, a gdy nie odpowiedziałem, zaczęła palcami badać swoją twarz. W tym momencie Kamila opryskała ją wodą i zmyła jej z policzków i czoła brązową maź. Poczułem, jak kręci mi się w głowie.

— Marzena? — ni to spytałem, ni stwierdziłem, odruchowo zaciskając pięści.

Fakt, że ofiarą pobicia była moja ulubiona uczennica, sprawił, że zagotowałem się jeszcze bardziej. Uczono mnie, bym ostrożnie korzystał ze swych unikatowych umiejętności, ale gdybym dojrzał teraz jej chłopaka-boksera, prawdopodobnie bym go zabił. Nie mogłem zrozumieć, jak można być aż takim zwyrodnialcem, żeby zamienić jej twarz w krwawy befszytk. Zmasakrować ją tak, żeby nie rozpoznał jej własny nauczyciel.

Nie poznałem jej także dlatego, że na co dzień była bardzo zadbana, a teraz wyglądała jak siedem nieszczęść. Ale była twarda, więc po kilku minutach podziękowała grzecznie Kamili i wyjęła lusterko. Dotknęła palcem podbitego oka i napuchniętej wargi, przeklinając cicho pod nosem. Tak jak się spodziewałem, odmówiła podania danych napastnika. Policjantka nie potrafiła tego zrozumieć i chwilę się z nią sprzeczała.

— Załatwię to we własnym zakresie — powiedziała wreszcie twardo i po raz dziesiąty odmówiła wizyty na komisariacie.

— Naprawdę, niech pani nie naciska. Niech się pani spyta pana Tomka, on pani wszystko wytłumaczy.

Kamila popatrzyła na mnie pytającym wzrokiem, ale ja położyłem jej rękę na ramieniu i stanowczo pokręciłem głową.

— Lepiej dla ciebie, żebyś o niczym nie wiedziała — stwierdziłem z krzywym, pozbawionym radości uśmiechem.

Domyślałem się, co Marzena ma na myśli, mówiąc, że załatwi to we własnym zakresie. Pochodziła ze sportowej rodziny. Jej dwóch braci studiowało w Akademii Wychowania Fizycznego, a trzeci — najstarszy — był karateką i od dwóch lat próbował swoich sił w zawodach MMA. Nie chciałbym być w skórze jej chłopaka, kiedy bracia zjadą się do Legionowa na jakieś rodzinne święto...

Kamila machnęła ręką i lekko obrażona wróciła na ławkę. Rozumiałem ją doskonale, bo też uważałem, że tego rodzaju przemoc trzeba zgłaszać i ścigać. Ale rozumiałem też Marzenę, która chciała to rozegrać w bardziej tradycyjny sposób. Usiadłem obok niej i kiedy doprowadzała się do porządku, trzymałem jej lusterko. W pewnym momencie dostrzegłem, że lekko drży jej broda.

— Słuchaj, jeżeli chcesz, to nie musimy czekać na twoich braci — powiedziałem natychmiast, zgrzytając zębami. — Powiedz mi tylko, gdzie mogę go znaleźć, a nie zostanie z niego nawet mokra plama.

Popatrzyła na mnie z sympatią, chociaż w jej spojrzeniu było też coś oceniającego. A potem pokręciła głową i posłała mi mokry od łez uśmiech. Zrozumiałem, że nie dawała mi większych szans w konfrontacji ze swoim chłopakiem. Miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a jej bracia byli od niej o głowę wyżsi. Cóż, wysokim ludziom zawsze się wydaje, że mogą więcej od małych.

— Pokłóciliśmy się o... nieważne, o co... — zaczęła z wahaniem. Wciąż wyglądała na bardzo przybitą. — W pewnym momencie zebrało mu się na amory i zaczął się do mnie dobierać. Niech pan popatrzy — dotknęła podartej bluzki, ledwie skrywającej sportowy biustonosz. — Kiedy powiedziałam mu, że nic z tego nie będzie... to znaczy ani z seksu, ani z bycia ze sobą... wpadł w prawdziwy szał. Zaczął rozbijać naczynia, rzucać we mnie, czym popadnie. Powinnam uciec, ale byłam tak wściekła, że nie mogłam się powstrzymać. Zaczęłam się z nim szarpać i wyzywać od psycholi i zazdrośników. Nie sądziłam, że mnie pobije, ale może i dobrze się stało. Trochę szkoda bluzki, ale... przynajmniej mam już z głowy tego świra. — Zaczęła płakać, ale byłem pewny, że nie chodziło jej w tym momencie o podartą bluzkę.

— Spokojnie. — Staralem się ją pocieszać, ale nie dopuszczała mnie do głosu.

— Niech pan popatrzy, jak ja wyglądam — z trudem powstrzymała się od płaczu i przysunęła do twarzy lusterko. — Rozbita warga i to oko. — Spróbowała naciągnąć skórę, ale opuchlizna i tak nie chciała zniknąć. — Jak wyjdę w takim stanie na mecz, to kibice będą dzwonić po pomoc społeczną...

— Do wesela się zagoi — wszedłem jej w słowo. — Dobrze, że

udało ci się uciec. A na przyszłość... — chciałem powiedzieć jej coś pedagogicznego, ale w tym momencie zerwała się gwałtownie i potoczyła wokół zaniepokojonym wzrokiem, w mgnieniu oka zapominając o bożym świecie.

— Portfel. Wpadł mi gdzieś portfel — rzuciła w moją stronę z napięciem w głosie i opadła na kolana, zaglądając w każdy zakamarek.

Poszedłem w jej ślady i przez chwilę przypominaliśmy poszukiwaczy skarbów — chociaż w kontekście miejsca, w którym się znajdowaliśmy, nie było to chyba najszcześniejsze określenie. Kamila chwilowo nie zamierzała nam pomagać. Siedziała wciąż w milczeniu, ponuro wpatrując się w Marzenę. Wreszcie, po kilku minutach, podczas których rozszerzyliśmy krąg poszukiwań również na sąsiednie alejki, zblazowanym tonem oznajmiła, że „coś skórzanego, co z wyglądu przypomina brzydki portfel”, leży w niewielkim zagłębieniu nieopodal jej wyciągniętych leniwie nóg. Znalazłem się tam pierwszy i wydobyłem zgubę spod cienkiej warstwy piasku. Chciałem ją otrzepać, ale moja nieszczęsna prawa dłoń znowu mnie zawiodła i zawartość portfela rozsypała się na wszystkie strony.

— Ale ze mnie niezdarą — mruknąłem samokrytycznie i zacząłem zbierać z ziemi przeróżne karty, rachunki, paragony i inne śmieci.

Nie znalazłem żadnych pieniędzy, ale w moje ręce wpadło nieduże zdjęcie przedstawiające Marzenę w objęciach jakiegoś wysokiego, uśmiechniętego chłopaka. Porzuciłem zbieranie pozostałej zawartości portfela i skupiłem się na zapamiętywaniu twarzy i sylwetki dryblasza. Podejrzywałem, że mam na to tylko kilka sekund, i nie pomyliłem się. Marzena delikatnie wyjęła mi z dłoni fotografię i zdecydowanym ruchem rozdarła ją na pół.

— To już zamknięty rozdział — stwierdziła, porządkując zawartość portfela.

Przez chwilę patrzyłem na nią intensywnie. Pod wpływem mojego wzroku zarumieniła się i uciekła oczami w bok. Ująłem ją pod rękę i poprowadziłem w kierunku tej części terenu cmentarza, gdzie jeszcze nie było grobów.

— Dlaczego nie przyszłaś dzisiaj do szkoły? — zagailem, gdy przeszliśmy kilkanaście kroków.

— Nie byłam w stanie — powiedziała ze wzrokiem wbitym w ziemię. — Wciąż nie mogę się pogodzić z tym, co się stało.

Na ogół jestem gadułą, ale tym razem ugryzłem się w język. Chciałem, żeby to Marzena zaczęła tę rozmowę. Nie musiałem czekać długo.

— Czy złapali już mordercę pana Mateusza? — zapytała cichym głosem.

— Nie — odpowiedziałem, po czym popatrzyłem na nią surowo. — Czy masz na ten temat coś do powiedzenia?

Przez jakiś czas milczała.

— Jaka ja byłam głupia — powiedziała wreszcie, po czym oparła mi dłonie na ramionach i schyliła się do mojego poziomu. — Nie wiem, kto to zrobił — powiedziała powoli, patrząc mi prosto w oczy.

— Naprawdę nie mam pojęcia.

Skinąłem głową, chociaż nie do końca rozumiałem, co chciała mi przekazać. Miałem na końcu języka kilka pytań, ale na jej młodej twarzy pojawiła się determinacja. Domyśliłem się, że nic więcej mi teraz nie powie. Wzruszyłem ze złością ramionami, bo nie podobały mi się te tajemnice.

Zrobiliśmy w tył zwrot i po chwili znów zjawiliśmy się przy ławce.

— Już myślałam, że państwo o mnie zapomnieli — odezwała się nachmurzona Kamila. — Czyli co, jedziemy na tę komendę?

Chociaż policjantka była uparta i lubiła stawiać na swoim, to tym razem jej wysiłki spełzły na niczym. Marzena jeszcze raz jej odmówiła, a potem się uparła, by jej nie odprowadzać.

— Przecież państwo jesteście na randce — stwierdziła z wymuszonym uśmiechem i odwróciła się na pięcie, pozostawiając nas w stanie silnego zakłopotania.

— Na randce, też mi coś — skwitowała po chwili „Marchewka”, a ja dostrzegłem, że zarumienione policzki i rude włosy stanowią bardzo intrygującą mieszankę. — Nie lubię takich przemądrzałych smarkul — westchnęła, po czym podniosła na mnie swoje zielone oczy. — Co ty jej nagadałeś? Po tym, jak wróciliście, wyglądała tak, jakby przybyło jej z dziesięć lat.

Wziąłem ją pod rękę, tak jak kilka minut wcześniej Marzenę.

Skierowaliśmy się spacerowym krokiem w stronę południowego wyjścia z cmentarza i po drodze przytoczyłem jej te kilka słów, które wydobyłem od młodziutkiej siatkarki. Chciałem je opatrzyć swoim komentarzem oraz wspomnieć o zdjęciu, które wypadło z portfela, ale w tym momencie rozległ się dzwonek jej służbowego telefonu.

Kiedy rozmawiała, ja oddałem się swojej ulubionej cmentarnej rozrywce i prześlizgując wzrokiem po nagrobkach, szukałem wśród zmarłych znajomych nazwisk. Zatrzymałem się na moment przy czarnym, bazaltowym pomniku, kręcąc z podziwem głową, gdyż wykuty w kamieniu napis informował, że pochowana tu kobieta przeżyła sto cztery lata. Zastanawiając się, czy chciałbym żyć na tym bezwzględnie dla starców świecie aż tak długo, bezwiednie zrobiłem kilka kolejnych kroków i wtedy moje oczy zatrzymały się na jeszcze jednym znajomym nazwisku. Przez chwilę przyporządkowywałem je do osoby i nagle włosy stanęły mi dęba. Typowy, szary nagrobek opatrzony był czarną tablicą, na której znajdowało się imię i nazwisko zmarłej przed wielu laty Agaty Opióły.

Grób wyglądał na opuszczony. Nie wiedziałem zbyt wiele o jej rodzinie, ale pojedynczy znicz, stojący tu chyba od pierwszego listopada, wskazywał, że nie była zbyt liczna. Wpatrując się w zimny marmur, zadumałem się na ulotnością ludzkiego życia i tym, jak szybko ginie o nas pamięć. Moje myśli odpłynęły tak daleko, że nie usłyszałem kroków zbliżającej się Kamili.

— Piętnaście lat — westchnęła cicho, patrząc na wyryte w tablicy daty urodzin i zgonu. — Wiesz co, będę tu przychodzić i palić jej świeczki. Wygląda na to, że nikt jej tu nie odwiedza. Są tylko dwa znicze.

— Dwa? — spytałem zdziwiony.

Bez słowa wskazała mi drugi znicz, stojący przed grobem na ziemi. Był dziwny. Wyglądał na własnej roboty.

— Dwa znicze to i tak zdecydowanie za mało — stwierdziła wojowniczym tonem, tak jakbym się z nią nie zgadzał.

— No właśnie. Już nie mówię o znajomych, ale chyba miała jakichś rodziców.

— Może wyjechali? Kto wie, czy po śmierci dziecka nie zapragnęli

zacząć wszystkiego od nowa. Ja bym chyba tak zrobiła. A ty?

— A ja nawet nie chcę o tym myśleć — odwróciłem się od niej i przegnałem sprzed oczu okropny obraz takiego samego grobu, w którym miałyby leżeć mój Antoś.

Nie zdążyłem zrobić nawet dwóch kroków, gdy złapała mnie za rękę.

— Patrz! — wskazała ręką na nagrobek w sąsiednim rzędzie. Od grobu Agaty dzieliło go nie więcej niż pięć metrów.

Ten grób zdawał się wprost tonąć w świeżych kwiatach. Z najwyższym trudem poskładałem w całość częściowo zasłonięte przez pąki kwiatów litery, układające się w kolejne znajome nazwisko. Chociaż od jego śmierci minęło niemal tyle samo czasu, co od śmierci Agaty, to pamięć o Macieju Hołowni wciąż była żywa. Ze zdziwieniem odkryłem, że na szarfie jednego z wieńców widniała nazwa naszej szkoły. W ostatnich tygodniach nie składałem się na żadne kwiaty, więc się domyśliłem, że wieniec nie pochodził od grona pedagogicznego, lecz od absolwentów.

Oprócz kwiatów na grobie stało mnóstwo zniczy. Prawie wszystkie były wygaszone, ale jeden wciąż się palił. Zwróciłem na niego uwagę, bo w odróżnieniu od innych był czarny. Jego kształt przywodził na myśl brodatą twarz jakiegoś prasłowiańskiego bóstwa. Nie widziałem jeszcze takiego dziwnego znicza. Wskazałem go palcem, a Kamila przyklękła, by dokładnie go obejrzeć. Kiedy się podniosła, miała dziwną minę.

— To nie jest zwyczajny znicz — stwierdziła. — Jest gdzieś pod Łodzią taka firma, która produkuje między innymi gadzety na Halloween. Wiesz, takie święto zmarłych dla opóźnionych w rozwoju...

— Cukierek albo psikus. Ja ci dam psikusa, gówniarzu — zażartowałem, bo też nie lubiłem tej nowej tradycji związanej ze Świętem Zmarłych.

— No właśnie. Otóż tej firmie zarzucono, że jej produkty są wykorzystywane przez satanistów przy ich obrzędach. Nie wiem, jak to się skończyło, ale z tego, co pamiętam, to ze sklepów wycofano pewną część produktów. Między innymi właśnie takie znicze, jak te.

— No nie wiem — zawahałem się. — Dla mnie to znicz jak każdy inny. Niech będzie, że brzydki, ale żeby od razu satanistyczny? Raczej

pogański. Patrz, to jakiś Swarożyc czy inne słowiańskie bóstwo...

— Jesteś pewien? — Podniosła wciąż palący się znicz i przysunęła mi go do twarzy. — A co to twoim zdaniem jest?

— Rogi? O cholera! — zakląłem, gdyż w kształcie i żłobieniu znicza zobaczyłem nagle diabła.

Nie zdążyłem jednak dodać czegoś więcej, bo dziewczyna niespodziewanie odrzuciła od siebie znicz i zerwała się do biegu. Znicz uderzył w płytę grobu i rozpadł się na milion kawałków, ale ja też już tego nie widziałem. Patrzyłem za policjantką, która rączymi susami pędziła w kierunku furtki prowadzącej poza teren cmentarza. Przez chwilę stałem zdziwiony i wtedy zauważyłem uciekającego mężczyznę.

Widziałem go jedynie przez sekundę, po której wbiegł w furtkę i zniknął za cmentarnym murem. Zdążyłem dojrzeć tylko szerokie bary, skórzaną kurtkę oraz kaszkiet okrywający łysą lub krótko ostrzyżoną głowę. Zrozumiałem, że ucieka przed Kamilą, i pobiegłem za nimi.

Do furtki miałem ponad sto metrów w linii prostej. Sto metrów przestrzeni pociętej marmurowymi przeszkodami nagrobków. Kamila zdecydowała się na bieg alejką i wciąż znajdowała się bardzo daleko od celu. Ruszyłem przed siebie, zastanawiając się, jaki jest rekord świata na sto dziesięć metrów z przeszkodami.

W dawnych latach moimi najmocniejszymi stronami były szybkość i koordynacja ruchów. Obie te cechy były mi teraz niezbędne. Mknąłem przed siebie, muskając tylko powierzchnię nagrobków, przeskakując nad betonowymi krzyżami i starając się nie myśleć, że jeden nieostrożny, źle wymierzony skok z pewnością zakończyłby się dla mnie takimi atrakcjami, jak rozbita głowa i połamane nogi. W kilka sekund zrównałem się z dziewczyną, która widząc mój szaleńczy sprint, omal sama nie straciła równowagi. Po kolejnych kilku sekundach, ignorując pełne niewątpliwie słusznego oburzenia okrzyki odwiedzających groby kobiet, dopadłem do furtki i wybiegłem na zewnątrz.

Cmentarz położony jest w ustronnej części Legionowa, dlatego moim oczom ukazał się jedynie ciągnący się wzdłuż muru asfalt kompletnie pustej ulicy oraz przylegająca do niej z przeciwnej strony ściana lasu. Chociaż miotalem się na prawo i lewo, nigdzie nie mogłem dojrzeć uciekającego mężczyzny. Prawdę mówiąc, w zasięgu wzroku nie



było żywego ducha. Zdawałem sobie sprawę, że uciekinier mógł wpaść między drzewa. Wystarczyło wejść dziesięć kroków w głąb lasu, by pozostawać z ulicy kompletnie niewidocznym i jednocześnie widzieć wszystko jak na dłoni. Świadomość, że być może byłem dla niego świetnym celem, dodatkowo podsyciała moją frustrację.

— Uciekł! — warknąłem w stronę Kamili, gdy ta wyłoniła się zza furtki. — Może być dosłownie wszędzie. — Potoczyłem wściekłym wzrokiem po ścianie lasu, po czym chwyciłem ją za rękę i pociągnąłem z powrotem na cmentarz.

Opadła na ziemię, opierając się plecami o wewnętrzną stronę muru. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała tak gwałtownie, że obawiałem się o jej bluzkę. Nie rozerwała się tylko dlatego, że najwyraźniej była z dobrego materiału.

— Popatrzyłam w jego stronę... — przerwała, by zaczerpnąć powietrza — a on z miejsca zaczął uciekać... Zobaczył nas... jak staliśmy przy tym grobie... i zaczął biec.

— Zdążyłaś mu się przyjrzeć? — spytałem. Ostatnio trochę sflaczałem, ale kilkanaście sekund nawet najszybszego biegu wciąż nie było mnie w stanie przyprawić o choćby cień zadyszki.

— Trochę... Facet w średnim wieku... ani stary, ani młody... Wydawało mi się, że był łysy, ale wszystko działo się tak szybko...

— Ciekawe. — Zamyśliłem się. — Dlaczego tak się nas przestraszył? Czy to chodziło o nas, czy może o miejsce? Może to on odwiedzał ostatnio grób Macieja Hołowni? Nie wyglądał na porąbanego satanistę, ale kto to może wiedzieć?

Pytań nasuwało się wiele, ale Kamila miała tylko jedno.

— Kim ty jesteś? Jakimś pieprzonym sportowcem czy co?  
— Wbiła we mnie nieprzychylnie spojrzenie, ale ja tylko się uśmiechnąłem.

— To jeszcze nic. Jakbyś zobaczyła mnie kilka lat temu — westchnąłem teatralnie, ale to nie był z mojej strony tylko teatr. Były momenty, kiedy bardzo tęskniłem za dawnymi czasami. Kiedy jest się młodym, wszystko wydaje się prostsze...

Nieudana pogoń za tajemniczym mężczyzną miała swoje dobre strony. Policjantka po raz pierwszy zaczęła się poważnie zastanawiać

nad ewentualnym związkiem zabójstwa Mateusza z wydarzeniami z końcówki lat dziewięćdziesiątych. Nagle zaczęła dostrzegać to, co ja widziałem już od dawna: związek Mateusza, matematyka i Macieja Hołowni. To, co stało się w momencie, gdy staliśmy przy grobie tego ostatniego, ostatecznie przeważało szalę podejrzeń.

— Musimy pojechać do tego Sompolna — stwierdziła autorytarnie.  
— W śmierci tego Macieja Hołowni musi kryć się jakaś tajemnica. Zaraz tam zadzwonię. Która godzina?

Było kilka minut przed siedemnastą. Oczywiście na komendzie w Sompolnie nie było o tej porze nikogo kompetentnego.

— Nawet im się nie dziwię — przyznała Kamila, kiedy zakończyła połączenie. — W końcu jest maj i do tego piątek... Cała Polska szykuje się na grilla, więc dlaczego w Sompolnie miałyby być inaczej. Obiecali, że jutro będzie jakiś archiwista, który będzie mógł nam pomóc.

— A nie wkurzą się na ciebie, że bierzesz na akcję cywila?  
— spytałem zdziwiony, ale pokręciła głową i obdarzyła mnie chytrym uśmiechem.

— Już wczoraj uprawomocniłam naszą znajomość. Napisałam w notatce służbowej, że chcę cię zwerbować jako osobowe źródło informacji. Popełniłam tylko jeden błąd. W takich sytuacjach zwykle przed próbą werbunku kandydata dokładnie się prześwietla. Gdybym to zrobiła, to nie zaskoczyłbyś mnie tak, jak przed chwilą. Wyszperałabym, że w młodości trenowałeś gimnastykę. Albo szermierkę.

— Zimno, zimno — przekomarzając się z nią, zastanawiałem się, jak ja jej to powiem. Nie zamierzałem bowiem zostać jej osobowym źródłem informacji.

Na szczęście nie wymagała ode mnie żadnych deklaracji. Zamiast tego spytała, co moim zdaniem powinniśmy teraz zrobić. Powstrzymałem się od nasuwających mi się od razu, dwuznacznych komentarzy i wyjąłem z kieszeni zabraną z pokoju nauczycielskiego kartkę papieru. Byłem historykiem i lubiłem, gdy wszystko było uporządkowane.

Napisałem na kartce trzy nazwiska. Szymon Pełka. Andrzej Masternak. Katarzyna Burzyńska, czyli kobieta od japońskiej knajpki. Kamila zajrzała mi przez ramię.

— Może zaczniemy od Łajsk, potem pojedziemy do fizyka, a na koniec zjemy sobie sushi? — zaproponowałem.

— Mnie tam wszystko jedno — stwierdziła, po czym w zamyśleniu potarła skroń. — Najbardziej podoba mi się ostatni punkt popołudnia. Uwielbiam sushi!

Łajski to niewielka miejscowość, będąca niejako przedmieściem Legionowa. Jednorodzinna zabudowa rozsiana jest tutaj wśród pajęczyny uliczek, a oprócz budynków postawionych kilkadziesiąt lat temu trafiają się również nowoczesne wille. Dom państwa Pełków nie należał jednak do tej kategorii. Brzydki kwadratowy klocek w szarym kolorze wyglądał jak żywcem przeniesiony z Peerelu. Do obrazu typowej rezydencji średnio prosperującego badylarza brakowało jedynie szklarni albo przynajmniej foliowego tunelu.

Przy pokrytej rdzą furtce dojrzałem plastikowy guzik domofonu. Chciałem go wcisnąć, ale ubiegła mnie Kamila. Była trochę zniecierpliwiona, bo zanim tu trafiliśmy, dwukrotnie gubiliśmy drogę. Pochyliła się nad kratką głośnika.

— Dzień dobry! Policja! — warknęła, gdy tylko po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos.

Nie uznała za stosowne zamaskować swojego rozdrażnienia. Była zupełnie inna niż dwa dni temu, kiedy składaliśmy wizytę Jance. Tym razem nie musiała przekazywać żadnych hiobowych wieści, więc po jej ówczesnym stresie nie pozostał nawet ślad. Wręcz przeciwnie. Wszystko wskazywało na to, że takie nachodzenie obcych ludzi stanowiło dla niej chleb powszedni. W przeciwieństwie do mnie czuła się w tej sytuacji jak ryba w wodzie.

Ja byłem reprezentantem nieco innej szkoły i czekając na kogoś z gospodarzy, czułem lekkie zażenowanie. Nie lubiłem zjawiać się u obcych ludzi bez zapowiedzi. Moje zażenowanie nasiliło się w momencie, gdy przy furtce pojawiła się siwiuteńka kobieta. Jej pobrużdżona, na oko siedemdziesięcioletnia twarz wyrażała taki niepokój, że zrobiło mi się zwyczajnie głupio.

— Czy wydarzyło się coś złego? — zapytała drżącym głosem, zanim zdążyliśmy się odezwać. — Proszę, nie mówcie, że to Szymek. — Jej policzki były suche, ale cała jej postać zdawała się trząść

w bezgłośnym szlochu.

Chciałem ją uspokoić, ale Kamila odezwała się pierwsza. Miała irytujący, charakterystyczny dla większości mundurowych zwyczaj odpowiadania pytaniem na pytanie.

— Dlaczego pani myśli, że chodzi nam o pana Szymona?

Starsza kobieta popatrzyła na nią półprzytomnie, a potem zachwiała się na nogach. Co prawda raczej poczerwieniała niż zbladła, ale miałem wrażenie, że zaraz padnie zemdlona na wybetonowaną ścieżkę. Była jednak twardsza niż myślałem, bo po kilku sekundach zwalczyła słabość i odważyła się spojrzeć policjantce prosto w oczy.

— Niech pani mnie nie dręczy — poprosiła błagalnym tonem.  
— Coś mu się stało, tak?

Zrozumiałem, że poszukiwanego przez nas mężczyzny nie było w domu. Gdybym był na miejscu Kamili, w pierwszej kolejności zapewniłbym siwą kobietę — będącą prawdopodobnie matką Szymona Pełki — że jej syn jest bezpieczny, a potem zapytałbym ją, o której się go spodziewa. W zależności od jej odpowiedzi wybrałbym jedną z dwóch opcji: albo zdecydowałbym się na niego poczekać, albo spróbowałbym uzyskać numer jego telefonu i osobiście umówić się z nim na spotkanie. Kamila postanowiła jednak zachować się inaczej. Miałem ochotę jej przerwać, ale w końcu byłem tu na doczepkę. To ona była policjantką. Chciała skorzystać ze zdenerwowania kobiety i wyciągnąć od niej jak najwięcej informacji.

— Proszę mi powiedzieć, kim pani jest dla Szymona Pełki *vel* — zawiesiła głos — Mariusza Wojciechowskiego?

Kobieta spuściła wzrok.

— Jestem jego matką — wyszeptała, wpatrując się w czubki swoich znoszonych pantofli.

— Ma pani jakiś dokument? — Rzuciła okiem na wręczony jej dowód osobisty, a potem rozpoczęła indagowanie. — Szymon Pełka był w latach dziewięćdziesiątych nauczycielem w liceum ogólnokształcącym?

— Tak. Przez niecałe dwa lata uczył w Legionowie.

— Czy jego odejście ze szkoły miało związek z samobójstwem Agaty Opióły?

— Po śmierci tej dziewczynki mój syn został aresztowany. Tak, to był koniec. I jego pracy w szkole, i wszystkiego innego. To nasz jedynak... — Nie wytrzymała i zaczęła cicho łkać. — Proszę powiedzieć...

— Za chwilę. Chcę, żeby pani opowiedziała mi o tym, co się wtedy wydarzyło.

„Marchewka” była bezlitosna. Chyba wbrew sobie, bo jej czoło przecięła pojedyncza bruzda — zauważyłem już wcześniej, że właśnie w taki sposób uwidacznia się zazwyczaj jej skrywane napięcie. Nie zważając na zdenerwowanie kobiety, atakowała ją pytaniami.

— To wy nie wiecie? — zdziwiła się matka aresztowanego przed laty nauczyciela. — Na pewno wiecie. Wszyscy to wiedzą. Szymek miał w nocy dyżur. Był taki młody i niedoświadczony. Wrobili go. Ci dranie go wrobili! — Wybuchnęła gwałtownym płaczem, ale zdołałem zrozumieć jej następne słowa, pomimo że były bardzo niewyraźne. — Gdzie jest mój synek? — spytała i zaczęła się chwiać jak szmaciana lalka w podmuchach listopadowego wiatru.

Miałem dosyć. Kobieta najwyraźniej spodziewała się najgorszego, a Kamila najspokojniej w świecie zadawała jej pytania o wydarzenia sprzed lat. Płacz staruszki kompletnie mnie rozstroił i postanowiłem przerwać to okrutne przedstawienie.

— Pani synowi nic się nie stało — powiedziałem dobitnym głosem, ignorując nieprzychylnie spojrzenie policjantki.

— A przynajmniej nic o tym nie wiemy. Chcemy się z nim zobaczyć, jak wróci do domu.

Szloch umilkł jak ucięty nożem. W bladych oczach starszej kobiety na moment zapłonęła olbrzymia ulga, ale zaraz pojawiła się tam podejrzliwość. Nie takiej reakcji się spodziewałem.

— Kim wy jesteście? — zapytała pozornie spokojnym tonem. Pozornie, gdyż nawet największy laik wyczułby w nim ukrytą agresję.

„Marchewka” zgromiła mnie wzrokiem i wyciągnęła z torebki legitymację.

— Podkomisarz Kamila Dębska, Miejska Komenda Policji w Legionowie. A to mój partner — podała moje nazwisko wraz z wymyślonym naprędce stopniem aspiranta. — Prowadzimy pewną

sprawę i uważamy, że pani syn będzie w stanie nam pomóc.

Powiedziała to wszystko tak powoli, wyraźnie i profesjonalnie, że wzbudziła zaufanie nawet we mnie. Ale kobieta nie zmieniła swojego nieprzychylnego wyrazu twarzy ani na jotę.

— W czym będzie wam w stanie pomóc?! — spytała, a gdy Kamila uchyliła się od odpowiedzi, skierowała w moją stronę sękaty palec. — Zostawcie w spokoju mojego syna! — rozkazała z determinacją właściwą wszystkim samicom, które ochraniają swoje młode. — Tamte czasy to już zamierzchła przeszłość, a poza tym mówiłam już, że go wrobili!

Kamila zignorowała ten wybuch i zbliżyła twarz do ogrodzenia, starając się spojrzeć kobiecie prosto w oczy.

— Pani syn może nam pomóc w bardzo ważnym śledztwie. Nie interesują nas jego ewentualne kłopoty z prawem. Czy może nas pani z nim skontaktować? Teraz — dodała, wyciągając z kieszeni komórkę i podając ją kobiecie ponad furtką.

Staruszka popatrzyła na nią z nienawiścią, ignorując wyciągniętą w jej stronę dłoń ze smartfonem.

— Możecie mnie zabić, nic wam nie powiem — oznajmiła bez śladu lęku w głosie.

Przyglądałem się tej scenie niejako z boku. Do pewnego momentu nic nie rozumiałem, aż wreszcie zacząłem się zastanawiać, czy Szymon Pełka nie ukrywa się przed policją. Jednak ostatnie zdanie kobiety przekonało mnie, że to błędny trop. Gdyby chciała kryć swojego syna przed ramieniem sprawiedliwości, powiedziałyby po prostu, że od jakiegoś czasu nie utrzymuje z nim kontaktu i nie ma pojęcia, gdzie aktualnie przebywa. Słowa „możecie mnie zabić, nic wam nie powiem” świadczyły, że matka Pełki bierze nas za kogoś innego. Nawet się domyśliłem za kogo.

Dlatego kiedy z trudem hamująca wściekłość Kamila oznajmiła starszej kobiecie, że jej syn zostanie zatrzymany i siłą doprowadzony na przesłuchanie, położyłem jej rękę na ramieniu. Wykonując ten uspokajający gest, dostrzegłem, że matka nauczyciela wcale nie złękła się słów mojej partnerki. Wyglądała na zadowoloną, co ostatecznie przekonało mnie, że mam rację.

— Proszę pani, my naprawdę jesteśmy z policji — powiedziałem, częściowo naginając fakty. — Nie jesteśmy wrogami pani syna. Przeciwnie, chcemy mu pomóc.

Popatrzyła na mnie i w jej oczach oprócz wrogości dostrzegłem też wahanie. Nie myliłem się. Kobieta z jakichś powodów obawiała się o swojego syna i obawy te nie dotyczyły bynajmniej policji. Sam fakt, że nie przerwała mi od razu, napełnił moje serce nadzieją. Wiedziałem, że mam tylko kilka sekund na to, by pozyskać jej zaufanie.

— Wiemy, że pan Szymon został skazany niesłusznie — powiedziałem, a potem instynktownie przeszedłem na tematy współczesne. — W szkole, w której uczył pani syn, popełniono przedwczoraj morderstwo. Nie znamy jeszcze motywów, ale jedna z koncepcji zakłada, że morderstwo jest w jakiś sposób powiązane z wydarzeniami z tamtych feralnych kolonii w Augustowie. Nie wiemy, czy chodzi o zemstę, czy też o coś innego. Mamy za mało danych i dlatego poszukujemy pana Szymona. I tylko dlatego.

Urwałem i w myślach zakląłem, bo kobieta wpatrywała się we mnie beznamiętnym wzrokiem, w którym nie mogłem doszukać się najmniejszego śladu zaufania. Przekonany, że pierwsza z zaplanowanych na popołudnie wizyt zakończyła się kompletną klapą, odwróciłem się w kierunku samochodu. Kamila zrobiła to samo, ale nie zdążyliśmy zrobić dwóch kroków, gdy...

— A jak nazywał się ten zamordowany nauczyciel?

Odwróciliśmy się z powrotem jak na komendę.

— Mateusz Kownacki — wyrecytowaliśmy chórem.

Przez chwilę milczała, ale kiedy w końcu się odezwała, jej słowa wbiły mnie w ziemię.

— Spodziewałam się, że do tego dojdzie. Jak to dobrze, że Szymek zdecydował się jednak wyjechać!

Przerażony jej dziwnymi słowami, jednym skokiem dopadłem do furtki. Kamila była tuż za moimi plecami.

— Co pani mówi?! — zapytałem zszokowany, bo to, że ktoś mógł spodziewać się śmierci geografa, nie chciało pomieścić mi się w głowie.

Matka Pełki odsunęła się kilka kroków w tył, przestraszona naszą gwałtowną reakcją. Jej plecy oparły się o zbitą z desek szopę, która

zapewne służyła jako miejsce przechowywania narzędzi ogrodowych.

— Spokojnie, proszę pani — odezwała się policjantka. — Nie mamy złych zamiarów, po prostu bardzo nas pani za skoczyła...

Mówiła dalej, ale przestałem jej słuchać. W przeszłości wyrobiłem sobie doskonały system wczesnego ostrzegania przed niebezpieczeństwami. Potrafiłem wyczuć czyjeś złe zamiary, zanim jeszcze zostały wprowadzone w życie. Co prawda z biegiem lat mój instynkt nieco zardzewiał, ale teraz wyczułem, że zaraz coś się zdarzy. Niestety tym razem nie miałem przy sobie żadnej broni, a na inną reakcję było już za późno.

Zbite z desek drzwi do szopy otworzyły się gwałtownie, odsłaniając brodatego starca o dzikim spojrzeniu. Starzec wpatrywał się w nas z wyszczerzonymi zębami, kierując na nas dwie lśniące lufy ściskanej w rękę dubeltówki.

— Czego chcecie od naszego syna? — zapytał głosem tak zimnym, jakby pochodził z otwartego grobu.

Na dziką zwierzynę ostatni raz polowałem jako kilkunastoletni chłopak, i to tylko przy użyciu wnyków, ale zdołałem rozpoznać w ściskanej przez ojca Pełki broni niemieckiego mauzera. Miałem słabość do produktów tej firmy — uważałem je za niezawodne, a mierzący do nas mężczyzna musiałby być naprawdę kiepskim strzelcem, żeby spudłować. Nasza sytuacja wydała mi się dramatyczna. Staliśmy na otwartej przestrzeni, ładnych kilkanaście metrów od zaparkowanego samochodu. Na domiar złego z oczu mężczyzny wyzierało szaleństwo — odniosłem wrażenie, że negocjacje nic tu nie dadzą, i jedyną nadzieję pokładałem w kobiecie. Wydawało mi się, że była o włos od tego, żeby nam zaufać.

Niestety moja nadzieja była próżna. Kobieta nie odezwała się ani słowem, zdając się na osąd swojego szalonego małżonka. A ten nie zamierzał się z nami patyczkować. Zbliżył się nieco i agresywnym tonem powtórzył swoje pytanie. Widać przy tym było, że nie istnieje taka odpowiedź, która by go usatysfakcjonowała. Uparcie milczeliśmy, więc posłał nam wiązaną przekleństw i jeszcze się zbliżył. Wtedy uśmiechnęło się do mnie szczęście.

Ogrodzenie posesji wykonane zostało z zamocowanych jedna przy



drugiej metalowych sztachetek. Odstępy między sztachetkami wynosiły na oko z pięć centymetrów. Ojciec Pełki zbliżył się do tego ogrodzenia i miotając przekleństwa, wystawił lufę swojej broni właśnie przez jeden z takich odstępów między sztachetkami.

Zawodowcowi taki błąd z pewnością by się nie przydarzył, ale mężczyzna był amatorem. Gdyby był o kilka lat młodszy, nigdy nie zdecydowałbym się na coś takiego, ale wiek ma swoje prawa. Kiedy tylko lufa załśniła między sztachetkami, natychmiast rzuciłem się w prawo.

— Padnij! — krzyknąłem do Kamili, którą miałem po przeciwnej, lewej ręce.

Nie zawracałem sobie głowy sprawdzaniem, czy wykonała moje polecenie, całą uwagę skupiając na przeciwniku. Zareagował dokładnie tak, jak się spodziewałem — usiłował skierować broń w moją stronę, zapominając o sztachetkach i prawach fizyki. Lufa broni zaklinowała się na moment między sztachetkami, a potem odskoczyła w przeciwną stronę, rezonując aż do kolby, która boleśnie uraziła go w klatkę piersiową. Na ułamek sekundy stał się zupełnie bezbronny.

Musiałem działać błyskawicznie i nie mogłem sobie pozwolić nawet na najmniejszy błąd. Niczym zawodnik drużyny futbolu amerykańskiego wykonujący zwycięski *touchdown*, zanurkowałem w kierunku zaklinowanej lufy i złapałem ją swoją sprawną ręką. Zamiast odruchowo ciągnąć ją ku sobie, zrobiłem na odwrót — pchnąłem ją do starca, wkładając w ten gest całą siłę bezwładności. Usłyszałem jęk i poczułem opór, kiedy kolba broni trafiła go w żołądek, posyłając na trawę. Dopiero wtedy odbiłem się od ziemi, zamierzając przesadzić siatkę i obezwładnić przeciwnika, ale to nie było potrzebne. Kamila była już po drugiej stronie ogrodzenia i właśnie pochylała się nad trzymającym się za żołądek mężczyzną, w jednej ręce ściskając służbowy pistolet, a w drugiej kajdanki.

Otworzyłem furtkę i podszedłem powoli do policjantki. Na jej twarzy rysował się wyraz determinacji. Jej rozszerzone źrenice i pobladła skóra nieco mnie zaniepokoiły, zwłaszcza że broń była przeładowana. Obawiałem się, że zaraz kogoś postrzeli.

— Spokojnie — odezwałem się do niej. — On nie jest już groźny

— mówiąc to, wyjąłem jej z dłoni glocka siedemnastkę, odłączyłem magazynek i odciągnąłem zamek, wyłuskując z lufy nabój. — Nie skuwaj go. Uważaj, bo złamiesz mu rękę! — podniosłem głos, bo w zdenerwowaniu za bardzo wykręciła rękę leżącego na ziemi starca.

Popatrzyła na mnie ze złością, ale posłuchała. Kajdanki powędrowały z powrotem do torebki. Z rozbawieniem pomyślałem, że w damskich torebkach naprawdę można znaleźć niemal wszystko. W każdym razie ta torebka skrywała wiele tajemnic.

— Co cię tak bawi?! — spytała zachrypniętym od adrenaliny głosem. — Chciał do nas strzelić! Za coś takiego grozi do dziesięciu lat. Zaraz dzwonię po wsparcie i go zwijamy. Stary dureń! — Popatrzyła na trzymającego się za urażony brzuch mężczyznę z mieszaniną nienawiści i obrzydzenia.

Podniosłem z ziemi dubeltówkę i podałem ją dziewczynie.

— Spójrz — szepnąłem tak, aby usłyszała mnie tylko ona, i wskazałem palcem na niewielki suwak z tyłu broni.

Bezradnie rozłożyła ręce.

— Nie znam się na długiej broni — odszepnęła.

— To jest bezpiecznik. — Przesunąłem palcem po suwaku. — Jak jest w takiej pozycji jak teraz, to broń nie wystrzeli. Wcale nie chciał zrobić nam krzywdy.

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

— Wiedziałeś o tym?

— No pewnie — skłamałem. — Przecież nie jestem samobójcą — dodałem i oparłem strzelbę o ścianę szopy, a potem pochyliłem się nad starcem. — Nic się panu nie stało?

Mój łagodny głos do reszty go rozbroił. Z jego oczu zniknęło szaleństwo, a zamiast niego pojawił się w nich smutek. Podniósł się niezdarne i objął ramieniem stojącą bez ruchu żonę. Oboje popatrzyli na nas z rezygnacją.

— Szymka tutaj nie ma — powiedziała po chwili jego matka.

— Nie będzie mógł wam pomóc.

— Nie szkodzi, możemy poczekać — odezwała się Kamila, ale ja już wiedziałem, że się z nim nie zobaczymy.

Staruszek pokręcił siwą głową.

— Szymon nie mieszka tutaj od dziesięciu lat. Od czasu, gdy się wprowadził, nie widzieliśmy go ani razu.

Poruszony ogromem tragedii rodziców-staruszków, którzy przez tak długi czas nie widzieli swojego syna jedynaka, nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów. Kamila też poczuła smutek — usłyszałem go w tonie jej głosu.

— A gdzie teraz mieszka państwa syn? — spytała, wciąż mając nadzieję, że uda nam się z nim porozmawiać.

Odpowiedź staruszka rozviała jej złudzenia. Mężczyzna spojrzął jej w oczy i bezradnie rozłożył ręce.

— Nie wiemy nawet, czy żyje — rzekł ze smutkiem w głosie. — Powiedział, że wylatuje do Australii, ale podejrzewam, że mógł z premedytacją wprowadzić nas w błąd.

— Dlaczego? — zapytała Kamila zdumionym tonem. — Co się stało?

Staruszka opadła na drewnianą ławkę i na moment ukryła twarz w dłoniach.

— To wszystko go zmieniło — powiedziała wreszcie cichym głosem. — Miał dwadzieścia parę lat, piękną narzeczoną i całe życie przed sobą. Ale zamiast się ożenić, trafił do więzienia. I gdyby jeszcze czuł się winny, to pewnie łatwiej by mu było się z tym pogodzić. Ale on cały czas twierdził, że to nie była jego wina. Tylko że nikt mu nie wierzył i to było dla niego najgorsze. A kiedy plotka uczyniła z niego alkoholika, zupełnie zamknął się w sobie. Przez pierwsze dwa lata pobytu w więzieniu nie odezwał się ani słowem.

— Kompletnie się załamał i wydawało się, że prędzej czy później pójdzie w ślady tej dziewczynki i się powiesi — wtrącił starzec.

— Robiliśmy z żoną wszystko, żeby jakoś mu pomóc. Jeździliśmy do niego aż do Sztumu, bo tam odbywał swój wyrok. W pewnym momencie wydawało się nam, że powoli wychodzi z depresji, ale to siedziało w nim zbyt głęboko. Po okresie poprawy przyszło gwałtowne pogorszenie. Przenieśli go nawet ze Sztumu do Grądów-Woniecka, do zakładu karnego o złagodzonej rygorze. Spędził tam kolejne lata, ale zachowywał się tak, jakby był za grubą szybą. Nie mieliśmy z nim kontaktu.

Ojciec Pełki przerwał i zapalił papierosa. Opowieść podjęła jego żona.

— Dyrektor zakładu karnego powiedział nam kiedyś, że zdaniem więziennego psychologa Szymek bał się wyjścia na wolność. W trakcie pobytu w Grądach dwukrotnie prowokował bójkę, nie chcąc korzystać z przedterminowego zwolnienia. Błagałam go, by pozwolił sobie pomóc, ale on tylko kręcił głową i mówił, że nie chce nas w to mieszać. Ale nie wiedzieliśmy jeszcze, o co chodzi. Gdy nadszedł dzień zwolnienia, wyglądał tak bezbrinnie, że... — przerwała i zaniósła się szlochem.

— Kiedy opuścił więzienie? — spytała Kamila.

Staruszek usiłował pocieszyć zawodzącą małżonkę, ale po chwili dał za wygraną. Zaciągnął się papierosem tak mocno, że aż poszły iskry.

— Wyszedł przed dziesięciu laty, ale zanim nas zostawił, spędził tutaj kilka miesięcy. Pierwsze kroki po wyjściu skierował do urzędu stanu cywilnego, by zmienić sobie imię i nazwisko. Od tego momentu kazał się nazywać Mariuszem. Głównie siedział w domu, zamknięty w swoim pokoju. Wychodził tylko wieczorami, ale nie zapuszczał się daleko. Przede wszystkim unikał okolic szkoły i w ogóle całego Legionowa. Nienawidził tego miasta i jego mieszkańców. Obwinił ich podświadomie o swoje zmarnowane życie, a może bał się reakcji dawnych znajomych... Nie wiem, bo nie chciał z nami za dużo rozmawiać. Siedział w domu i nie dawał sobie pomóc. A potem wyjechał.

Czekaliśmy przez chwilę na dalszy ciąg, ale staruszek zamilkł, pogrążając się w zadumie.

— Tłumaczył, dlaczego wyjeżdża? — zapytała Kamila. Chciałem zadać to samo pytanie, ale ubiegła mnie o ułamek sekundy.

— Na początku myśleliśmy, że potrzebuje po prostu zmiany otoczenia — powiedziała matka Pełki, ocierając oczy jednorazową chusteczką. — Po to, aby zacząć wszystko od nowa. Namawialiśmy go, by zamieszkał w innej części kraju. Mąż był wtedy trzy lata przed emeryturą. Proponowaliśmy, by na razie coś sobie wynajął, a po tych trzech latach zamierzaliśmy sprzedać dom i urządzić się od nowa gdzieś obok niego. Ale mówił, że wcale nie chodzi o nowy start. Powiedział jakoś tak dziwnie... Że nie chce nas za sobą ciągnąć, bo... grozi nam

niebezpieczeństwo? — Spojrzała pytająco na małżonka.

— ...bo nie chce nas narażać na niebezpieczeństwo — sprostował staruszek. — Zaczęliśmy podejrzewać, że ktoś mu groził, zwłaszcza że wkrótce po jego powrocie z więzienia doszło do nieprzyjemnego incydentu... Opowiedz, dobrze? — zwrócił się do żony.

Kiwnęła siwą głową.

— Pod dom przyszło dwóch pijanych w sztok nastolatków — zaczęła — którzy w jakiś sposób dowiedzieli się, że zakończył odbywanie kary. Nie wiem, od kogo się dowiedzieli. My to ukrywaliśmy, bo chociaż od czasu śmierci dziewczynki upłynęło wiele lat, to pamięć o tej sprawie wciąż jeszcze nie umarła. W każdym razie zjawili się pod domem i zaczęli wykrzykiwać coś obraźliwego. Szymek zamknął się w pokoju, a poza tym w domu byłam tylko ja, bo mąż wyjechał w interesach. Zadzwoiłam po policję i ich przymknęli, ale gdyby państwo mogli wówczas widzieć mojego syna. Zanim zorientował się, że chodzi o pijanych wyrostków, drżał jak osika. Potem chciał się z nimi bić i gdyby nie policja, to pewnie by ich poturbował. Ale na początku tak bardzo się bał...

— Ale czego? — przerwałem, bo coś mi się nie zgadzało.

— Czego pani syn aż tak się bał? Albo raczej kogo?

— Nie rozumiem. — Staruszka spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Na pewno nie bał się każdego — pospieszyłem z wyjaśnieniami. — Tych młodych idiotów chciał przecież pobić, więc... — chciałem mówić dalej, ale staruszek przerwał mi w pół zdania.

— Sądziłem, że bał się powszechnej nienawiści — stwierdził, przypalając kolejnego papierosa. — Przecież jak ognia unikał odwiedzania Legionowa, chociaż mógł się tam czuć zupełnie bezpiecznie. Więzienie zmieniło go do tego stopnia, że nikt z jego dawnych znajomych z pewnością by go nie poznał. Podczas pobytu w celi posiwał bardziej niż ja, schudł ze dwadzieścia kilogramów, na twarzy pojawiły mu się głębokie bruzdy, a w dodatku jeszcze w Sztumie został brutalnie poraniony i na policzkach oraz szyi miał kilkanaście brzydkich, białych blizn. Ale mimo tych zmian nie odważył się na normalne życie. Wybrał tułaczkę.

— Zaklinałam go, by nie uciekał — wtrąciła matka Pełki.  
— Obiecowałam mu, że będziemy się nim opiekować, że załatwimy mu najlepszych psychoterapeutów i psychiatrów. Doszło do tego, że mąż zdecydował się przejść na wcześniejszą emeryturę. Wszystko na nic! Pewnego dnia wstał od śniadania, przerzucił przez ramię torbę podróżną, pocałował mnie w policzek, ojcu podał rękę... I zniknął. Już nigdy nie dał nam znaku życia. Ostatnie słowa, które do nas powiedział, kompletnie nas rozbiły. Powiedział... — Głos uwiązł jej w gardle, uniemożliwiając dalsze mówienie.

— Powiedział, że kiedyś ktoś tu przyjdzie i będzie o niego pytał — dokończył twardym głosem jej mąż. — Że będzie to ktoś śmiertelnie niebezpieczny i żebyśmy mieli się przed nim na baczności. Przez następne lata rozbieraliśmy te słowa na czynniki pierwsze tysiące razy i doszliśmy do wniosku, że to nie lęk przed społecznym wykluczeniem zadecydował o jego ucieczce. Nie były to też wyrzuty sumienia ani szaleństwo nabyte za kratami. Szymek śmiertelnie bał się czegoś konkretnego. Czegoś, czego uosobieniem miała być pytająca o niego osoba.

— I to dlatego tak nas pan nastraszył — zrozumiała wreszcie Kamila. — Byliśmy pierwszymi nieznajomymi, którzy przyszli tu zapytać o pana syna, tak?

— Nie pierwszymi — zaprzeczył. — W minionych latach obcy ludzie pytali nas o Szymka już dwukrotnie. Potraktowaliśmy ich w taki sam sposób, jak dzisiaj państwa. Okazało się, że w jednym przypadku był to kolega ze studiów, a w drugim znajomy z dzieciństwa. Poza tym o naszego syna dopytywali się też nauczyciele. Był tu między innymi pan Mateusz Kownacki. Przykro słyszeć, że został zabity.

Pokiwałem odruchowo głową, ale myślami błądziłem gdzieś daleko. Zastanawiałem się, co mogło być aż tak przerażające, by skłonić człowieka do opuszczenia rodziny i ucieczki... Bóg wie gdzie. Zwłaszcza że ten człowiek nie był pierwszym lepszym mięczakiem, tylko kimś bardzo już doświadczonym przez los. Moje podejrzenia zatrzymały się przy kolegach, którzy się o niego dopytywali, ale rodzice pokręcili głowami.

— To na pewno nie chodziło o nich — stwierdził stanowczo stary

Pełka. — Oni nie byli groźni. Głupio mi o tym mówić, ale na widok wymierzonej w siebie broni jeden z nich posikał się w majtki, a drugi też nie wyglądał o wiele lepiej. Gdyby nie to, że jest pan policjantem, to już prędzej podejrzewałbym pana. Pan nie wyglądał na przestraszonego nawet przez sekundę. Myślę, że tylko taki człowiek mógłby śmiertelnie wystraszyć mojego syna.

Kamila popatrzyła na mnie dziwnie. Poczujęm się głupio, ale nie wyznałem staruszkom, że nie jestem policjantem, tylko nauczycielem. Chociaż wyglądali na przygnębionych śmiercią Mateusza, to nie wiedziałem, czy po tym wszystkim, co spotkało ich jedynaka, mieli jeszcze zaufanie do reprezentantów tego zawodu. Zamiast odkrywać karty, postanowiłem głośno pomyśleć.

— Czyli Szymon musiał się bać kogoś, kto w jakiś sposób uczestniczył w tych dramatycznych wydarzeniach z kolonii, prawda? Zastanówmy się, kto tam był. Mateusz, Maciej Hołownia, pan Leopold...

Liczyłem na palcach, ale żaden z trzech mężczyzn nie pasował mi do jakiegokolwiek koncepcji. Dwóch pierwszych przecież nie żyło, a trzeci zginął. Co prawda w czasie, gdy Pełka postanowił zniknąć, Mateusz i matematyk jeszcze żyli, ale naprawdę nie wyobrażałem sobie, by ta dwójka mogła kogoś przestraszyć. Zamarłem z wyprostowanymi trzema palcami, bo nagle przyszedł mi do głowy inny pomysł.

— A może Szymon przez przypadek usłyszał coś, co nie powinno trafić do jego uszu? Coś związanego z samobójstwem tej uczennicy? Może to, czego tak się bał, to nie była żadna konkretna osoba, tylko wiedza, którą dysponował...

— Myślę, że za bardzo kombinujesz — przerwała mi Kamila. — Moim zdaniem najbardziej prawdopodobne jest to, że Szymon bał się kogoś, kogo poznał w więzieniu. No co tak patrzysz? — zgromiła mnie, chociaż w moim wzroku nie było krytyki. — Przecież państwo mówili, że na pewien czas trochę mu się poprawiło i dopiero później znów popadł w depresję.

Miałem ochotę bić jej brawo. Ojciec Pełki popatrzył na nią w zamyśleniu.

— Pogorszyło mu się po tym pobiciu. Był strasznie zmasakrowany

i przez kilka tygodni leżał w szpitalu. Nigdy nikomu nie zdradził, co się stało. Ani kto to zrobił. Myśleliśmy, że chodziło o zwykłe więzienne porachunki, ale mogło w tym być coś więcej. Po tym pobiciu już nigdy się nie otworzył. Nie wrócił też już do Sztumu. Prosto ze szpitala przenieśli go do Grądów-Woniecka. Jest jeszcze coś... — to mówiąc, oddalił się w stronę domu, zostawiając nas samych ze swoją żoną.

— Czyli trzeba by sprawdzić, kto razem z nim odsiadywał wyrok w Sztumie — podsumowała dziewczyna. — To niestety duże więzienie, a poza tym wcale nie wiemy, czy do czegokolwiek nam się to przyda. Samobójstwo dziewczynki, zabójstwo nauczyciela, a po drodze śmierć byłego dyrektora, zaginięcie matematyka, a teraz jeszcze ucieczka czwartego z opiekunów tych nieszczęsnych kolonii. Czy to się wszystko w jakikolwiek sposób łączy? I jak się mają do tego te nieszczęsne pieniądze z rachunku szkoły? Mów co chcesz, ale ja naprawdę niewiele z tego rozumiem.

— Ja też — mruknąłem, chociaż w przeciwieństwie do niej miałem sojusznika, który mógł mi pomóc. Moja babcia szeptucha od dobrych dwóch minut dawała mi intensywne znaki, których niestety nie mogłem na razie zrozumieć. Usiłowałem się skoncentrować, lecz cały czas coś mnie rozpraszało.

Tymczasem Kamila zdecydowała, że powinniśmy ruszać dalej.

— Bardzo dziękujemy za pomoc — dygnęła przed staruszką i zaczęła się wycofywać, ciągnąc mnie za sobą. Ale zanim opuściliśmy posesję, od strony domu nadszedł stary Pełka.

— W ciągu tych dziesięciu lat na ten adres przyszły cztery koperty z zakładów karnych — powiedział, pokazując nam cztery kawałki papieru. — Nie wiedzieliśmy, by Szymek zawarł w więzieniu jakieś bliższe znajomości, ale przecież spędził tam tyle lat, że nie mogliśmy tego wykluczyć. Jedno tylko było dziwne. Wie pan, Szymona nie było już od dawna i nie mogłem się powstrzymać.

— To ja nie mogłam — wtrąciła się jego żona, ale uciszył ją ruchem ręki.

— Oboje nie mogliśmy się powstrzymać. Otwieraliśmy te koperty niemal od razu, jak przychodziły. Proszę, niech pan obejrzy.

Wziąłem od niego koperty i obejrzałem je uważnie. Ich adresatem



był nieodmiennie Szymon Pełka, a nadane były z trzech różnych zakładów karnych — dwie z Wołowa, jedna ze Sztumu, a ostatnia z Nowogardu. Zerknąłem do środka.

— A gdzie są listy? — spytałem zdziwiony.

Staruszek popatrzył na mnie wzrokiem bezradnego dziecka.

— Właśnie o to chodzi, że ich nie ma — powiedział, a ja po raz pierwszy odkryłem w jego głosie ślady lęku. — Wszystkie koperty były puste.

Po tej konstatacji nie zostało już wiele do dodania. O osiemnastej siedzieliśmy z powrotem w samochodzie Kamili i jechaliśmy w kierunku Legionowa. Dziewczyna jedną ręką ścisnęła kierownicę, a drugą przyciskała telefon do ucha, obdzwanając swoich licznych znajomych z policyjnych szkoleń. Gdy skończyła, byliśmy już niemal pod budynkiem, w którym mieszkał nauczyciel fizyki.

— Nic z tego — powiedziała z umiarkowanym rozdrażnieniem.

— W zakładzie karnym w Sztumie jednorazowo przebywa ponad tysiąc mężczyzn, a w Wołowie i Nowogardzie jest ich łącznie ponad trzy tysiące. Mogliby nam pewnie przysłać listy osadzonych w interesujących nas okresach, ale to chyba zbyt dużo zachodu...

— Dlaczego? — nie mogłem zrozumieć. — Przecież wystarczyłoby posadzić jedną osobę przed komputerem. Przeklepałaby te nazwiska do Excela, założyła odpowiednie filtry... Ile by to zajęło czasu? Trzy godziny? Cztery? Chyba nie więcej. I mielibyśmy nazwisko człowieka, który...

— No właśnie, który co? — spytała mnie Kamila. — Który pobił w więzieniu Szymona Pełkę? Który mu groził? To nie jest ta sprawa. Przypominam, że teraz szukamy mordercy Mateusza Kownackiego, a nie prześladowcy jego kolegi sprzed lat. Jeżeli udowodnimy, że jest tu jakieś powiązanie, to komendant na pewno podpisze odpowiednie kwity i dostaniemy wgląd w bazy danych. Jest coś takiego, jak Kartoteka Skazanych i Tymczasowo Aresztowanych...

Mówiła jeszcze przez chwilę, ale słuchałem jej jednym uchem. Przeczucie podpowiadało mi, że trop więzienia jest bardzo ważny, ale równie istotny mógł się okazać wątek pieniędzy ze szkolnego konta.

Wygląd kamienicy Andrzeja Masternaka wskazywał, że jej

mieszkańcy cierpieli na deficyt gotówki. Popękane szyby, zacieki na murach, suszące się w oknach stare szmaty — to wszystko stanowiło dowód na to, że wśród lokatorów próżno by szukać ludzi zamożnych.

Gdy wysiadłem z samochodu, do tego przykrego widoku dołączył intensywny zapach moczu. Kamienica znajdowała się niemal w samym centrum miasta, ale w przeciwieństwie do swoich „siostr” z Rynku wyglądała na kompletnie zdewastowaną. Ściany bramy zdobiło obsceniczne graffiti, a po betonowych płytach ściekały plamy świeżej uryny. Jednym słowem — obrazek żywcem przeniesiony z dziewiętnastego wieku albo z niektórych niezrewitalizowanych dotąd uliczek warszawskiej Pragi.

Kamila zmarszczyła nos, pchnęła zbutwiałe drzwi i odważnie wkroczyła na klatkę. Jej ściany również pomazane były sprejem, a woń moczu ustąpiła zapachowi zgnilizny. Chociaż na zewnątrz świeciło słońce, to tutaj było niemal zupełnie ciemno, gdyż okno między parterem a pierwszym piętrzem zabite było deskami. Stopnie skrzypiały ponuro przy każdym kroku, a spod stóp unosiły się chmury kurzu i osiadający na butach kredowy pył. W pewnym momencie aż podskoczyłem, gdyż tuż koło ucha przemknął mi ciemny, śmierzdzący kształt. Przez chwilę miałem wrażenie, że to nietoperz, ale okazało się, że był to tylko wyliniały ze starości gołąb, który najwyraźniej pomieszkiwał tu w symbiozie z mieszkańcami.

— Niedobrze mi — powiedziała dziewczyna, gdy znajdowaliśmy się pomiędzy pierwszym a drugim, ostatnim piętrzem. Na pierwszej kondygnacji były trzy mieszkania, a jako że fizyk mieszkał pod czwórką, zbliżaliśmy się już do celu. — Chyba nie wytrzymam — dodała i ścisnęła się za nos.

Objąłem ją i poprowadziłem do okna. Było niestety zamknięte na amen, i to chyba już od bardzo dawna, bo wbite w futrynę gwoździe zupełnie porzewiały.

— Musisz wytrzymać — powiedziałem krzepiącym tonem i w tej chwili poczułem, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

Dobiegający z drugiego piętra smród był wprost nie do opisanego. Śmierdziało tu tak, jak w najbardziej zapuszczonym śmietniku. Zrobiłem jeszcze kilka kroków i usłyszałem odgłosy gruchania. Doszedłem do

wniosku, że na dachu przysiadło stado gołębi, ale po chwili zrewidowałem swoje przypuszczenia. Ptasie odgłosy dobiegały zza drzwi jednego z mieszkań. Podeszedłem jeszcze bliżej i pod warstwą brudu dostrzegłem wydrapaną w desce czwórkę.

Zawsze brzydziły mnie u Masternaka ślady ptasich odchodów na jego ubraniu, ale do tej chwili nawet w najczarniejszych snach nie przewidywałem, że fizyk prowadzi w swoim mieszkaniu coś w rodzaju schroniska dla gołębi. W Legionowie nie było tych ptaków znowu aż tak dużo. Po intensywności gruchania i innych „gołębich” odgłosów wysnułem, że większość z nich zebrała się właśnie u poszukiwanego przez nas mężczyzny.

Nie miałem ochoty zapuszczać się dalej, ale skoro już tu byliśmy, to nie wypadało się wycofać. Zasłoniłem nos fragmentem naderwanego kołnierzyka koszuli i uderzyłem pięścią w drzwi. Usłyszałem trzepot skrzydeł, ale poza tym odgłosem z mieszkania nie dobiegł żaden inny dźwięk.

Ponowiłem czynność pukania po kilkunastu sekundach, a po kilku kolejnych westchnąłem z ulgą. W środku najwyraźniej nie było nikogo oprócz gołębi.

— To co, zmykamy stąd? — zapytałem się Kamili, na której twarzy pierwszy raz od momentu, gdy wkroczyliśmy na klatkę, pojawiło się uczucie inne niż obrzydzenie.

— Jasne. Jak najszybciej — odparła z wyraźną ulgą i starając się niczego nie dotykać, zbiegła na półpiętro.

Chciałem pójść w jej ślady, ale gdy moja stopa natrafiła na pierwszy schodek, usłyszałem metaliczny odgłos przesuwającego się w zamku rygla. Drzwi mieszkania sąsiadującego z gołębim lokum uchyliły się powoli i stanął w nich starszy mężczyzna w poplamionej na piersiach koszuli. Zanim się odezwał, kilkakrotnie zakaszłał jak gruźlik w zaciśniętą dłoń. Odruchowo się cofnąłem.

— Pan z administracji? — wychrypiał tak niewyraźnie, że zrozumiałem go dopiero za moment. — Nie ma go w tej chwili — dodał, nie czekając na odpowiedź. — Nie wrócił jeszcze z roboty.

— Mówimy o panu Andrzeju Masternaku? — sprecyzowałem, czując się jak wysłannik opieki społecznej podczas przeprowadzania

wywiadu środowiskowego.

Mężczyzna zakaszłał, tym razem nieco dłużej.

— No pewnie, że o nim. A o kim innym? Pisałem na niego skargi i wnioski o eksmisję, ale już straciłem nadzieję. Sami panowie widzicie, że nie da się tu żyć.

Kamila wciąż pozostawała na półpiętrze, nie zamierzając zbliżyć się do gruzlika. Fakt, że zostaliśmy określani jako „panowie”, nie bardzo ją obszedł. Zgadywałem, że marzyła o chwili, w której będzie mogła wreszcie się stąd wydostać. Nie uczyniła nawet najmniejszego wysiłku, by włączyć się do rozmowy.

— Widzimy, a raczej czujemy — odezwałem się, wciąż nie wychodząc z roli pracownika administracji. — Od dawna tak tu jest?

— Panie — mężczyzna zakaszłał w kułak. — Jest coraz gorzej. Dali mu ten lokal rok temu jako zastępczy po tym, jak nie był w stanie spłacić zadłużenia w mieszkaniu po matce. Tam podobno też hodował gołębie, ale tutaj zaczął ledwie od parki. Po parce była oczywiście czwórka, potem jeszcze parka... I tak się uzbierało. Żeby to jeszcze były jakieś rasowe ptaki. A to są, panie — zakaszłał znowu — zwykłe dachowe obesrańce.

— A inni mieszkańcy nie protestują? — zdziwiłem się, ale mój informator wybuchł ochryplym śmiechem, który zaraz zresztą przeszedł w kaszel.

— A kto by tu chciał mieszkać?! — zarechotał, gdy trochę mu przeszło. — Panie, to wszystko są pustostany. Na pierwszym piętrze czasem pomieszkują bezdomni, ale na stałe jesteśmy tu tylko ja i on.

— Nie zazdroszczę — rzuciłem mimochodem. Chociaż typ, z którym rozmawiałem, nie wyglądał na zupełnie normalnego, to na tle swojego sąsiada wypadł jak wzorowy obywatel. — Niestety nie jesteśmy z administracji. Ja pracuję jako nauczyciel, w tej samej szkole, co pan Masternak.

— Pracujesz pan z nim? — nie wiedziałem dlaczego, ale ta wiadomość tak ucieszyła mojego informatora, że pokazał w uśmiechu wszystkie z nielicznych pozostałych mu zębów. A potem wyjął zza paska butelkę jakiegoś płynu i głośno mlaskając, przyłożył ją sobie do ust. Chyba nie był to syrop na kaszel, bo zaraz później zaczął się

krztusić. Odwróciłem się z obrzydzeniem i zamierzałem go opuścić, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. — Zostań pan jeszcze momencik — poprosił i niespodziewanie otworzył na oścież drzwi do mieszkania fizyka. — Pokażę panu, jak mieszka pana kolega. Może przekażesz to pan dyrekcji i wreszcie coś z nim zrobią, bo tu teraz nie ma życia, panie, nie ma życia...

Zniknął we wnętrzu, a ja — wiedziony chyba niezdrową ciekawością — ruszyłem za nim. Na pierwszy rzut oka mieszkanie składało się z przedpokoju, pokoju, małej kuchni i jeszcze mniejszej łazienki. Na starym regale, jak kury na grzędzie, siedziało kilkanaście gołębi. Wszędzie porozkładane były miski z pożywieniem, a kuchenny zlew był zatkany i do połowy wypełniony wodą, pełniąc najwyraźniej funkcję wodopoju. Popruty miejscami dywan, koślawy stół i stara kanapa — wszystko pokryte było grubą warstwą biało-zielonych ptasich odchodów. Odchody były wszędzie, nawet na klamkach. Nad tym wszystkim unosił się tak obrzydliwy smród, że nie byłem w stanie sobie wyobrazić, jak można było tu żyć. I w jaki sposób Masternak mógł maskować warunki, w jakich żyje, i nie zwracać na siebie uwagi niczym więcej niż brudnymi ubraniami i ogólnym niechlujstwem.

Na pierwszy rzut oka było widać, że jest niespełna rozumu. Życie w takich warunkach musiało wskazywać na jakąś poważną chorobę psychiczną. Nie umiałem jej nazwać, ale wiedziałem, że chociaż niełatwo jest w tych czasach znaleźć nowego nauczyciela fizyki, to dni kariery Masternaka w naszej szkole były policzone. Nigdy nie uważałem się za kapusia, ale w tym przypadku doniesienie o zastanym stanie rzeczy poczytywałem za swój obowiązek. Nie mogłem dopuścić, by nauką oddanej pod naszą opiekę młodzieży — jakakolwiek by ona była — zajmował się szaleniec.

Patrząc na panujący wszędzie chlew, nie mogłem uwierzyć, że jeszcze kilka godzin temu rozmawiałem z właścicielem tego mieszkania o tak mądrych rzeczach, jak finanse w oświacie i księgowość. Sprawiał wrażenie inteligentnego człowieka i nigdy bym nie przeczuwał, że ma aż taki problem. Potrafił ukryć przede mną stan swojej psychiki tak skutecznie, że wciąż nie do końca wierzyłem własnym oczom. Jednocześnie zaś rosło we mnie przekonanie, że to on jest

odpowiedzialny za zabójstwo Mateusza.

— O cholera — usłyszałem głos Kamili. Dziewczyna pokonała wewnętrzne obrzydzenie i weszła za mną do lokalu. — A to świr... Dzwonię po naszych! — zdecydowała i wyciągnęła telefon, by zadzwonić na komendę.

— O, pani podkomisarz — ucieszył się nasz przewodnik, o którym na chwilę zapomniałem. Najwyraźniej miał już kontakt z moją koleżanką i gdy tylko się zbliżyła, od razu ją rozpoznał. Patrząc na jego wstrętą, chytrą gębę, wcale się nie dziwiłem, że dobrze zna miejscowych stróżów prawa. — Pani jeszcze nie dzwoni. Coś pani pokażę.

Dopiero teraz zauważyłem, że w mieszkaniu są jeszcze jedne drzwi, prowadzące do kolejnego pomieszczenia. Nasz informator przegonił krążące wokół niego gołębie, podszedł do drzwi, nacisnął klamkę i gestem zaprosił nas do środka. Weszliśmy ostrożnie, spodziewając się kolejnych, jeszcze bardziej makabrycznych odkryć, ale rzeczywistość przerosła nasze najśmielsze wyobrażenia.

— O cholera — zakląłem. Poczułem jak dłoń zszokowanej Kamili wpija się w moje ramię. Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy, było stokroć straszniejsze od najstraszniejszych cmentarnych upiórów.

Byliśmy w muzeum. W muzeum albo w mauzoleum. Wszystkie ściany mającego około dziesięciu metrów kwadratowych pomieszczenia wytapetowane były zdjęciami jednej i tej samej kobiety. Miała na nich mniej więcej od trzydziestu do siedemdziesięciu lat, ale dwa elementy jej twarzy — orli nos oraz wąskie, bezkrwiste wargi — były tak charakterystyczne, że nie mogło być mowy o pomyłce. Te wargi, a zwłaszcza ten nos widziałem też u Masternaka. Nie ulegało wątpliwości, że pokój był wytapetowany fotografiami jego matki.

Zdjęcia przedstawiały ją w różnych miejscach i sytuacjach, ale zawsze była na nich sama. Przyglądałem się im przez chwilę i nie znalazłem ani jednego ujęcia, które by się powtarzało. Nie byłem zbyt dobry w matematyce, ale według moich dokonanych naprędce obliczeń na ścianach musiało być ponad trzy tysiące samotnych zdjęć, i to w większości wykonanych w czasach, gdy fotografia cyfrowa była jeszcze odległą melodią przyszłości. Musiała bardzo lubić obiektyw. Albo... Doszedłem do wniosku, że chyba nie tylko synalek był niespełna

rozumu. Jego mamusi też niewiele brakowało...

— Popatrz tutaj — szepnęła Kamila struchlałym głosem, wskazując w kąt pokoju.

Powiodłem wzrokiem za jej palcem i dostrzegłem coś w rodzaju niewielkiego ołtarzyka. Wokół pojedynczej fotografii o wymiarach dwadzieścia na trzydzieści centymetrów ustawione były kolorowe szkiełka, sznur pereł i kilka złotych pierścionków. Nie to jednak sprawiło, że miałem ochotę pójść do toalety. Najbardziej obrzydliwy był fakt, że uwieczniona na zdjęciu matka Masternaka była kompletnie naga.

— Fe — mruknąłem, odwracając wzrok.

— Widzicie? — zachrypiał nasz przewodnik, który wcisnął się za nami do pokoiku. — Nieźle ma nawalone pod kopułą, co?

Odruchowo pokiwałem głową, obrzucając spojrzeniem proste łóżko i stojącą pod ścianą szafkę na ubrania. Nie miałem ochoty do niej zaglądać, bo obawiałem się, że znalazłbym w szufladach poźółkłą ze starości bieliznę zmarłej matki. Cieszyłem się, że fizyk przeniósł się do tego mieszkania już po śmierci swojej rodzicielki, bo w przeciwnym wypadku natknęlibyśmy się pewnie na jej zmumifikowane ciało. Jedyną rzeczą, która podobała mi się w tym pomieszczeniu, był absolutny brak gołębi. Najwyraźniej Masternak nie dopuszczał pierzastych przyjaciół do swojego sanktuarium.

— Wychodzimy — stwierdziłem i z obrzydzeniem odsunąłem stojącego nam na drodze gruzlika.

Zbiegliśmy po schodach w takim tempie, jakbyśmy się szykowali do jakichś zawodów sportowych. Gdy wypadliśmy na zewnątrz i przemknęliśmy przez zasikaną bramę, miałem ochotę uklęknąć i pocałować ziemię. Sunące majestatycznie po błękitnym niebie białe obłoczki wydały mi się kompletnie surrealistyczne.

— Fuj. — Kamila miała chyba ochotę splunąć, ale spojrzała na mnie i się zreflektowała. — Muszę wziąć prysznic. Ale przedtem muszę zadzwonić. — Połączyła się ze swoją komendą i przez kilka minut coś im klarowała. — Obejmą tę kamienicę obserwacją i przy pierwszej okazji zwiną tego Masternaka. Nawet jeżeli nie mamy jeszcze dowodów, że to on zabił pana Mateusza, to po obejrzeniu tego mieszkania każdy prokurator od ręki wystawi nakaz zatrzymania na trzy miesiące.

Pokręciłem głową. Zatrzymywanie kogoś na trzy miesiące bez jednoznacznych dowodów uznawałem za dosyć wątpliwe moralnie. Jak na razie wiedzieliśmy tylko tyle, że Masternak ma problemy z głową. Taka wiedza wystarczała moim zdaniem do wyrzucenia go ze szkoły, ale rozmowę o areszcie uznawałem za zdecydowanie przedwczesną. Ale cóż miałem zrobić: nie mój cyrk, nie moje małpy...

— To się ucieszy rada rodziców — westchnąłem. — Najpierw morderstwo w szkole, potem zaginięcie matematyka, potem zatrzymanie dyrektora, jeszcze potem areszt tymczasowy dla fizyka... Ciekawe, co będzie następne?

— Nie zapominaj o skardze Antoniego Winnickiego. Tego biznesmena — wyjaśniła, gdy zrobiłem zdziwioną minę. — Następne mogą być zwolnienia dyscyplinarne. Ciebie i tego wuefisty.

— Uśmiechnęła się, by pokazać mi, że żartuje.

— Chyba w obecnej sytuacji jesteśmy bezpieczni — odetchnąłem teatralnie z ulgą. — Jeżeli zwolniliby nas dwóch, to w następnej kolejności musieliby zamknąć szkołę. Po prostu nie byłoby komu prowadzić zajęć. Może tak byłoby lepiej — stwierdziłem filozoficznie, po czym zerknąłem na zegarek. — Słuchaj, jestem już bardzo głodny. Idziemy na to sushi?

— A kto stawia? — zakpiła.

Najwyraźniej makabryczne odkrycia dokonane podczas wizyty w mieszkaniu Masternaka wprawiły ją w doskonały humor. Cieszyła się, że sprawa morderstwa posuwa się do przodu. A może cieszyło ją to, że ma tę wizytę już za sobą?

— Chyba nie oczekujesz, że cię zaproszę? Nauczycielskie pensje...

— ...są i tak wyższe od tych policyjnych — dokończyła.

— A poza tym wy macie wolne wakacje i ferie, i przerwy świąteczne...

— A wy po piętnastu latach przechodzicie na emeryturę

— skontrolowałem.

— Nieprawda. Po dwudziestu pięciu. — Tak się przekomarzając, dotarliśmy w okolice baru sushi.

— Dokąd jedziesz? — spytałem, bo zamiast zatrzymać się pod sąsiadującą z restauracją Biedronką, przecięła trasę na Warszawę i pojechała dalej. — To tutaj. — Rozpaczliwym gestem wskazałem na



niknącą w tyle knajpkę i popatrzyłem na nią smutnym wzrokiem.

Ani moje słowa, ani gesty, ani nawet smutna mina nie zrobiły na niej żadnego wrażenia.

— Najpierw prysznic, a potem jedzenie — zdecydowała. — Czuję się tak, jakbym wykąpała się w szambie.

W głębi serca przyznałem jej rację. Co prawda nie wyczuwałem od nas zapachu szamba, ale sam zamarzyłem o szybkim prysznicu. Po kilku minutach dotarliśmy do bramy wjazdowej, a po kolejnych dwóch zaparkowaliśmy w samym sercu osiedla Generała Roi.

To było zupełnie inne Legionowo od tego, które znałem. Sam mieszkalem na jego północno-wschodnich rubieżach, gdzie w krajobrazie dominowały głównie domki jednorodzinne, lasy i pola. Tutaj było inaczej — zamiast pól i zabudowy jednorodzinnej wokół wznosiły się nowoczesne bloki. Nie byłem pewien, czy mi się tu podoba. Miałem wrażenie, że bloki są...

— Trochę tu naćkane — dziewczyna użyła słowa, którego szukałem. — Ale można się przyzwyczaić. Mieszkam tutaj. — Zaprosiła mnie gestem do najbliższego bloku.

Miała kawalerkę, która — chociaż dość ciasna — urządzona była ze smakiem. Usadziła mnie na sofie i podała szklankę coli.

— Ja pierwsza — zdecydowała i zniknęła w łazience.

Byłem zwolennikiem nieco przerobionego powiedzenia „pokażcie mi czyjeś mieszkanie, a ja wam powiem, co to za człowiek”. Ale chociaż zżerała mnie ciekawość, postanowiłem za bardzo nie rozglądać się po kątach. Przez chwilę kiwałem z uznaniem głową nad zasłanym łóżkiem i panującym wokół porządkiem, a potem zająłem się swoją colą.

Siedziałem tak kilka minut, podczas których moje powieki zaczęły się robić coraz cięższe. W pewnym momencie przymknąłem oczy i zapadłem w regeneracyjną drzemkę. Obudziły mnie chłodne krople wody rozpryskujące się na mojej twarzy. Zerwałem się z miejsca w poczuciu kompletnego zagubienia, z którego wyrwał mnie dopiero perlisty śmiech rudej policjantki.

— Głupie żarty — mruknąłem, usiłując za bardzo nie wybałuszać oczu. Miała na sobie tylko kąpielowy ręcznik.

— Popołudniowe drzemki to oznaka starości! — stwierdziła ze

śmiechem.

Droczyła się ze mną przez jakiś czas, co rusz poprawiając ręcznik. Miałem wrażenie, że zaraz zsunie się jej z ramion na ziemię. Nagle nachyliła się nade mną, dotykając mnie miedzianymi włosami, delikatnymi niczym puch. Poczułem poziomy zapach szamponu. Po jej mlecznobiałej, idealnie gładkiej skórze wciąż spływały stróżkami krople chłodnej wody.

Zaniepokojony podniosłem się szybko, unikając jej spojrzenia.

— Znajdzie się dla mnie jakiś ręcznik? — spytałem.

Zrobiła zalotną minę, chociaż w jej oczach dostrzegłem też złośliwe iskierki.

— Weź mój — powiedziała po cichu, zagryzając wargę i odsłaniając nagie ramię.

— No weź się nie wygłupiaj! — wybąkałem przestraszony, na co odezwały się dzwoneczki jej śmiechu. — Co ty robisz?!

Jednym ruchem ściągnęła z siebie ręcznik. Pod spodem miała krótką letnią sukienkę z opuszczonymi ramionami.

— Co ty sobie myślałeś? Liczyłeś na striptiz?

— A gdzie tam... — zaprzeczyłem speszonym głosem, ale nie dała mi skończyć, tylko wepchnęła mnie do łazienki.

— Pospiesz się — powiedziała. — Umieram z głodu.

Drzwi do łazienki pozostały uchylone, więc mogliśmy nie przerywać rozmowy nawet podczas mojego prysznica.

— Zaraz zaczyna się bal dla nauczycieli — powiedziałem w pewnym momencie, przekrzykując szumiącą wodę.

— Jaki bal? Przecież chyba nie wypada się bawić dwa dni po śmierci kolegi?

— Też tak uważam. — Pokiwałem namydloną głową.

— Wicedyrektorka wymyśliła, że zamiast tańców zorganizujemy wieczorek wspominkowy. Podejrzewam, że będzie sporo osób. W innych okolicznościach obecność na takim jublu byłaby obowiązkowa.

— Obowiązkowa?

— Tak. Nasze kierownictwo dba o integrację zespołu — parsknąłem śmiechem, splukując jednocześnie mydło z pleców.

— Ale ty nie idziesz, prawda?

— Nie mam najmniejszego zamiaru — stwierdziłem stanowczo.

— I nic mnie do tego nie zmusi.

Po stronie dziewczyny zapadło milczenie, więc przez chwilę w zupełnej ciszy delectowałem się uderzeniami ciepłej wody.

Przymknąłem przy tym oczy, ale nie straciłem czujności. Wtem dostrzegłem za matową szybą prysznicą jej rozmazaną sylwetkę.

— Przepraszam... — powiedziała natychmiast, ale jej głos nie wyrażał skruchy. Słysząc w nim było nutki podekscytowania. — Ale naprawdę nie mogłam z tym zaczekać. Czy ten bal przeznaczony jest dla wszystkich nauczycieli?

— Dla wszystkich — potwierdziłem, nie wiedząc, do czego zmierza.

— A jakie są szanse, że pojawi się na nim Andrzej Mas ternak?

Popatrzyłem na jej rozmazaną sylwetkę i zrozumiałem, o co jej chodzi.

— Chcesz go zwinąć ze szkolnego balu? — spytałem na wpół rozbawiony, a na wpół zniesmaczony. — Czy ty nie masz litości? Reputacja naszej szkoły...

— Nie dowcipkuj — przerwała mi brutalnie. Po jej niedawnej wesołości i figlarnym nastroju nie zostało ani śladu. Była teraz poważna jak śmierć. — Czy on pojawia się w ogóle na takich spotkaniach?

Zacząłem przeszukiwać swoją pamięć, lecz nie byłem w stanie przywołać obrazu fizyka bawiącego się na nauczycielskich zabawach. Ale nie mogłem też wykluczyć, że się na nich pojawiał. Nigdy nie szukałem jego towarzystwa, podobnie zresztą jak większość moich kolegów. Wuefista Marek wręcz go unikał, twierdząc, że nie przepada za kloszardami. Fizyk był zawsze przedmiotem jego niewybrednych żartów.

— Nie sądzę, by się pojawił, ale nie mogę tego wykluczyć — odezwałem się po krótkiej przerwie. — Chyba jednak bardziej prawdopodobne jest to, że pojawi się w domu. Przecież musi nakarmić ptaszki.

— Fuj — skrzywiła się policjantka. — Pod blokiem stoją już dwa operacyjne auta. Ale może zepsujemy piątkowy wieczór jeszcze kilku

kolegom — uśmiechnęła się mściwie. — Gdzie jest ten bal? I o której się zaczyna?

— W Rycerskiej o dwudziestej pierwszej — odpowiedziałem i sięgnąłem po ręcznik, który przerzuciła nad górną krawędzią kabiny.

— Mamy jeszcze trochę ponad godzinę.

— To co, damy znać na komendę i idziemy na sushi, dobrze?

Zgodziłem się i założyłem przepocone ciuchy. Kołnierzyk koszuli zwisał smętnie niczym strzęp porwanego żagla. Po niecałym kwadransie usiedliśmy przy jedynym wolnym stoliku w japońskiej restauracji.

Lubiłem sushi, ale nie znosiłem jeść pałeczkami. Dlatego kiedy kelnerka przyjmowała od nas zamówienia, poprosiłem o klasyczne sztucce. Kamila popatrzyła na mnie z potępieniem i poprosiła o pałeczki.

— Chcielibyśmy też chwilę porozmawiać z właścicielką. Panią Katarzyną Burzyńską — powiedziała, gdy już wytłumaczyła, co ma wchodzić w skład jej zestawu.

— A o co chodzi? Coś źle zrobiłam? — Kelnerka wyglądała na przestraszoną.

— Nie, wszystko jest w porządku — uspokoilem ją. — To jest po prostu nasza stara znajoma.

Kelnerka pomknęła na zaplecze z taką werwą, że wydało mi się to podejrzane. Domyśliłem się, że właścicielka knajpy trzyma swoich pracowników raczej krótko. Po chwili na sali pojawiła postawna kobieta z burzą kręconych włosów. Omiotła wszystko wokół ponurym spojrzeniem, po czym — poprowadzona przez dwa razy od niej mniejszą kelnerkę — pozeğlowała w stronę naszego stolika.

— Czy ja państwa znam? — zapytała grubym głosem, nie siląc się na przesadną uprzejmość.

Wyglądała tak, jak zawsze wyobrażałem sobie sadystyczne strażniczki więzienne. Albo surowe i okrutne panie prokurator. Jej oczy były zimne jak stal, a zdecydowana linia podbródka znamionowała siłę i determinację. Miała dobre metr osiemdziesiąt wzrostu, a upięte kędziory włosów sprawiały, że wyglądała na jeszcze wyższą. Bardzo duże dłonie i wyrobione bicepsy pozwalały się domyśleć mocarnego uścisku ręki. Na szczęście nawet nie pomyślała, by się z nami przywitać.

— Jeszcze się nie znamy — odparła rezolutnie Kamila. — Ale

jeżeli da nam pani chwilę, to wytłumaczymy, o co nam chodzi.

W takich sytuacjach naturalną reakcją rozmówcy jest ciekawość. Ale „Walkiria”, bo tak w myślach nazwałem kobietę, wcale nie sprawiała wrażenia zaciekawionej.

— Wprowadziliście mnie państwo w błąd — zaczęła z pozornym spokojem, chociaż widziałem, że policzki falują jej z gniewu. — Nie obchodzi mnie, że jesteście klientami mojej restauracji. Proszę natychmiast ją opuścić i więcej tu nie wracać.

Dziewoja miała ognisty temperament, a przy okazji była chyba na coś strasznie cięta. Nie odzywałem się, obserwując z ciekawością, jak poradzi sobie w takiej sytuacji policjantka. Pojedynek „Walkiria” kontra „Marchewka” zapowiadał się pasjonująco.

— Chodzi nam tylko o chwilę rozmowy — zaczęła łagodnym głosem policjantka, ale nie dane jej było skończyć myśli.

— Precz — powiedziała Burzyńska tonem zimniejszym od lodu. — Wyraziłam się chyba precyzyjnie i nie muszę się powtarzać, jasne?

Spojrzała też na mnie, więc posłałem jej błady uśmiech. Szczerze mówiąc, to zamiast się uśmiechać, miałem ochotę sprowadzić ją na ziemię, ale uznałem, że ani ku temu pora, ani miejsce. Nie znosiłem takich antypatycznych bab, które zarobiły kilka groszy i uważały, że cały świat powinien padać im do stóp. Zgoda, nasz trik, by ją wyciągnąć z zaplecza, nie był zbyt wyszukany, ale bez przesady. Kiedy chcieliśmy się wytłumaczyć, nie dała nam dojść do słowa. Nie można człowieka traktować jak robaka.

Kamila chyba również doszła do takiego wniosku, bo nie wdawała się w dalsze słowne przepychanki, tylko wyjęła legitymację służbową. Burzyńska nieco straciła rezon.

— Czego chcecie? — burknęła nieprzychylnym tonem i wbiła w nas spojrzenie pełne niechęci.

Uznałem, że starcie zakończyło się remisem. „Walkiria” prowadziła na punkty, ale dostała od „Marchewki” cios poniżej pasa.

— Niech pani usiądzie — powiedziała i odsunęła krzesło, ale właścicielka ani drgnęła.

— Czy może pani się streszczać? — burknęła. — Mam na zapleczu dwóch sępów z kontroli skarbowej. Przyszli sobie na

czynności... W piątek wieczorem — powiedziała z goryczą w głosie. — Naprawdę nie mam czasu na głupoty.

Natychmiast zrozumiałem, skąd wziął się ten jej parszywy nastrój. Nie poznałem jeszcze przedsiębiorcy, który lubiłby wizyty panów ze skarbówki. Ale wcale nie zmniejszyło to mojej niechęci do Katarzyny Burzyńskiej. Uważałem, że dorośli ludzie powinni trzymać swój temperament na wodzy.

— To niech im pani powie, żeby poczekał — odezwałem się, usiłując stłumić targające mną uczucia do tej kobiety. — Jeżeli będą mieli jakieś uwagi, to proszę im powiedzieć, że to jest sprawa o zabójstwo.

Moje słowa zrobiły odpowiednie wrażenie. „Walkiria” spokorniała i podreptała na zaplecze, żeby odwołać kontrolerów. Tak jak się spodziewałem, nie robili trudności. Wychodząc, obrzucili nas zaciekawionymi spojrzeniami. Wyglądali niemal identycznie — dwóch łysiejących brunetów z niewielkimi brzuskami.

— O co chodzi? — spytała Burzyńska, wróciwszy do naszego stolika. — Nie teraz — warknęła na kelnerkę, która usiłowała nam podać napoje.

Z żalem popatrzyłem na swój oddalający się sok pomarańczowy.

— Chcielibyśmy, żeby opowiedziała nam pani o Agacie Opiole — powiedziałem po prostu, rezygnując z bardziej wyrafinowanych wstępów.

Okazało się, że doskonale pamiętała swoją koleżankę. Lekko pobladła i drżącą ręką przetarła szerokie czoło. Już nie wyglądała tak groźnie.

— A co się stało? Dlaczego odgrzewacie tę sprawę?

— To my będziemy zadawać pytania — upomniała ją Kamila.

— Z naszych informacji wynika, że pani była jej najlepszą koleżanką. Czy to prawda?

Burzyńska wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozplakać. Przez chwilę grzebała w pokaźnej kieszeni tuniki, aż wreszcie natrafiła na chusteczkę. Podniosła ją do twarzy i hałaśliwie wydmuchała nos.

— Alergia — usprawiedliwiła się, ale jej nie uwierzyłem. — Tak, przyjaźniłyśmy się. Wiele lat temu. Agata była wspaniałą osobą — na

moment zawiesiła głos, oddając się jakiemuś wspomnieniu. — Chodzi wam o jej śmierć, tak? — spytała po chwili. — Powiesiła się w naszym pokoju. Byłyśmy na koloniach pod Augustowem. Miałyśmy po piętnaście, szesnaście lat. Wybaczcie, ale bardzo trudno mi o tym mówić...

Urwała znowu i znów oddała się poszukiwaniom. Po dłuższej chwili wyjęła z tej samej kieszeni cienkie papierosy i zapalniczkę.

— Nigdy nie zdołałam zrozumieć, co się tam wtedy stało — podjęła, bawiąc się pudełkiem papierosów. — Agata była bardzo pogodną osobą. Nie miała jakichkolwiek problemów natury emocjonalnej. Zawsze ją podziwiałam, bo nie miała łatwego życia. Wychowywała się właściwie bez ojca, a jej matka była bardzo prostą kobietą. W domu się nie przelewało. Matka nie pracowała i jedynymi źródłami ich dochodów były malutka renta po ojcu i nieregularna pomoc wujka, który był żołnierzem. Agata mówiła o tym bez skrępowania. Mimo tego, że nie miała wystrzałowych ciuchów, kochali się w niej niemal wszyscy koledzy. Mogę zapalić?

Byłem skłonny jej pozwolić, bo wyglądała na taką, która potrzebuje papierosa, ale Kamila pokręciła przecząco głową.

— Za chwilę. Czyli jednym słowem była popularna?

Burzyńska pokiwała głową.

— Tak. Była najbardziej rozchwytywaną laską w klasie. Była też grzeczna i mądra, więc lubili ją również nauczyciele. A ona, pomimo tej popularności, pozostała skromna. Zawsze czułam się przy niej jak ta brzydka starsza siostra. Nawet czasem jej zazdrościłam. Głupio mi teraz — westchnęła.

— A czy podczas tych kolonii zauważyła pani u niej jakąś zmianę? — spytałem, przerywając ciszę, która zapadła po jej ostatnich słowach.

— Zmianę? — zdziwiła się „Walkiria”.

— Coś w jej zachowaniu albo wyglądzie — podpowiedziała „Marchewka”, w zamyśleniu bawiąc się włosami.

„Walkiria” przez chwilę patrzyła gdzieś w dal, usiłując przywołać przed oczy obrazy z tamtych odległych już przecież dni. A potem pokręciła głową.

— Była taka, jak zawsze. W dniu, w którym umarła, też wszystko

wydawało się w porządku. Byłyśmy razem na obiedzie i Agata jak zwykle niewinnie flirtowała z chłopakami przy naszym stoliku. Później... Później wszyscy poszli nad wodę, a ona została na terenie ośrodka. Chciała chyba obejrzeć w telewizji jakiś film, program czy coś takiego. Nie zobaczyłam jej już więcej. Nie była na kolacji, a potem... Potem zrobiło się zamieszanie, nauczyciele biegali jak poparzeni, ktoś wezwał policję. Nie pozwolono mi wrócić do naszego pokoju. Dopiero po północy ktoś puścił plotkę, że coś się stało Agacie. Ale jeszcze wtedy w to nie wierzyłam. Dopiero rano dyrektor Hołownia zebrał nas na apelu i powiedział, co się stało. Po dwóch dniach byliśmy już w domu, ale ja nie doszłam do siebie przez następne kilka miesięcy.

— A kto z nauczycieli tam wtedy był?

Podrapała się po nosie.

— Słabo już ich pamiętam. Był pan Pełka, który potem poszedł do więzienia, był taki stary matematyk, nie pamiętam nazwiska. Był geograf, taki młody, jak mu było... O, Kownacki! No i oczywiście dyrektor i jego brat.

— Jaki brat? — spytałem natychmiast. — Był tam z wami Jan Hołownia?

— Tak, właśnie Jan Hołownia. Uczył historii, a potem chyba zastąpił swojego brata. Być może, że wciąż sprawuje tę funkcję.

Jej ostatnie słowa nie były dla mnie zbyt odkrywcze, ale to, co mówiła wcześniej, bardzo mnie zaintrygowało. Jak dotąd nie miałem informacji, że na koloniach przebywał młodszy z Hołowniów. Doszedłem do wniosku, że muszę dostać się jakoś do aresztu i uciąć sobie z nim pogawędkę. Chciałem zaproponować to Kamili, ale dziewczynę zainteresowało coś innego.

— Czyli ostatni raz widziała ją pani na obiedzie, tak? — upewniła się policjantka. — A proszę powiedzieć, czy na takich koloniach uczniowie mogą sami wybierać, jak spędzają popołudnie? — Uniosła rękę prosząc, żebyśmy jej nie przerywali. — Innymi słowy: czy Agata mogła sobie tak po prostu zostać na terenie ośrodka, kiedy wszyscy poszli nad wodę?

Jej pytanie przez chwilę wisiało w powietrzu. Skierowane było po części do niej, jako świadka tych wydarzeń, a po części do mnie jako



nauczyciela. Nie wiedziałem oczywiście, jakie zasady panowały podczas tamtych kolonii, ale zazwyczaj rzeczywiście nie zostawiało się podopiecznych własnemu losowi. Popatrzyłem na nią z uznaniem, ale się nie odezwałem. Czekałem, co powie Burzyńska.

Nie musiałem czekać długo.

— Agata była trochę na specjalnych prawach — stwierdziła właścicielka lokalu. — Nauczyciele ją lubili, a poza tym ona wydawała się z innej gliny niż pozostali uczniowie. Była jak na swój wiek bardzo dojrzała i odpowiedzialna. Czasem prosili ją nawet, by pod ich nieobecność miała na nas oko. Myślę, że nie miała problemu, by uzyskać zgodę na pozostanie w ośrodku. Pan Pełka i ten drugi młody nauczyciel dosłownie jedli jej z ręki.

— Czy to właśnie pan Pełka i pan Kownacki opiekowali się wami nad wodą? — przerwałem.

— Tak — potwierdziła. — Niemal zawsze chodziliśmy razem z nimi. Matematyk był starszym człowiekiem i nie chciało mu się chyba użerać w wakacje z czterdziestką uczniów. Wolał leżeć na hamaku i czytać kolorowe gazety. A tamci byli inni. Chyba bardzo się lubili i mieli mnóstwo energii. Co druga dziewczyna się w nich kochała.

— A w kim kochała się Agata? — zapytała niespodziewanie Kamila.

Burzyńska uśmiechnęła się pod nosem.

— Agata? Nie wiem. Była w tych sprawach dyskretna, ale na pewno nie była zakochana w żadnym z nauczycieli. Była na to zbyt normalna. Nie zdziwiłabym się, gdyby w ogóle jeszcze nie kochała. Życie jej nie rozpieszczało i chyba nie miała czasu, by oddawać się jakimś szczeniackim uczuciom.

Ze słów „Walkirii” wynikało, że uważa miłość do faceta za szczeniackie uczucie. Nie byłem psychoanalitykiem, ale wysnułem z tego wniosek, że nie miała dotychczas szczęścia do mężczyzn. Na jej grubych palcach nie zauważyłem ani obrączki, ani pierścionka zaręczynowego. I wciąż nosiła panieńskie nazwisko. W jej wieku było to już z pewnością powodem do kompleksów i pewnie stąd brała się tak brutalna ocena uczuć damsko-męskich. A także jej agresja i porywy temperamentu.

Problemy uczuciowe „Walkirii” nie były jednak moją sprawą. Interesowały mnie jedynie jej wspomnienia.

— Dobrze pamięta pani tamten dzień? — spytałem, bo instynktownie czułem, że wydarzyło się wtedy coś więcej, nie tylko samobójstwo.

— Dobrze pamiętam to, co działo się wieczorem — odparła w zamyśleniu. — Ten niepokój, to oczekiwanie nie wiadomo na co... Przed tym wszystkim to był zupełnie zwyczajny dzień. Śniadanie, obiad, popołudnie nad jeziorem. Pamiętam, że świetnie się bawiłam, ale w tamtych czasach wszystko wydawało się jakieś takie... prostsze. — Zawahała się na moment, ale najwyraźniej zdecydowała się niczego nie ukrywać. — Bardzo lubiłam tego Szymka Pełkę. Chyba się w nim nawet zakochałam. Wiecie, co chcę powiedzieć? Żyłam wtedy jak w jakimś amoku i nie bardzo wiedziałam, co się wokół mnie dzieje. — Urwała i odruchowo pociągnęła palcem po pokrętle zapalniczki, aż ta zapłonęła żółtym płomieniem. A potem zaczęła mówić cichym, urywanym głosem: — Zegarek wskazywał kilka minut przed dwudziestą drugą. Byłam akurat w jego pokoju, kiedy do środka wpadł dyrektor. Oczywiście nic się nie działo, zwracałam mu tylko głowę, ale i tak miałam ogromne wyrzuty sumienia. Myślałam, że to przeze mnie dyrektor chwycił go za ramię i wywlókł na korytarz. Dopiero później domyśliłam się prawdziwych powodów jego wzburzenia. Musiał dosłownie przed chwilą wrócić z Legionowa i znaleźć wiszącą pod sufitem Agatę.

— Jak to wrócił z Legionowa? — spytałem natychmiast, bo coś mi się nie zgadzało. — W gazecie było napisane, że przyjechał na wizytację.

— Na wizytację? Nie, dyrektor był w ośrodku już od kilku dni. Tego dnia, w którym umarła Agata, pojechał prywatnym samochodem do Legionowa. Wrócił wieczorem, razem z bratem. Obrócili w obie strony bardzo szybko, bo pamiętam, że wyjechali już po obiedzie.

— A po co? — spytałem, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

— To było tyle lat temu — usprawiedliwiła się. — A poza tym miałam wtedy szesnaście lat.

Bezwiednie pokiwałem głową. Kamila usiłowała przez chwilę

naprowadzić ją na trop wyblakłych wspomnień, ale jej wysiłki zupełnie mi umknęły. Zastanawiałem się, dlaczego Maciejowi Hołowni zależało, by opinia publiczna nie dowiedziała się o jego wcześniejszym pobycie w Augustowie. Mógł to być nieistotny niuans, ale mieszkająca w mojej duszy cząstka babci szeptuchy twierdziła inaczej.

— Czy dyrektor i jego brat angażowali się jakoś w życie kolonii?  
— spytałem nagle, błędząc po omacku.

Burzyńska zastanawiała się przez chwilę. W tym czasie filigranowa kelnerka podjęła kolejną próbę dostarczenia nam do stolika zamówionego posiłku. Tym razem się udało — Kamila wstała i odebrała od niej tacki, talerze i szklanki.

— Wie pan, że jak o tym myślę, to mam wrażenie, że nie — wycodziła właścicielka knajpki, sięgając odruchowo po kawałek ryby.  
— To znaczy pojawiali się podczas posiłków, ale poza tym to raczej ich nie widywałam. Pewnie traktowali swój pobyt w ośrodku w kategoriach bezpłatnych wakacji. Ale kto ich tam wie? Starszy z braci zmarł niedługo później, ale można zapytać o to pana Janka.

— A pana Szymona? — zapuściłem sondę, żeby wy badać, czy coś wie o ucieczce nauczyciela.

Nie wiedziała.

— Jak trafił do więzienia, to chciałam go nawet odwiedzić. Chciałam też pójść do sądu i zeznać, że tego wieczoru wypił tylko jedną lampkę wina i że pozostali wychowawcy wypili znacznie więcej. Ale nie pozwolili mi rodzice. Chcieli mnie chronić i chyba postąpili słusznie. Przez kilka miesięcy chodziłam jak ogłuszona, ale w końcu się z tego wszystkiego otrząsnęłam. Zdałam maturę, poszłam na studia... Nigdy więcej nie spotkałam już Szymona. Nie wiem nawet, czy wciąż mieszka w Legionowie, czy może po tym wszystkim wyniósł się gdzieś na koniec świata. Niech pan uważa, ten sos jest bardzo ostry — ostrzegła, ale i tak zdążyłem przełknąć sporą dawkę czegoś, co wypaliło mi pół przewodu pokarmowego i na pewien czas kompletnie wyłączyło mnie z rozmowy.

Kiedy ja walczyłem o to, by nie wybiec do łazienki, Kamila zadała Burzyńskiej kilka pytań dotyczących innych uczestników kolonii.

„Walkiria” lepiej pamiętała chłopców, ale i tak w jej pamięci roilo się od luk.

— To były trochę inne czasy — stwierdziła, a ja słuchając jej następnych słów, odruchowo przyznałem jej rację. — Teraz taki grupowy wyjazd szesnastolatków przerodziłby się w jedną wielką imprezę, która skończyłaby się jednym wielkim skandalem. Wtedy nie było prawie narkotyków i tylko czasami udawało nam się przemycić do pokoju butelkę wina, którą wypijaliśmy później w kilka osób. Byliśmy grzeczniejsi, ale wydaje mi się, że potrafiliśmy się bawić lepiej niż obecna młodzież. Niby to nie było tak dawno temu, a czuję, jakby od tamtych czasów minęło pół wieku. Ja też nie przypominam już tej narwanej nastolatki.

Niespodziewanie się uśmiechnęła, a ja — równie niespodziewanie — poczułem, że zaczynam ją lubić. Negatywne pierwsze wrażenie zaczęło się zacierać.

— Wciąż jest pani trochę narwana — stwierdziłem, kompletnie ją rozbrajając.

Przez dłuższą chwilę jedliśmy sushi i gadaliśmy o głupotach. W pewnym momencie przyznałem się, że nie jestem policjantem, tylko nauczycielem. Zasyłała mnie gradem pytań o szkołę i zapamiętanych przez nią pedagogów. Odpowiadając, czułem się tak, jakbym udzielał wywiadu. Na szczęście nie spytała o Mateusza.

Kiedy wstawała od stolika, byliśmy już w doskonałej komitywie — przynajmniej we dwójkę, bo Kamila przez ten czas znajdowała się trochę na bocznym torze.

— Zapraszam jak najczęściej — wdzięczyła się i na naszych oczach przedarła rachunek. — Do zobaczenia — zrobiła taki gest, jakby chciała pocałować mnie w policzek, ale chyba zabrakło jej śmiałości. Po chwili zniknęła w drzwiach, ściskając w ręku paczkę papierosów.

— Idziemy? — spytałem Kamilę, ale ona nie ruszyła się z miejsca. Jej kształtny podbródek trząsł się od tłumionego śmiechu. — Co cię tak bawi?

Przez chwilę usiłowała nad sobą zapanować, ale w końcu się poddała. Przez dobrą minutę skręcała się w ataku śmiechu.

— Wyobraziłam sobie was jako parę — powiedziała wreszcie, obracając w moją stronę twarz mokrą od łez. — Jak przenosisz ją na rękach nad kałużą albo jak ona wskakuje ci na kolana... Przecież ona

jest dwa razy większa od ciebie — urwała i znów zaniosła się śmiechem. — Przepraszam, nie mogę się powstrzymać. — Łzy płynęły jej jak z kranu, ciężkimi kroplami opadając na talerz z resztkami kolacji.

— A mogę spytać, skąd ci się wzięło to przenoszenie przez kałużę? — spytałem, również rozbawiony, gdyż jej śmiech był zaraźliwy.

— Jak to skąd? Nie widziałeś? No tak, faceci potrafią być w tych sprawach kompletnie ślepi. Przecież na pierwszy rzut oka widać, że ona desperacko szuka męża. W pewnym momencie myślałem, że się tu przed tobą rozbierze.

— Chcesz powiedzieć, że mnie adorowała? — Udałem głupiego, ale najwyraźniej wzięła moje słowa za dobrą monetę.

— Adorowała? — Parsknęła śmiechem. — To zbyt łagodne słowo. Ona chciała cię tu pożreć. Dosłownie. Widziałam, jak się oblizywała.

Zaśmiałem się, choć uznałem, że w jej słowach było sporo przesady. Burzyńska była po prostu miła, a że wołała rozmawiać z mężczyznami... Cóż, jej prawo.

— Nie wybieram się z nią na randkę — stwierdziłem, ale gdy tylko wypowiedziałem te słowa, dotarło do mnie, że zapomniałem zapytać ją o coś ważnego. Powiedziałem o tym Kamili. — Tylko chodź ze mną — poprosiłem żartobliwie. — Po tym, co powiedziałaś, trochę się boję przebywać z nią sam na sam.

Znaleźliśmy ją skrytą za filarem. Właśnie zapalała drugiego papierosa.

— Tomek? — zdziwiła się, ale i ucieszyła. Może Kamila rzeczywiście miała rację?

— Jeszcze jedno pytanie, Kasiu — podczas rozmowy przy sushi przeszliśmy na ty. — Wspomniałaś, że Agata wychowywała się z matką. Czy masz jakiś kontakt z tą kobietą?

Z miejsca pozbawiła mnie złudzeń.

— Nie widziałam jej od czasu pogrzebu. Chyba zaraz potem wyjechała z Legionowa. Pamiętam, że była bardzo schorowana. Cierpiała na jaskrę i niemal kompletnie straciła wzrok. Nie mam pojęcia, gdzie może teraz przebywać. Nie wiem nawet, czy żyje. Widzisz, nawet jej imię wyleciało mi z głowy...

Pożegnaliśmy się wylewnie. Tym razem nie uniknąłem soczystego

buziaka. Kamila przestała się śmiać dopiero za kierownicą.

— Za kilka minut dziewiąta — stwierdziła, wyjeżdżając z parkingu. — Jedziemy pod Rycerską.

Samochód operacyjny policji poznałem na pierwszy rzut oka. Ciemnozielony opel insignia stał przy krawężniku dokładnie *vis-à-vis* restauracji, a na przednich siedzeniach siedziało dwóch smutnych panów. Kamila uśmiechnęła się do nich dyskretnie, ale oni nawet nie usiłowali udawać, że przebywają tu incognito. Wysiedli z auta i zawołali ją do siebie. Zostałem sam.

Przez chwilę stałem jak sierota przed wejściem do Rycerskiej, zastanawiając się, co robić. Nie miałem większej ochoty na uczestnictwo w pijatyce, ale nie uśmiechało mi się wystawanie na ulicy. Pod nieobecność „Marchewki”, która zniknęła w radiowozie, czułem się głupio, tym bardziej że do knajpy zaczęli schodzić się ludzie. Co rusz pozdrawiałem mijające mnie koleżanki, aż wreszcie postanowiłem zniknąć. Zapragnąłem wrócić wreszcie do domu i pobawić się z synem, ale zanim wprowadziłem swój zamiar w czyn, zza rogu wyłonił się pogwizdujący Karol.

— Tomeczek — powitał mnie, wyraźnie ucieszony. — Myślałem, że cię nie będzie. Chciałem wpaść tylko na kwadrans, ale skoro jesteś, to może wypijemy po kieliszku? Na szczęście samochód zostawiłem w domu.

Klepnął mnie po plecach cały w skowronkach. Nie wypadało od razu się wycofywać.

— Ja tylko na chwilę — wymamrotałem pod nosem, ale nawet mnie nie słuchał. Zaczął gadać coś o wicedyrektorce i nie wiem nawet kiedy znaleźliśmy się w środku.

Wnętrze restauracji było dosyć obszerne i bardzo eleganckie. Na jej środku ustawiono długi, przykryty śnieżnobiałym obrusem stół, zastawiony talerzami, szklankami i kieliszkami. Przy stole kręciło się trzech kelnerów w eleganckich smokingach. Gdy ich ujrzałem, ogarnęło mnie zwątpienie.

Miałem na sobie wciąż to samo ubranie, które włożyłem z samego rana. Kołnierzyk koszuli zwisał w strzępach, a na butach bieliły się ślady po gołębich odchodach. Pocieszałem się, że miałem chociaż świeżo

umyte włosy, ale i tak czułem się głupio. Moje zażenowanie trwało jednak tylko do momentu, gdy zauważyłem siedzącego przy stoliku Marka. Wuefista miał na sobie roboczy dres, w którym na co dzień biegał po boisku. Wyglądał przy tym tak, jakby nie spał od kilku dni, a czerwone zabarwienie policzków wskazywało, że wlał już w siebie kilka drinków.

Chciałem do niego podejść, ale chociaż się opierałem, Karol pociągnął mnie w stronę grupki nauczycielek. Jedną z nich była Aldona Marzec, czyli moja *femme fatale*.

— Tomku — odłączyła się natychmiast od grupy i pociągnęła mnie za sobą w kierunku korytarza prowadzącego do toalet.

W kulminacyjnym punkcie każdej imprezy było to bardzo uczęszczane miejsce, ale teraz świeciło jeszcze pustkami. — Pamiętasz o mojej propozycji? Bardzo bym ci chciała pomóc.

Przez chwilę patrzyłem na nią ze zdziwieniem. A potem przypomniałem sobie naszą ostatnią rozmowę.

— Ja naprawdę nie potrzebuję pomocy — stwierdziłem stanowczo i chciałem się wycofać, ale odcięła mi drogę odwrotu. — Aldona, przecież jakbym cię potrzebował, to na pewno bym cię poprosił — zadeklarowałem i wreszcie mnie puściła.

— Trzymam za słowo — uśmiechnęła się i spróbowała poprawić mi kołnierzyk. — Słyszałam, co się stało na sali gimnastycznej. Nie przejmuj się, to jakiś bandzior. Dobrze, że wszystko skończyło się w taki sposób.

— Bandzior? — zdziwiłem się. — Myślałem, że biznesmen.

— Winnicki? Może i biznesmen, ale jeszcze kilka lat temu wymuszał haracze od właścicieli sklepów. Między innymi od moich rodziców — dodała, abym zrozumiał, skąd ma tę wiedzę. — Świat niestety aż się roi od takich biznesmenów. Ale nie psujmy sobie nastroju. Pogadajmy o czymś weselszym.

— Właśnie miałem nalać sobie drinka — zacząłem, jednocześnie się wycofując, ale miała doskonały refleks.

— Alkohol podadzą dopiero po przemówieniu pani dyrektor — poinformowała, po czym ścisnęła mnie za ramię. — Widziałam dziś po południu twojego syna. Fajny chłopak.

— Dzięki — skłoniłem się odruchowo, bo jak każdy rodzic byłem wrażliwy na pochlebstwa pod adresem swojego dziecka. — A gdzie go widziałaś?

— Wraciał ze szkoły razem z tą... opiekunką. — Ostatnie słowo wypowiedziała z wyraźną niechęcią. — Czy nie uważasz, że dziecko powinno mieć matkę?

Tak to już z nią było. Nawet jak powiedziała coś miłego, to zaraz potem wyskakiwała z czymś takim. Intencje miała dobre, ale i tak mnie zirytowała.

— Antoś ma matkę — powiedziałem napiętym głosem.  
— I proszę, nie mów nic więcej, bo i bez tego jestem już wkurzony.

Ignorując jej skruszony głos, wróciłem na salę i skierowałem się do stolika. Aldona była jedyną osobą w szkole, która orientowała się w mojej dość skomplikowanej sytuacji osobistej. To dlatego tak trudno mi było wybaczyć jej takie słowa. Doskonale wiedziała, że mój syn wciąż miał matkę, nawet jeżeli z nami nie mieszkała, a on od urodzenia jej nie widział.

Ledwo usiadłem, znów musiałem wstać. Na sali pojawiła się wicedyrektorka, ubrana w czarną garsonkę i pretensjonalny kapelusik. Pod usprawiedliwioną nieobecność dyrektora Hołowni to ona pełniła dziś obowiązki gospodarza. Przywitała się ze wszystkimi i wygłosiła kilka okrągłych zdań, z których żadne nie utkwiło mi w głowie.

Potem kieliszki wypełniły się bezbarwną ciecżą, a na stół wjechały potrawy. Czego tam nie było! Trzy rodzaje zupy, pieczeń z dzika, zrazy, kotlety zapieczone z żółtym serem, królik w pomidorach, a do tego surówki, sałatki, przystawki... Nikt mi nie powie, że nauczyciele nie umieją bawić się z rozmachem!

Ale ja nie miałem ochoty na alkoholowy maraton. Postanowiłem zjeść kolację i wrócić do domu. Moja obecność była o tyle zbędna, że nigdzie nie widziałem Masternaka. Tak jak się spodziewałem, fizyk nie pojawił się na imprezie. Nie było zresztą także kilku innych nauczycieli. Nigdzie nie widziałem anglisty Marcina Wysockiego, kochanki Mateusza Marty Sobierajskiej czy wiekowej matematyczki, Wiesławy Matusiak.

Zjadłem zupę i kawałek pieczeni i właśnie czekałem na okazję, by



wyść po angielsku, gdy koło mnie przycupnął wuefista. Jego dres nie tylko kiepsko wyglądał, ale także wydzielał z siebie intensywną woń potu zmieszanego z alkoholem. Podniósł rękę i trącił trzymanym w niej kieliszkiem w mój kieliszek.

— Wypijemy? — zapytał nieco bełkotliwym tonem, a ja kiwnąłem głową i po raz pierwszy tego wieczoru podniosłem kieliszek.

— Na zdrowie — powiedziałem, chociaż odnosiłem wrażenie, że akurat w przypadku Marka najzdrowsza byłaby chwilowa abstynencja.

Ale przecież nie byłem jego niańką. Wszyscy na tej sali byliśmy pełnoletni i uważałem, że każdy z nas powinien odpowiadać sam za siebie. Zresztą piliśmy już ze sobą dziesiątki razy i nigdy nie skończyło się to jakąś większą chryją.

— Słyszałeś, że ten bubek poszedł na nas naskarżyć? — powiedział napastliwym głosem, gdy tylko przełknął gorzałę.

— Podobno był w urzędzie miasta. To swołocz! — Podniósł głos do tego stopnia, że siedząca po jego drugiej stronie egzaltowana Kaśka Sulej najpierw podskoczyła, a potem odsunęła się od niego jak najdalej.

— Słyszałem — kiwnąłem głową, sięgając jednocześnie po talerzyk z ogórkami. — Ty wiesz, że to podobno jakiś bandzior? Aldona mówiła mi przed chwilą, że kilka lat temu wymuszał haracze. A teraz trzęsie połową miasta i jak gdyby nigdy nic wpada na poranną kawkę do prezydenta. Dziwne, nie?

— Raczej chore — parsknął śmiechem, nalewając wódkę do naszych kieliszków. — Na szczęście prezydent podobno go nie trawi, ale są tam tacy, którzy jedzą mu z ręki. Do dupy z tym wszystkim... To co, na drugą nóżkę?

Kiwnąłem głową, ale tym razem z nieco mniejszym entuzjazmem. Pochodziłem co prawda z Podlasia, nazywanego w niektórych kręgach ojczyzną bimbru, ale nie miałem mocnej głowy. Pewnie wiązało się to w jakiś sposób z moim mikrym wzrostem i szczupłą budową ciała. Nie chciałem się upić, więc tym razem jedynie umoczyłem usta. Markowi w żaden sposób to nie przeszkadzało. Przełknął swoją porcję jednym haustem i głośno czknął. Kaśka Sulej wstała i przesiadła się kilka miejsc dalej.

W tym momencie przypomniałem sobie, że Marek spędził ostatnią

noc u Karola. Teraz też wyglądał tak, jakby po lekcjach nie pojawił się w domu. Dlatego gdy zaproponował, byśmy wyszli na papierosa, zgodziłem się bez wahania. Chciałem pogadać z nim bez świadków.

Wyszliśmy przed knajpę i skierowaliśmy się w lewo, w stronę ławeczki. Spojrzałem na radiowóz i dostrzegłem w jego wnętrzu wpatrzoną we mnie Kamilę. Obok niej rozsiadło się jej dwóch kolegów. Przez moment poczułem ukłucie zazdrości, co było czymś tak irracjonalnym, że aż się roześmiałem.

Marek klapnął ciężko na ławeczce, a ja usadowiłem się obok niego. Uznałem, że znamy się na tyle dobrze, iż nie ma sensu owijać w bawełnę.

— Co się dzieje, Marek? Dlaczego nie nocowałeś wczoraj w domu? — spytałem prosto z mostu, wpatrując się w jego grubo ciosaną twarz.

Zaciągnął się głęboko papierosem. Przez chwilę miałem wrażenie, że chce zbyć moje pytania milczeniem, ale chyba czuł potrzebę, by się wygadać.

— Kilka tygodni temu znowu zacząłem trochę grać — wyznał szeptem, po czym zaczął błędzić oczami po ciemniejącym niebie.  
— Może nawet więcej niż trochę. W każdym razie wpadłem w kłopoty i nie bardzo teraz wiem, jak się z nich wyplątać.

Kłopoty wuefisty z hazardem nie były dla mnie niczym nowym. Od kiedy się poznaliśmy, Marek ciągle walczył z tym nałogiem i musiałem przyznać, że na ogół odnosił sukcesy. Niestety od czasu do czasu nie mógł się powstrzymać i szedł do kasyna. Przegrywał w nim równowartość jednej czy dwóch pensji i z podkulonym ogonem wracał do normalnego życia. Zdarzyło się tak już kilka razy, ale nigdy nie widziałem, by był aż tak przygnębiony.

— Ile przegrałeś? — spytałem, ale on tylko machnął ręką.

— Nawet nie pytaj — westchnął. — Dużo więcej niż zwykle. Musiałem zapożyczyć się na mieście. Część kasy oddałem, ale wiesz, jakie u nich są odsetki. Spóźniłem się parę dni, a przez ten czas dług urósł do tego stopnia, że nie mam co nawet marzyć o jego spłacie.

— I co? Ukrywasz się teraz przed wierzycielami? To dlatego boisz się wrócić do domu?

Pokiwał smutno głową.

— Grozili mi już dwa razy. Zrozum, oni są jak mafia. Szczerze mówiąc, nie wiem, co robić. Dlatego piję. Po alkoholu wszystko wydaje się prostsze.

Przez chwilę miałem ochotę mocno nim potrząsnąć, ale sobie odpuściłem. Wyglądał na tak przygnębionego, że nie mogłem się zmusić do użycia przemocy.

— Ale nie możesz przecież pić w nieskończoność. I nocować po znajomych — zauważyłem spokojnym głosem, choć wewnątrz wszystko się we mnie gotowało.

Sprawił wrażenie myszy zagonionej przez kota w ślepy zaułek.

— Nie wiem, co zrobię... — stwierdził udręczonym tonem.

— Może wyjadę? Na razie nie chcę o tym myśleć. Chodź, pójdziemy się napić — zaproponował i nawet się uniósł, ale pchnąłem go z powrotem na ławkę.

A potem przez chwilę w zamyśleniu szukałem wyjścia z sytuacji. Ale z tej sytuacji nie było dobrego wyjścia.

— A nie masz kogoś, kto mógłby ci pomóc? Jakiegoś bogatego znajomego? — spytałem w końcu, chociaż nie spodziewałem się usłyszeć twierdzącej odpowiedzi.

W naszym środowisku nie było zbyt wielu milionerów. W zasadzie to nie słyszałem nawet o jednym.

— Kto miał mi pomóc, to już mi pomógł — westchnął Marek.

— Najpierw pożyczalem od kolegów, ale na dłuższą metę nikt nie chce pożyczać pieniędzy hazardzistom. Dlatego załatwiłem kasę na mieście.

— Na mieście? — spytałem. — Pożyczyłeś ją od jakiejś mafii?

Skinął głową. Nie wiedziałem, że można być aż takim kretyńcem.

— Oczywiście puściłem ją w kilka minut — ciągnął. — Wiesz, jak to działa?

Pokręciłem głową.

— Nigdy nie byłem w kasynie — powiedziałem z dezaprobatą.

Nie było to do końca zgodne z prawdą. W starych czasach odwiedziłem kilka kasyn, ale nie przypominały one tych przybytków, które znał wuefista. Moje kasyna najczęściej mieściły się w zwykłych szopach i były nielegalne, a zamiast ruletki grało się w kości.

— Przychodzisz do kasyna i masz dwadzieścia tysięcy  
— tłumaczył wuefista, a ja starałem się siedzieć spokojnie, choć aż mnie skręcało ze złości i obrzydzenia. — Co wtedy robisz? Dzielisz pieniądze na dwie równe części. Przegrałeś już sporo, masz długi i chcesz jak najszybciej się odegrać. Podchodzisz do ruletki i stawiasz jedną kupkę na czerwone. Dziesięć tysięcy złotych. Masz niemal pięćdziesiąt procent szans na podwojenie wygranej, ale niestety wypadają czarne. Klniesz pod nosem i wypijasz kilka kieliszków szampana. A potem chodzisz wokół stołu z ruletką i czekasz, aż znów ogarnie cię szaleństwo. Wtedy stawiasz drugą kupkę na czarne. Kolejne dziesięć tysięcy. Tylko że tym razem wypadają czerwone. Nie masz już za co grać, więc wychodzisz. Twój dług wzrósł właśnie o dwadzieścia tysięcy. Ale wiesz, co jest najgorsze? Już w dwie minuty po wyjściu zaczynasz wierzyć, że następnym razem pójdzie ci lepiej. Że tym razem na pewno się odegrasz — zakończył i zwiesił głowę.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. To było takie smutne i takie...  
głupie.

— To straszna choroba — stwierdziłem w końcu, usiłując wykrzesać w głosie choć odrobinę współczucia. — Dobrze chociaż, że nie masz rodziny. Przynajmniej nie robisz krzywdy swoim bliskim.

Zasępił się na moment.

— Ale mogę zrobić krzywdę sobie — stwierdził coś, co było dla mnie oczywistością.

Nie chciałem go jednak dołować jeszcze bardziej.

— Daj spokój, jakoś sobie poradzisz. Najwyżej na jakiś czas będziesz musiał zniknąć. Ile potrzebujesz? — Usiłowałem go pocieszyć, ale odniosłem wrażenie, że wcale mnie nie słucha.

— Nic nie rozumiesz. — Ukrył twarz w dłoniach. — Strasznie narozrabiałem. Jak to się wyda...

— Co się wyda? — spytałem przestraszony, bo w jego głosie zabrzmiały dramatyczne nuty.

— To, że część pieniędzy pożyczyłem od Mateusza. I nie zdążyłem mu ich oddać przed jego śmiercią.

Przez chwilę miałem wrażenie, że się przesłyszałem, a potem — że śnię. Ale świat wokół mnie był przerażająco realny. Nie wiedziałem, co

mam powiedzieć. I kompletnie nic z tego nie rozumiałem.

— Dziwne, że ci pożyczył — stwierdziłem wreszcie. — Bez urazy, ale z tego, co wiem, to za tobą nie przepadał.

— To fakt, nie byliśmy ze sobą zbyt blisko. Ale wszystko zmieniło się pod koniec zimy. Nie wiem, jaki to był miesiąc. Może luty, a może już marzec? Pamiętasz, że Mateusz romansował z tą walniętą okularnicą? — Niespodziewanie zmienił temat. — Jak jej tam...

— Z Martą Sobierajską — fakt, że wuefista nie znał nawet imienia swojej koleżanki z pracy, wystawiał mu nie najlepsze świadectwo, ale byłem już do tego przyzwyczajony. — Tak, wiem. Ale dowiedziałem się o tym dopiero po jego śmierci. Co to ma do rzeczy?

— Zaraz się dowiesz. Ja też o niczym nie wiedziałem, aż tu nagle pewnego wieczoru... kiedy to było? W lutym? W marcu?

— Nieważne — przerwałem mu zniecierpliwiony.

— Masz rację, nieważne. W każdym razie idę sobie ulicą i nagle ich spotykam. Stoją jak dwie kukiełki, lekko się obejmując, a naprzeciwko nich do ataku szykuje się trzech wyrostków z nożami sprężynowymi. Chcieli ich obrobić, a może zrobić im krzywdę... Nie wiem. Na szczęście byłem wtedy na cyku. Wiesz, jaki wtedy jestem — przerwał i napiął potężny biceps. — Nie kalkuluję, tylko walę prosto w pysk... Tym razem się udało, chociaż trochę mnie poturbowali. Ale w końcu uciekli. Od tej pory Mateusz miał wobec mnie dług wdzięczności.

— Ach, więc o to chodziło. — Pokręciłem głową, bo nie znałem tej historii. — Tylko Mateusz kiepsko ci się odwdzieczył. Zamiast pożyczać ci pieniądze, powinien zmusić cię do podjęcia leczenia. Przecież to było jasne, że przegrasz je w kasynie. Jeżeli nie dziś, to jutro.

— To nie było do końca tak. Jest jeszcze inny element tej historii. Kojarzysz Andrzeja Masternaka?

— Co? — spytałem, bo miałem wrażenie, że za nim nie nadążam. Przez ostatnie dwie godziny niemal cały czas myślałem o fizyku, ale nie spodziewałem się, że usłyszę jego nazwisko także od Marka.

— Andrzej Masternak — powtórzył wuefista. — Kojarzysz go, prawda?

— Głupie pytanie. Przecież ze sobą pracujemy. Co z nim?

— Dobrze go znasz? — odpowiedział mi pytaniem na pytanie.

Nie chciałem tracić czasu na opowieść o swoich dzisiejszych odkryciach. Ale to nie był jedyny powód, dla którego postanowiłem nie odkrywać wszystkich swoich kart. To, co w ciągu kilku ostatnich minut powiedział mi wuefista, ukazało mi go w zupełnie innym świetle. Przestał być dla mnie jedynie niesfornym dzieciakiem, który nigdy nie dorośnie. Teraz patrzyłem na niego inaczej. Nie byłem pewny, czy mogę mu ufać.

— No coś ty? Prawie nic o nim nie wiem — skłamałem bez mrugnienia powieką. — Podobno ma nie do końca równo pod sufitem.

— Jakbyś wiedział to, co ja... Kiedyś Hołownia kazał mi podrzucić mu do domu jakieś ankiety. Wziąłem jego adres z sekretariatu i pojechałem. Nie chciał mnie wpuścić do mieszkania, ale ze środka buchnął taki smród, jakby przetrzymywał tam jakieś zwłoki. Odepchnąłem go. I wiesz, co się okazało?

— Domyślam się. Gołębie, prawda? — Nie wytrzymałem.

— Wiedziałeś? — zdziwił się, ale tego nie skomentował. — Ale gołębie to mały pikuś. Dalej była sypialnia, a w tej sypialni...

— Zdjęcia mamy, tak?

Wybałuszył na mnie oczy.

— Byłeś tam kiedyś? — spytał zaskoczony.

Zakląłem w myślach. Jedną z cech, których u siebie nie lubiłem, była niecierpliwość. Także i tym razem nie potrafiłem powstrzymać się od komentarzy. Dalsze wypieranie się wizyty u Masternaka nie miało sensu.

— Byłem u niego dzisiaj. Jakieś trzy godziny temu — przyznałem, a potem go zaatakowałem. — Skoro widziałeś jego mieszkanie, to dlaczego tego nie zgłosiłeś?! Chyba dostrzegłeś, że coś z nim jest nie tak?! Przecież taki świr nie powinien pracować w szkole!

Przez chwilę patrzył na czubki swoich butów.

— Masz rację — bąknął pod nosem. — Ale ten świr jakoś mnie ubłagał. Najpierw namącił mi w głowie, że niby jest taki nieszczęśliwy i że te jego odchyły są zupełnie niegroźne dla otoczenia... A potem obiecał, że zapłaci mi za milczenie. Nie wiem, co mnie napadło, ale się zgodziłem. Najpierw chciałem tak sobie zażartować. Wziąć od niego

pieniądze, pójść do kasyna i oddać mu je razem z wygraną, żeby mógł wyrwać się z tej nory i trochę znormalnieć. Ale oczywiście, zamiast wygrać, przegrałem. Wpadłem z powrotem w szpony nałogu i zacząłem go szantażować. Działy się ze mną straszne rzeczy. Widzisz — zwiesił głowę — sam stałem się świrem.

— Jesteś po prostu chory i musisz zacząć się leczyć — stwierdziłem.

Zachowywałem się spokojnie, chociaż po tym, co usłyszałem, miałem ochotę dać mu w pysk. Paskudny nałóg zmienił go w jakieś zwierzę. Z dnia na dzień stał się kryminalistą. Pastwiłem się nad nim w myślach, ale zdawałem sobie sprawę, że będę musiał mu jakoś pomóc. W gruncie rzeczy nie był złym człowiekiem, a na drogę szantażu pchnęła go monstrualna głupota.

Szantażu? Nagle coś przyszło mi do głowy.

— Czy Masternak nie wyciągał dla ciebie pieniędzy ze szkolnego konta? — spytałem z głupia frant.

Popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakby zobaczył ducha. Po sekundzie dotarło do mnie, że trafiłem w dziesiątkę.

— Skąd wiesz? — Z zaskoczenia połykał spółgłoski. — Przecież to miało pozostać tajemnicą! — krzyknął niespodziewanie, a później zwiesił głowę. Po chwili dokończył cichym głosem: — To prawda. Namówiłem go, by mi pożyczył jakąś większą kwotę, bym mógł się odegrać za jednym zamachem. Dał mi osiemdziesiąt tysięcy, ale wtedy wtrącił się w to Mateusz.

— Sprawdził stan konta i odkrył, że coś jest nie tak? — wtrąciłem, nie chcąc zgubić wątku.

Pokiwał głową.

— Dokładnie. Przydusił fizyka, a ten wskazał na mnie. Oddałem pieniądze co do grosza. Wiesz, co jest w tym wszystkim najstraszniejsze? Mateusz mówił wtedy dokładnie to, co ty przed chwilą. Że muszę się zacząć leczyć, dokładnie tymi samymi słowami. Ale obaj nie wiedzieliśmy wtedy, że mogę... — urwał i zaczerpnął powietrza. — Że mogę nie zdążyć się wyleczyć. Bo o swoje upomniała się nasza rodzima, legionowska mafia.

To w tym sennym miasteczku jest jakaś mafia? Chciałem go o to

zapytać, ale się powstrzymałem. Skoro mówił to, co mówił, to widocznie była.

— Dużo im wisiałeś? — spytałem, a gdy podał kwotę, odruchowo zaczerpnałem powietrza. To nie była jedna czy dwie pensje.

— Prawie pięćdziesiąt tysięcy — wyznał, po czym mówił dalej smutnym tonem. Miałem wrażenie, że słucham spowiedzi starego, przegranego człowieka. — Nie wiedziałem, co zrobić. Zacząłem myśleć nawet o tym, by ze sobą skończyć. Mało brakowało, a to ja pierwszy zawisłbym na sznurze. Ale wtedy Mateusz stwierdził, że mi pomoże. Nie mógł mi dać tych pieniędzy do ręki, bo zaraz bym je przegrał, więc skorzystał z komputera. Wszystkie swoje oszczędności przelał na konto tych bandziorów.

Nie chciałem w to uwierzyć.

— Tak po prostu przelał im pięćdziesiąt tysięcy?

— Co do grosza. To była wartość długu wraz z odsetkami.

Obiecałem, że będę mu to spłacał w ratach przez najbliższe cztery lata. Ale hazard to ciężka choroba.

— Tylko mi nie mów, że znów od nich pożyczyłeś? — spytałem, a on ukrył twarz w dłoniach i bezgłośnie załkał. — O nie — jęknąłem, po czym złapałem się za głowę, bo nagle dotarło do mnie, że Marek zajmował w tym momencie pierwsze miejsce na liście podejrzanych o zabójstwo Mateusza. — Stary... — zacząłem, ale nie dał mi skończyć.

— Nie! — powiedział krótko i dobitnie. — Jestem przegrany idiotą, ale nigdy nie posunąłbym się do czegoś takiego. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Mateusza.

— Ja ci wierzę — stwierdziłem, gdyż rzeczywiście mu wierzyłem. — Ale nie wiem, czy uwierzy ci policja. Co zamierzasz zrobić?

— Na razie się napić — odpowiedział. — A potem... Kto to wie, co będzie potem? Jutro równie dobrze możemy już nie żyć.

Pospieszyłem za nim kompletnie załamany. Odruchowo poszukałem wzrokiem radiowozu, ale najwyraźniej policjanci uznali, że Masternak nie pojawi się dziś w restauracji, i pojechali go szukać gdzie indziej. Jeszcze nie wiedzieli tego, co ja — że nauczyciel fizyki, chociaż bez wątplenia obłąkany, nie ma nic wspólnego z morderstwem Mateusza. Zamierzałem oczywiście powiedzieć o tym „Marchewce”, ale



najpierw chciałem przez chwilę pomyśleć.

Podtrzymałem Marka, który potknął się o krawężnik, i asekurując go, podążyłem za nim w stronę knajpy. Aby dostać się pod drzwi, musieliśmy przejść przez wąską uliczkę. Na ogół o tej porze nie było tu prawie żadnego ruchu, ale tym razem w naszą stronę zbliżały się halogenowe reflektory.

Przyspieszyłem nieco kroku, ale światła zbliżały się bardzo szybko.

— Co za kretyn! — wrzasnąłem w pewnym momencie, po czym pchnąłem Marka i w ostatniej chwili umknąłem spod maski czarnego mercedesa. Samochód niemal się o nas otarł, a potem zahamował z piskiem opon i zatrzymał się kilkanaście metrów od nas. — Jak jeździsz, człowieku! — krzyknąłem w stronę pojazdu, po czym zszedłem z ulicy i kontynuowałem swój marsz w stronę restauracji.

Kątem oka zauważyłem, że drzwiczki od mercedesa otworzyły się i z pojazdu wygramolił się kierowca. Po chwili dołączył do niego też pasażer. Obaj wyglądali na kulturystów — mieli ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i krótko ostrzyżone włosy. Pomyślałem, że szykuje się mała parlamentarna dyskusja o prawie o ruchu drogowym.

Nie lubiłem takich sytuacji, ale uznałem, że nie wypada uciekać. A poza tym Marek nie bardzo nadawał się w tej chwili do jakichkolwiek przebieżek. Miałem głęboką nadzieję, że skończy się tylko na pyskówce.

— Panowie, przepraszam, ale tu jest strefa zabudowana. Ale mi napędziliście stracha — odezwałem się pojednawczo.

Spodziewałem się, że mężczyźni rzucą kilka obelg i zaraz odjadą. Dopuszczałem też taką możliwość, że będą dążyć do konfrontacji. Ale ich reakcja kompletnie mnie zaskoczyła. Z gardeł mężczyzn nie wydobyło się pojedyncze słowo. Szli powoli w naszym kierunku, zbliżając się niczym groźne, nieme cienie.

Przed restauracją stało co prawda kilka osób, ale w większości były to nauczycielki, które wyszły na papierosa. Dostrzegłem wśród nich Aldonę i Kaśkę Sulej. Zrozumiałem, że z tej strony nie mogę oczekiwać żadnej pomocy. Pozostawał jedynie Marek, ale on chwiał się na nogach. Obrzuciłem wzrokiem mężczyzn z mercedesa i stwierdziłem, że są bardzo wysportowani. Szli miękko jak koty, ze wzrokiem utkwionym w naszej dwójce.

— Chłopaki, dajcie spokój — próbowałem ich ułagodzić.  
— Przecież nie będziemy się tu bić. Jesteśmy nauczycielami, mamy tutaj taki niewielki bankiet — terkotałem jak katarynka, ale sprawiali wrażenie, jakby byli nie tylko niemi, ale i głusi.

Miałem nadzieję, że zareagują chociaż na wzmiankę o nauczycielach. Każdy, nawet najbardziej zdegenerowany bandzior miał kiedyś jakichś nauczycieli i istniała duża szansa, że albo się ich bał, albo darzył chociaż jednego z nich niechętnym szacunkiem. Liczyłem, że dotyczy to też zbliżającej się do nas dwójki, ale niestety się pomyliłem. Parli do przodu niewrażliwi na wszystkie moje sztuczki.

Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowałem, była bójka na oczach zgromadzonych przed wejściem do restauracji nauczycieli. Dostrzegałem ich coraz więcej — na papierosie była teraz chyba połowa grona pedagogicznego. Nawet ci, którzy na co dzień nie palili, dali się skusić na jednego dymka przy wódce. Bardziej nawet niż rozkwaszonej wargi lub podbitego oka bałem się tej paniki, która miała wkrótce wybuchnąć.

Mężczyźni także zauważyli liczne grono świadków i przez chwilę liczyłem, że może obecność palaczy wyjdzie nam jednak na dobre. Ale niestety się przeliczyłem. Co prawda dresiarze — bo obaj ubrani byli w identyczne dresy rodem z lat dziewięćdziesiątych — zawahali się na chwilę, ale przemogli swą „nieśmiałość” i przestali zwracać uwagę na otoczenie.

Dzieliło ich od nas już tylko kilka kroków. Ze zdziwieniem dostrzegłem dwie rzeczy. Po pierwsze, że mercedes nie miał tablicy rejestracyjnej. A po drugie, że ich twarze ukryte są za bawełnianymi kominiarkami. A potem przestałem się dziwić. To wcale nie był przypadek. Przecież była końcówka maja — nie jechaliby przez miasto w kominiarkach, gdyby nie przyświecał im jakiś ponury cel. Popatrzyłem na Marka i wszystko stało się jasne. Na jego bladej twarzy wypisany był taki strach, że domyśliłem się, kogo mam przed sobą. Dwóch mężczyzn z mercedesa było żołnierzami mafii, z którą zadarł wuefista.

Nie było sekundy do stracenia. Ciesząc się w duchu, że jest ich tylko dwóch, wyjąłem z kieszeni telefon i wystukałem trzy cyfry

składające się na numer alarmowy. A potem rzuciłem telefon Karolowi, który stał dziesięć metrów od nas i gapił się na bandytów z mieszaniną zdziwienia i niepokoju.

— Myślałem, że tacy jak wy jeżdżą raczej BMW, a nie mercedesami! — rzuciłem zaczepnym tonem, chcąc odwrócić ich uwagę.

Niestety nie wszystko poszło zgodnie z planem. Słowa, które w założeniu miały wytrącić bandziorów z równowagi, podziałały bardziej na kogo innego. Najwyraźniej Marek znajdował się już na skraju emocjonalnego wyczerpania i mój głos wywołał w nim reakcję obronną. Zamiast stać spokojnie i przygotować się do obrony, zerwał się do biegu. I nie wiem, czy wynikało to z przypadku, czy też z niespodziewanego porywu bohaterstwa, ale zamiast biec w kierunku przeciwnym, ruszył sprintem w stronę bandytów.

Prawie udało mu się ich zaskoczyć. Gdyby zamiast po prostu biec, spróbował ich zaatakować, to jestem pewien, że pierwsze dwa, może trzy ciosy doszłyby do celu. Ale Marek był zmęczony. Znajdował się w takiej fazie upojenia, że nie miał już w sobie zbyt wiele energii. Wpadł na nich co prawda z siłą tarana, ale nie dołożył nic od siebie. Zachwiali się, ale zdołali się pozbierać. Wuefista, choć wcale nie był ułomkiem, odbił się od nich jak od ściany. A potem jeden z nich odsunął go na odległość ramienia i z całej siły huknął go w twarz dłonią uzbrojoną w kastet.

Rozległ się wyraźny odgłos chrupnięcia, który wskazywał, że uderzenie zakończyło się dla wuefisty utratą przynajmniej jednego zęba. Przez chwilę chwiał się na nogach, a potem opadł na kolana. Z jego ust wydobył się zwierzęcy skowyt. Po sekundzie do tego odgłosu dołączył przeraźliwy pisk.

Pisk ten wydobywał się z gardeł dwóch spośród kilku stojących nieopodal nauczycielek. Większość kobiet była zbyt przerażona, by wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk, ale taka Kaśka Sulej ryczała niczym syrena okrętowa. Z mężczyzn był tylko Karol, ale on akurat nie krzyczał. Z radością stwierdziłem, że odszedł kilkanaście kroków i mówi coś gorączkowo, trzymając przy policzku mój telefon.

— No chodźcie! — rzuciłem w kierunku bandytów, unosząc

zaciśnięte pięści i przyjmując pozycję znaną mi z filmów karate.

Nie chciałem się bić. Jedyne, czego pragnąłem, to odwrócić ich uwagę od rozmawiającego z policją Karola. To dlatego zabawiałem się w Karate Kida, tańcząc śmiesznie na nogach. Miałem nadzieję, że ich rozbawię i stracą kolejne kilka sekund.

Ale w ogóle nie zwracali na mnie uwagi. Zamieszanie wywołane kobiecymi krzykami musiało ich zaniepokoić. Chwycili półprzytomnego Marka za pasek od spodni i pociągnęli go w stronę samochodu. Po kilku sekundach byli już przy mercedesie.

Nie mogłem dopuścić do tego, by władowali go do bagażnika i odjechali w stronę dal. Co prawda cała akcja pomyślana była wyjątkowo kretyńsko, ale i tak mieli duże szanse zdążyć przed policyjną obławą i wywieźć go do jakiegoś lasu. Podejrzywałem, że nie będą chcieli go zabić — w końcu trupy nie oddają długów — ale ciężkie pobicie miał pewne jak w banku. Nie chciałem oglądać swojego kolegi zupełnie pozbawionego zębów. Był jaki był, lecz nie mogłem go tak zostawić.

Podbiegłem do bandytów, którzy właśnie pakowali Marka do bagażnika, grożąc mu przy tym i przeklinając. Mój kolega mocno krwawił i nie stawiał żadnego oporu.

— Spływasz stąd, mały — rzucił w moim kierunku jeden z mężczyzn. — To nie twoja sprawa. Jeżeli chcesz żyć, to zapomnij o tym, co widziałeś.

— Puśćcie go, to was zostawię — odparłem, grając na czas. — Jak go zostawicie, to dam wam spokój.

Zabarwiłem swój głos sporą dawką paniki, chociaż tak naprawdę nie czułem strachu, tylko niesmak. Ale nie chciałem, by się domyślili, że wcale się ich nie boję. Mogliby wtedy być ostrożniejsi i moje zadanie stałoby się trudniejsze.

Jeden z bandytów zaśmiał się pogardliwie w odpowiedzi, ale drugi nie był taki pogodny.

— A pójdiesz stąd, gówniarzu! — ryknął i usiłował mnie kopnąć, ale się uchyliłem. Obrzucił mnie stekiem wyzwisk i ruszył w moją stronę, ale chociaż zamachnął się na mnie dwa razy, przytomnie schodziłem z linii ciosu.

— Zostaw go — powiedział ponaglącym tonem wesolek,

zamykając jednocześnie klapę bagażnika. — Musimy spadać, bo zaraz przyjadą psy. No zostaw go, do cholery! — zaklął kilka razy i zrobił kilka kroków w naszą stronę.

Jego kolega zareagował dopiero na dźwięk przekleństw. Przez chwilę patrzył się na mnie z mściwym wyrazem twarzy.

— Jeszcze cię dopadnę, gnoju — powiedział lekko dysząc.  
— Zapamiętałem twoją twarz.

Odwrócił się na pięcie i poganiany przez towarzysza pospieszył do samochodu. Dосkoczyłem do niego i wymierzyłem mu kopniaka w tyłek.

Nie mógł zignorować takiego upokorzenia. Miał mózg wielkości orzeszka ziemnego i nie chciało mu się w nim pomieścić, jak takie byle co jak ja mogło tak się zachować w stosunku do niego, króla życia. Odwrócił się na pięcie, ale przez moment w jego widocznych spod kominiarki oczach nie malowała się wściekłość, tylko zaskoczenie.

— Zabiję cię — powiedział takim tonem, jakby stwierdzał fakt, i dopiero wtedy ogarnęła go wściekłość. — Już nie żyjesz! — ryknął i rzucił się na mnie z pięściami.

Jako dzieciak miałem stary, zdezelowany rower, na którym uczyłem się jeździć. W mojej wsi był to podstawowy środek transportu. Całe dzieciństwo spędziłem prawie przyspawany do rowerowego siodełka, włączając się po polnych drogi, leśnych duktach i płaskich jak stół, podlaskich łąkach. Kiedy jednak wkroczyłem w dorosłe życie, nie zabrałem ze sobą roweru. Nie pedałowalem przez dobre dziesięć lat. Spróbowałem ponownie w zeszłe wakacje i przez chwilę miałem wrażenie, że sobie nie poradzę. Ale gdy tylko poczułem pod rękami kierownicę, kiedy moje stopy oparły się na pedałach, a tyłek dotknął siodełka, wszystkie pordzewiałe przez lata umiejętności wróciły w mgnieniu oka i znów śmigałem jak ten blondwłosy podlaski urwis, którym kiedyś byłem. Są rzeczy, których się nie zapomina. Do tych rzeczy zaliczają się też umiejętności walki wręcz.

Odruchowo zablokowałem pierwszy cios i zgrabnym piruetem uniknąłem kolejnego. Dresiarz otworzył przede mną swoją gardę, ale nie zaufałem instynktowi i nie palnąłem go w podbródek. Zamiast tego wyprowadziłem krótki cios, który wylądował na jego nerce. Z jego

twarży zniknęła wściekłość, wyparta przez zaskoczenie i pierwsze oznaki bólu. Machnął bez przekonania ręką, ale się schyliłem. W chwili gdy jego pięść przecinała powietrze nad moją głową, szybkim ruchem stopy podciąłem mu nogi. Padł jak długi, a ja — jakby w kolejnej figurze śmiertelnie niebezpiecznego baletu — opadłem kolaniem na jego twarz, łamiąc mu nos. Nie zdążył krzyknąć, gdy unieruchomiłem go w pozycji na wznak. Chcąc zakończyć starcie, odruchowo uniosłem prawą dłoń i w ostatniej chwili się zreflektowałem. Zmieniłem dłoń na tę, w której miałem wszystkie palce, a potem z siłą młota pneumatycznego huknąłem go w skroń. Przez jego ciało przebiegło krótkie drżenie, a w otwartych oczach pojawiły się białka.

Bandyci, którzy chcieli porwać Marka, zdecydowanie grali w drugiej lidze. Pierwszego pokonałem w trzy sekundy, a drugi, zamiast rzucić mu się na pomoc, postanowił zrejterować. Pobiegnął do samochodu, nie troszcząc się o swojego towarzysza. Jakoś nie pomyślał, że pozostawienie go w naszych rękach było o tyle idiotyczne, że narażało całą akcję na totalną dekonspirację.

Ważył pewnie ponad sto kilo, w związku z czym ruszał się jak mucha w smole. Dopędziłem go po kilku metrach i pchnąłem na maskę samochodu. Usiłował się wyrwać, ale wykręciłem mu rękę i unieruchomiłem. Przez chwilę jeszcze się siłował, ale w końcu dał za wygraną.

— Puść mnie — wydyszał. — Puść mnie, proszę. Tak mi duszno... Chyba mam coś z sercem.

Jego twarz ukryta była za kominiarką, ale oddychał tak ciężko, że trochę się zaniepokoiłem. Wyglądał na sztucznie napompowanego. Pewnie od lat faszzerował się sterydami, a z tego, co wiedziałem, to wspomagacze nie były dobre dla serca. Zwolniłem ucisk, ściągnąłem mu z głowy kominiarkę i odsunąłem się, nie chcąc zabierać mu powietrza. Okazało się, że tylko na to czekał.

— Ty frajerze — powiedział głosem, w którym nie było śladu zmęczenia. — To teraz patrz...

W jego lewej dłoni — bo prawa była uzbrojona w kastet, którym uderzył kilka chwil temu Marka — zaśnił niewielki nożyk. Poruszał nim szybko i wprawnie, po czym domyśliłem się, że nie używa go po raz

pierwszy. Zrobił w moją stronę pozorowany ruch i zaśmiał się, kiedy odskoczyłem.

Oderwał się od samochodu i powoli zbliżał się do mnie, a ja małymi kroczkami się cofałem. Na jego prymitywnej twarzy zagościł uśmiech pełen zadowolenia. Cieszył się, że udało mu się uniknąć murowanej kłębki i doprowadzić do sytuacji, w której straciłem przewagę. Ale ja też się cieszyłem, choć w przeciwieństwie do niego tego nie okazywałem. Zależało mi na czasie. Mogłem tak się przed nim cofać aż do przyjazdu policji.

W pewnym momencie chyba do niego dotarło, że czas działa na moją korzyść. Rzucił okiem na swojego towarzysza, który wciąż leżał na trotuarze i balansował na granicy przytomności, a potem przystąpił do ataku. Nie umiał ukrywać swoich zamiarów, dlatego wiedziałem dokładnie, co ma zamiar zrobić. Wiedziałem to od samego początku — od chwili, w której wyciągnął nóż.

Nóż miał być tylko podpuchą, czymś, co miało odwrócić moją uwagę. Tak naprawdę liczyła się druga ręka, ta z kastetem. Trzymał ją ukrytą w cieniu, koncentrując się na pokazywaniu mi noża. Mogłem mu go wytrącić jednym ruchem ręki, ale wołałem się z tym wstrzymać. Dopuszczałem możliwość, że w drugiej ręce ma ukryte jeszcze coś, na przykład gaz.

Ale okazało się, że to był tylko kastet. Bandzior zamarkował pchnięcie nożem, spodziewając się, że zareaguję po jego myśli, wystawiając się na cios. Ale ja kompletnie go zaskoczyłem. Krzywiąc się z bólu wywołanego napięciem pachwiny, odbiłem się od ziemi i kopnąłem go w głowę. To było trudne uderzenie, ale zazwyczaj świetnie mi wychodziło. Może dlatego, że byłem taki mały i lekki.

Kiedy moja stopa stykała się z jego żuchwą, w powietrzu zabrzmiał odgłos, jaki wydaje siekiera uderzająca w drzewo. Cios wyszedł mi idealnie. Właściciel noża w ułamku sekundy stracił przytomność i upadł na ziemię jak worek kartofli. Wiedziałem, że nie pozbiera się przynajmniej przez następne parę minut.

Dopadłem do drugiego z bandytów, który właśnie się podnosił, potrząsając głową w zamroczeniu. Profilaktycznie strzeliłem go w pysk, znów wyłączając mu film. Byłem brutalny, ale nie chciałem niczego

pozostawiać przypadkowi. A potem dopadłem do mercedesa i otworzyłem bagażnik.

— Nic ci nie jest? — zapytałem z niepokojem, gdyż Marek oberwał naprawdę mocno.

— Bywało lepiej — odpowiedział mi, sepleniąc, a potem pokazał w krwawym uśmiechu dwa miejsca po wybitych siekaczach. — Spędzę trochę czasu u protetyka — dodał, wspierając się na moim ramieniu i z oszołomieniem wpatrując się w dwóch zmasakrowanych bandytów. — Co tu się do cholery...

Nie zdążył dokończyć, bo w tej chwili rzuciła się na mnie kolejna osoba. Tym razem jednak nie był to atak. Żaden z pokonanych przeze mnie bandytów nie miał przecież tak miękkiej, a zarazem wypukłej klatki piersiowej.

— Och, Tomku — usłyszałem gorączkowy szept, a w nosie zakręciło mi się od zapachu ciężkich francuskich perfum. — Jak ja się o ciebie bałam.

Wyrwanie się z ramion Aldony przyszło mi z o wiele większym trudem niż obezwładnienie bandytów. Cóż, w tej sytuacji nie mogłem stosować niedozwolonych chwytów.

— Czekaj, tu się jeszcze coś może dziać — powiedziałem, gdy mi się to udało, po czym rozejrzałem się za Karolem.

Chłopak pomachał mi ręką z miejsca, w którym widziałem go przed minutą. Wciąż gadał do słuchawki telefonu. Spodziewałem się, że policja może tu być lada chwila.

— Leżeć — powiedziałem, ale było to niepotrzebne. Bandyci przez jakiś czas nie zamierzali się podnosić. Obaj byli nieprzytomni.

Odetchnąłem z ulgą i nieco się rozluźniłem. Jedną ręką objąłem Marka, który chyba wytrzeźwiał, a drugą położyłem na kibici słaniającej się z emocji Aldony. A potem, czując się jak bohater filmu klasy B, poprowadziłem ich w kierunku wpatrzonych w nas nauczycielek. Brakowało mi tylko wiwatów i podniosłej muzyczki w tle.

Przeszedłem w życiu kilkanaście szkoleń z walki wręcz. Szkolono mnie między innymi w czterech najbardziej znanych uczelniach wojskowych na świecie: w West Point, Saint-Cyr, Kriegsakademie i Sandhurst. Na każdym z tych szkoleń jak mantrę powtarzano jedną



banalną zasadę — by podczas walki nigdy nie tracić czujności. A ja tę czujność właśnie straciłem.

Kiedy dostrzegłem zbliżające się biegiem postacie, byłem pewien, że to policjanci. Dopiero gdy zobaczyłem ich ubiór — dresy podobne do tych, które mieli na sobie dwaj pierwsi napastnicy — zrozumiałem, że to nie policja. Krzyknąłem, by wszyscy padli na ziemię, ale mój głos utonął w dźwięku pistoletowych wystrzałów. Żarty się skończyły. Bandyci postanowili doprowadzić sprawę do końca.

Musieli obserwować z daleka przebieg starcia i gdy dotarło do nich, że ich koledzy zostali pokonani, postanowili włączyć się do akcji. Na szczęście pierwsze strzały skierowane zostały w powietrze, aby wystraszyć zgromadzone wokół w charakterze gapiów nauczycielki. Kątem oka zauważyłem, że udało im się skryć we wnętrzu budynku. Karol wykonał klasyczne „padnij” i kontynuował swoją rozmowę z policją z pozycji horyzontalnej. Na placu boju pozostaliśmy we trójkę, mając taką samą liczbę przeciwników.

Potoczyłem wzrokiem dookoła, szukając jakiejś tymczasowej kryjówki. Gdybym był sam, z pewnością potrafiłbym ukryć się przed zagrożeniem, ale nie chciałem zostawiać na pastwę losu swoich towarzyszy. Wiedziałem, że jedynym sposobem na uniknięcie katastrofy jest pozostawanie w ruchu. W związku z tym, że bandyci nadbiegali od strony mercedesa, pociągnąłem „swoją” gromadkę w kierunku przeciwnym. Nie wziąłem pod uwagę tylko jednej rzeczy — słabości Marka. Czy to z powodu spożytego wcześniej alkoholu, czy też w efekcie otrzymanego uderzenia, wuefista słaniał się na nogach i po kilku krokach osunął się na ziemię.

Nie mogłem go zostawić samego. Chociaż bandyci byli od nas zaledwie o kilkadziesiąt metrów, cofnąłem się i poderwałem Marka na nogi. Nie był w stanie sam się poruszać, dlatego przerzuciłem go sobie przez ramię. Ważył przynajmniej o dwadzieścia kilo więcej ode mnie, więc poruszałem się bardzo powoli.

Zamierzałem oddalić się z nim jak najbardziej. Liczył się każdy metr i każda sekunda, bo lada chwila spodziewałem się przyjazdu policji. Podejrzywałem, że bandyci nie będą nas ścigać. Uważałem, że poniechali już porwania czy krwawej zemsty i chcą jedynie

zminimalizować swoje straty — zabrać swoich nieprzytomnych kolegów i jak najszybciej stąd odjechać. Nie wziąłem jednak pod uwagę dwóch czynników. Pierwszym było zdenerwowanie napastników, a drugim uczucia, jakimi darzyła mnie Aldona.

Nawet nie zauważyłem, że kiedy cofnąłem się po Marka, Aldona podążyła za mną. Myślałem, że biegnie dalej, oddalając się od zagrożenia. A ona postanowiła mnie osłaniać. Kiedy ja słaniałem się pod ciężarem wuefisty, ona wybiegła bandytom na spotkanie.

Traf chciał, że zbiegło się to z pierwszymi sygnałami policyjnych syren. W chwili, gdy się odwracałem, jeden ze zdenerwowanych bandytów pociągnął za spust, nie mierząc tym razem w powietrze, lecz celując w naszą stronę. Trafienie w biegnącego człowieka z odległości czterdziestu metrów graniczy z niemożliwością, ale Aldona znajdowała się znacznie bliżej. Najpierw z przerażeniem uświadomiłem sobie, że jest w zupełnie innym miejscu, niż się spodziewałem, a potem jak na zwolnionym filmie obserwowałem, jak pochyla się i upada. Puściłem Marka i popędziłem w jej stronę.

Dopałem do miejsca, w którym leżała, w niecałe dwie sekundy. Moja podświadomość zarejestrowała, że bandyci poniechali jakichkolwiek czynności i wsiedli do mercedesa, porzucając swoich nieprzytomnych kolegów. Kluczyki musiały być w stacyjce, bo od razu uruchomili silnik. Nie zwracałem jednak na to uwagi. Z przerażeniem obserwowałem plamę krwi, która powiększała się na piersi Aldony. Wyglądała jak pąk róży rozkwitający na białym tle jej bluzki.

Jej spojrzenie było zupełnie przytomne.

— Mówiłam, że ci pomogę — wyszeptała, a ja poczułem pieczenie pod powiekami. — Czy teraz mi wybaczysz?

Gardło zacisnęło mi się do tego stopnia, że jedynie pokiwałem głową. W tej samej sekundzie do naszej dwójki dołączył zdyszany Marek.

— Odsuń się — powiedział chrapliwym szeptem i rozpoczął akcję podtrzymywania życia.

Był specjalistą od pierwszej pomocy i chociaż akurat na ranach postrzałowych znałem się nie gorzej od niego, to się z nim nie spierałem. Wciąż czułem szczypanie pod powiekami i ból gardła, ale nie były to

objawy smutku, szoku czy załamania. To była wściekłość, która zapłonęła we mnie błękitnym płomieniem. Wściekłość, że przez źle ulokowaną miłość z życiem miała się rozstać taka młoda, inteligentna i bliska mi w gruncie rzeczy dziewczyna. Miałem wrażenie, że zaraz eksploduję.

Zanim na miejsce bójki i strzelaniny dotarł pierwszy radiowóz, rzuciłem się w pogoń za czarnym mercedesem.

Samochód bandytów zniknął już za zakrętem, ale na szczęście mogłem pobiec na skrót. Przeciąłem podwórko, przeskoczyłem przez ogrodzenie i dotarłem na Rynek w tym samym momencie, co oni. Musiałem spojrzeć prawdzie w oczy. Na prostej drodze żaden, nawet najbardziej zdeterminowany człowiek nie ma najmniejszych szans z samochodem. Miałem dosłownie kilka sekund, aby ich zatrzymać, zanim skręcą w Piłsudskiego i po chwili znikną mi z oczu, pozostawiając za sobą jedynie smród z rury wydechowej. Tylko nie miałem pojęcia, jak to zrobić.

Rynek był rozkopany, ale niestety dotyczyło to głównie chodnika. Uliczka była przejezdna i chociaż mercedes musiał przyhamować na nierównym asfalcie, to i tak nie miałem szans, by szarpnąć za którąś z klamek. Na domiar złego potknąłem się o ułożone w stosik stare kostki Bauma, które miały być wymienione na bardziej nowoczesną nawierzchnię granitową. Niemal upadłem i przez chwilę syczałem z bólu, usiłując przez skórę buta rozmasować urażony paluch.

Przeklinając pod nosem, schyliłem się i podniosłem połówkę brukowej kostki. Idealnie układała się w dłoni. Wstrzymałem oddech i z całych sił cisnąłem ją w kierunku mercedesa, który skręcał właśnie w główną ulicę.

Nie celowałem w żaden konkretny punkt. Mój rzut był raczej wyrazem frustracji, ale tym razem dopisało mi szczęście. Kostka poszybowała w nocne niebo, po czym łagodnym łukiem pomknęła w stronę poruszającej się maski, aby w ostatniej chwili trafić w przednią szybę. Efekt był piorunujący — szyba natychmiast pokryła się milionem pęknięć, stając się kompletnie nieprzejrzysta. Nie mogło być mowy o dalszej jeździe.

Wydałem z siebie ponury ryk i pomknąłem w kierunku

unieruchomionego pojazdu. Bandyci wysypali się na zewnątrz i zaczęli uciekać, przecinając skwer pośrodku Rynku. Popędziłem za nimi, ile sił w nogach, tupiąc butami po świeżo wyremontowanym chodniku.

Na pierwszy rzut oka musiało wyglądać to dość dziwnie. Wychodziło na to, że trzech uzbrojonych osiłków ucieka przed jednym kurduplem. Wiarygodności dodawał tej sytuacji dobiegający z sąsiedniej uliczki dźwięk policyjnych syren. Tak naprawdę bandyci nie uciekali przede mną, tylko przed znajdującymi się tuż poza zasięgiem wzroku policjantami. I ta ucieczka miałaby olbrzymie szanse powodzenia — gdyby nie ja.

Nigdy, nawet przed laty, nie lubiłem długich biegów. Oczywiście w dawnych czasach przebiegnięcie kilku kilometrów w dobrym tempie nie stanowiło dla mnie problemu, ale tak naprawdę zawsze specjalizowałem się w sprintach. Byłem podobno szybki jak wiatr i teraz mieli się o tym przekonać moi przeciwnicy.

Na Rynku nie było oprócz nas żywego ducha. Była to szczęśliwa okoliczność, bo nic nie rozpraszało mojej uwagi. Nie musiałem się martwić o osoby postronne, istniałem tylko ja i zabójcy Aldony. Zobaczyłem, że jeden z nich ucieka nieco wolniej od pozostałych, i popędziłem w jego stronę.

Kiedy dzieliły mnie od niego jakieś trzy metry, wydał z siebie coś między krzykiem a skowytym. Dwóch pozostałych mężczyzn zatrzymało się z lekkim wahaniem i ruszyło mu na ratunek.

— Trzymaj się, szefie! — krzyknął jeden z nich i pomknął w moją stronę.

„Szef” nawet się na niego nie obejrzał, tylko gnał przed siebie, jakby go ścigało stado wilków. Jego tchórzostwo było dla mnie błogosławieństwem, gdyż łatwiej było mi stawić czoła dwóm niż trzem przeciwnikom. Wybiegłem na spotkanie jednemu z jego podkomendnych i w ostatniej chwili wysunąłem przed siebie kolano. Wpadliśmy na siebie niczym dwa rozpędzone pociągi, a naszemu zderzeniu towarzyszył trzask przypominający odgłos łamanej gałęzi.

Zdołałem utrzymać się na nogach, podczas gdy mój przeciwnik potoczył się aż pod fontannę. Nie spodziewałem się, by był zdolny do dalszej walki. Udało mi się go trafić tak, jak chciałem — moje kolano

uderzyło w jego udo z całym impetem naszych przeciwstawnych prędkości. Suchy trzask był odgłosem łamanej kości udowej, a nie słyszałem o przypadku, by po takiej kontuzji ktoś był w stanie poruszać się o własnych siłach. Przynajmniej nie przed operacją.

Skoncentrowałem się na drugim atakującym mnie mężczyźnie. Był zdecydowanie trudniejszym przeciwnikiem od wszystkich pozostałych razem wziętych. Tańczył wokół mnie, oceniając moje słabsze strony. A potem rzucił się na mnie z nożem, obierając za cel ataku moją prawą rękę.

Nie byłem mańkutom, ale przed laty utraciłem znaczną część sprawności w prawej dłoni. Pozostawiona przez terrorystę gdzieś w górach Afganistanu mina pułapka wyrwała mi z niej dwa środkowe palce, kończąc moją karierę wojskową i posyłając mnie do obecnego życia. Od tego czasu nie mogłem za bardzo na nią liczyć. Po wielu wysiłkach nauczyłem się nią pisać, ale w walce była niemal zupełnie nieprzydatna.

Mój przeciwnik był profesjonalistą. Obserwując moje dotychczasowe ruchy, zorientował się, że świetnie mnie wyszkolono. W uczciwej walce nie miałby pewnie ze mną szans, ale nie zamierzał walczyć uczciwie. Zlokalizował moją słabość i chciał ją wykorzystać.

Zdołałem uniknąć pierwszego ciosu i skontrolowałem go prawym prostym, uderzając go w policzek. Biłem prawą ręką, więc nie było to mocne uderzenie, tylko raczej mocne klepięcie. Odskoczył i znów przede mną zatańczył. W jego oczach dostrzegłem żądzę mordu. Nie spuszczając ze mnie wzroku, wyciągnął zza paska wojskowy nóż.

Nie tracił energii na głupie uwagi i czece pogróżki. Usiłował mnie zahipnotyzować, a potem uderzyć niczym błyskawica, obierając za cel moją słabszą stronę. Zupełnie jak kobra. Był ode mnie młodszy i cięższy, więc miałbym z nim z pewnością trudną przeprawę, ale...

Na moje szczęście się poślizgnął. Na świeżo położonej kostce w jednym z miejsc pozostało trochę piachu, na który natrafiła jego noga. Stało się to w najgorszym dla niego momencie, w chwili gdy rzucał się do ataku. Zareagowałem natychmiast i zanim zdążył odzyskać równowagę, znalazłem się za jego plecami i złapałem go za nadgarstek.

Nacisnąłem umiejętnie na staw przy nadgarstku i nóż zagrzechotał

o granitowe podłoże. Złapałem go za szyję i już miałem zastosować jeden ze starych trików i pozbawić go przytomności, gdy na granicy swojego wzroku, tam gdzie zostawiłem drugiego z bandytów, dostrzegłem jakiś nieznaczny ruch. Obróciłem się w stronę fontanny, osłaniając się trzymanym za gardło opryskiem niczym tarczą. Z przerażeniem dostrzegłem, że poszarzały z bólu mężczyzna mierzy do mnie z pistoletu.

Nie zdążyłem nawet odetchnąć, gdy powietrzem targnął huk wystrzału. Poczułem uderzenie, ale to nie we mnie trafił pocisk. Bandyta, którego trzymałem, westchnął i zwiotczał w moim uścisku. A potem zaczął osuwać się na ziemię. Nie zwracałem na niego uwagi, koncentrując się na tym drugim, bardziej w tej chwili niebezpiecznym.

Odrzut wystrzału sprawił, że pistolet prawie wypadł mu z ręki, ale mężczyzna jakoś się pozbierał. Był kilka metrów ode mnie i nie mogłem liczyć na to, że spudłuje. Błyskawicznie zanurkowałem i wymacałem leżący na granitowych płytach nóż. Huknął drugi strzał, a ja w tym samym momencie zrobiłem coś, co nigdy nie wychodziło mi na ćwiczeniach. Klęcząc na jednym kolanie, wzięłem zamach i cisnąłem nożem w kierunku opierającego się o fontannę opryszka.

Kula przemknęła mi nad głową, a jej świst zbiegł się z odgłosem upadającego ciała postrzelonego bandyty oraz ze skowytym tego, który pociągnął za spust. Przetoczyłem się po ziemi i poderwałem, gotowy do skoku, ale okazało się, że nie muszę już robić uników. Ze zdumieniem spostrzegłem, że rzucony przeze mnie nóż trafił do celu, przeszywając tę rękę bandyty, w której przed chwilą ścisnął swoją broń. Nie miałem zbyt wiele czasu. Wciąż nie wierząc własnym oczom, podbiegłem do fontanny, chwyciłem porzucony pistolet i przy akompaniamencie policyjnych syren rzuciłem się w pogoń za rozplywającym się w ciemnościach trzecim z bandytów.

Moja przeprawa przy fontannie nie trwała dłużej niż kilkanaście sekund, dlatego szef grupy napastników nie zdążył uciec daleko. Był wyraźnie starszy od swoich podkomendnych i poruszał się z dużo mniejszą sprawnością. Biegł niczym zaszczute zwierzę i na moich oczach odrzucił od siebie pistolet. Kierował się w stronę dworca kolejowego.

Też byłem już zmęczony, ale szybko zmniejszałem dzielącą nas odległość. Uciekający raz po raz odwracał się przez ramię i w pewnym momencie odniosłem wrażenie, że skądś go znam. Był coraz bardziej przerażony. Wbiegł na perony, dobiegł do końca stacji i została mu tylko jedna droga ucieczki. Zeskoczył na ciemne tory i zaczął biec w kierunku na Gdańsk. Dopadłem go po kilku metrach.

Brutalnie obaliłem go na ziemię i wtedy na jego twarz padł blask stacyjnego reflektora. Zastygłem z uniesioną do ciosu pięścią. Po raz kolejny miałem ochotę przetrzeć oczy.

— Antoni Winnicki? — spytałem odruchowo, bo przerażona twarz pode mną należała do biznesmena, z którym starłem się rano na sali gimnastycznej.

Do biznesmena, który rządził miejscową mafią.

— Puść mnie — wydyszał. — Dam ci wszystko.

Uśmiechnąłem się zimno i z całej siły uderzyłem go pięścią w twarz.

Policja nie nadciągała tak długo, że znudzony oczekiwaniem założyłem biznesmenowi dźwignię i zaciągnąłem go na peron. Szedł z trudem, a z jego zmasakrowanej twarzy kapały na beton rubinowe krople krwi. Stałem w świetle latarni i kilkakrotnie świsnąłem na palcach, sygnalizując swoją obecność. Przybiegli po kilkunastu sekundach i przejęli ode mnie mojego więźnia.

Przez kilka minut siedziałem na dworcowej ławce, dochodząc do siebie. Towarzyszył mi młody policjant, który bez przerwy dopytywał się, czy wszystko w porządku, nie umiając przy tym odpowiedzieć na moje pytania. A potem zjawiała się Kamila.

— Tomek. — Położyła mi dłoń na głowie i przez chwilę wyglądała tak, jakby miała zemdleć. A potem mocno się do mnie przytuliła. Jej serce tukało jak obijający się o pręty klatki ptak.

— Co z Aldoną? — spytałem gorączkowo, przygotowując się na najgorsze.

Jej odpowiedź była jak balsam na moją duszę.

— Powierzchowne skaleczenie. Kula drasnęła ją w ramię. Dużo krwi, ale nic jej nie będzie. Karetka zabrała ją do szpitala, ale lekarz mówił, że to czysta profilaktyka...

Przerwałem jej, wydając z siebie krzyk radości. Moja reakcja ją ośmieliła.

— Kim ty jesteś? — spytała, patrząc na mnie uważnie.

Pytanie nie było zbyt precyzyjne, ale zrozumiałem, o co jej chodzi.

— Przez cztery lata byłem żołnierzem wojsk specjalnych.

Miałem przed sobą ponad dwie godziny przesłuchań na komendzie.

W przerwach między składaniem zeznań zdążyłem opowiedzieć Kamili i jej kolegom tę część historii mojego życia, która dotyczyła służby w GROM-ie. Zacząłem od tego, jak po kilku tygodniach zasadniczej służby wojskowej podeszło do mnie dwóch pułkowników, zainteresowanych opowieściami o młodym rekrucie, który wszystkie ćwiczenia wykonywał dwa razy szybciej od pozostałych. To oni namówili mnie do wstąpienia do GROM-u, gdzie w kilkanaście miesięcy zrobiono ze mnie maszynkę do walki. Robiłem wszystko — skakałem ze spadochronem, nurkowałem, strzelałem z każdego rodzaju broni, ćwiczyłem sztuki walki, biegałem po kilkanaście kilometrów, uczyłem się, jak przetrwać w lesie, na pustyni, za kołem podbiegunowym... To tam nauczyłem się prowadzić samochód i zakładać dźwignię, wspinać się po górach i funkcjonować bez snu. Potem mówiłem o podróżach po całym świecie, o szkoleniach, podczas których stawałem w szranki z najlepszymi komandosami sił zbrojnych innych krajów, aż wreszcie o służbie w Afganistanie. Skończyłem na opisie wypadku, który odesłał mnie na wojskową rentę, do której dorabiałem jako zatrudniony na umowę-zlecenie nauczyciel.

Część z policjantów, zwłaszcza tych młodszych, słuchała mnie z otwartymi ustami. W ich oczach zacząłem uchodzić za jakiegoś supermana, którym wcale się nie czułem. Po prostu tak jak jedni dochodzą do biegiwości w prawie, inni w kopaniu piłki, a jeszcze inni w księgowości, tak ja nauczyłem się utrzymywać przy życiu. I zabijać.

Było kilka minut przed drugą w nocy, gdy skończyli mnie przesłuchiwać.

— Na szczęście nikt nie zginął, bo inaczej potrwałoby to znacznie dłużej — powiedziała Kamila, kiedy znaleźliśmy się w jej samochodzie.

— W najcięższym stanie jest ten postrzelony przez kolegę, ale podobno ma szansę z tego wyjść. Oczywiście prosto ze szpitala trafi do aresztu,



tak jak pozostali. Jak Winnicki... — Uśmiechnęła się na wspomnienie miny komendanta, który prywatnie był przyjacielem biznesmena i po tym, co się okazało, zaczynał się martwić o swój stołek. — Zawsze był dla mnie mętną postacią, ale nie spodziewałam się, że to aż taki bandzior. Posiedzi sobie ładnych parę lat. A jak jeszcze dołożą mu do tego zlecenie zabójstwa Mateusza...

— Ale po co miałby go zabijać? — przerwałam jej, ziewając. Nowa teoria policjantki nie bardzo mnie przekonywała, ale nie miałem siły się z nią spierać. — Do zobaczenia! — cmoknąłem ją w policzek, gdy zatrzymała się pod moim blokiem.

Poczekalem, aż odjedzie, i jak pijany wtoczyłem się na piętro. Pocałowałem w czoło mojego syna i targany wyrzutami sumienia opadłem na swój barłóg.

## Dzień czwarty — sobota

Miałem wrażenie, że mój telefon zadzwonił zaraz po tym, jak zamknąłem oczy, ale na dworze było już jasno. Głośny dźwięk dzwonka obudził nie tylko mnie. Antoś usiadł na swoim łóżku, szeroko ziewnął i popatrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem, a teściowa zakaszłała za parawanem.

— Przepraszam, mamó! — powiedziałem stłumionym głosem, po czym wstałem i podszedłem do zaspanego Antosia. — Śpij, syneczku — szepnąłem, a następnie w półletargu wyszedłem na klatkę schodową.

Zegar w telefonie wskazywał kilka minut po szóstej rano. Zasnąłem około drugiej, więc miałem za sobą zaledwie cztery godziny snu, dlatego mój zachrypnięty głos bynajmniej nie ociekał uprzejmością.

— Kamila, czy ty do reszty zgłupiałaś? — zapytałem, zamykając za sobą drzwi do mieszkania.

— Nie denerwuj się — zaśmiał się damski głos po drugiej stronie słuchawki. — Czy rano zawsze jesteś taki zły? Czy tylko wtedy, jak wstaniesz lewą nogą?

— Dzisiaj wstałem prawą — warknąłem. — A ty w ogóle nie potrzebujesz snu?

— Nie ma teraz czasu na sen — oznajmiła rzeźkim głosem. — Ile czasu potrzebujesz, by wyjść?

— Gdzie? — spytałem niezbyt inteligentnie. — Przed budynek?

Naciągnąłem na nagą pierś bluzę z kapturem i wbiłem się w wystrzępione dzinsy. Na nogi założyłem sfatygowane klapki, wydłubałem z oczu kilka śpiochów i dziewięćdziesiąt sekund później byłem na dole. Czekala na mnie na parkingu, siedząc w swoim wiekowym golfie.

— Co się stało? — zapytałem, a ona na mój widok dostała ataku niepohamowanego śmiechu.

— Wyglądasz, jakbyś właśnie wypełznął ze stogu siana — powiedziała, ale pod wpływem mojego srogiego spojrzenia bardzo szybko spowaźniała. — Wskakuj do środka, zaraz ci wszystko wytłumaczę.

Otworzyła drzwi od strony pasażera, a ja z przyjemnością zamieniłem wietrzny parking na przytulne wnętrze. Rozsiadłem się w fotelu i przymknąłem oczy. Byłbym pewnie zasnął, ale głos uruchomianego silnika nieco mnie orzeźwił. „Marchewka” wrzuciła bieg i ruszyła z piskiem opon spod mojego bloczku.

— Gdzie jedziemy?! — spytałem zaskoczony, gdyż spodziewałem się, że porozmawiamy na miejscu. — Nie wygłupiaj się, nie mam nawet butów. I podkoszulka — to mówiąc, podwinąłem bluzę i zaprezentowałem jej swój nagi brzuch.

— Spokojnie. Niedługo będziemy z powrotem. Wyluzuj się i jak chcesz, to sobie śpij.

— Jak to śpij? Co się stało? I gdzie my do diabła jedziemy? — strzelałem pytaniami, stopniowo pozbywając się resztek snu.

Kamila puściła prawą ręką kierownicę i wcisnęła niewielki guziczek na desce rozdzielczej. W samochodzie rozległo się kliknięcie. Zaskoczony zdałem sobie sprawę, że zablokowała drzwi.

— Pełna elektronika — powiedziała z dumą. — Nie denerwuj się tak, nic się nie stało.

— To dlaczego zamknęłaś drzwi?

— Żebyś mi nie uciekł, jak ci powiem, dokąd jedziemy — oznajmiła beztróskim głosem. — I nie rób takiej zdziwionej miny. Może nie pamiętasz, ale wczoraj się wsypałeś, że jesteś byłym komandosem. Co to dla ciebie wyskoczyć z jadącego samochodu?

Przez chwilę miałem wrażenie, że wszystko, co się dzieje, jest elementem mojego snu. A raczej koszmaru. Miałem ochotę nakazać jej, by się natychmiast zatrzymała, ale machnąłem ręką. Było zbyt wcześnie, żeby się kłócić.

— To dokąd jedziemy? — spytałem zgnębnym tonem.

Pogodziłem się z sytuacją i nie sądziłem, że będzie w stanie wytrącić mnie z równowagi. Ale jej odpowiedź sprawiła, że aż wyprostowałem się w fotelu.

— Pojedziemy autostradą, będzie szybciej — stwierdziła spokojnie, skręcając w kierunku Warszawy. — Jedziemy do Sompolna, nie pamiętasz?

— Co?! — Nie wierzyłem własnym uszom. — Przecież to że

dwieście kilometrów...

— Dokładnie dwieście czterdzieści — wtrąciła z niewinną miną.

— A ja nie mam podkoszulka i butów, jestem nieogolony, nieumyty i nawet za przeproszeniem niewysiusiany... — narzekałem przez chwilę, po czy przypomniałem sobie o najważniejszym. — Ja mam syna, którym muszę się zaopiekować!

Przez chwilę milczała, lekko zarumieniona.

— Sprawdziłam cię wczoraj w nocy w bazach danych — wyznała wreszcie. — Mieszkasz z matką swojej żony, prawda? Może do niej zadzwonisz i poprosisz ją o pomoc, co? Jeżeli nie będzie mogła, to oczywiście zawrócimy.

Na moją wzmiankę o synu wyraźnie spokorniała. Przez chwilę się wahałem. Po porannym prysznicu czułbym się bardziej komfortowo, ale z drugiej strony to ja wczoraj wymyśliłem ten wyjazd do Sompolna. Informacje uzyskane w miejscowej komendzie mogły potwierdzić lub wykluczyć związek wydarzeń z przeszłości ze śmiercią Mateusza. Bardzo mi zależało na poznaniu okoliczności śmierci Macieja Hołowni.

Kamila dostrzegła moje wahanie.

— Obrócimy w obie strony raz dwa, obiecuję — podniosła dwa palce do góry. — Na autostradzie wyduszę ze swojego autka siódme poty.

— No dobrze, niech ci będzie — skapitulowałem. — Nie rozumiem tylko, dlaczego nie pozwoliłaś mi przynajmniej umyć zębów. I dlaczego jedziesz tak szybko?! — podniosłem głos, bo omal nie wpakowała nas pod hamującą na obwodnicy Jabłonny ciężarówkę.

— Bo bardzo się spieszę — wyjaśniła, kontrując kierownicą. — W związku z wczorajszymi wydarzeniami komenda pracuje pełną parą. Wyznaczyli dodatkowe dyżury i mi przypadła zmiana od dwunastej do dwudziestej czwartej. Tak więc będziemy na styk.

— Rozumiem — westchnąłem. — Nie, wcale nie rozumiem — zreflektowałem się. — Przecież ty masz umyte włosy.

— Oj tam — machnęła ręką. — Nie będziemy kruszyć kopii o takie szczegóły.

Jej słowa mnie rozbroiły, a po krótkim postoju na stacji benzynowej, podczas którego trochę się odświeżyłem, odzyskałem część

dobrego humoru. Bawiły mnie jej próby dowiedzenia się czegoś o mojej sytuacji rodzinnej.

— Bo przecież to nie jest normalna sytuacja — tłumaczyła, gdy w pewnym momencie zacząłem pokpiwać z jej babskiej ciekawości. — Zięć i teściowa zameldowani razem w Legionowie, a żona osobno, gdzieś w Wilanowie. I dziecko mieszkające przy ojcu, a nie przy matce... To rzadkość. Rozvodu nie macie, sprawdziłam. Jesteście w jakiejś separacji czy co?

Przestałem się śmiać.

— Coś w tym stylu — stwierdziłem i szybko zmieniłem temat.

Mknęliśmy autostradą A2, mijając pojedyncze ciężarówki. Teoretycznie można tu było rozwinąć prędkość do stu czterdziestu kilometrów na godzinę, ale mało kto zwracał uwagę na to ograniczenie. My jechaliśmy ze sto sześćdziesiąt, a lewym pasem co chwila mijały nas jeszcze szybciej poruszające się pojazdy.

Po godzinie od wjazdu na autostradę minęliśmy zjazd na Łódź. Wymienialiśmy się właśnie wspomnieniami dotyczącymi tego miasta, gdy nagle Kamila klepnęła się w czoło.

— Na śmierć zapomniałam — powiedziała i zaczęła przeszukiwać kieszenie. — No gdzie jest ten telefon — mruzczała pod nosem, a w tej samej chwili przód golfa skręcił o kilka stopni i skierował się wprost na barierkę. — Dzięki — rzuciła w moją stronę, gdy złapałem za kierownicę i sprowadziłem pojazd na właściwe tory.

— Nie ma za co — odpowiedziałem sarkastycznie, ocierając pot, który wystąpił mi na czoło. — Może się wstrzymasz z tymi poszukiwaniami? Za trzy kilometry będzie postój dla tirów.

— Nie trzeba — zawołała zwycięskim tonem i uniosła odnaleziony telefon jak jakieś trofeum. — Wejdź w wiadomości i otwórz pierwszą z nich. Tę z załączonym plikiem — poinstruowała mnie, cała podekscytowana.

— Co to? — zapytałem i przesunąłem palcem po ekranie. — Notatka służbowa?

— Po prostu przeczytaj — poprosiła policjantka, zakładając ciemne okulary.

Przebiegłem wzrokiem cały dokument, a potem przeczytałem go

uważnie. Dotyczył trasy przejazdu samochodu należącego do Mateusza w wieczór poprzedzający jego śmierć. Do notatki załączono czarno-białe zdjęcia z umieszczonych nad skrzyżowaniami kamer, ale były zbyt małe, bym mógł coś na nich zobaczyć. Musiałem więc zaufać autorowi notatki.

Mateusz i pan Leopold wyruszyli spod bloku tego pierwszego prawdopodobnie około dziewiętnastej trzydzieści. Pierwsze zdjęcie, na którym uwieczniono przejazd toyoty, zostało zrobione na trasie warszawskiej o godzinie dziewiętnastej trzydzieści siedem. Geograf i matematyk skierowali się w stronę Warszawy. Jechali Modlińską, a potem dokładnie o dwudziestej przekroczyli Wisłę mostem północnym. Z mostu zjechali na Wisłostradę i podążyli w kierunku południowym, aż do Trasy Łazienkowskiej. Z Trasy Łazienkowskiej skręcili w prawo w Aleje Niepodległości i o dwudziestej dwadzieścia dwie zaparkowali pod Dworcem Centralnym. Dosłownie pod — na parkingu należącym do Złotych Tarasów.

— Jechali trochę naokoło — zauważyłem. — I po diabła był im ten dworzec? Pewnie chcieli się z kimś spotkać. Szkoda, że nie dowiemy się, z kim... — westchnąłem.

— Czy ty myślisz, że na Dworcu Centralnym nie ma kamer?  
— podpowiedziała mi dziewczyna, a ja puknąłem się w czoło. — Czytaj dalej.

Pan Leopold i Mateusz podążyli do hali głównej i przez dłuższą chwilę stali pod interaktywną tablicą z rozkładem jazdy. Z obrazu kamer wynikało, że mężczyźni byli — jak to określił autor notatki — „niespokojni i zdenerwowani”. Ale powód zdenerwowania pozostał nieujawniony. Przez całe pół godziny przestępowali z nogi na nogę, lecz nikt do nich nie podszedł. W końcu, tym razem „zniecierpliwieni”, przedelfilowali przez halę dworca i wrócili do samochodu. Droga powrotna wyglądała tak samo, jak przyjazd. Pan Leopold musiał być kiepskim kierowcą i wołał się trzymać utartych szlaków.

— Szczerze mówiąc, liczyłem na coś ciekawszego — mruknąłem, odkładając telefon na półeczkę nad radiem. — Pojechali, postali i wrócili. Dalej jesteśmy tak samo mądrzy, jak wcześniej.

— Jesteś pewien? — zapytała mnie przekornie. Wpatrywała się w drogę, ale byłem pewien, że w jej oczach lśniły złośliwe ogniki.

Przymknąłem oczy i usiłowałem się skoncentrować. Zadania nie ułatwiał mi przeraźliwy ryk żyłowanego do granic możliwości silnika.

— Może byś wrzuciła wyższy bieg — zażartowałem, a policjantka w odpowiedzi oderwała wzrok od przedniej szyby i pokazał mi język.

Przez chwilę jeszcze błądziłem w ciemnościach, lecz w pewnym momencie spłynęło na mnie olśnienie. Moja przenikliwość napełniła mnie dumą, ale niemal od razu uświadomiłem sobie, że powinienem wpaść na to od razu.

— Czyli hala dworcowa pełniła funkcję czegoś w rodzaju wybiegu dla modelek — powiedziałem z zawstydzeniem, zły za swoje wcześniejsze słowa. — Ktoś chciał po prostu sprawdzić, jak wyglądają. To musiał być ktoś, kto ich nie znał...

— Albo ktoś, kto nie widział ich przez dłuższy czas — wtrąciła dziewczyna. — Dostałam tę notatkę wczoraj w nocy i nie mogłam przez nią zasnąć. Zrozumiałam, że możesz mieć rację. No bo jaki motyw mógłby mieć Jan Hołownia czy Antoni Winnicki? Żaden z nich nie miał powodu, by nastawać na życie Mateusza.

— Chyba nie — mruknąłem, myśląc intensywnie. — Ciekawe tylko, jaki motyw mógł mieć ten tajemniczy ktoś, kto obserwował Mateusza i pana Leopolda na Dworcu Centralnym. Czy to ma być zemsta za brak opieki nad Agatką? Przecież od tego czasu minęło tyle lat... Nie, to nie trzyma się kupy.

— Nie trzyma — zgodziła się ze mną Kamila, wyprzedzając kolumnę tirów. — Ale jak na razie nie mamy lepszej koncepcji. Prokurator już się dopytywał, co konkretnie mamy na Jana Hołownię. Z Winnickim sprawa wygląda lepiej, bo nawet bez zarzutów o morderstwo nie wyjdzie z pudła przez następne dziesięć lat. Ale trzeba przyznać, że śledztwo powoli staje w miejscu.

— A co mówi dyrektor Hołownia?

— Właśnie o to chodzi, że nic. To też jest zastanawiające, bo ja na jego miejscu na pewno bym się awanturowała. To jego zatrzymanie jest szyte dość grubymi nićmi. Mówiłam ci już, że ma żelazne alibi.

Przypomniałem sobie, że dyrektor przebywał wtedy na wernisazu i mogło o tym zaświadczyć kilkadziesiąt osób. Ale wypowiedziane przez Kamilę słowo „alibi” uruchomiło w moim mózgu alarmujący dzwonek.

Przypomniałem sobie nagle, kto jeszcze twierdził, że w godzinie śmierci Mateusza przebywał w zupełnie innym miejscu.

— Przesłuchiwaliście wszystkich pracowników szkoły?

Moje pytanie było z gatunku tych niespodziewanych.

„Marchewka” zerknęła na mnie pytająco znad ciemnych szkieł.

— Chyba tak — odpowiedziała. — Większość nauczycieli przesłuchaliśmy wtedy, co ciebie. Następnego dnia rozmawialiśmy tylko z tymi, których nie było na radzie, czyli z tym psycholem Andrzejem Masternakiem i z kochanką Mateusza... To chyba wszyscy, prawda?

— A gadaliście z naszymi paniami woźnymi? Na przykład z panią Leokadią Stopką? Ten policjant, który mnie przesłuchiwał, mówił, że pośle do niej radiowóz, ale nie byłem mu w stanie podać jej adresu. A potem jakoś wyleciało mi to z głowy.

— Pani Leokadia? To ta kobieta, która jako ostatnia wychodziła ze szkoły przed przyjściem Mateusza, prawda? Chyba rzeczywiście nikt jej nie przesłuchał. A co? Podejrzewasz ją? Albo którąś z pozostałych?

Roześmiałem się, bo wizja korpulentnej pani Leokadii mordującej Mateusza wydała mi się absurdalna.

— Nie, to nie to — zaprzeczyłem, wciąż się śmiejąc.

— Zastanawiam się tylko, skąd morderca mógł mieć klucze do szkoły. Czy ktoś w ogóle poszedł tym tropem?

Kamila się zamyśliła.

— Tylko wstępnie — odpowiedziała po chwili. — Według zeznań dyrektora było siedem kompletów kluczy do drzwi wejściowych. Jeden z nich miał on sam, a trzy były przechodnie, to znaczy...

— To znaczy, że zabierali je ci nauczyciele, którzy ostatni wychodzili ze szkoły, oraz ci, którzy chcieli przyjść wcześniej rano — wtrąciłem. — Jednym z nich kluczy posługiwał się Mateusz, a dwa pozostałe wisały sobie w pokoju nauczycielskim i były pobierane okazjonalnie. Najczęściej szkołę otwierała swoimi kluczami któraś z trzech woźnych. Tak samo było z zamykaniem.

— No właśnie — przytaknęła policjantka. — Dokładnie to samo mówił nam Hołownia. Trzy komplety kluczy należały rzeczywiście do woźnych. Tylko... Nie obraż się, ale te klucze są bardzo proste. W zasadzie mógł je skopiować każdy ślusarz, wystarczyłoby mu na



chwilę udostępnić którykolwiek z oryginałów. Wydaje mi się, że to ślepa uliczka, ale oczywiście to sprawdzimy. Dzięki, Sherlocku!

— zazartowała.

— Nie ma za co — mruknąłem i nagle coś mi się przypomniało.

— Co z Masternakiem? Zatrzymaliście go w końcu?

— O drugiej w nocy wrócił do mieszkania. Przewieźliśmy go na komendę, a od rana przechodzi serię badań w szpitalu psychiatrycznym.

— W którym? Na Sobieskiego? — spytałem.

— Nie mam pojęcia. Tam albo w Tworkach.

Wzruszyłem ramionami i przez chwilę milczałem. A potem zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym. Kilometry uciekały nam spod kół i po niedługim czasie dotarliśmy do zjazdu Koło. Kamila przyhamowała.

— To chyba tu — mruknęła i zakręciła kierownicą.

Po półgodzinie drogi przez malownicze wioski minęliśmy granice celu naszej podróży. Była za piętnaście dziewiąta, więc „Marchewka” — która na dwunastą miała być z powrotem w Legionowie — nie traciła czasu na rozglądanie się wokoło, tylko przemknęła przez miasteczko z niedozwoloną prędkością i z piskiem opon zaparkowała przed miejscowym komisariatem.

— Dzień dobry — powiedziała po chwili umundurowanemu funkcjonariuszowi, stojącemu przy wejściu do budynku. — Kamila Dębska z komendy policji w Legionowie. Byłam umówiona z waszym archiwistą.

Młody policjant zaprowadził nas do swojego komendanta, który akurat przebywał u siebie w gabinecie. Okazało się, że nasza wizyta była tu traktowana jako wydarzenie dnia. Wąsaty komendant poczęstował nas kawą, rozsiadł się wygodnie w pluszowym fotelu i zaczął zabawiać nas rozmową o niczym.

Spodziewałem się, że Kamila szybko mu przerwie i się nie rozczarowałem. Wytrzymała równo dwie minuty.

— To bardzo ciekawe, panie inspektorze, ale niestety bardzo się spieszymy — powiedziała, przerywając opowieść o niedawnym pochwyceniu przez miejscową policję jakiegoś lokalnego stręczyciela.

— Mógłby nam pan pokazać materiały dotyczące tego morderstwa?

Komendant zrobił przepaszającą minę.

— Tych dokumentów nie ma wiele — powiedział, głaszcząc się po wąsach. — Co prawda ciało denata zostało znalezione pod Sompolnem, ale śledztwo w tej sprawie prowadziła Komenda Powiatowa w Koninie. To mały komisariat i ktoś widocznie uznał, że sprawa o brutalne morderstwo będzie nas przerastać.

— To znaczy, że nic nie macie? — spytała Kamila. W jej głosie zabrzmiała ledwie tłumiona złość. — Panie komendancie, przecież rozmawialiśmy przez telefon. Mówił pan o archiwście, więc sądziłam...

— W zasadzie to pan Anatol już u nas nie pracuje — przerwał jej policjant. Na pagonach miał dwie gwiazdki i dwie belki, co oznaczało, że służy w stopniu młodszego inspektora, choć dla mnie takie oznaczenie kojarzyło się jednoznacznie z podpułkownikiem. — Od dziesięciu lat przebywa na emeryturze, ale często nas odwiedza. Wiecie, państwo, żona zmarła kilka lat temu, synowie rozjechali się po świecie, a córka źle wyszła za mąż i rzadko...

Kamila zgrzytnęła zębami.

— Po co nam archiwista, skoro w archiwum nie ma żadnych interesujących dokumentów? — odezwała się, nie czekając, aż skończy. Była w gorącej wodzie kąpana i nawet bym się nie dziwił jej wzburzeniu, gdybym nie zauważył, że komendant zwyczajnie sobie z niej pokpiwa. Widocznie należał do tej wymierającej już grupy policjantów, dla której młode funkcjonariuszki nadawały się jedynie do parzenia kawy. Oraz do tak zwanych „innych czynności seksualnych”.

Dotknąłem ramienia dziewczyny w uspokajającym geście.

— Pan komendant ma dla nas niespodziankę, prawda? — odezwałem się po raz pierwszy, ściągając na siebie jego spojrzenie.

— Widzę, że kolega bardziej doświadczony — uśmiechnął się, błyskając złotym zębem. Większy nacisk niż na „doświadczony” położył na słowo „kolega”. Wiadomo, między nami mężczyznami...

— Przepraszam, nie dosłyszałem: jaki ma pan stopień?

Nie dosłyszał, bo wcale się nie przedstawiałem, zostawiając wszystkie wstępne czynności Kamili. Mimo tego, że byłem w klapkach i podartych dżinsach, najwyraźniej wziął mnie za policjanta. Zresztą Kamila też występowała po cywilnemu, toteż komendant musiał założyć, że wykonujemy w okolicy jakieś bliżej niesprecyzowane czynności

operacyjno-rozpoznawcze. To była dosyć delikatna materia i przez moment nie wiedziałem, jak się zachować. Na upartego można mi było zarzucić, że podszywam się pod funkcjonariusza. W końcu jednak uznałem, że moja szczerłość może niepotrzebnie skomplikować sprawę. W wojsku ukończyłem kurs oficerski, a po wypadku zostałem awansowany na kapitana. To były cztery gwiazdki, więc...

— Jestem podinspektorem — skłamałem, przypominając sobie w ostatniej chwili policyjny odpowiednik kapitana.

Komendant rozpromienił się i od tego momentu zaczął zupełnie ignorować dziewczynę. Cóż, we wszystkich służbach mundurowych, z wyjątkiem być może BOR-u, obowiązywała silna hierarchizacja, a ona była tylko podkomisarzem. Czyli podporucznikiem.

— Mamy jedynie kilka notatek służbowych dotyczących odnalezienia zwłok — powiedział z chytrym uśmiechem. — Bardziej przydatny będzie dla was sam pan Anatol.

— Pracował tutaj w tamtych czasach? — spytałem domyślnie, a komendant pokiwał głową. — Ciekawe tylko, czy będzie coś pamiętał...

— Zapewniam pana, że będzie — odparł wąsaty policjant. — Przez pewien czas miał na punkcie tej sprawy obsesję.

Nadstawiłem uszu, bo jego słowa nieco mnie zdziwiły. Obsesja? W końcu dla policjanta morderstwo powinno być chlebem powszednim.

— Dlaczego? — spytałem, bo nie kwapił się z wyjaśnieniami.

— Dlatego — zrobił efektowną pauzę — że to właśnie on znalazł zwłoki tego mężczyzny.

Po tej rewelacji nie było już wiele do dodania, więc niezwłocznie przeszliśmy do małego pomieszczenia w suterenie, w którym siedział starszy mężczyzna. Był pomarszczony niczym szczeniak shar pei.

— To jest właśnie nasz archiwista, pan Anatol Wierzbicki. A to koledzy z Komendy Miejskiej w Legionowie — inspektor dokonał prezentacji, po czym przycupnął na obrotowym krześle i cały zamienił się w słuch. Nawet nie usiłował ukrywać ciekawości.

Wierzbicki uściśnął nasze ręce i zaproponował nam coś do picia, ale odmówiliśmy. Kamila postanowiła od razu przejść do rzeczy.

— Podobno znalazł pan ciało Macieja Hołowni. Mógłby nam pan

o tym opowiedzieć?

Archiwista wyciągnął z kieszeni fajkę.

— Nie macie nic przeciwko? Kiedyś paliłem papierosy, ale od kiedy odszedłem z policji, przerzuciłem się na takie palenie. Podobno tak bardzo nie szkodzi.

Zgodnie pokręciliśmy głowami, ale po chwili tego żalowaliśmy. Z fajki zaczęły się unosić kłęby smrodliwego dymu, który błyskawicznie wypełnił kilkumetrowe pomieszczenie. Czułem się tak, jakbym w sezonie grzewczym rozsiadł się na szczycie żerańskiego komina. Kamila zakaszłała głucho, a inspektor spojrział na swój odprasowany mundur, rzucił coś na swoje usprawiedliwienie i szybkim krokiem opuścił pokoi. Jego ciekawość przegrała z wrażliwością na przykre zapachy. Jedyne Wierzbicki wyglądał na zadowolonego. Gdy za komendantem zamknęły się drzwi, uśmiechnął się zwycięsko.

— Przepraszam za ten smród — powiedział niespodziewanie, po czym zgasił fajkę i otworzył niewielkie piwniczne okienko.

— Komendant niedawno rzucił palenie i takie zapachy bardzo go drażnią. Nie chciałem, żeby się przysłuchiwał naszej rozmowie. To straszna menda, po co ma za dużo wiedzieć...

Mrugnął wyblakłym, starczym okiem i poruszył sztuczną szczęką, która makabrycznie kłapnęła. Skoro dopiero dziesięć lat temu odszedł na policyjną emeryturę, to nie mógł mieć więcej niż siedemdziesiąt lat, ale jak na siedemdziesięciolatka wyglądał naprawdę kiepsko. Każdy centymetr skóry o niezdrowym, szarym odcieniu pokryty był zmarszczkami.

— Rak jelita grubego, ostatnie stadium — mruknął w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie. — Ale nie przejmujcie się, pamięć mam jeszcze całkiem sprawną. Zresztą tego dnia nigdy nie zapomnę. Nawet w swojej ostatniej godzinie.

— Dlaczego? — spytałem. — Przecież to chyba nie jedyne morderstwo w pana karierze. Nie zawsze był pan archiwistą, prawda?

— Pracowałem jako śledczy. Nie zawsze, bo przed osiemdziesiątym dziewiątym rokiem byłem kimś, kogo dzisiaj określicie funkcjonariuszem pod przykryciem. Penetrowałem środowiska akademickie w Poznaniu. Ale nie o tym mamy rozmawiać, prawda?

— Zdecydowanie nie — potwierdziłem ze sporą dozą obrzydzenia w głosie, gdyż domyśliłem się, w jakim celu inwigilował grupy studentów. — Skupmy się na Sompolnie, a tamte czasy zostawmy Instytutowi Pamięci Narodowej.

— Słusznie — kiwnął głową. — Pytał pan, dlaczego to jedno morderstwo wywarło na mnie aż takie wrażenie. To prawda, że widziałem w swoim życiu dziesiątki trupów. Ale ten był inny. Mężczyzna, którego znalazłem w rowie pod Sadlnem, został zdekapitowany. Po prostu... nie miał głowy. Jego korpus został usadzony na polnym kamieniu, a głowa... Głowa wisiała na sąsiednim drzewie, przywiązana do gałęzi tętnicą szyjną, która wyglądała jak niebieskawe sznurowadło. Ten widok do dzisiaj prześladowuje mnie w koszmarach — starzec uśmiechnął się blado, ale jego oczy pozostały poważne. — To spokojna okolica. Pracowałem w Sompolnie niemal dwadzieścia lat i nigdy nie zdarzyło się tutaj coś tak paskudnego. Trup z siekierą w plecach, kilku topielców, kilkanaście ciężkich wypadków samochodowych... Chociaż to głupio brzmi, to w zestawieniu z tamtym morderstwem wszystkie inne śmierci były banalne.

Pomimo upływu tylu lat wciąż wyglądał na poruszonego faktem, że do sielskiej atmosfery Sompolna i okolicznych wiosek wkradł się pierwiastek autentycznego zła. Dostrzegłem przy tym, że chociaż przed laty wysługiwał się komunistycznemu reżimowi, to z jego szyi zwisał łańcuszek ze sporym złotym krzyżem.

— A co Maciej Hołownia robił w tych okolicach? — spytałem, gdyż nie dawało mi to spokoju. — Miał tu jakąś rodzinę? Znajomych? Wierzbicki pokręcił głową.

— Nie miał tu nikogo. W ogóle na początku mieliśmy kłopot, żeby go zidentyfikować. Nie miał przy sobie dokumentów, a jego odciski palców nie figurowały w rejestrach. Jego nazwisko poznałem znacznie później, już po przekazaniu sprawy chłopakom z komendy w Koninie. Zaginięcie zgłoszone zostało dopiero po kilku dniach, a kolejnych kilka zajęło ostateczne potwierdzenie, że denat i poszukiwany Maciej Hołownia to jedna i ta sama osoba. Początkowo nie chciałem w to wierzyć, bo komu mógł aż tak narazić się zwykły dyrektor szkoły. Takiego okaleczenia zwłok nie pamiętał żaden z prowadzących sprawę

kolegów.

— Jakiego okaleczenia? — wtrąciła Kamila.

Staruszek przez chwilę patrzył na nią zdziwiony.

— Jak to jakiego? — spytał. — Przecież mówiłem, że miał odciętą głowę...

— A to nie była przyczyna śmierci?

— Nie — pokręcił głową emerytowany policjant. — Hołownia nie umarł dlatego, że ten świr odciął mu głowę. To stało się już po śmierci. Według raportu z sekcji zwłok dyrektor zmarł w wyniku rozległych obrażeń wewnętrznych spowodowanych upadkiem z dużej wysokości. Z bardzo dużej wysokości. Według lekarzy jego obrażenia przypominały obrażenia taterników, którzy stracili życie w wyniku odpadnięcia od ściany podczas wysokogórskiej wspinaczki.

— Ale gdzie tutaj góry? — zdziwiła się dziewczyna. — Przecież z tego, co widziałam, to tutejszy krajobraz jest płaski jak stół.

— Też się nad tym zastanawialiśmy — przyznał Wierzbicki.

— Upadek z kilkudziesięciu metrów w naszej okolicy? Przecież w Polsce nie ma tak wysokich drzew. Powstała nawet hipoteza, że ciało Hołowni zostało przywiezione właśnie z Tatr, gdzie zresztą złapano w końcu tego świra. Okazało się jednak, że dyrektor nie został zabity w górach, tylko tu, na miejscu. Nie domyślcie się, skąd mógł spaść?

Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie z Kamilą, a potem przenieśliśmy spojrzenie na starego archiwistę i utkwiliśmy wzrok w jego złotym krzyżyku. I wtedy mnie olśniło. Wyciągnąłem telefon, połączyłem się z internetem i wstukałem interesujące mnie hasło.

— Ale przecież budowa zakończyła się dopiero w dwa tysiące pierwszym roku, a Hołownia zginął rok wcześniej — zauważyłem przytomnie.

Wierzbicki popatrzył na mnie z uznaniem.

— Brawo, młody — powiedział, po czym lekko się zawstydził.

— Przepraszam za głupie nawyki, panie inspektorze, ale pan rzeczywiście jest jeszcze taki młody. To prawda, budowa skończyła się ponad rok po jego śmierci, ale szkielet konstrukcji był gotowy już dwa lata wcześniej. Morderca wszystko dokładnie nam opowiedział, nie podając tylko motywu. To musiał być kompletny świr...

— Przepraszam, ale nie nadążam — przerwała mu Kamila, po czym odwróciła się do mnie. — O jakiej budowie mówicie? I w końcu gdzie dokładnie zabity został Maciej Hołownia?

Bez słowa podałem jej telefon. Przez chwilę wpatrywała się w ekran.

— Co to jest? — spytała wreszcie skonfundowana.

— Mniemam, że pan Tomek pokazał pani bazylikę w Licheniu — wtrącił spokojnie Wierzbicki. — To właśnie tam zginął mężczyzna, którym się interesujecie.

— W Licheniu? Ale w jaki sposób?! No tak, przecież nie możecie tego wiedzieć — posmutniała.

Stary archiwista zrobił minę Świętego Mikołaja. Brakowało mu tylko brody.

— A właśnie, że wiemy — powiedział. — Morderca opisał nam wszystko z najdrobniejszymi szczegółami zaraz po tym, jak został pochwycony w Tatrach. To też ciekawa historia. Chcecie posłuchać?

W milczeniu pokiwaliśmy głowami.

*Nie lubił tłuc się pociągami, ale kiedy przed czterema dniami wyruszał na konferencję organizowaną przez Wielkopolskiego Kuratora Oświaty, cała Polska stała sparaliżowana intensywnymi opadami śniegu. Jazda jego nowym fordem mondeo — wystarczająco luksusowym, by spełnić jego wygórowane oczekiwania, i jednocześnie wystarczająco zwyczajnym, by nie kłuć w oczy — była w takich warunkach niebezpieczna, dlatego chcąc nie chcąc, kazał się zawieźć na Dworzec Centralny, zajął miejsce w przedziale pierwszej klasy i jakoś doturlał się do Poznania. Do pewnego momentu nawet nie żałował, że jego samochód został w Legionowie. Na tego typu spotkaniach alkohol zawsze lał się strumieniami i nad butelką można było zawrzeć różne ciekawe znajomości, a perspektywa pokonania trzystu kilometrów w fotelu kierowcy niepotrzebnie by go ograniczała. Jednak w dniu, w którym kończyła się konferencja, po zalegającym na drogach śniegu zostało tylko blade wspomnienie, a droga na poznański dworzec zapowiadała się na długą i nieprzyjemną. W powietrzu unosiła się lodowata mżawka, a co jakiś czas do uszu dochodził przenikliwy wizz*

*polarno-morskiego wiatru. Było wstrętne, a Maciej Hołownia był w fatalnym humorze. I miał niezziemskiego kaca.*

*W hotelowym foyer oprócz recepcjonisty była tylko jedna osoba. — Powitać pana Maciusia! — Szczupły, niewysoki mężczyzna uśmiechnął się i kordialnie poklepał go po plecach. — Co taka strapiona mina? Jeszcze kilka godzin temu był pan w o wiele lepszym humorze, panie dyrektorze.*

*Hołownia chciał zmierzyć intruza piorunującym spojrzeniem, ale za bardzo bolała go głowa. Nie kojarzył tej młodej jeszcze twarzy, ale domyślił się, że stoi przed nim jeden z uczestników konferencji. Wydarzenia ostatniego wieczoru niknęły mu w niepamięci. Przypuszczał, że na którymś etapie musiał się zetknąć z tym kurduplem i zawrzeć z nim znajomość. Kłopot był jeden. Nie miał pojęcia, kim jest zaczepiający go mężczyzna ani nawet jak się nazywa. Nie świadczyło to za dobrze o jego ogładzie.*

*— Kłaniam się nisko! — przywołał na twarz namiastkę uśmiechu i użył słów, których można było użyć zarówno w rozmowie z bliższym znajomym, jak też z osobą, którą widziało się pierwszy raz w życiu. — Co za parszywa pogoda — dodał neutralnie, chociaż akurat w tym przypadku rozmowa o aurze nie była z jego strony kurtuazją. Wszystkie jego myśli koncentrowały się wokół konieczności wyjścia w ten deszcz i przebrnięcia w jego zimnych strumieniach na odległy dworzec. Czuł już, jak chwyta go przeziębienie.*

*— Parszywa — zgodził się wesolo nieznajomy, po czym położył mu rękę na ramieniu. — Maciek, ty nie masz pojęcia, kim ja jestem, prawda?*

*Hołownia rozważył w myślach za i przeciw i zdecydował się nie udawać.*

*— Nie mam — odparł ponuro.*

*Ku jego zdziwieniu obcy nie obraził się, lecz gruchnął hałaśliwym śmiechem. Rechotał tak długo, aż w jego zmrużonych oczach zalśniły łzy.*

*— Ale impreza — wydusił z siebie wreszcie i pokręcił głową. — Jestem Jarek — przedstawił się, wyciągając rękę. — Dyrektor ze szkoły z Przasnysza. Wczoraj siedzieliśmy we dwóch z półtorej godziny. Piliśmy whisky, o tam. — Wskazał palcem odległy kąt foyer, w którym stało kilka skórzanych foteli.*



*Hołownia zmarszczył brwi, usiłując coś sobie przypomnieć. Rzeczywiście pił wczoraj whisky i rzeczywiście spędził trochę czasu w jednym z tamtych foteli. A w każdym razie się w nim obudził. Przyjrzał się dokładnie nieznajomemu i coś zaczęło mu majaczyć.*

*— Rzeczywiście, teraz pamiętam — stwierdził po chwili i chyba sam w to uwierzył. — Jak wracasz do domu? — zapytał, bo wszystkie jego myśli zmierzały właśnie w kierunku domowych pieleszy. Najbardziej marzył o wannie z ciepłą wodą...*

*— Na szczęście samochodem — odrzekł mężczyzna przedstawiający się jako Jarek. Było to zresztą jego prawdziwe imię, ale na tym kończyła się jego prawdomówność. Nigdy nie był dyrektorem żadnej szkoły i nigdy nie był w Przasnyszu. — Nie chciałbym być w skórze tych biedaków, którzy muszą wracać pociągiem. Podobno koło Kutna jest jakaś awaria torów i wszystkie składy mają kilkugodzinne opóźnienia.*

*Hołownia cicho jęknął, a potem zaklął pod nosem.*

*— Właśnie patrzysz na jednego z tych biedaków — mruknął, po czym wpadł mu do głowy świetny pomysł. — Jarek — zaczął niezręcznie. — Może pojechałbyś obok dworca i mnie podrzucił? Nie wziąłem nawet parasola.*

*Jarek zaśmiał się głośno i poklepał go po plecach.*

*— Ty to masz szczęście, chłopie — stwierdził dudniącym basem. — Mam do załatwienia jedną małą sprawę w Pultusku, więc będę wracał przez Nowy Dwór. Jak chcesz, to nadrobię te kilka kilometrów. Przecież nie mogę się przyglądać, jak rujnujesz sobie zdrowie w jakimś obmierzłym pociągu. A tak pojedziemy, pogadamy...*

*— Serio?! — Hołownia nie wierzył własnemu szczęściu. — To super! Jedziesz zaraz?*

*— Za dwadzieścia minut, muszę się dopakować. Słuchaj, a może poczekaasz na mnie w barze? Nie obraż się, ale kiepsko wyglądasz. Mały koniaczek ci nie zaszkodzi!*

*— Z ust mi to wyjąłeś — Hołownia poweselał i zatarł ręce.*

*Mężczyźni rozeszli się w dwie strony, każdy pochłonięty własnymi myślami. Hołownia myślał o tym, w jaki sposób odwdzięczyć się swojemu dobroczyńcy. Myśli Jarka biegły w zupełnie odwrotnym kierunku. Nie*

*mógł uwierzyć, że tak łatwo się udało.*

*Przyjechał do Poznania przedwczoraj i zameldował się w tym samym hotelu. Ostatnie dwie noce nie spuszczał z Hołowni oczu, czekając na odpowiednią sposobność, ale dyrektor szkoły w Legionowie był cały czas otoczony tłumem znajomych. Udało się dopiero dzisiaj. Nie przygotował tej rozmowy, bazując tylko na obserwacji. Raz jeszcze się przekonał, że to właśnie improwizacja była jego najmocniejszą stroną.*

*Jarek był zadowolony jeszcze z jednego — że zdołał się powstrzymać i nie zabił Hołowni od razu w hotelowym foyer.*

*Hołownia wzmocnił się drinkiem i punktualnie dwadzieścia minut później chował torbę do bagażnika. Jarek również jeździł fordem, ale jego egzemplarz miał ze dwadzieścia lat.*

*— Dojedziemy — stwierdził z uśmiechem. — Niedawno kupiłem nowego nissana, ale musiałem go wstawić do warsztatu. A ten samochód pożyczyłem od kolegi.*

*Hołownia zainteresował się powodami, dla których fabrycznie nowy samochód wylądował u mechanika. Wsiadł do starego forda i po chwili stwierdził, że maszyna jest w niezłym stanie. Zresztą nie chciał wybrzydzać — za oknem siąpił marznący deszcz, a on siedział sobie w ciepłym wnętrzu pojazdu, zabawiany rozmową przez sympatycznego kierowcę.*

*Jarek okazał się niezrównanym gawędziarzem, a przy tym miał w piersiówce znakomitą orzechówkę. Nie, Hołownia nie był alkoholikiem, ale po kilku dniach pijaństwa z łatwością dał się namówić na poczęstunek. Już na wysokości Wrześni rozochocił się na tyle, że zaczął tytułować Jarka „starym druhem”. Nie przeszkadzało mu nawet, że jego towarzysz zdawał się kiepsko orientować w pedagogicznych koteriach i nie znał wielu osób, które znać powinien. Uśmiechnięty od ucha do ucha, zdominował rozmowę, która od pewnego momentu stała się jego monologiem.*

*Kilkanaście kilometrów przed Koninem zatrzymali się na stacji benzynowej. Kiedy Jarek tankował, Hołownia odszedł poza teren stacji i zapalił papierosa. Palił szybko, odruchowo obserwując swojego nowego przyjaciela i jego samochód.*

*— W jakim województwie leży Przasnysz? — zapytał, gdy ruszyli.*

— *To znaczy w jakim leżał? Bo przecież teraz to wszystko jest mazowieckie — uściślił, nawiązując do niedawnej reformy administracyjnej.*

*Od ponad godziny regularnie pociągał z piersiówki, więc nie zauważył, że jego towarzysz bardzo się zmieszał.*

— *A czemu pytasz? — zaczął ostrożnie, po czym dyskretnie zablokował zamek w drzwiach od strony pasażera. Nie miał pojęcia, jakie to mogło być województwo.*

— *Bo zwróciłem uwagę na numer rejestracyjny tego samochodu — wyjaśnił Hołownia. — Zaczyna się od liter BTK. Co to za rejestracja? — spytał.*

*Jarek odetchnął z ulgą.*

— *Białostocka — odpowiedział. — Kolega, od którego pożyczyłem auto, pochodzi z Podlasia.*

*Wyjaśnienie okazało się zadowolające.*

— *Słyszalesz, że mają zmieniać tablice? — spytał Hołownia. — Te nowe mają być białe i przyporządkowane bezpośrednio do danego powiatu — alkohol zrobił już swoje i słowo „przyporządkowane” zabrzmiało w jego ustach niewyraźnie.*

*Hołownia nie był jednak aż tak pijany, by nie zauważyć, że kilka kilometrów za Koninem Jarek zjechał z poznańskiej szosy w wąską asfaltową drogę. Na chwilę zamilkł z zaskoczenia.*

— *Gdzie my jedziemy? — zapytał ze zdziwieniem w głosie.*

*Jarek był przygotowany na to pytanie.*

— *Daj mi kwadrans — poprosił. — Zrobię ci taką niespodziankę, że aż padniesz z wrażenia.*

*Hołownia kiwnął obojętnie głową. W gruncie rzeczy, co mu zależało. Żołądek miał napęczniony alkoholem, a w głowie przyjemnie mu się kołysało. Po kacu nie zostało ani śladu. Znał swój organizm. Spodziewał się, że niedługo zaśnie i obudzi się dopiero w Legionowie. Na myśl o ciepłej kąpieli aż się uśmiechnął.*

*Nie minęło nawet piętnaście minut, kiedy na horyzoncie ukazała się gigantyczna budowla. Walczący z pierwszym atakiem snu dyrektor nieco się ożywił.*

— *Co to jest? — spytał, wyteżając wzrok. — Bazylika Świętego*

*Piotra w szczerym polu?*

*Budowla rzeczywiście przypominała słynną watykańską świątynię. Robiła niesamowite wrażenie, gdyż wokół były jedynie lasy i pola. Jarek milczał tajemniczo, ale Hołownia nie potrzebował podpowiedzi.*

*Przypomniało mu się, że gdzieś już o tym słyszał.*

*— To taka nowa Częstochowa, tak? — spytał, na co jego towarzysz wreszcie się odezwał.*

*— Można tak powiedzieć — stwierdził. — To bazylika w Licheniu. Jeszcze niegotowa, ale robi niesamowite wrażenie, prawda?*

*Klucząc wąskimi drózkami, podjechali pod gigantyczny plac budowy. Wokół nie było żywego ducha. Jarek wiedział, że prace zostały przerwane aż do wiosny, a olbrzymiego terenu pilnuje zaledwie kilku ludzi, którzy na pewno schronili się przed zimowym deszczem w zacisznych barakach. Miejsce wydawało się wymarzone. Teraz należało tylko popracować nad Hołownią.*

*Sama śmierć wydawała się niewystarczającą karą. Jarek chciał, żeby dyrektor przed śmiercią doświadczył takiego strachu, by powitał tę śmierć jako wybawienie. Wystarczyło, że szepnął kilka słów.*

*— Słucham? — Hołownia myślał, że się przesłyszał, ale gdy spojrzał na swojego nowego znajomego, papieros wypadł mu z ust. — Co ty mówisz?!*

*— Co jej zrobiłeś, ty śmieciu?! — Jarek poczerwieniał na twarzy, a w kącikach ust pojawiła mu się piana. Wyglądał zupełnie inaczej niż przed chwilą. Jowialna maska zniknęła w ułamku sekundy, zastąpiona przez nienawistny grymas.*

*— Wypraszam sobie... — zaczął dyrektor, ale urwał na widok maczety, która pojawiła się w rękach towarzysza. — Co ty chcesz... — jego głos przeszedł w przeraźliwy jęk, kiedy maczeta błysnęła w powietrzu, a jej ostrze rozcięło mu policzek.*

*Jarek nie chciał go zabijać, a przynajmniej nie od razu. Najpierw chciał się wszystkiego dowiedzieć. Dlatego skaleczył go tylko niegroźnie, chociaż w każdej chwili mógł zrobić mu poważną krzywdę. Posługiwał się tą maczetą niczym chirurg swoim skalpelem.*

*— Opowiesz mi o wszystkim, co się wtedy stało — powiedział ponurym tonem, wycierając jednorazową chusteczką zakrwawione*

*ostrze. — A kiedy skończysz, będziesz błagał, żebym cię ukarał.*

*Hołownia zrozumiał, że ma do czynienia z wariatem. Owszem, z tą smarkulą głupio wyszło, ale przecież on jej nie zabił. Otarł zakrwawiony policzek i spróbował jakoś go uspokoić.*

*— Opowiem ci, jak to było — zaczął, ignorując kpiące spojrzenie napastnika. — Powiesiła się, rozumiesz?! Jak wszedłem do jej pokoju, to już wisiała...*

*— Po co w ogóle wchodziłeś do jej pokoju? Późnym wieczorem do pokoju szesnastolatki?*

*— Czy ty myślisz... — wbrew sobie się roześmiał, ale szybko spoważniał. — Nie, to niestychane — stwierdził poważnym tonem.*

*— Nigdy nie interesowały mnie nieletnie dziewczyny.*

*Mówił szczerą prawdę i Jarek najwyraźniej też to dostrzegł. Ale wcale nie zbiło go to z tropu.*

*— To dlaczego robiłeś jej zdjęcia? — zaryzykował i okazało się, że był to strzał w dziesiątkę.*

*Hołownia zbladł jak prześcieradło.*

*— Jakie zdjęcia? — usiłował udawać niewiedzę, ale nawet w jego własnych uszach zabrzmiało to niewiarygodnie. — Skąd o nich wiesz? — wyrwało mu się, zanim zdążył się powstrzymać.*

*Tym razem maczeta musnęła jego ucho, ale nawet tego nie poczuł. Myślał intensywnie, kto jeszcze mógł wiedzieć o zdjęciach. Tych trzech osób, które na pewno o nich wiedziały, był pewien jak samego siebie. Jednej z tych osób ufał, a dwie następne trzymał w kleszczach szantażu. Poza tym wiedziała tylko Agata, ale przecież ona nie żyła. Własnoręcznie przecinał sznur, na którym wisiała. Chyba że...*

*Popatrzył na wzburzonego mężczyznę i zobaczył w jego oczach śmierć. Przeklinając swoją głupotę, która kazała mu wsiąść do samochodu nieznajomego, rzucił się do ucieczki.*

*Jarek sprawiał wrażenie, jakby w ogóle się nie spieszył. Spojrzał na sięgający nieba szkielet wieży, wokół którego wznosiły się gigantyczne rusztowania, i spokojnym truchtem ruszył za zakrwawionym Hołownią.*

*Hołownia biegł, jakby wstąpił w niego diabeł. Instynktownie skierował się w stronę bazyliki, wierząc, że wśród tych surowych murów*

*przebywają gdzieś robotnicy albo przynajmniej stróże. Minął czterystumetrową otwartą przestrzeń i dobiegł do stromych schodów wiodących do głównego budynku świątyni, którego wypukły dach tonął w wiszących nisko chmurach. Pokonał kilka pierwszych stopni i ciężko dysząc, obejrzał się za siebie.*

*Mężczyzna o imieniu Jarek był kilkanaście metrów z tyłu. Biegł lekko niczym jakaś zjawą, bez większego wysiłku pokonując kolejne metry. O ile Hołownia był mokry od potu, a jego blisko pięćdziesięcioletnie serce waliło niczym młot kowalski, to właściciel maczety sprawiał wrażenie, jakby truchtał dla przyjemności. To wtedy Hołownia zrozumiał, że jego szanse nie są zbyt duże. I to wtedy zaczął się panicznie bać.*

*Jarek postawił stopę na pierwszym stopniu schodów w momencie, gdy Hołownia osiągnął ich szczyt. Jego przystojną, choć nieco zbyt zaciętą twarz przeciął pełen zadowolenia uśmiech. Osiągnął to, co chciał, a przy tym dyrektor praktycznie przyznał się do winy. Do momentu tej wymiany zdań wiedział tylko, że w dniu śmierci Agaty zostały zrobione jakieś zdjęcia, ale nawet nie wiedział, co przedstawiały. Reakcja dyrektora pokazała, że te zdjęcia rzeczywiście miały znaczenie. Pozostawało tylko dowiedzieć się, jakie, ale z tym nie zamierzał się spieszyć. Zamiast podkreślić tempo, pozwolił swojemu przeciwnikowi oddalić się na trochę większą odległość, by dać mu złudne przekonanie o rosnących szansach.*

*Jarek był demonem zemsty. Miał powód, by się mścić, ale był przy tym kompletnie szalony i co więcej — zdawał sobie z tego sprawę.*

*Hołownia wbiegł do gigantycznego wnętrza i pospieszył po betonowych schodach na wyższy poziom, instynktownie kierując się do nawy głównej.*

*Wnętrze kościoła było jeszcze nieotynkowane, ale znajdujący się kilkadziesiąt metrów w górze sufit wieńczyła już ogromna kopuła. Wokół ścian wznosiły się rusztowania, lecz była to droga donikąd. Przebiegł przez gigantyczną salę, a odgłosy jego butów odbiły się od ścian i poniosły głośnym echem. Gdy dopadł miejsca, w którym kilka lat później miał stanąć ołtarz, na jej przeciwległym krańcu pojawiła się postać jego prześladowcy. Była tak niska i szczupła, że wydawała się*

wręcz eteryczna.

Przez chwilę wpatrywał się w jej płynne, zgrabne ruchy, stojąc nieruchomo niczym mysz zahipnotyzowana przez kobrę. Kiedy Jarek zbliżył się na odległość kilkunastu metrów, Hołownia ocknął się i zaczął wzywać pomocy. Krzyczał głośno, ale odpowiadało mu jedynie makabryczne echo. Oprócz dźwięku własnego głosu, zniekształconego w zwierzęcy skowyt, słyszał jedynie monotony stukot obcasów zbliżającego się powolnym krokiem przeznaczenia. Poczul, jak jego siwe włosy z przerażenia sztywnieją i unoszą się w górę.

Ostatkiem sił wyzwolił się spod hipnotyzującego widoku podążającego jego śladem Jarka i wybiegł na wolną przestrzeń. Wciąż krzyczał, ale tym razem nie odpowiadało mu nawet echo. Jego słowa wsiąkały w wilgotną aurę niczym w gąbkę, nie rozchodząc się na więcej niż kilkanaście metrów. Brnąc w oparach mgły, skierował się instynktownie w stronę wznoszącej się do samego nieba wieży.

Truchtający dwadzieścia metrów z tyłu Jarek z zadowoleniem zatartł ręce. Epilog w takim miejscu wyjątkowo odpowiadał jego szalonej i dzikiej naturze. Zanucił pod nosem „Wieżę Babel” Budki Suflera, sukcesywnie zmniejszając odległość między sobą a swoim celem.

Kiedy Hołownia dopadł do rusztowania okalającego olbrzymią wieżę, przypominał już zaszczute zwierzę. Pewnie każdego innego dnia skuteczniej opierałby się przeznaczeniu, ale teraz był otumaniony alkoholem i nieludzko wręcz zmęczony. Widząc zbliżającego się z każdą sekundą Jarka, złapał za szczebel metalowej drabiny i odruchowo postawił pierwszy krok. A potem drugi...

O swoim lęku wysokości przypomniał sobie dopiero kilkanaście metrów nad ziemią, ale wtedy było już za późno na zmianę decyzji. Jarek znajdował się kilka metrów za nim i też niestrudzenie piął się w górę. Podążali pogrążeni w gęstej mgłę i po chwili żaden z nich nie widział już podstawy wieży. Hołownię ogarnęło surrealistyczne wrażenie, że znajduje się w próżni i jedynym łącznikiem z prawdziwym światem są niekończące się metalowe szczeble. To wtedy po raz pierwszy znalazł się o krok od odpadnięcia i poszybowania w dół.

Oślizgły szczebel wysunął się z jego zmęczonej dłoni i przez chwilę utrzymywał łączność z drabiną jedynie za pomocą nóg. Ale to była

*specjalna drabina do pracy na wysokościach — otaczały ją metalowe pierścienie i jeden z nich znalazł się szczęśliwie w zasięgu jego rozczapierzonych w panice palców. Chwycił się w ostatniej chwili i załkał ze strachu, czując, że uginają się pod nim nogi. Jarek mógł wykorzystać tę chwilę słabości i błyskawicznie go dogonić, ale widać było, że mu się nie spieszy. Wpatrywał się w balansującego nad nim dyrektora z mściwą satysfakcją, a jego oczy przypominały dwa rozżarzone węgielki.*

*Hołownia podjął drogę w górę, zdając sobie sprawę, że pozostały mu ostatnie minuty życia. Ale chociaż ręce bolały go jak dźgane rozżarzoną prętą, to nie zamierzał się poddawać. Kochał życie i wcale nie miał ochoty, by przedwcześnie żegnać się z tym światem.*

*W pewnym momencie ogarnął go bojowy nastrój. Wynikał po części z tego, że nie miał już sił. Zaczekał, aż Jarek podejdzie bliżej, i próbował kopnąć go w rękę. Jarek uśmiechnął się złośliwie i nagle puścił się, zeskoczył ze szczebla i zaczął lecieć w dół. Hołownia już chciał wydać zwycięski okrzyk, ale jego radość była przedwczesna. Jego prześladowca bez najmniejszego wysiłku złapał się szczebla kilka metrów niżej i zatrzymał się w miejscu, wślepiając się w niego niczym pająk patrzący na zdobycz, która zaplątała się w jego sieć.*

*Dyrektor stracił całą swoją wolę walki. Zwiotczałe mięśnie dopominały się wytchnienia, a serce biło tak mocno, że trudno mu było złapać oddech. Nie miał nigdy zawału, ale instynktownie wyczuwał pierwsze symptomy. Podciągając się na kolejny szczebel, zachwiał się niebezpiecznie i wtedy dostrzegł przed oczami podwójną deskę, stanowiącą coś w rodzaju prowadzącego wokół wieży pomostu.*

*Pomost miał poręczę z metalowych rurek, więc Hołownia nie wahał się ani chwili. Wgramolił się na deskę i ściskając kurczowo zaimprovizowane poręczę, na sztywnych nogach oddalił się od drabiny i otaczającego ją szybu. Ziemia bezpośrednio pod stopami była wciąż niewidoczna, ale w jednym miejscu mgła się rozrzedziła, ukazując hen w dole mieniące się jezioro. Widok był zarazem piękny i straszny. Straszna była odległość od na wpół zamarzniętego lustra wody, która wskazywała, że wspiął się zdecydowanie powyżej połowy wysokości wieży.*



*Nie liczył już na to, że uda mu się ująć pogoni. Wiedział, że jego chwile są policzone, ale chociaż bardzo się bał, to nie zamierzał się poddawać. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Wydał z siebie nawet kilka okrzyków, ale nie było możliwości, by ktoś mógł go usłyszeć. Jediną reakcją był złośliwy chichot tańczącego na platformie Jarka.*

*Drewniany pomost kończył się gwałtownie po drugiej stronie wieży. Hołownia dotarł do tamtego miejsca i odwrócił się w stronę swojego prześladowcy.*

*— Daruj mi życie — poprosił słabym głosem, w którym nie było ani śladu wiary.*

*— Opowiedz mi o wszystkim, co zaszło tamtego dnia — rozkazał Jarek, podskakując i wprawiając pomost w rezonans.*

*Hołownia chwycił się metalowej poręczy, rozpaczliwie walcząc o utrzymanie równowagi.*

*— Dobrze! — zawołał, połykając łzy przerażenia. — Tylko już nie trzęś.*

*Przez kilka minut mówił urywanym głosem, jako akompaniament mając jedynie wizg zimowego wiatru. Póki się wspinał, był rozgrzany. Teraz jednak miał wrażenie, jakby całe ciepło wyparowało mu z organizmu, wyparte przez podmuchy lodowatego powietrza, niosące ze sobą na wpół zmarzłe drobinki deszczu. Trząsł się jak osika, w połowie z zimna, a w połowie z przerażenia. Słowa, które wydostawały się z jego ust, były coraz bardziej niewyraźne i zniekształcone.*

*W tych potwornych okolicznościach Hołownia po raz pierwszy tak naprawdę zastanowił się nad swoją rolą w wydarzeniach tego cholernego sierpniowego dnia. Wnioski, do których doszedł, były przerażające. Od zawsze zdawał sobie sprawę, że nie jest wzorem cnót, ale brutalna prawda spadła na niego niczym gład narzutowy. Dotarło do niego, że jest istnym wcieleniem zła i nie może już zrobić nic, by je naprawić. Urwał i ponuro zwiesił głowę, wpatrując się w czubki swoich balansujących na skraju platformy butów.*

*Jarek stał naprzeciwko niego, a z jego oczu płynęły łzy, mieszając się na twarzy z kroplami deszczowej wody. Kiedy zapadła cisza, uniósł głowę i spojrzał na dyrektora z nienawiścią. Usłyszał już to, co chciał usłyszeć, i teraz zamierzał wykonać egzekucję.*

*Ale nie zdążył. Hołownia zrobił krok do tyłu i opierał się o deskę jedynie czubkami palców.*

*— Boże, wybacz mi — szepnął cicho.*

*A potem ugiął kolana i odbił się od podłoża. Zanim Jarek zdążył odetchnąć, poleciał w dół niczym szmaciana kukła.*

*Jarek przez chwilę wpatrywał się we mgłę, a potem wzruszył ramionami. Był zły, bo chciał jeszcze trochę poznać się nad Hołownią. Ale w gruncie rzeczy odniósł sukces. Główny cel na jego liście został wyeliminowany, a on zdobył szczegółowe informacje o wydarzeniach, które znał dotąd jedynie z chaotycznej relacji autorstwa pewnej oszalałej z bólu kobiety. Pocieszając się tą myślą, zsunął się na dół i odnalazł pogruchotane zwłoki dyrektora, leżące u podnóża wieży. Przerzucił je sobie przez ramię i poszedł do samochodu, wystukując podszwami butów takt piosenki „We Will Rock You” grupy Queen.*

*Kiedy zwłoki znalazły się w bagażniku, ruszył na północ. Przez kilkanaście kilometrów błądził po okolicy w poszukiwaniu właściwego miejsca, aż w końcu zniecierpliwiony zatrzymał się przy przydrożnym rowie. „Przecież w tym kraju nie ma bezludnych obszarów” — pomyślał. Prędzej czy później każde zwłoki zostaną znalezione.*

*Wyrzucił ciało Hołowni na zmarznięty śnieg i w ataku szału odrąbał mu głowę. Ciało było na tyle zmarznięte, że wyleciało z niego zaledwie kilkanaście kropel krwi. Nieco zakłopotany potęgą swojej nienawiści chwycił za tętnicę szyjną i przywiązał uciętą głowę do suchej gałęzi rosnącego nieopodal drzewa. A potem odjechał, uwożąc ze sobą swoją ulubioną maczetę, cały bagaż denata i wszystkie jego dokumenty. Kierował się w stronę najważniejszego dla siebie miejsca na ziemi.*

*Przez dwa tygodnie policja kręciła się w kółko. Oprócz zaskakującego raportu medycznego nie było żadnych śladów. W końcu mundurowi natrafili jednak na wyraźny trop. W hotelu, w którym ostatnią noc przed śmiercią spędziła ofiara morderstwa, oprócz kilkunastu gości konferencji oświatowej zameldowany był pewien mężczyzna, który oprócz podania swoich prawdziwych danych wypełnił też własnoręcznie kwitek wymagany przy korzystaniu ze strzeżonego parkingu. Z kwitka wynikało, że mężczyzna poruszał się starym fordem na białostockich blachach. Analiza raczkującego wtedy monitoringu*

miejskiego oraz zapisu kamery na stacji benzynowej potwierdziła to, co wydawało się jednemu z recepcjonistów. Mężczyzna odjechał spod hotelu razem z ofiarą i skierował się na wschód.

Jego dane personalne, wraz ze zdjęciem, rozesłane zostały po znacznej części kraju. Trafiły też z rozpędu na Podhale, które pozostawało w zainteresowaniu funkcjonariuszy we wczesnej fazie śledztwa. I to właśnie z tamtego rejonu, a konkretnie ze stolicy polskich Tatr dopłynęły pierwsze informacje o zbiegu. Mężczyzna ten miał być zapalonym taternikiem, regularnie odwiedzającym najwyższe polskie góry. Informacja ta, ciekawa tylko z obyczajowego punktu widzenia, zostałaby prawdopodobnie zignorowana, gdyby nie jeden prosty fakt. Według ustaleń miejscowej policji poszukiwany amator wysokogórskiej wspinaczki od kilku dni przemieszczał się pomiędzy wysokogórskimi schroniskami.

Jan Gąsienica-Bytnar lubił Dolinę Rybiego Potoku, ale tylko jesienią, zimą i wczesną wiosną. W lecie był tu ruch jak na Krupówkach — aż roiło się od ceprów, którzy co chwila wpadali na głupie pomysły i trzeba ich było ściągać z różnych dziwnych miejsc. Ale w styczniu niedzielni turyści zadowalali się najczęściej fotografią na tle odległego Mnicha, nie pakując się dalej niż nad Morskie Oko. O tej porze roku większość wypadków spotykała narciarzy szusujących po zboczach Kasprowego Wierchu. Dlatego kiedy zobaczył, że dzwoni do niego centrala z Zakopanego, trochę się zdziwił.

— Stacja TOPR-u nad Morskim Okiem — odezwał się do słuchawki intensywnie góralskim akcentem. Jego rodzina od pokoleń mieszkała pod Tatrami, a on był z tego dziedzictwa bardzo dumny. — Co tam, Stasiu? — dodał mniej oficjalnie, rozpoznając w słuchawce głos swojego kolegi.

Stasiu był dziwnie oficjalny.

— Przełączę ci rozmowę z komendy policji.

— A czego oni chcą, pierona? — zadziwił się Janek, drapiąc się po zapuszczonej na okres zimowy gęstej brodzie.

— Kogoś szukają — poinformował go kolega i szybko się rozłączył.

Po chwili w słuchawce rozbrzmiał inny głos. Należał do zastępcy

*komendanta zakopiańskiej komendy miejskiej.*

*— Cześć, Jasiu! — Rozmówca był z nim daleko spokrewniony, tak więc pomimo kilkunastoletniej różnicy wieku byli na ty. — Słuchaj, jest taka sprawa... — klarował coś dwie minuty, przeplatając swoje słowa przekleństwami.*

*Janek leniwie czekał, kiedy skończy, ale w końcu skończyła mu się cierpliwość.*

*— No wiem, nie pytluj już — przerwał mu, bo już po pierwszych słowach opisu domyślił się, o kogo chodzi. — Kręci się gdzieś po górach i pies go trącał. Nie możecie poczekać, aż zejdzie do Zakopca?*

*Komendant westchnął do słuchawki.*

*— Wiesz, Jasiu, to prestiżowa sprawa. Sama góra dzisiaj tu dzwoniła. Dla tych — tu zaklął — liczy się każda godzina. Jak jesteś na miejscu i nie masz pilniejszej roboty, to może trochę byś się rozejrzył? Nie masz nic przeciwko?*

*— Nie mam — odparł Jaś, usiłując nie okazać swojego entuzjazmu. Na ogół grał zblazowanego, ale wciąż był na tyle młody, by kochać chodzić po górach. W zeszłym roku skończył dopiero dwadzieścia osiem lat.*

*— To super! Podesłę ci czterech swoich chłopaków. Tylko ich nie zamęcz, dobrze?*

*— Nie zamęczę, nie zamęczę. Aż czterech? Musi być niebezpieczny...*

*— Podobno pieruńsko niebezpieczny. Trzymaj się od niego jak najdalej. Tylko nam go znajdź.*

*Jaś rozłączył się i szybko się ubrał. A potem wyszedł ze schroniska i wypełnił płuca górskim powietrzem. Było kilka minut po ósmej rano i zapowiadał się piękny, słoneczny dzień. Przez chwilę lustrował lunetą gigantyczne Szczyty Mięguszowieckie, a potem skierował wzrok nieco w prawo, zatrzymując się na mało wybitnym masywie Cubryny. Tam też nie było żywego ducha, ale się nie poddawał, tylko dla odmiany spojrzął nieco w lewo. Wołowy Grzbiet jak zawsze był bezludny, ale na tle czarnej płetwy Żabiego Konia dostrzegł coś, co mogło być małym, jednoosobowym namiotem. Ten widok wcale go nie zdziwił — znał przynajmniej kilkunastu zapaleńców, którzy wędrowali po Tatrach*

okrągły rok i nocowali czasami w naprawdę przedziwnych miejscach. Mężczyzna, o którego dopytywała policja, był ewenementem, gdyż nie przebywał w górach na stałe. Pojawiał się tu rzadko, ale regularnie i właśnie przed kilkoma dniami rozpoczął kolejną sesję taternickiej przygody.

Gąsienica-Bytnar lubił takich ludzi i chociaż teoretycznie powinien ich zwalczać, to zwykle przymykał oko na łamanie przez nich przepisów parkowych. Sam uwielbiał góry i rozumiał innych, którzy dzielili z nim pasję. Dotyczyło to też osoby, której poszukiwała policja, ale tylko do momentu, gdy usłyszał o popełnionym morderstwie. Jak każdy ratownik TOPR-u wiedział, że życie ludzkie jest wartością bezcenną.

Zanim policyjna suka przywiozła towarzyszy wyprawy, był już gotowy do drogi. Przywitał się z policjantami i wytrawnym okiem sprawdził ich ekwipunek.

— Taką czapeckę to sobie możesz wsadzić w... — powiedział jednemu z nich, ale pozostali ubrani byli solidnie. Niejednokrotnie już musieli chodzić w góry.

Cofnął się po wełniane nakrycie głowy dla mniej doświadczonego policjanta, a potem powiodł grupkę przez środek zamarzniętego Morskiego Oka. Po kilkunastu minutach rozpoczęli wspinaczkę nad Czarny Staw, a potem — chowając się w cieniu Kazalnicy — dotarli po lodzie do miejsca, gdzie pod grubą warstwą śniegu znajdować się musiała ścieżka na Rysy. Dopiero w tym miejscu zaczęła się prawdziwa wspinaczka — nachylenie stoku sięgnęło ponad czterdziestu pięciu stopni, więc każdy krok okupiony był dużym wysiłkiem. Posuwali się ślimaczym tempem. Ich przewodnik był zbyt doświadczony, by szafować siłami grupy na tak wczesnym etapie.

Mimo wolnego tempa, po osiągnięciu Buli pod Rysami policjanci słaniali się na nogach. Jasiek patrzył na nich ze współczuciem, bo dla niego taka przechadzka była jak spacer po parku ze starą ciotką u boku. Przyzwyczajony był do zupełnie innych warunków. Większość akcji TOPR-u o tej porze roku odbywała się w śnieżnych zamieciach lub w ciemnościach nocy. Teraz zaś był biały dzień, a błękitu nieba nie szpeciła nawet jedna chmura. Było mroźnie, ale świecące mocno słońce wywoływało wrażenie, że temperatura sięga kilkunastu stopni powyżej

zera.

— *Dziesięć minut odpoczynku* — zarządził toprowiec, na co policjanci opadli w śnieg w tych miejscach, w których stali. — *Nie kładziemy się. I nie rozpinamy kurtek. Do ciebie mówię, Klimek* — upominał podopiecznych stłumionym głosem, cały czas pamiętając o niebezpieczeństwie śnieżnej lawiny.

*Te dziesięć minut penetrował wzrokiem nie tak już odległą grań. Słońce odbijało się od śniegu, rażąc go w oczy, ale w pewnym momencie wypatrzył coś, co mogło być ludzką sylwetką. Miał świadomość, że mężczyzna ma ich jak na patelni, ale nic z tym nie mógł zrobić. Mógł jedynie mieć nadzieję, że weźmie ich za turystów takich jak on.*

*Opuścili szlak na Rysy i skierowali się w cień Żabiego Konia. Tutaj śnieg był bardziej zmarznięty, więc mimo stromizny szło się nieco szybciej. Jasiek poinformował policjantów o tym, co dostrzegł na grani. W mężczyzn wstąpiły nowe siły. Kto wie, może za ten drugi oddech była odpowiedzialna adrenalina?*

Po kolejnych dwóch godzinach grupa Jaśka podeszła pod grań. Miejsce było niebezpieczne, więc Jasiek wbił hak i przymocował do niego linę, po czym starał się asekurować policjantów. Jeden z nich był tak zmęczony, że nie nadawał się do dalszej drogi.

— *Marcinek, ty tu zostaniesz* — zdecydował i nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Na podstawie niepisanej umowy to on dowodził wspinaczką.

*We czwórkę osiągnęli grań i niemal natychmiast dostrzegli mężczyznę, znajdującego się nieco niżej, po słowackiej stronie. Był na tyle blisko, że widać było kolory jego ubrania. Jasiek przypomniał sobie, że poszukiwany morderca wyszedł w góry w seledynowym kombinezonie. Dokładnie takim, w jaki ubrany był dostrzeżony mężczyzna. Fakt, że znajdował się za granicą, nie miał najmniejszego znaczenia. Wiedział, że policjanci po obu stronach granicy ze sobą współpracują i te kilkaset metrów wokół grani głównej traktowane jest jak ziemia niczyja.*

— *Odpocznijcie sobie* — polecił swojej grupce, po czym usiadł na głazie i wystawił twarz do słońca. Jego rola w tej historii się skończyła, a przynajmniej tak uważał.

*Dowódca grupki policjantów połączył się przez radio z zakopiańską komendą i poinformował o aktualnej sytuacji. A potem*

*odebrał polecenie i się rozłączył.*

*— Mamy ruszać — powiedział. — Gdzieś za półtorej godziny będzie tu helikopter, którym wszyscy wrócimy do domu.*

*Trzej policjanci ruszyli w dół w kierunku poszukiwanego mężczyzny, a Jasiek wrócił po pozostawionego nieopodal czwartego stróża prawa. Po kilku minutach wprowadził go na grań i odszukał wzrokiem cztery figury na śnieżnej szachownicy. Policjanci zbliżali się do poszukiwanego tyralierą, a on stał w miejscu i spokojnie się im przyglądał.*

*Jaśkowi nie podobała się ta ostentacja. Gdyby to on miał o tym decydować, to policjanci do samego końca udawaliby taterników, niby przypadkiem zmierzających w stronę mordercy. Ale przecież chyba znali się na swojej robocie. A on już swoje zrobił.*

*Oslaniając oczy przed słońcem, patrzył na stok i w pewnym momencie zauważył, że osaczony mężczyzna wyciągnął broń. Mógł tylko bezradnie się przyglądać, jak mierzy do jednego z policjantów i dwukrotnie pociąga za spust. Na szczęście w obu przypadkach chybił, ale huk wystrzału obudził uśpionego demona gór.*

*Jasiek przeżył już w górach dwie lawiny, więc wiedział, czego się spodziewać, ale to, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze wyobrażenia. Zbocze Żabiej Turni Mięguszowieckiej zatrzęsło się i zaczęło zsuwać się w dolinę. Olbrzymie masy śniegu pomknęły w kierunku czterech postaci, przypominających wbite w białą kartkę pinezki. Żywioł był tak nieokiełznany, że toprowiec miał ochotę odwrócić wzrok.*

*Gdyby policjanci i morderca znaleźli się centralnie na drodze lawiny, zostaliby znaleźieni dopiero z nadejściem wiosny. Ale na szczęście większość śnieżnej masy przemknęła obok nich — zostali zaledwie muśnięci przez jeden z bocznych jęzorów. Na oczach Jaśka dwóch policjantów zostało porwanych w dół i zjeżdżali po przesuwającym się śniegu. Jednym okiem starał się zlokalizować miejsce, w którym się zatrzymają, a drugie skierował na dwie pozostałe postaci. Morderca i policjant w pożyczonej czapce stali naprzeciwko siebie, walcząc o odzyskanie równowagi.*

*Gąsienica-Bytnar słynął wśród ratowników TOPR-u z dwóch rzeczy. Po pierwsze, zawsze był uprzejmy i niezależnie od tego, jak*

głupio potrafili zachowywać się turyści, zawsze potrafił ukryć swoje prawdziwe emocje. A po drugie — miał iście sokoli wzrok. Dzięki niemu nawet z takiej odległości był w stanie dostrzec, że pistolet wypadł mordercy z dłoni i zniknął gdzieś w śnieżnym zboczu. Stojący nieopodal policjant rzucił się na niego, chcąc go obezwładnić, ale morderca był rzeczywiście niebezpieczny. Mimo że wciąż walczył o to, żeby utrzymać się na nogach, bez większego wysiłku obalił policjanta na ziemię i wysłał go śladem pozostałych w dół po zboczu. Biedny stróż prawa i porządku przekoziółkował kilka razy i legł nieruchomo z rozrzuconymi ramionami.

Najprawdopodobniej stracił na chwilę przytomność, ale po kilku sekundach ocknął się i usiadł, wciąż oszołomiony. Janek wydał z siebie westchnienie ulgi, a kiedy zobaczył, że kilkadziesiąt metrów niżej dwaj pozostali policjanci też wykazywali oznaki życia, jeszcze bardziej się ucieszył. Wiedział, że niedługo powinien pojawić się helikopter, ale mimo tego postanowił zadzwonić do słowackiej Horskjej Sluzby. A potem odnalazł wzrokiem mordercę i popatrzył na niego bez cienia emocji, swoim zwyczajem dusząc w trzewiach budzącą się w nim wściekłość.

Wywołanie lawiny było w jego świecie jedną z największych zbrodni.

Morderca nie zdecydował się na ucieczkę w dół. Pewnie bał się odzyskujących sprawność policjantów. Zamiast więc zsunąć się po zboczu, zaczął je trawersować, kierując się w stronę potężnych Mięguszowieckich Szczytów. Szedł dość szybko, ale jego krok nie był tak pewny. Jasiek dostrzegł, że mężczyzna utyka.

Nie tracił czasu na powiadamianie zakopiańskiej policji, zostawiając to czwartemu z policjantów, który zaczynał odzyskiwać werwę.

— Zostań tu, Marcinek, i czekaj na helikopter — rozkazał, po czym puścił się w pogoń za uciekającym mordercą.

Działał instynktownie i nie czuł nawet odrobiny lęku. Cóż, ratownicy TORP-u nie są bojaźliwi. Ale morderca miał sporą przewagę. Jasiek nie mógł posuwać się granią — musiał opuścić się kilkadziesiąt metrów, a potem ruszyć po głębokich śladach ściganego mężczyzny. Tymczasem pojawił się helikopter i ratownik musiał przerwać pogoń, aby pomóc w załadowaniu na pokład policjanta w pożyczonej czapce.



*Okazało się bowiem, że jego upadek był groźniejszy, niż się to z pozoru wydawało. Miał złamaną rękę i prawdopodobnie pęknięty obojczyk. Zanim bezpiecznie znalazł się we wnętrzu maszyny, minęła dobra godzina. Kiedy Jasiek mógł podjąć pościg, morderca był tylko niewyraźną plamką na horyzoncie. Ratownik wiedział, że musi podkręcić tempo.*

*Członek załogi śmigłowca powiedział mu, że z Zakopanego wyjechała kolejna ekipa policjantów, która miała skierować się na Przełęcz pod Chłopkiem. Jasiek był jednak sceptyczny. Było już po pierwszej południu, więc nie wierzył, by zdążyli dotrzeć na miejsce przed zapadnięciem zmroku. A jako że noc w górach jest śmiertelnie niebezpieczna, był pewien, że do świtu pozostaną w dolinie.*

*Wydłużył więc krok i po godzinie zbliżył się na taką odległość, by uciekający się zaniepokoił. Miał świetną kondycję, ale nie mógł się równać z ratownikiem. Byli w podobnym wieku, lecz Jasiek spędził w Tatrach całe życie, a na dorocznych testach sprawnościowych plasował się w samej czołówce towarzyszy. Zadziałał prosty psychologiczny mechanizm — morderca nawet nie pomyślał, by zaatakować Jankę, tylko skoro ten go ścigał, to zaczął uciekać. A paniczna ucieczka szybko wyczerpała jego i tak nadwątlone siły.*

*Janek wdrapał się na Przełęcz pod Chłopkiem — majestatyczną wyrwę w litej skale, oddzielającą dwa spośród Mięguszwieckich Szczytów, Czarny i Pośredni — kilka minut po tym, jak osiągnął ją morderca. Dochodziła już piętnasta, ale czas na tej wysokości biegł inaczej. Przez chwilę rozglądał się za ściganym mężczyzną, aż dostrzegł go schodzącego w kocioł Bańdziocha. Ruszył za nim pewnym krokiem, błyskawicznie niwelując dzielącą ich odległość. W pewnej chwili wyczerpany morderca przyklęknął na śniegu, najwyraźniej rzucając biały ręcznik. Jasiek dopadł do niego w kilku susach.*

*— Cuś osłabłeś, panocku — powitał go wesoło i wymierzył mu silny cios trzonkiem czekana.*

*Trafił w skroń, pozbawiając mężczyznę przytomności. A potem związał mu ręce kawałkiem nylonowej liny. Chciał go ocucić i rozpocząć drogę w dół, ku Czarnemu Stawowi, ale jego wzrok padł na pobliski głaz. Na głazie wyryty był prosty krzyż ozdobiony międzynarodowym*

*skrótom R.I.P., który oznaczał „spoczywaj w spokoju”. Z głazu odgarnięty był śnieg. Jasiak odniósł wrażenie, że mężczyzna specjalnie skierował się w to miejsce, lecz po chwili machnął ręką. Nie słyszał o tym, by ktoś tu kiedyś zginął, ale Tatry są pełne bezimiennych mogił, i to nie tylko w Dolinie Złomisk.*

— *Panie morderca, pobudka* — *klepnął związanego mężczyznę w policzek, a gdy ten tylko odzyskał świadomość, postawił go na nogi.*  
— *Idziemy haj* — *wskazał na zamarzniętą taflę Morskiego Oka osiemset metrów niżej.* — *Ino nie godoj po drodze, bo nie chce mi się dla ciebie strzepić języka.*

*Pchnął mężczyznę przed sobą i zaczął pogwizdywać pod nosem jakąś góralską melodię. Gwizdał ją przez następne trzy godziny, aż w zupełnej ciemności dotarli do schroniska i mógł przekazać swojego więźnia zaskoczonym policjantom, grzejącym się przy rozpalonym kominku. Przerwał swój gwizdany hymn tylko raz, na opiewanej w starszych przewodnikach powietrznej przelazce.*

— *Nie dam rady zejść ze związanymi rękami* — *poskarżył się morderca, patrząc z przerażeniem na wąską półkę i otwierającą się przepaść.*

— *Dasz, panocku, dasz* — *odparł ze stoickim spokojem.*  
— *Najwyżej zejdziesz trochę bardziej wartko, bo razem z lawiną.*

*Po tej krótkiej wymianie zdań już do końca podróży panowała zupełna cisza, którą mącił jedynie cichy gwizd Jaśka Gąsienicy-Bytnara. Przy odrobinie wyobraźni dało się w tej melodii rozpoznać melancholijne nuty starego tatrzańskiego przeboju: „Hej bystra woda, bystra wodzicka, pytało dziewczce o Janicka...”.*

Wierzbicki urwał swą opowieść i przepłukał gardło wodą. Kamila posłała mi błagalne spojrzenie i postukała w tarczę swojego zegarka. Zrozumiałem, co chce mi przekazać. Była już prawie dziesiąta, a na dwunastą musiała wrócić do Legionowa. Stary archiwista był niepoprawnym gadułą i chociaż słuchało się go świetnie, to zaczynało nam brakować czasu. Postanowiłem radykalnie przyspieszyć jego opowieść.

— *Tak, został skazany i trafił do więzienia* — *odpowiedział*

staruszek. — I od tamtej pory już o nim więcej nie słyszałem. Domyślałam się, o co chcecie jeszcze zapytać, ale przykro mi, nigdy nie miałem głowy do nazwisk.

— Nie pamięta pan, jak się nazywał? — spytałem z żalem, ale Kamila w uspokajającym geście położyła mi dłoń na przedramieniu.

— Nie przejmuj się — powiedziała. — Mamy tyle danych, że ustalenie nazwiska mordercy nie sprawi nam żadnego kłopotu. Panie Anatolu, dziękujemy, ale musimy już iść — wstała i pociągnęła mnie za sobą.

Przez chwilę jej się opierałem.

— Myśli pan, że ten górski grobowiec może mieć jakieś znaczenie? — spytałem, ale staruszek tylko wzruszył ramionami.

Pożegnaliśmy się z nim, a potem z komendantem. Mieliśmy dwie godziny i musiałem przyznać, że Kamila dała z siebie wszystko. Dojechaliśmy do Legionowa w rekordowym tempie. Byliśmy o trzy minuty przed czasem, ale ja przyplącałem tę szaleńczą podróż kilkoma nowymi siwymi włosami.

Pod komendą kłębił się tłum ludzi. Przypomniały mi się obrazki sprzed kilkunastu miesięcy, kiedy odbyła się w tym miejscu manifestacja legionowskiej młodzieży przeciwko brutalności funkcjonariuszy. Ale tym razem wśród zgromadzonych osób nie było nastolatków. Niemal wszyscy byli w policyjnych mundurach.

— Co się dzieje? — spytała Kamila, wysiadając z samochodu.

Jeden z policjantów odwrócił się do niej, po czym szepnął jej kilka słów do ucha. Dziewczyna wyglądała na wstrząśniętą. Odciągnęła mnie o kilka kroków od tłumy.

— Drugie morderstwo — powiedziała cichym głosem, zasłaniając dłonią usta. — Przed godziną wpłynęło zgłoszenie, że na wodociągach w Wieliszewie wisi ciało mężczyzny. Nasi już tam pojechali. Myślisz to, co ja?

Nie wiedziałem, o czym myśli policjantka, ale mi w pierwszej kolejności przyszedł na myśl zaginiony pan Leopold. Przeszedł mnie dreszcz i zrozumiałem, że nie mogę beczynn timer czekać. Poprosiłem Kamilę, by podrzuciła mnie do szkoły, gdzie zaparkowałem samochód Aśki. Popatrzyła na mnie z namysłem.

— Chcesz tam pojechać? — spytała, a gdy skinąłem głową, ujęła mnie pod ramię i poprowadziła do swojego volkswagena. — Ja też. Chodź, w tym zamieszaniu i tak nikt się nie zorientuje, że nie ma mnie w pracy. Zresztą mam jeszcze trochę czasu.

Dowiedziałem się od niej w drodze, że komendant ogłosił stan najwyższej mobilizacji i wszyscy funkcjonariusze, którzy nie byli akurat po nocnej służbie, dostali rozkaz, by stawić się w komendzie. Podał przy tym godzinę czternastą, co funkcjonariuszka zinterpretowała na swoją korzyść.

— Taka mobilizacja jest tylko po to, by móc się pochwalić przed mediami. W rzeczywistości nie będzie nawet gdzie usiąść. Jak to mówią: gdzie kucharek sześć... — narzekała, mknąc w kierunku Narwi.

Dojechaliśmy do pętli autobusowej i ignorując zakaz ruchu, skierowaliśmy się w stronę ogrodzonego terenu wodociągów. Połatana szosa wiodła ku wałom przeciwpowodziowym, a potem skręcała na wschód. Kilka metrów przed skrętem przejazd blokowała rozpostarta policyjna taśma.

— Cześć, Marek — Kamila skinęła głową stojącemu przy niej funkcjonariuszowi i schyliła się, przechodząc pod taśmą. Nie niepokojony przez policjanta poszedłem w jej ślady. Na szczęście nie zwrócił uwagi na moje klapki. Wyglądał na całkowicie pochłoniętego trzymanym w rękę telefonem.

Szybkim krokiem wspięliśmy się na wał przeciwpowodziowy i podeszliśmy do zgromadzonej na nim grupki policjantów. Moim oczom ukazała się najpierw szeroko rozlana rzeka, a potem rosnące przy samym brzegu liściaste drzewo. Na jednej z jego gałęzi wisiał człowiek.

Promienie słońca odbijały się od sunącej dostojnie tafli wody, boleśnie rażąc mnie w oczy. Wisząca postać stała się dla mnie rozpoznawalna dopiero wtedy, gdy podeszedłem nieco bliżej. Lekki podmuch wiatru delikatnie zakręcił ciałem, ustawiając je twarzą w moją stronę. Okazało się, że przecucia mnie nie myliły.

Na wiekowej wierzbie wisiał matematyk. Był sinofioletowy, a jego oczy niemal ginęły w fałdach opuchlizny, ale nie miałem wątpliwości, że to on. Siwe, przydługie włosy powiewały na wietrze, a spomiędzy nabrzmiątych warg zwisał mu język.

Zaczerpnąłem powietrza i przez chwilę trwałem w bezruchu. Miałem za sobą rok służby w Afganistanie, więc widok martwego ciała był dla mnie czymś normalnym. Ale w przeciągu czterech dni straciłem dwóch kolegów z pracy — coś takiego nie przytrafiło mi się nawet podczas walk na pustkowiach Afganistanu. Miałem ochotę się rozplakać i być może bym to zrobił, ale powstrzymała mnie obecność Kamili. Dziewczyna była blada jak śmierć i wpatrywała się w zwłoki z makabryczną fascynacją.

— Ma jakieś zewnętrzne obrażenia? — spytałem technika w kurtce z napisem POLICJA. Mężczyzna, który stał niemal bezpośrednio pod ciałem, nawet na mnie nie spojrział.

— Brak widocznych ran i innych śladów przemocy — odpowiedział takim głosem, jakby czytał referat. — Oczywiście poza sznurem zaciśniętym na szyi. Na moje oko śmierć nastąpiła w wyniku uduszenia. Kilka, maksymalnie kilkanaście godzin temu — dodał, po czym wrócił do pracy, która polegała na przeczesywaniu zarośli w poszukiwaniu... sam nie wiem czego.

Ale nie dałem mu pracować.

— Mógł sobie zrobić to sam? — spytałem, wskazując na wirujące w powietrzu ciało.

Splunął i spojrział na denata. Wyglądał jak hodowca, który szacuje wagę dorodnego tuczniaka.

— Raczej nie — stwierdził po chwili, drapiąc się po owłosionym przedramieniu. — Nie ma żadnego stołka, nie ma śladów wspinaczki. Jeżeli miałbym zgadywać, to ktoś założył mu pętle na szyję, a potem przerzucił drugi koniec liny przez tamtą gałąź — wskazał palcem nad siebie. — No i pociągnął, windując go na tę wysokość.

Splunął jeszcze raz i pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Chyba nie bardzo chciało mu się pracować. Wcale mu się nie dziwiłem. Krzątanie się przy trupach nie należało do najprzyjemniejszych zajęć.

„Poprzeszkadzałbym” mu dłużej, ale rzut oka na Kamilę sprawił, że na moment zapomniałem o zwłokach pana Leopolda. Dziewczyna wyglądała tak, jakby zaraz miała zemdleć. Ująłem ją pod rękę i powiodłem z powrotem do samochodu. Przechodząc obok grupki

funkcjonariuszy, usłyszałem słowo „seryjny”. Po tonie, jakim zostało wypowiedziane, doszedłem do wniosku, że uznawali sytuację za poważną. Wcale im się nie dziwiłem. Seryjni mordercy grasują najczęściej na kartach powieści sensacyjnych. W prawdziwym życiu zdarzają się niezwykle rzadko.

Usadziłem Kamilę na miejscu pasażera, a sam usiadłem za kierownicą. Odzyskała wigor dopiero na wysokości Skrzyszewa.

— Przepraszam — powiedziała wciąż niepewnym tonem. — Gdy go zobaczyłam, zrobiło mi się jakoś tak dziwnie. Nie lubię trupów...

— Nikt ich nie lubi — powiedziałem, chociaż jej delikatność trochę mnie zirytowała. Odniosłem wrażenie, że lepiej niż w roli policjantki czułaby się w innym, bardziej kobiecym zawodzie. Na przykład przedszkolanki. — Odwieźć cię do domu?

Pokręciła głową. Jej czoło przecięła pojedyncza zmarszczka.

— Niedobrze ci? — zaniepokoiłem się.

— Nie — odparła. — Po prostu myślę. Czy ty wiesz, co to oznacza dla śledztwa?

Wzruszyłem ramionami. Nie chciało mi się bawić w rozwiązywanie szarad. Wobec mojego milczenia dziewczyna postanowiła mi więc wytłumaczyć to, co od samego początku było dla mnie oczywiste.

— Jan Hołownia jest niewinny — oznajmiła odkrywczym tonem. — Przecież nie mógł powiesić pana Leopolda i jednocześnie siedzieć w areszcie. Niewinny jest też Antoni Winnicki. To znaczy niewinny morderstwa — sprecyzowała — bo tak w ogóle to jest winny jak diabli. Ale prawdziwy morderca Mateusza wciąż przebywa na wolności i teraz zabił matematyka...

Zaparkowałem na poboczu. Stąd miałem jakieś kilkaset metrów do swojego domu. Zaczynałem wierzyć, że w końcu będzie mi dane się przebrać.

— Wiele wskazuje na tego chłopaka z przeszłości. Jarka — przypomniałem sobie jego imię. — Jest tylko jedna rzecz, która nie daje mi spokoju.

— Jego wzrost?

— No właśnie. W opowieści Wierzbickiego Jarek był kurduplem,

mniej więcej takim jak ja. A chłopak z monitoringu był wielki jak tyczka. Poza tym ja przecież się z nim ganiałem. Na pewno był o głowę ode mnie wyższy. A przy tym... — urwałem, bo coś przyszło mi do głowy.

Musiałem mieć dość dziwny wyraz twarzy, bo Kamila zrobiła wielkie oczy.

— O co chodzi? — spytała, intensywnie się we mnie wpatrując. Zobaczyłem, że odzyskała już swoje naturalne kolory.

Przez chwilę jeszcze szukałem odpowiednich słów.

— Facet, którego goniłem w Łazienkach, nie poradziłby sobie w wysokich górach. A już na pewno nie w zimie. Nie miał ani tej siły, ani kondycji. To się wyczuwa. A poza tym...

— Mów trochę szybciej, bo zwariuję! — popędzała mnie Kamila, bo co chwilę zawieszałem głos. Przed oczami znów miałem sceny z pogoni za napastnikiem.

— To był młody chłopak — stwierdziłem w końcu i wtedy nabrałem ostatecznej pewności, że coś było nie tak. — To na pewno był młody chłopak! A ile lat może mieć teraz ten cały Jarek?

— Czy ja wiem? — zastanowiła się, przygryzając wargę.  
— Czterdzieści?

— Prędzej czterdzieści pięć albo nawet pięćdziesiąt — poprawiłem ją, dokonując szybkich obliczeń. — To na pewno nie był on.

— A ten facet, który uciekał przed nami na cmentarzu? Czy to był dryblas, czy ktoś inny?

No tak, był jeszcze mężczyzna z cmentarza, który na widok naszej obecności przy nagrobku Agaty Opióły postanowił się ulotnić. Przez chwilę odtwarzałem w myślach szaleńczą gonitwę między nagrobkami, a potem pokręciłem głową.

— Widziałem go tylko przez ułamek sekundy — stwierdziłem.  
— Nie mam pojęcia, ile miał wzrostu. Wydaje mi się, że był łysy i barczysty, ale nie mam absolutnej pewności. Nie zdążyłem mu się przyjrzeć. Za bardzo się koncentrowałem, by go dogonić. I nie połamać przy okazji nóg.

Kamila w zamyśleniu potarła czoło.

— Czyli co? — zapytała po chwili. — Cały czas kręcimy się

w kółko i obstawiamy nie ten wątek, co trzeba? To w takim razie co jeszcze, oprócz śmierci tej dziewczynki przed laty, mogło łączyć Mateusza i Leopolda? Skup się, przecież to ty ich znałeś, a nie ja.

Ostatnie słowa wypowiedziała ze zniechęceniem. Najwyraźniej nie spodziewała się ode mnie konstruktywnej odpowiedzi. Postanowiłem ją zaskoczyć.

— A może podchodzimy do sprawy ze złej strony? — zacząłem.  
— Może trop Jarka jest właściwy, a mylimy się co do roli dryblasa. Bo w zasadzie co o nim wiemy? Wiemy, że w nocy z wtorku na środę pojawił się w szkole, otwierając drzwi własnym kluczem. Wiemy, że był wtedy pijany. Wiemy — wyliczałem — że dwa dni później wyszedł mnie w Warszawie i usiłował rozbić mi głowę... I nic poza tym. Może to wcale nie on zabił Mateusza?

Przez chwilę zastanawiała się nad moimi słowami.

— Czyli myślisz, że to był współnik tego Jarka...

— Wydaje mi się, że raczej ktoś kompletnie z nim niepowiązany. Nie sądzę, by morderca korzystał z usług kogoś pijanego. To by było z jego strony raczej nieostrożne. Słuchaj, jak i tak gadamy, to może pojedziemy do mnie i się przebiorę?

— No pewnie — kiwnęła machinalnie głową, cały czas intensywnie myśląc. — A może było tak, że kiedy dryblas wszedł do budynku, to Mateusz już nie żył — powiedziała ostrożnie, ale nie wyglądała na przekonaną.

Zaparkowałem pod swoim blokiem. Zaprosiłem ją na herbatę, ale taktownie odmówiła. Byłem jej za to wdzięczny — nie chciałem podejmować ją w swojej norze, a przy tym nie wiedziałem, jak na jej wizytę zareaguje moja teściowa. Wpadłem do mieszkania jak po ogień i po chwili byłem z powrotem, ubrany w świeży podkoszulek, krótkie spodenki i adidas zamiast kłapek.

— To akurat mało realne — podjąłem od razu po powrocie, nawiązując do jej ostatnich słów. — Na nagraniu nie sprawiał wrażenia, jakby zobaczył coś strasznego. Załatwił się na ścianę, pamiętasz? Ale szczerze mówiąc, to nie wyglądał też jak morderca. Wyglądał jak...

— Jak gówniarz, który trochę nabroił. Ale nie jakoś strasznie — wyręczyła mnie dziewczyna. Nie wyraziła się zbyt zgrabnie, ale oddała



dokładnie to, co miałem na myśli. — Tylko nie rozumiem, dlaczego chciał cię potem uszkodzić?

— A co najczęściej jest powodem agresji? — odpowiedziałem jej pytaniem na pytanie. — Nie uczą was tego na szkoleniach? Bo nas uczą. Otóż najczęstszym powodem agresji są strach oraz zazdrość.

— Zazdrość — Kamila smakowała przez chwilę to słowo.  
— A może to jakiś gach tej Aśki... Wróć! — wycofała się ze śmiechem.  
— Przecież nie przylałby jej gazrurką.

— No raczej by nie przylał — uśmiechnąłem się blado. — Zresztą nie wiem, o co miałyby być zazdrosny. I w jaki sposób się to wiąże z Mateuszem. Chyba że tu wcale nie chodziło o zazdrość...

— ...tylko o strach — weszła mi w słowo. — Przyznaj się, może chciałeś zostawić jakiegoś biedaka na drugi rok.

Zaśmiała się, ale jej nie zawtórowałem.

— Zastanawiałem się nad tym na samym początku. Że może to jakiś uczeń, któremu podpadliśmy obaj z Mateuszem. To by znaczyło, że podpadł mu jeszcze matematyk. Ale to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Pamiętam wszystkich uczniów, którym wystawiłem na okres pałę. Nie było ich dużo i z całą pewnością mogę stwierdzić, że nie było wśród nich takiego dryblasza.

Popatrzyła na mnie ponuro.

— Policja analizowała dzienniki z ostatnich dwóch lat — powiedziała. — Mieliliśmy taką samą koncepcję jak ty, ale nic nam się nie zgadzało. Profesor Kownacki stawiał jeszcze mniej jedynek od ciebie.

— No właśnie — kiwnąłem głową. — Więc jeżeli chłopakiem z Łazienek powodował strach, to chodziło zupełnie o coś innego. Może nie miał nic wspólnego ze śmiercią Mateusza, ale po prostu się bał, że ktoś go o coś posądzi?

— Ale wobec tego dlaczego zaatakowałby akurat ciebie?  
Chwaliłeś się przed kimś, że jesteś na tropie mordercy?

Poczułem, jak moja babcia budzi się ze snu. Doznanie było tak intensywne, że aż włosy stanęły mi dęba.

— Możesz powtórzyć? — poprosiłem, a zdziwiona Kamila szybko

wyrecytowała swoje ostatnie pytanie.

Przypomniałem sobie jedną z czwartkowych przerw i wszystko zaczęło układać mi się w głowie niczym puzzle. Ostatnie brakujące kawałki trafiły na swoje miejsce w momencie, gdy zerknąłem za okno i mój wzrok padł na szary mur cmentarza. Uruchomiłem silnik.

— Gdzie jedziemy? — spytała „Marchewka”, ale w jej głosie zamiast zaskoczenia usłyszałem zaciekawienie. Bez słów zrozumiała, że na coś wpadłem.

— Pamiętasz, jak w drodze do Sompolna rozmawialiśmy o kluczach do budynku szkoły? — spytałem, wyprzedzając wlokący się karawan.

— Pamiętam — potwierdziła i na jej twarzy zagościł wyraz zrozumienia. — Jedziemy porozmawiać z woźną?

— Prawie trafiłaś — skwitowałem. — Jedziemy do woźnej, ale rozmawiać będziemy z kimś zupełnie innym — dodałem tajemniczo i jechałem dalej wzdłuż cmentarnego muru.

Pani Leokadia mieszkała przy nieutwardzonej drodze na opłotkach Legionowa. Nie znałem jej adresu, ale wierny powiedzeniu „czubek języka za przewodnika”, w końcu trafiłem na miejsce. Niewielki domek ukryty był na równie niewielkiej działce, wśród wysokich krzaków czarnego bzu. Za ogrodzeniem rozpoczął się las.

Zaparkowałem pod samą furtką. Przez chwilę bezskutecznie szukałem dzwonka, a potem pchnąłem skrzypiące drzwiczki i wszedłem na teren posesji.

— Dzień dobry! — zawołałem, słysząc za sobą kroki Kamili.

Odpowiedziało mi szczekanie. Najpierw ciche, jakby trochę przytłumione, a potem coraz głośniejsze. Spomiędzy krzaków wypadł nagle kudłaty brytan, który rzucił się w naszą stronę. Zaprzestał szczekania — spomiędzy jego masywnych szczęk wydobył się głośny warkot.

Odruchowo przyjąłem pozycję obronną, ale na szczęście pies był uwiązany. Trzy metry przed nami zatrzymał się gwałtownie i stanął dęba niczym dźgnięty ostrogami koń. A potem — jak w kreskówce — opadł na zad i przez dłuższą chwilę nie mógł się pozbierać. Gdy już doszedł do siebie, zrekompensował sobie ograniczoną mobilność głośnym

szczekaniem.

Otarłem z czoła pot, a potem ominąłem go ostrożnie i odkryłem, że w krzakach ukryta była zbita z desek buda, do której przywiązany był jeden z końców sznura. Drugi koniec przytwierdzony był do obroży — gdy bestia spinała się do skoku, to cała buda drżała w posadach, jakby zaraz miała się rozpaść. Przyspieszyłem kroku, ciągnąc za sobą dziewczynę. Czułbym się bezpieczniej, gdyby pupilek pani Leokadii przetrzymywany był w kojcu. I to najlepiej w kojcu podpiętym do prądu...

Drewniany domek miał niewielką werandę. Oprócz dwóch krzeseł i stolika stał tam kubeł wypełniony wodą. Kiedy zbliżyliśmy się na kilka metrów, w drzwiach pojawiła się pani Leokadia. Zmierzyła nas gniewnym spojrzeniem i ostentacyjnie zamknęła za sobą drzwi, żeby nie przyszło nam do głowy wchodzić do środka.

— O co chodzi? — spytała nieuprzejmym tonem.

Nie dałem po sobie poznać, że zauważyłem jej niechęć. Zresztą nie spodziewałem się po niej niczego innego. Na ogół była sympatyczna i wesoła, ale przez ostatnie dni bardzo się zmieniła. Wcale jej się nie dziwiłem.

— Dzień dobry, pani Leokadio — powiedziałem pogodnie.

— Chcemy, by poświęciła nam pani kilka chwil. To jest funkcjonariuszka miejscowej policji, pani Kamila — przedstawiłem swoją koleżankę. — A to jest długoletnia woźna w naszej szkole, pani Leokadia Stopka — dopełniłem prezentacji.

Pani Leokadia wybałuszyła na mnie oczy, a potem przeniosła wzrok na stojącą obok mnie dziewczynę.

— Policję pan na mnie nasyla? Na mnie? — odezwała się z pretensją, ale wyłowilem z jej głosu kilka fałszywych nut.

— Nie na panią — odezwałem się uspokajająco. — Z panią chcemy tylko porozmawiać.

Usiadła ciężko na rozchwianym krześle. Odniosłem wrażenie, że zakręciło jej się w głowie. Aby zamaskować swoją słabość i zdenerwowanie, wsadziła bose nogi do wiadra z wodą.

— Ale dziś gorąco — powiedziała z usprawiedliwieniem w głosie. — Od rana kiepsko się czuję. Wie pan, panie Tomku, starość... Pan też

będzie kiedyś w moim wieku i wtedy pan zrozumie, jak to jest.

Zauważyłem, że usiłuje zatuszować swoje prawdziwe uczucia. Robiła to jednak nieudolnie. Chociaż przywołała na twarz coś na kształt dobrotliwego uśmiechu, to widziałem, jak drży jej ręka.

— Spokojnie, pani Leokadio. Od pani chcę dowiedzieć się tylko jednego. Kiedy pani zdążyła pozmywać te butelki?

Wypowiedziałem te słowa spokojnym, cichym tonem, ale reakcja była taka, jakbym rzucił bombę. Woźna złapała się za usta, a Kamila głośno wciągnęła powietrze. Obie wyglądały na wstrząśnięte, ale mnie interesowało jedynie zachowanie tej pierwszej.

Spodziewałem się, że zacznie na mnie krzyczeć i się wypierać. Dopuszczałem nawet taką możliwość, że każe nam natychmiast opuścić swoje podwórko. Ale okazało się, że już zbyt długo żyła w napięciu, tłumiąc wyrzuty sumienia. Zamiast wszystkiego się wypierać, pochyliła głowę i zaczęła płakać.

Czekałem cierpliwie, ignorując wyszeptywane na ucho pytania Kamili. Nie wprowadziłem jej wcześniej w swoją koncepcję, gdyż po prostu nie było na to czasu. Wpadłem na wszystko dopiero przed kilkunastoma minutami.

Pani Leokadia płakała dosyć długo, ale w pewnym momencie wydmuchała nos i podniosła na mnie opuchnięte oczy.

— Jak się to wszystko skończy? — spytała, tak jakbym był Duchem Świętym.

Rozłożyłem bezradnie ręce, a Kamila spojrzała na mnie z wyrzutem. Wciąż nie miała pojęcia, o co chodzi.

— Niech pani odpowie na pytanie — zwróciła się do siedzącej na werandzie kobiety. — To może chociaż odrobinę z tego zrozumieć — dokończyła pod nosem.

Woźna nawet na nią nie spojrzała. Wciąż wpatrywała się we mnie, a w jej załzawionych oczach dostrzegłem nadzieję. Nie chciałem jej podsycać, więc odwróciłem wzrok.

— Zmyłam te butelki kilka minut przed tym, jak odkryliście ciało — powiedziała, załamując ręce.

— Jak to? To pani widziała ciało, zanim... — wypaliła Kamila, ale położyłem palec na ustach.

— Czekaj, zdążysz o wszystko zapytać — upomniałem ją szeptem.  
— Niech pani mówi. Przede wszystkim dlaczego pani nie wyniosła tych butelek do śmieci?

— Chciałam je wynieść, ale cały czas ktoś kręcił się po schodach. Dlatego wzięłam ze sobą gąbkę i wszystkie dokładnie przetrłam. Chciałam usunąć odciski palców. Co wieczór oglądałam *Kryminalne zagadki Las Vegas* i wiedziałam, że w takiej sytuacji trzeba przede wszystkim wytrzeć ślady. Gąbkę wzięłam ze sobą, a drzwi zamknęłam na klucz...

— A klucz? Co pani zrobiła z kluczem? Policja chyba go nie znalazła, prawda? — Zerknąłem na funkcjonariuszkę, a ona skinęła głową.

— Wyrzuciłam go przez okno na boisko — odpowiedziała woźna.  
— Nie wiem dlaczego, to był taki odruch. Nie wiedziałam, co robię. Zaraz później zeszałam na dół i zaczęłam szukać dyrektora.

— I nie znalazła go pani? — wtrąciła Kamila.

— Wręcz przeciwnie. Znalazłam go niemal od razu. Powiedziałam mu, że przy sprzątanii znalazłam w kanciapie powieszzonego Mateusza. Żeby go pan wtedy widział. Był blady jak ściana i ledwo mógł oddychać. Przez chwilę myślałam, że skończy się to zawałem.

— Powiedziała mu pani o wszystkim? No, o tych „butelkach”?  
— na ostatnie słowo położyłem nieco ironiczny nacisk. Zrozumiała mnie w lot.

— Ależ skąd... Wie pan, ja cenię swoją pracę. Nie chciałabym mieć nieprzyjemności. Wiadomo, że nie to jest dla mnie teraz najważniejsze, ale muszę pracować, bo z czego my tutaj będziemy żyć. No z czego?

Pokiwałem głową. Na swój sposób jej współczułem, ale nie mogłem jej pomóc. Z tego, co pamiętałem, rozboje są ścigane z oskarżenia publicznego.

— Jest? — spytałem, na co pokręciła głową.

— Ale wy wiecie, że on tego nie zrobił, prawda?! — spytała z lekkimi nutkami paniki. — To prawda, nabroił, ale nigdy nie zabiłby człowieka. Wierzysz mi? — Ze zdenerwowania zaczęła do mnie mówić po imieniu, ale nie miałem do niej żalu. W jej sytuacji też odchodziłbym

od zmysłów.

— To dlaczego tam wtedy był? — zapytałem, bo nie dawało mi to spokoju. Wiedziałem, że jest niebezpiecznym świrem, ale nie miałem pojęcia, co sprowadziło go tamtego wieczoru do budynku liceum.

Wiedziałem tylko, że nie były to mordercze zamiary względem Mateusza. Dryblas z kamery monitoringu nie był mordercą.

— Przychodził czasami do szkoły. Także wieczorami. Te butelki nie znalazły się tam wszystkie za jednym zamachem. Ale nie mam pojęcia, co poniosło go tam tamtego dnia. Po prostu nie wiem — urwała i znów zaczęła płakać.

— A kiedy tu będzie? — spytałem po chwili.

Wzruszyła ramionami, ale w momencie gdy przestałem wierzyć, że mi odpowie, wyszeptała, że „pewnie niedługo”.

Usiadłem więc na nierówno skoszonej trawie, przygotowując się na czekanie. Wyjaśnienie zdawało się o krok, ale Kamila wciąż niewiele z tego rozumiała. Wykorzystała chwilę ciszy i zaczęła strzelać pytaniami. Woźna odpowiadała jej chętnie. Było widać, że z ulgą zrzuciła z siebie ciężar kilkudniowego przymusowego milczenia.

— A czy klucze, którymi otworzono szkołę, należały do pani? — spytała wreszcie, kiedy dowiedziała się już, że pani Leokadia natknęła się na ciało przez przypadek, sprzątajac kanciapę.

— Do mnie — kiwnęła głową woźna.

Jej następne słowa zapewne naprowadziłyby Kamilę na właściwy trop, ale w tym momencie uchylły się drzwi do wnętrza domu. Przeklinając swoją łatwowierność, poderwałem się na nogi, lecz szybko się uspokoiłem. Głos, który mnie dobiegł, należał do kobiety. A raczej do młodej dziewczyny.

— Pani Lodziu, ja już będę szła — usłyszałem i po chwili w drzwiach pojawiła się moja ulubiona uczennica.

Nie byłem tym zaskoczony.

— Cześć, Marzenko — ukloniłem się, a ona odruchowo dygnęła.

— Co pan tu robi? — spytała z zaskoczeniem w głosie.

Na jej twarzy wciąż widniały ślady po wczorajszym pobiciu. Usiłowała je zamaskować pudrem, ale efekt nie był zadowalający.

— Przeszedłem do twojego chłopaka — powiedziałem, po czym

się zreflektowałem. — To znaczy byłego chłopaka. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Pokiwała głową.

— Na szczęście byłego — powiedziała, a potem po jej twarzy popłynęły łzy. Ale nie były to łzy za utraconą miłością. — Czy kiedykolwiek mi pan to wybaczy? — wychlipała. — Przecież mógł pan zginąć...

Podszedłem do niej i położyłem jej dłoń na ramieniu. Pod wpływem mojego dotyku trochę się uspokoiła.

— Rozumiem, Marzenko — powiedziałem miękkim tonem. — Może to brzmi teraz jak jakaś fantastyczna baśń, ale ja też byłem kiedyś młody i zakochany.

— Pan był... — powtórzyła za mną odruchowo, a potem się roześmiała. Był to dziwny śmiech, taki przez łzy. — Ja nie byłem zakochana. Ja byłem kompletną idiotką. Nie mam pojęcia, co ja w nim widziałam. To wariat i cham...

— To było dobre dziecko — wtrąciła się woźna. — Dobre, tylko zaniedbane. Wychował się bez ojca, a ja ciągle tylko goniłam za zarobkiem. Nie było czasu, żeby...

Nie zdołała skończyć zdania. Kamili wyczerpała się cierpliwość.

— Czy ktoś mi do cholery wreszcie powie, o czym teraz rozmawiamy? — spytała, potrząsając wojowniczo rudą grzywką.

Spojrzałem na Marzenę. Wyglądała jak siedem nieszczęść i na pewno nie miała ochoty raz jeszcze przez to przechodzić, ale sam miałem do niej wiele pytań.

— Opowiesz nam wszystko? — ni to zapytałem, ni poprosiłem.

Usiadła na stopniach prowadzących na werandę. Na jej twarzy pojawił się nagle strach. Jej głos drżał z przerażenia.

— Już nie zdążę — powiedziała, po czym przymknęła oczy. — On tu jest. — Spod zaciśniętych powiek wypłynęły dwie pojedyncze łzy.

Przez ułamek sekundy nie wiedziałem, o czym mówi, ale zadziałał mój żołnierski instynkt. Nie wiedziałem, skąd spodziewać się zagrożenia. Rzuciłem się na ziemię i przetoczyłem dwukrotnie i wtedy go ujrzałem. Stał wyprostowany obok budy i patrzył na nas wyzywająco, ściskając w dłoniach sznur. Nie był to jednak sznur, na którym chciał

kogoś powiesić. Syn pani Leokadii, a zarazem były chłopak Marzeny, damski bokser, mój przeciwnik z parku Łazienkowskiego i dryblas z kamery monitoringu, słowem — Maciek Stopka, były uczeń naszej szkoły, trzymał w swoich rękach sznur, na którym uwiązany był olbrzymi pies. Ten sam, który rzucił się na nas kilka minut temu.

Tym razem jednak sznur nie był przywiązany do budy. Dryblas ze złośliwym uśmiechem posłał nam całusa, a potem puścił wyrrywającego mu się psa. Bestia pomknęła w naszą stronę z prędkością odrzutowca, nie zwalniając tempa nawet na dźwięk głosu przerażonej pani Leokadii.

Pierwsza na drodze brytana znalazła się Kamila. Ja leżałem kilka metrów dalej, a Marzena znajdowała się na schodkach werandy, o dwa kroki od bezpiecznego schronienia w domu.

— Schowaj się! — rzuciłem w jej stronę, podrywając się na nogi i oceniając sytuację.

Marzena była niemal zupełnie bezpieczna. Niemal, gdyż zawsze jest jakiś margines niebezpieczeństwa. Mogła na przykład skrócić nogę na stopniach werandy, ale pies jej nie zagrażał. Był zbyt daleko.

Nie dało się tego powiedzieć o Kamili. Ją od atakującej bestii dzieliło kilka metrów, a odległość ta błyskawicznie się zmniejszała. Widziałem, jak kuli się bezradnie, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Strach i szok zawładnęły nią całkowicie, paraliżując ośrodki nerwowe. Jej zielone oczy były wielkie jak spodki i wpatrywały się w zjeżoną sierść rosnącego z każdą milisekundą zwierzęcia.

Pies pędził z prędkością wystrzelonego pocisku. Nie był rasowy, przypominał ogromnego skundlonego wilczura. Kiedy biegł, w promieniach słońca połyskiwały jego wyszczerzone, żółtawe kły. Nie miałem nawet sekundy na kalkulacje. W jednej chwili podjąłem decyzję i ruszyłem w jego stronę, ale i tak byłem spóźniony. Chociaż dawałem z siebie wszystko, to kiedy bestia z dzikim warkotem skoczyła na Kamilę, od dziewczyny dzieliły mnie jeszcze dobre dwa metry.

Mogłem tylko bezradnie patrzeć, jak moja koleżanka pada pod trzydziestokilowym cielskiem niczym przygięta przez wiatr trzcina. Zanim zdążyła wydać z siebie dźwięk, leżała już na ziemi z rozrzuconymi rękami i nogami. Pies siłą rozpędu przetoczył się po jej ciele, ale zamiast popędzić dalej przed siebie, zdecydował się do niej



wrócić. Otworzył paszczę, chcąc zacisnąć potężne szczęki na jej odsłoniętym, kremowobiałym gardle. Wtedy wreszcie zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

— Tomek! — Z mnóstwa nieskoordynowanych dźwięków wyłowiłem swoje imię. Pełen przerażenia ton, z jakim zostało wypowiedziane, dodatkowo mnie uskrzydlił. Kiedy kły zwierzęcia znajdowały się o kilka centymetrów od delikatnej skóry, moja stopa wystrzeliła do przodu z taką prędkością, jakbym na drugie imię miał Cristiano.

Nie trafiłem czysto, ale chodziło mi tylko o to, by odwrócić uwagę zwierzęcia od dziewczyny. But prześlizgnął się tylko po psiej czaszce, nie wyrządzając większej szkody. Ale osiągnąłem swój cel. Zębiska kłapnęły w próżni, a furia brytana skierowała się przeciwko mnie.

Przez ułamki sekund mierzyliśmy się gniewnymi spojrzeniami. Przez pokłady koncentracji i zdenerwowania dotarł do mnie krzyk pani Leokadii.

— Karo, zostaw — wrzeszczała kobieta, ale jej polecenia nie docierały do rozjuszonego zwierzęcia.

Imię nie było dobrze dobrane. Ja zamiast Karo nazwałbym go Szatanem. Był agresywny, a poza tym piekielnie szybki.

Oczywiście w dalekiej przeszłości uczyłem się, jak radzić sobie z atakiem psów — i to nawet tych wyszkolonych. Ale moim problemem był brak treningu. Poza tym nie miałem na sobie nic oprócz podkoszulka i spodenek. Nic, co mogłoby mnie osłonić przed ostrymi kłami.

Przez głowę przelatywały mi słowa mojego wojskowego instruktora sztuk walki. Mówił na przykład, że szanse psa spadają w momencie, gdy przestaje stać na czterech łapach. Usiłowałem więc sprowokować go do wyskoku, ale był na to zbyt cwany. Zignorował moje wymachiwanie rękami i zaatakował mnie od dołu.

Psy mają nad człowiekiem kolosalną przewagę szybkości i prędkości reakcji. Na szczęście Karo nie był dobermanem albo reprezentantem innych najgroźniejszych ras. Pani Leokadia musiała go przy tym dobrze karmić, bo jego ruchy spowalniał odłożony w bokach tłuszcz. Tylko dzięki temu udało mi się umknąć z linii natarcia. Odbiłem się od ziemi najmocniej jak umiałem i przeskoczyłem nad atakującą

bestią, opadając na tylną część jej ciała.

Gdybym nieco lepiej wymierzył swój skok, być może udałoby mi się złamać psu kręgosłup. Opadłem jednak nieco za daleko i tylko prześlizgnąłem się po jego pośladvach i ogonie. Ale i tak byłem z siebie zadowolony. Udany manewr sprawił, że zwierzę nabrało do mnie nieco szacunku i część jego początkowej agresji została wyparta przez rozwagę.

Bestia obróciła się błyskawicznie, ale jej drugi atak pozbawiony był już początkowej pasji. Umknąłem przed zębami i wymierzyłem kopniaka. Celowałem oczywiście w nos, czyli najsłabszy punkt psiej rasy, ale moja stopa trafiła w szczękę. Towarzyszył temu nieprzyjemny dźwięk uderzenia zębami o zęby.

Chociaż trudno mi było w to uwierzyć, to Karo musiał być na ogół dość bojaźliwym zwierzęciem. Mój kopniak pozbawił go znacznej części krwiożerczych zamiarów. Zaprzestał ataków i teraz tylko na mnie powarkiwał, a jego boki unosiły się w ciężkim oddechu. Ale gdy próbowałem się wycofać, natychmiast do mnie przypadł. Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie, trzymając się wzajemnie w szachu. Z nienawiścią wpatrzyłem się w przekrwione oczy brytana i obiecałem sobie, że jeszcze dzisiaj trafi do schroniska. Miałem nadzieję, że inne psy zrobią mu to, co robi się nowo przybyłym w najcięższych kolumbijskich więzieniach.

Na samym skraju swojej świadomości usłyszałem za plecami odgłos tratowanych krzaków. Zgadłem, że to dryblas rzucił się do ucieczki. To przypieczętowało los śledzącego każdy mój ruch czworonoga. Tym razem trafiłem idealnie w nos, posyłając psa na ziemię. Chciałem poprawić drugą nogą, ale podniósł się i zniknął w krzakach, piszcząc jakby z urazą. Byłem tak ześlony, że w innej sytuacji popędziłbym za nim, ale teraz liczyła się dla mnie tylko leżąca wciąż w trawie Kamila.

— Nic ci nie jest? — Przypadłem do niej i z niepokojem przyglądałem się jej pobladłej twarzy, szukając śladów po gryzieniu.

— Jestem chyba cała — odpowiedziała natychmiast słabym głosem.

— Nie ruszaj się, zadzwonię po karetkę!

Sięgnąłem po telefon, ale pokręciła przecząco głową.

— Zadzwoń na policję — poprosiła. — Niech łapią tego chłopaka.

Zrozumiałem, że chodzi jej o dryblas. Słyszałem jeszcze jego oddalające się kroki. Przypomniałem sobie nasze wyścigi w Łazienkach.

— Nie potrzebuję policji — oznajmiłem. — Zaraz go tu przyprowadzę. — I zanim zdołała mnie powstrzymać, rzuciłem się w pogoń.

Zdałem sobie sprawę, że dryblas uciekał przede mną nie drugi, lecz już trzeci raz. Za pierwszym razem widziałem tę sylwetkę w środowy wieczór obok parku, w którym podsłuchiłem rozmowę Jana Hołowni z panem Leopoldem. Kamila usiłowała go wtedy gonić radiowozem, ale rozpląnął się w mroku.

Tym razem był środek dnia, więc uciekinier nie mógł się przede mną ukryć. Przez cały czas widziałem go jak na dłoni. Przesadził płot i popędził wzdłuż ściany lasu w kierunku rozciągających się dalej pól, pastwisk i nieużytków. W tamten rejon nie trafiła jeszcze deweloperka, więc pola mojego wzroku nie ograniczały domki, ogrodzenia czy zaparkowane samochody.

Nie miał ze mną szans i chyba zdawał sobie z tego sprawę, gdyż nie biegł tak szybko, jak z pewnością potrafił. Przygoda z Łazienek pozostawiła na jego psychice trwałe blizny. Kiedy zobaczył, że tak szybko poradziłem sobie z psem, na moment stracił rytm biegu i o mały włos się nie wywrócił. Gdy walczył o utrzymanie równowagi, nadrobiłem do niego kolejnych kilka metrów. Po chwili niemal dyszałem mu w kark.

— Stój, sukinsynie! — krzyknąłem, a gdy się nie zatrzymał, rzuciłem się na niego jak zawodnik futbolu amerykańskiego zaliczający tak zwane *tackle*. Złapałem go za korpus i razem runęliśmy na skopaną ziemię.

Nie wierzyłem, by chłopak był mordercą Mateusza i pana Leopolda. Ale wiedziałem, że z niejasnych powodów przebywał wtedy w szkole i nie zgłosił się później na policję, a matka usunęła z miejsca zbrodni jego odciski palców. Poza tym miałem świeżo w pamięci atak gazurką na Aśkę i poszczucie psa na Kamilę — przez niego obie moje koleżanki znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie i tylko cudem

uniknęły poważniejszych obrażeń. Ze względu na sytuację rodzinną mam niewiele koleżanek, ale te, które mam, bardzo cenię. Jednak to nie dlatego na widok jego prymitywnej, tępej gęby ogarnęła mnie ślepa furia.

Moją złość wywołało wspomnienie posiniaczonej twarzy Marzeny. Nienawidziłem damskich bokserów, a w tym przypadku poszkodowaną była moja ulubiona uczennica.

— Wstawaj — rzuciłem zimnym tonem i nie czekając na jego reakcję, podniosłem go na nogi. — I się broń!

Przyjął postawę bokerską, ale w jego oczach zalśniły łzy trwogi. Nie żałowałem go nawet przez sekundę. Jego wygląd, jego ubiór, jego staranna fryzura — wszystko to budziło we mnie najciemniejsze instynkty. Miałem ochotę rozerwać go na strzępy. Z największym trudem powstrzymałem się od ponownego obalenia go na ziemię. Zamiast pobić go do nieprzytomności, wyprowadziłem tylko lekki cios, który trafił go w lewy łuk brwiowy.

Z rozciętego łuku popłynęła krew, zalewając mu oczy. Natychmiast zapomniał o swej niepewnej gardzie i podniósł dłonie do miejsca, w które go trafiłem.

— Niech pan mi nie robi krzywdy — załkał, z przerażeniem wpatrując się w zakrwawione dłonie. — Proszę, ja nic złego nie zrobiłem!

Nie chciało mi się tłumaczyć, że jednak zrobił coś złego. W ogóle nie chciałem z nim rozmawiać. Czułem do niego tylko wstręt. Dlatego zamiast mówić, uderzyłem go drugi raz, tym razem w usta. Nie włożyłem w ten cios dużo siły, ale i tak po chwili wypluł na dłoń ułamany ząb.

— Proszę, panie profesorze — zakwilił, a ja pod wpływem użytego przez niego tytułu poczułem się tak, jakbym udzielał lekcji.

— Dostałeś za Kamilę i za Aśkę — powiedziałem grobowym tonem. — Za Marzenę ci nie przyłożę, bo musiałbym cię zabić. Wiesz, dlaczego tego nie zrobię? Bo szkoda mi twojej matki. Świadomość, że się wyhodowało takiego zgniłka... To musi być straszne.

Wykręciłem mu rękę i powiodłem z powrotem na podwórko. Kamila wyciągnęła z torebki kajdanki i skuła mu nadgarstki. Pani

Leokadia nie chciała na to patrzeć i wstrząsana szlochem zniknęła w czeluściach domu.

— Nic ci nie jest? — spytała mnie Kamila, gdy już unieruchomiła zakrwawionego dryblasa. — Przecież się biliście.

— Ujmijmy to w ten sposób: stawiał opór — uśmiechnąłem się do policjantki, a potem podszedłem do Marzeny. — Już wszystko w porządku — powiedziałem uspokajającym tonem, a ona znów się rozpląkała.

Uznałem, że nie ma jej co dalej męczyć. Chciałem jej zamówić taksówkę, ale Kamila się sprzeciwiła.

— Sami ją odwieziemy, ale musimy najpierw poczekać na policję. A przez ten czas może wreszcie wszystkiego się dowiem.

— Ale spójrz, ona ma już dosyć — wskazałem na Marzenę, lecz ona niespodziewanie otarła oczy i się uspokoiła. Była twardsza niż myślałem.

A potem usiadła na schodkach werandy i przez chwilę szukała odpowiednich słów, co jakiś czas spoglądając w kierunku pobliskich krzaków. W ich cieniu — bo postanowiliśmy być humanitarni — czekał na przyjazd radiowozu jej były chłopak, ponuro wpatrujący się w zdobiące jego przeguby kajdanki.

— Z Maćkiem Stopką poznałam się trzy miesiące temu — zaczęła wreszcie, a my zamieniliśmy się w słuch.

*To nie była miłość od pierwszego wejrzenia. Marzena występowała w siatkarskiej ekstraklasie, a Maciek był ochroniarzem w legionowskiej Arenie, gdzie drużyna Legionovii rozgrywała swoje mecze. Widywali się przelotnie przed zawodami i po nich i w pewnym momencie chłopak zdał sobie sprawę, że jeszcze nie widział tak pięknej dziewczyny, jak smukła zawodniczka w trykocie z numerem dwanaście. Jednak ona nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Przez długi czas kombinował, jak się do niej zbliżyć, aż wreszcie pomógł mu przypadek.*

*Pewnego dnia po przegranym meczu zaczepił Marzenę w wejściowym hallu podchmielony fan. Nie był nawet jakoś przesadnie agresywny, ale śmierdział przetrawionym alkoholem i stojąc, blokował jej przejście. Marzena była młoda i nieśmiała — nie umiała sobie radzić*

*z takimi osobnikami i w pewnym momencie poczuła się osaczona.*

*— Niech pan da mi spokój! — wrzasnęła i to jej krzyk ściągnął stojącego w innej części obiektu Maćka. Trzeba mu przyznać, że przybiegł jak na skrzydłach.*

*— Zostaw panią — ryknął na pociesznego grubaska, który wypił o jedno piwo za dużo i chciał po prostu pogadać z oklaskiwaną przed półgodziną dziewczyną. — No już! — Pchnął nie stawiającego oporu mężczyznę na ścianę i rzucił się na niego z pięściami.*

*— Proszę, przestań! — krzyknęła z kolei Marzena, osłaniając przerażonego grubaska własnym ciałem. — On nie zrobił nic takiego, by go bić!*

*Maciek powstrzymał się z wyraźnym trudem.*

*— Sorry — powiedział, wpatrując się w swoje bóstwo. — Gdy zobaczyłem, że chodzi o ciebie, zupełnie straciłem głowę.*

*Te proste słowa kompletnie ją rozbroiły. Przyjrzała mu się po raz pierwszy i odniosła wrażenie, że pod jego szorstką osobowością i niezbyt inteligentną twarzą może kryć się ktoś wyjątkowy. Na jej usprawiedliwienie można było powiedzieć tylko tyle, że była młoda i głupia. Nie zwracając uwagi na różnicę wieku oraz jego — słyszalny już po kilku zdaniach — prymitywizm, dała się zaprosić na wspólny spacer. Poczekała przez chwilę, aż załatwi sobie zastępstwo, i razem opuścili budynek hali sportowej.*

*Na dworze dął zimny wiatr, w którym wirowały drobinki śniegu. Temperatura powietrza oscylowała w granicach zera stopni, więc drobinki te roztopiały się na ziemi, tworząc błoto i wielkie kałuże. Po kilkuset metrach spaceru połączonego z drętwymi próbami rozmowy była tak zmarznięta, że miała już dosyć. Zlitowała się nad zestresowanym chłopakiem i zaprosiła go do kawiarni na ciacho i herbatę.*

*Następne minuty dłużyły się niczym godziny. Chłopak należał do małomównych. Marzena odniosła wrażenie, że wynikało to z jego nieśmiałości, ale tak naprawdę po prostu nie miał niczego ciekawego do powiedzenia. Dlatego kiedy się zaoferował, że odprowadzi ją do domu, zgodziła się bardzo niechętnie.*

*Przechodzili obok gimnazjum przy Królowej Jadwigi, kiedy usłyszeli przeciągły gwizd. Z ustawionej pod jednym z bloków ławeczki*

*podniosło się dwóch wyrostków. Zbliżyli się chwiejnym krokiem i Marzena zdała sobie sprawę, że byli kompletnie pijani. Miała już dość awantur jak na jedno popołudnie, ale na szczęście byli usposobieni pokojowo. Okazało się, że są znajomymi Maćka.*

*— Stary, chodź na piwko — przekrzykiwali się, zupełnie nie zauważając obecności dziewczyny.*

*— Innym razem — odparł twardo Maciek. — Teraz jestem zajęty — dodał i wyminął kolegów, ciągnąc Marzenę za sobą.*

*Osiemnastoletnie dziewczyny przykładają dużą wagę do tego, w jaki sposób chłopaki traktują je w obecności swoich znajomych. Marzena nie była inna. Maciek zdał ten test śpiewając, pokazując, że jest dla niego ważniejsza niż oni. Spojrzała na niego nieco cieplejszym wzrokiem i zaczęła sobie wmawiać, że wcale nie głupi i prymitywny. Powiedziała sobie to, co mówiło już przedtem w takich sytuacjach przynajmniej miliard innych kobiet: „Na pewno zmienię go na lepsze!”. Tak przywiązała się do tej myśli, że pod domem odruchowo go pocałowała.*

*Nie spotykali się codziennie. Marzena wiodła bardzo aktywne życie, w którym musiała znaleźć miejsce na naukę, siatkówkę, liczną rodzinę, licznych kolegów i jeszcze liczniejsze koleżanki. Maciek miał dużo więcej czasu, bo niedługo potem zwolniono go z pracy. Początkowo czatował pod jej domem i starał się spędzać z nią każdą jej wolną chwilę, ale od pewnego dnia — po spięciu z jednym z jej braci, którzy nie pałali do niego sympatią — wolał się spotykać na mieście. Marzenie całkiem taki układ odpowiadał. Nie chciała widywać go zbyt często. Zgoda, był jej chłopakiem, ale tak do końca nie była przekonana, czy go lubi. Aby zrozumieć jej podejście, należałoby na pewien czas wrócić do okresu dojrzewania...*

*Widywali się raz, dwa razy w tygodniu. W Legionowie nie było kina, więc najczęściej szli do kawiarni. Kiedy Maciek stracił pracę i zaczęło mu brakować pieniędzy nawet na jedno ciastko i jedną szklankę herbaty — bo Marzena konsekwentnie płaciła za siebie — zaczęli częściej spędzać czas na spacerach. Niekiedy zachodzili też do niego do domu. Marzena polubiła jego spracowaną matkę, a po kilku wizytach opanowała też lęk przed agresywnym, regularnie drażnionym przez*

chłopaka brytanem.

*Wszystko potoczyłoby się pewnie zupełnie inaczej, gdyby nie pewien psychiczny feler Maćka, któremu rzadka częstotliwość spotkań wybitnie nie odpowiadała. Choć był o cztery lata starszy od niej, to nie był nawet w jednej trzeciej tak dojrzały. Już po kilku tygodniach znajomości w trzewiach rozlała mu się groźna choroba. Na imię było jej zazdrość.*

*Nienawidził wszystkich facetów, z którymi miała jakąkolwiek styczność. Zaczęło się od scysji z jej trenerem, ale to był wielki facet i Maciek nie miał z nim najmniejszych szans. Dlatego przerzucił się na jej kolegów. Miał tyle zdrowego rozsądku, że nie zaczął ich przy niej, wybierając ustronne miejsca i późną porę. Nie próżnował — w przeciągu dwóch miesięcy w wyniku jego bokserskiej aktywności czterech jej kolegów dostało w dziób.*

*Coraz częściej nadużywał też alkoholu. Nie znaczy to, że wcześniej był abstynentem, ale zawsze traktował piwo czy wódkę jako dodatek do towarzystwa. Teraz zaczął pić sam. Nie chciał przy tym marznąć, więc w zimowe dni „pożyczał” klucze od pracującej w szkole matki i zaszywał się w ciepłych wnętrzach liceum, które po dwóch latach męczarni zamienił na zawodówkę. Szczególnie upodobał sobie zagraconą kanciapę na drugim piętrze. Leżały tam materace gimnastyczne, więc zawsze mógł się trochę zdrzemnąć.*

*Całymi dniami nie miał nic do roboty, więc jego ulubioną rozrywką stało się śledzenie swojej dziewczyny. Marzena dwukrotnie go na tym złapała i za drugim razem o mały włos nie skończyło się to zerwaniem. Maciek wziął ją wtedy na litość, ale wcale nie zaniechał swoich mrocznych praktyk. Po prostu od tego czasu bardziej się pilnował, żeby go nie zauważyła.*

*Śledzenie Marzeny narażało go na katusze. Dziewczyna była ładna, a przy tym bardzo towarzyska, więc zawsze kręciło się wokół niej mnóstwo chłopaków. Wszystkich traktowała jednak po kumpelsku i był nawet w stanie przejść nad tym do porządku dziennego, podobnie jak pogodził się z tym, że nie chciała z nim na razie iść do łóżka. Najbardziej irytowało go jej uwielbienie, jakim darzyła starszych mężczyzn. Czy był to jej trener siatkówki, czy nauczyciel... Maciek miał ochotę obedrzeć ich*



wszystkich ze skóry.

*To nie było tak, że Marzena była lolitką, której podobali się dojrzałym mężczyźni. Po prostu wychowała się w gronie starszych braci, a na dziesiątkach obozów, zgrupowań i „kadr” też miała zazwyczaj do czynienia z nieco od niej starszym towarzystwem. Poza tym często czuła zmęczenie młodzieńczymi wybrykami Maćka i swoich kolegów-rówieśników. Lubiła sobie pogadać z nauczycielami, a jej największą estymą cieszył się Mateusz.*

*Nauczyciel geografii nie był człowiekiem zbyt przystępnym, ale sam miał dwie córki, które uprawiały sport, więc umiał rozmawiać z dziewczynami takimi jak Marzena. Oczywiście w ich kontaktach nie było nic niewłaściwego. Spotykali się wyłącznie w szkole, rozmawiając czasem podczas przerw i zajęć kółka geograficznego, na które uczęszczała. Maciek przywodził ich właśnie po zajęciach tego kółka, kiedy zaśmiewając się, wychodzili razem ze szkoły. Rozpoznał w Mateuszu nauczyciela geografii, o którym nieświadomie wspomniała mu kiedyś Marzena, i w mgnieniu oka zapalał do niego śmiertelną nienawiścią.*

*Pomny swojej niechlubnej scysji z trenerem Legionovii, tym razem postanowił nie działać sam. Namówił dwóch młodszych kolegów i zaatakował go po raz pierwszy w jednej z ciemnych uliczek. To, że nauczyciel szedł z kobietą (w której rozpoznał nauczycielkę języka polskiego), nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Pewnie dobrałby mu się do skóry, gdyby w ostatniej chwili nie napatoczył się inny pracownik liceum, wuefista Marek Walczewski. Po krótkiej szamotaninie musieli ustąpić mu pola i salwować się ucieczką. Na szczęście ich nie gonił.*

*Maciek długo lizał rany po tym niepowodzeniu. Pił jeszcze więcej niż zwykle, a z Marzeną zaczął się spotykać nawet rzadziej niż raz w tygodniu. Ale im mniej ją widział, tym bardziej wariował. I kiedy któregoś wieczoru natknął się w budynku szkoły na szykującego się do snu Mateusza, postanowił rozprawić się z nim własnoręcznie.*

*Była już druga połowa maja, więc zamiast pod dachem, mógł przesiadywać z butelką pod gołym niebem. Na miejsce swoich codziennych seansów wybrał sobie ławkę naprzeciwko wejścia do szkoły. Przez kilka dni nie mógł zdobyć się na odwagę, ale któregoś dnia wypił*

*trochę więcej i wreszcie się ośmielił. Wszedł do szkoły, odnalazł Mateusza i zanim ten zdążył się o cokolwiek zapytać, uderzeniem pięści podbił mu oko. A potem uciekł i pełen zadowolenia wrócił do domu.*

*Bomba wybuchła następnego dnia. Siedział sobie w swoim pokoju z Marzeną i próbował ją uprosić, by go nie skreślała, kiedy do domu jak z procy wpadła matka. Jej mina nie wróżyła nic dobrego. Już od progu wykrzyczała, że geograf nie żyje, i zaczęła się dopytywać, kiedy ostatnio przebywał w „swojej” kanciapie.*

*Pod wpływem szoku chłopak pękł i opowiedział o wszystkim. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy nauczyciel nie zginął od jego uderzenia, ale potem przypomniał sobie o tym, że znaleziono go powieszzonego. W pewnym momencie przeraził się nie na żarty, bo doszedł do wniosku, że policja znajdzie na miejscu zbrodni jego ślady. Oczami wyobraźni zobaczył się za więziennymi kratami.*

*— Butelki wytarłam — uspokoiła go matka. — A reszta śladów? W tej szkole uczy się kilkaset dzieci i każde z nich zostawia jakieś ślady.*

*Marzena przez cały czas ich rozmowy po cichu płakała. Oplakiwała Mateusza, ale płakała też nad sobą. Nie chciała, by się rozniosło, że prowadziła się z chłopakiem oskarżonym o morderstwo. Jej myśli wędrowały dziwnymi ścieżkami, ale na koniec obiecała sobie, że zrobi wszystko, żeby obecność Maćka w szkole nigdy nie wyszła na światło dzienne.*

*Pożałowała tego już następnego dnia. Na jednej z przerw dowiedziała się od tajemniczego nauczyciela historii, pana Tomka, że ten znajduje się na tropie sprawcy i nie ustanie w wysiłkach, by go schwytać. W przyływie złości powiedziała o tym po południu Maćkowi, podkreślając przy tym determinację i inne zalety drugiego ze swoich ulubionych nauczycieli. Liczyła, że chłopak się przestraszy i wreszcie pojmie konsekwencje swojej zazdrości, ale on odzyskał już animusz i niespodziewanie oznajmił, że zamknie historykowi usta. Nie zdążyła go powstrzymać — wszedł ze swojego domu i udał się na poszukiwanie nauczyciela.*

*Następnego dnia nie był zbyt rozmowny, ale wyciągnęła od niego, że jego nocna misja w Warszawie zakończyła się porażką. Podobno śledził pana Tomka po całym mieście, aż wreszcie musiał przed nim*

*uciekać w Parku Łazienkowskim. Przerażeniem nappełniło ją to, że przy okazji tej ucieczki ucierpiała towarzysząca nauczycielowi kobieta. Wieczorem tego dnia stanęła przed lustrem i ze zdziwieniem spytała samą siebie, dlaczego spotyka się z takim głupkiem i szaleńcem.*

*Postanowiła z nim zerwać i zabrała się za to następnego dnia. Zamiast iść do szkoły, zastukała do jego domu i wyciągnęła go z łóżka. A potem ponad trzy godziny klarowała mu, że już nigdy nie będą razem, nie oszczędzając mu przy tym wyrzutów i pretensji. Trzymał się dzielnie do momentu, w którym wspomniała o jednym ze swoich kolegów. Wtedy wpadł w szal i zaczął ją szarpać i bić.*

*Uciekła na cmentarz, na którym spotkała pana Tomka. Gdy opowiedziała mu o tym, co zaszło, dostrzegła w jego jasnych oczach brutalny wyraz. Zawsze miała go za stoika, więc ta agresja trochę ją zdziwiła. Przez chwilę żałowała, że nie ma tu gdzieś obok Maćka, ale kolejny rzut oka na nauczyciela historii sprawił, że postanowiła załatwić sprawę za pośrednictwem braci, bo „pan profesor” mógłby być zbyt brutalny. Miała pełne prawo, by byłego chłopaka nienawidzić, ale nie pragnęła jego śmierci...*

*Następnego dnia spała do południa, a potem zaczęła się pod jego domem. Kiedy wyszedł, wślizgnęła się do środka po swoją torebkę, którą zostawiła, uciekając przed jego napadem szalu. Spotkała panią Leokadię i przez chwilę razem ponarzekały. W pewnym momencie matka chłopaka wyszła przed domek. Jakiś czas później Marzena poszła w jej ślady i ku swojemu zdziwieniu zastała tam pana Tomka. A zaraz potem dostrzegła Maćka, szczującego go groźnym psem...*

Marzena urwała i zalała się łzami. Chciałem jej powiedzieć coś krzepiącego, ale mój głos został zagłuszony przez dźwięk policyjnej syreny. Po chwili przed posesją zatrzymał się radiowóz. Kamila podniosła się z trawy i potruczyła w jego kierunku.

Spodziewałem się wezwania na komendę, ale według słów jednego z funkcjonariuszy policja miała teraz ważniejsze sprawy na głowie. Wszystkie siły zaangażowane były w sprawę morderstwa pana Leopolda. Priorytety miejscowej policji łatwiej było zrozumieć, gdy odpaliło się internet. Dwie pierwsze informacje na największych

portalach dotyczyły — kolejność przypadkowa — nocnej potyczki z grupą przestępczą i zwłok odnalezionych przy wieliszewskich wodociągach. Jeszcze nigdy miejscowe siły porządkowe nie były na takim świeczniku. Przed godziną do pomocy skierowani zostali nawet słuchacze legionowskiego Centrum Szkolenia Policji.

Maciek został zabrany na dołek i po chwili zostaliśmy tylko w trójkę, bo pani Leokadia zabarykadowała się we wnętrzu domu. Trochę się obawiałem zostawiać ją samą, ale po chwili na posesji pojawiło się kilka zupełnie obcych mi osób. Okazało się, że byli to sąsiedzi, zwabieni zamieszczeniem i dźwiękiem policyjnej syreny. Z czystym sumieniem ustąpiliśmy im pola, zostawiając matkę zatrzymanego pod ich opieką.

Według polecenia najważniejszego z przybyłych na miejsce zdarzenia policjantów „Marchewka” miała niezwłocznie stawić się w komendzie. Kiedy odwieźliśmy Marzenę pod jej dom, wyciągnęła do mnie rękę. Chciała się pożegnać, ale ubłagałem ją, by jeszcze przez moment mi towarzyszyła. Wpadł mi bowiem do głowy pewien pomysł, do którego potrzebny był mi ktoś z policyjną legitymacją.

— Najwyżej piętnaście minut — obiecałem i wytłumaczyłem jej, dokąd chcę jechać. Po kilku minutach zatrzymaliśmy się pod niewielkim biurem lokalnej agencji ochrony.

Grubawy pracownik biura nie robił nam problemów. Przez chwilę szperał w szafie, po czym włożył odnalezioną w niej płytkę CD do laptopa.

— Nagranie z nocy z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty maja, tak? — upewnił się, a my zgodnie pokiwaliliśmy głowami.

— Od dwunastej w nocy — uściśliłem.

Skreślenie z listy podejrzanych uwiecznionego na wcześniejszym nagraniu dryblasza sprawiło, że zacząłem się zastanawiać, którędy dostał się do szkoły prawdziwy morderca. Oczywiście nie mogłem wykluczyć, że wślizgnął się do szkoły innym wejściem lub nawet przez uchylone okno. Albo że przebywał w budynku od zakończenia lekcji. Jednakże jeden szczegół nagrania z dryblasem w roli głównej zwrócił moją uwagę. Na filmie było pokazane, jak chłopak mocuje się z zamkiem, wchodząc do budynku, ale kiedy wychodził, nie zamknął drzwi na klucz. Po jego

wyjściu szkoła stała otworem. Dlatego wpadłem na pomysł, by sprawdzić, co działo się potem.

Nagranie, które przeglądałem wraz z Karolem, urywało się o północy. Według patologa zgon nastąpił około dwudziestej trzeciej, ale obejrzałem w życiu wystarczająco dużo filmów sensacyjnych, żeby wiedzieć, że takie wyliczenia mogły być nieprecyzyjne. Zapytana o to Kamila potwierdziła, że określenie dokładnej godziny śmierci było zazwyczaj praktycznie niemożliwe. Jeżeli zwłoki zostały odkryte dopiero następnego dnia, to margines błędu wynosił przynajmniej dwie godziny.

Miałem do siebie żal, że nie pomyślałem o tym wcześniej, ale pocieszałem się tym, że według słów Kamili nie wpadł też na to nikt z policji. Zadowoliliśmy się nagraniem od osiemnastej do dwudziestej czwartej, podświadomie ignorując wszystko to, co stało się później. Dlatego teraz z dużą nadzieją wpatrywałem się w niewielki ekran przenośnego komputera, czekając na jakiegokolwiek przejawy aktywności.

Przez kilka minut nie działo się nic. Kamera rejestrowała dobrze mi znany, skąpany w ciemnościach fragment muru z drzwiami wejściowymi do szkoły. Kamila kręciła się niespokojnie, co chwila zerkając na zegarek. Powinna już być w komendzie i każda minuta spóźnienia przyprawiała ją o katusze. Ale tylko do pewnego momentu. Nagle zastygła w bezruchu i drżącą ręką wskazała na czarno-biały obraz nagrania.

— Patrz — szepnęła przejętym tonem.

Przed budynkiem szkoły coś zaczęło się dziać. Najpierw mocnym światłem rozblysnął umieszczony nad wejściem reflektor, a potem w jego blasku jak mroczny cień przemknęła zgarbiona postać. Stało się to tak szybko, że nie zdążyłem jej się przyjrzeć. Nie minęła sekunda, a nie było po niej śladu.

— Można cofnąć? — poprosiłem napiętym tonem. Zaciekawiony ochroniarz przejechał po pasku kursorem i przewinął nagranie o pół minuty do tyłu.

Teraz wpatrywałem się jeszcze uważniej, ale czarny cień był tak szybki, że gdybym nie zwracał szczególnej uwagi na drzwi do budynku, to nie zauważyłbym momentu, w którym w nich zniknął. Kamila, która

nie miała wzroku tak dobrego jak ja, odniosła wrażenie, że rozplynął się w powietrzu.

— Teraz — wskazałem jej palcem znikającą postać, kiedy oglądaliśmy ten fragment nagrania po raz trzeci. — Widziałaś?

— Widziałam — odpowiedziała niepewnie. — Nie sądziłam, że mordercą jest kaleka.

Popatrzyłem na nią zdziwiony.

— Kaleka? — spytałem i nagle mnie olśniło. — Chodzi ci o jego garb? To worek! Niski, skulony mężczyzna z workiem na ramieniu — wyjaśniłem i poprosiłem ochroniarza, by jeszcze raz odtworzył nagranie. Tym razem obejrzelśmy je w stop-klatce i wreszcie mogliśmy przyjrzeć się mordercy Mateusza.

Był niewielkiego wzrostu i poruszał się jak komandos. Z niejakim zdziwieniem stwierdziłem, że w pewnym sensie jest bardzo podobny do mnie. Ja też się tak ruszałem i też byłem kurdupłem. Tylko że na ogół nie biegałem z workiem. I nie mordowałem niewinnych ludzi.

— Co on ma w tym worku? — spytała Kamila.

Przed chwilą też się nad tym zastanawiałem. Odpowiedź nasuwała się sama.

— Linę — stwierdziłem pozornie spokojnym głosem, ale tak naprawdę z trudem tłumiełem wzburzenie. — Linę, na której chwilę później powiesił Mateusza. Trudno o bardziej przekonujący dowód morderstwa z premedytacją.

Obejrzelśmy ten fragment nagrania jeszcze dwa razy. Ciąg białych cyferek w rogu ekranu wskazywał, że morderca pojawił się w budynku szkoły dokładnie dziewięć minut po północy.

— Może zobaczymy, czy się nagrało, jak wychodzi?  
— zaproponował ochroniarz, nieudolnie tłumiąc zaniepokojenie.

Nie przyspieszaliśmy filmu, tylko oglądaliśmy go w czasie rzeczywistym. Kamili przestało się spieszyć do komendy. W te kilka minut pchnęła śledztwo do przodu bardziej niż wszyscy jej koledzy razem wzięci przez całe przedpołudnie. Wślepialiśmy się w ciemny ekran tak intensywnie, że zaczęły nam łzawić oczy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że gdzieś tam, za kurtyną mroku, rozgrywa się właśnie dramat mojego kolegi...

Dramat ten trwał niecałe piętnaście minut, a w każdym razie po takim czasie morderca pojawił się z powrotem w drzwiach szkolnego budynku. Worek na jego plecach wydawał się lżejszy, podobnie jak lżejszy wydawał się jego krok. O ile na poprzednim fragmencie filmu zdawał się płynąć, o tyle teraz prześlizgiwał się po czubkach fal.

— A to... — zakląłem w myślach, spoglądając, jak znika w mroku. Do szewskiej pasji doprowadziła mnie myśl, że nie wygląda jak człowiek, który ma krew na rękach, tylko raczej jak ktoś, kto zrzucił przygniatający go ciężar. Gdybym go teraz spotkał, zostałaby z niego mokra plama.

Gdy ja walczyłem z falami zalewającej mnie wściekłości, Kamila intensywnie wpatrywała się w ekran laptopa.

— Niech pan jeszcze cofnie — poprosiła ochroniarza, nie odrywając wzroku od obrazu. — Teraz powoli... i stop! — krzyknęła, a pracownik agencji posłusznie wcisnął pauzę. — Popatrz! — Trąciła mnie w ramię z taką siłą, że chyba zrobiła mi siniaka. — Poznajesz?

W centralnej części zatrzymanego obrazu zastygł w bezruchu morderca. Ubrany był w skórzaną kurtkę, a w świetle reflektora wyraźnie było widać staromodny kaszkiet, wieńczący jego krótko ostrzyżoną (lub łysą) głowę.

Wysiliłem pamięć.

— Mężczyzna z cmentarza? — zapytałem niepewnie, a ona pokiwała z entuzjazmem głową.

— Tak jest! — potwierdziła. — Nie mam wątpliwości. Szerokie bary, ciemna kurtka i ta śmieszna czapka. To na pewno on. Och, Tomek... Byliśmy wtedy tak blisko!

Z tonu jej głosu wyczułem, że była rozczarowana, iż nie złapaliśmy go wtedy, na cmentarzu. Jej rozczarowanie zniknęło niczym płomień zdmuchniętej świecy w momencie, gdy przypominałem jej, że spotkanie z nim mogłoby się dla nas skończyć tak, jak skończyło się dla pana Leopolda, po którym został tylko fragment okularów. Byłem bowiem pewien, że morderca porwał starego matematyka z jego własnej działki w Popowie, zwabiwszy go tam uprzednio pod jakimś błahym pozorem. Być może, gdy podnosiłem z murawy zgruchotaną oprawkę, gdzieś z zarośli śledziły mnie złe oczy mordercy...

Wizja była tak sugestywna, że aż się wzdrygnąłem. Niestety nigdy się nie dowiedziałem, czy była prawdziwa. Nie dowiedziałem się też, gdzie przetrzymywany był pan Leopold przed śmiercią. Ale to było przecież mało istotne.

— Słuchaj, Tomek, ja naprawdę muszę już iść — powiedziała Kamila, wyrywając mnie z zamyślenia. — Jak nie dostarczę im zaraz tej płytki, to być może ominie mnie nagroda.

Mimowolnie się zaśmiałem.

— Mam nadzieję, że się ze mną podzielisz. — Mrugnąłem do niej okiem, a potem spowaźniałem. — Fajnie się z tobą pracowało. Mam nadzieję, że po twojej służbie zdołamy go wytropić.

— Nie liczyłabym na to — pokręciła głową. — Teraz, gdy mamy tak wyraźne nagranie, bez problemu potwierdzimy jego tożsamość. Schwywanie go to kwestia kilku godzin. Jak skończę służbę, to pójdziemy na kolację, bo morderca będzie już za kratkami.

Nie podzielałem jej pewności. Życzyłem policji jak najlepiej, ale w postaci z nagrania rozpoznałem profesjonalistę. Instynktownie przeczuwałem, że za morderstwami kryje się tajemniczy Jarek. Nie wiedziałem, czy był na wolności, nie znałem też jego motywu, ale odziedziczony po babci szósty zmysł jednoznacznie wskazywał na mordercę z Lichenia. Nie sądziłem, że szalony mężczyzna tak od razu da się złapać. W końcu poprzednim razem ukrywał się przez ładnych kilka dni, chociaż mundurowi mieli wszystkie jego dane, łącznie z numerem buta i marką samochodu, którym się poruszał.

Gdy powiedziałem o tym dziewczynie, ta tylko machnęła ręką.

— Lada chwila nasi analitycy wydobędą z baz danych wszystko o tym twoim Jarku. Jeżeli to on, to nie daję mu najmniejszych szans. W obławie weźmie udział pół mazowieckiej policji.

A potem cmoknęła mnie w policzek, zniknęła w samochodzie i po chwili wtopiła się w ruch uliczny.

Do domu miałem stąd z półtora kilometra. Ruszyłem leniwym spacerem, trochę żałując, że mój udział w polowaniu na mordercę uległ czasowemu zawieszeniu. Przez moment rozważałem wycieczkę do Popowa, ale stwierdziłem, że na pewno natknę się tam na mundurowych, którzy natychmiast mnie stamtąd pogonią. Postanowiłem więc porzucić



swoje prywatne śledztwo i wreszcie pobawić się z synem.

Byłem już w połowie drogi do domu, gdy zadzwonił mój telefon. Dzwonił Karol, ale kiedy się upewniłem, że nie chodzi mu o nic konkretnego i chce po prostu pokłapać dziobem, przeprosiłem go i obiecałem, że oddzwonię do niego później. Nie miałem ochoty na długie pogawędki o niczym. Zerknąłem na wyświetlacz telefonu i zobaczyłem trzy nieodebrane połączenia. Wszystkie były od Aśki.

Wybrałem w pośpiechu jej numer. Odebrała niemal od razu.

— Przepraszam, miałem wyciszony telefon — usprawiedliwiłem się, bo dźwięk wyłączyłem jeszcze na komisariacie w Sompolnie.  
— Dawno dzwoniłaś?

— Z pół godziny temu — odpowiedziała z lekką urazą. — Pewnie wylegiwałeś się do południa. Przyjedziesz po mnie?

Zakląłem w duchu, gdyż przypomniało mi się, że jej to obiecałem. Podróż do Warszawy była ostatnią rzeczą, której pragnąłem, ale głupio mi się było wycofać. Zwłaszcza że miałem kluczyki do jej samochodu.

— Będę za pół godziny — obiecałem z fałszywym entuzjazmem, zmieniając jednocześnie kierunek marszu, aby trafić pod szkołę, gdzie zostawiłem jej samochód. — Nie, naprawdę nie ma problemu — dodałem, krzyżując odruchowo palce.

Powlokłem się pod szkołę i wskoczyłem do jej małego opla. Odkręciłem szyby i wpuściłem do środka dużo świeżego, wiosennego powietrza. A potem uruchomiłem odtwarzacz płyt CD i pomknąłem do Warszawy, wsłuchując się w skoczne dźwięki piosenek wykonywanych przez Ewę Farną. Gdy dojechałem na Litewską, byłem w już w całkiem dobrym humorze.

Wbiegłem do wnętrza szpitalnego budynku i natknąłem się na nią tuż przy drzwiach. Wyglądała jak chodzący okaz zdrowia.

— Jak się czujesz? — uścisnąłem ją na przywitanie, ale nie odwzajemniła mojego uścisku.

— Dobrze — powiedziała sucho. — Szkoda, że pytasz dopiero teraz.

Wyczułem, że ma do mnie żal. Wczoraj zadzwoniłem do niej tylko raz i nie rozmawiałem z nią dłużej niż kilka minut. Niemal przez cały czas byłem zajęty podążaniem tropem mordercy, ale przecież nie mogła

o tym wiedzieć. Poczulem nawet coś na kształt wyrzutów sumienia, bo w końcu wyładowała w szpitalu w związku z ciosem, który miał osiągnąć mnie.

— Nie gniewaj się na mnie — powiedziałem skruszonym tonem.  
— Byłem strasznie zajęty.

— Domyślam się — przerwała mi z przekąsem, po czym przybrała tak obrażony wyraz twarzy, że moje wyrzuty sumienia odeszły w niepamięć.

— Słuchaj, Aśka, wczoraj miałem tak zwariowany dzień, że nawet nie wiem, od czego by tu zacząć — powiedziałem gniewnie. — Rano szarpałem się z rodzicem, który okazał się szefem miejscowej mafii, potem się dowiedziałem o aresztowaniu mojego dyrektora, potem przesłuchiwałem na polecenie dyrektorki połowę nauczycieli z naszej szkoły, potem byłem na cmentarzu, w mieszkaniu szaleńca i na sushi, gdzie spotkałem się z Burzyńską. A na koniec dnia wziąłem udział w strzelaninie z połową legionowskich bandziorów. I to tak w skrócie, bo mógłbym jeszcze opowiedzieć ci o mojej wizycie w USC, analizie nagrań z kamery przemysłowej i spotkaniu z rodzicami Szymona Pełki, które też o mały włos nie zakończyło się strzelaniną. A dzisiaj... — chciałem opowiedzieć o Sompolnie, o śmierci pana Leopolda i zatrzymaniu syna szkolnej woźnej, ale obcesowo mi przerwała.

— Ja wszystko rozumiem — powiedziała, wciąż odwracając wzrok. — Ale po tym wszystkim, co stało się w czwartek, sądziłam, że znajdziesz chociaż trochę czasu, by mnie odwiedzić. W ogóle się o mnie nie martwiłeś?

Przez chwilę sądziłem, że pod pojęciem „tego wszystkiego, co stało się w czwartek”, kryją się zdarzenia sprzed knajpy, czyli atak gazurką, mój unik i jej obrażenia. Ale nagle coś mnie tknęło. Zrozumiałem, że dziewczyna wcale nie myśli o przemocy, której byliśmy świadkami. Jej chodzi nie o to, co wydarzyło się przed knajpą, tylko o to, co wydarzyło się w jej wnętrzu. W środku. Kolacja przy świecach, ciepła rozmowa i romantyczny taniec, podczas którego nasze ciała stopiły się w jedno...

— Nie — jęknąłem, gdyż najwyraźniej stało się coś, czego zwykle z całych sił unikałem. — Nie mów, że jesteś we mnie zakochana.

— W moim głosie było tyle błagalnych nut, że przestała uciekać wzrokiem w bok i popatrzyła mi prosto w oczy.

W jej spojrzeniu znalazłem wszystko to, czego się obawiałem. Patrzyła na mnie takim wzrokiem, jak kiedyś przyglądała mi się Aldona. Nie mogłem tego znieść.

— A tobie w ogóle na mnie nie zależy? — wyszeptała, a w jej oczach zaszklily się łzy.

Od tylu lat mieszkalem tylko z teściową i synem, że moi znajomi przyzwyczaili się już do mojej samotności i nie zadawali mi kłopotliwych pytań. Nie wiedziałem, co roiło się w ich głowach, i szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to interesowało. Kiedyś za język próbowali mnie pociągnąć Karol i Marek. Ten drugi w przypiływie alkoholowej szczerości wyznał mi, że gdyby nie syn, to podejrzewałby, że jestem pedałem. Puściłem jego niedelikatne wyznanie mimo uszu i prawie nikomu nie zdradziłem, na czym polega mój wstydlivy sekret.

Jedyną osobą ze szkoły, która wszystko o mnie wiedziała, była Aldona. Zaufałem jej i nigdy się nie zawiodłem na jej dyskrecji. Rozmawiała ze mną wielokrotnie i wielokrotnie zadawała mi pytanie, co zamierzam, ale ja nigdy nie umiałem udzielić jej jednoznacznej odpowiedzi. Nie wiedziałem, jak w obliczu mojej tragedii ułożyć sobie życie.

Właśnie dlatego, że wiedziała, jak mi ciężko, nie mogłem jej darować tego, co stało się w Szklarskiej Porębie. Miałem w nosie jej uczucia i to, co do mnie czuła. Nadużyła mojego zaufania i cynicznie usiłowała wykorzystać dla swoich celów te kilka chwil mojej słabości. Chociaż przeproszała mnie potem setki razy, nie potrafiłem jej tego zapomnieć. Nawet teraz, gdy położyła dla mnie na szali własne życie, nie miałem ochoty zadzwonić do szpitala, do którego odwiozła ją karetka.

Z Ašką, która wpatrywała się we mnie mokrymi od łez oczami, sprawa była zupełnie inna. Dziewczyna nie miała pojęcia o mojej tajemnicy. Nigdy nie uznałem za stosowne opowiedzieć jej o powodach, dla których byłem sam. Teraz uznałem, że nadeszła na to właściwa pora. A w związku z tym, że nie lubiłem o tym gadać, postanowiłem wszystko jej pokazać...

— Nie płacz, Aśka — powiedziałem, a gdy jej oczy nie przestały się szklić, oparłem jej dłonie na ramionach. — Mówię ci, nie płacz. To nie jest standardowa sytuacja. To nie jest historia z gatunku tych, w których ona go kocha, a on kocha inną. I to nie jest tak, że mi się nie podobasz. Podobasz mi się bardzo i gdybym tylko mógł, to marzyłbym o takiej kobiecie. Marzyłbym o takiej żonie i matce dla mojego syna. Marzyłbym o tobie i nosiłbym cię na rękach. Ale niestety nie mogę. Daj mi pół godziny. Za pół godziny zrozumiesz, że to ja mam powód do płaczu, a nie ty.

Mówiłem z pasją i chyba udało mi się do niej trafić. Uwierzyła, że to nie są z mojej strony żadne wykręty, zwłaszcza że wcale od niej nie uciekałem. Przeciwnie, gładziłem ją po włosach, dotykałem jej twarzy i szeptałem do ucha, dotykając ustami idealnie wykrojonej małżowiny. Pocieszanie jej traktowałem jako pretekst do tego, by choć na chwilę znaleźć się tak blisko młodej, pięknej kobiety.

Zaprowadziłem ją do samochodu i zamiast skierować się na północ, pojechałem wprost na południe. Nie wiedziałem, jak zareaguje na moją tajemnicę, więc na wysokości Gagarina stres ścisnął mnie za gardło do tego stopnia, że przestałem mówić i tylko położyłem jej dłoń na kolanie.

— Co się dzieje? — spytała trochę zaciekawiona, a trochę zaniepokojona.

— Zaraz zobaczysz — odparłem trochę drewnianym głosem i dodałem nieco gazu. Po chwili minęliśmy granicę Wilanowa.

Dotarliśmy na miejsce po kolejnych kilku minutach. Kiedy znaleźliśmy się przed wejściem do budynku, Aśka zerknęła na czerwoną tabliczkę i gwałtownie nabrała powietrza.

— Dlaczego... — zaczęła, ale wzrokiem nakazałem jej milczenie.

Recepcjonistka od razu mnie rozpoznała. Nic dziwnego, bywałem tutaj przynajmniej raz w tygodniu.

— Dzień dobry, panie Tomku — uśmiechnęła się do mnie zza lady i spojrzała na Aśkę. — Z kim pan przyszedł?

— To... koleżanka — odpowiedziałem niezręcznie, pragnąc spalić się ze wstydu. Ale pani z recepcji widziała już tyle, że niczemu się nie dziwiła.

— Zna zasady? — spytała tylko, a ja mruknąłem, że biorę to na siebie, potem przeszedłem przez hall i wyszedłem do przyszpitalnego parku.

Dojrzałem ją już z daleka. Spacerowała samotnie, obserwowana dyskretnie przez stojącego kilkadziesiąt kroków od niej mężczyznę w białym kitlu. Podeszedłem do niego i ostrożnie podałem mu rękę. Z racji swojego zawodu miał niedźwiedzią siłę.

— Wszystko w porządku? — spytałem.

— Jak mawiają Japończycy: jako tako — odpowiedział z łagodnym półuśmiechem, nie przerywając swoich obserwacji.

Nie zazdrościłem mu miejsca pracy i podziwiałem jego wewnętrzny spokój. Jego łagodne oczy widywały na co dzień takie rzeczy, które innym ludziom nie śnią się nawet w najgorszych koszmarach. Skinąłem mu głową i pociągnąłem lekko opierającą się Aşkę w kierunku spacerującej z wolna kobiety.

Była jeszcze młoda, ale na jej twarzy zarysowały się już wyraźne bruzdy. Ich powodem było napięcie. Ciągłe napięcie, w którym się znajdowała. Ale mimo swoich zmarszczek wciąż była piękna. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek poznałem. Zatrzymałem się kilka metrów od niej.

— Asiu — powiedziałem wypranym z emocji tonem. — Poznaj, proszę, Agnieszkę. Moją żonę.

Aśka nie odezwała się ani słowem. Stała jak wryta, a z jej twarzy odpłynęła cała krew. Przez chwilę bałem się, że zemdleje, ale zdołała się jakoś pozbierać. Uśmiechnęła się nieśmiało, ale Agnieszka patrzyła na nią wciąż z takim samym wyrazem twarzy. Jej oczy... Jej oczy były niesamowite.

Wzięliśmy ślub wkrótce po tym, jak zostałem żołnierzem GROM-u. Znaliśmy się od lat. Pochodziliśmy z sąsiednich wiosek, a w podstawówce chodziliśmy do jednej klasy. Zamieszkaliśmy w służbowym mieszkaniu w Rembertowie i wszystko było dobrze. Wszystko było dobrze, dopóki nie zacząłem wyjeżdżać na misje.

Zniszczyły ją nerwy. Zawsze była bardzo wrażliwa, a mój udział w natowskich misjach wojskowych bardzo nasilił jej napięcie emocjonalne. Kiedy byłem w Afganistanie, przeszła pierwsze załamanie

nerwowe. Była wtedy w ciąży i skończyło się to poronieniem. Dostałem miesiąc urlopu i próbowałem jakoś wszystko poskładać, ale było z nią coraz gorzej. Zamknęła się w sobie i nie mogli do niej trafić najlepsi wojskowi psychologowie.

Uspokajała się tylko w towarzystwie dwóch osób: mnie i swojej matki. Teściowa wcześniej owdowiała i mieszkała samotnie, więc uprosiłem ją, by przenieść się do nas. Kiedy ja ścierałem się z talibami, ona opiekowała się Agnieszką. Ale jej opieka jedynie odwlekła to, co nieuchronne. Moja żona stopniowo pogrążała się w otchłani szaleństwa.

Nie miałem pojęcia, co robić, ale wtedy w wypadki wmieszała się Fortuna. Gdzieś na zapomnianym przez Boga i ludzi afgańskim płaskowyzu, w mojej prawej dłoni eksplodowała mina pułapka, pozbawiając mnie dwóch palców i definitywnie odsyłając na wojskową emeryturę. Chociaż w tej jednej sekundzie runęły niczym domek z kart wszystkie moje zawodowe marzenia, to nie pogrążyłem się w depresji. Badający mnie lekarze na próżno szukali symptomów stresu pourazowego — nie miałem czasu na roztkliwianie się nad sobą. Korzystając z uprzejmości macierzystej jednostki, wciąż zajmowałem mieszkanie na terenie Akademii Obrony Narodowej i każdą chwilę poświęcałem swojej żonie.

Robiłem wszystko, co było w mojej mocy. Korzystając ze swojego statusu weterana wojennego, załatwiałem jej konsultacje z najlepszymi specjalistami. Zacząłem od psychologów, ale wkrótce — po ich sugestiach — przerzuciłem się na psychiatrów. Jednak nawet ci najbardziej doświadczeni po kilku spotkaniach rozkładali ręce. Zasypywali mnie przy tym specjalistycznymi pojęciami, ale mnie interesowało tylko jedno — czy choroba mojej żony może zostać wyleczona.

Wtedy zacząłem nazywać to chorobą, bo jej symptomy nasiliły się do tego stopnia, że nie można ich było ignorować. Długimi tygodniami zachowywała się zupełnie normalnie, ale zdarzały się dni, kiedy nie poznawała ani mnie, ani swojej matki. Zdawało mi się wówczas, że otacza się jakby kokonem i pogrąża w swoim świecie. W takich chwilach starałem się sprawić, by czuła się bezpiecznie, i cierpliwie czekałem, aż znów zacznie mnie rozpoznawać i kochać. Tak, to nie było

wcale najgorsze.

Najgorsze były napady agresji. Pierwszy zdarzył się kilka tygodni po moim powrocie z Afganistanu.

Mimo odniesionych ran byłem wtedy w szczytowej formie fizycznej, bez zarzutu funkcjonował też mój wojskowy instynkt. I tylko dzięki niemu zdołałem uniknąć śmierci. Obudziłem się w środku nocy i przez chwilę miałem wrażenie, że to tylko koszmarny sen. Agnieszka stała nade mną niczym marmurowy posąg, a jej piękna twarz wykrzywiła się w dzikim, zwierzęcym grymasie. W jej dłoni połyskiwał nóż. Byłem w kompletnym szoku, ale moje odruchy były automatyczne.

Szybkim ruchem nadgarstka wytrąciłem jej z ręki nóż, a wtedy rzuciła się na mnie, chcąc zębami rozerwać mi tętnicę szyjną. Miała w sobie dziwną, nienaturalną siłę i naprawdę się namęczyłem, by wyjść z tej sytuacji bez przegryzionego gardła. Nie miałem sumienia jej uderzyć, ale w końcu udało mi się spod niej wydostać i delikatnie założyć jej dźwignię. Zadzwoiłem po karetkę i wtedy pierwszy raz trafiłem do miejsca, w którym znajdowałem się obecnie — do szpitala psychiatrycznego na Sobieskiego.

Od tego czasu ataki agresji zdarzały się jej coraz częściej. Musiałem chronić przed nią i siebie, i teściową, a nierzadko samą Agnieszkę, gdyż zdarzało się, że jej agresja przybierała formę autodestrukcyjną. Kończyłem wtedy studia pedagogiczne i często nie mogłem sobie pozwolić, by iść na uczelnię. Poza tym dopadły nas problemy finansowe. Moja renta była dość wysoka, ale lwią jej część pochłaniały drogie lekarstwa. Żyliśmy od pierwszego do pierwszego, a na domiar złego armia zaczynała nieśmiało dopominać się o zwrot służbowego mieszkania, które faktycznie przestało mi przysługiwać z chwilą zwolnienia z czynnej służby wojskowej.

I w tej kompletnie beznadziejnej sytuacji stało się coś, co początkowo odbierałem jako tragedię, ale w rezultacie okazało się największym szczęściem, jakie mogło mnie spotkać. Agnieszka niespodziewanie zaszła w ciążę.

Tutaj jestem winny kilka słów wyjaśnienia. Moja żona była schizofreniczką, ale jej choroba miała wtedy charakter sinusoidalny. Po okresach agresji i wycofania, które najczęściej kończyły się dłuższymi

pobydami na Sobieskiego, następowały okresy względnie normalne, podczas których chciałem, by czuła się bezpiecznie, i próbowałem jej zapewnić namiastkę normalności i rodzinnego szczęścia. Podczas tych lepszych okresów, które niestety były coraz krótsze, zabierałem ją do teatru, wyjeżdżałem z nią na romantyczne weekendy w górach, zapraszałem na spotkania ze starannie dobranymi znajomymi... No i oczywiście kochałem się z nią. Kochałem się z nią jak najczęściej i jak najbardziej namiętnie. Chciałem dać i jej, i sobie jak najwięcej miłości, tym bardziej że według ocen lekarzy nie zostało nam zbyt wiele czasu. Nieubłaganie zbliżał się dzień, w którym miała wymagać dwudziestoczterogodzinnej opieki ambulatoryjnej.

Kiedy się dowiedziałem, że jest w stanie błogosławionym, byłem przerażony. Dopiero lekarze wytłumaczyli mi, że ciąża nie przyspieszy postępów jej nieubłaganej choroby. Ale choroba i tak postępowała błyskawicznie. Spędziliśmy ze sobą ostatnie kilka miesięcy, aż wreszcie jej stan tak się pogorszył, że konieczna okazała się trwała hospitalizacja. Przez długi czas nie było z nią żadnego kontaktu i sądziłem, że już nigdy nie zobaczę w jej oczach niczego oprócz szaleństwa. Ale dane nam było przeżyć jeszcze jeden cudowny moment.

Pewnego grudniowego dnia na świat przyszło nasze dziecko. Agnieszka urodziła zupełnie zdrowego chłopca. Asystowałem przy porodzie i kiedy Antoś był już na zewnątrz, moja żona otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie i swojego synka. Przez chwilę patrzyłem na to oniemiały, a potem z moich oczu pociekły łzy wzruszenia.

— Uważajcie na siebie, moi chłopcy — wyszeptała zupełnie przytomnie wyschniętymi wargami. — Pamiętajcie, że zawsze będę was kochać.

Potem znów zamknęła oczy, a ja płakałem dalej — tym razem już nie ze wzruszenia, tylko z żalu. Szóstym zmysłem wyczułem, że było to jej pożegnanie. I rzeczywiście — od tego czasu już nigdy nie wypowiedziała ani jednego słowa.

Zostaliśmy z Antosiem sami i muszę przyznać, że przez wszystkie te lata bardzo pomogła nam moja teściowa. Gdyby nie ona, nie mógłbym skończyć studiów i podjąć pracy w Legionowie. Zajmowała się chłopcem jak własnym synem i razem ze mną jeździła przynajmniej raz



w tygodniu na Sobieskiego, by zobaczyć się z córką.

Choroba Agnieszki ewoluowała. Teraz nie zdarzały się jej już ataki agresji. Nie wiem, w jakim stopniu był to efekt uboczny leków, które przyjmowała, ale od lat sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej. Nic nie mówiła, nie reagowała na większość bodźców, prawie w ogóle nie jadła... Jej życie przypominało wegetację, ale podobno — przynajmniej w opinii lekarzy — była na swój sposób szczęśliwa. Chwytałem się tej myśli jak ostatniej deski ratunku. Dzięki temu łatwiej mi było pogodzić się z tym, że już nie dzieliliśmy ze sobą życia. Że nie rozpoznawała ani mnie, ani naszego syna. Ale czasem i tak chciało mi się wyć.

Bo ciągle ją kochałem. I dlatego byłem sam, i nie chciałem się wiązać z żadną inną kobietą.

Czując na sobie wzrok Aśki, podszedłem do Agnieszki, po czym schyliłem się i zerwałem dla niej polnego kwiatka. Nie patrząc na mnie, wyjęła mi go z ręki i wplotła we włosy. A potem odwróciła się do mnie plecami i odpłynęła jak kołysząca się na wietrze trzcina.

Kiedy wróciłem do Aśki, moja twarz była mokra od łez.

— Teraz rozumiesz? — spytałem zachrypniętym głosem.

W przeciwieństwie do Aldony Aśka zrozumiała.

W drodze powrotnej długo milczeliśmy. Doszedłem do siebie dopiero w okolicach mostu Północnego. W kilkunastu zdaniach przedstawiłem jej historię swojego małżeństwa. A potem opowiedziałem jej o ustaleniach śledztwa, które prowadziłem z „Marchewką”.

Gdy mówiłem o odnalezieniu ciała pana Leopolda, przypomniałem sobie, że stary matematyk był jej wychowawcą. Wyglądała na wstrząśniętą, ale szybko wzięła się w garść.

— Czyli wszystko wskazuje na to, że dyrektor Hołownia jest niewinny — stwierdziła, ocierając ukradkiem pojedynczą łzę.

Przyznałem jej rację.

— To woźna powiedziała mu o tym, że Mateusz wisi w kanciapie — dodałem. — Dziwne jest tylko to, że zamiast tam popędzić albo przynajmniej wezwać policję, posłał Wysockiego. I to pod pretekstem przyniesienia krzesel.

— Czy ja wiem, że to takie dziwne? — zaoponowała dziewczyna. — Ludzie różnie reagują na takie informacje. Może się źle poczuł albo...

— Wieczorem nie wyglądał jak ktoś, kto się źle czuje  
— przerwałem. — Gdybyś słyszała, jakim tonem zwracał się do pana Leopolda...

— Wtedy w parku? — Tym razem to ona przerwała mi w pół zdania. — Weź pod uwagę, że to było kilka godzin później. Może zdążył ochłonąć. Swoją drogą ciekawa jestem, o co mu wtedy chodziło.

— O coś, co zaszło na tych koloniach pod Augustowem  
— zaproponowałem, ale ona tylko uniosła oczy ku górze.

— To przecież oczywiste — upomniała mnie. — Wychowawców tamtych kolonii połączyła jakaś wstydliva tajemnica, prawdopodobnie związana z tą dziewczyną. Zwróć uwagę. Mateusz nie żyje, pan Leopold nie żyje, brat dyrektora nie żyje od wielu lat, czwarty z nauczycieli...

— Szymon Pełka? — odpowiedziałem.

— Tak, Szymon Pełka. Od wielu lat ukrywa się za granicą. Pozostaje tylko Jan Hołownia, ale on jest w areszcie...

— Czekaj! — Byłem tak podniecony, że aż podniosłem wzrok.  
— Ten cały Pełka... Może on wcale nie jest za granicą? Może to on jest tym psychotycznym mścicielem?

Aśka popatrzyła na mnie z urazą i roztarła lewe ucho, które uraziłem swoim krzykiem.

— Może i tak — mruknęła — ale z tego, co mówisz, to on opuścił mury więzienia już dosyć dawno. Dlaczego w takim razie zaczął zabijać właśnie teraz?

Wzruszyłem ramionami. Mój pomysł wydał mi się głupi także z innego powodu.

— Przecież to nie Pełka zabił Macieja Hołownię — bąknąłem zawstydzony. Stwierdziłem, że od tych coraz to bardziej wymyślnych hipotez wszystko zaczyna mi się kielbasić.

Na szczęście umysł Aśki funkcjonował bez zarzutu. Dokonała szybkiej rekapitulacji faktów i przypomniała mi o czymś, co kompletnie wyleciało mi z pamięci.

— To pobicie w Sztumie, po którym trafił do łagodniejszego zakładu karnego. Może to Jarek dopadł go wtedy na jakimś spacerunku? Wtedy mu się nie udało, ale zamierzał spróbować po raz drugi.

A tymczasem wysyłał mu...

— Listy — dokończyłem.

— No właśnie! Wiesz, powoli przestaję mu się dziwić. Nie wiem, czy ja na jego miejscu też nie uciekłabym, gdzie pieprz rośnie. Takie życie ze świadomością, że pozostaje się na celowniku wariata. Brr... — wzdrygnęła się, a ja przyznałem jej rację.

— W takim razie policja rzeczywiście będzie miała łatwe zadanie — dodałem. — Sprawdzą, w jakich zakładach karnych Jarek odbywał karę, czy rzeczywiście odpowiada za pobicie Pełki i kiedy opuścił więzienie. W obliczu tak poważnych dowodów nie uniewinni go żaden sąd. Pozostają dwie kwestie. Po pierwsze, motyw, a po drugie... — zawiesiłem głos. — Wcale nie jestem przekonany, że tak łatwo będzie go złapać. Najbliżej byliśmy na cmentarzu, ale nie udało mi się go dopędzić.

— To musi być niezły świr — zadumała się dziewczyna. — Już nie chodzi nawet o te morderstwa, tylko o te satanistyczne znicze...

— Nie sądzę, by był satanistą. Po prostu po tych wszystkich latach więzienia ma wypaczony gust. Podoba mu się wszystko to, co mroczne. Kamila chciała nawet pójść tym tropem, ale się okazało, że takie znicze można kupić w dziesiątkach sklepów internetowych.

Dziennikarka przez chwilę milczała. Widać było, że rozważa kolejną koncepcję.

— Ten cały Jarek poprzednio ukrywał się w Tatrach — odezwała się wreszcie. — Uwielbiam te góry. Słuchaj, a może teraz też tam uciekł? Może warto by pojechać nad Morskie Oko i spróbować go namierzyć?

Jej entuzjazm bardzo mnie rozbawił. Popatrzyłem na nią z sympatią, bo też miałem słabość do gór. Jednak pomysł nie należał do najlepszych.

— Doceniam, że masz pasję i w ogóle — zabarwiłem swój głos sarkazmem. — Ale przypominam ci, że dopiero co wyszłaś ze szpitala. I w przeciwieństwie do nieudanego synalka naszej woźnej, to naprawdę groźny przeciwnik. A poza tym nie sądzę, by był aż tak głupi. Na pewno wie, że policja w pierwszej kolejności będzie go szukać właśnie tam.

Lekko poczerwieniała z zawstydzenia.

— Rzeczywiście, palnęłam głupotę — przyznała. — Ale to

dlatego, że tak kocham Tatry. Każdy pretekst, by je odwiedzić, wydaje się dobry.

— Dobrze znasz Tatry? — spytałem tknięty nagłym przeczuciem.  
— Słuchaj, a może kojarzysz, jaka historia wiąże się z wyrytym w skale krzyżem, gdzieś przy szlaku na Przełęcz pod Chłopkiem?

Pokręciła głową.

— Tam, gdzie ten ratownik złapał uciekającego Jarka? — upewniła się. — Nie spotkałam tam żadnego krzyża. Nie wiem, czy jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak tam jest. To ogromna przestrzeń i natrafienie na taki krzyż to jak odszukanie igły w stogu siana.

Popatrzyłem na nią kpiąco.

— Jestem sobie w stanie wyobrazić — stwierdziłem, przypominając sobie miesiące spędzone wśród łańcuchów górskich w Afganistanie. Najwyższe szczyty Hindukuszu miały ponad siedem tysięcy metrów wysokości, podczas gdy Rysy — najwyższa góra polskich Tatr — wznosiły się zaledwie na dwa tysiące pięćset metrów.

Dziewczyna zignorowała moje słowa, wystukując coś na telefonie. Trwało to z pięć minut. Gdy skończyła, byliśmy już w Jabłonnie.

— Napisałam o tym krzyżu na forum turystycznym — wyjaśniła.  
— Codziennie odwiedza je kilkuset miłośników Tatr. Jeżeli doszło tam do jakiegoś wypadku, to na pewno się o tym dowiemy. Gwarantuję!

— Zamknęła klapkę telefonu i zdecydowała się na zmianę tematu.

— Czyli inni podejrzani już odpadli? — spytała.

— Raczej tak — stwierdziłem. — Podejrzałem tego przydupasa Janki, ale się okazało, że ma chory kręgosłup. Matematyk ważył pewnie z siedemdziesiąt kilo, a Mateusz ze sto. Nie dałby rady wywindować na linie takich ciężarów. A poza tym nawet jeżeli miał motyw, by załatwić Mateusza — choć muszę powiedzieć, że i to wydaje się mocno naciągane — to matematyka pewnie nawet nie znał. Tak, to nie pan Adam Holc jest osobą, której szukamy.

— Podobnie jak Andrzej Masternak — dodała dziewczyna, po czym znów się wzdrygnęła. — Cieszę się, że kiedy chodziłam do szkoły, on w niej jeszcze nie pracował. Patrz, czym się kończy zbyt długie mieszkanie z rodzicami. Może to jest dla mnie przestroga? — Zaśmiała się, a ja jej zawtórowałem.

— Ile masz lat? Dwadzieścia trzy? Możesz się jeszcze nie przejmować. W obecnych czasach ludzie nie wyprowadzają się z rodzinnych domów nawet do czterdziestki. Ale później to już trzeba uważać, żeby się nie zasiedzieć...

Rozmawialiśmy przez chwilę o fizyku, a potem przeszliśmy na wuefistę. Aśka pamiętała go ze szkoły i nie mogła uwierzyć, że można aż tak nisko upaść.

— Mam nadzieję, że jakoś się z tego wygrzebie. Chcę mu doradzić, by poddał się terapii. Mógłby wziąć roczny urlop, nauczycielom przysługują roczne urlopy na podratowanie zdrowia. Co prawda Markowi fizycznie nic nie dolega, ale hazard to ciężka choroba.

Pokiwała głową.

— Czyli te wszystkie operacje finansowe, o których dowiedziałeś się od Janki, nie były związane z morderstwem, tak? Mateusz przelał pięćdziesiąt tysięcy wuefiście, a osiemdziesiąt tysięcy, wypłacone ze szkolnego konta przez Masternaka, zostało potem zwrócone. Wszystko się zgadza, prawda?

— Prawie — odparłem po chwili namysłu. — Pozostają jeszcze te cykliczne przelewy do Mielnika. Pięćset złotych miesięczne...

— To sporo kasy — zdziwiła się Aśka.

— ...na konto niejakiej pani Marceliny Michalik — odczytałem to nazwisko z wyjętej z kieszeni kartki. — Nie mam pojęcia, kto to jest. I nie wiem, czy to jest aż tak ważne... — urwałem, gdyż mój szósty zmysł dał mi znać ciarkami tak silnymi, że podobnych jeszcze nie doświadczyłem.

To było ważne.

— Tylko mi nie mów, że chcesz od razu jechać do Mielnika — jęknęła dziewczyna, właściwie odczytując moje nagłe milczenie.

— Tak w zasadzie — zacząłem nieśmiało — to nie mam nic lepszego do roboty. Nie chcę przeszkadzać policji, a nie potrafię czekać z założonymi rękami. Odwiózłbym cię do domu...

— Nie ma mowy — weszła mi w słowo.

Poczułem ukłucie zawodu. Niestety byłem od niej uzależniony — nie posiadałem własnego samochodu, a z doświadczenia wiedziałem, że komunikacja autobusowo-pociągowa z Podlasiem nie stoi na

najwyższym poziomie. Rowerem zaś jechałbym tam przynajmniej z siedem lub osiem godzin.

— Oczywiście zatankuję ci samochód. I wrócę od razu po tym, jak z nią porozmawiam — negocjowałem, ale była nieugięta.

— Nie zgadzam się — stwierdziła twardym tonem. — Jedziemy do mnie do domu.

Byłem zaskoczony jej odmową i ogarnęło mnie coś na kształt irytacji. Co za baba. Jeszcze przed godziną chciała zostać moją narzeczoną, a teraz nie chce mi nawet pożyczyć na kilka godzin samochodu. W milczeniu pokonałem ostatnie dwa kilometry i zaparkowałem pod domem jej rodziców.

— Zaczekaj — złapała mnie za rękę, gdy zamierzałem wyjść. — Nie zapraszam cię do środka, bo nie mamy czasu. Daj mi dwadzieścia minut. Wezmę tylko szybki prysznic i zmienię ciuchy.

— Na co mam czekać? — spytałem lekko obrażony i wtedy zobaczyłem w jej oczach złośliwe ogniki.

Przez chwilę marnotrawiła cenny czas, walcząc ze śmiechem.

— Gdybyś mógł teraz zobaczyć swoją minę — powiedziała wreszcie, mrugając do mnie okiem. — Jak obrażona królewna. Jak księżniczka na ziarnku grochu, której ktoś nie podał pantofelka.

— Dobrze już, dobrze... Mylisz bajki, a zostało ci tylko dziewiętnaście minut — burknąłem, ale z trudem maskowałem zadowolenie. Zrozumiałem, że postanowiła się zabawić moim kosztem, jednak nie miałem jej tego za złe. Kilka minut temu wcale nie odmawiała mi samochodu. Nie chciała jedynie, bym jechał bez niej. A jednocześnie, po dwóch dniach w szpitalu, nie chciała rezygnować z prysznica.

Posłała mi kpiący uśmiech i zniknęła we wnętrzu domu. Choć obiecała, że się pospieszy, nie było jej dobre czterdzieści minut. Gdy pachnąca i świeża pojawiła się wreszcie na ganku, w oddalonym o dwie ulice kościele zabrzmiały dzwony. Zerknąłem na wyświetlacz telefonu. Była szesnasta.

— Przepraszam, rodzice nie mogli się mną nacieszyć — usprawiedliwiła się, gdy ruszałem. — Mama nie chciała mnie puścić, a tata koniecznie chciał cię poznać. Nie chcę cię martwić, ale chyba

wyszedłeś w jego oczach na gbura.

— To i tak pół biedy — zaśmiałem się ponuro. — Gdyby to moja córka po randce wylądowała na dwa dni w szpitalu, to raczej nie zwracałbym uwagi na maniery jej chłopaka, tylko zwyczajnie bym go rozszarpał.

Jej śmiech długo unosił się we wnętrzu samochodu.

— Rozważał i coś takiego, ale zobaczył cię przez okno i stwierdził, że nie chodzisz w jego wadze. Mój tata to kawał chłopca — dodała ze wzruszającą dumą w głosie.

Według wskazań urządzenia GPS trasa z Legionowa do Mielnika liczy dokładnie sto sześćdziesiąt dziewięć kilometrów, czyli o ponad sześćdziesiąt kilometrów mniej niż trasa do Sompolna. O ile jednak na zachód prowadzi wygodna autostrada, o tyle na wschód jedzie się (przynajmniej z Legionowa) drogami bardziej lokalnymi, o miejscami dość zwichrowanej nawierzchni. Podróż w kierunku wschodnim trwa zdecydowanie dłużej i jest bardziej męcząca, ale ja lubiłem odwiedzać Podlasie. Z racji urodzenia czułem ogromny sentyment do tej uroczej krainy, która na znacznej części swojego obszaru wciąż opierała się płynącym z zachodu trendom, zachowując swój pierwotny, jedyny w swoim rodzaju charakter.

Niezależnie od granic administracyjnych województwa podlaskiego Podlasie zaczynało się dla mnie za Sokołowem Podlaskim. Ruch samochodowy był tam już zdecydowanie mniejszy, za to coraz częściej spotykało się drewniane budownictwo i umieszczone wzdłuż drogi ławki, na których siedzieli staruszkowie, wpatrujący się w przejeżdżające z dużą prędkością samochody i w rozgrzanych podróżnych z właściwym dla swojego wieku łagodnym pobłażaniem.

Drewniane chałupki na pierwszy rzut oka wyglądały raczej biednie, ale nauczyłem się doceniać miejscowe budownictwo. Kiedyś, podczas służby w wojsku, dostałem polecenie, by obwieść po Polsce pewnego natowskiego generała, który przyjechał do nas na inspekcję. Zależało mi na dobrej ocenie, więc stawałem na głowie, by był zadowolony. Zadanie było o tyle utrudnione, że generał okazał się zapalonym turystą, który z aparatem zjeździł dosłownie cały świat. Pokazywałem mu Polskę przez jakieś dziesięć dni, a na koniec wziąłem go na Podlasie, by pokazać mu

żubry. Jednak to nie one go zachwyciły. Przejeżdżaliśmy przez zwyczajną podlaską wioskę, gdy nagle kazał mi się zatrzymać, po czym przez dobrą godzinę chodził od jednej zapuszczonej chałupy do drugiej i z zachwyconą miną cykał zdjęcia. W końcu odważyłem się zapytać, co go tak urzekło. Przez chwilę trwał w zamyśleniu, zastanawiając się, jak mi odpowiedzieć, aby mnie nie urazić.

— Zawiozłeś mnie do Malborka — zaczął wreszcie — i muszę przyznać, że to piękny zamek. Ale byłem już nad Loarą i widziałem zamki o stokroć piękniejsze. Pokazałeś mi Kraków z Wawelem i Wrocław, miasto setki mostów. To wspaniałe metropolie, ale na tle Rzymu, Paryża czy Pragi ich wspaniałość zdecydowanie blednie. Pokazałeś mi Tatry, ale byłem już w Alpach i w Himalajach, pokazałeś mi Mazury, ale w Finlandii jest o wiele więcej pięknych jezior i lasów. Natomiast takich chałup jak tu nie widziałem nigdzie na świecie. Drewniana architektura tutejszych wiosek jest zupełnie unikatowa i to właśnie ją na pierwszym miejscu zapamiętam z wizyty w waszym kraju.

W ten sposób natowski generał otworzył mi oczy i pozwolił dojrzeć ukryte piękno w czymś, co uznawałem za symbol biedy i zacofania. Od tamtej pory, gdy tylko miałem komuś pokazać Polskę, to zaczynałem zawsze od Podlasia, a moi kolejni goście potwierdzali opinię amerykańskiego wojskowego.

Teraz jednak nie było czasu na zwiedzanie i zachwyty. Z dużą prędkością przemknęliśmy przez Wyszków, Węgrów, Sokołów oraz Drohiczyn i po ponad dwóch godzinach jazdy dotarliśmy do celu naszej podróży.

Mielnik geograficznie położony był na skraju dwóch historycznych krain: Podlasia i Polesia. Znałem go dość dobrze. Pamiętałem, że miasteczko położone jest nad brzegiem majestatycznie płynącego Bugu, a w jego centralnej części wznoszą się ruiny warowni powiązanej z Kazimierzem Jagiellończykiem. To właśnie zapierający dech w piersiach widok z zamkowego wzgórza na lesistą dolinę rzeki Bug stanowił największą atrakcję Mielnika, ale zamiast skierować się w tamtą stronę, rozpoczęliśmy poszukiwania ulicy Białej, przy której miała mieszkać tajemnicza Marcelina Michalik.

Kierowani przez uczynnych mieszkańców minęliśmy kilka



wypożyczalni kajaków i w końcu dotarliśmy do poszukiwanej przez nas uliczki. Rzeczywiście była biała — biały osad unosił się w powietrzu i osiadał na karoserii samochodu, który po kilkuset metrach takiej jazdy wyglądał jak oblepiony mąką. Zagadka wyjaśniła się za kolejnym zakrętem. Okazało się, że nieopodal funkcjonuje kopalnia kredy i to właśnie kredowy pył odpowiadał za nazwę ulicy. I kolor jej nawierzchni...

Szukany przez nas domek znajdował się w miejscu, gdzie miasteczko płynnie przechodziło w wieś. Przypominał chałupę, w której dorastałem. Był oczywiście drewniany, znajdował się na długim, wąskim podwórku i rozpaczliwie domagał się remontu. Jego okna zakryte były zazdrostkami, czyli firankami założonymi w połowie wysokości otworów okiennych. Zahamowałem, wzbijając chmurę białego kurzu. Rozejrzałem się dookoła i skonstatowałem, że chałupa Marceliny Michalik i tak prezentuje się lepiej niż domostwa jej sąsiadów. Odniosłem wrażenie, że większość z nich była od dawna opuszczona. Znałem to zjawisko niejako od środka. Podobnie jak większość młodych ludzi, sam też wyemigrowałem do dużego miasta, opuszczając rodzinną wieś. Podlasie stopniowo pustoszało. Starzy ludzie umierali, a młodzi zakładali rodziny w Białymstoku, Warszawie, Londynie albo nawet w Brukseli. Tak, z miejsca, z którego pochodziłem, wielu spośród moich rówieśników wyemigrowało właśnie do Belgii. W mojej wiosce pozostało zaledwie kilku młodych mężczyzn i ani jednej kobiety. A z tych kilku mężczyzn i tak nie było żadnego pożytku, gdyż cały wolny czas — a mieli go dużo — spędzali na picciu royala, czyli przemyconego z Białorusi spirytusu. Brrr...

W Mielniku na szczęście sytuacja wyglądała o wiele lepiej. Miasteczko w pewnym stopniu utrzymywało się z turystyki i w okolicach centrum widziałem zadbane domy i pięknie utrzymane trawniki. Tu jednak — może ze względu na pobliską kopalnię kredy — turystyka nie dotarła. Gdy wysiadłem z samochodu i wpadłem nogą w potężną błotną kałużę, a z krzaków obszczał mnie brudny, bezpański pies, poczułem się niemal jak w domu, kilkadziesiąt kilometrów na północ.

— Fuj — powiedziała Aśka, która wdepnęła w to samo błoto, co

ja. Czekałem, aż powie coś więcej, ale poprzestała na tej jednej sylabie. Przez całą drogę przekomarzaliśmy się po kumpelsku, więc pomimo błotnej kąpieli pozostała w dobrym humorze.

Przy furtce nie było dzwonka, więc pchnąłem skrzypiące drzwiczki i znalazłem się na podwórku. Instynktownie przygotowałem się na atak psa, ale spacerujący w oddali czworonóg na mój widok podkulił ogon i zwał. Przypomniało mi się, że podlaskie kundle są raczej tchórzliwe. I nic dziwnego — nikt się tu nigdy z nimi nie patyczkował.

— Dzień dobry! — zawołałem, ale odpowiedziała mi cisza. Dopiero gdy wszedłem głębiej w podwórko i ponowiłem okrzyk, do moich uszu dotarł stłumiony odgłos kroków.

Z drewnianej chałupiny wyszła zgarbiona ze starości kobiecina. Podpierała się ociosanym kosturem, prezentującym się jak rekwizyt z planu *Chłopów*.

— Dzień dobry — odpowiedziała poprawną polszczyzną, ale z ruskim akcentem. Witamy na Podlasiu!

Przedstawiłem się i spytałem, czy tu mieszka Marcelina Michalik. Staruszka przytaknęła.

— Tak, to ja — w jej głosie usłyszałem ślady lęku. Nie wiedziała, z kim ma do czynienia.

Byłem zaskoczony. Nie spodziewałem się, że staruszka posiada rachunek bankowy. Wyglądała na nie do końca sprawną psychicznie, ale po chwili dostrzegłem, że to tylko takie wrażenie. Miała bardzo słaby wzrok i żeby coś zobaczyć, groteskowo wyciągała do przodu szyję. Podejrzewałem, że jesteśmy dla niej z Aśką jedynie dwoma niewyraźnymi plamami.

Nie chciałem jej niepokoić. Zamierzałem wyłożyć, o co nam chodzi, ale gdy tylko wspomniałem, że przyjechaliśmy z Legionowa, zachwiała się na nogach, a na jej policzki wypełzły czerwone rumieńce.

— Kim jesteście? — zapytała tak nieprzychylnym głosem, że odruchowo się cofnąłem. Gdyby zamiast kostura dać jej miotłę, wyglądałaby jak baba-jaga z bajki o Jasiu i Małgosi.

— Ja jestem nauczycielem... — zacząłem, lecz jej reakcja sprawiła, że zapomniałem języka w gębie. Zwykle ludzie reagują na takie słowa przyjaźnie lub obojętnie, ale jej twarz wykrzywił grymas

nienawiści. Doszedłem do wniosku, że gdy była dzieckiem, musiała bardzo nie lubić swojej szkoły.

— Po co przyjechałeś?! — głos, który wydobył się z jej wychudłej postaci, był zaskakująco mocny. Pobrzmiwały w nim nutki agresji i to sprawiło, że odzyskałem rezon. Jak każdy dobry żołnierz, na polu walki potrafiłem opanować strach i zaskoczenie.

— Trzy dni temu zamordowany został Mateusz Kownacki — powiedziałem dobitnym głosem. — Jestem jego przyjacielem i chcę schwytać osobę odpowiedzialną za to zabójstwo. W związku z tym mam do pani pytanie. Dlaczego Mateusz przysyłał pani co miesiąc pięćset złotych?

Jej odpowiedź jeszcze bardziej mnie zdziwiła. Spodziewałem się, że będzie pytać, dlaczego chcę wyręczyć policję. Albo powie, że to nie moja sprawa. Tymczasem ona wyprostowała się, odrzuciła kostur i prychnęła z pogardą.

— Nigdy nie użyłam nawet złotówki z tych pieniędzy!  
— powiedziała ze wzburzeniem. — Jeżeli liczył na przebaczenie, to trafił pod zły adres. To był bezużyteczny śmieć. Mówi pan, że nie żyje?  
— Urwała, czekając na potwierdzenie. Kiwnąłem głową, a gdy zdałem sobie sprawę, że tego nie dostrzegła, potwierdziłem słownie. — I bardzo dobrze! — skwitowała z satysfakcją, odwracając się do nas plecami.

Na moment mnie замуrowało. Oczywiście najbardziej zdziwiła mnie jej niechęć do geografa oraz wyraźna satysfakcja, którą odczuła na wiadomość o jego śmierci, ale zaskakujące było jeszcze coś innego. Okazało się, że moje pierwsze wrażenie było mylne. Marcelina Michalik nie była zwyczajną prostą kobieciną, która nie wychyliła nosa poza granice swej wioski. W jej głosie i doborze słów dostrzegłem ślady dawnego wykształcenia. Ta kobieta nie zawsze zajmowała się doglądaniem kur, które przechadzały się po podwórku. A przynajmniej nie było to jej jedyne zajęcie.

Aśka, widząc moje zaskoczenie, postanowiła mi pomóc.

— Pani Marcelino — włączyła się do rozmowy — niech nas pani tak nie zostawia. Nam naprawdę zależy na jakichkolwiek informacjach. Jej proszący ton nie zrobił na staruszce żadnego wrażenia.

— Już mówiłam — odparła, nie przerywając marszu w stronę

domu. — Nie prosiłam go o żadne pieniądze. I nie mam pojęcia, czemu mi je wysyłał.

— Ale znała go pani, prawda?

— Znałam... Chociaż nie. On dla mnie nie istniał, podobnie jak wszyscy pozostali.

— Jacy wszyscy pozostali? — wtrąciłem, gdyż wydawało mi się, że zaczynam rozumieć. — Czy pani mieszkała kiedyś w Legionowie?

Zachnęła się.

— Niech pan nie wypowiada przy mnie nawet nazwy tej zapowietrzanej miejscowości! — warknęła, po czym zaczęła wchodzić po schodkach prowadzących na ganek.

— Dlaczego? — spytałem szybko, bo nie chciałem, by znikła we wnętrzu domu. — Dlaczego nienawidzi pani Legionowa i Mateusza Kownackiego? Czy pani uczucia rozciągają się też na Szymona Pełkę? Macieja Hołownię? A może też na pana Leopolda...

— Pietrzaka — dokończyła bezwiednie, wypowiadając jego nazwisko i jednocześnie potykając się o stopień. Mało brakowało, a padłaby jak długa. W ostatniej chwili złapała się barierki.

A potem przez jej pomarszczone oblicze przemknął skurcz.

— Czemu mnie dręczysz, chłopaczku?! — krzyknęła łamiącym się głosem. — Jak śmiesz?! Jesteś takim samym bezwartościowym śmieciem, jak oni wszyscy!

Zauważyłem, że po raz drugi użyła słowa „śmieć”. Chciałem jej zadać jeszcze jedno pytanie, ale nie zdążyłem. Po ostatnich słowach ujęła za klamkę, otworzyła drzwi i zniknęła we wnętrzu domu. Aśka próbowała ją powstrzymać, ale spóźniła się o ułamek sekundy. Drzwi huknęły, o mało nie miażdżąc jej kciuka.

— To jędza — wymamrotała, szarpiąc za klamkę. — Otwieraj! — krzyknęła i kilka razy uderzyła pięścią w drzwi.

Podszedłem do niej powoli.

— Daj spokój — powiedziałem uspokajającym tonem, kładąc rękę na drżącym z gniewu ramieniu. — Nie denerwuj się tak.

Spojrzała na mnie ze złością.

— Spędzamy w samochodzie całe popołudnie, a ta czarownica nie chce z nami nawet porozmawiać — parsknęła. — Za kogo ona nas ma?

Za jakieś hieny? Nie dała sobie nawet wszystkiego wytłumaczyć.  
Otwieraj! — krzyknęła ponownie i chciała uderzyć pięścią w drzwi, ale ją powstrzymałem.

— To biedna kobieta — stwierdziłem. — Na pierwszy rzut oka widać, że zżera ją ból. Myślę, że nasz wyjazd nie był wcale bezcelowy. Domyślam się, kim ona jest...

Chciała dalej polemizować, ale kiedy dotarli do niej moje ostatnie słowa, nagle zeszło z niej powietrze.

— Kim? — spytała zdziwiona, a ja w duchu zaśmiałem się z jej babskiej ciekawości.

Ale na zewnątrz pozostałem poważny.

— Chodź — pociągnąłem ją za sobą w stronę najbliższego okna. — To nie tutaj — powiedziałem po chwili sam do siebie, gdyż za szybą ujrzałem kuchnię.

To, co spodziewałem się znaleźć, było za trzecim ze sprawdzanych przeze mnie okien. Kiedy się upewniłem, ustąpiłem miejsca dziewczynie. Przez chwilę mrużyła oczy, aż wreszcie dostrzegła to, co ja. Odwróciła się po paru sekundach, wpatrując się we mnie z mieszanką strachu i zdumienia.

— Dzwonimy na policję? — zapytała nieco drżącym głosem.

— Nie, dlaczego? — zdziwiłem się, gdyż nie przyszło mi to do głowy.

— Bo to jest... To jest... pokój szaleńca. Te wszystkie zdjęcia i świece... To jest straszne. — Głos uwiązł jej w gardle.

— To nie jest pokój szaleńca — odpowiedziałem stanowczo, przepychając się z powrotem do okna. — To jest izba pamięci.

Zerknąłem nad zazdrostką i jeszcze raz przyjrzałem się wnętrzu niewielkiego pomieszczenia, oddzielonego od głównej izby drewnianym przepierzeniem. Na jego ścianach wisiało mnóstwo zdjęć w jaskrawych, nienaturalnych kolorach, przedstawiających tę samą dziewczynę — brunetkę o smagłej twarzy, śnieżnobiałym uśmiechu i pełnej, nad wiek rozwiniętej figurze. Zdjęcia były też porozstawiane na komódkach, stolikach i szafkach. Łącznie było ich w pokoju nie mniej niż trzydzieści. Oprócz zdjęć w pokoju stał niewielki ołtarzyk, w którego centralnej części widniało coś, co wyglądało jak pukiel włosów. Wokół ołtarzyka

ustawione były świece, z których część wciąż się paliła. Na stojącym w kącie krześle — jedynym meblu nieozdobionym podobiznami dziewczyny — siedziała Marcelina Michalik. Jej szczupłym ciałem wstrząsał niepowstrzymywany szloch.

Nie dziwiłem się reakcji Aśki, gdyż na pierwszy rzut oka pokój wyglądał groźnie. Wpływ na to miały z pewnością psychodeliczne barwy zdjęć. Zrozumiałem jednak, że jaskrawe kolory wcale nie były świadectwem szaleństwa — kobieta była prawie ślepa i prawdopodobnie dzięki tym oryginalnym barwom wyraźniej widziała uwiecznioną na zdjęciach postać. Owszem, nie była do końca normalna, jednak jej szaleństwo nie było groźne. Wynikało z żalu, z trudnej do wyobrażenia straty.

Nie miałem oczywiście pewności, ale mój instynkt podpowiadał mi, że mam rację.

— Ta kobieta wciąż nie może pogodzić się ze śmiercią swojej córki — stwierdziłem, ujmując Aśkę pod ramię i prowadząc ją w kierunku furtki.

Dziewczyna przez chwilę przetrawiała moje słowa.

— Czyli myślisz... że ta staruszka to matka Agaty Opióły? — spytała wreszcie, ale jej twarz pełna była sceptycyzmu. — Ale przecież... to nie możliwe. Ona nie nazywa się Opióła, tylko Michalik.

Wzruszyłem ramionami.

— Ludzie zmieniają nazwiska — rzekłem zdecydowanym tonem. — Żenią się i rozwodzą. Dlaczego tak nienawidzi Mateusza? Dlaczego tak nienawidzi Szymona Pełki? Dlaczego tak nienawidzi Legionowa? I wreszcie, kim jest dziewczynka na zdjęciach? Wszystko do siebie pasuje, to jest matka Agaty!

Chwilowo się poddała.

— Załóżmy, że masz rację. W takim razie tym bardziej powinniśmy z nią porozmawiać. Skoro tak nienawidzi Mateusza i innych opiekunów, to musi wiedzieć, że na koloniach oni zrobili jej córce coś złego...

— Wszyscy? — przerwałem jej. — Myślisz, że wszyscy opiekunowie się zmówili i doprowadzili jej córkę do samobójstwa? Albo sami ją zabili? Przyznasz, że to nie brzmi prawdopodobnie.

— A co według ciebie brzmi? — Potrząsnęła wojowniczo grzywką.

Zatrzymałem się przy furtce.

— Nie wiem — przyznałem. — Ale nie wierzę, że Mateusz lub pan Leopold byli zdolni do tego, by skrzywdzić tę dziewczynkę. Myślę, że jej matka nie wiedziała wszystkiego. Po prostu oszalała z żalu i nienawidzi wszystkich, którzy odpowiadali za bezpieczeństwo jej córki. Tak naprawdę trudno jej się dziwić.

Aśka popatrzyła na mnie dziwnie. Miałem nieodparte wrażenie, że w jej wzroku dostrzegam współczucie.

— To dlaczego Mateusz przesyłał jej pieniądze? — spytała, po czym pogładziła mnie po policzku. — Nie chcę ci sprawiać przykrości, ale twój przyjaciel nie był chyba tak do końca niewinny. W przeciwnym wypadku nie przeznaczaliby... Ile wy zarabiacie? Nie przeznaczaliby jednej siódmej swojej pensji na wspomaganie jakiejś kobiety, prawda?

Odruchowo kiwnąłem głową. Byłem zły, bo wszystko wskazywało na to, że mogła mieć rację. Mateusza najwyraźniej dręczyło poczucie winy.

Pełen sprzecznych myśli postanowiłem zadzwonić do Kamili. Chciałem podzielić się z nią dokonaniem przed chwilą odkryciem. Wyciągnąłem telefon, ale nie zdążyłem wybrać numeru. Zobaczyłem, że wzrok Aśki utkwiony jest w punkcie za moimi plecami.

— Państwo w związku z tym wypadkiem sprzed lat? — usłyszałem kobiecy głos i szybko się odwróciłem. Tuż za furtką dostrzegłem grubą jak beka kobietę z monstrualnie dużymi piersiami. Nie miała pod bluzką stanika, w związku z czym jej piersi zwisały jak dwa ogromne naleśniki.

— Jakim wypadkiem? — wołałem się upewnić.

Kobieta zmrużyła chytrze oczy. Rozpoznałem ten typ. Mieliśmy przed sobą wścibską sąsiadkę. Nie znosiłem zbyt ciekawskich osób, ale musiałem przyznać, że są na ogół doskonałymi źródłami informacji.

— No przecież słyszałam — odparła z wyrzutem. — Panie, czy ja nie słyszałam tych nazwisk? Kownacki, Pełka, Pietrzak... To przecież są opiekunowie tych kolonii, na których zginęła mała Agatka.

Odruchowo skłoniłem z uznaniem głowę. Skoro kobieta pamiętała takie szczegóły jak nazwiska, to z pewnością potrafiłaby odpowiedzieć

na nasze pytania. Pod warunkiem, że by zechciała. Postanowiłem spróbować.

— Pani pewnie dobrze zna panią Marcelinę? — spytałem, zabarwiając swój głos szacunkiem.

Rybka połknęła haczyk.

— A pewnie! Przecież my jesteśmy kuzynki, tyle że ona prawie dwadzieścia lat starsza, będzie już miała z pięćdziesiąt pięć lat...

Popatrzyłem na nią, kryjąc zaskoczenie. Na Podlasiu najwyraźniej czas płynął inaczej. Zarówno Marcelina Michalik, jak i nasza rozmówczyni wyglądały znacznie starszej niż na pięćdziesiąt pięć i trzydzieści pięć lat.

Aśka wykazała się lepszym refleksem.

— Kuzynki? Przecież ona wygląda przy pani jak babcia — powiedziała z szatańskim uśmiechem.

Grubaska wyraźnie się rozpromieniła. Przestała na mnie zwracać uwagę, następne słowa kierując już w stronę mojej koleżanki.

— A bo życie jej nie rozpieszczało, moja droga. Oj nie! — Załamała ręce, nieudolnie udając współczucie. — Jej ojciec pił jak wszyscy, ale rękę miał najcięższą w okolicy. Co tu się działo, panienko, co tu się działo... Uciekła od niego do Warszawy i dalej już było tylko gorzej. Poznała tam jakiegoś absztyfikanta, studenta jakiegoś, a że podobno ładna była franca, to od razu na zabój się w niej zakochał. Żenić się nawet chciał, ale go nie wyczekała... Ani się obejrzel, jak chodziła z brzuchem...

— Miała z kimś nieślubne dziecko? — przerwałem jej, ale udała, że mnie nie słyszy. Ciągle koncentrowała się tylko na Aśce.

— Ta biedna Agatka urodziła się na koniec stanu wojennego — ciągnęła. — Wszyscy wtedy klepali biedę, takie były czasy. Ale ona miała najgorzej. Ten jej fagas działał coś w podziemiu i najpierw wywalili go z roboty na uczelni, a potem na dwa lata przymknęli. Siedział w więzieniu jak jakiś kryminalista, wyobrażasz sobie, moje dziecko? Ale to jeszcze nic. Jej pech dopiero miał się zacząć.

Urwała na chwilę dla złapania oddechu, a ja zacząłem się zastanawiać, co jeszcze mogło się stać. Spodziewałem się czegoś drastycznego i rzeczywiście się nie zawiodłem. Historia naprawdę była



z gatunku tych makabrycznych.

— Kiedy wszystko wydawało się wychodzić na prostą, ten jej facet zginął w wypadku — powiedziała kuzynka Michalikowej. — Na kilka dni przed ślubem, wyobrażasz sobie, złociutka? Została sama z małym dzieckiem na ręku. Bez pracy, bez środków do życia. Osiedliła się w jakiejś podwarszawskiej miejscowości i ciułała grosz do grosza, by utrzymać siebie i córkę.

— W jakiej miejscowości? W Legionowie? — spytałem.

Machnęła ręką, jakby odganiała natrętną muchę.

— Chyba tak — rzuciła. — Te wszystkie miasteczka ciągle mi się mylą. O czym to ja mówiłam, maleńka? — Odwróciła się do mnie plecami.

— O tym, jak zginął ojciec Agatki — podpowiedziała Aśka.

— No właśnie. Młodo zginął, oj, młodo. W wypadku. Marcysia została sama, tylko z Agatką. To było udane dziecko. Ale cóż z tego, skoro zaraz za rogiem czyhało kolejne nieszczęście. Jaskra. Moja kuzynka zaczęła tracić wzrok. Teraz już prawie nie widzi, a przecież po śmierci Agatki nie ma się nią kto zająć.

— Została sama?

— Zupełnie sama. — Grubaska znów załamano rękę i znów odniosłem wrażenie, że nie jest to szczerze współczucie. — Miała co prawda brata. Chłopak jak malowany, żołnierz. Ale cóż z tego, skoro nie pojawił się u niej od tylu lat. Poniosło go w świat, ot co. O siostrze zupełnie zapomniał, zresztą trudno mu się dziwić.

— A rodzice?

— Pomarli. Dostała ten dom w spadku, chociaż Bóg mi świadkiem, że jej się nie należał, bo mieszkała tu też moja babcia nieboszczka...

— Wyraźnie się ożywiła i coś długo tłumaczyła podniesionym głosem, czerwieniejąc z gniewu. Zrozumiałem, skąd brała się jej niechęć do Marceliny Michalik. Kiedy nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o... spadek.

— A jak to było ze śmiercią tej jej córki? — przerwałem przydługą tyradę grubaski, sprowadzając rozmowę na właściwe tory.

— A to pan nie wie? — zdziwiła się kobiecina. — Mała się powiesiła w swoim pokoju.

— Ale dlaczego?

— A co pan taki ciekawy? — naskoczyła na mnie tak gwałtownie, że aż się zawstydziłem. Okazało się jednak, że jej agresja wynikała nie z poczucia przyzwoitości, tylko z niewiedzy. — Marcysia nigdy o tym nie mówiła. Na samo wspomnienie dostawała białej gorączki. Wiem tylko, że przed śmiercią mała do niej zadzwoniła. To musiała być straszna rozmowa, bo kuzynka dostała po niej jakiegoś ataku. Zabrało ją pogotowie i przez bardzo długi czas nie umiała dojść do siebie. Zresztą sami widzieliście, jak się zachowuje. Ja to się nawet jej nie dziwię. — Oparła się o furtkę, która zaskrzypiała pod jej ciężarem. — Tyle różnych tragedii, bo to i jej facet, i córka, i zdrowie... No i została zupełnie sama. Ja staram się jej pomagać, jak mogę, ale... — rozłożyła ręce. — Widzieliście, jaka ona jest — westchnęła.

Nawet jeżelibyśmy nie wiedzieli, to dane nam było naocznie się o tym przekonać. W momencie gdy grubaska wypowiedziała swoje ostatnie słowa, usłyszałem dźwięk otwieranych drzwi. Zaraz potem moich uszu dobiegły kolejne dźwięki, tym razem zdecydowanie głośniejsze.

— A pójdiesz stąd, ty pijawko! Ty wścibska cholero! — krzyczała Marcelina Michalik, a jej kuzynka nie pozostawała dłużna, również wykrzykując szereg epitetów, wśród których wyłowiłem jeden wyjątkowy, znany mi z prozy Tadeusza Dołęgi-Mostowicza: „ty stara grandziaro”. Między kobietami rozpętało się prawdziwe piekło. Korzystając z okazji, powiodłem Aśkę do samochodu.

— Spadamy stąd — powiedziałem pospiesznie, gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem awanturujących się kuzynek. Chyba nawet nie zauważyły naszego odjazdu.

Przez pierwsze pięćdziesiąt kilometrów drogi powrotnej zastanawiałem się nad informacjami uzyskanymi w Mielniku. Miałem wrażenie, że jestem tuż obok celu, i zastanawiałem się, czy nie dać znać policji. Telefon „Marchewki” milczał jednak jak zaklęty, a nie miałem ochoty dzwonić pod numer alarmowy i wyjaśniać wszystko od początku niezorientowanej w sprawie telefonistce. Dlatego pozostało mi męczenie Aśki.

— Daj spokój, czemu tak ciągle wałkujesz temat śmierci tego jej

faceta? — przerwała mi wreszcie, wyraźnie zmęczona. — Przecież to było chyba gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych. Co to ma do rzeczy?

— Moim zdaniem ma — upierałem się, czując na karku lodowaty dotyk palców mojej babci. — Spróbuj wyszukać coś w internecie.

— Nie mogę teraz — zaoponowała. — W trakcie jazdy robi mi się niedobrze.

Machnąłem ręką i skoncentrowałem się na wyprzedzeniu dwóch wlokących się ciężarówek. Mknęliśmy doliną Bugu, mijając falujące pola zielonkawego zboża i ciągnące się aż po horyzont łąki, pokryte kolorowymi kwiatami. Po lewej stronie raz po raz migała nam błękitna toń szeroko rozlanej rzeki. Dochodziła dziewiętnasta, ale wciąż było bardzo ciepło. Przez lekko uchylone okno wpadała do wnętrza samochodu świeża woń dalekich przestrzeni. Wiosna była w tak pełnym rozkwicie, że trudno się było nie uśmiechnąć.

Do rozmowy o wypadku wróciłem w Sokołowie Podlaskim, gdzie zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej.

— Nie ma mowy, obiecałem ci, że ja płacę — oznajmiłem stanowczo i poszedłem do budynku stacji, aby uregulować należność, a w tym czasie dziewczyna wyciągnęła telefon i połączyła się z internetem. Gdy wróciłem, popatrzyła na mnie jak na ducha.

— Skąd wiedziałeś? — spytała drżącym z przejęcia głosem.

— Co wiedziałem? — zdziwiłem się, czując nagle podniecenie.  
— Znalazłaś informację o tym wypadku?

— Ja nie — odpowiedziała tajemniczo. — Ale pomogli mi znajomi. Mężczyzna o nazwisku Opiola zginął w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku w Tatrach. Tak, na szlaku na Przełęcz pod Chłopkiem. Patrz — pokazała mi ekran komórki, na którym miała otwarte zdjęcie wrytego w kamieniu krzyża. — Znajomy znajomego twierdzi, że słyszał o tym wypadku. Podobno na szlak poszli we dwóch, a ten, który zginął, miał zaraz brać ślub.

— To by się zgadzało — mruknąłem, odjeżdżając spod dystrybutora. — Czyli ten krzyż, pod którym toprowiec załatwił mordercę starszego Hołowni...

— ...był poświęcony ojcu Agaty Opioly. Tak na marginesie, też

miał na imię Jarek. To miał być taki specyficzny wieczór kawalerski. Podobno on też uwielbiał Tatry i razem ze świadkiem chciał świętować ten dzień na swój sposób. Według kolegi mojego kolegi wzięli butelkę szampana i poszli w góry. To był kwiecień, fatalne warunki. Ten Jarek Opióła musiał się poślizgnąć i zlecieć z takiej galeryjki.

— A tym świadkiem był pewnie Jarek, późniejszy morderca. Mam rację?

— Może i tak — zgodziła się Aśka. — Ciekawe, skąd znali się z przyszłym panem młodym. A raczej niedoszłym — poprawiła się natychmiast. — Tego się pewnie zbyt szybko nie dowiemy...

— Chcesz się założyć? — spytałem, wymijając rowerzystę.

— Ale... Jak to? — zaczęła Aśka, ale przerwałem jej gestem dłoni, bo w kieszeni wyczułem wibracje. Po krótkiej walce udało mi się wydobyć z niej telefon. Dzwoniła Kamila.

— Gdzie jesteś? — spytała.

Zacząłem jej opowiadać o tym, czego dowiedzieliśmy się w Mielniku. Niby mi nie przerywała, ale wyczułem, że słucha mnie jednym uchem. W pewnym momencie przerwałem.

— Co jest grane? Macie go?

— Jeszcze nie, ale już wiemy, kogo szukamy. Wiemy, jak nazywa się morderca.

— Ja też wiem — pochwaliłem się mimochodem. Śmiałem się w duchu, gdyż Aśka, która przysłuchiwała się naszej rozmowie, wybałuszyła oczy i przez chwilę wyglądała jak czarnooka żaba.

Usłyszałem, jak po drugiej stronie linii „Marchewka” zakrztusiła się jakimś płynem. Stawiałem na kawę.

— Jak to wiesz? — spytała, gdy odzyskała oddech.

Zacząłem domyślać się wszystkiego podczas rozmowy z otyłą kuzynką, a informacja o tatrzańskim wypadku była ostatnim elementem układanki.

— Mordercą jest niejaki Jarosław Michalik — powiedziałem spokojnie. — Brat Marceliny Michalik, a więc jednocześnie wujek zmarłej Agaty Opióły. Najprawdopodobniej emerytowany żołnierz.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Po jej intensywności poznałem, że się nie pomyliłem. Korzystając z tego, że Kamila trwała

w milczącym osłupieniu, dokończyłem swą opowieść o naszych „podlaskich” ustaleniach. Wyczułem, że tym razem słucha uważnie.

— Rzeczywiście wszystko wskazuje na to, że chodzi o Michalika — odezwała się, gdy skończyłem. — To on w styczniu dwutysięcznego roku zamordował Macieja Hołownię i poważnie ranił jednego z zakopiańskich policjantów. W rezultacie trafił na wiele lat do więzienia. Przebywał w kilku zakładach karnych, nie sprawiając na ogół żadnych kłopotów. Wyjątkiem było więzienie w Sztumie, w którym dopuścił się napaści na współwięźnia, Szymona Pełkę. I teraz najlepsze: według danych z Kartoteki Skazanych i Tymczasowo Aresztowanych został zwolniony z więzienia przed trzema tygodniami!

— To szybko wziął się do roboty — wtrąciłem.

— Bardzo szybko — potwierdziła. — Przez jakiś czas nie wiedzieliśmy, że był bratem matki zmarłej dziewczynki. Zmyliło nas to, że Agatka nosiła nazwisko po ojcu. Na trop Marceliny Michalik doprowadziły nas dopiero numery rejestracyjne starego forda, którym jeździł morderca. Okazało się, że samochód należał do jego zmarłego ojca, zamieszkałego w Osłowie. Ktoś skojarzył, że właśnie tam przez pierwsze lata życia zameldowana była Agatka. Jej matka zresztą też. Dopiero później przeniosła się do Legionowa, a jeszcze później, z tego, co mówisz, do Mielnika.

— Osłowo to wioska sąsiadująca z Mielnikiem — sprostowałem. — Podejrzewam, że chodzi o ten sam dom. Pewnie w wyniku jakichś przesunięć administracyjnych zmienił się tylko jego adres. Zresztą to nieważne — machnąłem ręką. — Jak myślisz, gdzie może się teraz ukrywać?

„Marchewka” westchnęła.

— Mamy jakieś teorie, ale to nic pewnego. A może znów, tak jak przed laty, uciekł w Tatry? — wysunęła ten sam pomysł, co przed chwilą Aśka. — Trzeba będzie zadzwonić do Zakopanego.

Pokręciłem sceptycznie głową, choć nie mogła tego zobaczyć.

— Zadzwonić oczywiście trzeba, ale nie sądzę, by był to prawdziwy trop — stwierdziłem, a potem powtórzyłem argumenty, które przed kilkoma minutami przytoczyłem dziennikarce. — Na pewno śmierć niedoszłego szwagra zostawiła w jego psychice niezagojone

blizny, ale wydaje mi się, że...

— Słuchaj, a może on czuł się winny! — przerwała mi nagle Kamila. — Może to on namówił ojca Agaty na tę wyprawę. A później, mordując tych nauczycieli, po prostu spłacał swój dług!

Wzruszyłem ramionami.

— Z szaleńcami nigdy nic nie wiadomo — stwierdziłem. — Że też nikt ze służby więziennej nie zorientował się w jego stanie psychicznym i nie wpadł na to, że na wolności może stwarzać zagrożenie. Przecież wystarczyłaby tylko dyskretna obserwacja...

— Mówiłam ci już, że poza incydem ze Sztumu był przez wszystkie te lata łagodny jak baranek. W jego więziennych papierach są same pozytywne opinie. Wiesz, coś w stylu, że proces resocjalizacji więźnia przebiega zgodnie z planem, że nie wykazuje skłonności patologicznych i wyraża skruchę, ble, ble, ble. Taki bełkot, z którego nic nie wynika. Paradoksalnie dużo lepiej oceniło go wojsko. Twój koleś jeszcze przed wypadkiem z Agatą wywalili go ze służby ze względu na „problemy natury psychologicznej”. Zwyczajnie nie przeszedł okresowych badań lekarskich i po ośmiu latach służby znalazł się na bruku. Bez emerytury i bez perspektyw.

— Można się załamać — mruknąłem, ale natychmiast się zreflektowałem. — Można się załamać, ale nie do takiego stopnia, by bawić się w mściciela. By zabijać ludzi. Oddałbym wiele, by się dowiedzieć, co tak naprawdę zaszło na tych koloniach.

— Ba... — westchnęła Kamila. — Przesłuchaliśmy w tej sprawie Jana Hołownię, ale niewiele nam powiedział. Podobno razem z bratem był przez pół dnia poza ośrodkiem i wrócił dopiero po jej śmierci. Zresztą on nie przebywał na tych koloniach od początku, dojechał tylko na parę dni i przebywał tam prywatnie. Według tego, co mówi, przyjechał tam odpocząć i nie mamy podstaw, by mu nie wierzyć. A poza twoim dyrektorem... Cóż, inni nauczyciele już nic nam nie powiedzą.

— No tak — przyznałem jej rację. — A jakaś obsługa tego ośrodka? Kelnerki, ratownicy, recepcjoniści, sprzątaczk?

— Dotarliśmy do kilku dawnych pracowników, ale nie powiedzieli nam nic ciekawego. Przynajmniej jeżeli chodzi o zabójstwo.

— Nie rozumiem — zdziwiłem się, gdyż nie wiedziałem, co ma na myśli.

— Podobno Maciej Hołownia do spółki z byłym kierownikiem ośrodka robili jakieś grube przekręty — wyjaśniła znudzonym tonem.

— Prowadzili podwójną księgowość i wyprowadzali pod stołem jakieś pieniądze. Ale to wszystko już się przedawniło, a poza tym obaj już nie żyją.

— A kierownik ośrodka...

— Nie zginął w tajemniczych okolicznościach — weszła mi w słowo. — Widzę, że tak jak ja wszędzie wietrzysz spisek. Cóż, u mnie to choroba zawodowa, a u ciebie... Nieważne. W każdym razie kierownik zmarł na raka prostaty, dwoma... nie, trzy lata temu.

— To ciekawe — mruknąłem pod nosem. Nie miałem oczywiście na myśli okoliczności jego śmierci, lecz informację o lewych interesach.

Kamila udąła, że tego nie słyszała. Chyba ona nie dostrzegła w tym niczego ciekawego.

— Rozmawialiśmy też z kilkoma innymi uczestnikami kolonii, ale nikt nie potrafił powiedzieć nam więcej niż ta Burzyńska od sushi. Nasi informatycy dostali się też do danych zapisanych w laptopie Mateusza, ale jak się pewnie domyślasz, nie prowadził żadnego pamiętnika.

— Na pewno nie na tym komputerze — parsknąłem śmiechem. — Ten laptop tak naprawdę nie należał do niego, tylko był przechodni. Pozostawał w dyspozycji szkolnego księgowego. Nie wiem, czy były tam jakieś inne programy oprócz Excela.

Kamila była wyraźnie zdumiona.

— Myślałam, że każdy nauczyciel ma służbowy komputer — stwierdziła, udowadniając przy tym, że kompletnie nie zna realiów.

— Kochana, szkoła to nie amerykańska korporacja — zauważyłem rozbawiony, omijając jednocześnie małego fiata bez świateł, który wyjechał mi z podporządkowanej drogi wprost przed maskę. — Nie mamy służbowych laptopów. W klasach są komputery stacjonarne, zalogowane w szkolnej sieci. Są w nich elektroniczne dzienniki lekcyjne, konspekty zajęć, różne nasze notatki. Ale te komputery nie należą do nas. Mamy na nich jedynie swoje konta, na które i tak nie możemy nic sobie wgrać. Gdyby nie te ograniczenia, to podczas wszystkich

sprawdzianów grałbym w „Cywilizację”. To taka gra turowa, w której... — pokrótce opisałem jej, o co chodzi w mojej ulubionej grze, ale nie połknęła bakcyła.

— To bardzo ciekawe — skwitowała suchym tonem. — Daj mi znać, jak już dorośniesz.

Przekomarzaliśmy się jeszcze przez chwilę, ale wkrótce się rozłączyliśmy. Ona miała mnóstwo roboty związanej ze śledztwem, a ja prowadziłem samochód. Wlokłem się odcinkiem między Węgrowem a Wyszkowem, co chwila wjeżdżając do kolejnej strefy zabudowanej.

Aśka zainteresowała się komputeryzacją szkół. Temat wydał jej się fascynujący ze względu na fakt, że kiedy przed czterema laty kończyła szkołę, komputerów jeszcze nie było. Oboje słabo znaliśmy się na informatyce, więc rozmowa przypominała trochę dialog polityków, którzy udają, że ze wszystkim są na bieżąco.

— To chyba nie jest intranet — tłumaczyłem jej, chociaż nie byłem tego w stu procentach pewny. — Do części zawartości stron mają dostęp także rodzice. Logują się ze swoich komputerów, wpisując swoją nazwę użytkownika i indywidualne hasło. Normalnie, przez internet. Po zalogowaniu mają dostęp do ocen, uwag, planu zajęć i różnych informacji organizacyjnych. Mogą też wysyłać nam wiadomości.

— Fajnie — skwitowała Aśka z wyraźnym entuzjazmem.

— Nie bardzo — pokręciłem głową. — Pewnie trudno ci to sobie wyobrazić, ale niektórzy rodzice są... jak by to powiedzieć... nadopiekuńczy. Nie! — Postanowiłem nie owijać w bawełnę. — Część z nich jest kompletnie szalona. Jedna z mamus wysyłała mi kiedyś po piętnaście wiadomości dziennie. Zwracała się do mnie z każdą pierdołą. Że za dużo zadane albo za mało, że jej synek chodzi na zajęcia z modelarstwa, że ma uczulenie na laktozę, że w zimie bolą go migdałki, że nie lubi się z Andrzejem Kowalskim z klasy Id, że podoba mu się Zuźka, ale to nie jest dziewczyna dla niego, że jego koledzy z klasy strasznie przeklinają... I tak w koło Macieju. Gdybym chciał odpisywać na każdy list, to nie robiłbym nic innego. Pisała też do innych nauczycieli i, co ciekawe, nigdy się nie powtarzała. Musiała spędzać na szkolnym portalu całe dni i większość nocy. Ona była najgorsza, ale byli też inni. Jeden tatuś regularnie mi ubliżał, a z kolei jedna z mamus



pisala mi erotyczne wiadomości. To ostatnie było zresztą bardzo zabawne. Udostępniałem jej listy innym nauczycielom i pół szkoły miało niezły ubaw. „Pragnę, abys mnie rozchylił i wślizgnął się najgłębiej, jak potrafisz...”.

— Co proszę? — Aśka lekko się zarumieniła.

— Tylko cytuję. Było kilka plusów. Na początku nie mogliśmy oderwać się od komunikatora i non stop przesyłaliśmy sobie wiadomości. Teraz, po trzech latach, już nam się to znudziło. Za to niezmiennie fajne jest to, że po wpisaniu swojego hasła każdy z nas ma trochę miejsca na dysku. A może nie na dysku, tylko w chmurze? Nie wiem. W każdym razie trzymam tam wszystkie swoje zdjęcia, plik ze swoją pracą magisterską, różne konspekty.

— A uczniowie? Czy oni mogą się logować na tę... platformę?  
— Najwyraźniej zabrakło jej lepszego słowa.

— Teoretycznie do osiemnastego roku życia nie mogą, ale w praktyce logują się na konta swoich rodziców. Gdybym osobiście nie poznał tej mamuski od erotycznych listów, to podejrzewałbym, że to dzieło jednego z uczniów. Ale w tym przypadku nie mogło być wątpliwości. W realu mamuska była jeszcze bardziej napalona niż w sieci. Gdyby nie koleżanka, która pojawiła się dosłownie w ostatnim momencie, to musiałbym ją chyba obezwładnić.

— Aż taka była paskudna? — zakpiła Aśka i pograżyliśmy się w przyjacielskiej sprzeczce.

Byliśmy kilka kilometrów przed Serockiem, kiedy zadzwonił jej telefon. Po rozgorączkowanym głosie odgadłem, że dziewczyna rozmawia ze swoją mamą. Kobieta chyba do tego stopnia stęskniła się za jedyną córką, że postanowiła za wszelką cenę sprowadzić ją do domu. Nawet jeżeli miałyby się to wiązać z zaproszeniem mnie na kolację.

Kto wie, może nawet dałbym się namówić, gdyby nie myśl, która powstała w mojej głowie kilkanaście kilometrów wcześniej. Rozmawiając ze swoją towarzyszką o zaletach i wadach szkolnej sieci, przypomniałem sobie jeden drobny szczegół, który mógł mieć kolosalne znaczenie dla prowadzonego przez nas śledztwa.

Otóż policja, nie mając wiedzy o zasadach funkcjonowania szkolnej sieci komputerowej, poprzestała na sprawdzeniu laptopa,

w którym były tylko suche cyferki księgowych obliczeń. A ja wielokrotnie byłem świadkiem, jak Mateusz klepał w klawiaturę stojącego w pracowni geograficznej peceta. Wiedziałem, że swoje notatki zapisuje na swoim szkolnym koncie. Pewnie były to rzeczy dotyczące tematów lekcji albo uczniów, ale nie mogłem pominąć tego wątku. Mój przyjaciel miał aspiracje literackie i chętnie przelewał na papier to, co leżało mu na wątrobie. A nuż, widelec na należącej do niego partycji znajduje się coś, co mogłoby nam się przydać...

Tym bardziej że szkolne konto było jedyną informatyczną przestrzenią, do której dostęp miał tylko on. W domu współużytkownikiem jego prywatnego komputera była przecież Janka.

Odwiozłem dziewczynę do rodzinnego domu i przekazałem ją w ręce stęsknionych rodziców. Potem wymówiłem się grzecznie od kolacji, dostrzegając przy tym, że moja odmowa przyjęta została z lekko tylko skrywanym entuzjazmem. Najwyraźniej zostałem uznany za zbyt starego jak na kandydata na narzeczonego. Nie zmartwiło mnie to, a mój humor jeszcze się poprawił, gdy Aśka zgodziła się pożyczyć mi swój samochód.

Gdy podjechałem pod szkołę, było kilka minut po dwudziestej pierwszej. Słoneczna tarcza chowała się właśnie za horyzontem, ale było jeszcze zupełnie jasno. Padałem z nóg ze zmęczenia, które ogarnęło najwyraźniej także mój umysł, dopiero bowiem przy szkolnej furtce zorientowałem się, że budynek najprawdopodobniej będzie zamknięty.

I rzeczywiście był. Dwukrotnie kopnąłem z frustracją szkolne drzwi, po czym przypomniałem sobie o rejestrującej me ruchy kamerze. Odwróciłem się w jej kierunku i od niechcienia pomachałem ręką. Zdałem sobie sprawę, że to wszystko i tak było bez znaczenia. Nawet gdybym dostał się do szkoły, to i tak nie znałem hasła do konta Mateusza. Wiedziałem, że z racji wykształcenia mój kolega preferował hasła od nazw geograficznych, ale ta wiedza do niczego by mi się nie przydała. Bo przecież trochę tych nazw jednak było. Zanim wypisałbym wszystkie miasta takiej Afryki, moje włosy zapewne przyprószyłyby siwizna.

Przez chwilę stałem bezradnie, a potem przypomniałem sobie o Karolu. Mój przyjaciel był przecież szkolnym informatykiem.

Wystukałem z pamięci jego numer telefonu i cierpliwie czekałem na połączenie.

Gdy w końcu odebrał, prawie nie mogłem go zrozumieć. Nie był jeszcze pijany, ale jego słowa zagłuszała głośna muzyka. „Będę kawalerem, aż do końca świata...” — usłyszałem w tle zawodzący głos wokalisty weselnej kapeli.

— Jesteś w Grandzie? — wrzasnąłem kilka razy, aż wreszcie mnie usłyszał.

— Tak! — odkrzyknął i mówił coś dalej, ale jego głos utonął w zgiełku, nad który unosił się ambitny tekst piosenki: „Będę kawalerem, to mi się opłaca, żeby ciemną nocą dziewczyny obracać”.

Zaśmiałem się w duchu i zakończyłem połączenie. Nie wiedzieć czemu, ale ta piosenka skojarzyła mi się właśnie z informatykiem. Mimo dobrej trzydziestki na karku wciąż z upodobaniem tkwił w stanie kawalerskim. I chociaż zazwyczaj nie „obracał” przypadkowo poznanych dziewczyn, to od czasu do czasu zdarzały mu się namiętne przygody, o których później z pasją opowiadał — oczywiście, jak przystało na dżentelmena, bez zbędnych szczegółów. Mentalnie miał w tych sprawach wciąż dwadzieścia lat i paradoksalnie między innymi dlatego go lubiłem. W jego towarzystwie czułem się mądrzejszy i bardziej dojrzały.

Sala weselna Grand znajduje się kilka kilometrów od Legionowa, na granicy Stanisławowa i Nieporętu. Byłem tam kiedyś na weselu kolegi, więc nie miałem problemów z trafieniem. Brama była przymknięta, ale gdy tylko podjechałem, ktoś mi otworzył. Okrążyłem rozświetlony budynek i znalazłem miejsce na zatłoczonym parkingu. Zaraz potem zlokalizowałem Karola w centrum grupki palaczy.

Ucieszyłem się, że nie muszę w swoim luźnym stroju wchodzić do środka eleganckiej sali balowej. Podeszedłem do kolegi i klepnąłem go w ramię. Wyraźnie się na mój widok rozpromienił.

— Stary, ale dałeś wczoraj czadu! — stwierdził z podziwem.  
— Dzwoniłem dzisiaj do ciebie kilka razy, ale nie odbierałeś. Wszystko w porządku?

— Tak — potwierdziłem. Rzeczywiście do mnie dzwonił, ale wtedy nie miałem czasu, by z nim rozmawiać. — Przejdźmy się

— pociągnąłem go za sobą w głąb czegoś, co przypominało skrzyżowanie parku z ogrodem. I było bardzo zadbane.

Od czasu, gdy byłem pod szkołą, zdążyło się ściemnić. Wokół nas cykały świerszcze. Przez chwilę delektowałem się rzadką w ciągu tego dnia chwilą spokoju, ale wnet zaburzyła ją seria wypowiedzianych damskim głosem przekleństw. A potem zza ściany krzewów wypłynęła dziewczyna w długiej białej sukni, ściskająca w ręku równie białe pantofle. Wrażenie było tak surrealistyczne, że aż się wzdrygnąłem, a przez moją głowę przemknęło kilka metafizycznych historii o białych damach. Karol parsknął śmiechem.

— Nie bój się, Tomeczku! To nasza kochana panna młoda.

— Odwal się — warknęła dziewczyna bełkotliwym głosem.

Zdałem sobie sprawę z dwóch rzeczy: że to ona przed chwilą przeklinała i że ma już nieźle w czubie. Zrobiło mi się jej żal, ale Karol najwyraźniej świetnie się bawił.

— Haneczko, może lufę? — Nie wiadomo skąd wydobył piersiówkę i wyciągnął ją w kierunku dziewczyny. — Zdrowia — dodał, a ona pociągnęła spory łyk.

— Dzięki, chłopaki. — Złożyła na naszych policzkach po dwa mokre pocałunki i pożeglowała w stronę sali weselnej, lekko chwiejąc się na nogach.

— Ale wesele — zatarł ręce mój przyjaciel. — Świadkowa rzygała już o dwudziestej. Leży teraz tam. — Wskazał ręką w swoją prawą stronę i rzeczywiście dojrzałem tam leżącą sylwetkę kobiety przykrytej marynarką.

Wbrew sobie się roześmiałem.

— A jej mąż? Chłopak? Ktokolwiek? — spytałem zdumiony.

— Obraził się na nią i pije. Jeszcze godzinka i też się go tutaj położy.

Machnąłem ręką. W końcu to nie były moje sprawy. Opowiedziałem Karolowi o tym, co mnie gnębiło.

— To żaden problem — stwierdził mój przyjaciel. — Nie chwaleb się tym, ale obejście takiego hasła to dla mnie pestka. Daj mi dziesięć minut — powiedział i oddalił się w stronę sali.

Wrócił już po minucie, ściskając w ręku niewielki neseser,

z którego wydobyl minilaptopa.

— Na wesele z komputerem? — zapytałem z politowaniem.

— Informatycy już tak mają — burknął, a ja z entuzjazmem poklepałem go po ramieniu. Chciałem go nawet uściskać, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. Takie okazywanie emocji nie było w moim stylu. Usiadłem obok niego na ławeczce i patrzyłem, jak łączy się z internetem, a potem włamuje się na konto Mateusza.

— Już? — zdziwiłem się, gdy po kilku chwilach wręczył mi laptopa.

Na pulpicie było kilkanaście plików. Rozpoznałem ikonki Excela, Worda i PowerPointa. Nazwy nic mi nie mówiły, więc otwierałem je po kolei. Niestety niemal wszystkie pliki nie zawierały nic więcej oprócz planów lekcji, list uczniów, prezentacji i konspektów zajęć. Z wyjątkiem jednego, którego nie mogłem otworzyć, opisanego jako „xxx”.

— Tu jest hasło — poskarżyłem się Karolowi, a on zaczął uderzać w klawisze swoimi szczupłymi palcami.

— Już nie ma — powiedział po chwili z firmowym uśmiechem, a ja pospiesznie kliknąłem w ikonkę i otworzyłem dokument Worda.

Przebiegłem wzrokiem kilka pierwszych wersów i poczułem, jak włosy stają mi dęba. Miałem przed oczami coś, czego nie spodziewałem się w najśmielszych snach. Plik zawierał spowiedź Mateusza. Nagle wszystko stało się przerażająco jasne.

*Obudził go szelest gazety. Podniósł ciężką od snu głowę i z wyrzutem popatrzył na kolegę, z którym dzielił pokój w niewielkim ośrodku kolonijnym w okolicach Augustowa. W przeciwieństwie do niego jego współlokator był rannym ptaszkiem.*

*— Porąbało cię, gamoniu?! — zapytał zirytowany, ale irytacja nie zrobiła na jego koledze najmniejszego wrażenia.*

*— Co, wódka była za ciepła? — zaśmiał się Szymon Pełka i odłożył gazetę. — Wstawaj, leniu. Już siódma!*

*Klnąc pod nosem, Mateusz Kownacki zwlókł się z barłogu i doczłapał do łazienki. Jego grupa zaczynała śniadanie już za dwa kwadranse. Nie rozumiał, skąd wzięły się te chore godziny. Gdyby to od niego zależało, śniadanie wydawane byłoby dopiero od dziesiątej.*

*Ochlapał wodą podpuchnięte po wczorajszym pijaństwie oczy i zerknął w kierunku kabiny prysznicowej, ale machnął ręką. Na niebie nie było ani jednej chmurki, więc i tak niedługo wykąpie się w jeziorze.*

*— Do dupy z takim wypoczynkiem — westchnął, wróciwszy do pokoju. A potem zaczął się niemrawo ubierać.*

*— Nikt nie mówił, że będzie lekko. A poza tym zarabiamy tu pieniądze. — Pełka był urodzonym optymistą. Pracowali ze sobą już trzy lata, a Mateusz jeszcze nigdy nie widział go w złym humorze.*

*— Daj spokój, to są przecież jakieś marne grosze — westchnął w odpowiedzi, ale bez przekonania. Dochód wychowawcy nie był wprawdzie zbyt wielki, ale obaj dorabiali do niego w inny, niezupełnie legalny sposób. Pieniądze, które czerpali z tajemniczej działalności ich dyrektora, niemal trzykrotnie przewyższały to, co zarabiali oficjalnie.*

*— Słuchaj, na czym dokładnie polega ten interes Hołowni?*

*Pełka uśmiechnął się kpiąco i wzruszył ramionami.*

*— Podobno ma jakiś układ na żarciu, ale szczerze mówiąc, nie zauważyłem, by było jakieś specjalnie gorsze. Jest tak samo niedobre jak ostatnio. Generalnie mam to gdzieś. Miło z jego strony, że daje nam dorobić i nie żąda niczego w zamian.*

*— Ty pomyśl, ile musi z tego wyciągać, skoro opłaca mu się nam tyle płacić za dyskrecję — zauważył Mateusz, znów przygnębiony. Ta ostatnia połówka, wypita dobrze po północy, była zupełnie niepotrzebna.*

*— Ludzie to robią interesy, nie ma co — burknął, pocierając nieogolony policzek, po czym wciągnął na tyłek postrzępione džinsy.*

*— Nie łam się, młody. — Pełka żartobliwie poczochnął go po brudnych włosach i poderwał się na nogi. Wcale nie był starszy, ale mimo skończonych dwudziestu ośmiu lat Mateusz wciąż wyglądał jak nastolatek. Był chudy jak śmierć, a na jego twarzy nie było ani jednej zmarszczki mimicznej. — Chodź, idziemy — dodał dziarskim tonem, nie okazując po sobie śladów męczącego go kaca. A potem pociągnął ziewającego Mateusza za sobą.*

*O wpół do ósmej rano był w budynku jedyną osobą, która tryskała energią. Ospali byli nawet uczniowie — większość z nich wyglądała tak, jakby dopiero co wyszli z łóżek, co w gruncie rzeczy odpowiadało prawdzie. Wchodzili na stołówkę niczym zombie. Stolik nauczycielski*

również świecił pustkami. Jediną osobą, która przy nim siedziała, był młodszy brat dyrektora, Jasiek Hołownia.

— Cześć, panowie — powitał ich, gdy zagnali niesforną młodzież do stolików. — Jak się spało?

Patrzył na nich podejrzliwie. Chociaż był tutaj tylko gościem, to nie pochwalał ich stylu życia. Gdyby zależało to od niego, na pewno zabroniłby im spożywania alkoholu. Na szczęście jego starszy brat był z innej gliny. W ogóle się ich nie czepiał, zresztą sam często zaglądał do kieliszka.

Mateusz od czasu do czasu odnosił wrażenie, że młodszy z Hołowniów zdecydowanie lepiej pasowałby na dyrektora liceum, ale zwykle szybko tę myśl przeganiał. Ich dyrektor miał wiele słabości, ale miał też w sobie coś, czego nie dało się kupić lub wytrenować: charyzmę. A poza tym to dzięki niemu dorabiali sobie do pensji. Młodszy z braci był zdecydowanie bardziej pryncypialny, przez co raczej nie cieszył się popularnością.

Geograf i Pelka także za nim nie przepadali. Mruknęli coś niewyraźnie w odpowiedzi i poczęli niespiesznie przeżuwać jedzenie. Po kilku minutach do ich stolika przysiadł się następny z opiekunów, pan Leopold. Wyglądał nieświeżo, ale u niego nie była to kwestia alkoholu, gdyż nigdy nie wypijał więcej niż jednego drinka przed snem. Matematyk po prostu nie znosił młodzieży i każdy dzień kolonii był dla niego męczarnią.

— Dzień dobry — skłonił się w ich stronę, po czym posłał błądy uśmiech Janowi Hołowni. — A gdzie się podział nasz dyrektor? — zagaił.

Jan Hołownia wzruszył ramionami, puszczając jego pytanie pomimo uszu. Zresztą pytanie to było zupełnie retoryczne. Niemal wszyscy na koloniach wiedzieli, że Maciej Hołownia lubił sobie pospać i nie wychodził ze swojego pokoju przed dziewiątą.

I niemal wszyscy byli w grubym błędzie. Jediną osobą, która wiedziała, gdzie tak naprawdę przebywa dyrektor, był jego brat. Ale nie zdradziłby tego nawet na torturach.

Maciej Hołownia lubił sobie pospać, ale akurat o tej porze nie mógł sobie pozwolić na sen. Zamiast przewracać się właśnie na drugi

*bok, od kilkunastu minut przebywał w przeznaczony dla nauczycieli łazience, stojąc w ciasnej kabiny prysznicowej. W tym obrazku nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie dwa szczegóły: z prysznic nie leciała woda, a dyrektor był kompletnie ubrany. Sięgał ręką niemal pod sam sufit, zawzięcie gmerając w otworze wentylacyjnym. Zakrywająca ten otwór kratka stała na podłodze u jego stóp.*

*Tymczasem śniadanie dobiegło końca. Po śniadaniu uczniom teoretycznie przysługiwał wolny czas, ale w praktyce kadra kierowała ich do łazienek, aby choć pobieżnie zadbali o higienę. Mateusz miał wrażenie, że gdyby nie polecenia z jego strony, znaczna część uczniów w ogóle nie wchodziłaby w interakcję z mydłem. Co było szczególnie szokujące, wśród brudasów było niemal tyle samo chłopców, co dziewcząt.*

*Wraz z Pelką podzielili rozbrykaną młodzież na dwie grupy — chłopców oraz dziewcząt — i poprowadzili je w kierunku natrysków. Mateuszowi, w wyniku zawartej umowy, przypadły dziewczyny. Szymon, który był przystojnym facetem i zwykle nie mógł się opędzić od podkochujących się w nim nastolatek, poprosił go o tę drobną przysługę już pierwszego dnia kolonii. Pilnowanie rozchichotanej kolejki składającej się z owiniętych w same ręczniki nastolatek było dla niego szczególnie niezręczne.*

*Mateusz też czuł się dziwnie wśród roznegliżowanych dziewczyn. Oczywiście jego zadanie nie polegało na pilnowaniu, czy aby każda z jego podopiecznych umyła włosy, ale musiał być w pobliżu ze względów bezpieczeństwa. Dyrektor Hołownia szczególnie tego pilnował. Na poprzednich koloniach jedna z dziewcząt zasłała pod prysznicem i gdyby nie ocknęła się sama, prawdopodobnie leżałaby na podłodze kabiny aż do wieczora.*

*Znaczna część spośród uczennic — piętnasto- i szesnastoletnich dziewcząt — zachowywała się prowokacyjnie. Mateusz z przerażeniem obserwował, że i tak już luźne obyczaje z roku na rok robiły się coraz luźniejsze. Ale na szczęście nie wszystkie dziewczyny były odlane z tej jednej, zbyt frywolnej formy. Na przykład najładniejsza spośród nich — Agata Opiola — w przeciwieństwie do koleżanek nie chichotała idiotycznie, tylko siedziała na krześle i czytała książkę.*



*Była o wiele dojrzała od swoich koleżanek. Wynikało to po części z wychowania, a po części z trudnego dzieciństwa naznaczonego śmiercią ojca i postępującym kalectwem matki. Bardzo przy tym lubiła Mateusza, który w pełni odwzajemniał jej sympatię. Jak tyle razy przedtem, także i teraz odszukała go wzrokiem.*

*— Piękna pogoda, panie profesorze — zagadnęła go i po chwili pogrążyli się w żartobliwej, niezobowiązującej rozmowie.*

*Czas mijał szybko. Stali ramię przy ramieniu i w pewnym momencie odkryli, że zostali sami.*

*— I dobrze — ucieszyła się nastolatka. — Nie lubię się z nimi myć. Cały czas chlapią i się wygłupiają. Zupełnie jakby miały po dwanaście lat.*

*Mateusz zerknął na zegarek. Dochodziła już dziewiąta.*

*— Słuchaj, zbiorę grupę i będziemy się kierować nad wodę. Dogonisz nas?*

*— No pewnie — pokiwała głową, zabierając z ławki swoją kosmetyczkę.*

*— Tylko mi tam nie zasłabnij — zażartował na odchodne.*

*Agata była okazem zdrowia, więc żadne omdlenia nie wchodziły w grę. Weszła do pomieszczenia, w którym były natryski, i dokładnie zamknęła za sobą drzwi. A potem rozebrała się do naga i puściła strumień letniej wody.*

*Przez chwilę rozkoszowała się jej chłodnym dotykiem, a potem sięgnęła po mydło i zaczęła rozprowadzać po całym ciele kremową pianę. Namydliła się od czubka głowy po pięty, a potem sukcesywnie się spłukiwała, w ogóle się z tym nie spiesząc. Zaczęła od głowy, a potem przesuwiała się w dół. Wreszcie pochyliła się, aby opłukać łydki i stopy.*

*Wtedy zorientowała się, że coś jest nie tak.*

*Nieco ponad górną krawędzią glazury mrugało do niej coś w rodzaju szklanego oka. Przez chwilę wpatrywała się w nie bezmyślnie, a potem wyszła spod prysznicza i stanęła na palcach. Szklane oko przez chwilę tkwiło nieruchomo, a potem wycofało się w głąb ściany. I pewnie uznałaby to wszystko za przywidzenie, gdyby po tym „oku” nie została w ścianie wyraźna dziura o średnicy kilku centymetrów.*

*Dziura była za wysoko, by w nią zajrzeć, ale Agata nie była*

naiwna. Natychmiast zrozumiała, że ktoś usiłował ją podglądać. Nie wiedziała, czy „oko” było lusterkiem, czy raczej soczewką, ale nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia. Zgrzytając ze złością zębami, wytarła się pospiesznie, po czym — owinięta jedynie w kusy ręcznik — wypadła na korytarz.

Łazienka dziewcząt sąsiadowała z pomieszczeniem, do którego prowadziły matowe drzwi nieopatrzony żadnym numerem. Agata dopadła do nich niczym wściekła tygrysyca, szarpnęła za klamkę i wpadła do środka. Pomieszczenie to również okazało się łazienką, tyle że o wiele bardziej elegancką. Kabin prysznicowe miały tutaj ściany z matowego pleksi. Agata z przerażeniem dostrzegła, że w jednej z tych kabin miotła się w pośpiechu jakaś wysoka postać.

— Ty zboczeńcu! — krzyknęła głośno, a w jej głosie nie było pobłażliwych nut. Była wściekła niczym osa i nie zamierzała patyczkować się z podglądaczem. — Wylecisz ze szkoły — zagroziła i odsunęła drzwi. A potem osłupiała.

W kabinie był dyrektor Hołownia. W ręku trzymał niewielką kamerę z wąskim obiektywem.

Przez moment miała wrażenie, że śni. To, co odkryła, chwilowo nie mieściło się jej w głowie. Podświadomie szukała wytłumaczeń dla dyrektora. Chciała, by to wszystko okazało się jakąś kolosalną pomyłką, o której będzie potem opowiadać ze śmiechem swojej najlepszej koleżance, Kaśce Burzyńskiej. Albo fatamorganą — marzyła, by obraz dyrektora się rozmazał... Żeby zamiast niego ujrzeć pod prysznicem jakiegoś pryszczatego piętnastolatka z zawstydzoną miną.

Ale obraz nie zniknął. Siwiejąca broda dyrektora zastygła kilkanaście centymetrów od jej zszokowanej twarzy.

— Co pan robi? — spytała drewnianym głosem, robiąc jednocześnie kilka kroków do tyłu. — Co to jest? — dodała, wskazując na ścisną w jego ręku kamerę.

Hołownia wyglądał tak jak mężczyzna porażony piorunem. Przez chwilę poruszał ustami jak wyjęta z wody ryba.

— Spokojnie, moje dziecko. Tylko spokojnie — wybełkotał wreszcie. — To wcale nie jest tak, jak myślisz.

Ale jego słowa wcale nie sprawiły, że Agata poczuła spokój. Wręcz

*przeciwnie. Z każdą sekundą była coraz mniej spokojna.*

*— Co pan ma w ręku? — spytała drżącym głosem. — Czy pan... Czy pan mnie filmował? — W jej oczach zalśniły łzy. Rozżalenia, ale też wściekłości.*

*— Ależ skąd! — zaprzeczył natychmiast Hołownia. — Co za niedorzeczny pomysł. Ja po prostu... — zawiesił głos, tak jakby zabrakło mu słów.*

*Ale nie mógł wymyśleć na poczekaniu żadnego powodu, dla którego celował przed chwilą obiektywem przez dziurę w ścianie damskiej łazienki.*

*Agata miała niecałe szesnaście lat, ale była jak na swój wiek bardzo dojrzała. Czytała gazety, oglądała telewizję, rozmawiała z ludźmi... Wiedziała, że to, co zrobił przed chwilą jej dyrektor, było ze wszech miar niedopuszczalne. W jej głowie narodziła się myśl, by zgłosić sprawę na policję.*

*— Rozumiem — odpowiedziała z fałszywym spokojem, przesuając się powoli w stronę drzwi. — Przepraszam, że tak na pana naskoczyłam — ciągnęła, wymacując lewą dłonią klamkę. — Nie powinnam tu wchodzić, bardzo mi przykro. — Jej palce zacisnęły się na metalu, a mięśnie nóg sprężyły się, przygotowując do biegu.*

*Teraz! Usiłowała nacisnąć klamkę, ale nie doceniła refleksu swojego dyrektora.*

*Hołownia był na siebie wściekły. Nie mógł sobie darować, że dał się aż tak przyłapać tej nieopierzonej smarkuli. Pozorna łatwość, z jaką realizował ostatnio swoje zamierzenia, zupełnie uspiła jego czujność. Był tak zaskoczony, że miał kłopot z zebraniem myśli i nie zdołał powiedzieć niczego, co zabrzmiałoby choć trochę wiarygodnie. Wyczuł, że dziewczyna zupełnie go rozgryzła i — zamiast zrobić mu awanturę — postanowiła wezwać pomoc. A do tego dopuścić przecież nie mógł.*

*— Stój! — ryknął i wyskoczył z kabiny. W jednym ręku trzymał kamerę, ale druga pozostała wolna. Złapał nią dziewczynę za włosy i wciągnął z powrotem do łazienki. Wiedział, że nie ma dużo czasu. — Zamknij się! — szarpnął ją gwałtownie, zrywając z niej ręcznik.*

*Stała przed nim kompletnie naga.*

*— Niech pan nie robi mi krzywdy — wyszeptała drżącym głosem.*

*Była blada jak śmierć.*

*— Ubierz się — powiedział z niesmakiem. — No już, nie stój tak. Nie jestem pedofilem.*

*Agata podniosła z ziemi ręcznik i szybko się nim okryła. A potem dotarły do niej jego ostatnie słowa.*

*— Nie jest pan... — powiedziała ze zdumieniem. — No to dlaczego mnie pan podglądał?*

*„Przynajmniej nie próbuje krzyżeć” — skonstatował w duchu Hołownia. A potem, pod wpływem impulsu, postanowił ją nastraszyć.*

*— Patrz tutaj — otworzył kamerę i przez kilkanaście sekund pokazywał jej fragmenty nagrania, na którym stała naga pod prysznicem. Nie było to jedyne jej nagranie. Na kasetach miał już kilka filmików z jej seansów pod prysznicem. Ile dokładnie? A kto by to liczył. — Jeżeli szepniesz komuś chociaż słówko... chociaż pół sylaby, to ten film dostaną wszyscy twoi znajomi. I wszyscy zobaczą, jakiego wstrętnego pryszczaka masz na lewym półdupku — dodał, przyglądając się obojętnie zapisowi kamery.*

*Oczywiście blefował. Nie mógł pokazać tego filmu nikomu, bo sam fakt jego nakręcenia stanowiłby dla niego bilet za kraty. Ale strzał był celny. Dziewczyna zbladła i zachwiała się na nogach. O mały włos padłaby bez czucia.*

*— Nie może pan — jęknęła, a on w duchu pogratulował sobie pomysłowi.*

*— A chcesz się założyć? — uśmiechnął się cynicznie, po czym wskazał palcem drzwi. — Wynoś się stąd natychmiast i zapomnij o tym, co widziałas — rozkazał, a potem w lekceważącym geście odwrócił się do niej plecami.*

*Lekceważenie to było udawane. Hołownia był przerażony tym, jak niewiele dzieliło go od wpadki. Uspokajał się myślą, że smarkulę po prostu przeniesie się do innej szkoły, a poza tym przecież nikt jej nie uwierzy. Ale wciąż trząsł się jak osika, nawet wtedy, gdy kilka minut później spotkał się na parkingu ze swoim bratem.*

*— Co jest, Maciek? Jedziemy? Jakoś dziwnie wyglądasz — powitał go Jan Hołownia.*

*Maciej opowiedział mu o tym, co zaszło przed chwilą.*

— Nie ma żadnego zagrożenia — podsumował, ale jego brat jak zwykle zaczął panikować.

— Po co nam to wszystko?! — jęczał, chwytając się za skronie. — Mówiłem, że to jest niebezpieczne, ale ty jak zwykle wiedziałeś lepiej.

Pomysł, by nagrywać licealistki pod prysznicem, podsunął Maciejowi Hołowni trzy lata wcześniej kierownik miejscowego ośrodka wypoczynkowego. Był to człowiek o mętnej przeszłości, który już nie raz robił z braćmi lewe interesy. Tym razem gra szła jednak o znacznie poważniejsze pieniądze niż te, które spływały do ich kieszeni przy przekrętach na wyżywieniu czy pościeli.

W Niemczech kwitł w tym okresie przemysł pornograficzny. Jednakże boom na obfite kształty profesjonalnych aktorek porno dawno już się skończył. Na czasie były natomiast nagrania z udziałem młodych amatek. Nie wiedzieć czemu, ale wśród niemieckich zboczeńców największym wzięciem cieszyły się filmy nakręcone z ukrycia. Maciej Hołownia podejrzewał, że chodziło tu o perwersję związaną z podglądaniem, ale tak w zasadzie to w ogóle o to nie dbał. Najważniejsze, że zgadzała się kasa. Kierownik ośrodka skontaktował go z niemieckim pośrednikiem, któremu przekazywał nakręcone pod damskim prysznicem filmy z nastolatkami i od którego odbierał okazałą gażę w niemieckich markach.

Gaża była tak okazała, że dla świętego spokoju odpałał dolę innym nauczycielom obecnym na koloniach: Szymonowi Pełce, Mateuszowi Kownackiemu i panu Leopoldowi. Nie wiedzieli, czym się zajmuje, ale i tak im płacił. Teoretycznie za dyskrecję, a praktycznie dlatego, że dzięki temu miał na nich haka. Wyjątkiem był tylko jego brat.

W przeciwieństwie do innych nauczycieli Jan Hołownia wiedział, czym zajmuje się jego brat, a przy tym nie brał od niego ani grosza. Starszy z braci podejrzewał, że junior ma mu za złe to amatorskie studio filmowe i nie donosi na niego tylko ze względu na więzy krwi. Cóż, Janek zawsze miał nadmierne skrupuły i dziwne opory moralne, które zdaniem Macieja wynikały z wrodzonego tchórzostwa.

Pojechali do Augustowa, gdzie starszy z braci miał spotkanie z niemieckim pośrednikiem. Za namową brata poinformował go, że na pewien czas zawiesza swoją działalność. A potem zjedli obiad

*i wczesnym wieczorem wrócili do ośrodka. Przy jego bramie czekał na nich czerwony z wściekłości Mateusz.*

*Po rozmowie z dyrektorem Agata była bardzo wystraszona. Schowała się w pokoju i długo łkała w poduszkę. Tak długo, że przebywający nad wodą Mateusz zaniepokoił się jej nieobecnością i postanowił sprawdzić, czy nic się jej nie stało. Znalazł ją dopiero późnym popołudniem, całą we łzach. Naciskał tak długo, aż mu o wszystkim powiedziała.*

*Maciej Hołownia rozważał taką ewentualność. Nie chciał żadnych świadków, dlatego nie zatrzymał się przy bramie, tylko podjechał samochodem pod budynek kolonii i udał się pospiesznie do swojego pokoju, popychając przed sobą brata. Mateusz dotarł tam kilka sekund po nich. Był tak wściekły, że w kącikach ust wystąpiła mu piana.*

*Bez zbędnych słów dopadł do dyrektora i rzucił się na niego z pięściami. Na szczęście nie był gladiatorem i bracia wspólnymi siłami zdołali go unieruchomić.*

*— Ty gadzie! — ryczał geograf. — Zniszczę cię! Nie zostanie po tobie nawet mokra plama...*

*Hołownia dał mu się wykrzyczeć. Co więcej, gdy do pokoju zastukał zaniepokojony hałasem matematyk, dyrektor zaprosił go do środka. A potem, gdy wreszcie po dobrych kilkunastu minutach zapadła cisza, wypowiedział jedno zdanie, które Mateusz i pan Leopold mieli zapamiętać do końca życia.*

*— Siedzicie w tym po same uszy...*

*Następnie wyjaśnił im, co miał na myśli. Mówił o pieniądzach od niemieckiego pośrednika, których część regularnie inkasowali, wspominał o tym, że sami pilnowali, by dziewczyny brały prysznic w tych godzinach, w których on czekał z kamerą.*

*— Nie wyplączcie się — groził. — Żaden sąd was nie uniewinni. Jeżeli szepniecie chociaż słówko, to pójdziecie na dno razem ze mną...*

*Matematyk już po kilku zdaniach wyglądał na przekonanego. Ale Maciej Hołownia wpatrywał się głównie w Mateusza. Wreszcie, gdy skończyły mu się inne argumenty, wyciągnął z torby kamerę.*

*— To przecież moja kamera — wybąkał zaskoczony Mateusz.*

*Dopiero po chwili przypomniał sobie, że przed dwoma tygodniami*

*pożyczył to urządzenie dyrektorowi. Perfidia dyrektorskiego planu sprawiła, że zupełnie stracił rezon.*

*— Twoja — potwierdził Maciej Hołownia. — Musiałem się jakoś zabezpieczyć. Kto teraz uwierzy, że mi ją pożyczyłeś, a ja kręciłem te filmy pożyczoną kamerą? Wszystkie podejrzania skoncentrują się na tobie i nawet jeżeli uda ci się wybronić, to pójdzie za tobą taka fama, że nie znajdziesz pracy nawet w Mongolii.*

*Mateusz miał łzy w oczach. Chciał się znowu rzucić na pryncypała, ale uznał, że nie ma to najmniejszego sensu.*

*— Nie będę więcej u ciebie pracował, ty zboczeńcu! Ty degeneracie! — ryknął i skrajnie zdenerwowany wybiegł z pokoju.*

*Była już pora kolacji, ale nie czuł głodu. Wściekłość szarpała go jak głodny szakal, więc postanowił przebiec się po lesie. Wiedział, co musi zrobić, a podczas biegu ta myśl jeszcze w nim okrzepła. Nie dbał o to, że straci pracę. Na pierwszym miejscu liczyła się dla niego krucha psychika zranionej i upokorzonej dziewczyny.*

*Przez kolejne lata nie było dnia, by nie wyrzucał sobie tego wieczornego biegu. Gdyby tylko mógł cofnąć czas, na pewno od razu udałby się na poszukiwanie Agaty i być może zdołałby zapobiec tragedii. Ale o tym nie pomyślał. Po obiedzie dziewczyna zadzwoniła do swojej matki i zanosząc się histerycznym szlochem, powiedziała jej, że zamierza odebrać sobie życie, wymieniając przy tym kilkakrotnie nazwisko dyrektora. Potem poszła na samotny spacer nad jezioro. Wróciła do pokoju punktualnie o dwudziestej — przywiązała do żyrandola sznurek od skakanki i po kilku minutach na jej szyi zacisnęła się przygotowana przez nią pętla.*

*Mniej więcej o tej porze podenerwowany nieobecnością Mateusza Maciej Hołownia postanowił jeszcze raz ją postraszyć. Niewiele myśląc, skierował się do jej pokoju i wtedy usłyszał dziewczęcy pisk. Po chwili wpadł do pokoju i najpierw zobaczył dwie przerażone uczennice, a potem wiszące bezwładnie ciało Agaty Opióły. W pierwszym momencie bardzo się przestraszył, ale potem zaczął intensywnie myśleć. Kiedy wzywał pogotowie i policję, na jego twarzy malowało się zadowolenie.*

*Zgarnął z korytarza pana Leopolda i Mateusza, który właśnie powrócił z przebieżki. Po chwili obaj mężczyźni znajdowali się w jego*

*pokoju. Liczyła się każda minuta.*

*— Panowie, doszło do tragedii — zaczął dyrektor i powiedział im o samobójczej śmierci Agaty. W jego twarzy było coś, co powstrzymało Mateusza od ponownego rzucenia się na niego z pięściami. — Dla sił porządkowych wszyscy będziemy podejrzani. Będą się pytać, dlaczego do tego doszło, ale będą się też pytać, kto pilnował bezpieczeństwa dzieci. A za to drugie odpowiedzialni jesteście właśnie wy!*

*Po jego słowach zapadła cisza. Mateusz pobladł, bo domyślił się, do czego zmierza dyrektor. Okazało się, że się nie pomylił. Hołownia wyciągnął z szafki przenośny alkomat.*

*Obaj mieli we krwi alkohol. Pan Leopold sęczył zwykle wieczorem jednego drinka, a Mateusz po obiedzie wypił wraz z Szymonem całe wino. Oczywiście żaden z nich nie był pijany, ale wskazanie alkometru było bezlitosne — urządzenie wykazało zero dwadzieścia sześć promila u matematyka i zero trzydzieści pięć u Mateusza. Byli ugotowani.*

*Przez całe lata Mateusz najbardziej wstydził się tego, że w tamtym momencie zapomniał o tragedii młodej dziewczyny, drżąc wyłącznie o własną skórę. Obrzydzeniem napawało go to, że z autentycznym zadowoleniem i ulgą przyjął pakt zaproponowany przez Hołownię. Pakt, który zakładał wspólne złożenie odpowiedzialności na barkach Bogu ducha winnego, zawsze uśmiechniętego Szymona Pelki, uwalniając przy tym od wszelkiej winy braci Hołowniów, Mateusza i pana Leopolda.*

*— Mnie i mojego brata od południa w ogóle nie było w ośrodku. Przecież oprócz was nikt nas nie widział. Mogliśmy równie dobrze być w Legionowie — podsumował Hołownia. — A wy mieliście dzisiaj wolne. Grupy pilnował kolega Pelka — dodał, nanosząc coś na kartce z nagłówkiem „Harmonogram dyżurów”.*

*Pakt został zawarty, ale od tego dnia Mateuszowi co noc śniły się koszmary. Próbował je zwalczyć na wiele sposobów — wysyłał Pelce paczki do więzienia, przysyłał pieniądze matce Agaty, starał się już zawsze postępować uczciwie... Ale wyrzuty sumienia nigdy nie odpuściły. Męczyły go aż do samego końca. Aż do śmierci.*

Skończyłem czytać kilka sekund przed Karolem. Mój kolega był błądy jak prześcieradło.



— O cholera — wymamrotał. — Co za paskudna historia. Myślisz, że rzeczywiście tak było? Przecież to nie mieści się w głowie...

Przez chwilę wpatrywałem się w bezchmurne niebo, na którym zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy.

— A dlaczego miałby zmyślać? — spytałem, po czym splunąłem z obrzydzeniem. — Ale rynsztok...

Przyjaźniłem się z Mateuszem przez pięć lat, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że może ukrywać przed światem tak bolesną tajemnicę. Starszy z braci Hołowniów perfekcyjnie wykorzystał jego słabość, chwytając go w imadło szantażu i skutecznie zamykając mu usta. W rezultacie Mateusz milczał wtedy, gdy należało dać świadectwo prawdzie. Wydawało mi się, że nie postąpiłbym tak, jak on. Ale kto mógł to tak naprawdę wiedzieć?

Podniosłem się ciężko z ławki, nagle bardzo zmęczony. Miałem ochotę szybko się upić, a potem spać przez dwanaście godzin. Ale oparłem się pokusie i odrzuciłem zaproszenie Karola, który zaoferował się, że wyniesie do ogrodu połówkę i z przyjemnością ze mną posiedzi. Mimo jego nieśmiałyh protestów poszedłem w stronę samochodu.

Z sali weselnej dobiegał zachrypnięty głos wokalisty.

— „Jesteś szalona, mówię ci”... — fałszował zapiewało, a przez szybę można było dostrzec falujący na parkiecie tłum.

— Innym razem, Karol — wymówiłem się grzecznie i zostawiłem go na parkingu, ruszając w drogę do domu.

Oczywiście w mieszkaniu wszyscy już spali. Policzyłem szybko, że to już czwarty raz z rzędu, kiedy wracam tak późno w nocy. Postanowiłem to zmienić i z tą myślą wskoczyłem do łóżka. Nakryłem się kołdrą po same uszy i zacząłem zapadać w sen. Byłem już o krok od rzucenia się w objęcia Morfeusza, gdy ogarnął mnie wewnętrzny niepokój. Po raz ostatni w ciągu tych szalonych dni odebrałem sygnał od swojej babci szeptuchy.

Zerwałem się z posłania i tłumiąc cisnące mi się na usta przekleństwa, z powrotem wciągnąłem na siebie spodnie i koszulkę. Wyleciałem z mieszkania jak z procy i niemal biegiem dopadłem do samochodu. Nie mogłem sobie darować, że umknęło mi coś tak oczywistego. Miałem nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

W przeciwnym wypadku znaczna część odpowiedzialności za kolejne morderstwo spadłaby na moje barki.

Uruchamiając silnik, wystukałem numer do Kamili. Po chwili usłyszałem w słuchawce jej zmęczony głos.

— Cały czas nic nie mamy — powiedziała, tłumiąc ziewnięcie.  
— Komendant zaraz dostanie ataku apopleksji, ale wciąż jesteśmy w punkcie wyjścia...

Chciała jeszcze coś dodać, ale brutalnie jej przerwałem. Nie miałem nawet sekundy do stracenia.

— O której wypuściliście z aresztu Hołownię? — spytałem, przyciskając mocno pedał gazu.

Przez chwilę zbierała myśli, podczas gdy ja aż skręcałem się z niecierpliwości.

— Został zwolniony przed dziewiętnastą, ale zanim został odwieziony do domu, było kilka minut przed dwudziestą — powiedziała wreszcie, a ja dokonałem szybkich obliczeń.

— Czyli ponad dwie godziny temu — stwierdziłem i jeszcze zwiększyłem prędkość. Pewnie było już za późno, ale nie zamierzałem się poddawać. — Dzięki, Kamila! — rzuciłem do słuchawki i przerwałem połączenie, wymijając jednocześnie wlokącego się passata.

Nie mogłem zrozumieć, jak mogło mi to umknąć. Przecież Jan Hołownia dał się zamknąć do więzienia tylko dlatego, że panicznie bał się zemsty Jarosława Michalika. Z chwilą opuszczenia bezpiecznych murów aresztu jego życie zawisło na cienkim włosku. Byłem niemal pewien, że od początku znajdował się na liście mordercy i teraz — po śmierci Matusza i pana Leopolda — pozostał jego jedynym, ostatnim już celem.

Dyrektor mieszkał w Wieliszewie, miejscowości położonej w dolinie Narwi, o pięć kilometrów od granic Legionowa. Pamiętałem, że jego dom stał w północnej części wsi, na granicy terenów zalewowych. Jadąc z nadmierną prędkością, minąłem budynek szpitala onkologicznego i kierując się na rozświetloną wieżę monumentalnego kościoła, dojechałem do dużego skrzyżowania w kształcie litery T. Przemknąłem przez nie na pomarańczowym świetle, skręcając w lewo. Za moment zahamowałem z piskiem opon pod całodobowym sklepem

i pomknąłem w stronę rezydencji dyrektora, znajdującej się w drugiej linii zabudowy. Przeskoczyłem przez płot miejscowej podstawówki i po chwili znalazłem się przy ogrodzeniu posiadłości młodszego z braci Hołowniów.

Dyrektor mieszkał w piętrowym domu z dużym tarasem. Nieruchomość prezentowała się niezwykle okazale, ale nie zwracałem na to uwagi. Wszystkie moje zmysły koncentrowały się na identyfikacji ewentualnego zagrożenia. Przez chwilę miałem wrażenie, że nic specjalnego się nie dzieje, ale nagle na moich oczach w całym domu zgasło światło, zupełnie jakby ktoś wykręcił korki.

Zrozumiałem, że przybyłem dosłownie w ostatnim momencie. Przesadziłem panterką ogrodzenie i położyłem się na mokrej od rosy trawie.

Przebijałem wzrokiem panującą wokół ciemność, aż wreszcie w pewnym momencie zauważyłem stąpający po omacku cień. Dyrektor Hołownia szedł wzdłuż frontowej ściany domu z wyciągniętą przed siebie ręką, kierując się w stronę garażu, w którym prawdopodobnie znajdowały się bezpieczniki. Miałem ochotę gwizdnąć ostrzegawczo, ale po pierwsze, nie chciałem demaskować swojej pozycji, a po drugie, dyrektor i tak by mojego sygnału nie zrozumiał. Dlatego tylko sprężyłem się w sobie, oczekując na nieuchronny atak.

Nieświadomy zagrożenia Hołownia wyciągnął tymczasem zapalniczkę i oświetlił na chwilę okolice bramy garażowej. W skaczącym blasku niewielkiego płomyka dostrzegłem na sekundę coś, co na pierwszy rzut oka skojarzyło mi się z polującym na ofiarę wampirem. „Wampir” znajdował się kilka kroków od dyrektora — wiedziałem, że nie ma dobrych zamiarów, więc podkuliłem nogi i zacząłem się ostrożnie czołgać.

Nie musiałem dbać o zachowanie bezwzględnej ciszy, bo i tak wszystko zagłuszał rechot miliona żab. Dochodził on z podmokłych terenów, przylegających do posesji Jana Hołowni i rozciągających się aż do oddalonej o ponad dwa kilometry Narwi. Zazwyczaj lubiłem te żabie odgłosy, ale tym razem bardzo mi przeszkadzały. Co z tego, że maskowały odgłosy mojego czołgania, skoro zagłuszały też wszystko inne, w tym szelest kroków skradającego się mordercy-wampira...

Przez moment wydawało mi się, że zdążę dotrzeć do Hołowni jako pierwszy i uda mi się uchronić go przed atakiem. Ale morderca był zwinny jak wąż. Zanim pokonałem połowę drogi, pojawił się nagle za dyrektorem i zacisnął dłonie na jego szyi. Hołownia wydał z siebie krótkie westchnienie, które utonęło w akompaniamencie żabich odgłosów, a potem zwiotczał i opadł ciężko na kolana, nawet nie usiłując się bronić.

Nie miałem sekundy do stracenia. Widywałem już w swoim życiu takie ataki i wiedziałem, że Hołowni zostało zaledwie kilka sekund życia. Tym razem morderca nie zamierzał się bowiem bawić w jakiegokolwiek inscenizację.

W przeciwieństwie do Mateusza i pana Leopolda dyrektor nie miał zawisnąć na sznurze. Nic jego żywota miała zostać przecięta przez garotę, czyli metalową strunę, która zaciśnięta wokół szyi błyskawicznie przecinała tchawicę. Pamiętałem takie urządzenia z Afganistanu. Były zabójczo skuteczne.

Kolejne ruchy Michalika sprawiły, że poczułem suchość w gardle. Miałem wrażenie, jakbym uczestniczył w pokazie zręczności w pozbawianiu życia. Zrozumiałem, że morderca jest wyszkolonym w sztuce zabijania żołnierzem-komandosem. Czyli kimś takim jak ja.

Krzyknąłem, chcąc odwrócić jego uwagę, ale zareagował jak profesjonalista. Nie przerwał oprawiania zastygłego z przerażenia Hołowni, a w moją stronę posłał jedynie krótkie spojrzenie. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że znajdowałem się zbyt daleko, by w jakikolwiek sposób mu zagrozić. Był w lepszej sytuacji, bo zawsze lepiej się bronić niż atakować. To ja byłem na musiku, a on mógł spokojnie czekać na mój atak. I jednocześnie pozbawiać życia Hołownię.

W upiornym blasku księżycy jego postać wydała mi się straszna. Był chudy jak śmierć, a jego zastygła w nienawistnym grymasie twarz z głębokimi oczodołami przywodziła na myśl nagą czaszkę, szczerzącą pożółkłe zęby w makabrycznym uśmiechu. Był niewysoki, ale może właśnie dzięki temu jego ruchy wydawały się doskonale skoordynowane. Tańczył na małych stopach, a ściskana przez niego garota przecięła już naskórek dyrektora, ozdabiając jego szyję malowniczymi stróżkami krwi.

Udałem, że się potykam, po czym wyprowadziłem zaskakujący cios prawą nogą. Nie celowałem w głowę, bo tanie efekciarstwo mogło się sprawdzić w starciu z ulicznymi opryszkami, ale nie z wyszkolonym komandosem. Usiłowałem trafić go w biodro i gdyby mi się udało, połamałbym mu nogę i posłał najpierw do szpitala, a potem na długotrwałą rehabilitację. Włożyłem w ten cios maksimum siły, ale zdążył zareagować i w porę odskoczył. Garota z cichym stukiem opadła na ziemię, a jego oczy rozszerzyły się w zdumieniu.

Chciałem wykorzystać tę chwilę zaskoczenia, ale między nami upadło na ziemię ciało Hołowni, dając mu ułamki sekund na dojście do siebie. Nie miałem czasu, by sprawdzić, czy dyrektor żyje. Wpatrywałem się zmrużonymi oczami w Michalika, bezskutecznie szukając słabego punktu w jego gardzie.

W poprzednich dniach kilkakrotnie wyobrażałem sobie chwilę, gdy stanę naprzeciwko mordercy mojego przyjaciela. W tych momentach nieodmiennie towarzyszyło mi w wyobraźni uczucie zimnej furii. Ale kiedy wreszcie go dorwałem, furia przygasła. Nie mogłem sobie na nią pozwolić. Musiałem zmobilizować wszystkie swoje umiejętności, by to starcie nie zakończyło się dla mnie tragicznie.

Na moją korzyść działał teraz jedynie fakt, że mój przeciwnik nie wiedział, iż przeszedłem takie same szkolenia, co on. Podejrzewał pewnie, że liźnąłem trochę podstaw walki ulicznej, ale jeszcze mnie nie doceniał. Nie atakowałem go na razie, szukając jakiegokolwiek słabej strony, ale on wziął moją bierność za oznakę słabości. Postanowił mnie zaatakować, dając mi szansę, na którą czekałem.

Jak już wspomniałem, łatwiej jest się bronić niż atakować. Oczywiście ta zasada dotyczy jedynie przeciwników o zbliżonym poziomie i gabarytach, ale akurat w tej sytuacji znalazła zastosowanie. Dlatego gdy Michalik wyprowadził cios, szala Fortuny przechyliła się na moją stronę.

Celował w mój podbródek i przez chwilę pozwoliłem mu uwierzyć, że cios dojdzie do celu. Uchyliłem się dosłownie w ostatnim momencie — jego pięść musnęła mój policzek, zdzierając mi z niego fragment skóry. Zabolało, ale ból był niczym w porównaniu z uniesieniem płynącym z widoku jego opuszczonej gardy.

Błyskawicznie podskoczyłem i huknąłem go kantem dłoni w szczękę.

Gdybym trafił tak, jak chciałem, byłoby po walce. Niestety mój cios spadł nieco za wysoko. Na pewno był bolesny, ale nie zdołał go unieszkodliwić. Zakląłem pod nosem i ta chwila niepotrzebnej złości sprawiła, że przegapiłem moment, w którym mogłem uderzyć go po raz drugi. Wycofał się, a w jego oczach pojawił się niechętny szacunek.

— Powiedz czy Lubliniec? — zapytał, ale go zignorowałem. Nie zamierzałem zniżać się do rozmowy z mordercą. Zrobiłem kilka kroków i zamierzałem zająć go z boku, ale szybko mi to uniemożliwił. Próbował mnie kopnąć, ale odskoczyłem.

Przez chwilę szacowaliśmy się wzrokiem, korzystając ze skąpego światła księżyca. Nagle w jego oczach dostrzegłem to, czego się obawiałem. Zamigotało w nich zadowolenie.

— Kontuzja? — zapytał kpiąco i jednocześnie rzucił się, celując w prawą stronę mego ciała.

Zauważył, że w mojej prawej ręce brakuje dwóch palców. Po wypadku nauczyłem się na nowo korzystać ze sztuców i pisać, ale uderzenia nie wychodziły mi już tak dobrze, jak kiedyś. Poza tym ciało wokół kikutów było delikatne. Gdy zablokowałem pierwszy, wyprowadzony na próbę cios, moje oczy zalały się łzami bólu.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Znałem historię z Lichenia i wiedziałem, że mój przeciwnik jest kompletnie szalony, ale ten grymas wesołości zupełnie mnie rozstroił. Zrozumiałem, że brakuje mu nie tylko ludzkich uczuć, ale też wyobraźni. Był niczym skażony złem dwudziestolatek, nie zastanawiający się nad konsekwencjami swojego zachowania. To właśnie ten wiek jest najodpowiedniejszy dla żołnierzy. Z biegiem lat pojawia się wynikająca z coraz większej wyobraźni ostrożność i żołnierz traci część swojej sprawności. Ja przekroczyłem już tę granicę i zwyczajnie bałem się śmierci, ale mój przeciwnik wydawał się jedynie świetnie bawić.

Z coraz większym trudem odpierałem kolejne kopnięcia i ciosy, powoli się wycofując. Po kilkudziesięciu sekundach takich podchodów wyczułem za swoimi plecami betonową ścianę domu. Jeszcze raz cudem uniknąłem kopnięcia, ale następny cios — tym razem zadany pięścią — ominął moją obolałą prawą rękę i wylądował na podbródku.

Instynktownie rzuciłem się w tył, tracąc równowagę i lądując na przyzbie piachu. Na chwilę pociemniało mi w oczach, ale wiedziałem, że aby przeżyć, nie mogę sobie pozwolić nawet na odrobinę słabości. Potężny kopniak wylądował na moich żebrach, ale udało mi się uniknąć kolejnych ciosów. Przetoczyłem się po ziemi i wstając, rzuciłem w jego stronę garść piachu. Na sekundę odruchowo przymknął oczy i wtedy trafiłem kopniakiem w kostkę, posyłając go na ziemię.

Zdołał się pozbierać, ale zanim wstał, uderzyłem go ponownie, tym razem w gardło. Z jego oczu zniknęło rozbawienie, wyparte przez żądzę mordu.

— Jesteś z GROM-u — stwierdził ponuro. — Tak jak kiedyś ja...

Gdy to powiedział, przypomniała mi się historia opowiadana przez jednego z instruktorów. Jej bohaterem był niezwykle utalentowany komandos, który jednak sprawiał mnóstwo kłopotów wychowawczych i w końcu został usunięty ze służby. Stało się to jednak dopiero po tym, jak załamał się podczas jednej z operacji na terenie byłej Jugosławii, narażając swoich kolegów na niebezpieczeństwo utraty życia.

— Słyszałem o operacji „Little Flower” — stwierdziłem kpiąco, odzywając się do niego po raz pierwszy. — Przez pewien czas byłeś sławny...

Celem operacji „Little Flower” było pojmanie serbskiego zbrodniarza wojennego Slavka Dokmanovicia. Operacja odbyła się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku, kończąc się sukcesem. Sukcesem zakończyła się również podjęta przeze mnie próba sprowokowania mojego przeciwnika, któremu serbska misja kojarzyła się z zawodową klapą. Rzucił się na mnie, zapominając o obronie.

Jego atak miał w sobie tyle impetu, że nie zdołałem wykorzystać tego chwilowego porywu szaleństwa. Jeden z moich ciosów trafił go w łuk brwiowy, ale zakrwawiona rana — choć wyglądała przerażająco — była zupełnie niegroźna. Otarł spływającą mu po policzku strużkę krwi i odzyskał spokój.

— Stare czasy — rzucił lekceważąco i znów zaatakował mnie od mojej prawej strony.

To trwało jeszcze ze dwie minuty, które dłużyły mi się jak godziny. Mój przeciwnik zaczął w końcu osiągać przewagę. Moja prawa ręka była

już niemal bezużyteczna, nie wytrzymałem też kondycyjnie. Od kilku lat prowadziłem siedzący tryb życia, a on regularnie trenował w więzieniu. Na moje nieszczęście nasze zakłady penitencjarne często przypominały obiekty sportowe.

Walka skończyła się tak gwałtownie, jak się zaczęła. Morderca jeszcze raz rozerwał moją niezręczną gardę i tym razem trafił mnie wprost w prawą skroń. Usiadłem ciężko, bezskutecznie walcząc z ogarniającą mnie słabością. Wiedziałem, że to koniec, i wsłuchałem się w monotonny rechot żab, żałując tych wszystkich pięknych chwil, które miały mi się zdarzyć w przyszłości.

Jednak zamiast rechotu usłyszałem szczęk przeładowywanej broni.

— Ręce do góry! — krzyknęła Kamila, pojawiając się koło mnie niczym duch. — Już, na ziemię! — rozkazała, a wtedy on zniecka kopnął ją w okolice głowy.

Padła niczym zdmuchnięta świeca, ale przez tych kilka sekund doszedłem do siebie na tyle, by chwycić wypadający jej z ręki pistolet. Michalik nie zamierzał uciekać. Wziął zamach i chciał uderzyć ją po raz drugi, ale nie zdążył. Lata ćwiczeń zrobiły swoje. Odruchowo nacisnąłem język spustowy, a na jego czole, idealnie między oczami, pojawiła się idealnie okrągła dziurka...

A potem poderwałem się na nogi, jednym susem doskoczyłem do nieruchomego ciała dziewczyny i z przerażeniem zacząłem szukać jakichkolwiek oznak życia...



## Epilog

Telefon wyrwał mnie ze snu o drugiej nad ranem. Komunikat był krótki, ale chociaż spodziewałem się tego już od kilku tygodni, wybuchnąłem niepohamowanym płaczem. Nie chcąc obudzić syna, wybiegłem na korytarz i zapaliłem papierosa, schowanego na taką ewentualność w skrzynce z licznikami.

Stan mojej przebywającej w szpitalu psychiatrycznym żony pogarszał się systematycznie od kilku miesięcy. Demony, które zawiadnęły jej głową, nie zadowolily się daniną z jej osobowości, marzeń i uczuć. Zażądały w końcu jej śmierci i tej listopadowej nocy mogły odtrącić swoje zwycięstwo. Agnieszka walczyła z nimi z całych sił, ale jej organizm musiał w końcu ulec. Już w czerwcu lekarze powiedzieli mi, że to kwestia najwyżej kilku miesięcy.

W ogóle czerwiec tego roku przynosił mi same tragiczne wiadomości. Zaczął się od wyciskającego łzy z oczu pogrzebu Mateusza, a potem było już tylko gorzej. Drugą odbierającą mi chęć do życia informację uzyskałem od ordynatorki szpitala MSW, w którym wylądowała Kamila. Dziewczyna, ratując mi życie, zapłaciła za to okrutną cenę. Kopnięcie Michalika zgruchotało jej kark, naruszając rdzeń kręgowy. Według wstępnych szacunków lekarzy „Marchewka” już nigdy miała nie odzyskać władzy w nogach.

Po tym brutalnym werdykcie na wiele tygodni pogrążyła się w głębokiej depresji. Robiłem wszystko, by jej pomóc. Nie mogłem pogodzić się z tym, że taka młoda osoba ma spędzić resztę życia przykuta do łóżka. Kiedy przypominałem sobie okoliczności, w jakich to się stało, miałem ochotę wyć.

Tego feralnego wieczoru była kompletnie wycieńczona. Wstała przecież o piątej rano i przez cały dzień non stop funkcjonowała na najwyższych obrotach. Po dwudziestej przestała działać na nią nawet kawa. Obraz tańczył jej przed oczami, a usta raz po raz rozwierały się w szerokim ziewnięciu. W pewnym momencie zapadła nawet w płytką drzemkę, z której wyrwał ją rozeźlony komendant.

Atmosfera na komendzie była bardzo nerwowa, bo mimo ustalenia

personaliów mordercy wciąż nie było wiadomo, gdzie go szukać. Kilka karier wisiało na włosku, więc co jakiś czas dochodziło do głośnych awantur. Przed budynkiem zaparkowały wozy transmisyjne kilku największych stacji telewizyjnych, a wynudzeni dziennikarze prześcigali się w spekulacjach odnośnie do miejsca pobytu Jarosława Michalika, krytykując jednocześnie opieszale ich zdaniem działania policji. W pewnym momencie Kamila poczuła, że ma tego dosyć, i postanowiła odetchnąć świeżym powietrzem. Wymknęła się niepostrzeżenie tylnym wyjściem i ruszyła w stronę centrum.

Gdy do niej zadzwoniłem, była przy poczcie w alei 3 Maja. Odpowiedziała na moje pytanie, ale dopiero po kilku minutach zrozumiała, dlaczego je zadałem. Senność przeszła jej, jak ręką odjął. Ruszyła biegiem w stronę komendy i niemal wpadła pod przejeżdżający ulicą radiowóz, który zahamował z piskiem opon.

— Jedź do Wieliszewa! — rozkazała, wskakując na siedzenie pasażera.

W jej głosie było tyle determinacji, że funkcjonariusz drogówki nawet nie pomyślał, by się jej sprzeciwić, tylko włączył bombę i ruszył z kopyta. Kamila połączyła się z dyżurnym i w kilku słowach wytłumaczyła, że jej zdaniem morderca będzie teraz polował na wypuszczonego z aresztu Jana Hołownię.

Po przyjeździe do Wieliszewa nie czekała na posiłki z miejscowego komisariatu, tylko od razu rzuciła się w kierunku domu, w którym mieszkał dyrektor. Znała tę okolicę jak własną kieszeń, więc tak jak ja przecięła parking podstawówki oraz plac zabaw, by po chwili znaleźć się na właściwej posesji. Ujrawszy szamoczące się postaci, wyjęła pistolet. Zdała sobie sprawę, że przybiegła dosłownie w ostatniej chwili.

— Ręce do góry! — krzyknęła, szybko się zbliżając. — Już, na ziemię!

W tym momencie dostrzegła jakiś szybki ruch, a potem na wiele godzin straciła przytomność.

Jarosław Michalik zginął na miejscu, ale nawet gdybym nie przestrzelił mu głowy, jego los byłby i tak przesądzony. Policjanci, którzy nadbiegli kilkanaście sekund później, z pewnością rozszarpaliby

go na strzepy. Ich solidarność z nieprzytomną koleżanką była tak intensywna, że niemal namacalna.

Ta solidarność zawodowa rozciągała się także na prokuraturę. Było nie było, zabiłem przecież człowieka, ale nawet na chwilę nie trafiłem do aresztu. Nie postawiono mi żadnych zarzutów. Media uczyniły ze mnie bohatera, dostałem też nagrodę pieniężną, którą wyznaczył Komendant Główny Policji. Moja sława trwała kilka dni i na szczęście przebrzmiała, ale pieniądze bardzo się przydały.

Przez następne miesiące dzieliłem swój czas między dwie kobiety, które kochałem. Dwa razy w tygodniu odwiedzałem Agnieszkę, a pozostałe dni tygodnia spędzałem przy łóżku Kamili, błagając ją, by rozpoczęła rehabilitację. Przynajmniej na tym polu osiągnąłem coś w rodzaju sukcesu. Po pewnym czasie objawy depresji częściowo ustąpiły. W sierpniu ruda policjantka zaczęła ćwiczyć, a w październiku opuściła klinikę, poruszając się dość sprawnie na wózku inwalidzkim, kupionym przeze mnie za pieniądze z nagrody komendanta.

Moje życie przypominało sinusoidę. Po śmierci Agnieszki sięgnąłem dna, ale jeszcze kilka dni wcześniej czułem się bardzo szczęśliwy. Ze szpitala MSW dotarła do nas wtedy wspaniała wiadomość — wyniki kolejnych badań Kamili były na tyle krzepiące, że pozwalały mieć nadzieję, iż za jakiś czas częściowo odzyska władzę w nogach i będzie mogła poruszać się samodzielnie.

Kamila była pierwszą osobą, której powiedziałem o śmierci Agnieszki. Przepłakała ze mną cały dzień.

— Ja wiem, że to dla niej lepiej, że się już nie męczy — powiedziałem w pewnym momencie. — Ale nie potrafię się z tym pogodzić.

— Kochałeś ją — odpowiedziała mi Kamila. — Tak jak ja Kocham ciebie.

Wtedy pocałowałem ją po raz pierwszy. Byliśmy niczym dwa zranione pisklęta i zdałem sobie sprawę, że we dwoje łatwiej nam będzie stawiać czoła życiu.

Dzień pogrzebu był dla mnie straszny. Idąc za trumną, cały czas zastanawiałem się, czy było coś, co mogłem zrobić, by zapobiec śmierci swojej żony. Nie znajdowałem na to pytanie odpowiedzi, ale

towarzyszące żalowi wyrzuty sumienia omal nie odbierały mi przytomności. Jedną ręką opierałem się o wózek, a drugą ścisnąłem rączkę Antosia, który dreptał obok mnie z przejętą, smutną miną, ukradkiem roniąc łzy. Był taki dzielny i tak bardzo go kochałem. Zza moich pleców dochodziło nas rozdzierające serce łkanie mojej teściowej.

Uczestniczyłem kilka miesięcy temu w pogrzebie Mateusza i pana Leopolda. Tam też było mnóstwo młodzieży, ale dzisiaj tłum wydawał się jeszcze większy. Obok uczniów i kadry pedagogicznej zjawiono się bowiem mnóstwo moich kolegów z GROM-u. Z wieloma z nich już dawno utraciłem kontakt, dlatego ich obecność była dla mnie w dwójnasób wzruszająca.

Po obu moich stronach szli niczym milcząca gwardia moi najlepsi przyjaciele. Karol trzymał pod rękę swoją dziewczynę, którą poznał w wakacje i już we wrześniu się jej oświadczył. Marek był sam, ale w jego życiu też zaszła istotna zmiana. Kilka tygodni temu stawił się w szkole po czteromiesięcznym pobycie w ośrodku leczenia uzależnień w Starych Juchach — podobno zupełnie wolny od hazardowego nałogu. Gdy patrzyłem, z jaką łagodnością trzyma za drugą rękę mojego syna, byłem skłonny uwierzyć, że rzeczywiście jest w stanie wyjść na prostą i zapanować nad uwięzionymi wewnątrz głowy słabościami.

Wśród podążających w kondukcje żałobnym nauczycieli sporo było zupełnie nowych twarzy. W rezultacie wydarzeń z końcówki maja grono pedagogiczne znacznie się przerzedziło. Geograf i matematyk zostali zabici, ale ze szkoły odeszli z różnych powodów także inni nauczyciele.

Fizyk Andrzej Masternak został niezwłocznie zawieszony i wysłany na szereg konsultacji psychiatrycznych. Lekarze uznali, że jego schorzenie nie kwalifikuje się do leczenia zamkniętego, ale w akompaniamencie zbiorowego westchnienia ulgi orzekli, że nie nadaje się na nauczyciela, i przyznali mu bezterminową rentę. Na rencie wylądował także dyrektor Hołownia, którego z początkiem roku szkolnego zastąpiła na stanowisku jego zastępczyni. Tutaj powód był jeszcze bardziej oczywisty — garota mordercy przecięła mu nie tylko skórę, ale także część strun głosowych, pozbawiając go możliwości mówienia. Paradoksalnie go żałowałem, gdyż według pisemnej relacji

Mateusza był człowiekiem z nieco innej gliny niż jego pozbawiony skrupułów starszy brat.

Wraz z końcem roku odeszły także dwie inne nauczycielki, z tym że jedna z nich we wrześniu zdecydowała się na powrót. Mowa o Aldonie, która w wakacje zakochała się w poznanym przypadkowo rozwodniku i stwierdziła, że mój widok przestał wywoływać u niej ból i tęsknotę za czymś, co nigdy nie nastąpi. Ucieszyłem się z jej decyzji, ale nie zacząłem się z nią znów przyjaźnić. Wolałem dmuchać na zimne i nie ryzykować ponownego odhibernowania jej kłopotliwego afektu.

Aldona wróciła, ale Marta Sobierajska — kochanka Mateusza — nie miała takiego zamiaru. Nie dziwiłem się jej ani przez moment. Tutaj każdy szczegół kojarzyłby się jej ze zmarłym kochankiem, a w Piasecznie dostała możliwość zupełnie nowego startu. Od zera zaczynała też Aśka, która zdecydowała się zawiesić karierę dziennikarską i podjęła na nowo studia na wydziale historii.

Z Legionowa wyjechała też Marzena, ale w jej przypadku to nie była ucieczka. Dziewczyna po zerwaniu z przebywającym aktualnie w półotwartym zakładzie karnym „damskim bokserem” zaczęła grać tak dobrze, że w sierpniu powołana została do dorosłej reprezentacji siatkarskiej. Co prawda był to raczej przegląd kadry B, ale i tak jej sukces był ogromny, a w ślad za nim poszedł transfer do czołowej drużyny w kraju. Tak więc moja ulubiona uczennica, która przyjechała specjalnie na pogrzeb z odległych o ponad pięćset kilometrów Polic, miała najpierw zdać maturę, a potem ruszyć na podbój siatkarskiego świata.

Cieszyłem się jej sukcesem, ale dzisiaj nie umiałem tego okazać. Moja twarz zastygła w wyrazie cierpienia. Kiedy rzuciłem na drewnianą trumnę pierwszą garść piachu, miałem ochotę dać się pogrzebać razem z Agnieszką. Ale nie mogłem się załamać. Za moimi plecami byli Kamila, Antoś i moja teściowa. Jeden rzut oka na zapłakane twarze obu kobiet i chwiejącą się w podmuchach wiatru sylwetkę mojego syna przypomniał mi, że mam tu jeszcze misję do spełnienia. Połykając łzy, objąłem ich wszystkich i obiecałem sobie, że jakoś się pozbieram...

## Od autora

Czytelniku! Chciałbym Ci podziękować za przyjęcie zaproszenia do zaprojektowanego przeze mnie świata. Mam nadzieję, że przeżyłeś w nim (wraz ze mną) kilka ciekawych, dramatycznych, a może i wzruszających chwil. Chcę wierzyć, że bawiłeś się choć w połowie tak dobrze jak ja.

Pomysł na tę książkę zakiełkował mi w głowie w momencie, gdy wracając od moich Teściów, przejeżdżałem przez Legionowo. Tego letniego wieczoru to zielone miasteczko wydało mi się urzekające. Miejsce akcji wybrało się więc samo. Od razu pomyślałem też o szkole, a przed moimi oczami pojawiła się pierwsza scena – morderstwo odkryte podczas rady pedagogicznej. Uznałem, że kryminał, w którym zarówno „detektywami”, jak i czarnymi charakterami staną się nauczyciele, będzie osobliwie nieszablonowy.

Nieszablonowy miał być także bohater – postanowiłem, że będzie to nauczyciel historii, a jednocześnie były komandos. W efekcie musiałem się zmierzyć z dwiema „branżami”, które początkowo były mi zupełnie obce. Szkołę pamiętałem z lat dziewięćdziesiątych (kiedy to było!) i to tylko z pozycji ucznia. W wojsku zaś nie byłem nigdy, mimo posiadanej kategorii „A”. Doksztalałem się intensywnie z pomocą rodziny i internetu, ale na pewno nie uniknąłem błędów, za które wszystkich nauczycieli i żołnierzy serdecznie przepraszam!

Legionowian z kolei proszę o wyrozumiałość. Nie poznałem Waszego miasta tak dobrze, jakbym chciał, stąd miejscami podczas lektury możecie się poczuć lekko skonfundowani. Na swoje usprawiedliwienie muszę jednak dodać, że część zmian w topografii Legionowa została przeze mnie dokonana z premedytacją, w związku z doraźnymi potrzebami związanymi z rozwojem fabuły. Zresztą podobnie zachowałem się, opisując Tatry, które uwielbiam. Zdaję sobie sprawę, że przejście przez Wołowy Grzbiet zimą zajęłoby z pewnością więcej czasu niż w powieści. I wymagałoby przygotowania taternickiego.

Chciałbym podziękować mojemu Tacie i Pani Grażynie

– pierwszym czytelnikom tego tekstu – a także Izie Troinskiej i Jolancie Kusiak, które wzięły na siebie niewdzięczny trud redakcji. Specjalne podziękowania należą się także dwóm kobietom mojego życia – przepięknej Żonie i malutkiej Córeczce. Dzięki Wam wszystko ma sens!



## Wojciech Wójcik, „Nikommu nie ufaj”

Marek, młody i obiecujący funkcjonariusz ABW, otrzymuje z pozoru rutynowe zadanie. Podczas jego wykonywania wpada na trop afery i sprowadza na siebie śmiertelne niebezpieczeństwo. W jednej chwili z myśliwego zmienia się w zwierzynę. Zapolują na niego przestępcy i zdrajcy, których łączą nie tylko ciemne interesy, ale pewne tajemnicze wydarzenia grudniowej nocy sprzed piętnastu lat.

Marek z przerażeniem uświadamia sobie, że może liczyć tylko na siebie, a klucz do rozwikłania zagadki spoczywa w jego rękach. Wie o tym jednak ktoś jeszcze... Rozpoczyna się dramatyczny wyścig z czasem.

Od plaż Bałtyku, poprzez Warszawę, aż po mazurskie bezdroża toczy się brutalna gra, której stawką jest ludzkie życie. W tym gronie nie ma przyjaciół, każdy może okazać się wrogiem. W świecie skorumpowanych polityków, bezlitosnych funkcjonariuszy służb specjalnych i ludzi mafii narkotykowej obowiązuje tylko jedna zasada: nikomu nie ufać.



